



Victor Hugo

*NĘDZNIICY\_II*





# Spis treści

- [CZĘŚĆ DRUGA c.d.](#)
  - [KSIĘGA TRZECIA](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
    - [ROZDZIAŁ IX](#)
    - [ROZDZIAŁ X](#)
    - [ROZDZIAŁ XI](#)
  - [KSIĘGA CZWARTA](#)
    - [ROZDZIAŁ I IMĆ GORBEAU](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [KSIĘGA PIĄTA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
    - [ROZDZIAŁ IX](#)
    - [ROZDZIAŁ X](#)
  - [KSIĘGA SZÓSTA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
    - [ROZDZIAŁ IX](#)
    - [ROZDZIAŁ X](#)
    - [ROZDZIAŁ XI](#)
  - [KSIĘGA SIÓDMA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)

- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [KSIĘGA ÓSMA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
  - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII](#)
  - [ROZDZIAŁ IX](#)
- [CZĘŚĆ TRZECIA](#)
  - [KSIĘGA PIERWSZA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
    - [ROZDZIAŁ IX](#)
    - [ROZDZIAŁ X](#)
    - [ROZDZIAŁ XI](#)
    - [ROZDZIAŁ XII](#)
    - [ROZDZIAŁ XIII](#)
  - [KSIĘGA DRUGA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
  - [KSIĘGA TRZECIA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)

- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [KSIĘGA CZWARTA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
- [KSIĘGA PIĄTA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
- [KSIĘGA SZÓSTA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
  - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII](#)
  - [ROZDZIAŁ IX Zaćmienie](#)
- [KSIĘGA SIÓDMA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
- [KSIĘGA ÓSMA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
  - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII](#)
  - [ROZDZIAŁ IX](#)

- [ROZDZIAŁ X](#)
- [ROZDZIAŁ XI](#)
- [ROZDZIAŁ XII](#)
- [ROZDZIAŁ XIII](#)
- [ROZDZIAŁ XIV](#)
- [ROZDZIAŁ XV](#)
- [ROZDZIAŁ XVI](#)
- [ROZDZIAŁ XVII](#)
- [ROZDZIAŁ XVIII](#)
- [ROZDZIAŁ XIX](#)



# NĘDZNICY

Tom II

Victor Hugo

## CZEŚĆ DRUGA c.d.

### KSIĘGA TRZECIA

#### SPEŁNIENIE OBIETNICY DANEJ UMIERAJĄCEJ

(dalszy ciąg)

#### ROZDZIAŁ VIII

Jak to źle przyjmować u siebie biedaka, który może jest bogaczem

Kozeta nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na olbrzymią lalkę, królującą wciąż za witryną kramu z zabawkami, po czym zastukała do karczmy. Drzwi się otwarły. Na progu stanęła Thenardierowa ze świecą w ręku.

— A, to ty, hultajko! Marudziłaś, że nie daj Boże! Bawić się szczeniakowi zachciało!

— Proszę pani — rzekła Kozeta drżąc cała — ten pan przychodzi do nas na noc!

Thenardierowa prędko zmieniła gniewną minę na układowy grymas — natychmiastowe przeobrażenie właściwe oberżystom — i chciwie rozejrzała się za przybyłym.

— To pan? — zapytała.

— Tak, pani! — odrzekł podróżny podnosząc rękę do kapelusza.

Bogaci podróżni nie bywają tak uprzejmi. Ten gest i badawcze spojrzenie rzucone na odzienie i zawiniątko nieznanego sprawiły, że uprzejmy wyraz znikł z twarzy Thenardierowej, ustępując znów miejsca gniewnej minie. Rzekła sucho:

— Wejdźcie, dobry człowieku.

„Dobry człowiek” wszedł. Thenardierowa jeszcze raz rzuciła nań okiem, spojrzała uważnie na mocno zniszczony surdut, na wytarty kapelusz i ruchem głowy, zmarszczeniem nosa, mrugnięciem oka zasięgnęła rady u swego małżonka, który wciąż popijał z woźnicami. Mąż odpowiedział jej niedostrzegalnym ruchem wskazującego palca, który w połączeniu z wydęciem ust oznacza w takich wypadkach: „Zupełna nędza.” Wobec czego Thenardierowa zawołała:

— Słuchajcie no, mój człowieku, bardzo mi przykro, ale nie mamy miejsca!

— Proszę mnie umieścić gdziekolwiek, na strychu czy w stajni — odrzekł podróżny. — Zapłacę jak za pokój.

— Czterdzieści su.

— Czterdzieści su. Zgoda.

— No, to dobrze.

— Czterdzieści su — rzekł szeptem któryś z woźniców do Thenardierowej. — Przecież bierzecie tylko dwadzieścia?

— Ale on zapłaci czterdzieści — odparła, również szeptem, Thenardierowa. — Ubogich nie przyjmuję na noc za mniejszą opłatą.

— Racja — dodał słodkim głosem mąż. — Tacy ludzie psują reputację domu.

Tymczasem nieznajomy, położywszy na ławie swój kij i zawiniątko, usiadł przy stole, na którym Kozeta pospiesznie postawiła flaszkę wina i szklanę Kupiec, który domagał się wody dla konia, poszedł go sam napoić. Kozeta usiadła na swym zwykłym miejscu pod stołem i zabrała się znów do roboty na drutach.

Umoczywszy ledwie wargi w winie, które sobie nalał do szklanki, podróżny przyglądał się dziewczynce ze szczególną uwagą.

Kozeta była brzydka. Szczęście mogłoby uczynić ją ładną. Opisałiśmy już pobieżnie tę smutną postać. Kozeta była chuda i mizerna; miała prawie osiem lat, ale wyglądała zaledwie na sześć. Wielkie oczy, podkrążone głębokim cieniem, przygaśły od ustawicznego płaczu. Kąciki ust miały ów rys nieustającego przerażenia, który się widzi u skazańców i u ludzi beznadziejnie chorych. Ręce jej — jak to odgadła matka — były pokryte odmrożeniami. Padający na nią w tej chwili blask ognia ukazywał sterczące kości i straszliwą chudość. Kozeta, która wciąż dygotała z zimna, przyzwyczała się kulić i ścisnąć



do siebie kolana. Odziana była w łąchmany, które w lecie budziły litość, w zimie budziły zgrozę. Miała na sobie podartą płócienną sukieneczkę; ani nawet skrawczka wełnianej materii. Tu i ówdzie przeświecała naga skóra, pokryta sinymi i czarnymi znakami — śladami kukuksów Thenardierowej. Bose nóżki były chude i czerwone. Na płacz się wprost zbierało patrząc na wystające obojczyki. Cała postać tej dziewczynki, jej ruchy, zachowanie, brzmienie głosu, pauzy, które robiła między jednym wyrazem a drugim, jej spojrzenie, jej milczenie, jej najmniejszy gest wyrażały i zdradzały jedną myśl — strach.

Była jakby napiętnowana strachem. Strach — jeśli tak rzecz można — otulał ją całą; to strach kazał jej przyciskać łokcie do bioder, chować pięty pod spódniczkę, zajmować swoją osobą jak najmniej miejsca, strach pozwalał jej ledwo oddychać i stał się tym, co można by nazwać zwykłym jej stanem, a co mogło się przeobrazić jedynie w strach jeszcze większy. W głębi jej źrenicy drgało jakieś zadziwienie, czaiła się tam groza.

Ten strach był tak wielki, że wróciwszy do domu przemoczona do nitki, Kozeta nie ośmieliła się osuszyć przy kominie, lecz milcząco powróciła do swej pracy.

Wyraz oczu tego ośmioletniego dziecka był zawsze tak ponury, a nieraz tak tragiczny, że chwilami wydawało się, iż wyrośnie z niego idiota albo szatan.

Nigdy, wspominaliśmy już o tym, nie uczono jej pacierza, nigdy też nie przestąpiła progu kościoła. „A bo to ja mam czas?” — mawiała Thenardierowa.

Człowiek w żółtym surducie nie spuszczał oczu z Kozety.

Nagle Thenardierowa zawołała:

— Ale, a chleb?

Na dźwięk podniesionego głosu Thenardierowej Kozeta — jak to było jej zwyczajem — czym prędzej wyszła spod stołu.

Zapomniała zupełnie o chlebie. Uciekła się do wybiegu dzieci wiecznie przerażonych. Skłamała.

— Piekarz był już zamknięty, proszę pani.

— Trzeba było zastukać.

— Stukałam, proszę pani.

— No i co?

— Nie otworzył.

— Jutro się dowiem, czy to prawda — powiedziała Thenardierowa. — Jeśli się okaże, że kłamiesz, to dostaniesz zdrowe lanie. A tymczasem oddawaj piętnaście su.

Kozeta wsunęła rękę do kieszeni fartuszka i zzieleniała. Pieniądzy nie było.

— Nuże! — przynagliła Thenardierowa. — Nie słyszysz czy co?

Kozeta wywróciła kieszonkę, nie było w niej nic. Gdzie się mógł podziać pieniądz? Biedaczka nie była w stanie wykrztusić słowa. Stała jak skamieniała.

— Co? Zgubiłaś pieniądze? Zgubiłaś piętnaście su? — wrzasnęła Thenardierowa. — A może chcesz mi je ukraść?

Mówiąc to wyciągnęła rękę w kierunku dyscypliny wiszącej przy kominie. Ten groźny gest przywrócił Kozecie głos. Krzyknęła:

— Pani, błagam, pani! Już nigdy nie będę!

Thenardierowa zdjęła dyscyplinę.

Tymczasem człowiek w żółtym surducie sięgnął do kieszonki od kamizelki. Nikt nie zauważył tego gestu. Zresztą podróżni pili albo grali w karty, nie zwracając uwagi na to, co się dokoła nich dzieje.

Kozeta z przerażeniem wtuliła się w róg komina, kuląc się cała i starając się ukryć swoje biedne, na wpół nagie członki. Thenardierowa podniosła rękę.

— Za pozwoleniem — odezwał się człowiek w żółtym surducie — przed chwilą zauważyłem, że małej wypadło coś z fartuszka i potoczyło się po podłodze. Może to o to chodzi?

Tu schylił się i udał, że szuka czegoś przez chwilę na ziemi.

— Oto jest, proszę — powiedział prostując się. I podał monetę Thenardierowej.

— Aha, tak, to ta sama — odrzekła oberżystka.

Nie była to ta sama moneta, gdyż było to dwadzieścia su, ale Thenardierowa uważała to za swój zysk. Wsunęła pieniądz do kieszeni i rzuciwszy dziecku wściekłe spojrzenie powiedziała tylko:

— Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

Kozeta wróciła do swej „nory”, jak mawiała Thenardierowa. Jej wielkie, utkwione w nieznanym oczy zaczęły nabierać wyrazu, którego nigdy przedtem nie miały; było to na razie naiwne zadziwienie, ale przebiegała przez nie zdumiona ufność.

— Aha, prawda, a wieczerzać będziecie? — zapytała Thenardierowa podróżnego.

Nie odpowiedział, zamyślony nad czymś głęboko.

— Co to za jeden? — mruknęła do siebie pod nosem. — To musi być ostatni nędzarz. Pewno nie ma ani grosza na kolację. Czy aby zapłaci za nocleg? Swoją drogą dobrze, że nie przyszło mu do głowy ukraść ten pieniądz z ziemi.

W tej chwili drzwi się otwały, weszły Eponina i Anzelma.

Były to rzeczywiście ładne dziewczynki, wyglądały raczej na dzieci z miasta niż na wieśniaczki; obie były urocze, jedna z lśniącymi, kasztanowymi splotami, druga z czarnymi, długimi warkoczami, spadającymi na plecy, obie żywe, czyściutkie, pulchne, świeże i zdrowe, aż miło było na nie spojrzeć. Ubrane były ciepło, ale dzięki macierzyńskiej pomysłowości grubość materii nie ujmowała ich stroikom wdzięku. Ochraniała przed zimą, nie tłumiąc wiośnianego uroku. Te dwie małe istotki rozsiewały dokoła siebie blask. A poza tym — królowały. Z ich stroju, wesołości, z wrzawy, którą robiły, widać było, że są tutaj paniami. Kiedy weszły, Thenardierowa rzekła, niby to zrzędząc, ale w gruncie rzeczy tonem pełnym uwielbienia:

— No więc! Zjawiliście się nareszcie!

Po czym przyciągnęła je kolejno do siebie, przygładziła im włosy, poprawiła wstążki, a puszczając, niby to odepchnęła w ów tkliwy macierzyński sposób, mówiąc:

— Ale też się wystroiły! no, no!

Dziewczynki usiadły przy ogniu. Przyniosły ze sobą lalkę, którą obracały na wszystkie strony, szczebiocąc wesoło. Od czasu do czasu Kozeta odrywała oczy od swojej roboty i posępnie spoglądała, jak się bawiły.

Eponina i Anzelma nie patrzyły na Kozetę; była dla nich czymś w rodzaju psa. Te trzy małe dziewczynki nie miały razem dwudziestu czterech lat, a stanowiły już obraz całego społeczeństwa ludzkiego: z jednej strony zawiść, z drugiej — pogarda.

Laika sióstr Thenardier była bardzo zniszczona, stara i połamana; Kozecie

jednak wydawała się cudowna, Kozecie, która nigdy w życiu nie miała lalki, „prawdziwej lalki” — że użyjemy tu określenia, które każde dziecko zrozumie.

Nagle Thenardierowa, krzątając się po izbie, dostrzegła roztargnienie Kozety, która zamiast pracować przyglądała się zabawie dziewczynek.

— A, przyłapałam cię! — wrzasnęła. — To ty tak pracujesz? Poczekaj no! Kijem cię zapędzę do roboty.

Nie ruszając się z miejsca, nieznajomy zwrócił się do Thenardierowej.

— Niechże jej pani pozwoli się bawić — rzekł z lęklwym niemal uśmiechem.

Gdyby takie życzenie wypowiedział podróżny, który zjadł kawał pieczeni baraniej, wypił dwie butelki wina i nie wyglądał na „ostatniego nędzarza” — byłoby ono rozkazem. Ale żeby człowiek w takim kapeluszu miał jakieś zachcianki, żeby człowiek w takim surducie pozwalał sobie mieć swoją wolę — tego Thenardierowa nie myślała znosić. Odparła kwaśno:

— Ponieważ je, musi pracować. Nie po to ją żywię, żeby zbijała baki.

— A cóż ona takiego robi? — ciągnął nieznajomy łagodnym głosem, dziwnie nie licującym z jego żebraczym strojem i barkami tragarza.

Thenardierowa raczyła odpowiedzieć:

— Pończochy, proszę pięknie. Pończochy dla moich córeczek, bo ich prawie nie mają i boso będą chodzić.

Nieznajomy spojrzał na biedne, czerwone nożyny Kozety i zapytał:

— A kiedy skończy tę parę pończoch?

— O, ten leniuch jeszcze dobre trzy albo cztery dni będzie je robił.

— Ile może być warta taka para pończoch, kiedy już będzie skończona?

Thenardierowa spojrzała nań pogardliwie.

— Co najmniej trzydzieści su.

— A sprzedałaby mi ją pani za pięć franków? — pytał dalej nieznajomy.

— Tam do diaska! — któryś z woźniców parsknął grubym śmiechem. — Pięć franków! Dobre sobie! Pięć franków to kawał grosza.

Tu Thenardier uznał, że powinien zabrać głos:

— Oczywiście, jeśli taka jest pańska fantazja, to za pięć franków oddamy panu tę parę pończoch. Nie zwykliśmy niczego odmawiać naszym gościom.

— Ale zapłacić trzeba od razu! — powiedziała Thenardierowa po swojemu, krótko, a dobitnie.

— Kupuję tę parę pończoch — odrzekł nieznajomy wyjmując z kieszeni pięć franków; położył je na stole i dokończył: — Płacę za nią.

Po czym zwrócił się do Kozety.

— Teraz twoja praca należy do mnie. Baw się, dziecko.

Woźnica był tak poruszony widokiem tej pięciofrankowej monety, że zostawił swoją szklankę i przybiegł obejrzeć ją z bliska.

— Rzeczywiście — krzyczał oglądając ją. — Pięciofrankówka niczym tylne koło! I niepodrobiona!

Thenardier zbliżył się i bez słowa wsunął monetę do kieszeni.

Thenardierowa nic na to nie mogła powiedzieć. Zagryzła wargi, a twarz jej przybrała wyraz nienawiści.

Kozeta drżąc ciągle, zaryzykowała pytanie:

— Proszę pani, czy ja naprawdę mogę się bawić?

— A baw się! — warknęła straszliwym głosem Thenardierowa.

— Dziękuję pani — odparła Kozeta.

A gdy tak ustami dziękowała Thenardierowej, cała jej mała duszyczka składała dzięki nieznajomemu.

Thenardier zasiadł znowu do picia. Żona szepnęła mu do ucha:

— Co to za jeden, ten żółty?

— Widziałem milionerów w takich surdutach — odrzekł Thenardier tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kozeta odłożyła swą robótkę, ale nie wyszła spod stołu, gdyż zawsze starała się jak najmniej poruszać. Wyjęła tylko z pudełka, stojącego za nią, jakieś gałganki

i swoją małą, ołowianą szabelkę.

Eponina i Anzelma nie zwracały żadnej uwagi na to, co się działo w izbie. Dokonały właśnie wielkiej rzeczy: złapały małego kotka. Rzuciły lalkę na ziemię i Eponina, jako starsza, owijała go w przeróżne czerwone i niebieskie gałganki, mimo że kotek miauczał i wrywał się. Wykonując tę poważną i niełatwą pracę, rozmawiała z siostrą; był to wdzięczny i słodki szczebiot dziecięcy, którego uroku — podobnie jak wspaniałości skrzydeł motyli — niesposób utrwalić.

— Widzisz, siostrzyczko, ta lalka jest o wiele zabawniejsza niż tamta. Rusza się, krzyczy i jest ciepłutka. Będziemy się nią bawić, dobrze, siostrzyczko? To będzie moja córeczka. Ja będę panią i przyjdę do ciebie z wizytą, i ty będziesz się jej przyglądać. Aż tu nagle zobaczysz jej wąsy — i bardzo się zdziwisz. A potem zobaczysz jej uszy, a potem zobaczysz jej ogonek — i jeszcze bardziej się zdziwisz. I powiesz: „Ach, mój Boże!”, a ja ci odpowiem: „Tak, tak, proszę pani, to jest moja córeczka. Teraz małe dziewczynki takie są właśnie.”

Anzelma słuchała Eponiny z zachwytem.

Tymczasem pijący za stołem zaczęli śpiewać sprośną piosenkę i śmieli się, aż szyby drżały. Thenardier zachęcał ich i wtórował śpiewom.

Podobnie jak ptaki potrafią uwić sobie gniazdka z byle ździebełka, tak i dzieci potrafią zrobić sobie lalkę z byle czego. I kiedy Anzelma i Eponina owijały kotka, Kozeta owinęła swoją szabelkę, wzięła ją na ręce i kołysząc do snu, nuciła jej cichutko.

Lalka — to przemożna potrzeba, a zarazem jeden z najbardziej uroczych instynktów małych dziewczynek. Troszczyć się o kogoś, okrywać, stroić, ubierać, rozbierać, ubierać na nowo, pouczać, łajać nieco, kołysać, pieścić, usypiać, wyobrażać sobie, że „coś” jest „kimś” — w tym zawiera się cała przyszłość kobiety. Tak marząc i szczebiocąc, robiąc wyprawki i pieluszki, szyjąc sukieneczki, staniczki i kaftaniki, dziecko staje się dziewczynką, dziewczynka staje się młodą dziewczyną, młoda dziewczyna — kobietą. Ostatnia lalka zamienia się w pierwsze dziecko.

Równie trudno sobie wyobrazić małą dziewczynkę bez lalki jak kobietę bez dziecka; i obie są prawie równie nieszczęśliwe.

Kozeta zrobiła sobie zatem lalkę z szabelki.

Thenardierowa podeszła do „żółtego człowieka”. „Mój mąż ma rację — myślała — a nuż to jest pan Laffitte? Bogatych trzymają się czasem takie dziwactwa...”

Przysiadła się do niego.

— Proszę pana... — zaczęła.

Na dźwięk słowa „pan” — podróżny odwrócił się. Thenardierowa do tej pory mówiła do niego „dobry człowieku” lub „mój człowieku”.

— Widzi pan — ciągnęła przybierając słodką minę, która była dla patrzącego jeszcze bardziej przykra niż jej groźna mina — niechby sobie dzieciak się bawił, wcale mi to nie przeszkadza, ale to dobre na ten jeden raz, bo pan jest bardzo hojny. Ale, widzi pan, ta mała nie ma nic a nic; musi więc pracować.

— Więc to nie pani córka? — zapytał podróżny.

— Ach, na Boga, panie, skądże znowu! To biedota, mała nędza, którą przygarnęliśmy tak, z litości. Trochę głupawa. Chyba musi mieć wodę w głowie, bo popatrz pan, jaką ma wielką głowę. Robimy dla niej, co możemy, ale sami nie jesteśmy bogaci. Piszemy i piszemy tam, w jej strony, ale już od pół roku nie mamy odpowiedzi. Chyba matce musiało się zemrzeć.

— Aa... — rzekł człowiek i na nowo popadł w zadumę.

— Ta matka to było nic dobrego — dodała Thenardierowa. — Porzuciła swoje dziecko.

Podczas całej tej rozmowy Kozeta nie spuszczała oczu z Thenardierowej, jak gdyby jakiś instykt podszeptał jej, że to o niej mowa. Słyszała niewiele; czasem doleciało ją jakieś słowo.

Tymczasem biesiadnicy, dobrze już podchmieleni, w napadzie jeszcze głośniejszej wesołości powtarzali swoją sprośną piosenkę. Była to bardzo niewybredna a pieprzna śpiewka, do której wmieszano Matkę Boską i Dzieciątko Jezus. Thenardierowa przyłączyła się do wybuchów śmiechu. Siedząca pod stołem Kozeta zapatrzyła się w ogień, którego blask odbijał się w jej nieruchomych oczach i kołysząc na ręku szabelkę, owiniętą w gałganki, nuciła cichym głosem: „Moja mamusia umarła! Moja mamusia umarła! Moja mamusia umarła!...”

Ulegając nowym naleganiom gospodyni, żółty człowiek, „milioner”, zgodził się zjeść wieczerzę.

— A co pan sobie życzy?

— Proszę o chleb i ser — odparł człowiek.

— To jednak z pewnością żebrak — pomyślała Thenardierowa.



Pijacy śpiewali wciąż swoją piosenkę, a dziecko pod stołem śpiewało swoją.

Nagle Kozeta umilkła. Odwróciwszy się, spostrzegła tuż przy kuchennym stole lalkę, którą małe Thenardierki porzuciły dla zabawy z kotkiem.

Upuściła owiniętą w gałgany szabelkę, która połowicznie tylko mogła ją zadowolić, i wolno powiodła wzrokiem po izbie. Thenardierowa szeptała coś do męża, licząc pieniądze. Ponina i Zelma bawiły się kotkiem, podróżni jedli, pili lub śpiewali. Nikt na nią nie patrzył. Nie miała ani chwili do stracenia. Na czworakach wyczołgała się spod stołu i upewniwszy się raz jeszcze, że nikt na nią nie patrzy, szybko przysunęła się do lalki i schwyciła ją. Po chwili siedziała już nieruchomo na swoim miejscu, obrócona w ten sposób, by cień padał na lalkę, którą trzymała na ręku. Szczęście bawienia się lalką było dla niej rzeczą tak rzadką, że odczuwała gwałtowną rozkosz.

Sceny tej nie zauważył nikt z wyjątkiem podróżnego, który wolno spożywał swój skromny posiłek.

Radość Kozety trwała już blisko kwadrans.

Mimo zachowywanych ostrożności Kozeta nie zauważyła jednak, że jedna noga lalki wystawała z cienia i była oświetlona jaskrawo przez ogień na kominku. Ta różowa, jasna, wyłaniająca się z cienia noga przyciągnęła spojrzenie Anzelmy, która odezwała się do Eponiny:

— Siostrzyczko, popatrz!

Obie dziewczynki ze zdumienia aż przerwały zabawę. Kozeta ośmieliła się wziąć ich lalkę!

Eponina, nie wypuszczając z objęć kotka, podniosła się i podszedłszy do matki, zaczęła ją ciągnąć za spódnicę.

— Dajże spokój! — powiedziała matka. — Czego chcesz?

— Mamo — rzekło dziecko — spójrz no!

I wskazała palcem Kozetę, która z lalką w ramionach była pogrążona w ekstazie posiadania, głucha i ślepa na wszystko, co się wokół niej działo.

Twarz Thenardierowej przybrała ów szczególny wyraz wściekłości, wybuchającej z okazji drobnych codziennych błahostek, który sprawia, że kobiety tego typu nazwano „megiery”. Tym razem urażona duma wzmagała jeszcze gniew. Kozeta przekroczyła wszelkie granice. Kozeta ważyła się dotknąć lalki „panienek”. Carowa nie mogłaby mieć innej miny na widok muzyka

przymierzającego orderową wstęgę jej dostojnego syna. Ryknęła ochryplym z oburzenia głosem:

— Kozeta!

Kozeta wstrząsnęła się, jakby ziemia pod nią zadrżała. Odwróciła się.

— Kozeta! — powtórzyła Thenardierowa. Kozeta wzięła lalkę i położyła ją ostrożnie na ziemi z uwielbieniem i rozpaczą zarazem. Po czym, nie spuszczać z niej oczu, splotła rączki i załamała je — przerażający gest u dziecka w tym wieku. I przyszło to, czego nie mogły z niej wydobyć ani przejścia całego dnia, ani bieg przez las, ani ciężar wiadra, ani zguba pieniędzy, ani widok dyscypliny, ani nawet posępne słowa zasłyszane z rozmowy Thenardierowej — przyszły łzy. Wybuchnęła płaczem. Podróżny wstał.

— Co się dzieje? — zapytał Thenardierowa.

— Nie widzi pan? — odrzekła wskazując palcem *corpus delicti* leżący u stóp Kozety.

— No więc cóż takiego? — pytał dalej podróżny.

— Ta żebraczka ośmieliła się wziąć lalkę moich dzieci! — wyjaśniła Thenardierowa.

— I o to tyle hałasu? — powiedział podróżny. — A gdyby się nawet bawiła tą lalką?

— Ależ ona dotykała jej brudnymi rękami — ciągnęła Thenardierowa — swoimi wstrętnymi łapskami !

Tu Kozeta zaszlochała jeszcze głośniej.

— A będziesz ty mi cicho! — wrzasnęła Thenardierowa.

Podróżny skierował się ku drzwiom, otworzył je i wyszedł na ulicę.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Thenardierowa skorzystała z jego nieobecności, by wymierzyć Kozecie pod stołem takiego kopniaka, że mała rozpaczliwie się rozkrzyczała.

Drzwi otworzyły się znowu. Podróżny wszedł do izby; w obu rękach trzymał ową bajeczną lalkę, o której już wspominaliśmy, a którą przez cały dzień podziwiała wszystkie dzieciaki z miasteczka. Postawił ją przed Kozetą i rzekł:

— Masz, to dla ciebie!

Należy przypuszczać, że gdy tak siedział długą godzinę pogrążony w zadumie, dostrzegł kram z zabawkami, oświetlony lampionami i świecami tak wspaniale, że wyglądał poprzez okno oberży jak jedna wielka iluminacja.

Kozeta podniosła oczy; patrzyła na człowieka, który się do niej zbliżał z lalką, tak jakby patrzyła na zniżające się do niej słońce; usłyszała te przedziwne słowa: „To dla ciebie”, spojrzała na niego, spojrzała na lalkę, potem zaczęła się zwolna cofać i zaszyła się w najgłębszy kącik pod stołem, tuż przy ścianie.

Nie płakała już, nie krzyczała; zdawało się, że nie śmie oddychać.

Thenardierowa, Eponina i Anzelma stały jak skamieniałe. Nawet pijący zamilkli. W całej karczmie zaległa uroczysta cisza. Thenardierowa, w niemym osłupieniu, snuła na nowo swe domysły. „Kimże jest ten stary? Czy to nędzarz? Czy milioner? A może i jedno, i drugie, to znaczy złodziej?”

Natwarzy małżonka Thenardier zarysował się ów wymowny grymas, który podkreśla wyraz twarzy ludzkiej, ilekroć przemożny instynkt objawia się z całą swoją zwierzęcą mocą. Oberżysta spoglądał to na lalkę, to na podróżnego, zdawał się węszyć tego człowieka, tak jakby węszył wór pieniędzy. Trwało to chwilę krótką jak błyskawica. Podszedł do żony i rzucił jej szeptem:

— Ta historia kosztuje co najmniej trzydzieści franków! Żadnych głupstw! Plackiem przed tym człowiekiem!

Natury ordynarne i natury naiwne to mają wspólnego, że nie znają stanów pośrednich i z jednej ostateczności gwałtownie przerzucają się w drugą.

— No i cóż, Kozeto? — odezwała się Thenardierowa głosem, który miał być słodki, ale w którym przebijała cierpka słodycz złej kobiety. — Dlaczego nie bierzesz swojej lalki?

Kozeta odważyła się wysunąć z kryjówki.

— Moja droga Kozeto — odezwał się czule Thenardier — ten pan dał ci lalkę. Weźże ją. Jest twoja!

Kozeta patrzyła na cudowną lalkę z pewnym przerażeniem. Twarzyczka jej mokra jeszcze była od łez, ale oczy zaczęły rozjaśniać się przedziwną radością jak niebo o wschodzie słońca. To, co odczuwała w tej chwili, można by porównać do tego, co by uczuła, gdyby jej ktoś nagle powiedział: „Dziewczynko, jesteś królową Francji.

Miała wrażenie, że jeśli dotknie lalki, to wyskoczy z niej piorun. Co było do pewnego stopnia prawdą, gdyż była pewna, że Thenardierowa będzie ją łącać i

bić. Jednakże pokusa okazała się zbyt silna. Kozeta zbliżyła się i zwracając się do Thenardierowej szepnęła nieśmiało:

— Czy mogę, proszę pani? Żadne słowa nie oddadzą brzmienia jej głosu, w którym była i rozpacz, i strach, i zachwyty.

— A pewno! — odrzekła Thenardierowa. — Jak ten pan ci ją dał, to jest twoja.

— Naprawdę? — zapytała na nowo Kozeta. — Naprawdę, proszę pana? Naprawdę ta „piękna pani” jest moja?

Nieznajomy miał oczy pełne łez. Wydawało się, iż jest tak wzruszony, że nie mówi, by nie wybuchnąć płaczem. Skinął tylko głową i włożył rękę „pięknej pani” w małą rączkę Kozety.

Kozeta usunęła żywo rękę, jakby sparzyło ją dotknięcie „pięknej pani”, i wbiła oczy w ziemię. Musimy tu dodać, że wysunęła w tym momencie język na całą długość.

Nagle odwróciła się i pochwyciła lalkę z uniesieniem.

— Będzie miała na imię Katarzyna — zawołała.

Dziwna to była chwila, gdy łachmany Kozety zbliżyły się i przytuliły do wstążek i strojnych różowych muślinów lalki.

— Proszę pani — odezwała się znów Kozeta — czy mogę ją posadzić na krześle?

— Ależ tak, moje dziecko! — odpowiedział Thenardier.

Teraz Eponina i Anzelma patrzyły zazdrośnie na Kozetę. Umieściwszy Katarzynę na krześle, mała usiadła przed nią na ziemi i siedziała tak nieruchomo, bez słowa, w pełnym uwielbienia zapatrzeniu.

— Baw się, Kozeto — odezwał się nieznajomy.

— Oh, ja się bawię! — rzekło dziecko.

Tego nieznajomego, tego przybysza, którego chyba Opatrzność zesłała Kozecie, Thenardierowa nienawidziła w tej chwili tak jak nikogo na świecie. Jednakże musiała się opanować. I choć była przyzwyczajona do skrywania swych uczuć, usiłując naśladować w tym męża, doznawała teraz więcej wzruszeń, niż ich była w stanie znieść. Pospiesznie zapędziła do łóżka swoje córki, po czym zapytała „żółtego człowieka”, czy „łaskawie zezwoli”, by Kozeta również poszła spać, gdyż — jak dodała z macierzyńską troskliwością — jest dziś bardzo

„strudzona”. Kozeta poszła spać, unosząc w objęciach Katarzynę.

Thenardierowa podchodziła od czasu do czasu do męża, który siedział w drugim końcu izby, by — jak mówiła — „ulżyć sobie na sercu.” Wymieniła z nim kilka słów z gwałtowną wściekłością, tym gwałtowniejszą, że musiała być tłumiona.

— Stary dureń, co on knuje? Przyjechał tu i spokoju nam nie daje! Zachciewa mu się, żeby się to brzydactwo bawiło! Lalki znosi! Lalki warte czterdzieści franków daje szczeniakowi, którego chętnie odstąpiłabym za czterdzieści su. Niewiele brakuje, a będzie do niej mówił: „Wasza Wysokość”, jak do księżnej de Berry. Czy to nie głupota? Całkiem chyba oszalał ten tajemniczy dziad.

— Dlaczego? — odparł Thenardier. — To przecie zupełnie proste. Widać go to cieszy. Ciebie cieszy, jak ona pracuje, a jego cieszy, jak ona się bawi. Wolno mu, no nie? Podróżny może robić, co mu się podoba, byle płacił. Jeśli ten stary jest filantropem, co ci to szkodzi? Jeśli jest głupcem, też nie twoja sprawa. Ma pieniądze — więc po co się do tego wtrącasz?

Była to mowa władcy, a rozumowanie oberżysty i ani jeden, ani drugi nie znosił sprzeciwu.

Podróżny oparł łokcie na stole i znów pogrążył się w zadumie. Inni podróżni, kupcy i woźnice, usunęli się nieco i zaniechali swych śpiewów, przyglądając mu się z daleka z pełną szacunku obawą. Ten człowiek, tak nędzne ubrany, któremu tak lekko wylatywały % kieszeni monety pięciofrankowe i który rozdawał olbrzymie lalki małym nędzarkom w sabotach, musiał być na pewno kimś wspaniałym i groźnym.

Upłynęło kilka godzin. Skończyła się pasterka, dawno minęła Wigilia, pijący odeszli, zamknięto karczmę, opustoszała dolna izba, wygasł ogień na kominie, a nieznajomy wciąż siedział bez ruchu na swoim miejscu. Od czasu do czasu zmieniał tylko rękę, na której wspierał głowę. To wszystko. Ale od chwili gdy Kozeta wyszła, nie wyrzekł ani słowa.

W izbie zostali tylko oboje Thenardierowie przez grzeczność i ciekawość.

— Czy on myśli całą noc tak przesiedzieć? — burczała Thenardierowa. Gdy wybiła druga, uznała się za pokonaną i oznajmiła mężowi: — Ja idę spać! Rób z nim, co chcesz.

Mąż zasiadł za stołem w rogu izby, zapalił świecę i zabrał się do czytania „Kurieru Francuskiego”.

W ten sposób minęła jedna godzina. Zacny oberżysta odczytał już co najmniej

trzy razy całą gazetę, począwszy od daty, a skończywszy na nazwisku wydawcy. Nieznajomy się nie ruszał.

Thenardier kręcił się, pokaszliwał, chrząkał, wycierał nos, szurał krzesłem. Człowiek ani drgnął. „Śpi czy £0?” zastanawiał się Thenardier. Człowiek nie spał, ale nic nie mogło go obudzić. Wreszcie Thenardier zdjął czapkę, zbliżył się cicho i zaryzykował pytanie:

— Czy nie zechce pan udać się na spoczynek? „Czy nie pójdzie pan spać” — wydawało mu się zbyt poufałe. „Udać się na spoczynek” — było pełne wytworności i poszanowania. Takie wyrażenia mają tajemniczą i cudowną właściwość powiększania rachunku nazajutrz. Pokój, w którym się „śpi”, kosztuje dwadzieścia su; pokój, w którym się „spoczywa”, kosztuje dwadzieścia franków.

— Racja! — rzekł nieznajomy — Gdzież jest pańska stajnia?

— Panie — odparł z uśmiechem Thenardier — pan pozwoli, że go zaprowadzę.

Wziął świecę, a podróżny swój kij i zawiniątko; Thenardier poprowadził go na pierwsze piętro, do pokoju urządzonego z niebywałym zbytkiem: meble mahoniowe z owalnym łóżkiem i czerwone perkalowe firanki.

— A to co takiego? — zapytał podróżny.

— To nasz małżeński pokój — odparł karczmarz. — Teraz sypiamy z małżonką gdzie indziej. Tutaj wchodzi się zaledwie trzy lub cztery razy do roku.

— Wolałbym stajnię — odparł z żywością podróżny. Thenardier udał, że nie dosłyszał tej niezbyt uprzejmej uwagi.

Zapalił dwie nowiutkie woskowe świece, stojące na kominku, w którym trzaskał wcale suty ogień.

Na kominku tym stał pod szklanym kloszem niewieści stroik na głowę, ze srebrnych nici i kwiatów pomarańczy.

— Co to takiego? — zapytał znów podróżny.

— To ślubny wianek mojej małżonki, panie — od- powiedział Thenardier.

Podróżny rzucił na ów „wianek” spojrzenie, które zdawało się mówić: więc ten potwór także był kiedyś dziewczicą!

Zresztą Thenardier kłamał. Gdy wydzierżawiał tę rudere, aby otworzyć

karczmę, zastał pokój ten już tak urządzony i kupił meble, kupił również owe kwiecie. pomarańczy, uważając, że rzuci to wdzięczne światło na „jego małżonkę” i przyda jego domowi „szacowności”, jak mówią Anglicy.

Kiedy podróżny odwrócił się, gospodarza nie było już w pokoju. Wysunął się dyskretnie, nie śmiąc życzyć dobrej nocy, bo nie chciał traktować z nadmierną poufałością człowieka, którego obiecywał sobie tego obskubać następnego ranka.

Karczmarz poszedł do swego pokoju. Żona jego leżała w łóżku, ale jeszcze nie spała. Usłyszawszy kroki męża, odwróciła się i powiedziała:

— Żebyś wiedział, że jutro wyrzucam za drzwi Kozetę!

— Ale ci spieszno! — odparł chłodno Thenardier. Nie rozmawiali już więcej i w parę chwil potem w ich pokoju świeca zgasła.

Tymczasem — po wyjściu gospodarza — podróżny złożył w kącie kij i zawiniątko, usiadł w fotelu i dumał przez jakiś czas. Potem zdjął buty, wziął do ręki jedną ze świec, zdmuchnął drugą, pchnął drzwi i wyszedł z pokoju, rozglądając się, jakby czegoś szukał. Przeszedł korytarz i dotarł do schodów. Tu usłyszał łagodny szmer, podobny do oddechu dziecka. Poszedł za nim i znalazł się wkrótce przed czymś w rodzaju trójkątnego wgłębienia, zbudowanego, a raczej utworzonego przez schody. Tu wśród połamanych koszów i starych skorup, wśród kurzu i pajęczyn, znajdowało się łóżko, jeśli można nazwać łóżkiem siennik tak podarty, że słomę widać przez dziury, i kołdrę tak podartą, że przeświecał przez nią siennik. Prześcieradła ani skrawka. Wszystko to leżało wprost na kamiennej podłodze. Na takim łóżku spała Kozeta.

Podróżny zbliżył się i przyglądał się jej przez chwilę.

Kozeta spała głębokim snem. Była ubrana, gdyż w zimie, aby mniej marznąć, nie zdejmowała na noc sukieneczyny.

W ramionkach tuliła lalkę, której wielkie, szeroko otwarte oczy błyszczały w ciemności. Od czasu do czasu dziewczynka wzdychała głęboko, jakby już miała się za chwilę obudzić, i konwulsyjnie ścisnęła lalkę. Przy łóżku stał tylko jeden drewniany chodak.

Obok barłogu Kozety rozwierały się drzwi na spory, ciemny pokój. Nieznajomy wszedł do niego. W głębi, poprzez oszklone drzwi, widać było dwa jednakowe bielutkie łóżka. Tam spały Eponina i Anzelma. Za nimi stała, zakryta do połowy, wiklinowa kołyska bez zastonek; leżał w niej mały chłopczyk, ten sam, który płakał przez całą wieczór.



Nieznajomy domyślił się, że pokój *ten* sąsiadował z pokojem małżonków Thenardier. Zamierzał już się cofnąć, gdy wzrok jego padł na kominek, duży kominek, jaki zwykło się spotykać w oberżach, na którym pali się zawsze taki skąpy ogień — jeśli się w ogóle pali, i który jest taki dziwnie zimny dla oka. W tym kominku nie było ani ognia, ani nawet popiołu. To, co w nim zobaczył, przyciągnęło wszakże uwagę podróżnego — były to dwa zgrabne trzewiczki dziecięce różnej wielkości. Przypomniało mu to odwieczny i uroczy zwyczaj dzieci, ustawiania w dniu Bożego Narodzenia trzewiczków w kominku, by w ciemnościach nocy dobra wróżka wsunęła do nich jakiś piękny podarunek. Eponina i Anzelma pamiętały o nim i każda z nich ustawiła swój trzewiczek w kominku.

Podróżny schylił się.

Wróżka — to znaczy matka — już je odwiedziła, w każdym trzewiczku błyszczał nowiutki pieniążek — dziesięć

Nieznajomy wyprostował się i zamierzał odejść, gdy nagle dostrzegł coś w najciemniejszym kącie kominka. Przyjrząwszy się, poznał, że to drewniany chodak, szkaradny chodak ordynarnej roboty, nadłamany, pokryty popiołem i zaschniętym błotem. Był to chodak Kozety. Mała, ze wzruszającą dziecięcą ufnością, która choć zwodzona, nie zraza się nigdy, ustawiła go również w kominku.

Wzniosta i rzewna jest nadzieja dziecka, które nie zaznało w życiu niczego innego poza beznadzieją.

W chodaku nie było nic.

Nieznajomy włożył rękę do kieszeni, schylił się i wsunął w chodak Kozety lśniącego luidora.

Po czym, skradając się po cichu, wrócił do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ IX

### THENARDIER BIERZE SIĘ DO DZIEŁA

Nazajutrz raniem, co najmniej na dwie godziny przed świtem, Thenardier siedział za stołem przy zapalanej świecy w dolnej izbie karczmy i z piórem w ręku układał rachunek dla podróżnego w żółtym surducie.

Obok stała żona i pochylona nad nim śledziła wzrokiem jego pracę. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Było to, z jednej strony, głębokie rozmyślanie, z drugiej — ów wzniosły podziw, z jakim się ogląda powstawanie i rozkwit arcydzieła umysłu ludzkiego. Z głębi domu dobiegały jakieś hałasy: to Skowronek zamiatał schody.

Po dobrym kwadransie pracy i kilku poprawkach Thenardier spłodził następujące arcydzieło:

Rachunek dla pana spod numeru 1

wieczerza.....fr. 3

pokój .....fr. 10

świeca.....fr. 5

ogień .....fr. 4

usługa.....fr. 1

Razem fr..... 23

Usługa napisano „usługa”.

— Dwadzieścia trzy franki! — zawołała kobieta z zachwytem, nie pozbawionym lekkiego powątpiewania.

Jak wszyscy wielcy artyści, Thenardier nie był zadowolony ze swego dzieła.

— Phi! — rzucił tonem Castlereagha, układającego na kongresie wiedeńskim rachunek dla Francji.

— Masz rację, panie Thenardier! Należy się nam to od niego — mruknęła żona, mając na myśli lalkę ofiarowaną Kozecie w obecności jej córek — To sprawiedliwie, ale za dużo. Nie zechce zapłacić.

Thenardier roześmiał się swym zimnym śmiechem i powiedział:

— Zapłaci.

Śmiech ten wyrażał niezachwianą pewność siebie i poczucie siły. Słowa wypowiedziane takim tonem, musiały się niezawodnie ziścić. Kobieta nie upierała się. Zaczęła ustawiać stoły, on zaś chodził tam i z powrotem po izbie. Po chwili odezwał się:

— Mam tysiąc pięćset franków długów! Usiadł przed kominkiem i grzejąc nogi w ciepłym

popiele, zamyślił się głęboko.

— Słuchaj no — rzekła żona — nie zapomniałeś chyba, że dzisiaj wypędzam Kozetę na cztery wiatry? Wstrętna dziewczucha! Jak pomyślę o tej lalce, to żółć mnie zalewa. Prędzej bym wyszła za mąż za Ludwika XVIII, niż trzymała tę dziewczynę jeszcze jeden dzień u siebie.

Thenardier zapalił fajkę i rzekł między jednym pyknięciem a drugim:

— Oddasz mu ten rachunek.

Po czym wyszedł. Zaledwie zdążył przekroczyć próg, do izby wszedł podróżny.

Thenardier cofnął się i stanął nieruchomo w uchy lonych drzwiach, tak że widziała go jedynie żona.

„Żółty człowiek” miał w ręku swój kij i zawiniątko.

— Tak wczesnie pan wstał? — odezwała się Thenardierowa. — Czyżby pan miał już nas opuścić?

Mówiąc to, z zakłopotaniem obracała rachunek i miętosiła go w palcach. Jej brutalna twarz wyrażała w tej chwili niezwykle dla niej uczucia — nieśmiałość i wahanie.

Niezręcznie jej było przedstawić taki rachunek człowiekowi, który wyglądał na nędzarza.

Podróżny, pochłonięty czym innym, odparł z roztargnieniem:

— Tak, pani. Odchodzę.

— To pan nie miał żadnych spraw do załatwienia w Montfermeil? — ciągnęła dalej.

— Nie. Przechodzę tędy, nic więcej. Ile jestem winien? — dodał.

Thenardierowa bez słowa wręczyła mu złożony rachunek; podróżny rozwinął go, spojrzął, ale wyraźnie myślami był gdzie indziej.

— Czy interesy w Montfermeil dobrze wam idą? — zapytał.

— Tak sobie, proszę pana — odparła Thenardierowa, zdumiona taką reakcją.

Po czym zaczęła utyskiwać płaczliwym, lamentującym głosem:

— Ach, panie, czasy są bardzo ciężkie! A przy tym mało jest zamożnych ludzi w naszej okolicy. Pan widzi, że to zapadły kąt. Nie wiem, co by było, gdyby nam się nie trafiali czasem podróżni tak hojni i bogaci jak wielmożny pan! Mamy tyle wydatków. Chociażby ta mała, kosztuje nas, Bóg wie ile.

— Jaka mała?

— No ta, Kozeta, pan wie, Skowronek, jak ją tu ludzie nazywają.

— A! — rzekł podróżny.

Thenardierowa ciągnęła:

— Głupi są ci wieśniacy ze swoimi przezwiskami! Ona jest bardziej podobna do nietoperza niż do skowronka. Tak, proszę pana, my nie chcemy od nikogo jałmużny, ale sami też nie możemy jej dawać. Dochodów żadnych, a wydatków wiele: i patent trzeba wykupić, i podatki, i opłata od okien i drzwi, i dodatki do podatków! Wiadomo, że państwu trzeba płacić masę pieniędzy. A ja mam przecie córki. Nie potrzebuję żywić cudzego dziecka.

Mężczyzna odezwał się lekko drżącym głosem, któremu usiłował nadać obojętne brzmienie:

— A gdyby wam zdjęto ten kłopot z głowy?

— Zdjęto ten kłopot? To znaczy zabrano Kozetę?

— Tak.

Czerwona, zła twarz Thenardierowej zajaśniała ohydną uciechą.

— Ach, panie! Mój złoty panie! A bierzże ją sobie! Weź ją, gdzie chcesz! Zawieź, gdzie chcesz! Pocukruj ją, polukruj, ozłoc, zabierz, i niech cię błogosławi Najświętsza Panna i wszyscy święci niebiescy!

— To już postanowione.

— Naprawdę? Pan ją zabiera?

— Zabieram.

— Zaraz?

— Zaraz. Proszę zawołać dziecko.

— Kozeto! — wykrzyknęła Thenardierowa.

— A tymczasem — ciągnął dalej podróżny — chciałbym zapłacić rachunek. Ile to wynosi?

Rzucił okiem na rachunek i nie mógł powściągnąć odruchu zdumienia:

— Dwadzieścia trzy franki! Spojrzawszy na karczmarę, powtórzył:

— Dwadzieścia trzy franki?

W tonie, jakim zostały wymówione te dwa zdania, zawierała się różnica, która dzieli wykrzyknik od znaku zapytania.

Thenardierowa miała czas przygotować się, aby odparować uderzenie. Odparła z pewnością siebie:

— Ano tak, panie, dwadzieścia trzy franki. Nieznajomy położył na stole pięć monet pięciofrankowych.

— A teraz proszę iść po małą — rzekł.

W tym momencie Thenardier wystąpił na środek izby.

— Pan płaci dwadzieścia sześć su — rzekł.

— Dwadzieścia sześć su! — krzyknęła kobieta.

— Dwadzieścia su za pokój, a sześć za wieczerzę — wyjaśnił chłodno Thenardier. — Co zaś do małej, to muszę trochę z panem porozmawiać. Zostaw nas samych, żono.

Thenardierowa doznała olśnienia, jakie wywołuje nieprzewidziany błysk geniuszu. Zmiarkowała, że na scenę wkroczył wielki aktor, i wyszła bez słowa.

Jak tylko zostali sami, Thenardier podsunął podróżnemu krzesło. Podróżny

usiadł; Thenardier stanął przed nim, a twarz jego przybrała szczególny wyraz dobroduszości i prostoty.

— Muszę panu coś powiedzieć — zaczął. — Ubóstwiam to dziecko!

Nieznajomy spojrzał na niego uważnie.

— Jakie dziecko?

Thenardier mówił dalej:

— Jakie to dziwne, człowiek się przywiązuje! Co mi te wszystkie pieniądze. Proszę zabrać z powrotem swoje pięciofrankówki. Ja to dziecko ubóstwiam.

— Kogóż to? — zapytał nieznajomy.

— Naszą małą Kozetę! Przecież to ją chce pan zabrać ze sobą. Otóż, mówiąc otwarcie, to prawda, jak to, że z pana jest człowiek uczciwy, ja na to nie mogę się zgodzić. Brakowałoby mi tego dziecka. Znam ją od maleńkości. Prawda, że kosztuje nas sporo grosza, prawda, że ma swoje przywary, prawda, że nie jesteśmy bogaci, prawda, że wydałem na lekarstwa podczas jednej jej choroby przeszło czterysta franków! Ale dla Pana Boga też coś trzeba zrobić. Nie ma to ani ojca, ani matki, ja ją wychowałem. Jest na chleb dla mnie, znajdzie się i dla niej. Naprawdę przywiązany jestem do tego dziecka! Pan rozumie, polubi się kogoś i już; dobra ze mnie dusza; nie mędrkuję; kocham tę małą. Moja żona jest trochę prędką, ale i ona ją kocha. To prawie jak nasze rodzone. Niechże mi to szczebioce w domu.

Podróżny nie spuszczał z Thenardiera uważnego spojrzenia; ten ciągnął:

— Przepraszam, panie, pięknie przepraszam, ale nie oddaje się tak lekko swego dziecka nieznajomej osobie. Mam rację, no nie? Z tym wszystkim, nie przeczę — pan jest bogaty, pan wygląda na bardzo zacnego człowieka, może by to i było szczęście dla niej, ale chciałbym coś wiedzieć. Pan mnie rozumie?

Przypuśćmy, że zrobię to poświęcenie, że pozwolę jej pójść z panem; chciałbym wiedzieć, gdzie idzie, nierad byłbym tracić ją z oczu, chciałbym wiedzieć, u kogo przebywa, żeby odwiedzić ją od czasu do czasu, żeby ona wiedziała, że pocziwy przybrany ojciec pamięta o niej i czuwa nad nią. Jednym słowem, jest to rzecz zupełnie niemożliwa. Nie znam nawet pańskiego nazwiska. Pan by ją wziął, a ja bym sobie mówił: „No dobrze, a nasz Skowronek? Gdzie się teraz obraca?” Chciałbym rzucić okiem na jaki dokumencik, paszporcik pański, ot, co!

Podróżny nie spuszczał zeń wzroku, który — żeby tak rzec — przenikał aż do dna sumienia, odpowiedział tonem poważnym i stanowczym:

— Panie Thenardier, nie bierze się paszportu wyjeżdżając pięć mil za Paryż. Jeśli wezmę ze sobą Kozetę, to wezmę ją — i na tym koniec. Pan nie dowie się, ani kim jestem, ani gdzie mieszkam, nie dowie się pan, gdzie mała będzie się obracać, i życzę sobie, by ona nigdy w życiu nie widziała już pana na oczy. Zrywam pęta, które ją więżą, i mała odchodzi. Godzi się pan? Tak czy nie?

Podobnie jak demony lub geniusze po pewnych, znakach poznawały obecność wyższego od nich boga, tak Thenardier zrozumiał, że ma sprawę z kimś bardzo silnym. W krótkim błysku intuicji pojął to od razu ze swoją bystrością jasną a przenikliwą. Już poprzedniego wieczoru, pijąc z woźnicami, paląc i wyśpiewując sprośne piosenki, przez cały czas obserwował uważnie nieznanego, czyhając na każde jego poruszenie jak kot i analizując go jak matematyk. Śledził go dla własnej przyjemności, ulegając wrodzonemu instynktowi, i szpiegował tak, jakby mu za to płacono. Żaden gest, żadne drgnienie człowieka w żółtym surducie nie uszło jego uwagi. Zanim jeszcze nieznanomy objawił w sposób wyraźny swoje zainteresowanie Kozetą, Thenardier już je odgadł. Podchwycił głębokie spojrzenie tego starca wciąż wracające ku dziecku. Skąd to zainteresowanie? Kim był ten człowiek? Dlaczego ten nędzny strój, skoro ma kieszenie pełne pieniędzy? Stawiał sobie te pytania i nie znajdował na nie odpowiedzi. To go irytowało. Rozmyślał nad tym przez całą noc. Człowiek ten nie mógł być ojcem Kozety. Może był jej dziadkiem? Ale — jeśli tak — czemu tego od razu nie wyjawiał? Jeśli ktoś jest w swoim prawie, śmiało się na nie powołuje. Jasne zatem, że ten człowiek nie miał żadnych praw do Kozety. Kim więc był? Thenardier gubił się w przypuszczeniach. Domyślał się wszystkiego, nie wiedział nic. Jakkolwiek było, zaczynając rozmowę z podróżnym, czuł przewagę, bo miał pewność, że kryje się w tym tajemnica i że nieznanemu zależało na pozostawaniu w cieniu. Gdy jednak tamten odpowiedział mu jasno i stanowczo, gdy zobaczył, że tajemnicza osobistość jest tajemniczą w sposób tak prosty — poczuł się słaby. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Zbiło go to z tropu. Zebrał myśli i w jednej sekundzie zważył wszystko. Thenardier należał do ludzi, którzy jednym rzutem oka oceniają sytuację. Osądził, że w tej chwili należy szybko iść wprost do celu. Jak wielcy wodzowie w momencie decydującym — im tylko znanym — odłonił nagle swoje karty.

— Panie — rzekł — potrzeba mi tysiąc pięćset franków.

Nieznanomy wyciągnął z kieszeni stary pugilares z czarnej skóry, otworzył go i wyjął trzy banknoty. Położył je na stole, przycisnął wielkim palcem i powiedział do karczmarza:

— Proszę iść po Kozetę.

A co w tym czasie robiła Kozeta? Zbudziwszy się, pobiegła po swój chodak. Znalazła w nim złotą monetę. Nie był to Napoleon, ale jedna z tych nowych



dwudziestofrankówek Restauracji, na których pruski harcap zastąpił wieniec laurowy.

Kozetę ogarnął zachwyty! Jej los zaczynał ją oszałamiać. Nie zdawała sobie sprawy, co to jest złota moneta, nigdy takiej monety nie widziała, ukryła ją szybko w kieszeni fartuszka, tak jakby ją była ukradła. Jednakże czuła, że to jej własność, i domyślała się, od kogo dar pochodzi, ale z radością łączył się lęk. Była uszczęśliwiona, ale nade wszystko zdumiona. Te piękne, wspaniałe rzeczy wydawały jej się nierzeczywiste. Przerażała ją lalka, przerażał złoty pieniążek. Wspaniałości te wywoływały w niej jakieś nieokreślone drżenie. Jedynie nieznajomy nie budził w niej lęku. Przeciwnie — napawał ją otuchą. Od wczorajszego dnia, wśród zadziwiających zdarzeń wieczornych, nawet we śnie, jej dziecinnej główki nie opuszczała myśl

o tym człowieku, który wydawał się stary, biedny i tak smutny, a który był tak bogaty i tak dobry. Od spotkania w lesie wszystko jakby zmieniło się dla niej. Kozeta, mniej szczęśliwa niż najdrobniejsza niebieska ptaszyna, nie zaznała nigdy, co to przytulić się do matki

i schronić pod jej skrzydło. Od pięciu lat, to znaczy odkąd mogła sięgnąć pamięcią, wciąż tylko drżała i dygotała z zimna. Biedne dziecko było zawsze nagie pod ostrymi podmuchami niedoli; teraz Kozeta miała wrażenie, że jest ciepło okryta. Dawniej dusza jej była jakby skostniała z zimna, teraz było jej ciepło. Nawet Thenardierowej nie bała się tak bardzo. Nie była sama; ktoś był przy niej.

Spiesznie zabrała się do codziennej pracy. Złoty pieniążek, schowany w tej samej kieszonce, z której wczoraj wypadło piętnaście su, ciągle zaprzętał jej myśl. Nie śmiała go dotykać, ale co jakiś czas po parę minut wpatrywała się w niego i — musimy to powiedzieć — znowu wyciągnęła język. Zamiatając schody zatrzymywała się i stawała zapominając o miotle, zapominając o świecie całym, wpatrzona w gwiazdę błyszczącą w kieszeni fartuszka.

Na takiej właśnie chwili niemej kontemplacji zastała ją Thenardierowa.

Na polecenie męża poszła po Kozetę i — rzecz niebywała — nie dała jej kuksańca ani nie obsypała wyzwiskami, lecz rzekła prawie łagodnie:

— Kozeto, chodź no tu prędko.

Po chwili Kozeta weszła do izby.

Nieznajomy sięgnął po zawiniątko, które przyniósł ze sobą, i rozwinął je. Była tam wełniana sukienka, fartuszek, barchanowy kaftanik, halka, chustka, wełniane pończochy, trzewiki — kompletny strój dla ośmioletniej dziewczynki.

Ubranie było czarne.

— Moje dziecko — rzekł — weź to i ubierz się prędiutko.

Świtało, gdy mieszkańcy Montfermeil, którzy zaczęli otwierać drzwi swoich domów, zobaczyli idącego ulicą Paryską, ubogo ubranego człowieka, który prowadził za rączkę małą dziewczynkę w żałobie. Dziewczynka niosła wielką, różowo ubraną lalkę. Szli w kierunku Livry. Był to nasz podróżny i Kozeta.

Podróżnego nikt nie znał, Kozety nikt prawie nie poznał, bo nie była już w łachmanach.

Kozeta odchodziła. Z kim? Nie wiedziała. Dokąd? Nie wiedziała. Rozumiała jedynie, że zostawia za sobą karczmę Thenardierów. Nikomu nie przyszło do głowy, aby ją pożegnać, i ona nie pożegnała się z nikim. Opuszczała ten dom znienawidzona i z nienawiścią w sercu.

Biedna, łagodna istota, której serce było dotąd tylko przytłaczane cierpieniem.

Kroczyła z powagą, otwierając szeroko wielkie oczy i wpatrując się w niebo. Złoty pieniądz, wsunęła do kieszeni nowego fartuszka. Od czasu do czasu pochylała główkę, by spojrzeć na niego, potem podnosiła wzrok na idącego obok niej człowieka. Czuła się tak, jakby była w pobliżu Boga.

## ROZDZIAŁ X

### LEPSZE JEST WROGIEM DOBREGO

Zgodnie ze swym zwyczajem Thenardierowa nie wtrącała się do poczyznań swego męża. Spodziewała się ważnych wydarzeń. Kiedy podróżny odszedł z Kozeta, Thenardier pozwolił, by upłynął dobry kwadrans, po czym odwołał żonę na bok i pokazał jej tysiąc pięćset franków.

— Tylko tyle? — powiedziała Thenardierowa.

Po raz pierwszy od czasu ich wspólnego pożycia ośmieliła się skrytykować postępek władcy. Cios był dobrze wymierzony.

— Rzeczywiście masz rację — przyznał Thenardier. — Dureń ze mnie. Dawaj kapelusz.

Złożył trzy banknoty, wepchnął je do kieszeni i co tchu wybiegł z domu, ale z początku pomylił się i skręcił na prawo. Sąsiedzi, których się pytał, naprowadzili go na właściwy ślad; widzieli, że nieznajomy i Skowronek poszli w stronę Livry. Ruszył wielkimi krokami we wskazanym kierunku, gadając do siebie:

— Ani chybi, ten człowiek — to milion w żółtym surducie. A ja jestem głupie bydlę. Przecież najpierw dał dwadzieścia su, potem pięć franków, potem pięćdziesiąt, potem tysiąc pięćset — wszystko tą samą ciepłą rączką. Dałby i piętnaście tysięcy. Ale ja go dogonię.

I ta z góry przygotowana paczka z ubraniem, dla małej. Wszystko to jest bardzo dziwne. Wiele tajemnic tu się kryje. Nie wypuszcza się tajemnicy, kiedy się ją schwyciło. Tajemnice bogaczy to gąbka nasiąknięta złotem; trzeba umieć ją wycisnąć. Wszystkie te myśli kłębiły mu się w głowie.

— Jestem głupie bydlę — powtarzał.

Gdy się opuści Montfermeil, to doszedłszy do zakrętu gościńca, wiodącego do Livry, widzi się przed sobą całą drogę biegnącą przez równinę. Doszedłszy do tego miejsca, Thenardier był pewien, że zobaczy podróżnego i dziewczynkę. Wyteżał wzrok, jak mógł, i nie zobaczył nic. Zaczął znów pytać przechodniów. A czas uciekał. Dowiedział się, że mężczyzna i dziecko, których szukał, skierowali się ku lasom w stronie Gagny. Spiesznie ruszył w tym kierunku.

Wyprzedzili go dość znacznie, ale dziecko idzie powoli, on zaś szedł bardzo szybko. A poza tym dobrze znał te strony.

Nagle przystanął i uderzył się w czoło jakczłowiek, który zapomniał o najważniejszej rzeczy i gotów jest zawrócić z drogi.

— Powiniennem być wziąć strzelbę! — rzekł do siebie. Thenardier należał do owych natur dwulicowych, które czasem ocierają się o nas w życiu i znikają nierozpoznane, gdyż traf chciał, że widzieliśmy tylko jedno ich oblicze. Taki jest los wielu ludzi, że połową swej istoty jak gdyby grzęzną, w bagnie. W warunkach spokojnych i normalnych Thenardier miał wszelkie dane — nie powiemy, żeby być — ale żeby uchodzić za tego, kogo zwykło się nazywać uczciwym kupcem i zacnym mieszczuchem. Równocześnie, w pewnych okolicznościach, przy pewnych bodźcach, które wydobywały na jaw jego ukrytą naturę — mógł stać się skończonym łotrem. W tym sklepiarku było coś z potwora. Szatan musiał czasami siadać w jakimś kącie Chaty Thenardiera i podziwiać to arcydzieło ohydy.

— Nie — zdecydował karczmarz po chwili wahania. — Gotowi mi jeszcze umknąć przez ten czas!

I puścił się w dalszą drogę, niemal pewien, że dopnie swego, idąc szybko, z przebiegłością lisa, tropiącego stadko kuropatw.

Istotnie, gdy minął stawy, przeciął na ukos rozległą polanę, leżącą po prawej stronie gościńca do Bellevue, i doszedł do drogi porosłej murawą, która opasuje w krąg prawie całe wzgórze i biegnie po sklepieniu starego kanału opactwa Chelles, spostrzegł ponad krzakami kapelusz, na którym tyle budował nadziei. Był to kapelusz podróżnego. Krzaki były niskie. Thenardier zobaczył nieznanego i Kozetę siedzących na ziemi. Dziecko było tak małe, że krzewy je zasłaniały, ale widać było głowę lalki.

Thenardier nie pomylił się. Podróżny usiadł tam, by dać trochę odpocząć Kozecie. Karczmarz okrążył krzaki i ukazał się nagle oczom tych, których tak szukał.

— Przepraszam pięknie, panie — powiedział zadyszany mocno — oto pańskie tysiąc pięćset franków.

Mówiąc to wyciągnął do nieznanego rękę z trzema banknotami.

Podróżny podniósł na niego wzrok.

— Co to znaczy? Thenardier odparł z szacunkiem:

— To znaczy, łaskawy panie, że odbieram Kozetę.

Kozeta zadrżała i przytuliła się do starca, on zaś zajrzał głęboko w oczy

Thenardierowi i zapytał, osobno wymawiając każdą zgłoskę:

— Pan od-bie-ra Kozetę?

— Tak jest, odbieram ją. Zaraz panu wytłumaczę. Zastanowiłem się. Właściwie nie mam prawa panu jej oddawać. Widzi pan, jestem uczciwy. Ta mała nie należy do mnie; należy do swojej matki. Matka mi ją powierzyła i tylko matce mogę ją oddać. Pan mi na to odpowie, że jej matka nie żyje. Dobrze. W tym wypadku mogę oddać dziecko tylko osobie, która mi przyniesie pismo od matki, że jej właśnie mam dziecko oddać. To przecież jasne.

Bez słowa odpowiedzi nieznajomy sięgnął do kieszeni i Thenardier zobaczył znowu ów pugilares pełen banknotów.

Karczmarz zadrżał z uciechy. „Dobra nasza! — pomyślał. — Trzymajmy się. Chce mnie przekupić!”

Podróżny, nim otworzył pugilares, rzucił okiem dokoła. Znajdowali się w miejscu zupełnie odludnym. Żywej duszy nie było w lesie ani w dolinie. Otworzył pugilares i wyciągnął z niego nie garść banknotów, jak spodziewał się Thenardier, ale zwykły świstek papieru, który rozwinął i podał karczmarzowi, mówiąc:

— Ma pan racją. Proszę przeczytać. Thenardier wziął kartkę i przeczytał:

Montreuil-sur-mer, 25 marca 1823 Panie Thenardier,

Proszę dać Kozetę oddawcy tego listu. Wszystkie drobne długi zostaną zapłacone. Mam zaszczyt załączyć wyrazy szacunku

*Fantyna.*

— Czy poznaje pan ten podpis? — zapytał podróżny. Był to niewątpliwie podpis Fantyny. Thenardier go rozpoznał.

Nie znalazł odpowiedzi. Spotkał go zawód podwójny i bardzo bolesny; podwójny — bo nie tylko musiał zrezygnować z nadziei, że go podróżny będzie usiłował przekupić, ale musiał też uznać swoją porażkę.

— Może pan zachować ten papier jako dowód — dodał jeszcze nieznajomy.

Thenardier zaczął się wycofywać, nadrabiając miną:

— Podpis podrobiony jest całkiem dobrze — burknął pod nosem — ale niech tam!

Po czym zaryzykował jeszcze jedną rozpaczliwą próbę:

— Skoro pan jest upoważniony, no to zgoda. Ale trzeba zapłacić te „drobne długi”. A należy mi się niemało.

Nieznajomy wstał i rzekł, strzepując palcami jakiś pyłek z wytartego rękawa:

— Panie Thenardier, w styczniu matka obliczyła, że winna jest panu sto dwadzieścia franków; w lutym przysłał jej pan rachunek na pięćset franków; w końcu lutego dostał pan trzysta franków, w początkach marca jeszcze trzysta. Od tego czasu minęło dziewięć miesięcy. Licząc zgodnie z umową po piętnaście franków za miesiąc, wyniesie to sto trzydzieści pięć franków. Ponieważ poprzednio dostał pan o sto franków za dużo, więc pozostało do zapłacenia tylko trzydzieści pięć. Przed chwilą dostał pan ode mnie tysiąc pięćset franków.

Thenardier doznał uczucia, jakiego doznaje wilk w chwili, gdy chwycą go stalowe szczęki potrzasku. „To diabeł, nie człowiek” — pomyślał.

I jak wilk szarpnął się, aby wydobyć się z matni. Już raz bezczelnością osiągnął swój cel.

— Panie Nie-wiem-jak-cię-zwą — powiedział zuchwale, odrzucając tym razem na bok wszelkie ceregiele — albo mi dasz dziesięć tysięcy albo odbieram Kozetę.

Nieznajomy odrzekł spokojnie:

— Chodź, Kozeto.

Ujął w lewą rękę jej rączkę, prawą zaś podjął z ziemi swój kij.

Thenardier spostrzegł, że pałka była wielka, a miejsce bezludne.

Podróżny, prowadząc dziecko za rękę, zagłębił się w las, zostawiając nieruchomego i oniemiałego karczmarza. Gdy się tak oddalał, Thenardier patrzył na jego szerokie, nieco przygarbione barki i na potężne pięści.

Potem przeniósł wzrok na swoje wątłe ramiona i chude ręce.

— Doprawdy, trzeba być skończonym durniem, by wybrać się na polowanie bez strzelby! — rozmyślał.

Ale nie dawał za wygraną. „Muszę wiedzieć, dokąd on idzie” — rzekł w myśli.

I ruszył za nimi, trzymając się w pewnej odległości. Zostały mu w ręku dwie rzeczy: szyderstwo — świstek

papieru z podpisem „Fantyna”, i pociecha — tysiąc pięćset franków.

Nieznajomy prowadził Kozetę w kierunku Livry i Bondy. Szedł wolno, z głową zwieszoną, w postawie wyrażającej zadumę i smutek. Zima przerzedziła las, tak że Thenardier mógł iść za nimi w sporej odległości, nie tracąc ich z oczu. Od czasu do czasu nieznajomy odwracał się i patrzył, czy nie jest śledzony. Nagle dostrzegł Thenardiera i skręcił raptownie wraz z Kozetą w zagajnik, który zakrył ich oboje.

— Do diabła — zaklął Thenardier i przyspieszył kroku.

W zagajniku musiał się do nich zbliżyć. Znalazłszy się w samym gąszczu, nieznajomy odwrócił się. Thenardier usiłował ukryć się wśród gałęzi, ale nie udało mu się zostać niespostrzeżonym. Nieznajomy rzucił mu niespokojne spojrzenie, potrząsnął głową i ruszył dalej. Oberżysta posuwał się za nim. Uszli tak dwieście lub trzysta kroków. Nagle nieznajomy odwrócił się raz jeszcze. Dostrzegł oberżystę. Tym razem popatrzył na niego tak ponuro, że Thenardier uznał, iż „zbyteczne” byłoby iść dalej. Zawrócił.

## ROZDZIAŁ XI

### NUMER 9430 POJAWIA SIĘ ZNOWU I KOZETA WYGRYWA GO NA LOTERII

Jan Valjean nie umarł.

Wpadając, a raczej rzucając się do morza, był, jak to widzieliśmy, bez oków. Dopłynął pod *wodą* aż do okrętu stojącego na kotwicy, do którego przywiązana była szalupa. Zdołał ukryć się w niej do wieczora. Gdy noc zapadła, znów rzucił się do morza i dotarł wpław do brzegu, niedaleko przylądka Brun. Tam, ponieważ pieniędzy mu nie brakło, zdobył sobie ubranie. Pewnaspelunka w okolicy Balaguier dostarczała wówczas odzieży zbiegłym galernikom, co było nader zyskownym przedsięwzięciem. Po czym, jak wszyscy nieszczęśni zbiegowie, którzy chcą zmylić pogoń prawa i uciec od klątwy społecznej, Jan Valjean szedł krętymi i nieznanymi drogami. Pierwsze schronienie znalazł w Pra-deaux, niedaleko Beausset. Następnie udał się w kierunku Grand-Villard, obok Briancon, w Wysokich Alpach. Ucieczka po omacku, ucieczka niespokojna, krecia droga, której rozgałęzienia są nieznanne. Można było później odnaleźć niektóre jego ślady w Ain koło Civrieux, w Pirenejach, w Accons w miejscowości zwanej Grange-de-Doumecq, niedaleko wioski Cha-vailles, w okolicy Perigueux, w Brunies w kantonie Chappelle-Gonaguet. Dotarł do Paryża. Ostatnio widzieliśmy go w Montfermeil.

Pierwszą czynnością Jana Valjean w Paryżu było zakupienie żałobnego stroju dla siedmio- czy ośmioletniej dziewczynki, następnie znalezienie mieszkania. Załatwiwszy te sprawy, udał się do Montfermeil.

Jak czytelnik pamięta, już w czasie swej pierwszej ucieczki odbył tajemniczą wyprawę do Montfermeil albo w jego okolice, co nie ukryło się w zupełności przed władzami sądowymi. Zresztą uważano go za zmarłego i to zagęszczało ciemności dokoła jego osoby. W Paryżu wpadła mu w ręce gazeta, w której była wzmianka o tym fakcie; poczuł się bezpieczniejszy i prawie spokojny, jakby naprawdę umarł.

Wieczorem tego dnia, w którym wyswobodził Kozetę ze szponów Thenardierów, Jan Valjean wracał do Paryża. Wracał z dzieckiem o zmroku przez rogatkę Monceaux. Tam wsiadł do powozu, którym dojechał pod Obserwatorium. Tu wysiadł, zapłacił woźnicy, wziął Kozetę za rękę i oboje wśród ciemnej nocy skierowali się przez puste ulice obok 1'Cursine i La Glaciere w stronę bulwaru Szpitalnego.



Dla Kozety był to dzień niezwykle i pełen wrażeń; siedząc za żywopłotami jedli ser i chleb, kupione w karczmach stojących na odludziu; często zmieniali karetki, szli pieszo spory szmat drogi. Mała nie skarżyła się, ale była zmęczona. Jan Valjean zdał sobie z tego sprawę, gdyż idąc, coraz mocniej musiał ją ciągnąć za rękę. Wziął ją na plecy; nie wypuszczając z objęć Katarzyny, Kozeta złożyła głowę na ramieniu Jana Valjean i usnęła.

# KSIĘGA CZWARTA

## RUDERA GORBEAU

### ROZDZIAŁ I IMĆ GORBEAU

Samotny wędrowiec, który przed czterdziestu laty zapuszczał się w odległe okolice szpitala Salpetriere i dochodził bulwarem aż do roгатki Italie, znajdował się nagle w miejscu, gdzie — rzec by można — znikał Paryż. Nie było to pustkowie, gdyż kręcili się tu przechodnie; nie było to pole, gdyż były tu domy i ulice; nie było to miasto, bo ulice poryte były koleinami jak gościńce i porastały trawą; nie była to wioska, bo domy były zbyt wysokie. Cóż to zatem było? Miejsce zamieszkałe, a bezludne; miejsce bezludne, a przecież przez kogoś zamieszkałe; był to bulwar wielkiego miasta, ulica Paryża, niebezpieczniejsza w nocy niż las, we dnie bardziej posępna niż cmentarz.

Była to stara dzielnica Marche-aux-Chevaux.

Jeśli ów wędrowiec odważył się minąć grożące zawaleniem mury Marche-aux-Chevaux, jeśli zaryzykował zapuścić się nawet poza ulicę Petit-Banquier, zostawiając po prawej stronie ogródek otoczony wysokim murem, dalej łąkę, na której wznosiły się sterty dębника, podobne do żeremi bobrów-olbrzymów, dalej ogrodzony plac pełen drzewa do ciesiołki, stosów trocin, pni i wiórów, na których ujadało wielkie psisko, dalej długi, niski, wałący się mur, z czarną, ponurą bramką, porośły mchem, gdzie wiosną zakwitały kwiaty, i jeszcze dalej, stojący na zupełnym już pustkowiu, ohydny, obdrapany dom, na którym widniał wielki napis: „Naklejanie ogłoszeń wzbronione!”, to dochodził do rogu ulicy Vignes-Saint-Marcel — do granic mało znanej krainy. Tam niedaleko fabryki, między murami dwóch ogrodów, stała w owych czasach pewna rudera. Na pierwszy rzut oka wydawała się mała jak chatka, choć w rzeczywistości była wielka jak kościół. Tylko jeden swój bok ukazywała od ulicy, to znaczy szczyt: stąd złudzenie co do jej wielkości. Prawie cały dom pozostawał ukryty. Widać było tylko jedno okno i drzwi.

Rudera była jednopiętrowa.

Jeden szczegół tego budynku uderzał uważne spojrzenie: te drzwi mogły być tylko wejściem do spelunki, natomiast to okno, gdyby było wybite w ciosanym, a nie tłuczonym kamieniu, mogłoby być oknem pałacu.

Drzwi po prostu zbito ze spróchniałych desek, niedbale połączonych żerdziami, podobnymi do źle ociosanych bierwion. Otwierały się bezpośrednio na strone

schody, tej samej co one szerokości, o wysokich stopniach pokrytych błotem, wapnem i kurzem, które — jak to widać było z ulicy — pięły się w górę prostopadle jak drabina i znikwały w ciemnościach między ścianami. Niekształtny otwór, w którym mieściły się drzwi, zabity był od góry wąską deszczułą, z wyciętą na środku trójkątną dziurą, która, gdy drzwi były zamknięte, służyła za okienko i lufcik zarazem. Na wewnętrznej stronie drzwi dwoma pociągnięciami pędzla, umaczanego w atramencie, wypisano numer 52; na zewnątrz zaś, nad lufcikiem, ta sama ręka namazała numer 50, tak że nie wiedziałeś, gdzie się znajdujesz. Góra drzwi mówiła: „pod numerem 50”, wewnętrzna ich strona odpowiadała: „nie, pod 52”. Jakieś szmaty, szare jak kurz, zwieszały się nad trójkątnym okienkiem niby draperie.

Okno, szerokie i umieszczone dość wysoko, zaopatrzone było w żaluzje i ramy z dużymi kwadratami szyb; tylko że szyby te miały rozliczne rany, które zakrywał i jednocześnie zdradzał pasek papieru, przemysłnie na nie naklejony; żaluzje zaś, rozlatujące się i poodrywane, stanowiły raczej niebezpieczeństwo dla przechodniów niż osłonę dla mieszkańców. Brakowało w nich tu i ówdzie poprzecznych deszczułek, a brak ten prostodusznie zastąpiono pionowo przybitymi deskami, tak że żaluzja zamieniała się w okiennicę.

Te drzwi, tak plugawe, i to okno, tak szacowne, choć zniszczone, umieszczone w ścianie tego samego domu, sprawiały wrażenie niedobranej pary żebraków, chodzących zawsze razem, ramię przy ramieniu, i różniących się wyglądem mimo identycznych łachmanów na grzbiecie, gdyż jeden z nich był zawsze nędzarzem, drugi zaś był niegdyś panem.

Schody wiodły do głównej części budynku, bardzo obszernej i przypominającej szopę przerobioną na dom mieszkalny. Wewnętrzny kanał tego budynku stanowił długi korytarz; po prawej i lewej jego stronie były pomieszczenia różnej wielkości, nadające się ostatecznie do zamieszkania i podobne raczej do budek niż do izb. Okna ich wychodziły na pola nieuprawne. Wszystkie izby były ciemne, niemłe, bezbarwne, smętne, grobowe; jeśli miały szpary w dachu — przenikało do nich zimne światło, jeśli zaś we drzwiach — hulały po nich lodowate przeciągi: Osobliwością ciekawą i malowniczą mieszkań tego rodzaju jest niezliczona ilość pajaków.

Po lewej stronie drzwi wejściowych, od strony bulwaru, na wysokości wzrostu człowieka, zamurowane okienko tworzyło kwadratową niszę pełną kamieni, wrzucanych przez dzieci.

Niedawno dom. ten został częściowo rozebrany. To, co z niego zostało, wystarcza jeszcze, aby sobie wy-obrazić, czym był niegdyś. Całość ma nie więcej niż sto lat. Sto lat to dla kościoła młodość; dla domu mieszkalnego — starość. Wydaje się, że mieszkanie człowieka dzieli z nim krótko trwałość jego

życia, mieszkanie Boga — Jego wieczność.

Listonosze nazywali tę rudere „numer 50—52”; ale w całej dzielnicy znano ją jako dom Gorbeau. Powiedzmy, skąd pochodziła ta nazwa.

Zbieracze różnych historyjek, którzy z anegdot układają zielniki i przyszpilają do swej pamięci ulotne daty, wiedzą, iż w ubiegłym stuleciu, około 1770, było w Paryżu dwóch prokuratorów w Chatelet, jeden z nich zwał się Corbeau, czyli Kruk, drugi zaś — Renard, czyli Lis. Dwa nazwiska przewidziane przez La Fontaine'a, Dla palestry doskonała okazja do ostrzenia języków. Toteż niebawem zaczęła krążyć po kuluarach sądowych nieco kulawa parodia bajki La Fontaine'a:

Imć pan Kruk, nad aktami schylony, Nakaz zajęcia trzymał w swoim dziobie;  
Imć pan Lis zapachem zwabiony Rzekł do niego w takim to sposobie: „A, witajże!” ... itd.

Dwaj zacni urzędnicy, zmęczeni kpinkami i urażeni w swej godności śmiechami, które wybuchwały za każdym ich krokiem, postanowili uwolnić się od swych nazwisk i zwrócili się z tym do króla. Prośba ich została przedstawiona Ludwikowi XV w dniu, w którym nuncjusz papieski i kardynał de la Roche-Aymon, klęcząc nabożnie, wkładali w obecności jego królewskiej mości pantofle na bosc stopy pani du Barry, wstającej z łóżka. Król śmiał sięnie przestając się śmiać, przeszedł wesoło od dwóch biskupów do dwóch prokuratorów i darował albo prawie darował jurystom ich nazwiska. Tak więc na mocy zezwolenia królewskiego imć pan Corbeau mógł dodać do pierwszej litery swego nazwiska dłuższy ogonek i zwać się Gorbeau; imć panu Renard mniej się poszczęściło, gdyż otrzymał pozwolenie dodania P przed R i zwać się Prenard; tak że drugie nazwisko było równie mało zmienione jak pierwsze.

Otóż, według tradycji miejscowej, do tego właśnie pana Gorbeau należał dom oznaczony numerem 50—52 przy bulwarze Szpitalnym. Pan Gorbeau był nawet twórcą owego wspaniałego okna. Stąd rudera nosiła nazwę domu Gorbeau.

Naprzeciw domu nr 50—52, między drzewami bulwaru, stoi olbrzymi wiąz, prawie zupełnie uschnięty; na wprost biegnie, w kierunku roгатki Gobelins, ulica, wówczas nie zabudowana, nie brukowana, obsadzona krzywymi drzewami, zarosła trawą lub rozmiękła od błota — zależnie od pory roku — która dochodziła do murów opasujących Paryż. Z dachów pobliskiej fabryki wydobywały się zapachy siarki.

Do roгатki było stąd całkiem niedaleko. W roku 1823 mury Paryża jeszcze istniały.

Rogatka ta przywodzi na myśl ponure obrazy. Tędy szła droga do Bicetre. Przez tę to właśnie roгатkę za Cesarstwa i Restauracji wracali do Paryża skazańcy w dniu swego stracenia. Tutaj około roku 1829 popełniono tajemnicze morderstwo, zwane „zbrodnią przy roгатce Fontainebleau”, sądy nie znalazły sprawców, ponura tajemnica została niewyjaśniona, straszna zagadka nierozwiązana. Parę kroków dalej znajdziecie się na owej tragicznej ulicy Croulebarbe, gdzie — przy huku piorunu, jak w melodramacie — Ulbach zasztyletował pastuszkę z Ivry. Jeszcze parę kroków, a dojdziecie do ohydnych więzów o świętych wierzchołkach przy roгатce Św. Jakuba, tego wybiegu filantropów, ukrywających gilotynę, tego małodusznego, haniebnego placu Greve, stworzonego przez społeczność sklepikarzy i mieszczuchów, która uleżała się kary śmierci, ale nie śmiała jej ani wielkodusznie skasować, ani władczo utrzymać.

Pomijając plac Świętego Jakuba, jakby predestynowany na miejsce kaźni i zawsze straszny, najsmutniejszym zakątkiem na całym tym smutnym bulwarze było, trzydzieści siedem lat temu, miejsce po dziś dzień mało pociągające, gdzie znajdował się dom nr 50—52.

Domy miejskie zaczęły wyrastać tu dopiero w dwadzieścia pięć lat później. Smutny to był zakątek. Do ponurych myśli, które ogarniały przechodnia, dołączała się świadomość, że znajduje się między Salpetriere, której kopułę widać było stąd, a Bicetre, do którego prowadziła tędy droga, czyli między szaleństwem kobiety a szaleństwem mężczyzny. Jak tylko sięgnąć wzrokiem, ciągnęły się tu rzeźnie, mury miejskie i gdzieniegdzie — ściany fabryk, podobne do koszar lub klasztorów; wszędzie baraki i gruzy; stare mury, czarne jak żałobne katafalki, nowe mury, białe jak całuny; wszędzie równoległe rzędy drzew, wszędzie równe rzędy domów, płaskie budowle, linie długie, jednostajne, ponury smutek kątów prostych. Żadnej nierówności gruntu, żadnej niespodzianki w architekturze, żadnego załamania. Całość zimna, regularna, wstrętna. Nic nie napełnia serca takim smutkiem jak symetria. Symetria bowiem to nuda; nuda zaś to dno smutku. Rozpacz ziewa. Można sobie wyobrazić rzecz jeszcze straszniejszą niż piekło, w którym cierpi się męki — piekło nudy. Gdyby piekło takie istniało, ten odcinek bulwaru Szpitalnego mógłby być ulicą w owym piekle. O zmierzchu, gdy znika ostatnie światło dnia, zwłaszcza zimą, gdy wiew wieczorny strąca z więzów ostatnie, rude liście, gdy zalega ciemność gęsta i bez-gwiezdna lub gdy księżyc i wiatr rozdierają obłoki, bulwar ten stawał się nagle straszny. Proste linie zagłębiały się i gubiły w ciemnościach, jakby same były częścią nieskończoności. Przechodzień nie mógł opędzić się myśli o szubienicznej tradycji tego miejsca. Pustka tej okolicy, gdzie popełniono tyle zbrodni, miała w sobie coś straszliwego. W ciemnościach przeczuwałaś zasadzki, wszystkie nieokreślone kształty mroku wydawały się podejrzane i długie prostokątne doły między

drzewami wyglądały jak groby. We dnie było to miejsce brzydkie; wieczorem — ponure; w nocy — złowieszcze.

W lecie, o zmierzchu, pod wiązami siadywały stare kobiety na ławeczkach zbutwiałych od deszczu. Starowiny te chętnie wyciągały rękę po jałmużnę.

Od owych czasów jednak dzielnica ta, raczej przestarzała niż stara, zaczęła się zmieniać. Kto chciał ją zobaczyć, musiał się spieszyć. Co dzień jakiś szczegół znikał z tej całości. Dzisiaj od dwudziestu lat dworzec kolei orleańskiej stoi obok starego przedmieścia i zmienia wciąż jego wygląd. Wszędzie, gdzie na skraju wielkiego miasta staje dworzec kolei żelaznej, przedmieście umiera, a rodzi się miasto. Wydaje się, że wokół tych wielkich centrów ruchu ludności, wśród huku potężnych maszyn i oddechu gigantycznych rumaków cywilizacji, które żywią się węglem i rzygają ogniem, pełna ziarna ziemia trzęsie się i otwiera, by pochłonąć dawne siedziby ludzkie, a wydać na świat nowe. Wałą się stare domy, wznoszą nowe.

Odkąd stacja kolei orleańskiej zagarnęła okolice Salpetriere, chwieją się domy starych, wąskich uliczek, przylegających do fos Św. Wiktora i do Ogrodu Botanicznego, wstrząsane parę razy dziennie przez sznur dylizansów, omnibusów i powozów, które po pewnym czasie odsuwają domy na boki; brzmi to dziwnie, ale pozostaje w zgodzie z rzeczywistością: faktem jest, że częste przejazdy powozów rozszerzają ulice, podobnie jak faktem jest, że w wielkich miastach pod działaniem promieni słonecznych fasady domów rozrastają się od południa. Oznaki nowego życia stają się widoczne. W najdzikszych zakątkach tej starej dzielnicy prowincjonalnej ukazuje się bruk, zaczynają pełznąć i wydłużać się chodniki tam, gdzie nie ma jeszcze przechodniów. W pewien ranek, pamiętny ranek lipcowy 1845 roku, ujrzano tam nagle czarne, dymiące kotły ze smołą; można powiedzieć że tego dnia cywilizacja dotarła na ulicę Lourcine i Paryż wkroczył na przedmieście Saint-Marceau.

## ROZDZIAŁ II

### GNIAZDO PUSZCZYKA I SIKORKI

Przed tą właśnie rudera Gorbeau stanął Jan Valjean. Jak dzikie ptaki wybrał sobie miejsce najbardziej odludne, by uwić w nim gniazdo.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej klucz, otworzył drzwi, wszedł, zamknął je starannie za sobą i zaczął wstępować schodami na górę, niosąc Kozetę na rękę.

Znalazłszy się na górze, wyjął z kieszeni inny klucz, którym otworzył inne drzwi. Pokój, do którego wszedł zamykając szybko za sobą drzwi, był dość obszernym, nędznym pomieszczeniem; umeblowanie jego składało się ze stołu, kilku krzeseł i materaca leżącego na ziemi. W kącie stał piec, w którym widać było rozżarzone węgle. Latarnia uliczna oświetlała niepewnym światłem to ubogie wnętrze. W głębi mieściła się alkowa, a w niej łóżko polowe. Jan Valjean zaniósł tam dziewczynkę i nie budząc ułożył ją na łóżku.

Skrzesał ognia i zapalił świecę; wszystko to było zawczasu przygotowane na stole. I podobnie, jak poprzedniego wieczora, zaczął się wpatrywać w Kozetę spojrzeniem tak pełnym zachwytu, dobroci i rozczulenia, że niemal błędnym. Ze spokojną ufnością, właściwą istotom bardzo silnym albo bardzo słabym, mała usnęła, nie wiedząc, z kim jest, i spała, nie wiedząc, gdzie jest.

Jan Valjean schylił się i pocałował rączkę dziecka.

Dziewięć miesięcy temu całował rękę matki, która również zasnęła... To samo uczucie bolesne, nabożne, dojmujące przepełniało mu serce. Ukląkł przy łóżku Kozety.

Rozwidniło się już na dobre, a dziecko ciągle spało. Błady promień grudniowego słońca wpadał przez okno izdebki, rozsnuwając na suficie długie smugi światła i cienia. Nagle ciężko naładowany wóz kamieniarski, przejeżdżając ulicą, jak uderzenie piorunu wstrząsnął domem, który zadrżał od góry do dołu.

— Zaraz, proszę pani! Idę, idę! — zawołała Kozeta zrywając się z łóżka. — Już idę!

Zeskoczyła na podłogę z ciężkimi od snu, na wpół przymkniętymi powiekami i wyciągnęła ręce w kąt pokoju.

— O Boże, gdzie moja miotła? — powiedziała. Otworzyła szeroko oczy i zobaczyła

uśmiechniętą twarz

Jana Valjean.

— Ach tak! Prawda! — rzekła. — Dzień dobry panu! Dzieci przyjmują od razu i całkiem po prostu radość i szczęście, ponieważ same są z natury swej radością i szczęściem.

Kozeta zobaczyła w nogach łóżka Katarzynę sięgnęła po nią, i bawiąc się zarzuciła Jana Valjean gradem pytań: Gdzie się teraz znajduje? Czy Paryż jest duży? Czy pani Thenardier jest daleko? Czy tu nie przyjdzie? itd., itd. Nagle zawołała:

— Jak tu ślicznie!

Nora była szkaradna, ale Kozeta czuła się wolna.

— Czy mam pozamiatać? — zapytała w końcu.

— Baw się — odrzekł Jan Valjean.

Tak upłynął dzień cały. Kozeta, nie usiłując nic zrozumieć, czuła się niewymownie szczęśliwa między swoją lalką a tym człowiekiem.



## ROZDZIAŁ III

### DWIE NIEDOLE RAZEM TWORZĄ SZCZĘŚCIE

Nazajutrz o świcie Jan Valjean był znów przy łóżku Kozety. Stał bez ruchu i patrzył, jak się budzi ze snu.

Jakieś nieznanne uczucia napełniały jego duszę.

Jan Valjean nigdy nie kochał. Od dwudziestu pięciu lat był sam na świecie. Nigdy nie był ojcem, kochankiem, mężem, przyjacielem. Na galerach był zły, posępny, czysty, ciemny i dziki. Ten stary więzień miał dziewicze serce. Po siostrze i jej dzieciach pozostało mu tylko mgliste i dalekie wspomnienie, które w końcu rozwiało się prawie zupełnie. Dołożył wszelkich starań, by ich odszukać, lecz nie odnalazłszy — zapomniał o nich. Taka jest natura ludzka. Inne tkliwe wzruszenia młodości, jeśli ich doznał kiedykolwiek, zapadły w otchłań niepamięci.

Gdy ujrzał Kozetę, gdy ją wyzwolił i zabrał ze sobą, poczuł się do głębi poruszony. Wszystkie gorące uczucia, cała czułość zbudziły się w nim i zwróciły gwałtownie ku temu dziecku. Zbliżał się do łóżka, w którym spała Kozeta, i drżał z radości; doznawał wzruszeń, jakich doznaje matka, i nie wiedział, co to jest; rzecz to bowiem tajemna i rozkoszna — potężne i dziwne poruszenie serca, które zaczyna kochać.

Biedne, stare, niedoświadczone serce!

A że miał lat pięćdziesiąt pięć, a Kozeta miała lat osiem, cała niezaznana miłość jego życia przetopiała się w jakąś niewysłowioną jasność.

Było to drugie świetlane zjawisko w jego życiu. Biskup zapalił w jego sercu jutrzenkę cnoty; Kozeta zapaliła w nim jutrzenkę miłości.

W tym olśnieniu upłynęły pierwsze dni.

Ze swojej strony Kozeta — ta biedna mała istotka — nie zdając sobie z tego sprawy, stawiała się inna. Była tak malutka, gdy matka ją opuściła, że nie pamiętała jej wcale. Jak wszystkie dzieci, podobne do młodego pędu winorośli, który wszystkiego się czepia, próbowała kochać. Daremnie. Odtrącili ją wszyscy: Thenardierowie, ich dzieci, inne dzieci. Pokochała psa, pies zdechł; a potem nikt już nie chciał jej miłości. Ciężko to powiedzieć, ale jak już wspominaliśmy, ośmioletnia Kozeta miała serce wystygłe. Nie było w tym jej winy: nie brakło jej zdolności kochania; niestety, brakło jej możności kochania.

Toteż od pierwszego dnia wszystko, co w niej czuło i myślało, zwróciło się z miłością do tego zacnego starca. Doznawała czegoś, czego nie przeżyła nigdy — uczucia rozkwitu.

Opiekun nie wydawał jej się wcale ani stary, ani biedny. Uważała, że Jan Valjean jest piękny, podobnie jak uważała, że ich izdebka jest śliczna.

Taka jest moc jutrzeńki, dzieciństwa, młodości, radości. Nie jest w tym bez znaczenia nowość otaczającego świata i życia. Nie ma nic piękniejszego nad odblask szczęścia, który w tęczowe barwy przystraja poddasze. Każdy z nas ma w swej przeszłości taką lazurową izdebkę.

Zarówno natura, jak i różnica pięćdziesięciu lat stwarzały głęboki przedział między Janem Valjean a Kozetą; lecz los wyrównał ten przedział. Los połączył i związał z mocą, przed którą ustępuje wszystko, te dwie bezdomne istoty, różne wiekiem, podobne swą sierocą dolą. Uzupełniały się wzajemnie. Instynkt Kozety szukał ojca, instynkt Jana Valjean szukał dziecka. Spotkać się — to było znaleźć się wzajemnie. W tajemnej chwili pierwszego zetknięcia ręce ich zrosły się ze sobą. Gdy ujrzały się ich dusze, każda rozpoznała w drugiej tęsknotę swojego życia i złączył je nierozzerwalny uścisk. Używając tu słów w ich zakresie najszerszym i najogólniejszym, można by powiedzieć, że oddzieleni od świata ścianami grobu, Jan Valjean był Wdowcem, a Kozeta była Sierotą. To sprawiło, że w sposób nadprzyrodzony Jan Valjean stał się ojcem Kozety. Zaiste, tajemne wrażenie, jakiego doznała Kozeta, gdy dłoń Jana Valjean ujęła jej rękę w ciemnym lesie Chelles, nie było złudzeniem, lecz rzeczywistością. Wejście tego człowieka w życie tego dziecka było przybyciem Boga.

Jan Valjean dobrze wybrał sobie schronienie. Zdawać by się mogło, że jest tu zupełnie bezpieczny.

Okno pokoju z alkową, który zajmował wraz z Kozetą, wychodziło na bulwar. Było to jedyne okno w tym domu, można więc było nie lękać się spojrzeń sąsiadów ani z boku, ani z naprzeciwka.

Parter domu numer 50—52 był rodzajem walącej się szopy, która służyła za skład handlarzom warzyw i nie miała żadnego połączenia z pierwszym piętrem. Szopę tę oddzielała od niego podłoga, w której nie było ani schodów, ani żadnego otworu i która stanowiła jakby diafragmę budynku. Na pierwszym piętrze, jak już wspominaliśmy, było kilka izb i kilka stryszków, tylko jeden z nich był zajęty przez starą kobietę, która prowadziła gospodarstwo Jana Valjean. Reszta była niezamieszkała.

Ta właśnie starowina, nosząca szumny tytuł „główniej lokatorki”, a w rzeczywistości pełniąca funkcje stróżki, wynajęła Janowi Valjean mieszkanie w

dzień Bożego Narodzenia. Podał się za rentiera zrujnowanego na bonach hiszpańskich, który będzie mieszkał ze swą wnuczką. Zapłacił z góry za sześć miesięcy i polecił starej umeblować pokój i alkierzyk tak, jak to widzieliśmy. To ona napaliła w piecu i przygotowała wszystko w ów wieczór, kiedy tu przybyli.

Mijały tygodnie. Dwie istoty pędziły w nędznej izdebce życie pełne szczęścia. Od świtu Kozeta śmiała się, szczebiotała, nuciła. Dzieci, podobnie jak ptaki, mają swój poranny śpiew.

Czasami Jan Valjean ujmował i całował jej małą, czerwoną i popękaną od odmrożeń rękę. Biedna mała, przyzwyczajona do bicia, nie wiedziała, co to ma znaczyć, i odchodziła zawstydzona.

Czasami Kozeta poważniała i przyglądała się swej czarnej sukience. Nie nosiła już łachmanów, nosiła żałobę. Wydobywała się z nędzy i wchodziła w życie.

Jan Valjean uczył ją czytać. I nieraz, gdy dziecko głośno sylabizowało, myślał, że on uczył się czytać na galerach z tym zamiarem, by później czynić źle. Zamiar ten odmienił się i oto uczy czytać dziecko. Wówczas stary galernik uśmiechnął się zadumanym uśmiechem aniołów.

Czuł, że to było wyższe zrządzenie, że była to wola kogoś, kto nie jest człowiekiem, i tonął w zadumie. Dobre myśli, podobnie jak i złe, mają swe niezgłębione przepaści.

Uczyć Kozetę czytać i pozwalać jej się bawić — w tym zamykało się prawie całe życie Jana Valjean. Opowiadał jej też o matce i uczył ją pacierza.

Ona mówiła mu „ojcze” i nie znała dlań innego imienia.

Godzinami patrzył, jak ubierała i rozbierała swoją lalkę, godzinami słuchał jej szczebiotu. Życie wydawało mu się teraz ciekawe, ludzie — dobrzy i sprawiedliwi, nie miał o nic żalu do nikogo i nie bał się dożyć później starości, skoro to dziecko go kocha. Widział przed sobą całą przyszłość rozświetlaną przez Kozetę niczym przez jakiś uroczy blask. Najlepszy nawet człowiek nie jest wolny od samolubnych myśli. Czasami myślał z pewną radością, że Kozeta będzie brzydka.

Jest to nasze osobiste zdanie, ale — że powiemy myśl swoją do końca — przypuszczamy, że wówczas gdy Jan Valjean pokochał Kozetę, to pokrzepienie było mu konieczne, by wytrwać na dobrej drodze. Ujrzał był właśnie w nowym świetle niegodziwość ludzką i nędzę społeczną; światło to było niepełne i niestety ukazywało tylko jedną stronę prawdy: los kobiety uosobiony w Fantynie i władzę państwową ucieleśnioną w Ja-vercie. Powrócił na galery — tym razem za spełnienie dobrego uczynku, zaznał nowej goryczy; ogarnęły go znów wstręt

i zniechęcenie; i nawet wspomnienie biskupa bliskie było może chwilowego zaćmienia, by ukazać się wprawdzie później w jeszcze większym blasku i chwale, ale i to święte wspomnienie bladło. Kto wie, czy Jan Valjean nie był w przededniu zwątpienia i upadku? Pokochał i odzyskał siły. Niestety, był równie bezbronny jak Kozeta! Otoczył ją opieką, ona dodała mu sił. Dzięki niemu Kozeta mogła iść przez życie; dzięki niej Jan Valjean mógł wytrwać w cnotce. Był oparciem dla tego dziecka, a dziecko było jego podporą. O niezgłębiona, boska tajemnico równowagi losów ludzkich!

## ROZDZIAŁ IV

### SPOSTRZEŻENIA GŁÓWNEJ LOKATORKI

Jan Valjean przezornie nigdy nie wychodził za dnia z domu. Co wieczór o zmierzchu przechadzał się godzinę lub dwie, czasem sam, często z Kozetą, wyszukując najmniej ruchliwe, boczne ulice lub gdy zmrok już zapadał, wstępując do kościołów. Najchętniej chodził do pobliskiego kościoła Sw. Medarda. Jeśli nie brał ze sobą Kozety, zostawała ona w domu ze starą kobietą, ale dla dziecka spacer z opiekunem był wielką uciechą. Godzinę spędzoną z nim wolała nawet od najmiłszej zabawy z Katarzyną. Spacerował trzymając ją za rękę i przemawiając do niej z dobrocią i łagodnością.

Okazało się, że Kozeta była bardzo wesoła.

Starucha sprzątała im, gotowała i chodziła po zakupy.

Żyli skromnie, nie odmawiając sobie rzeczy najniezbędniejszych, ale jak ludzie, którzy muszą się liczyć z każdym groszem. Jan Valjean w niczym nie zmienił umeblowania, które tu zastał pierwszego dnia; jedynie na miejsce oszklonych drzwi do alkierzyka Kozety kazał wstawić zwykłe, drewniane.

Nosił ciągle ten sam żółty surdut, czarne spodnie i stary kapelusz. Na ulicy brano go za biedaka i zdarzało się nieraz, że jakaś litościwa niewiasta zatrzymywała się i dawała mu parę groszy. Jan Valjean przyjmował je i kłaniał się nisko. Zdarzyło się czasami również, że spotkał jakiegoś żebraka proszącego o wsparcie; wówczas rozglądał się dokoła, czy nikt go nie widzi, ukradkiem zbliżał się do biedaka, wsuwał mu do ręki pieniądze, nierzadko srebrny, i oddalał się spieszenie. Miało to swoje złe strony. Zaczął być znany w dzielnicy, jako „żebrak, który rozdaje jałmużnę”.

„Główna lokatorka”, osoba stara, zgorzkniała i w stosunku do bliźnich pełna ciekawości, właściwiej ludziom zazdrosnym, bacznie śledziła Jana Valjean, nie budząc jego podejrzeń. Była przygłucha i co za tym idzie, bardzo gadatliwa. Z przeszłości zachowała dwa zęby: jeden u góry, drugi u dołu, i zgrzytała ustawicznie jednym o drugi. Wypytywała Kozetę, która nie wiedząc nic, mogła tylko to powiedzieć, że przybyła z Montfermeil. Pewnego ranka stara podpatrzyła, że Jan Valjean wchodzi do jednej z niezamieszkałych izb domu, z miną, która wydała się babie szczególnie. Poszła za nim cicho jak stary kot i niezauważona mogła go obserwować przez szparę drzwi, które były obok. Jan Valjean — z wielkiej przezorności zapewne — stał tyłem do owych drzwi. Stara widziała, jak szukał czegoś w kieszeni, wyciągnął igielnik, nożyczki i nici,

potem odpruł podszewkę w rogu surduta i wyciągnął przez otwór kawałek żółtawego papieru, który rozwinął. Stara z przerażeniem rozpoznała, że był to banknot tysiącfrankowy. Dwa lub trzy razy w życiu zdarzyło jej się widzieć na własne oczy taki banknot! Uciekła bardzo wystraszona.

Po chwili Jan Valjean zwrócił się do niej z prośbą, by poszła rozmienić mu tysiąc franków, dodając, że jest to półroczna rata jego renty, którą wczoraj odebrał. „Gdzie? — pomyślała stara. — Wczoraj wyszedł dopiero o szóstej wieczorem, a o tej godzinie kasa rządowa nie mogła być otwarta.” Stara poszła rozmienić banknot, czyniąc rozmaite domysły. Ten banknot tysiącfrankowy, obszernie omawiany i zwielokrotniony, stał się tematem wielu podnieconych rozmów kumoszek z ulicy Vignes-Saint-Marcel.

Po kilku dniach Jan Valjean, zdjawszy surdut, piłował drzewo w korytarzu. Stara sprzątała pokój. Była sama. Kozeta przyglądała się z zachwytem piłowaniu; surdut wisiał na haku; stara go dostrzegła i zaczęła oglądać; podszewka była na nowo przyszyta. Starucha obmacała ją uważnie i wyczuła przy szwach i na rękawach jakieś papiery. Z pewnością inne banknoty tysiącfrankowe! Zauważyła również, że w kieszeniach pełno było najrozmaitszych rzeczy; poza igłami, nożyczkami i nićmi, które już widziała, znalazła tam jeszcze gruby pugilares, wielki nóż i — rzecz bardzo podejrzana — kilka peruk różnego koloru. Każda kieszeń była swego rodzaju składem przedmiotów na wszelki wypadek.

Tak mieszkańcy rudery doczekali się ostatnich dni zimy.

## ROZDZIAŁ V

### MONETA PIĘCIOFRANKOWA SPADA Z BRZĘKIEM NA ZIEMIĄ

Pod kościołem Św. Medarda, na ocembrowaniu starej zasypanej studni, siadywał zwykle żebrak, któremu Jan Valjean chętnie dawał jałmużnę. Nigdy nie przeszedł tędy, nie wsunąwszy biedakowi parę groszy. Nieraz nawet zagadał do niego. Zazdrośni o niego żebracy mówili, że „jest z policji”. Był to dawny kościelny, miał lat siedemdziesiąt pięć i bez przerwy mruzczał pacierze.

Pewnego wieczoru przechodząc tamtędy, tym razem bez Kozety, Jan Valjean zobaczył żebraka siedzącego na zwykłym miejscu pod latarnią, którą właśnie zapalono. Człowiek ten siedział skulony swoim zwyczajem, wydawał się pogrążony w modlitwie. Jan Valjean podszedł i dał mu jak zwykle jałmużnę. Żebrak podniósł nagle oczy, spojrzał badawczo na Jana Valjeana, po czym szybko spuścił głowę. Trwało to mgnienie oka, lecz Jan Valjean się wzdrygnął. Wydało mu się, że w świetle latarni dojrzał nie spokojną i obłudną twarz kościelnego dziada, lecz inną, groźną i dobrze mu znaną. Poczucił się jak ktoś, kto w ciemnościach spotka się nagle, oko w oko, z tygrysem. Cofnął się skamieniały z przerażenia nie śmiać ani odetchnąć, ani przemówić, ani zostać, ani uciec, wpatrzony w żebraka, który schylił głowę okrytą jakimś łachem i zdawał się nie wiedzieć, że Valjean stoi jeszcze obok niego. W tej osobliwej chwili, kierowany jakimś instynktem, może tajemniczym instynktem samozachowawczym, Jan Valjean nie wymówił ani słowa. Żebrak miał tę samą postać, te same łachmany, ten sam co zwykle wygląd. „Ech! — pomyślał Jan Valjean. — Oszalałem chyba! Coś mi się przywidziało! To niemożliwe!” I wrócił do domu głęboko poruszony.

Zaledwie samemu sobie odważał się przyznać, że ta twarz, którą ujrzał, wydała mu się twarzą Javerta.

Rozmyślając nad tym w nocy, żałował, że nie zapytał o coś żebraka, aby go zmusić do podniesienia głowy.

Nazajutrz, gdy zapadł wieczór, poszedł znów pod kościół. Żebrak siedział tam gdzie zawsze.

— Dzień dobry! — rzekł śmiało Jan Valjean, dając mu jednego su.

Dziad podniósł głowę i odrzekł boleściwym głosem:

— Dziękuję, łaskawy panie. Był to jednak stary kościelny. Jan Valjean, uspokojony

zupełnie, roześmiał się. „I gdzie ja tu, u diabła, dojrzałem Javerta? Cóż to? Zaczynam teraz miewać przywidzenia?” I przestało tym myśleć. W kilka dni później, mogła być ósma wieczór, siedział w pokoju z Kozetą, która sylabizowała głośno, gdy nagle usłyszał, że drzwi wejściowe otworzyły się, a po tym zamknęły. Wydało mu się to dziwne. Starucha, jedyna osoba, która oprócz nich mieszkała w tym domu, kładła się spać o zmroku, by nie palić świecy. Jan Valjean dał znak Kozecie, by umilkła. Słyszał, że ktoś wchodzi po schodach. Ostatecznie, mogła to być i stara — może była chora i chodziła do apteki? Jan Valjean nadśluchiwał. Po ciężkich krokach można było poznać, że idzie mężczyzna, ale stara nosiła grube trzewiki, a chód starej kobiety łudząco jest podobny do chodu mężczyzny. Jednakże Jan Valjean zdmuchnął świecę.

Kazał Kozecie pójść do łóżka, szepnąwszy:

„Kładź się cichutko”, a gdy całował ją w czoło, kroki zatrzymały się.

Jan Valjean trwał w milczeniu, bez ruchu na krześle, odwrócony tyłem do drzwi, wstrzymując oddech w ciemnościach. Po dłuższym czasie, nie słysząc żadnego szmeru, odwrócił się ostrożnie: spojrzął na drzwi swego pokoju i zobaczył światło, sączące się przez dziurkę od klucza. Wśród ciemności to światło odbijało od czarnych drzwi i ścian jak złowroga gwiazda. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tam stał ze świecą w ręku i podsłuchiwał.

Upłynęło parę minut, światło znikło. Nie słychać było jednak kroków, co dowodziło, że człowiek, który podsłuchiwał pod drzwiami, zdjął buty.

Jan Valjean rzucił się w ubraniu na łóżko i przez całą noc nie zmrużył oka.

Nad ranem zdrzemnął się ze zmęczenia; obudził go skrzyp drzwi, otwierających się z jakiejś izby w głębi korytarza, potem usłyszał kroki, te same męskie kroki, które wczoraj słyszał na schodach. Kroki zbliżały się. Zeskoczył z łóżka i przywarł okiem do dziurki od klucza; była dość duża, miał więc nadzieję, że zobaczy w przejściu tego, kto wczoraj wtargnął do domu i podsłuchiwał pod jego drzwiami. Koło pokoju Jana Valjeana przeszedł istotnie mężczyzna, tym razem nie zatrzymując się wcale. Na korytarzu było zbyt ciemno, by mógł dostrzec jego twarz; ale gdy doszedł do schodów, promień światła z zewnątrz wyraźnie oświetlił jego sylwetkę i Jan Valjean mógł go dokładnie zobaczyć z tyłu. Było to wysoki mężczyzna, ubrany w długi surdut; pod pachą miał wielką laskę. Była to straszliwa postać Javerta.

Jan Valjean mógłby zobaczyć go raz jeszcze przez okno wychodzące na bulwar. Ale musiałby w tym celu otworzyć okno, a na to się nie odważył.

Oczywiste było, że człowiek ten miał klucz i że wszedł tu jak do własnego



domu. Kto mu dał klucz? Co to wszystko miało znaczyć?

Gdy o siódmej rano stara przyszła sprzątać izbę, Jan Valjean rzucił jej przenikliwe spojrzenie, lecz nie pytał o nic.

Kobieta miała tę samą minę co zwykle. Zamiatając, zagadnęła go:

— Pan pewnie słyszał, że ktoś tu wchodził dziś w nocy?

W tym wieku i na tym bulwarze ósma wieczór to już głęboka noc.

— Tak, rzeczywiście — odparł najnaturalniejszym w świecie tonem. — Któż to był taki?

— Mamy nowego lokatora — odrzekła stara.

— Jak się nazywa?

— Nie pamiętam dobrze; pan Dumont, Daumont czy jakoś podobnie.

— A któż to taki ten pan Dumont?

Stara spojrzała na niego małymi, kunimi oczkami i powiedziała:

— Rentier jak pan.

Może było to powiedziane bez żadnej myśli, ale Jan Valjean dopatrzył się w tych słowach ukrytej intencji.

Gdy stara wyszła, ułożył w rulon sto franków, które miał w szafie i wsunął do kieszeni. I choć zachował się przy tym bardzo cicho, by nie słychać było, że układa pieniądze, jedna moneta pięciofrankowa wysunęła mu się z rąk i z głośnym brzękiem potoczyła się po płytach posadzki.

O zmierzchu Jan Valjean zszedł na dół i uważnie rozejrzał się na wszystkie strony. Nie zobaczył nikogo. Bulwar wydawał się zupełnie pusty. Co prawda mógł się ktoś kryć za drzewami.

Wrócił na górę.

— Chodź — rzekł do Kozety.

Wziął ją za rękę i oboje wyszli.

# KSIĘGA PIĄTA

## MILCZĄCA SFORA NA NOCNYCH ŁOWACH

### ROZDZIAŁ I

#### ZYGZAKI STRATEGII

A teraz, aby czytelnik mógł dobrze zrozumieć zarówno te stronicę, jak i następną, należy dać pewne wyjaśnienie.

Wiele już upłynęło lat, odkąd autor zmuszony, acz niechętnie, mówić o sobie — opuścił Paryż. Od tego czasu Paryż zmienił się bardzo. Wyrosło nowe miasto, w pewnej mierze zupełnie mu nie znane. Autor nie potrzebuje chyba zapewniać, że kocha Paryż. Paryż jest rodzinnym miastem jego ducha. Teraz, gdy jedne domy zburzono, gdy wybudowano nowe, Paryż jego młodości, ten *Paryż*, który z taką czcią przechowuje w pamięci, stał się Paryżem przeszłości. Niech mu będzie wolno mówić o tym Paryżu tak, jakby jeszcze istniał. Nie jest wykluczone, że tam, gdzie autor poprowadzi czytelnika, mówiąc: „Na takiej a takiej ulicy jest taki a taki dom”, dziś już nie ma ani tej ulicy, ani tego domu. Czytelnik sprawdzi, jeśli zechce zadać sobie ten trud. Autor bowiem, nie znając nowego Paryża, pisze tę książkę mając dawny Paryż przed oczyma; złudzenie to jest mu bardzo drogie. Słodko mu jest marzyć, że zostało coś z tego, co widział, kiedy był w swoim kraju, że nie wszystko zniknęło. Dopóki człowiek chodzi po rodzinnej ziemi, wydaje mu się, że ulice są mu obojętne, że okna, dachy, bramy nic go nie obchodzą, że mury są mu obce, że drzewa to zwykłe, pierwsze lepsze drzewa, że domy, do których nie wchodzi, nie są mu potrzebne, że bruk, po którym stąpa, to tylko kamienie. Kiedy jednak opuści ojczyste strony, widzi, jak drogie są mu tamte ulice, jak brakuje mu tamtych dachów, tamtych okien, tamtych bram, jak potrzebne mu są tamte mury i jak ukochał tamte drzewa; i widzi, że do tamtych domów, do których nie wchodził, wstępował codziennie i że swe trzewia, krew i serce zostawił na tamtym bruku. Miejsca, których nie widzi i może już nigdy nie zobaczy, a które żyją we wspomnieniu, nabierają bolesnego czaru, powracają wciąż przed oczy z melancholią zjawy, ukazują mu świętą ziemię ojczystą i są — rzecz można — obrazem samej Francji. Kocha je i wspomina takimi, jakie są, jakie niegdyś były, i uparcie nie chce w nich nic zmieniać, oblicze ojczyzny bowiem jest drogie jak twarz matki.

Niech zatem wolno nam będzie mówić o przeszłości w czasie teraźniejszym. Prosimy czytelnika, by wziął to pod uwagę, co powiedzieliśmy — i wracamy do naszej opowieści.

Jan Valjean od razu skręcił z bulwaru w boczne uliczki i krążył nimi, zmieniając raz po raz kierunek; niekiedy zawracał nagle, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie.

Ścigany jeleń chwyta się takich samych wybiegów. Taka taktyka ma tę także zaletę, że jeśli na ziemi pozostają widoczne ślady, to ów trop, idący w przeciwnym kierunku, myli myśliwców i ogary. W języku myśliwskim zowie się to „fałszywy powrót”.

Była pełnia. Janowi Valjean było to na rękę. Ledwie wychylający się zza widnokregu księżyc kładł na ulicach smugi światła i cienia. Jan Valjean mógł przemykać się w cieniu wzdłuż domów i murów, a obserwować oświetloną stronę ulicy. Może nie dość zdawał sobie sprawę, że nie dostrzega, co dzieje się na ciemnej stronie ulicy. Miał jednak przekonanie, że nikt go nie śledził na wszystkich bezludnych uliczkach, które przylegają do ulicy Poliveau.

Kozeta szła nie pytając o nic. Cierpienia pierwszych sześciu lat życia wyrobiły pewną bierność w jej naturze. Zresztą i tu nasuwa się spostrzeżenie, do którego nieraz jeszcze będziemy mieli sposobność powrócić — przyzwyczajona była, nie zdając sobie z tego sprawy, do osobliwych zwyczajów zacnego starca i do dziwaczności losu. Ponadto czuła się najzupełniej bezpieczna, gdy była razem ze swym opiekunem.

Jan Valjean nie lepiej od Kozety wiedział, dokąd idzie. Pokładał ufność w Bogu, podobnie jak Kozeta pokładała ufność w nim. Zdawało mu się, że jest również prowadzony za rękę przez kogoś większego od niego, że jakaś niewidzialna istota kieruje jego krokami. Szedł bez żadnej określonej myśli, bez żadnego planu, bez żadnych konkretnych zamiarów. Nie miał nawet całkowitej pewności, że był to istotnie Javert, a zresztą Javert mógł nie rozpoznać w nim Jana Valjean. Wszakże był przebrany. Wszakże myślano, że już nie żyje. A jednak od kilku dni działy się jakieś szczególne rzeczy. To mu wystarczyło. Postanowił nie wracać do rudery Gorbeau. Jak zwierzę wypłoszone z nory, szukał miejsca, gdzieby się schować, zanim znajdzie miejsce, gdzieby zamieszkać.

Kluczył i krążył po dzielnicy Mouffetard, śpiącej już o tej porze głębokim snem, jak gdyby obowiązywał tu jeszcze średniowieczny obyczaj i nakaz wieczornego wygaszania świateł. Z uczoną strategią w najróżniejsze sposoby łączył uliczki, skręcając z ulicy Censier w ulicę Copeau i z ulicy Battoir-Saint-Victor w ulicę Puitsd'Ermite. Wiele było w tej okolicy pokojów do wynajęcia, lecz Jan Valjean nawet tam nie wstępował, nie znajdując nic, co by mu się nadawało. Uważał zresztą, że jeśli istotnie natrafiono przypadkiem na jego ślad, to go już zgubiono.

Gdy przechodził ulicą Pontoise koło numeru 14, gdzie mieściło się biuro komisarza policji, na kościele Św. Stefana biła jedenasta. Po chwili instynkt, o którym już wspominaliśmy, kazał mu się odwrócić. Wówczas światło latarni, stojącej przed siedzibą komisarza, zdradziło mu obecność trzech mężczyzn, którzy szli za nim w niewielkiej odległości ciemną stroną ulicy; zobaczył wyraźnie, jak przechodzili kolejno pod latarnią. Jeden z nich skręcił w alejkę prowadzącą do siedziby komisarza. Ten, który szedł na przedzie, wydał się Janowi Valjean bardzo podejrzany.

— Chodź, dziecko — rzekł do Kozety i spiesznie opuścił ulicę Pontoise.

Zatoczył szeroki krąg, przeszedł koło pasażu Patriarchów, zamkniętego o tej godzinie, przemierzył ulice Drewnianego Pałaza i Łuczników i skręcił w ulicę Pocztową.

W owym czasie w miejscu, w którym dziś stoi kolegium Rolin i skąd wychodzi ulica Nowa Świętej Genowefy, był niewielki placyk.

(Ulica Nowa Świętej Genowefy jest oczywiście starą ulicą, a ulicą Pocztową dyliżans pocztowy nie przejeżdża nawet raz na dziesięć lat. Tę ulicę Pocztową w XIII w. zamieszkiwali garncarze i jej prawdziwa nazwa to ulica Garncarska.)

Jasny blask księżyca padał na ten placyk. Jan Valjean ukrył się w bramie; liczył na to, że jeśli owi ludzie nadal idą jego śladem, będzie mógł obejrzeć ich dokładnie, gdy będą przechodzili przez tę smugę światła.

Istotnie, nie upłynęły trzy minuty, gdy się ukazali. Było ich teraz czterech; słusznego wzrostu, ubrani w długie surduty i okrągłe kapelusze, trzymali w ręku grube laski. Groźne były nie tylko ich potężne postacie i wielkie pięści, lecz także to posępne posuwanie się w ciemności. Rzec by można — cztery widma przebrane za mieszczan.

Doszli do placyku i przystanęli razem, jakby się nad czymś naradzając. Byli wyraźnie niezdecydowani. Ten, który zdawał się przewodzić, odwrócił się i prawą ręką wskazywał stronę, w którą poszedł Jan Valjean, inny z niejakiim uporem pokazywał przeciwny kierunek. Gdy ów pierwszy odwrócił się, księżyc oświecił całą jego twarz. Jan Valjean rozpoznał Javerta.

## ROZDZIAŁ II

### SZCZĘŚLIWIE, NA MOŚCIE AUSTERLITZKIM JEST RUCH KOŁOWY

Jan Valjean miał już pewność; na szczęście, śledzący go ludzie trwali jeszcze w niepewności. Skorzystał z ich wahania; oni tracili na czasie, on zaś zyskiwał. Wsunął się z wnęki bramy, w której się przyczaił, i ruszył ulicą Pocztową w kierunku Ogrodu Botanicznego, a że Kozetę poczyniła ogarniać zmęczenie, wziął ją na rękę. Ulica była bezludna, księżyc świecił, nie zapalono więc latarni. Przyśpieszył kroku. W kilku susach znalazł się przy sklepie garncarskim Gobieta, na fasadzie którego łatwo można było odczytać w świetle księżyca stary napis: Tutaj mieści się warsztat Gobleta-syna.

Gdzie z najprzedniejsze gliny nabędziesz wyroby: Kafle, rury i misy, kubki i donice, i dzbany malowane w misterne ozdoby.

Zostawiwszy za sobą ulicę Clef i studnię Św. Wiktora przeszedł wzdłuż Ogrodu Botanicznego małymi uliczkami i dotarł do bulwaru nad rzeką. Tutaj odwrócił się. Na bulwarze — pusto, na uliczkach — pusto. Nikogo za nim. Odetchnął.

Stanął na moście Austerlitzkim.

W owych czasach istniało jeszcze mostowe.

Poszedł więc do budki pobierającego opłaty i dał jedno su.

— Należy się dwa su — rzekł inwalida, który pobierał myto, — Pan niesie na rękę dziecko, które może samo chodzić. Musi pan zapłacić za dwie osoby.

Zapłacił niezadowolony, iż zwrócił na siebie uwagę. Każda ucieczka powinna być prześlizgiwaniem się.

W tym właśnie czasie przez most przejeżdżał duży wóz, który kierował się również na prawy brzeg Sekwany. To było bardzo na rękę Janowi Valjean. Mógł przejść przez most, ukryty w cieniu wozu.

Mniej więcej w połowie mostu Kozeta zapragnęła iść sama, bo zdrętwiały jej nogi. Postawił ją na ziemi i wziął za rękę.

Przeszedłszy most, zobaczył przed sobą, nieco w prawo, składy drzewa; skierował się w tę stronę. Aby dojść do nich, musiał przebyć dość dużą przestrzeń, odsłoniętą i oświetloną. Nie zawahał się. Ci, co go ścigali, wyraźnie zgubili trop. Uważał więc, że jest bezpieczny. Był poszukiwany, ale nie był

Śledzony.

Między dwoma składami drzewa, otoczonymi murem, biegła uliczka Chemin-Vert-Saint-Antoine. Była wąska, ciemna, w sam raz jakby dla niego. Nim się w nią zagłębił, obejrzał się za siebie. Z punktu, w którym się znajdował, widział most Austerlitzki w całej jego długości.

Na most wchodziły cztery cienie. Cienie owe, zwrócone tyłem do Ogrodu Botanicznego, kierowały się na prawy brzeg Sekwany. Te cztery cienie to byli owi czterej mężczyźni.

Jan Valjean zadrżał jak schwytane zwierzę.

Jedną miał jeszcze nadzieję: może tamci nie znajdowali się jeszcze na moście i nie widzieli go, gdy przechodził przez szeroki, oświetlony plac, trzymając Kozetę za rękę.

Gdyby tak było, to jeżeli zapuści się w uliczkę, którą ma przed sobą, jeśli zdoła dotrzeć między składy drzewa, ogrody, sady i niezabudowane place, może im umknie.

Wydało mu się, że może zaufać tej cichej uliczce. Wszedł w nią.

## ROZDZIAŁ III

### W KTÓRYM NALEŻY POPATRZEĆ NA PLAN PARYŻA Z 1727 ROKU

Uszedłszy trzysta kroków, stanął w miejscu, gdzie ulica rozwidlała się na dwie uliczki, z których jedna biegła w prawo, druga zaś w lewo. Jan Valjean miał przed sobą jakby dwa ramiona litery Y. Które z nich wybrać?

Bez wahania wybrał prawe.

Dlaczego?

Dlatego że lewe ramię skręcało w kierunku przedmieścia, a więc w stronę miejsc zamieszkałych, prawe zaś w kierunku pól, a więc pustkowia.

Jan Valjean musiał dostosować swój krok do kroku Kozety, nie szli więc szybko.

Wziął ją znów na rękę. Kozę ta wsparła głowę na ramieniu opiekuna i nie mówiła nic.

On zaś odwracał się raz po raz i patrzył za siebie. Starał się trzymać zawsze zaciętej strony ulicy. Ulica za nim biegła prosto. Odwracając się z początku parę razy, nie spostrzegł nic; panowała głęboka cisza; szedł dalej, nieco uspokojony. Gdy obejrzał się znów w pewnej chwili, wydało mu się nagle, że na tym odcinku ulicy, który już przeszedł, coś porusza się daleko w cieniu.

Zaczął raczej biec niż iść, spodziewając się, że natrafi na jakąś boczną uliczkę, skreśli w nią i raz jeszcze zmyli pogoń.

Dopał do jakiegoś muru.

Mur ten jednak nie zamykał drogi, lecz obrzeżał uliczkę poprzeczną do tej, którą przeszedł Jan Val-jean.

I znów należało powziąć decyzję: skierować się na prawo czy na lewo.

Spojrzał w prawo. Miał przed sobą ślepą uliczkę, wzdłuż której stały jakieś budynki, szopy czy stodoły; w głębi wyraźnie było widać biały, wysoki mur, który zamykał ten zaułek.

Spojrzał w lewo. Z tej strony uliczka była otwarta i po dwustu krokach wpadała w inną ulicę, której była jakby dopływem. Z tej strony było ocalenie.

Już miał skręcić w lewo, by dostać się do owej ulicy, którą widział z daleka, gdy na skrzyżowaniu, ku któremu zmierzał, zobaczył postać ciemną, nieruchomą jak posąg.

Ktoś tam stał. Jakiś człowiek, niewątpliwie postawiony na straży, zagradzał przejście i czekał.

Jan Valjean cofnął się.

Punkt Paryża, w którym się znajdował, położony między przedmieściami Świętego Antoniego i Rapee, jest jedną z owych dzielnic, którą niedawno roboty publiczne odmieniły całkowicie, szpecąc, zdaniem jednych, wprowadzając korzystne przeobrażenia, zdaniem drugich. Znikły ogrody, szopy, stare domy. Dziś są tam szerokie nowe ulice, areny, cyrki, hipodromy, dworce kolei żelaznej i więzienie Mazas; postęp ze swoją korekturą.

Przed pół wiekiem w codziennej gwarze ludowej, przepojonej tradycją, w tej gwarze, która uparcie nazywa Instytut — Cztery Nacje, a Operę Komiczną — Feydeau, miejsce, w którym znajdował się Jan Val-jean, nosiło miano Petit-Picpus. Brama Św. Jakuba, brama Paryska, roгатka Sierżantów, Porcherons, Fregata, Celestyni, Kapucyni, Mail, Bagno, Krakowskie Drzewo, Małopolska, Petit-Picpus — oto nazwy dawnego Paryża, które przetrwały w nowym Paryżu. Pamięć ludu unosi się nad tymi szczątkami przeszłości.

Petit-Picpus, który zresztą nigdy nie stanowił prawdziwej dzielnicy, ale za ledwie jej zaczątek, miał klasztorny wygląd hiszpańskiego miasteczka. Jezdnie były tam lichy wybrukowane, ulice prawie niezabudowane. Z wyjątkiem dwóch czy trzech ulic, o których później będzie mowa, były tu tylko mury i pustka. Żadnych sklepów, żadnych pojazdów, za ledwie tu i ówdzie w oknach pełgający blask świecy; po godzinie dziesiątej wszystkie światła gasły. Sady, klasztory, składy drzewa, ogrody warzywne, nieliczne niskie domki i długie mury, tej samej wysokości co domki.

Tak w ubiegłym stuleciu wyglądała owa dzielnica. Już rewolucja źle się z nią obeszła; republikańskie władze miejskie zburzyły ją częściowo, poprzecinały, pokrajały. Wyznaczono tu punkty do zwalania gruzu. Lat temu trzydzieści dzielnica ta zaczęła znikać, ustępując miejsca nowym budowlom. Dziś znikła zupełnie. Na żadnym teraźniejszym planie miasta nie ma śladu dzielnicy Petit-Picpus; figuruje ona na planie z roku 1727, wydatnym w Paryżu u Dionizego Thierry, ul. Św. Jakuba naprzeciw ulicy Platre, i w Lyonie u Jana Girin, przy ulicy Merciere a la Prudence. Jak już mówiliśmy, ulice tworzyły tam literę Y, ulica Chemin-Vert-Saint-Antoine bowiem rozgałęziała się, przybierając na lewo nazwę małej uliczki Picpus, na prawo zaś — ulicy



Polonceau. Oba te ramiona litery Y połączone były u góry jakby poprzeczką, którą stanowiła ulica DroitMur. Tu kończyła się ulica Polonceau, mała uliczka Picpus biegła dalej, w kierunku rynku Lenoir. Doszedłszy więc do końca ulicy Polonceau — idąc od Se-kwany — po lewej ręce miało się ulicę Droit-Mur, skracającą pod kątem prostym, przed sobą mur tej ulicy, a po prawej ręce niewielkie, ślepo zakończone przedłużenie ulicy Droit-Mur, tak zwany zaułek Genrot.

W tym to właśnie miejscu znajdował się Jan Valjean.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że cofnął się, ujrawszy na rogu ulicy Droit-Mur i Picpus ciemną sylwetkę, stojącą na czatach.

Nie miał wątpliwości — ta zjawą czyhała na niego.

Co robić?

Nie czas już było zawracać. Owe cienie, które widział przed chwilą poruszające się daleko w mroku — był to bez wątpienia Javert wraz ze swym oddziałem. Javert doszedł już może do początku ulicy, na której końcu znajdował się Jan Valjean. Widocznie Javert znał te kręte zaułki i przedsięwziął środki ostrożności, posyłając jednego ze swych ludzi, by strzegł wyjścia. Te domysły, tak bliskie niestety prawdy — zaczęły kłębić się w zbolątej głowie Jana Valjean niby garść pyłu poderwana nagłym porywem wiatru. Spojrzał w zaułek Genrot — przeszkoda nie do przebycia; spojrzął w uliczkę Picpus — człowiek na czatach. Widział tę posępną postać, czarno rysującą się na bieli chodnika, skąpanego w poświacie księżyca. Iść naprzód — to natknąć się na tego człowieka. Cofnąć się — to wpaść na Javerta. Jan Valjean poczuł, że wpadł w sieć, która wolno zaciska się wokół niego. Z rozpaczą spojrzął w niebo.

## ROZDZIAŁ IV

### PRÓBY WYDOBYCIA SIĘ Z MATNI

Aby zrozumieć dalszy ciąg naszej opowieści, należy wyobrazić sobie dokładnie, jak wyglądała uliczka Droit-Mur, a przede wszystkim ten jej róg, który miało się po lewej ręce, skręcając w nią z ulicy Polonceau. Po prawej stronie uliczki Droit-Mur, aż do uliczki Picpus, ciągnął się szereg ubogich z wyglądu domów; po lewej zaś stał gmach o surowych liniach, złożony z kilku budynków, które w miarę jak zbliżały się do uliczki Picpus, wznosiły się o piętro lub dwa; tak że budowla owa, bardzo wysoka od strony uliczki Picpus, była dość niska od strony ulicy Polonceau. Tutaj na rogu, o którym mówiliśmy przed chwilą, kończyła się niewysokim murem. Mur ten nie dochodził właściwie do ulicy, lecz tworzył ścięty narożnik, cofnięty w głąb i ukryty dla oczu obserwatora zarówno od strony ulicy Polonceau, jak i od strony ulicy DroitMur.

Od tego ściętego narożnika mur ciągnął się w jedną stronę ulicą Polonceau, aż po dom oznaczony numerem 49, w drugą zaś ulicą Droit-Mur, gdzie był znacznie krótszy, dochodził bowiem tylko do owego ciemnego gmachu, o którym już wspominaliśmy, i przecinał jego szczyt, tworząc w ten sposób nowe załamanie linii ulicy. Szczyt domu wyglądał ponuro; było w nim tylko jedno okno, a raczej dwa skrzydła okiennic, obite blachą cynkową i zawsze zamknięte.

Opisujemy te miejsca z tak skrupulatną dokładnością, że bez wątpienia obudzą one wyraźne wspomnienia u dawnych mieszkańców tej dzielnicy.

Cały narożnik zajmowało coś, co przypominało olbrzymią, lichą skleconą bramę. Składała się ona z niezdarnie zbitych, pionowych desek, u góry szerszych, u dołu węższych, połączonych ze sobą długimi, poprzecznymi, żelaznymi sztabami. Obok były wrota normalnych rozmiarów, przebite nie dawniej niż jakie pół wieku temu.

W głębi, za narożnikiem, lipa wznosiła swe konary; od strony ulicy Polonceau mur był porośnięty bluszczem.

W chwili grożącego Janowi Valjean straszliwego niebezpieczeństwa ten ciemny gmach wydawał mu się niezamieszkały i opuszczony, i to go pociągało. Obrzucił go szybkim spojrzeniem. Jeśli zdoła tam się dostać — mówił sobie — może się uratuje. To była jego pierwsza myśl i nadzieja.

Pośrodku fasady, wychodzącej na ulicę Droit-Mur, wszystkie okna na różnych

piętrach były zaopatrzone w stare, ołowiane rynienki. Rozmaite rury, które biegły po fasadzie domu od głównej rynny do każdej z owych rynienek, tworzyły jakby zarys drzewa. Te rozgałęzienia rur, wyginających się w różnych kierunkach, przypominały bezlistne szczepy winne, rozpięte na murach starych, wieśniaczych zagród.

Dziwaczny szpaler cynkowych i żelaznych gałęzi od razu ściągnął wzrok Jana Valjean. Posadził Kozetę obok kamienia przy bramie, zaleciwszy jej, by była cicho, i podbiegł do miejsca, w którym rynna stykała się z ziemią. Może uda mu się wdrapać tędy na mur i dostać do wnętrza domu? Ale rynna była zepsuta, niezdatna do użytku i ledwo trzymała się muru. Poza tym wszystkie okna tego cichego domu, nawet okienka na strychu, miały grube żelazne kraty. A ponadto księżyc zalewał swoim światłem całą ścianę i człowiek, który stał na czatach na końcu ulicy, zobaczyłby Jana Valjean wspinającego się po murze. I wreszcie — co zrobić z Kozetą? W jaki sposób wciągnąć ją na wysokość trzypiętrowego budynku?

Poniechał tedy myśli wdrapania się po rynnie i przeczołgał się wzdłuż muru z powrotem na ulicę Polonceau.

Znalazłszy się przy ściętym narożniku, gdzie zostawił Kozetę, stwierdził, że tutaj nikt nie może go zobaczyć. Jak już wyjaśniliśmy, narożnik ten był chroniony ze wszystkich stron przed ludzkimi oczyma. Ponadto zalegał tu głęboki cień. Wreszcie były dwie bramy. Może jedną z nich da się wyważyć? Mur, zza którego Jan Valjean widział lipę i bluszcz, otaczał zapewne ogród, gdzie mógłby się przynajmniej ukryć, choć nie było jeszcze liści na drzewach, i przepędzić noc. Czas upływał. Trzeba było działać szybko. Obmacał wrota i poznał od razu, że są zabite od wewnątrz i od zewnątrz.

Z większą nadzieją zbliżył się do wielkiej bramy. Była bardzo zniszczona, sama jej wielkość sprawiała, że musiała być mniej mocna, deski były przegniłe, żelazne wiązania — zaledwie trzy — zżarte rdzą. Sądził, że te zbutwiałe wrota ustąpią bez trudu.

Przyjrząwszy się uważnie, zobaczył, że brama ta wcale nie była bramą. Nie miała ani zawiasów, ani, rygli, ani zamka, ani dwóch skrzydeł. Żelazne sztaby biegły przez całą jej szerokość. Przez szpary w deskach ujrzał niezdarny mur z głazów i kamieni, który przechodnie mogli oglądać jeszcze dziesięć lat temu. Z przerażeniem musiał sobie powiedzieć, że ta pozorna brama, była po prostu osłoną z desek, maskującą ścianę ukrytego za nią domu. Deskę mógłby oderwać bez trudu, ale wówczas natrafiał na mur.

## ROZDZIAŁ V

### KTÓRY BYŁBY NIEMOŻLIWOŚCIĄ, GDYBY ISTNIAŁO OŚWIETLENIE GAZOWE

W tej chwili z niezbyt wielkiej odległości doszedł go głuchy, miarowy odgłos. Odważył się wyrzeć za róg ulicy. Oddział złożony z siedmiu lub ośmiu żołnierzy wchodził w ulicę Polonceau. Zobaczył połyskujące bagnety. Żołnierze szli w jego kierunku.

Na ich czele rozpoznał wysoką postać Javerta. Żołnierze posuwali się wolno, ostrożnie, zatrzymując się często. Widać, badali każdy załomek muru, każdą bramę i wnękę.

Był to jakiś patrol, który jak słusznie domyślał się Jan Valjean, Javert napotkał i zabrał ze sobą.

Dwaj towarzysze Javerta szli razem z patrolem.

Zważywszy, że posuwali się wolno i przystawali często, za kwadrans doszliby do miejsca, w którym znajdował się Jan Valjean. Była to chwila straszliwa. Kilka minut dzieliło go od okrutnej przepaści, która rozwierała się przed nim po raz trzeci. Tym razem uwięzienie oznaczało nie tylko galery, lecz także utratę Kozety na zawsze, czyli życie w grobie.

Pozostała mu jedna możliwość. Można by powiedzieć, że do szczególnych właściwości Jana Valjean należało, iż niejako miał zawsze przy sobie dwie sakwy: w jednej nosił myśli świętego, w drugiej — niebezpieczne talenty galernika. Stosownie do okoliczności sięgał do jednej lub drugiej.

Wśród różnorodnych umiejętności, które nabył dzięki częstym ucieczkom z galer tulońskich, po mistrzowsku opanował, jak pamiętamy, nieprawdopodobną sztukę wspinania się po murze załamany pod kątem prostym, choćby do wysokości szóstego piętra, bez drabiny czy klamer, przy pomocy samych tylko mięśni, wspierając się karkiem, barkami, biodrami, kolanami, czasem tylko korzystając z rzadkich występów kamienia.

Dzięki tej właśnie sztuce, tak straszny i sławny stał się ów kąt dziedzińca więziennego Conciergerie w Paryżu, którą przed dwudziestu laty uciekł skazaniec nazwiskiem Battemolle.

Jan Valjean zmierzył wzrokiem mur, ponad którym widać było lipę; mógł mieć około osiemnastu stóp wysokości. Wgłębienie, utworzone w miejscu, gdzie mur

łączył się ze szczytem domu, w dolnej części wypełnione było trójkątnym, skośnym przymurkiem, który zapewne miał na celu chronić tę zbyt dogodną wnękę przed zatrzymywaniem się w niej „pośmiecuszek” zwanych przechodniami. Taka ochrona załamów muru jest często stosowana w Paryżu.

Przymurek sięgał mniej więcej wysokości pięciu stóp, tak że od jego wierzchołka na szczyt muru było zaledwie stóp czternaście.

Grzbiet muru nie był zębaty, lecz obłożony płaskimi kamieniami.

Nastręczała się jedna trudność: Kozeta. Kozeta nie umiała wspinać się po murze. Porzucić ją? Taka myśl nie powstała mu nawet w głowie. Wziąć ją ze sobą było niemożliwością. Jeśli ta dziwna wspinaczka ma się udać, człowiek musi zebrać wszystkie siły. Najmniejsze obciążenie zakłóca środek równowagi i grozi upadkiem.

Potrzebny był sznur. Jan Valjean nie miał sznura. Gdzie o północy znaleźć sznur na ulicy Polonceau? Gdyby Jan Valjean miał królestwo, z całą pewnością oddałby je w tej chwili za kawał sznura.

Każda krytyczna sytuacja miewa swoje błyskawice, które to nas oślepiają, to oświecają.

Zrozpaczone spojrzenie Jana Valjean padło nagle na latarnię stojącą w zaułku Genrot.

W owych czasach w Paryżu nie było jeszcze lamp gazowych. Z nastaniem mroku zapalano latarnie znajdujące się w pewnej odległości od siebie, spuszczano je i podnoszono za pomocą sznura biegnącego od jednej do drugiej i zwisającego w zagłębieniu, wyciętym w słupie latarni. Kołowrót, na który nakręcano ten sznur, był zamknięty pod latarnią w żelaznej szafce, klucz od niej miał człowiek zapalający latarnie; sam sznur zaś do pewnej wysokości chroniony był metalową rurką.

Z energią rozstrzygającego momentu walki Jan Valjean przesadził jednym skokiem ulicę, dopadł zaułka, końcem noża podważył rygiel od szafki, i po chwili był już przy Kozecie. Miał sznur. Ci posępni wynalazcy wybiegów w swych zmaganiach z losem nie mają czasu do stracenia.

Wyjaśnwszy, dlaczego owej nocy nie zapalono latarni. Latarnia w zaułku Genrot nie paliła się zatem, podobnie jak i inne, toteż przechodząc koło niej, można było wcale nie zauważyć, że lampa nie była na swoim miejscu.

Tymczasem późna pora, otoczenie, ciemności, widoczne zatroskanie Jana Valjean, jęgoniezrozumiałe ruchy, bieganie tam i z powrotem, wszystko to

zaczęło niepokoić Kozetę. Każde inne dziecko od dawna rozkrzyczałoby się. Ale Kozeta pociągnęła tylko opiekuna za połę surduta. Kroki nadchodzącego patrolu stawały się bliższe.

— Ojczy — szepnęła cichutko — boję się. Kto tu do nas idzie?

— Pst! To Thenardierowa — odrzekł nieszczęsny człowiek. Kozeta zadrżała. Jan Valjean dodał:

— Nie mów nic, nie przeszkadzaj mi. Jeśli będziesz krzyczeć i płakać, Thenardierowa cię zabierze. Idzie tutaj po ciebie.

Po czym bez pośpiechu, ale i bez zbędnych gestów, z precyzją zdecydowaną i szybką, tym godniejszą podziwu, że lada chwila mógł nadejść patrol żołnierzy z Javertem, odwiązał chustę z szyi, opasał nią Kozetę pod pachami, uważając, by nie uciskała dziecka, przywiązał chustkę do końca sznura węzłem, który w języku ludzi morza zwie się „jaskółczym”, drugi koniec sznura wziął w zęby, zdjął trzewiki i pończochy, przerzucił je przez mur, wszedł na przymurek i w rogu utworzonym przez mur i szczyt domu zaczęła piąć się w górę tak pewnie, jakby pod stopami miał szczeble drabiny. Nie upłynęło pół minuty, jak klęczał już na murze.

Kozeta patrzyła nań w osłupieniu, bez słowa. Polecenie Jana Valjean i imię Thenardierowej krew jej ścięło w żyłach.

Nagle usłyszała głos Jana Valjean, który wołał do niej po cichu:

— Oprzyj się o mur. Usłuchała.

— Teraz nic nie mów i nie bój się — dodał jeszcze Jan Valjean.

I nagle poczuła, że coś unosi ją w górę.

Nim miała czas pojąć, co to znaczy, już była na murze. Jan Valjean pochwycił ją, posadził sobie na plecach, objął jej obie małe dłonie lewą ręką, położył się na brzuchu i zaczął się czołgać wzdłuż grzbietu muru, aż do ściętego narożnika. Jak trafnie przypuszczał, stał tam budynek, którego dach zaczynał się na wysokości bramy drewnianej i opuszczał się bardzo nisko, dość łagodną pochyłością, przy samej lipie.

Pomyślna okoliczność, gdyż mur był tu nierównie wyższy niż od strony ulicy. Ziemię Jan Valjean dostrzegał gdzieś bardzo nisko.

Zbliżał się właśnie do pochyłej płaszczyzny dachu, nie zsunąwszy się jeszcze z grzbietu muru, gdy gwałtowna wrzawa obwieściła nadejście patrolu. Rozległ się

grzmiący głos Javerta:

— Przetrzęsnać ten zaułek! Ulica Droit-Mur jest strzeżona, uliczka Picpus także. Ręczę, że jest w zaułku!

Żołnierze wpadli w zaułek Genrol.

Trzymając cały czas Kozetę Jan Valjean zsunął się po dachu aż do lipy i zeskoczył na ziemię. Czy to ze strachu, czy z odwagi — Kozeta nie pisnęła ani słowa. Na rękach miała trochę pozdzieraną skórę.

## ROZDZIAŁ VI

### POCZĄTEK ZAGADKI

Jan Valjean znalazł się w rozległym, dziwnym ogrodzie; w jednym z tych smutnych ogrodów, które są jakby przeznaczone do tego, by oglądać je w zimie i w nocy. Ogród ten był podłużny; w głębi aleja wyniosłych topoli, po rogach dość wysokie drzewa, pośrodku otwarta przestrzeń z jednym olbrzymim, samotnym drzewem; poza tym kilka drzew owocowych, krzywych i rosochatych jak wielkie krzaki, zagony warzyw, grędy melonów przykryte lśniącoymi w blasku księżyca szklanymi kloszami i stary, ocembrowany dół ściekowy. Tu i ówdzie kamienne ławki, niemal czarne od porastających je mchów. Wszystkie ścieżki, obsadzone niewielkimi, ciemnymi drzewkami, biegły prosto. Połowa ogrodu zarosła trawą, resztę pokrywała zielona pleśń.

Jan Valjean stał obok domu, po którego dachu zsunął się na ziemię; opodal leżała kupa chrustu, za chrustem, tuż przy murze, blade majaczyła w mroku kamienna figura z poszczerbioną, podobną do bezkształtnej maski twarzą.

Dom ten był częściowo rumowiskiem; widać w nim było zburzone pokoje; jeden, zavalony rupieciami, służył widocznie za skład.

Wysoki budynek, który stał przy ulicy Droit-Mur i skręcał w uliczkę Picpus, wznosił nad ogrodem swe olbrzymie fasady, załamane pod kątem prostym. Od strony ogrodu wyglądały jeszcze posepniej niż od strony ulicy. Wszystkie okna były zakratowane. W żadnym z nich ani promyczka światła. Na wyższych piętrach okna zaopatrzone były w ochronne kosze jak w więzieniach. Cień jednego domu padał na drugi i kładł się na ogród, jak postaw czarnego sukna. Innych domów nie było widać. Reszta ogrodu ginęła we mgle i nocy. Jednakże rysowały się tam niewyraźne kontury stykających się ze sobą i ogradzających zapewne inne ogrody murów oraz niskich dachów zabudowań przy ulicy Polonceau.

Trudno wyobrazić sobie miejsce dziksze i bardziej pustynne niż ten ogród. Nie było w nim nikogo — rzecz całkiem naturalna o tak późnej godzinie — miało się jednak wrażenie, że po tym ogrodzie nie przechadza się nigdy nikt, nawet w samo południe.

Jan Valjean odszukał przede wszystkim buty i włożył je na nogi, po czym wszedł wraz z Kozetą do szopy. Uciekający ma wrażenie, że nigdy nie jest dość dobrze ukryty. Mała, mając wciąż w pamięci Thenardierową i idąc za głosem tego samego co i on instynktu, chciała również zaszyć się w najciemniejszy kąt.



Drżała i tuliła się do swego opiekuna. Słysząc było wrzawę patrolu, przetrząsającego zaułek i ulicę, uderzenia kolb o kamienie, nawoływanie Javerta na szpiclów postawionych na czatach, jego przekleństwa przeplatane słowami, których nie można było rozróżnić.

Po kwadransie te odgłosy burzy zaczęły się jak gdyby oddalać. Jan Valjean nie śmiał oddychać.

Lekko trzymał dłoń na ustach Kozety.

Zresztą pustkowiem, w którym się znajdował, tchnęło tak przedziwnym spokojem, że ów przeraźliwy zgiełk, tak wściekły i tak bliski, nie zmącił go ani trochę.

Wydawać by się mogło, że mury zbudowane są tu z owych niemych kamieni, o których mówi Pismo święte.

Nagle wśród tego głębokiego spokoju zabrzmiały dźwięki nowe, dźwięki niebiańskie, boskie, niewysłowione, dźwięki równie czarujące, jak tamte były okropne. Był to hymn rozlegający się w ciemności, ekstaza modlitwy i harmonii w mrocznej, przeraźliwej ciszy nocnej; śpiewały go głosy niewieście, ale głosy o dziewiczo czystym i zarazem dziecięco naiwnym brzmieniu, głosy nieziemskie, podobne tym, które nowonarodzone dzieci słyszą jeszcze, a które konający słyszą już. Śpiew wydobywał się z ciemnego budynku górującego nad, ogrodem. Rzekłbyś, że w chwili gdy oddalała się szatańska wrzawa, chóry anielskie zbliżały się w mroku.

Kozeta i Jan Valjean padli na kolana.

Nie wiedzieli, co to znaczy, nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ale czuli oboje — mężczyzna i dziecko, skruszony grzesznik i niewinna istota — że powinni klęczeć.

Tym dziwniejszy był ów śpiew, że gmach, z którego płynął, wydawał się nadal pusty. Nadprzyrodzone głosy zdawały się śpiewać w niezamieszkałym domu.

Póki trwał śpiew, Jan Valjean nie myślał o niczym. Nie widział już ciemności, widział błękitne niebo. Zdawało mu się, że czuje, jak rozwijają się w nim skrzydła, które każdy z nas ma w duszy.

Śpiew ucichł. Trwał może długo. Jan Valjean nie umiałby na to odpowiedzieć. Godziny ekstazy są zawsze jedną chwilą.

Zapadła głęboka cisza. Głucho było na ulicy, głucho w ogrodzie. Zniknęło to, co groziło, i to, co koło. Tylko suche trawy na murze, poruszane wiatrem,

szeleściły łagodnie i smutno.

## ROZDZIAŁ VII

### ZAGADKA TRWA

Zerwał się zimny, nocny powiew, widocznie musiało być między pierwszą a drugą po północy. Biedna Kozeta nie mówiła nic. Usiadła na ziemi koło Jana Valjean i oparła głowę o niego. Myślał, że usnęła. Schylił się i popatrzył na nią. Dziewczynka miała oczy szeroko otwarte, a minę tak poważną, że ścisnęło mu się serce. Kozeta dygotała nieustannie.

— Czy chce ci się spać? — zapytał.

— Zimno mi bardzo — odrzekła. Po chwili dodała:

— Czy ona jest jeszcze tutaj?

— Kto taki? — zapytał Jan Valjean.

— Pani Thenardier.

Zapomniał zupełnie, jakiego chwycił się sposobu, aby Kozeta słowem się nie odezwała.

— Ach nie! Już jej nie ma. Nie bój się niczego. Mała odetchnęła, jakby ciężar spadł jej z piersi. Ziemia była wilgotna, w szopie wiało ze wszystkich stron, podmuchy wiatru stawały się coraz mroźniejsze. Jan Valjean zdjął surdut i otulił nim Kozetę.

— Ciepłej ci teraz? — zapytał.

— O tak, ojczy!

— To poczekaj tu na mnie. Za chwilę wrócę.

Wyszedł z murowiska i zaczął iść wzdłuż dużego budynku w poszukiwaniu lepszego schronienia. Napotkał niejedne drzwi, ale wszystkie były zamknięte, okna zaś na parterze zaopatrzone w grube kraty.

Gdy minął wewnętrzny kąt budynku, ujrzał nagle sklezione okna, a w nich blade światło. Wspiął się na palce i zajrzał przez jedno z nich do środka. Były to, jak się okazało, okna obszernej sali o posadzce z szerokich kamiennych płyt, przedzielonej arkadami i filarami, w której pełgało nikłe światło i snuły się wielkie cienie. Światło płynęło z wiecznej lampki palącej się w jednym kącie.

Sala była pusta; nie poruszało się w niej nic. Gdy jednak Jan Valjean przyjrzał się lepiej, wydało mu się, że widzi na kamiennej posadzce jakby rozpostarty całun, przykrywający coś, co przypominało kształt ludzki. Postać ta leżała z twarzą przywartą do kamieni, z rozkrzyżowanymi ramionami, w zastygłym bezruchu śmierci. Jakiś zwój, na kształt węża skręcony na posadzce, nasuwał myśl, że owa posępna postać miała sznur na szyi.

Cała sala tonęła w mglistej pomroce, co powiększało jeszcze grozę.

Jan Valjean nieraz mawiał potem, że wśród wielu ponurych obrazów, które przesunęły się przez jego życie, nie widział nigdy nic równie mroźnego krew w żyłach, równie przeraźliwego jak ta ujrzana w nocy zagadkowa postać, spełniająca jakieś tajemnicze misterium w mrocznej sali. Straszna była myśl, że to trup, jeszcze straszniejsza, że to człowiek żywy.

Odważył się przywrzeć czołem do szyby, patrząc, czy ten kształt się poruszy. Stał tak czas jakiś, który wydał mu się bardzo długi, ale leżąca postać trwała w bezruchu. Nagle ogarnęło go niewypowiedziane przerażenie — uciekł. Zaczął biec w kierunku szopy, bojąc się obejrzeć za siebie. Miał wrażenie, że jeśli obróci głowę, zobaczy ową postać sunącą za nim wielkimi krokami i wymachującą ramionami.

Zadyszany dopadł do szopy. Kolana uginały się pod nim, pot spływał mu wzdłuż grzbietu.

Gdzie się znajdował? Kto mógłby kiedykolwiek przypuścić, by w samym środku Paryża istniało miejsce tak podobne do grobowca? Co to był za przedziwny dom? Dom pełen nocnych tajemnic, przyzywający wśród mroku dusze głosem aniołów, a gdy się one zbliżą, ukazujący im nagle przerażające wizje; obiecujący promiennie bramy niebios, a otwierający przeraźliwe bramy grobu! A był to przecież zwyczajny budynek, dom oznaczony numerem przy określonej ulicy. To nie był sen! Jan Valjean musiał dotknąć jego murów, by w to uwierzyć.

Zimno, niepokój, wzburzenie, wzruszenia całego wieczora przyprawiły go o prawdziwą gorączkę, a wszystkie te myśli rozsadzały mu głowę.

Zbliżył się do Kozety. Spała.

## ROZDZIAŁ VIII

### ZAGADKA STAJE SIĘ CORAZ CIEMNIEJSZA

Dziewczynka usnęła położywszy głowę na kamieniu.

Usiadł obok i zaczął się w nią wpatrywać. Gdy tak na nią patrzył, odzyskiwał powoli, spokój i jasność myśli. Wyraźnie uświadamiał sobie prawdę, która od tej pory miała się stać treścią jego życia: dopóki ona z nim będzie, dopóki będzie ją miał przy sobie, jeśli czego zapragnie — to tylko dla niej, jeśli się czegoś będzie bał — to tylko ze względu na nią. Nie czuł nawet, jak bardzo był przemarznięty nie mając surduta, którym przykrył Kozetę.

Jednakże mimo zamyślenia, w jakim się pogrążył, od pewnego czasu słyszał jakiś osobliwy dźwięk, niby brzęczenie dzwonka, którym ktoś potrząsał. Dźwięk ten rozlegał się w ogrodzie; słyszać go było wyraźnie, choć słabo. Przypominał delikatne brzęczenie dzwonek bytła na pastwisku w nocy.

Na ten dźwięk Jan Valjean odwrócił się.

Rozejrzał się i spostrzegł, że ktoś jest w ogrodzie.

Istota, wyglądająca na mężczyznę, chodziła wśród grzęd melonów, schylając się, prostując, przystając; czyniła przy tym rytmiczne ruchy, jakby coś ciągnęła czy też rozkładała na ziemi. Istota owa jak gdyby kuląta.

Jan Valjean zadrżał tym nieustającym drżeniem ludzi nieszczęśliwych. Wszystko jest im wrogie i podejrzane. Boją się dnia, bo za dnia łatwo ich zobaczyć, boją się nocy, bo w nocy łatwo ich zaskoczyć. Przed chwilą drżał dlatego, że ogród był pusty; teraz drżał dlatego, że ktoś w nim był.

Lęk urojony ustąpił miejsca przerażeniu rzeczywistemu. Myślał, że pewnie Javert wraz z policjantami nie odszedł jeszcze, że w każdym razie zostawił tu ludzi na czatach, że ten człowiek, jeśli go zobaczy w ogrodzie, narobi alarmu i wyda go w ręce policji. Ostrożnie wziął na ręce śpiącą Kozetę i zaniósł ją za stos starych, połamanych mebli, w najdalszy kąt szopy. Mała się nie poruszyła.

Z kryjówki obserwował ruchy człowieka kręcącego się wśród grządek melonów. Dziwne było to, że dźwięk dzwonka towarzyszył każdemu jego poruszeniu. Gdy zbliżał się, dźwięk zbliżał się również; gdy się oddalał, dźwięk również się oddalał; gdy robił żywszy ruch, towarzyszyło mu głośniejsze dzwonienie, gdy przystawał, dzwonek cichł. Wyglądało na to, że miał dzwonek przywiązany na sobie; ale co to miało znaczyć? Kim był ten człowiek, na którym wieszano

dzwonek jak na byku lub baranie?

Stawiając sobie te pytania, Jan Valjean dotknął ręk Kozety. Były zimne jak lód.

— Ach, mój Boże! — szepnął. Zawołał po cichu:

— Kozeto!

Nie otworzyła oczu. Potrząsnął nią gwałtownie. Nie ocknęła się.

— Czyżby umarła? — rzekł i zerwał się na równe nogi, drżąc od stóp do głów.

Najstraszniejsze myśli zaczęły mu się bezwładnie tłoczyć do głowy. Są chwile, w których okropne przypuszczenia oblegają nas jak tłum furii i siłą wdzierają się nam do mózgu. Gdy chodzi o tych, których kochamy, przezorność nasza zdolna jest wymyślić tysiące szaleństw. Przypomniał sobie, że sen na dworze w mroźną noc może być śmiertelny.

Kozeta, blada, osunęła się bezwładnie u jego stóp na ziemię. Zaczął nadśłuchiwać jej oddechu; oddychała, ale wydawało mu się, że oddech jej jest słaby i lada chwila może zagasnąć.

Jak ją rozgrzać? Jak obudzić? Te dwie myśli owładnęły nim, usuwając w cień wszystkie inne. Jak oszalały wybiegł z szopy.

Nim kwadrans upłynie, Kozeta musi bezwzględnie znaleźć się w łóżku przy ogniu.

# ROZDZIAŁ IX

## CZŁOWIEK Z DZWONKIEM

Poszedł wprost do człowieka, którego widział w ogrodzie.

W rękę ścisnął rulon pieniędzy, wyjęty z kieszeni kamizelki.

Tamten, pochylony nad grządką, nie widział go. Jan Valjean zrobił kilka kroków i znalazł się przy nieznanym.

Stanął przed nim, krzyząc:

— Sto franków!

Człowiek drgnął i podniósł głowę.

— Zarobicie sto franków — ciągnął Jan Valjean — jeśli mi dacie na tę noc schronienie!

Blask księżycy padł na jego wzburzoną twarz.

— Patrzcież! To wy, ojciec Madeleine?! — odezwał się człowiek.

Na dźwięk tego imienia, wypowiedzianego takim tonem o tej godzinie w tym nieznanym miejscu przez nieznanego człowieka, Jan Valjean cofnął się.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego. Ten, który tak do niego przemówił, był przygarbionym, kulawym starcem, ubranym z chłopska; na lewej nodze miał skórzany pasek, na którym wisiał spory dzwonek. Twarz była w cieniu, więc rysów nie można było rozpoznać.

Tymczasem poczciwy starowina zdjął czapkę i drżąc cały, zaczął wykrzykiwać:

— O mój Boże! Jakże dostaliście się tutaj, ojciec Madeleine? Którędy weszliście, u Boga Ojca? Spadliście chyba z nieba! Jedno jest pewne, że gdybyście mieli skądś spaść, to jużci, że stamtąd! Ale jakże to wyglądacie? Bez chustki na szyi, bez kapelusza, bez surduta? Moglibyście napędzić strachu komuś, kto by was nie znał? Bez surduta! Wielki Boże! Czy to święci teraz poszaleli?! Ale jak dostaliście się tutaj?

Jedno słowo goniło drugie. Staruszek gadał z ową chłopską rozlewnością, w której nie było nic niepokojącego. W słowach jego zdumienie łączyło się z

naiwną dobroduszością.

— Kto wy jesteście? Co to za dom? — zapytał Jan Valjean.

— O, dalibóg! Tego już za wiele! — zawołał stary. — Ja jestem tym, któremu znaleźliście tu pracę, a to dom, w którym znaleźliście mi tę pracę. Jakże to, nie poznajecie mnie?

— Nie — odparł Valjean. — Ale skąd wy mnie znacie?

— Uratowaliście mi życie — odparł człowiek.

Tu odwrócił się, promień księżyca oświetlił jego profil i Jan Valjean poznał starego Fauchelevant.

— Ach, to wy! — zawołał. — Tak, poznają was!

— Chwała Bogu! — rzekł stary z wymówką w głosie.

— Co tu robicie? — pytał dalej Jan Valjean.

— No, przecie przykrywam moje melony! Istotnie, w chwili gdy Jan Valjean go zagadnął, stary

Fauchelevant trzymał w ręku koniec słomianej maty, którą okrywał klosze osłaniające melony. Przez godzinę, którą pracował w ogrodzie, rozciągnął już kilka mat. Przy tych właśnie czynnościach wykonywał owe dziwne ruchy, które Jan Valjean zauważył z szopy. Stary ciągnął:

— Mówię sobie: księżyc świeci jasno, będzie przymrozek. Może by tak moje melony ustroić w kapoty? — Tu, spojrzawszy na Jana Valjeana, dodał z rubasznym śmiechem: — I wy, dalibóg, powinniście zrobić to samo! Ale jak dostaliście się tutaj?

Jan Valjean, widząc, że człowiek ten go zna, a w każdym razie zna go jako ojca Madeleine, stał się bardzo ostrożny. Wypytywał starego szczegółowo. I rzecz dziwna, role zdawały się odwracać: to on, intruz, stawiał pytania.

— Co znaczy ten dzwonek, który macie przywiązany do nogi?

— To? — odrzekł Fauchelevant. — To, żeby mnie unikano.

— Jak to? Żeby was unikano?

Stary Fauchelevant przymrużył oko z miną, której się nie da opisać.



— Ano, tak! Tutaj są tylko niewiasty; dużo młodych panienek. I podobno spotkanie ze mną byłoby dla nich bardzo niebezpieczne. Więc dzwonek je ostrzega. Kiedy się zbliżam, odchodzą.

— A co to za dom?

— No jakże! Wiecie dobrze sami.

— Nie, nie wiem.

— Przecież umieściliście mnie tutaj za ogrodnika!

— Odpowiedzcie tak, jakbym o niczym nie wiedział.

— No, to przecież klasztor Petit-Picpus!

Odżyły wspomnienia Jana Valjean'a. A więc przypadek — to znaczy Opatrzność, rzucił go właśnie do tego samego klasztoru w dzielnicy Świętego Antoniego, do którego dwa lata temu stary Fauchelevant, kaleka po wypadku z wozem, został przyjęty do pracy z jego rekomendacji. Powtórzył, jakby mówiąc do siebie:

— Klasztor Petit-Picpus!

— A tak, ale jak wyście się, u diaska, tu dostali, ojczyźnie Madeleine? Choć jesteście świętym człowiekiem, nie przestaliście być mężczyzną, a tu mężczyźni nie wchodzą.

— Wy tu jednak jesteście.

— Tylko ja.

— Jednakże — rzekł Jan Valjean — ja muszę tu pozostać.

— O mój Boże! — zawołał Fauchelevant.

Jan Valjean zbliżył się do starca i rzekł z powagą w głosie:

— Ojczyźnie Fauchelevant, uratowałem wam życie.

— Pierwszy o tym przypominałem — odparł Fauchelevant.

— Dziś wy możecie zrobić dla mnie to, co ja niegdyś zrobiłem dla was.

Fauchelevant ujął w swoje starcze, drżące, pomarszczone dłonie silne ręce Jana Valjean i przez parę chwil nie mógł wymówić słowa. Wreszcie zawołał:

— O, to byłaby wielka łaska boska, gdybym mógł wywdziękzyć się wam choć trochę! Ja? Uratować wam życie? O panie merze, niech pan rozporządza starym człowiekiem!

Radość jakby przeobraziła staruszkę. Blask bił z jego twarzy.

— Co mi pan rozkaże? — pytał dalej.

— Zaraz wam wytłumaczę. Czy macie jakąś izdebkę?

— Mam tu osobną chałupkę, tam, za ruinami dawnego klasztoru, w takim kącie, że wcale jej nie widać. Są w niej trzy pokoiki.

Istotnie, chatka była tak schowana za ruinami i tak ukryta przed ludzkimi oczyma, że Jan Valjean wcale jej nie zauważył.

— Doskonale — odrzekł. — A teraz mam do was dwie prośby.

— Jakie, panie merze?

— Po pierwsze, nie mówcie nikomu, co o mnie wiecie; po drugie, nie usiłujcie dowiedzieć się nic więcej.

— Stanie się według pańskiej woli. Wiem przecie, że pan nigdy nic złego nie zrobi i zawsze był pan pobożnym człowiekiem. A zresztą, to pan mnie tu umieścił. To pańska sprawa. Jestem na pana rozkazy.

— Zgoda. Teraz chodźcie ze mną. Pójdziemy po dziecko.

— O! — rzekł Fauchelevant. — Jest i dziecko! Nie dodał już ani słowa i poszedł za Janem Valjean jak pies za swym panem.

Nie minęło pół godziny, a Kozeta, zarumieniona w ciepłe bijącym od sutego ognia, spała w łóżku starego ogrodnika. Jan Valjean miał już na sobie surdut i chustkę, kapelusz przerzucony przez mur został również odnaleziony; gdy Jan Valjean nakładał surdut, Fauchelevant zdjął z nogi rzemień z dzwonkiem, który teraz zdobił ścianę, wisząc na gwoździu obok kosza.

Obaj mężczyźni grzali się, siedząc przy stole, na którym Fauchelevant postawił ser, kawał razowca, butelkę wina i dwie szklanki. Kładąc Janowi Valjean rękę na kolanie, starzec mówił:

— Ach, ojczyźnie! Nie poznaliście mnie od razu! Ratuje ludziom życie, a potem o nich zapominacie! O, to źle! Bo oni dobrze was pamiętają! Niewdzięcznik z was!



## ROZDZIAŁ X

### W KTÓRYM ZNAJDUJEMY WYTŁUMACZENIE, DLACZEGO JAVERT SPUDŁOWAŁ

Wypadki, których — żeby tak rzec — lewą stroną oglądaliśmy przed chwilą, rozwijały się w sposób bardzo prosty.

Po ucieczce Jana Valjean z więzienia miejskiego w Montreuil-sur-mer, tej samej nocy, kiedy Javert aresztował go przy łożu śmierci Fantyny, policja przypuszczała, że zbieg podążył do Paryża; Paryż bowiem to wir, w którym wszystko ginie; wszystko znika w tym centrum świata jak w centrum oceanu. Żadna puszcza nie skryje człowieka lepiej niż to ludzkie mrowisko. Wiedzą o tym zbiegowie różnego rodzaju. Ciągną do Paryża jak do czeluści; są bowiem czeluście, które stają się ocaleniem. Policja wie o tym również i w Paryżu szuka tych, których zgubiła gdzie indziej. Szukała tam też byłego mera Montreuil-sur-mer. Javert został wezwany do stolicy, aby kierować poszukiwaniami. Istotnie przyczynił się bardzo do ujęcia Jana Valjean. Jego inteligencja i gorliwość, które wykazał przy tej sposobności, zwróciły nań uwagę pana Chabouillet, sekretarza prefektury przy hrabi Angles. Pan Chabouillet, który już zresztą dawniej protegował Javerta, umieścił inspektora z Montreuil-sur-mer w policji paryskiej. Tu Javert oddał wiele różnych i — że użyjemy tu określenia, które wydaje się dość nieoczekiwane dla spraw tego rodzaju — rzetelnych usług.

Nie myślał już wcale o Janie Valjean — te psy gończe dla dzisiejszego wilka zapominają o wilku wczorajszym — gdy w grudniu 1823 roku wziął do ręki gazetę, on, który gazet nigdy nie czytywał, ale Javert, zażarty monarchista, chciał dowiedzieć się szczegółów triumfalnego wjazdu „księcia głównodowodzącego” do Bajonny. Gdy kończył interesujący go artykuł, uwagę jego przyciągnęło wypisane na dole strony nazwisko Jana Valjean. Dziennik donosił, że więzień Jan Valjean umarł, i podawał ten fakt tak wyraźnie, że Javert nie powziął żadnych wątpliwości. Pomyślał tylko: „Siedzi pod najpewniejszym zamknięciem”, odrzucił gazetę i więcej o tym nie myślał.

Po jakimś czasie prefektura policji z departamentu Seine-et-Oise przesłała prefekturze paryskiej raport w sprawie porwania dziecka, którego dokonano w gminie Montfermeil, w bardzo dziwnych, podobno, okolicznościach. Mała dziewczynka, siedmio- czy ośmioletnia, głosił raport, powierzona przez matkę opiece miejscowego karczmarza, została skradziona przez jakiegoś nieznanego osobnika; mała, która miała na imię Kozeta, była córką niejakiej Fantyny, dziewczyny zmarłej w szpitalu, nie wiadomo kiedy ani gdzie. Raport ten trafił do rąk Javertai bardzo go zastanowił.

Imię Fantyny było mu dobrze znane. Pamiętał, że Jan Valjean pobudził go do śmiechu, jego, Javerta, prosząc o trzy dni zwłoki, by pojechać po dziecko tej kreatury. Przypomniawszy sobie, że Jan Valjean został aresztowany w Paryżu, w chwili gdy wsiadał do dyliżansu jadącego do Montfermeil. Pewne szczegóły pozwalały nawet w owym czasie przypuszczać, że była to jego druga podróż tym dyliżansem i że poprzedniego dnia odbył już jedną wyprawę w okolice miasteczka, gdyż w samym miasteczku go nie widziano. Co mógł robić w okolicach Montfermeil? Tego odgadnąć nie umiano. Javert rozumiał to teraz. Mieszkała tam córka Fantyny. Po nią jeździł Jan Valjean. Otóż dziecko zostało skradzione przez jakiegoś nieznanego człowieka. Kim mógł być ten człowiek? Byłże to Jan Valjean? Ale Jan Valjean umarł.

Nic nikomu nie mówiąc Javert wynajął dwukółkę w oberży „Pod Cynowym Talerzem”, w zaułku Planchette, i pojechał do Montfermeil.

Spodziewał się, że tam wszystko się wyjaśni; jednakże wszystko zaciemniło się jeszcze bardziej.

W pierwszych dniach Thenardierowie, wściekli, rozpuścili języki. Zniknięcie „Skowronka” narobiło w miasteczku wiele hałasu. Natychmiast powstały różne odmiany tej historii, aż wreszcie ustaliła się wersja porwania dziecka. Stąd raport policji. Tymczasem Thenardier, ochłoniwszy z pierwszej złości i wiedziony swym niezawodnym instynktem, zrozumiał wkrótce, że nie warto nigdy poruszać pana prokuratora królewskiego i że skargi o „porwanie” Kozety zwróciłyby błyszczącą źrenicę sprawiedliwości przede wszystkim na niego — Thenardiera, i na wiele jego niewyraźnych sprawek. Sowy boją się przede wszystkim świecy. A przy tym jak wytłumaczyć się z otrzymanych tysiąca pięciuset franków? Zmienił natychmiast front, zakneblował usta żonie i udawał zdziwionego, gdy ktoś wspomniał o „skradzionym dziecku”. Nic z tego nie rozumiał; to prawda, w pierwszej chwili skarżył się, że „porwano” mu tak szybko drogie maleństwo; rad byłby, z wielkiego przywiązania, zatrzymać je jeszcze przez parę dni; ale był to „dziadek”, który w najzwyczajniejszy w świecie sposób przybył po małą. Dodał tego dziadka, bo to robiło dobre wrażenie. Taką to historyjką został uraczony Javert po przyjeździe do Montfermeil. Wobec osoby dziadka rozwiła się postać Jana Valjean.

Jednakże Javert zapuścił parę pytań, niby sondy, w opowiadanie Thenardiera.

— Kim był ten dziadek i jak się nazywał? Thenardier odparł z prostotą:

— To bogaty rolnik. Widziałem jego paszport. Nazywa się, o ile pamiętam, Wilhelm Lambert.

Lambert — to nazwisko poczciwe i budzące zaufanie. Javert wrócił do Paryża,

mówiąc sobie:

— Jan Valjean nie żyje, a ja jestem kiep. Zapomniał już o całej tej historii, gdy w marcu 1824 roku usłyszał o dziwnym jegomościu mieszkającym w parafii Św. Medarda. Nazywano go „żebrakiem rozdającym jałmużnę”. Ten jegomość, mówiono, był rentierem; nikt właściwie nie wiedział, jak się nazywa; mieszkał sam z dziewczynką ośmioletnią, która też nic nie wiedziała, poza tą jedną rzeczą, że przyjechała z Montfermeil. Montfermeil! Ta nazwa powracała ciągle i obudziła czujność Javerta. Stary żebrak-szpicel, dawny kościelny, któremu ów jegomość często dawał wsparcie, dodał kilka innych szczegółów. Ten rentier był bardzo nietowarzyski, wychodził tylko wieczorami, z nikim nie rozmawiał, czasem tylko zagadał do biednych i nikt nie miał doń dostępu. Nosił okropny, stary, żółty surdut, który wart był parę milionów, bo cały podszyty był banknotami. To opowiadanie pobudziło niezmiernie ciekawość Javerta. Aby móc obejrzeć niezwykłego rentiera z bliska, nie płosząc go, pożyczył pewnego dnia od żebraka łachmany i zasiadł w miejscu, w którym stary szpicel siadywał co wieczór, klepiąc przez nos pacierze i szpiegując poprzez słowa modlitwy.

„Podejrzany osobnik” podszedł istotnie do tak przebranego Javerta i wręczył mu jałmużnę. W tym momencie Javert podniósł oczy i wstrząsu, którego doznał Jan Valjean mniemając, że widzi Javert-a, doznał także Javert mniemając, że widzi Jana Valjean.

Jednakże ciemność mogła go wprowadzić w błąd; śmierć Jana Valjean była urzędowo stwierdzona. Ja-vert nie pozbył się wątpliwości, i to wątpliwości poważnych, a nie mając pewności, Javert jako człowiek skrupulatny — nigdy nikogo nie aresztował.

Poszedł za owym człowiekiem aż do rudery Gorbeau, tu pociągnął za język „starą”, co nie było rzeczą trudną. Starucha potwierdziła fakt o surducie podszytym milionami i opowiedziała mu historię tysiącfrankowego banknotu. Widziała go na własne oczy, dotykała! Javert wynajął pokój. Wprowadził się tam tego samego jeszcze wieczora. Przyszedł podsłuchiwać pod drzwi tajemniczego lokatora, spodziewając się, że usłyszy dźwięk jego głosu, ale Jan Valjean zobaczył blask świecy przez dziurkę od klucza i pokrzyżował plany szpiega, zachowując milczenie.

Nazajutrz Jan Valjean chciał zniknąć. Starucha usłyszała brzęk pięciofrankowej monety, którą upuścił, z przygotowywania pieniędzy domyśliła się, że lokator chce się wyprowadzić, i co prędzej zawiadomiła o tym Javerta. Wieczorem, gdy Jan Valjean wyszedł, Javert z dwoma ludźmi czekał na niego, ukryty za drzewami bulwaru.

Javert zażądał w prefekturze policji pomocy, ale nie wyjawiał imienia osobnika,

którego zamierzał ująć. To była jego tajemnica. Strzegł jej zazdrośnie z trzech powodów: przede wszystkim dlatego że najmniejsza nieostrożność mogłaby spłoszyć Jana Valjean; następnie dlatego że ujęcie zbiegłego galernika, uznanego za zmarłego, skazańca, którego niegdyś raporty władz sprawiedliwości umieściły raz na zawsze wśród „złoczyńców najgroźniejszego gatunku”, było sukcesem niebywałym i starzy funkcjonariusze policji paryskiej z pewnością nie odstąpiliby go nawoprzybytemu Javertowi; Javert bał się, że mu sprzątną sprzed nosa jego galernika; wreszcie Javert, jako artysta, lubił to, co nieoczekiwane. Nie znosił z góry zapowiadanych sukcesów, które rozgłaszanie przed czasem pozbawiało uroku. Lubiał opracowywać swe arcydzieła w cieniu i potem nagle je odsłaniać.

Javert szedł za Janem Valjean od drzewa do drzewa, potem od jednego rogu ulicy do drugiego, ani na sekundę nie tracąc go z oczu. Nawet wówczas gdy Jan Valjean czuł się najbardziej bezpieczny, wzrok Javerta go śledził.

Dlaczego Javert nie zaarrestował Jana Valjean? Dlatego że miał jeszcze wątpliwości.

Trzeba pamiętać, że w owych czasach policja nie miała całkowitej swobody działania: krępowała ją prasa niezależna. Echa kilku samowolnych aresztowań, ogłoszonych na łamach dzienników, dotarły aż do Izb; prefektura stała się ostrożniejsza. Zamach na wolność osobistą jednostki był sprawą poważną. Policjanci bali się pomyłek; prefekt ostro wziął się do nich.

Proszę sobie tylko wyobrazić, jakie wrażenie wywarłaby w Paryżu króciutka informacja, podana przez dwadzieścia dzienników: „W dniu wczorajszym zacny rentier, siwowłosa dziadek, zażywający przechadzki ze swoją ośmioletnią wnuczką, został wzięty za zbiegłego galernika, zatrzymany i osadzony w areszcie prefektury!”

Powtórzmy poza tym, że Javert miał własne skrupuły. Ostrzeżenia sumienia łączyły się z ostrzeżeniami prefekta. Wątpił rzeczywiście.

Jan Valjean, odwrócony do niego plecami, kroczył w ciemnościach.

Smutek, niepokój, lęk, przygnębienie, nowa zgryzota, jaką była dlań ta ucieczka nocą i szukanie na los szczęścia schronienia w Paryżu dla Kozety i dla siebie, konieczność dostosowania swego kroku do kroków dziecka, wszystko to sprawiło, iż bezwiednie nawet zmienił ruchy i przybrał postawę tak zgrzybiałego starca, że nawet policja, uosobiona w Javercie, mogła się omylić i istotnie się pomyliła. Niemożność podejścia zbyt blisko, ubiór starego guwernera emigranta, oświadczenie Thenardiera, że jest to dziadek Kozety, wreszcie przekonanie, że Jan Valjean umarł na galerach, wszystko to

powiększała jeszcze niepewność, jaka ogarnęła umysł Javerta.

W pewnej chwili przyszło mu na myśl, by zażądać od nieznanego okazania papierów. Jeśli jednak człowiek ten nie był Janem Valjean ani poczciwym, starym, zacnym rentierem, to musiał być spryciarzem, głęboko i umiejętnie wtajemniczonym w ciemną sieć przestępczego świata Paryża, jakimś niebezpiecznym przywódcą szajki, rozdającym jałmużnę, by ukryć inne swe talenty. Stare sposoby. Miał więc zapewne zauszników, spółników, mieszkania „na wszelki wypadek”, gdzie będzie usiłował teraz się schronić. Krążenie i kluczenie ulicami zdawało się wskazywać, że nie był to zwykły, stary poczciwiec. Aresztować go przedwcześnie — znaczyło zabić „złotodajną kurę”. I cóż szkodziło zaczekać? Javert był całkowicie pewny, że człowiek ów mu się nie wymknie.

Szedł więc dość niezdecydowany, stawiając sobie tysiące pytań na temat tajemniczego osobnika.

Dopiero znacznie później, na ulicy Pontoise, w jasnym świetle bijącym z jakiegoś szynku, rozpoznał z całą pewnością Jana Valjean.

Dwa stworzenia na tym świecie mogą zadrzeć aż do głębi swego jestestwa: matka, gdy odnajdzie dziecko, i tygrys, gdy odnajdzie łup. Javert zadrzał takim właśnie drzeniem.

Kiedy już zdecydowanie rozpoznał Jana Valjean, tego groźnego galernika, spostrzegł, że ma ze sobą tylko dwóch ludzi, i zażądał posiłków od komisarza policji z ulicy Pontoise. Nim się chwyci kolczastą gałąź, trzeba włożyć rękawice.

Przez tę zwłokę i naradę z policjantami na placyku Rollin omal nie zgubił tropu. Jednakże szybko odgadł, że Jan Valjean będzie chciał odgrodzić się rzeką od ścigających go ludzi. Schylił głowę i zastanowił się przez chwilę jak pies myśliwski, który z nosem przy ziemi węszy właściwy trop. Po czym, wiedziony swym potężnym i niezawodnym instynktem, ruszył prosto na most Austerlitzki. Jedno słowo poborcy myta wystarczyło mu:

— Widzieliście mężczyznę z małą dziewczynką?

— Kazałem mu zapłacić dwa su — odrzekł poborca. Javert przybył na most w porę, by zobaczyć po drugiej stronie wody Jana Valjean, który prowadząc za rękę Kozetę przechodził przez przestrzeń oświetloną blaskiem księżyca. Zobaczył też, jak skręcił w ulicę Chemin-Vert-Saint-Antoine; pomyślał od razu o zaułku

Genrot, który czekał jak zasadzka, i o jedynym wylocie ulicy Droit-Mur na uliczkę Picpus. „Zamknął odwód” — jak mówią myśliwi — wysyłając co prędzej



okreżną drogą jednego z policjantów, by pilnował tego wyjścia. Zajął też przechodzący patrol, który wracał na posterunek do Arsenału, i kazał mu iść ze sobą. W takich rozgrywkach żołnierze stanowią silny atut Zresztą, taka już jest zasada, że aby upolować odyńca, trzeba mieć umiejętności myśliwca i dużo psów. Wydawszy takie zarządzenia i wiedząc, że Jan Valjean został schwytany w potrzask, mając z prawej strony ślepy zaułek Genrot, z lewej policjanta, za sobą zaś jego samego, Javert zażył niuch tabaki.

A potem zaczął się bawić. Przeżywał chwilę szatańskiej radości: pozwolił człowiekowi iść przed sobą, wiedząc, że go ma w ręku, i chcąc odsunąć jak najdalej moment ujęcia; cieszył się, że go trzyma i widzi go wolnym, nie spuszczał zeń wzroku doznając podobnej rozkoszy jak pająk, który pozwala trzepotać się musze, i jak kot, który pozwala biegać myszy. Szpony i pazury odczuwają z jakąś potworną zmysłowością ukryte poruszenia zwierzyny, uwięzionej w ich kleszczach. Dusić — ileż w tym upojenia!

Javert rozkoszował się. Mocno powiązał oczka swojej sieci. Był pewien powodzenia. Pozostawało mu tylko zamknąć dłoń.

Eskortę miał tak silną, że wszelki opór był nie do pomyslenia, choćby Jan Valjean był nie wiedzieć jak energiczny, silny i doprowadzony do rozpacz.

Javert posuwał się powoli naprzód, badając i przeszukując po drodze każdy załomek muru, niczym kieszenie złodzieja.

Gdy doszedł do środka swej pajęczej sieci, nie znalazł w niej muchy.

Można sobie wyobrazić jego wściekłość.

Pytał człowieka stojącego na czatach na skrzyżowaniu ulic Droit-Mur i Picpus; lecz agent, który nie ruszył się ani krokiem ze swego posterunku, nie widział wcale, by ktoś przechodził.

Zdarza się, że jeleń wyniknie się z obławy, to znaczy, że mając sforę pędzącą tuż za sobą, umknie i wtedy najbardziej doświadczeni myśliwi nie wiedzą, co mówić. Duvivier, Ligniville i Desprez zapominają języka w gębie. Przy jednej takiej porażce Artonge zawołał: „To nie jeleń, to czarodziej!”

Javert chętnie powiedziałby to samo.

Rozczarowanie jego przez chwilę bliskie było rozpacz i wściekłości.

Faktem jest, że Napoleon popełnił błędy w wojnie z Rosją, że Aleksander popełnił błędy w wojnie z Indiami, że Cezar popełnił błędy w wojnie afrykańskiej, że Cyrus popełnił błędy w wojnie ze Scytami i że Javert popełnił

błędy w tej wyprawie przeciwko Janowi Val-jean. Zbłądził może, wahając się z rozpoznaniem dawnego galernika. Powinien był mu wystarczyć jeden rzut oka. Zbłądził nie zatrzymując go po prostu od razu w ruderze Gorbeau. Zbłądził nie aresztując go na ulicy Pontoise, gdy go ostatecznie rozpoznał. Zbłądził naradzając się ze swymi pomocnikami na placyku Rollin w jasnym świetle księżycy. Zapewne, rady mogą być użyteczne i dobrze jest radzić się psów, na których można polegać. Gdy jednak myśliwiec goni zwierzynę tak płochliwą jak wilk i galernik — przezorności nigdy nie jest za wiele. Javert był tak przejęty tym, by naprowadzić ogary na właściwy trop, że spłoszył zwierzynę, która zwietrzyła pogoń i umknęła. Nade wszystko jednak zbłądził wtedy, gdy odnalazł trop na moście Austeriitzkim, podjął groźną i dziecinną grę wodzenia na sznurku takiego człowieka. Przecenił swoje siły mniemając, że ze lwem można igrać jak z myszą. Równocześnie zaś nie doceniał swoich sił, uważając za rzecz konieczną zapewnić sobie posiłki. Szkodliwa ostrożność, niefortunna strata cennego czasu. Javert popełnił wszystkie te błędy, był jednak jednym z najzdolniejszych i najbardziej poprawnych wywiadowców policyjnych, jacy kiedykolwiek istnieli. Był to w całym tego słowa znaczeniu „pies roztropny”, że użyjemy tu myśliwskiego określenia. Któż jest jednak bez błędu?

Wielcy stratedzy miewają chwile zaćmienia.

Często wielkie głupstwa, podobnie jak grube sznury, powstają z mnogości drobnych włókien. Rozdziel taką linę na nitki, węz z osobna każdą z rozstrzygających pobudek, zrywasz jedną po drugiej i mówisz: „To tylko tyle!” Spleć i skręć je razem — to potęga, to Atylla wahający się między Marcjanem na wschodzie a Walentynianem na zachodzie; to Hannibal zwlekający w Kapui; to Danton zasypiający w Arcis-sur-Aube.

W każdym razie, widząc, że Jan Valjean mu się wymyka, Javert nie stracił głowy. Pewny, że zbiegły galernik nie może być daleko, rozstawiał czaty, urządzał zasadzki i pułapki i przeszukiwał dzielnicę przez całą noc. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oczy, była naruszona latarnia, od której odcięto sznur. Ta cenna wskazówka wprowadziła jednak Javerta w błąd, kierując wszystkie jego poszukiwania ku zaułkowi Genrot. W zaułku tym były niewysokie mury, a za nimi ogrody przechodzące w rozległe, nieuprawne tereny. Najoczywiściej Jan Valjean musiał tamtędy uciec. Istotnie, gdyby był więcej zagłębił się w zaułek, prawdopodobnie byłby tak postąpił i to by go zgubiło. Javert przeszukał te ogrody i tereny, jakby szukał igły.

O świcie postawił tam dwóch bystrych ludzi na straży, sam zaś wrócił do prefektury policji, zawstydzony jak szpicel, który dał się złapać złodziejowi.

# KSIEGA SZÓSTA

## KLASZTOR PETIT-PICPUS

### ROZDZIAŁ I

#### ULICZKA PICPUS, NUMER 62

Przed pół wiekiem brama pod numerem 62 przy uliczce Picpus nie różniła się niczym od każdej innej. Zazwyczaj zachęcająco uchylona, pozwalała dostrzec dwie rzeczy nie mające w sobie nic ponurego: podwórko otoczone murami porośniętymi winem i twarz kręcącego się po tym podwórku stróża. W głębi ponad murem widać było wysokie drzewa. Gdy promień słońca rozweselił podwórze, a lampka wina rozweseliła twarz stróża, trudno było minąć numer 62 przy uliczce Picpus, nie zachowując o nim pogodnego wspomnienia. Było to jednak ponure miejsce.

Próg się uśmiechał, dom modlił się i płakał.

Jeśli zdołałeś minąć stróża, co nie było łatwe, co nawet było dla wszystkich prawie niemożliwe, gdyż należało znać tutejsze „Sezamie, otwórz się!”, jeśli minąwszy stróża, skręciłeś w prawo i wszedłeś do małego przedsionka, z którego szły schody wciśnięte między dwie ściany i tak wąskie, że mogła się na nich zmieścić tylko jedna osoba, jeśli nie odstraszyła cię kanarkowo żółta malatura z piernikowym pasem u dołu, ciągnąca się wzdłuż schodów, jeśli odważyłeś się iść dalej, mijałeś pierwszą platformę schodów, potem drugą i dochodziłeś na pierwsze piętro, na korytarz, gdzie kanarkowa żółtość ścian z piernikowym pasem u dołu ścigały cię z niewzruszonym uporem. Dwa piękne okna oświetlały schody i korytarz. Korytarz skręcał i stawał się ciemny. Jeśli okrążyłeś ten przyładek, po paru krokach stawałeś przed tajemniczymi drzwiami, tajemniczymi tym bardziej, że nie były zamknięte. Pchnąwszy je, znajdowałeś się w małym, liczącym mniej więcej sześć stóp kwadratowych pokoiku z kamienną posadzką, wyszorowanym, czystym, zimnym, obitym nankinową tapetą w zielone kwiatuszki (piętnaście su za rulon). Blade, przytłumione światło padało z dużego okna pociętego na małe kwadraty szyb, które zajmowało całą szerokość lewej ściany. Patrzyłeś — i nie widziałeś nikogo; nadśłuchiwałeś — i nie słyszałeś ani kroków, ani żadnego szmeru zdradzającego obecność człowieka. Ściany były nagie; pokój pusty, bez jednego krzesła.

Rozejrzawszy się jeszcze, dostrzegłeś na ścianie naprzeciw okna czworokątny otwór wielkości jednej kwadratowej stopy, który osłaniały krzyżujące się

żelazne pręty, sękaty, mocne; tworzyły one kratę, powiedziałbym nawet — sieć, której oczka miały zaledwie jakieś półtora cala średnicy. Zielone kwiatuszki na tapecie spokojnie, w ordynku dochodziły do tych żelaznych prętów, bynajmniej nie przerażone ani nie spłoszone ponurym sąsiedztwem. Zakładając, że żywa istota mogłaby być tak doskonale chuda, by prześliznąć się przez otwór w ścianie, ta kratka uniemożliwiłaby jej przejście. Nie przepuściłaby ciała, lecz mogła przepuścić wzrok — czyli ducha. Pomyślano widać o tym, gdyż nieco w głębi za kratą znajdowała się umocowana do ściany żelazna płyta, przebita tysiącem maleńkich dziurek, mniejszych niż oczka w przetaku. U dołu tej płyty znajdował się otwór podobny do otworu w skrzynce do listów. Po prawej stronie zakratowanego okienka wisiała niciana taśma uwiązana do dzwonka.

Gdy pociągnąłeś za taśmę, rozległo się dzwonienie i wzdrygałeś się, usłyszawszy jakiś głos tuż obok ciebie.

— Kto tam? — pytał głos.

Był to głos niewieści, głos spokojny, tak spokojny, że aż grobowy.

Tutaj również trzeba było znać magiczne słowo. Jeśli go nie znałeś, głos milkł, a ściana znów stawała się cicha, jak gdyby za nią znajdowała się zakłócona na chwilę ciemność grobu.

Jeśli znałeś magiczne słowo, głos odpowiadał:

— Proszę wejść na prawo.

Wówczas po prawej stronie, naprzeciw okna, spostrzegąłeś oszklone drzwi, pomalowane na szaro, z okienkiem u góry. Naciskałeś klamkę, przekraczałeś próg i doznawałeś tego samego wrażenia co wchodząc do loży parterowej przed rozpoczęciem przedstawienia, kiedy nie spuszczone jeszcze kraty i nie zapalono świeczników. Istotnie, znajdowałeś się w miejscu, przypominającym wąską lożę teatralną, słabo rozjaśnioną mdłym światłem, sączącym się poprzez oszklone drzwi; umeblowanie składało się z dwóch starych krzesel i wystrzępionej słomianki; z przodu była barierka sięgająca pasa i zakończona rodzajem półki z czarnego drzewa. Łoża ta była okratowana; nie była to jednak kratka ze złoconego drzewa jak w Operze, ale potworna kratka z prętów żelaznych, przerażająco splątanych i przymocowanych do muru potężnymi uchwytami, podobnymi do pięści.

Po paru minutach, oswoiwszy się z piwnicznym półmrokiem, wzrok usiłował sięgnąć za kratę, ale nie mógł wybiec dalej niż na sześć cali. Tu napotykał na przeszkodę z czarnych zasłon, zabezpieczonych i wzmocnionych za pomocą drewnianych listew pomalowanych na kolor piernikowo-żółty. Zasłony owe,

składające się z wąskich, pionowych, połączonych ze sobą deszczulek, zakrywały całą szerokość kraty i były zawsze zamknięte.

Po paru chwilach zza zasłony odzywał się głos, który wypowiadał twoje imię i mówił:

— Jestem. Czego żądasz ode mnie?

Był to głos drogi, czasem głos ukochany nade wszystko. Nie widać było nikogo. Słysząc było zaledwie szmer oddechu. Zdawało się, że to duch przyzwany z zaświatów mówi poprzez płytę grobową.

Czasami, bardzo rzadko, w pewnych specjalnych okolicznościach, wąski pas zasłony odsuwał się naprzeciw ciebie i duch stawał się zjawą. Za kratą, za zasłoną spostrzegało się — o ile na to pozwalała kratka — głowę, a właściwie tylko usta i brodę; resztę osłaniał czarny welon. Widziałeś czarny kwef i niewyraźnie majaczącą postać, spowitą czarnym całunem. Ta głowa mówiła do ciebie, lecz nigdy na ciebie nie patrzyła i nie uśmiechała się.

Światło, padające zza ciebie, umieszczone było w taki sposób, że postać wydawała ci się za kratą jasna, ty zaś wydawałeś się jej — ciemny. To światło było symbolem.

Jednakże poprzez rozsuniętą zasłonę wzrok zagłębiał się chciwie w to miejsce, niedostępne dla ludzkich oczu. Głęboka pustka spowijała tę postać w żałobie. Natężyłeś wzrok, usiłując zobaczyć, co otacza zjawę. Wkrótce zdawałeś sobie sprawę, że nie widzisz nic.

To, co widziałeś, było nocą, próżnią, ciemnością, zimową mgłą zmieszaną z tumanem mogilnym, jakimś przerażającym spokojem, ciszą, z której nie dochodził żaden szmer, nawet westchnienie; mrokiem, w którym nie mogłeś dostrzec nic, nawet widma.

To, co widziałeś, było wewnątrz klasztoru.

Wnętrzem tego posępnego i surowego domu, zwanego klasztorem bernardynek Nieustającej Adoracji. Łoża, w której się znajdowałeś — to rozmównica. Pierwszy głos, który odezwał się do ciebie — to głos furtianki, która siedziała zawsze, nieruchoma i milcząca, po tamtej stronie ściany, tuż przy czworokątnym otworze w murze, chronionym żelazną kratą i podziurkowaną płytą, niby podwójną przyłbicą. Zakratowana łoża tonęła w półmroku dlatego, że rozmównica, mająca jedno okno od strony świata, nie miała żadnego okna od strony klasztoru. Oczom profanów nie wolno było oglądać świętego miejsca.

A jednak poza tą ciemnością coś się kryło, poza ciemnością była światłość; było

życie w tej śmierci. Choć klasztor ten był zamknięty bardziej od innych, spróbujemy tam wejść, wprowadzić tam czytelnika, i — zachowując miarę — opowiedzieć rzeczy, których powieściopisarze nigdy nie widzieli, i co za tym idzie, nie mogli opowiedzieć.

## ROZDZIAŁ II

### OBEDIENCJA MARCINA VERGI

Klasztor, który w roku 1824 od wielu już lat mieścił się przy uliczce Picpus, należał do zgromadzenia bernardynek obediencji Marcina Vergi. Zatem bernardynki te nie wywodziły się z Clairvaux, jak bernardyni, lecz z Citeaux jak benedyktyni. Innymi słowy, podlegały Św. Benedyktowi, a nie Św. Bernardowi.

Kto szperał kiedykolwiek w starych foliałach, wie, że Marcin Verga założył w roku 1425 zgromadzenie bernardynek-benedyktynek, z główną siedzibą w Salamance i domem filialnym w Alkali. Zakon ten rozkrzewił się we wszystkich katolickich krajach Europy. Takie zaszczerpanie jednego zakonu na drugim spotyka się często w kościele rzymskim. By ograniczyć się tylko do zakonu Św. Benedykta, o którym tu mowa, należą do niego — nie licząc obediencji Marcina Vergi, cztery kongregacje — dwie we Włoszech: Monte Cassino i Św. Justyny w Padwie, oraz dwie we Francji: Cluny i Saint-Maur; poza tym dziewięć zakonów: Valombrosa, Grammont, celestyni, kameduli, kartuzi, bracia pokorni, oliwatorowie, sylwestrianie i cystersi; cystersi bowiem, pień, z którego wyrosły inne zakony, sami są odgałęzieniem zakonu Św. Benedykta. Cystersów założył Św. Robert, opat z Molesme w diecezji Langres, w roku 1098. Otóż w roku 529 diabeł, który schronił się w pustelni w Subiaco (był stary, czyżby stał się pustelnikiem?), został wypędzony przez siedemnastoletniego wówczas Benedykta z dawnej świątyni Apollina, w której mieszkał.

Po regule karmelitanek, które chodzą boso, noszą na szyi rodzaj obroży z wikliny i nigdy nie siadają, najostrzejszą regułą jest reguła bernardynek-benedyktynek Marcina Vergi. Ubierają się one na czarno i noszą kwef, który — zgodnie z wyraźnym nakazem św. Benedykta — sięga aż pod brodę. Oto ich strój: habit z serży z szerokimi rękawami, wielki welon wełniany, kwef sięgający pod brodę i zakończony kwadratowym plastronem na piersi, opaska, zakrywająca czoło aż po oczy. Wszystko jest czarne z wyjątkiem opaski, która jest biała. Ubiór nowicjuszek jest taki sam, tylko wszystko jest białe. Profeski noszą poza tym u boku różaniec.

Bernardynki-benedyktyнки Marcina Vergi praktykują Nieustającą Adorację, podobnie jak benedyktyнки, zwane sakramentkami, które na początku naszego stulecia miały w Paryżu dwa domy — jeden w Tempie, drugi przy ulicy Nowej Św. Genowefy. Poza tym bernardynki-benedyktyнки z Petit-Picpus, o których tu mowa, były zakonem zupełnie innym niż panny sakramentki, mieszczące się przy ulicy Nowej Św. Genowefy i w Tempie. Różniły je, i to bardzo znacznie, reguła oraz ubiór. Bernardynki-benedyktyнки z Petit-Picpus miały kwefy czarne,

sakramentki z ulicy Nowej Św. Genowefy białe, poza tym zaś nosiły na piersi wyobrażenie Najświętszego Sakramentu z połączanego srebra lub miedzi, wielkości mniej więcej trzech cali. Nie nosiły go zakonnice z Petit-Picpus. Poza Nieustającą Adoracją, wspólną dla klasztoru Petit-Picpus i klasztoru w Tempie, oba zakony różnią się pod każdym względem. Ta praktyka stanowi jedyne podobieństwo między pannami sakramentkami i bernardynkami Marcina Vergi, tak jak rozpamiętywanie i sławienie tajemnic związanych z dzieciństwem, życiem oraz śmiercią Chrystusa i Panny Marii łączyło dwa zakony, bardzo różne, a nieraz wrogie — oratorianów włoskich, założonych we Florencji przez Filipa Nereusza, i oratorianów francuskich założonych w Paryżu przez Piotra Berulle'a. Oratorianie paryscy twierdzili, że mają prymat, gdyż Berulle był kardynałem, a Filip Nereusz tylko świętym.

Powróćmy do surowej, hiszpańskiej reguły Marcina Vergi.

Bernardynki-benedyktynki, należące do tej reguły, poszczą przez cały rok, suszą w post i w wiele innych wyznaczonych dni, zrywają się w godzinę po północy z pierwszego snu, by do trzeciej rano czytać brewiarz i śpiewać Jutrznę; przez cały rok śpią na prześcieradłach z serży i na słomie, nie kąpią się, nie opalają cel, co piątek ćwiczą się dyscypliną, przestrzegają milczenia, rozmawiają tylko podczas rekreacji, bardzo krótkich, i przez sześć miesięcy w roku od 14 września, tj. od dnia Podwyższenia Krzyża Św. aż do Wielkiejnocy noszą koszule z wełnianej materii. Sześć miesięcy — to już jest złagodzenie reguły, która nakazuje nosić takie koszule przez cały rok. Noszenie wełnianej koszuli, tak uciążliwe podczas letnich upałów, powodowało gorączki i spazmy nerwowe, wobec czego trzeba było ograniczyć jej używanie. Jednakże nawet po tym złagodzeniu, gdy zakonnice przywdzieją 14 września owe koszule, dostają gorączki, która trwa przez kilka dni. Posłuszeństwo, ubóstwo, czystość, stała klauzura — oto ich śluby, bardzo obostrzone przez regułę.

Przeorysza wybierana jest na trzy lata przez matki, zwane „matkami głosującymi”, gdyż posiadają prawo głosu w kapitule. Przeorysza może być wybrana ponownie najwyżej dwa razy, zatem okres jej rządów nie przekracza nigdy dziewięciu lat. Zakonnice nie widzą kapłana odprawiającego nabożeństwa, gdyż kryje go zasłona rozpięta na wysokość siedmiu stóp. Podczas kazania, gdy kaznodzieja jest w kaplicy, opuszczają welon na twarz. Powinny mówić cicho, chodzić z oczyma utkwionymi w ziemię i spuszczoną głową. Jeden tylko mężczyzna ma prawo wejść do klasztoru — arcybiskup diecezji.

Drugim mężczyzną, mającym również to prawo, jest ogrodnik; jest to zawsze starzec, który pracuje sam w ogrodzie i któremu przywiązuje się dzwonek do nogi, by zakonnice wiedziały, gdzie się znajduje, i mogły go unikać.



Zakonnice są posłuszne swej przeoryszy uległością absolutną i bierną. Jest to posłuszeństwo kanoniczne z całym wyrzeczeniem się siebie. Jak na głos Chrystusa — *ut voci Christi* — na skinienie, na pierwszy znak — *ad nutum, ad primum signum* — natychmiast, z radością, z wytrwałością, z ślepym jakby posłuszeństwem — *prompte, hilariter, perseveranter et caeca quadam obedientia* — niby pilnik w ręku rzemieślnika — *quasi limam in manibus fabri* — nie mając prawa nic czytać ani pisać bez specjalnego zezwolenia — *legere, vel scribere non addiscerit sine eocpressa superioris licentia*.

Każda z nich odprawia po kolei to, co one nazywają „zadośćuczynieniem”. Zadośćuczynienie — to modlitwa za wszystkie grzechy, za wszystkie winy, za wszystkie nieprawości, za wszystkie gwałty, za wszystkie niegodziwości, za wszystkie zbrodnie popełnione na ziemi. Przez całe dwanaście godzin — od czwartej po południu do czwartej rano albo od czwartej rano do czwartej po południu — siostra odprawiająca „zadośćuczynienie” klęczy przed Najświętszym Sakramentem na kamiennej posadzce, ze złożonymi rękoma i sznurem na szyi. Gdy zmęczenie jest już ponad siły, kładzie się krzyżem — to całe jej wytchnienie. W tej postawie modli się za wszystkich grzeszników świata. Jest to tak wielkie, że aż wzniosłe.

A że akt ten odprawiany jest koło słupa, na którym płonie gromnica, mówi się „odprawiać zadośćuczynienie” lub „być u słupa”. Zakonnice wolą nawet — przez pokorę — używać tego drugiego określenia, które zawiera w sobie pojęcie kary i poniżenia.

W akcie „zadośćuczynienia” pogrążają się całą duszą, siostra klęcząca u słupa nie odwróciłaby się, gdyby piorun uderzył koło niej.

Poza tym jedna zakonnica klęczy zawsze przed Najświętszym Sakramentem. Trwa to godzinę. Zmieniają się jak żołnierze na warcie. Jest to Nieustająca Adoracja.

Przeorysze i matki zakonne noszą zazwyczaj imiona nacechowane specjalną powagą, które przywodzą na myśl nie świętych i męczenników, lecz zdarzenia z życia Chrystusa: matka od Narodzenia Bożego, matka od Niepokalanego Poczęcia, matka od Ofiarowania, matka od Męki Pańskiej. Używanie imion świętych nie jest zresztą zakazane.

Podczas odwiedzin widzi się tylko ich usta. Wszystkie zakonnice mają żółte zęby. Nigdy szczotka do zębów nie przedostała się do klasztoru. Myć zęby — to pierwszy szczebel drabiny, której ostatnim szczeblem jest zatura duszy.

Nie mówią nigdy: moje. Nie mają nic swojego i do niczego nie wolno im się przywiązywać. O wszystkim mówią: nasze, a więc: nasz welon, nasz szkaplerz;

gdyby mówiły o swej koszuli, powiedziałyby: nasza koszula. Czasem przywiążą się do jakiegoś drobiazgu, do książki do nabożeństwa, relikwiarza, poświęconego medalika. Jak tylko zauważą to przywiązanie, natychmiast powinny ów przedmiot oddać. Pamiętają słowa świętej Teresy, którą prosiła pewna wielka dama mająca wstąpić do jej zakonu: „Niech matka zezwoli mi posłać po moją biblię, do której jestem bardzo przywiązana.” — „O, jesteś do czegoś przywiązana! W takim razie nie wstępuj do naszego zgromadzenia.”

Żadnej zakonnicy nie wolno zamknąć się, być u „siebie”, mieć „swój pokój”. Żyją w otwartych celach. Gdy się spotykają, jedna mówi: „Niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza.” Druga odpowiada: „Na wieki wieków.” Ta sama ceremonia powtarza się, gdy jedna stuka do drzwi celi drugiej. Za ledwie dotknie drzwi, już z drugiej strony cichy głos odpowiada pospiesznie: „Na wieki wieków.” Podobnie jak wszystkie praktyki, tak i ta — mocą przyzwyczajenia — staje się machinalna i niejedna zakonnica odpowiada: „Na wieki wieków”, zanim druga zdoła wypowiedzieć — dość długie zresztą — zdanie: „Niechaj będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza.”

U wizytek wchodząca mówi: „Ave Maria”, na co otrzymuje odpowiedź: „Gratia plena.” To ich „dzień dobry” jest zaiste pełen gracji. W ciągu dnia co godzina dzwon kaplicy klasztornej wybija trzy dodatkowe uderzenia. Na ten sygnał przeorysza, matki głosujące, profeski, konwerski, nowicjuszek, postulanki przerywają swoje słowa, robotę czy myśli i mówią chórem, jeśli jest np. godzina piąta: „O piątej godzinie i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza.” Jeśli jest ósma: „O ósmej godzinie i o każdej godzinie...”, i tak dalej, zależnie od godziny.

Ten zwyczaj, mający na celu przerywać myśl i zwracać ją wciąż ku Bogu, istnieje w wielu innych zgromadzeniach, tylko formuła bywa inna. Tak na przykład u Dzieciątka Jezus mówi się: „O tej godzinie i o każdej godzinie niech miłość Jezusa rozpala me serce.”

Benedyktynki-bernardynki Marcina Vergi, mieszkające przed pięćdziesięciu laty w klasztorze Petit-Picpus, śpiewają przez cały czas trwania nabożeństwa na niską nutę, zawsze pełnym głosem, wedle nieskażonego gregoriańskiego stylu. Tam gdzie w mszale jest gwiazdka, przerywają i mówią po cichu: „Jezus, Maria, Józef.” Podczas nabożeństw żałobnych biorą tony tak niskie, że prawie nie do wzięcia dla głosów kobiecych. Śpiew ich staje się w ten sposób przejmujący i tragiczny.

Zakonnice z Petit-Picpus kazały zrobić pod głównym ołtarzem kryptę dla zmarłych ze swego zgromadzenia. „Rząd” — jak mówiły — nie pozwolił wstawiać trumien do tego grobowca. Tak więc, po śmierci, musiały opuszczać

klasztór. Smuciło je to i przerażało jako naruszenie reguły.

Uzyskały zezwolenie — niewielka to była pociecha — na grzebanie swoich zmarłych o pewnej specjalnie wyznaczonej godzinie w osobnym kącie cmentarza Vaugirard, który mieścił się na gruntach należących niegdyś do zgromadzenia.

W czwartki zakonnice słuchają sumy, niesporów i innych nabożeństw tak samo jak w niedzielę. Ponadto przestrzegają skrupulatnie wszystkich najmniejszych świąt prawie nie znanych ludziom świeckim, którymi kościół niegdyś hojnie szafował we Francji i szafuje nadal w Hiszpanii i we Włoszech. W kaplicy spędzają bardzo wiele czasu. Najlepiej zdamy sobie sprawę z ilości i z długości ich modłów, przytaczając naiwne zdanie jednej z zakonnice: „Modlitwy postulantek są straszne, modlitwy nowicjuszek straszniejsze, a modlitwy profesek — jeszcze straszniejsze.”

Raz w tygodniu zbiera się kapituła, zasiadają w niej matki głoszące, przewodniczy im przeorysza. Po kolei każda z sióstr klęka na kamiennej posadzce i wobec wszystkich spowiada się na głos z błędów i grzechów popełnionych w ciągu tygodnia. Po każdej spowiedzi matki naradzają się i na głos nakładają pokutę.

Poza głośną spowiedzią, na której zakonnice wyznają poważniejsze grzechy, za drobniejsze wykroczenia czynią tak zwaną „winę”. „Odprawiać swoją winę” to znaczy leżeć krzyżem podczas nabożeństwa przed przeoryszą, dopóki przeorysza — nazywana zawsze „naszą matką” — nie zastuka cicho w swoją stalle, dając znak, że penitentka może już powstać. Niewiele trzeba do odprawiania „winy”: stłuczona szklanka, rozdarty welon, mimowolne spóźnienie o parę sekund na nabożeństwo, fałszywie wzięta nuta w kościele itd. to wystarczające powody. Odprawianie „winy” jest spontaniczne — winowajczyni (to słowo etymologicznie jest tu na swoim miejscu) sama się osądza i sama je sobie wyznacza. W święta i niedziele cztery matki kantorki śpiewają nabożeństwa przed wspólnym, dużym pulpitem podzielonym na cztery części. Pewnego dnia jedna z matek kanterek zaintonowała psalm zaczynający się od „Ecce” i zamiast „Ecce” wymówiła pełnym głosem te trzy nuty „do-si-sol”; za tę chwilę roztargnienia odprawiała winę przez całe nabożeństwo. Fakt, że cała kapituła roześmiała się, ogromnie powiększył jej wykroczenie.

Zakonnica wezwana do rozmównicy, choćby nią była sama przeorysza, opuszcza welon, jak już wspomnieliśmy, tak że widać tylko jej usta.

Jedynie przeoryszy wolno stykać się z obcymi. Inne zakonnice mogą widywać tylko najbliższą rodzinę, i to bardzo rzadko. Trzeba długich pertraktacji, jeśli

przypadkiem zechce widzieć którąś z zakonnicek ktoś ze świata, kto ją niegdyś znał czy kochał. Jeśli jest to kobieta — udaje się jej czasem uzyskać zezwolenie. Zakonnica przychodzi i rozmawia z nią poprzez zasłonę, którą można odsunąć jedynie w tym wypadku, gdy odwiedzającą jest matka lub siostra. Zezwolenia takiego nie otrzymał oczywiście nigdy żaden mężczyzna.

Taka jest reguła Św. Benedykta, zastrzona przez Marcina Vergę.

Zakonnice tej reguły nie bywają wesołe, rumiane, świeże, jak to się często zdarza w innych klasztorach. Są blade i poważne. Między rokiem 1825 a 1830 trzy z nich popadły w obłąkanie.

## ROZDZIAŁ III

### SUROWOŚĆ ŻYCIA KLASZTORNEGO

Postulantką jest się co najmniej przez dwa lata, często przez cztery. Nowicjat trwa cztery lata. Składanie ślubów wieczystych przed dwudziestym trzecim lub dwudziestym czwartym rokiem życia należy do rzadkości. Wdowy nie są dopuszczane do zgromadzenia bernardynek-benedyktynek Marcina Vergi.

Zakonnice oddają się w swych celach licznym umartwieniom cielesnym, o których nie wolno im wspominać.

Gdy nowicjuszka składa śluby zakonne, siostry ubierają ją w najpiękniejsze szaty, wieńczą białymi różami, czeszą i zwijają jej włosy w pukle; tak przystrojona pada twarzą na ziemię, siostry przykrywają ją czarnym całunem i odprawiają nabożeństwo żałobne. Ustawiają się wówczas w dwa szeregi; pierwszy szereg, przechodząc obok leżącej, mówi na żałobną nutę: „Nasza siostra umarła”, drugi odpowiada donośnym głosem: „Żyje w Chrystusie!”

W okresie, w którym rozgrywały się wydarzenia naszej opowieści, przy klasztorze mieścił się pensjonat. Pensjonat dla szlachetnie urodzonych panien, przeważnie bogatych, wśród których była panna de SainteAulaire, panna de Belissen i Angielka nosząca sławne nazwisko katolickiego rodu Talbotów. Młode dziewczęta te, wychowywane przez zakonnice w zamknięciu klasztornym, rosły w bojaźni świata i świeckiego życia. Jedna z nich powiedziała nam pewnego razu: „Drżałam cała na sam widok ulicznego bruku.” Pensjonarki nosiły niebieskie suknie, białe czepeczki i wizerunek Ducha Św. z połączanego srebra lub miedzi, przypięty na piersi. W niektóre wielkie święta, specjalnie w dniu Sw. Marty, pozwalano im — co było wielką łaską i najwyższym szczęściem — przyodziewać strój zakonny i przez cały dzień brać udział w nabożeństwach i praktykach reguły Św. Benedykta. Z początku zakonnice pożyczaly pensjonarkom swych czarnych habitów. Przeorysza zakazała tego zwyczaju, uważając to za profanację. Wolno go było pożyczać tylko nowicjuszkom. Znamienny jest fakt, że te przebierania, które klasztor tolerował i do których prawdopodobnie zachęcał przez tajemne i żarliwe pragnienie, by dziewczęta zasmakowały w świętym stroju — były dla pensjonarek rzeczywistym szczęściem i prawdziwą rozrywką. Bawiło je to po prostu. To była nowość, to urozmaicało ich życie. Prostoduszne racje dziecinnego wieku, które zresztą nie wytłumaczą nam, ludziom światowym, rozkoszy, jaką sprawia trzymanie w ręce kropidła lub wystawanie całymi godzinami śpiewając we cztery przy pulpicie.

Uczennice brały udział we wszystkich praktykach klasztornych z wyjątkiem

umartwień. Niejedna młoda kobieta, wszedłszy w świat, i po kilkulatach małżeństwa nie zdołała pozbyć się zwyczaju odpowiadania co prędzej: „Na wieki wieków”, gdy ktoś stukał do jej drzwi. Pensjonarki — podobnie jak zakonnice — widywały swych rodziców tylko w rozmównicy. Nawet matka nie mogła uściskać własnej córki. Oto do jakiego stopnia była tam posunięta surowość pod tym względem. Pewnego dnia którąś z pańienek odwiedziła matka z jej trzyletnią siostrzyczką. Dziewczyna płakała, bo chciała uściskać siostrzyczkę. To było niemożliwe. Prosiła, by pozwolono dziecku przesunąć przez kratę bodaj rączkę, aby mogła ją pocałować. Odmówiono jej tego niemal ze zgorzeniem.

# ROZDZIAŁ IV

## DZIECIĘCE RADOŚCI

Dziewczęta napełniły jednak to surowe domostwo uroczymi wspomnieniami.

W pewnych godzinach dziecięcy czar rozjaśniał cały klasztor. Dzwonek dzwonił na rekreację. Drzwi otwierały się szeroko. Ptaki szczebiotały: „A oto dzieci!” I wir młodości zalewał ogród przecięty krzyżem jak całun. Promienne twarzyczki, jasne czoła, niewinne oczy pełne wesołego blasku migotały wśród tych ciemności. Nagle, po kościelnych pieniach, po dzwonekach, sygnaturkach, dzwonach żałobnych, modłach — rozbrzmiewał tu gwar dziewczęcych głosów, słodszy nad brzęczenie pszczoł. Rozwierał się ul radości i każda z dziewcząt znosiła doń swój miód. Bawiły się, nawoływały, tworzyły małe gromadki, biegały; śliczne białe ząbki szczebiotały po kątach; czarne welony czuwały z oddali nad tymi wybuchami śmiechu, cienie pilnowały promyków — ale cóż to mogło szkodzić! Dziewczątka śmiały się i promieniały. Posępne mury miewały swoją chwilę olśnienia. Rozjaśnione lekko odblaskiem takiej radości, patrzyły na słodkie wirowanie dziecięcego roju. Jakby deszcz róż spadł wśród ciemności żałoby. Dziewczynki swawoliły pod okiem zakonnicy: niewinności nie przeszkadza bezgrzeszne spojrzenie. Dzięki tym dzieciom wśród tylu godzin umartwień była godzina pogody. Małe skakały, starsze tańczyły. W tym klasztorze niebo uczestniczyło w zabawach. Trudno o widok bardziej zachwycający i dostojny zarazem nad wesołość tych młodziutkich dusz. Homer przyszedłby tu śmiać się razem z Perrault; w tym ciemnym ogrodzie było tyle młodości, zdrowia, wrzawy, krzyków, pustoty, radości i szczęścia, że zdołałyby one rozpogodzić czoła wszystkich prababek, z epopei i z baśni, z pałaców królewskich i spod strzechy, od Hekuby począwszy aż po Babunię Czerwonego Kapturka.

W klasztorze tym padło też więcej może niż gdziekolwiek owych dziecinnych powiedzeń, które są tak wdzięczne i wywołują uśmiech pełen zadumy. Między tymi czterema posępnymi murami pięcioletnia dziewczynka zawołała pewnego razu: „Proszę Matki! Jedna z «dużych» powiedziała mi, że będę tutaj już tylko dziewięć lat i dziesięć miesięcy. Jak to dobrze.” Tu również miała miejsce pamiętna rozmowa:

„Matka głosująca: Czemu płaczesz, moje dziecko?

Dziecko (*sześćoletnie*) *szlochając*: Powiedziałam Alicji, że umiem historią Francji. Ona mówi, że nie umiem, a ja umiem.

Alicja (*dziewięcioletnia, «duża»*): Nie, nie umie.

Matka: Skąd wiesz, moje dziecko?

Alicja: Bo ona mi powiedziała, żeby na chybił trafił otworzyć książkę, zadać jej pierwsze lepsze pytanie, a ona odpowie.

M a t k a: No i co?

Alicja: I nie umiała odpowiedzieć.

Matka: Co ty mówisz! O co ją zapytałaś?

Alicja: Otworzyłam książkę, tak jak mówiła, i zadałam jej pierwsze pytanie, które znalazłam.

Matka: Jakież było to pytanie?

Alicja: «Co było potem?»"

Tam również została wypowiedziana głęboka uwaga na temat łakomej nieco papugi, należącej do jednej z pań pensjonariuszek: „Jakaż ona milutka! Zjada wierzch swojej kromki, zupełnie jak dorosła osoba!”

To na płycie kamiennej posadzki tego klasztoru znaleziono rachunek sumienia spisany dla pamięci na karteczce przez siedmioletnią grzesznicę.

„Ojcze duchowny, wyznaję, że byłam skąpstwem. Ojcze duchowny, wyznaję, że byłam cudzołóstwem. Ojcze duchowny, wyznaję, że patrzyłam na panów.”

Na ławeczce zaś, stojącej na trawniku w ogrodzie, różowe, sześćioletnie usteczka, opowiedziały taką bajkę pięcioletnim niebieskim oczętom.

„Były sobie trzy małe kogutki. Miały swoje królestwo, w którym rosło dużo kwiatów. Pozrywały

kwiaty i włożyły do swoich kieszonek. Potem pozrywały liście i włożyły do swoich zabawek. Był w tym królestwie wilk i było dużo lasów; wilk mieszkał w lesie. I zjadł trzy małe koguciki.” I taki poemat:

Raz ktoś kogoś uderzył.

To pajac uderzył kotka.

Kotkowi wcale nie było miło, kotka to zabolało.



Więc jedna pani wsadziła pajaca do więzienia.

Tam również mała sierotka, podrzutek wychowywany z litości w klasztorze, powiedziała te słodkie i dojmujące słowa. Przysłuchując się, jak inne dziewczynki opowiadały o swych matkach, szepnęła w swoim fićniku: „Jak ja się rodziłam, mojej mamy nie było przy mnie!”

Była tam gruba furtianka, która z pękiem kluczy uwijała się w wielkim pośpiechu po korytarzach, a której na imię było siostra Agata. „Największe” — te, które miały ponad dziesięć lat — przezwały ją Agatoklesem.

Refektarz, podłużna, prostokątna sala, do której światło padało poprzez sklepione krużganki, wiodące wprost do ogrodu, był mroczny, wilgotny i jak mówią dzieci — pełen „robaków”. Każde z sąsiednich pomieszczeń dostarczało tu swój kontyngent insektów. Toteż każdy z czterech kątów otrzymał w języku pensjonariuszek specjalną i wymowną nazwę. Był tam kąt Pająków, kąt Liszek, kąt Stonóg i kąt Świerszczy. Kąt Świerszczy przylegał do kuchni i był bardzo ceniony jako cieplejszy od innych. Z refektarza nazwy te przeniosły się na pensjonat i, podobnie jak w dawnym kolegium Mazariniego, służyły do rozróżniania czterech nacji. Każda uczennica należała do jednej z nich, zależnie od kąta refektarza, w którym miała swe miejsce w czasie posiłków. Pewnego razu arcybiskup, odbywając wizytę pasterską, zobaczył, że do klasy, koło której przechodził, weszła śliczna, różowa dziewczuszka z pięknymi jasnymi włosami i zapytał innej pensjonarki, uroczej brunetki o rumianych policzkach, stojącej obok niego:

— Kto to jest?

— To pajak, ekscelencjo.

— O! A tamta?

— Tamta, to świerszcz,

— A ta?

— To liszka.

— Doprawdy? A ty, moje dziecko?

— Ja jestem stonoga, ekscelencjo.

Każdy zakład tego rodzaju ma swoje osobliwości. Na początku naszego stulecia Ecouen było jednym z tych miejsc uroczych i surowych, gdzie w pełnym dostojęństwa zaciszu dziewczęta spędzały lata swego dzieciństwa. W Ecouen

pensjonarki biorące udział w procesji Bożego Ciała dzieliły się na kwiaciarki i dziewice. Były również „baldachimy” i „kadzielnice”, bo jedne trzymały wstęgi baldachimu, a drugie niosły kadzielnicę przed Najświętszym Sakramentem. Kwiaciarki sypały oczywiście kwiaty. Cztery „dziewice” szły w czole procesji. Rano, w dniu święta, można było słyszeć w sypialni pytanie: „Która z was jest dziewicą?”

Pani Campan przytacza słowa siedmioletniej „małej”, idącej na końcu, do szesnastoletniej „dużej”, która szła w czole procesji: „Ty jesteś dziewicą, a ja nie!”

# ROZDZIAŁ V

## ROZRYWKI

Nad drzwiami refektarza wielkimi czarnymi literami wypisana była modlitwa, zwana „Białym pacierzem”, tak skuteczna, że prowadziła ludzi wprost do raju.

„Paciorek biały, który Bóg ustanowił, który Bóg wypowiedział, który Bóg w raju umieścił. Gdy się kładłam spać wieczorem, trzy anioły przy łóżku mym stały: jeden w nogach, dwa przy wezgłowiu, Święta Panienska Maryja pośrodku stała i rzekła mi, bym się na spoczynek ułożyła i w nic nie wątpiła. Dobry Bóg moim ojcem, Święta Dziewica mą matką; trzech apostołowie są mymi braćmi, trzy dziewice są mymi siostrami. Gieźleczko, w którym Bóg się narodził, okrywa moje ciało, krzyż Św. Małgorzaty na piersi mej jest odbity; szła Święta Panienska polem, Jezuska opłakiwała; szła polem splakana, spotkała świętego Jana. Skąd idziesz, Panie Święty Janie? Idę z Ave Salus. Nie widziałeś tam Jezusa? Jest na drzewie krzyża, nogi mu wiszą, ręce mu przebili, na głowę wieniec z białych cierni włożyli. Kto odmówi trzy razy wieczorem i trzy razy z rana — po śmierci raju dostąpi i ujrzy Pana.”

W roku 1827 ta modlitwa, tak charakterystyczna, znikła ze ściany pod potrójnym pokładem wapna. Obecnie zaciera się w pamięci tych, które wówczas były młodymi dziewczętami, a dziś są starymi kobietami.

Wielki krucyfiks, wiszący na ścianie, uzupełniał ozdoby refektarza, którego jedyne drzwi — jak już wspominaliśmy chyba — wychodziły na ogród. Dwa wąskie stoły, a po obu ich stronach drewniane ławy, ciągnęły się równoległymi liniami z jednego końca refektarza w drugi. Ściany były białe, stoły czarne; te dwa kolory żałoby są jedyną odmianą dopuszczaną w klasztorach. Posiłki były marne i nawet posiłki dzieci bardzo skromne. Jedno danie: mięso wraz z jarzyną lub solona ryba — to cały zbytek. A i ten skąpy, codzienny wikt, przeznaczony wyłącznie dla pensjonarek, stanowił wyjątek. Dzieci jadły w milczeniu, pod badawczym spojrzeniem matki dyżurnej, która — jeśli jakaś mucha odważyła się czasem przelecieć i bzyknąć wbrew nakazanej ciszy, z hałasem otwierała i zamykała oprawną w drzewo księgę. Ciszę urozmaicały żywoty świętych, czytane głośno z małej katedry stojącej u stóp krzyża. Czytały je starsze uczennice, zmieniając się co tydzień. Na gołych stołach stały — w pewnych odstępach — polewane miski, w których pensjonarki same myły swe garnuszki i sztućce, a niekiedy wrzucały resztki posiłku, twardy kawałek mięsa lub zepsutą rybę, co było karane. Miski te nazywano „sadzawkami”.

Dziewczynka, która przerwała ciszę, robiła „krzyż językiem”. Gdzie? Na ziemi.

Musiąca lizać podłogę. Proch — kres wszelkich uciech — miał karać biedne listeczki róży za to, że zgrzeszyły szczebiotem.

W klasztorze znajdowała się pewna księga, wydana w jednym „jedynym egzemplarzu”, której nie wolno było czytać. Była to reguła Św. Benedykta; tajemnica, której nie powinno skalać oko profana. *Nemo regulas, seu constitutiones nostras, externis communicabit.*

Pewnego razu pensjonarki dorwały się do niej i zaczęły ją chciwie pochłaniać, co chwilę przerywając czytanie i pospiesznie zamykając księgę ze strachu, by ich nie przyłapano na gorącym uczynku. Naraziły „się na wielkie niebezpieczeństwo dla niewielkiej uciechy. Kilka niezrozumiałych stron o grzechach młodych chłopców — oto co znalazły „ciekawego”.

W ogrodzie dziewczynki bawiły się w alei, obsadzonej kilku marnymi drzewami owocowymi. Mimo ścisłego nadzoru i srogości kar udawało im się czasem, gdy wiatr otrząsnął owoce z drzew, podnieść ukradkiem zielone jabłko, nadpsuta morelę czy robaczywą gruszkę. A teraz niech mówi list, który mam przed sobą, pisany dwadzieścia pięć lat temu przez dawną pensjonarkę, która dziś jest księżną de X, jedną z najwytworniejszych dam Paryża. Cytuję dosłownie: „Każda ukrywa gruszkę czy jabłko, jak może. Gdy, czekając na kolację, wchodzimy do sypialni złożyć welony na łóżku, wsuwa się owoc pod poduszkę i zjada się go w łóżku wieczorem, a jeśli się to nie uda, zjada się go w wygodce.” Taka była jedna z największych pensjonarskich rozkoszy.

Pewnego razu — również w czasie odwiedzin arcybiskupa w klasztorze — jedna z dziewcząt, panna Bouchard, mająca w sobie trochę krwi rodu Montmo-rency, założyła się, że poprosi go o dzień zwolnienia, co było w zgromadzeniu tak surowym rzeczą niesłychaną. Zakład został przyjęty, ale żadna z dziewczynek, które się założyły, w to nie wierzyła. W odpowiedniej chwili, kiedy arcybiskup przechodził wzdłuż szeregu pensjonarek, panna Bouchard, ku nieopisanemu przerażeniu koleżanek, wystąpiła z szeregu i rzekła: „Ekscelencjo, proszę o dzień zwolnienia.” Panna Bouchard była hoża, wysoka i miała miłą, zalotną minę. Ksiądz de Quelen \* uśmiechnął się i odrzekł: „Jak to, drogie dziecko, tylko jeden dzień? Trzy dni, jeśli chcesz. Daję ci trzy dni zwolnienia.” Skoro biskup tak powiedział, przeorysza nie mogła oponować. W klasztorze — zgorszenie, w pensjonacie — radość! Sami osądźcie wrażenie.

Ten srogi klasztor nie był jednak tak obwarowany, by życie namiętności, dramat, nawet miłość nie przenikały do niego ze świata. Aby to udowodnić, ograniczymy się tu do stwierdzenia i opowiedzenia pokrótce pewnego rzeczywistego i nie ulegającego wątpliwościfaktu, który zresztą nie ma żadnego związku z naszą opowieścią ani żadną nicią z nią się nie łączy. Wspominamy o nim, by uzupełnić w umyśle czytelnika sylwetkę klasztoru.

W owym czasie żyła w klasztorze pewna tajemnicza osoba — traktowana z wielkimi względami a zwana panią Albertyna — która nie była zakonnicą. Wiedziano tylko, że jest obłąkana i że świat uważa ją za zmarłą. Podobno w tej historii kryły się układy majątkowe, konieczne dla zawarcia jakiegoś świętego małżeństwa.

Ta zaledwie trzydziestoletnia kobieta, dość piękna brunetka, spoglądała błędnie przed siebie wielkimi, czarnymi oczyma. Czy co widziała? Wątpiono w to. Snuła się raczej, niż chodziła; nie mówiła nigdy. Wydawać się mogło, że nie oddycha. Nos miała ściągnięty i blady jak po wydaniu ostatniego tchnienia. Dotykając jej ręki, miało się wrażenie, że się dotyka śniegu. Miała dziwny, widmowy urok. Gdy wchodziła, robiło się zimno. Pewnego dnia, widząc ją przechodzącą mimo, jedna z siostr rzekła do drugiej: „Uchodzi za zmarłą.” — „A może jest nią rzeczywiście...” — odparła tamta.

O pani Albertynie krążyło tysiące opowieści. Stanowiła przedmiot wiecznego zainteresowania pensjonarek. W kaplicy była loża, zwana „przedpokojem”; w tej to loży z owalnym oknem pani Albertyna siadywała w czasie nabożeństw. Zazwyczaj znajdowała się w niej sama, gdyż z tej loży, umieszczonej na pierwszym piętrze, widać było kaznodzieję czy celebransa, co było zabronione zakonnikom. Pewnego razu na kazalnicę wszedł młody kapłan znakomitego rodu, książę de Rohan, par Francji, który w roku 1815 — jako książę de Leon — był oficerem czerwonych muszkietierów, zmarł zaś po roku 1830 jako kardynał i arcybiskup Besancon. Było to pierwsze kazanie księcia de Rohan w klasztorze Petit-Picpus. Pani Albertyna, obecna zazwyczaj na nabożeństwach i kazaniach, zachowywała zawsze głęboki spokój i siedziała bez ruchu. Tego dnia, jak tylko zobaczyła księcia de Rohan, uniosła się nieco i — wśród ciszy kaplicy — zawołała głośno: „O, August!” Zdumione zakonnice odwróciły głowy w jej stronę, kaznodzieja podniósł na nią wzrok, ale pani Albertyna powróciła już do swego zwykłego stanu. Wiew zewnętrznego świata, odblask życia musnęły przelotnie tę twarz zgasła i zlodowaciała, potem wszystko znikło i obłąkana znów stała się trupem.

Ale ten okrzyk stał się w klasztorze przedmiotem rozmów tych wszystkich, które mogły gadać. Ileż treści w tym „O, August!”, ileż rewelacji! Istotnie, książę de Rohan miał na imię August. Pani Albertyna należała widocznie do najświetniejszego towarzystwa, skoro znała księcia de Rohan, i musiała zajmować w tym świecie wysoką pozycję, skoro do tak wielkiego pana mówiła tak poufale; musiały też łączyć ją z nim stosunki, pokrewieństwo może, na pewno jednak stosunki bliskie, skoro mówiła do niego po imieniu.

Dwie księżny, ogromnie surowe, panie de Choiseul i de Serent, zapewne na mocy przywileju „*Magnates mulieres*” odwiedzały często klasztor, napawając trwogą pensjonat. W obecności tych dwóch starszych dam wszystkie biedne

dziewczęta drżały i spuszczały oczy.

Książę de Rohan stał się — sam o tym nie wiedząc — przedmiotem szczególnej uwagi pensjonarek. W owym czasie, przed otrzymaniem biskupstwa, został mianowany wikariuszem generalnym przy arcybiskupie Paryża. Miał zwyczaj odprawiać dość często nabożeństwa w kaplicy zakonnic z Petit-Picpus. Żadna z młodych pustelnic, zasłoniętych kotarą z serży, nie mogła go widzieć, ale nauczyły się rozpoznawać jego głos łagodny i nieco drżący. Był niegdyś muszkietierem; opowiadano też, że jest bardzo zalotny, że ma piękne, kasztanowate włosy, kunsztownie ułożone wokół głowy, że nosi wspaniałą, szeroką, czarną szarfę i że jego czarna sutanna ma bardzo wytworny krój. Bardzo zaprzętał swoją osobą szesnastoletnie wyobraźnie.

Żaden dźwięk z zewnątrz nie przenikał do klasztoru. Jednakże któregoś roku dotarł tu głos fletu. Było to wydarzenie, o którym pensjonarki z owych czasów pamiętają dziś jeszcze.

Ktoś w sąsiedztwie grał na flecie. Grał zawsze tę samą piosenkę, dawno już zapomnianą: *O Zetulbe, tyś duszy mej królową*; słyszano ją parokrotnie w ciągu dnia.

Dziewczęta wsłuchiwały się w te dźwięki całymi godzinami, matki zakonne były przerażone i wzburzone, młode wyobraźnie pracowały, kary sypały się jak grad. Trwało to kilka miesięcy. Wszystkie pensjonarki — jedno mniej, inne bardziej — kochały się w nieznanym grajku. Każda marzyła, że jest ową Zetulbe. Dźwięki fletu dochodziły od strony ulicy Droit-Mur, dziewczęta byłyby wszystko dały, wszystko poświęciły, na wszystko się odważyły, żeby bodaj na chwilę, bodaj ukradkiem, bodaj z daleka zobaczyć owego „młodzieńca”, który tak cudnie grał na flecie i — nie wiedząc o tym — grał równocześnie i na ich sercach. Kilka pensjonarek wymknęło się przez kuchenne wejście i wdrapało na trzecie piętro od strony ulicy Droit-Mur, by coś wypatrzeć przez okienko wychodzące na sąsiednią posesję. Daremnie! Jedna z nich odważyła się wysunąć rękę przez kraty i machała białą chusteczką. Dwie były jeszcze zuchwalsze. W jakiś sposób wdrapały się na dach i zdołały wreszcie zobaczyć „młodzieńca”. Był to stary szlachcic, emigrant ślepy i zrujnowany, który na swym poddaszu grał na flecie, by rozproszyć nudę.

## ROZDZIAŁ VI

### MAŁY KLASZTOR

W obrębie klasztoru Petit-Picpus istniały trzy zupełnie odrębne budynki: duży klasztor, w którym mieszkały zakonnice, pensjonat, zajmowany przez uczennice, i wreszcie tak zwany „mały klasztor”. Był to dom z ogrodem, zamieszkały przez różne stare zakonnice najrozmaitszych reguł, niedobitki z klasztorów zniszczonych przez rewolucję; pstrokata czarno-szarobiała mieszanina wszelkich możliwych zgromadzeń zakonnych i wszelkich odmian. Można by to było nazwać „klasztor-arlekin”, gdyby wypadało użyć tego określenia.

Od czasów Cesarstwa wszystkim biednym, rozproszonym i bezdomnym siostronom pozwolono schronić się tutaj, pod skrzydła benedyktynek-bernardynek. Rząd wypłacał im małą pensyjkę; panny benedyktyнки przyjęły je serdecznie. Przedziwna to była mieszanina. Każda zakonnica zachowywała swoją regułę. Czasami — jako wielką przyjemność — pozwalano pensjonarkom je odwiedzać; dzięki temu w młodych umysłach zachowały się wspomnienia o matce Bazyli, o matce Scholastyce i matce Jakubie.

Jedna z tych, które tu znalazły schronienie, była prawie jak u siebie. Była to zakonnica z klasztoru Sainte-Aure, jedyna z całego zgromadzenia, która pozostała przy życiu. Dawniej, na początku XVIII w., klasztor panien Sainte-Aure mieścił się właśnie w budynku przy ulicy Petit-Picpus, który później objęły benedyktyнки Marcina Vergi. Ta świątobliwa osoba, zbyt uboga, by nosić wspaniały strój swojego zakonu — białą habit ze szkarłatnym szkaplerzem — ubrała tak z pietyzmem mały manekin, który chętnie pokazywała, i umierając przekazała klasztorowi. Z całego tego zgromadzenia w roku 1824 pozostawała tylko jedna zakonnica; dziś — zostaje po nim tylko lalka.

Oprócz zacnych matek kilka starych pań ze świata, podobnie jak pani Albertyna, uzyskało od matki przełożonej pozwolenie schronienia się w małym klasztorze. Do tych pań należała pani de Beaufort d'Hautpoul i markiza Dufresne. Była jeszcze jedna, znana w klasztorze jedynie z niezmiernego hałasu, który czyniła, wycierając sobie nos. Uczennice nazwały ją panią Hałaśnicką.

Około roku 1820 czy 1821 pani de Genlis, kierująca wówczas pismem „Nieustraszony”, poprosiła o pozwolenie zamieszkania w Petit-Picpus. Polecał ją książę Orleanu. W ulu zawrzało; matki drżały: pani de Genlis pisywała romanse. Oświadczyła jednak, że pierwsza ma swe romanse w pogardzie — przeżywała

właśnie okres zażartej dewocji — więc z pomocą bożą i książącą pani de Genlis zamieszkała w klasztorze. Opuściła go po sześciu czy ośmiu miesiącach, gdyż jak mówiła, w ogrodzie nie było cienia. Zakonnice były tym zachwycone. Choć bardzo już leciwa, pani de Genlis grywała jeszcze na harfie, i to bardzo dobrze.

W celi pozostały ślady jej obecności. Pani de Genlis była przesądna i знаła łacinę. Te dwa słowa malują dość dobrze jej sylwetkę. Jeszcze parę lat temu w jej celi, wewnątrz szafki, w której chowała srebra i klejnoty, można było oglądać naklejoną kartkę z łacińskim pięciowierszem. wypisanym jej ręką czerwonym atramentem na żółtym papierze; wiersze te. w jej mniemaniu, miały właściwość odstraszenia złodziei.

*Imparibus meritis pendent tria corpora ramis: Dismas et Gesmas, media est divina potestas; Alta petit Dismas, infelix infima, Gesmas. Nos et res nostras conservet summa potestas. Hos versus dicas, ne tu furto tua perdas.*

Wiersze te, pisane średniowieczną łaciną, stawiają problem, czy dwaj łotrowie na krzyżu zwali się, jak się powszechnie mniema Dimas i Gestas, czy też Dismas i Gesmas. Ta różnica w pisowni mogłaby podważyć roszczenia wicehrabiego de Gestas, który w ubiegłym stuleciu chciał wywodzić swój ród od złego łotra. Zresztą, użyteczna skuteczność przypisywana tym wierszom, stanowi u szarytek artykuł wiary.

Kościół klasztorny zbudowany tak, by niczym cięcie oddzielał klasztor od pensji był oczywiście wspólny dla pensji, klasztoru i „małego klasztoru”. Nawet publiczność mogła tu wchodzić przez małe wejście od ulicy. Wszystko jednak urządzono w ten sposób by żadna mieszkanka klasztoru nie mogła zobaczyć obcej twarzy. Wyobraźcie sobie kościół, gdzie jakaś ręka olbrzyma chwyciła prezbiterium i zgięła je, by nie tworzyło, jak zwykle w kościołach, przedłużenia za ołtarzem, lecz rodzaj małej sali czy mrocznej groty po prawej stronie celebransa: wyobraźcie sobie jeszcze, że salę tę odgradza zasłona wysokości siedmiu stóp o której już wspominaliśmy W cieniu tej zasłony zgromadźcie w drewnianych stallach — po lewej stronie zakonnice pierwszego chóru, po prawej stronie — pensjonarki w głębi — siostry konwerski i nowicjuszki, a będziecie wtedy mieli pewne pojęcie o tym, w jaki sposób zakonnice z Petit-Picpus brały udział w nabożeństwach Korytarz łączył tę grootę, zwaną chórem z klasztorem. Okna kościoła wychodziły na ogród. Gdy zakonnice asystowały na tych nabożeństwach, na których reguła nakazywała im milczenie, jedynie stuk podnoszonych czy opadających podpór w stallach zdradzał wiernym ich obecność.



## ROZDZIAŁ VII

### KILKA SYLWETEK RYSUJĄCYCH SIĘ W TYM MROKU

Przez sześć lat — między rokiem 1819 a 1825 — przeoryszą klasztoru była panna de Blemeur w zakonie matka Innocenta. Pochodziła z tej samej rodziny co Małgorzata de Blemeur. autorka *Żywotów świętych zakonu Św Benedykta*. Wybrano ją po raz wtóry Była to kobieta sześćdziesięcioletnia, niska i tęga. według cytowanego już listu głos miała „jak pęknięty garnek” zresztą osoba przezacna, jedyna wesola istota w całym klasztorze i za to bardzo przez wszystkich kochana.

Matka Innocenta wdała się w swą krewniaczkę Małgorzatę, tę Dacier zakonu. Była wykształcona, odcytana, światła, biegła w wielu sprawach rozmiłowana w historii, z głową nafaszerowaną łaciną, napchaną greką, nabitą hebrajszczyzną. Benedyktyn raczej niż benedyktynka.

Wiceprzełożoną była matka Cineres, stara, na pół ślepa Hiszpanka.

Z matek „głosujących” największym autorytetem cieszyły się: matka Honoryna, skarbniczka, matka Gertruda, pierwsza mistrzyni nowicjatu, matka od Św. Anioła, druga mistrzyni nowicjatu, matka Anuncjata, zakrystianka, matka Augustyna, infirmierka, jedyna złośliwa osoba w całym klasztorze; następnie młodziutka, obdarzona cudownym głosem matka Mechtylda (panna Gauvin), matka od Aniołów (panna Drouet), która poprzednio była w klasztorze Panien Bożych i w klasztorze Tresor między Gisors i Magny, matka Józefa (panna de Cogolludo), matka Adelaida (panna d'Auverney), matka od Miłosierdzia Bożego (panna de Cifuentes, która nie mogła znieść srogiej reguły), matka od Matki Boskiej Bolesnej (panna de la Miltiere, przyjęta wbrew regule w sześćdziesiątym roku życia, bardzo bogata), matka od Opatrzności Bożej (panna de Laudiniere), matka od Ofiarowania Panny Marii (panna de Siguenza), która w roku 1847 została przeoryszą, matka Celina (siostra rzeźbiarza Cerracchi), która popadła w obłęd, i matka Chantal (panna de Suzon), również dotknięta obłędem.

Do najpiękniejszych zakonnic należała śliczna, dwudziestotrzyletnia dziewczyna z wyspy Bourbon, pochodząca z rodu kawalera Roze i w świecie nosząca nazwisko panny Roze, tu zaś — matki od Wniebowzięcia.

Matka Mechtylda, która śpiewała i prowadziła chór, chętnie brała do niego pensjonarki. Zazwyczaj dobierała sobie z nich całą gamę, tzn. ustawiała według wzrostu i głosów siedem dziewczynek od lat dziesięciu do szesnastu i kazała im

Śpiewać, stojąc w rzędzie od najmniejszej do największej. Na patrzących sprawiało to wrażenie fujarki złożonej z młodych dziewcząt, czegoś w rodzaju żywej fletni bożka Pana, zrobionej z aniołów.

Spośród sióstr konwerek pensjonarki najbardziej lubiły siostrę Eufrazję, siostrę Małgorzatę, nieco zdziwinną siostrę Martę i siostrę Michalinę, której długi nos pobudzał je do śmiechu.

Wszystkie te kobiety były łagodne dla dzieci, surowe tylko dla siebie. Jedynie w pensjonacie palono w piecach, a pożywienie dziewcząt w porównaniu z wiktem zakonnicy było wyszukane. Ponadto tysiące innych dowodów troskliwości. Tylko jeśli któraś z dziewcząt, przechodząc, zagadnęła zakonnice, zakonnica nie odpowiadała nigdy.

Ten obowiązek milczenia sprawił, że w całym klasztorze mowa została odjęta istotom ludzkim, a dana przedmiotom martwym. To przemawiał dzwon kościelny, to znów dzwonek ogrodnika. Umieszczona przy furtiance donośna kołatka, którą słychać było w całym domu, oznajmiała dzwoniąc na różne sposoby — niczym rodzaj akustycznego telegrafu — wszystkie czynności życia codziennego, które należało wykonać, i w razie potrzeby wzywała do rozmównicy tę czy inną mieszkankę klasztoru. Każda osoba i każda czynność miała swój dzwonek. Na przełożoną dzwoniło raz — i raz; na wiceprzełożoną raz — i dwa; sześć — i pięć dzwonek wzywało na lekcje, tak że uczennice nie mówiły nigdy, iż idą do klasy, lecz „na sześć — pięć”. Cztery — cztery to był dzwonek pani de Genlis. Rozlegał się bardzo często. „Poczwórny diabeł” — mówiły o nim osoby nie grzeszące wyrozumiałością. Dziesięć — i dziewięć uderzeń obwieszczało wielkie wydarzenie. Oznaczało otwarcie „bramy klauzury”, odstraszałającej, żelaznej płyty najeżonej ryglami, które rozsuwały się tylko dla arcybiskupa.

Jak już wspomnieliśmy, poza arcybiskupem i ogrodnikiem żaden mężczyzna nie wchodził do klasztoru. Pensjonarki widywały jeszcze dwóch innych: jednym był jałmużnik, ksiądz Banes, stary i szpetny, którego mogły oglądać przez kratę chóru; drugim zaś nauczyciel rysunków pan Ansiaux; list, z którego przytoczyliśmy kilka wierszy, nazywa go „panem Anciot” i określa jako „starego, szkaradnego garbusa”.

Jak z tego widać, wszyscy mężczyźni byli starannie dobrani.

Taki był ten niezwykły dom.

## ROZDZIAŁ VIII

### „POST CORDA LAPIDES”

Naszkiecowawszy oblicze duchowe tego miejsca, nie od rzeczy będzie opisać w paru słowach jego wygląd zewnętrzny. Czytelnik ma już o nim niejaki wyobrażenie.

Klasztor Petit-Picpus-Saint-Antoine wypełniał prawie całkowicie wielki trapez utworzony przez ulicę Polonceau, ulicę Droit-Mur, uliczkę Picpus i zamurowaną uliczkę zwaną na starych planach ulicą Aumarais. Te cztery ulice otaczały ów trapez, niczym fosa. Klasztor składał się z kilku budynków i ogrodu. Budynek główny, wzięty jako całość, był zlepkiem różnorodnych budowli, które, widziane z lotu ptaka, tworzyły dość wierny zarys leżącej na ziemi szubienicy. Długie ramię owej szubienicy zajmowało cały odcinek ulicy Droit-Mur, zawarty między uliczką Picpus a ulicą Polonceau; wysoka, szara, posępna, zakratowana fasada domu, wychodząca na ulicę Picpus, stanowiła krótsze ramię, które kończyło się bramą oznaczoną numerem 62. Mniej więcej pośrodku owej fasady kurz i pył przyprószyły stare, niskie, sklepione drzwi, na których pająki rozpinały swe pajęczyny; drzwi te otwierały się, na godzinę lub dwie, jedynie w niedzielę i w tych rzadkich wypadkach, gdy trumna którejś z zakonnice opuszczała klasztor. Było to zewnętrzne wejście do kościoła. W kącie, utworzonym przez ramiona, znajdowała się kwadratowa sala, zajęta przez część gospodarczą i zwana przez zakonnice „szafarnią”. W drugim ramieniu szubienicy mieściły się cele matek i sióstr oraz nowicjat. W krótszym — kuchni, refektarz z krużgankiem i kościół. Między bramą numer 62 a zakończeniem ślepej uliczki Aumarais znajdował się pensjonat, z zewnątrz niewidoczny. Resztę trapezu zajmował ogród, znacznie niżej położony niż ulica Polonceau, co sprawiało, iż mury od wewnątrz były znacznie wyższe niż od zewnątrz. Pośrodku ogrodu o powierzchni nieco wypukłej, na szczycie pagórka rósł piękny, strzelisty, stożkowaty świerk, od którego — jak od środka tarczy — biegły, cztery szerokie aleje, a między nimi, po dwie, osiem mniejszych; gdyby ogród miał kształt kolisty, plan geometryczny owych alei przypominałby krzyż wpisany w koło. Wszystkie aleje dochodziły do murów i z powodu ich nieregularnej linii były nierównej długości. Obrzeżały je krzewy porzeczek. W głębi wysadzana wysokimi topolami aleja wiodła od ruin dawnego klasztoru, znajdujących się przy rogu ulicy Droit-Mur, do małego klasztoru położonego przy rogu uliczki Aumarais. Przed małym klasztorem był tak zwany ogródek. Do tego wszystkiego dodajcie podwórze, różne załamania utworzone przez wewnętrzne budynki, więzienne mury, za całą perspektywę i za całe sąsiedztwo — długą, czarną linię dachów, obrzeżających drugą stronę ulicy Polonceau, a będziecie mieli pełny obraz tego.

czym był czterdzieści pięć lat temu klasztor bernardynek z PetitPicpus. Ten święty dom wybudowano dokładnie na miejscu dawnego domu gry w piłkę, głośnego między XIV a XVI wiekiem i zwanego „spelunką stu tysięcy diabłów”.

Ulice te należały do najstarszych w Paryżu. Nazwy ich, Droit-Mur i Aumarais, są bardzo stare. Ulice, które je noszą są starsze. Uliczka Aumarais nazywała się uliczką Maugout; ulica Prosty Mur (Droit-Mur) nazywała się ulicą Dzikiej Róży (des Eglantiers), gdyż Bóg rozwijał kwiaty, zanim człowiek zaczął ciosać kamienie.

# ROZDZIAŁ IX

## STULECIE POD KWEFEM

Skoro opowiadamy szczegółowo o tym, czym był ongiś klasztor Petit-Picpus, i skoro odważyliśmy się zajrzeć do tego cichego ustronia, niech czytelnik zezwoli nam jeszcze na małą dygresję, która nie wiąże się z naszą książką, ale jest charakterystyczna i użyteczna, gdyż dowodzi, że nawet w klasztorze zdarzają się osobliwe postacie.

W małym klasztorze mieszkała stuletnia staruszka, która przybyła tu z opactwa Fontevrault. Przed rewolucją była osobą światową. Często mówiła o panu de Miromesnil, ministrze sprawiedliwości za Ludwika XVI, i o prezesowej Duplat, swojej dobrej znajomej. Przy każdej okazji chętnie i z pewną chętnością wtrącała te dwa nazwiska. Opowiadała cuda o opactwie Fontevrault: że wyglądało niczym miasto i że w obrębie klasztoru biegły ulice.

Miała akcent pikardyjski, który śmieszył pensjonarki. Co rok odnawiała uroczyste śluby i w momencie składania przysięgi mówiła do kapłana: „Jego świątobliwość święty Franciszek złożył ją Jego świątobliwości świętemu Julianowi. Jego świątobliwość święty Julian złożył ją Jego świątobliwości świętemu Euzebiuszowi. Jego świątobliwość święty Euzebiusz złożył ją Jego świątobliwości świętemu Prokopowi — itd., itd., i ja składam ją tobie, mój ojciec.” Tu pensjonarki zaczynały się śmiać, nie pod wąsem, ale pod welonem; urocze, przytłumione śmieszki, wywołujące u matek głosujących zmarszczenie brwi.

Czasami wiekowa staruszka opowiadała różne historie. Mówiła, że „za czasów jej młodości bernardyni w niczym nie ustępowali muszkietierom”. Osiemnasty wiek przemawiał przez te stuletnie usta. Opowiadała o obyczaju „czterech win” znanym w Szampanii i Burgundii. Przed rewolucją, gdy przez któreś z miast tych prowincji przejeżdżała jakaś wybitna osobistość: marszałek Francji, księżę, diuk czy par, przedstawiciele miasta wychodzili mu na spotkanie z oracją i ofiarowywali cztery srebrne czarki, napełnione czterema gatunkami wina. Na pierwszym pucharu czytałeś napis: „Wino małpie”; na drugim: „Wino lwie”; na trzecim: „Wino baranie”; na czwartym: „Wino świńskie”. Te cztery napisy przedstawiały cztery stopnie pijaństwa: pierwszy rozwesela, drugi rozdrażnia, trzeci otępia i ostatni wreszcie — ogłupia.

Zakonnica ta trzymała w szafie pod kluczem jakiś tajemniczy przedmiot, do którego przywiązywała wielką wagę. Reguła Fontevrault nie wzbraniała jej tego. Nikomu nie chciała pokazać tajemniczego przedmiotu. Ilekroć miała

ochotą nań popatrzeć, kryła się i zamykała w celi, na co jej reguła również zezwalała. Gdy słyszała kroki na korytarzu, zamykała szafę tak prędko, jak na to pozwalały jej starcze ręce. Kiedy ktoś zaczynał mówić na ten temat, ta osoba, tak zazwyczaj rozmowna, milkła. Najbardziej wścibskim nie udało się przełamać jej milczenia, najbardziej natrętnym — jej uporu. Stanowiło to również temat komentarzy dla osób, które w klasztorze miały mało zajęcia lub się nudziły. Cóż to za rzecz bezcenna i tajemnicza mogła być skarbem staruszki? Zapewne jakaś świątobliwa księga? A może rzadki szkaplerz? Jakaś autentyczna relikwia? Gubiono się w domysłach. Gdy biedna starowina umarła, pospieszono do szafy szybciej może, niżby wypadało, i otworzono ją. Odnaleziono przedmiot, potrójnie zawinięty w płótno, jak poświęcana patena. Był to talerz z Faenzy, wyobrażający ulatujące amorki, ścigane przez aptekarzyków uzbrojonych w olbrzymie lewatywy. Gonitwa obfitująca w pocieszne pozy i grymasy. Jeden z uroczych amorków już jest nadziany jak na rożen, szamocze się, trzepocze skrzydełkami, stara się jeszcze odlecieć, ale żartowniś śmieje się szatańskim śmiechem. Morał: ból brzucha silniejszy jest od miłości. Talerz ów, zresztą bardzo ciekawy, który dostąpił może tego zaszczytu, że natchnął Moliера, istniał jeszcze we wrześniu 1845 roku; był wystawiony na sprzedaż w sklepie ze starzyzną na bulwarze Beaumarchais.

Zacna staruszka nie chciała przyjmować żadnych odwiedzin ze świata, gdyż jak mawiała, rozmównica jest zbyt ponura.

# ROZDZIAŁ X

## GENEZA NIEUSTAJĄCEJ ADORACJI

Ta rozmównica podobna do grobowca, o której staraliśmy się dać wyobrażenie, jest zjawiskiem czysto lokalnym, nie występującym z równą surowością w innych klasztorach. Na przykład w klasztorze przy ulicy Tempie, należącym wprawdzie do innego zgromadzenia, czarne- zastłony zastąpiono brązowymi portierami, a sama rozmównica była salonem z posadzką, z oknami ujętymi w białe, muślinowe firanki i ścianami obwieszonymi najrozmaitszymi obrazami: wisiał tam portret benedyktyнки z odsłoniętą twarzą, malowane kwiaty, a nawet głowa Turka.

W ogrodzie klasztoru przy ulicy Tempie rósł Ów kasztanowiec indyjski, uchodzący za największy i najpiękniejszy okaz we Francji i w XVIII wieku cieszący się wśród ludu sławą „ojca wszystkich kasztanów królestwa”.

Powiedzieliśmy już, że klasztor Tempie zajmowały benedyktyнки Nieustającej Adoracji, zupełnie różne od tych, które wywodziły się z Citeaux. Zakon Nieustającej Adoracji powstał stosunkowo niedawno i nie liczy więcej niż dwieście lat. W roku 1649 Najświętszy Sakrament został w ciągu paru dni dwukrotnie sprofanowany w dwóch kościołach Paryża, w kościele Św. Sulpicjusza i Św. Jana na placu Greve; to świętokradztwo, przerażające i niezwykle, poruszyło całe miasto. Opat i wikary generalny z Saint-Germain-des-Pres zarządził uroczystą procesję całego swego duchowieństwa, prowadzoną przez nuncjusza papieskiego. Ale ta ekspiacja wydawała się nie wystarczająca dwom zacnym niewiastom: pani Courtin, markizie de Boucs i hrabinie de Chateaufieux. Zniewaga wyrządzona Najświętszemu Sakramentowi Ołtarza, chociaż należała już do przeszłości, nie dawała spokoju tym świątobliwym duszom. Sądziły, że może być naprawiona jedynie przez „Nieustającą Adorację” w którymś z żeńskich klasztorów. Obie — jedna w 1652 druga w 1653 roku — zapisały znaczne sumy matce Katarzynie de Bar, zwanej matką od Najświętszego Sakramentu, benedyktyńce, dla ufundowania w tym zbożnym celu klasztoru reguły Św. Benedykta: pierwszego pozwolenia na tę fundację udzielił matce Katarzynie de Bar ksiądz de Metz, opat Saint-Germain, „z tym zaleceniem, że żadna z panien nie może być przyjęta, jeśli nie wniesie wiana trzystu liwrów, które dadzą sześć tysięcy liwrów kapitału”. Po opacie z Saint-Germain król udzielił swego dyplomu i oba te dokumenty — list erekcyjny i list królewski — zostały zatwierdzone przez Izbą Rozrachunkową i parlament w roku 1654.

Taka jest geneza i podstawa prawna ustanowienia benedyktynek Nieustającej

Adoracji Najświętszego Sakramentu w Paryżu. Ich pierwszy dom został założony przy ulicy Cassette za talary pań de Boucs i de Chateaufieux.

Jak widzimy, to zgromadzenie niewiele miało wspólnego z benedyktyнками z Cîteaux. Zależało ono od opata z Saint-Germain-des-Pres, tak samo jak zakonnice Sacre-Coeur zależą od generała jezuitów, a siostry miłosierdzia od generała lazarystów.

Różniło się ono także od bernardynek z klasztoru Petit-Picpus, którego wewnątrz opisaliśmy przed chwilą. W roku 1657 papież Aleksander VII specjalnym *breve* zezwolił, by benedyktyнки z Petit-Picpus praktykowały Nieustającą Adorację tak samo jak benedyktyнки-sakramentki. Niemniej jednak oba te zakony pozostały nadal zupełnie różne.



## ROZDZIAŁ XI

### KONIEC KLASZTORU PETIT-PICPUS

Od początku Restauracji klasztor Petit-Picpus zamierał, co stanowiło część ogólnego zamierania zakonu, który od końca XVIII wieku zanika jak wszystkie w ogóle religijne zgromadzenia. Kontemplacja, na równi z modlitwą, jest potrzebą ludzkości; ale podobnie jak wszystko, czego tknęła rewolucja, odmieni się i z wroga postępu społecznego stanie się jego sprzymierzeńcem.

Klasztor Petit-Picpus wyludniał się gwałtownie. W roku 1840 znikł mały klasztor; znikła również pensja. Nie było już ani staruszek, ani młodych dziewcząt; pierwsze poumierały, drugie poszły w świat. *Voloverunt*.

Reguła Nieustającej Adoracji odstrasza swoją surowością, ilość powołań zmniejsza się, nie ma dopływu świeżych sił do zakonu. W roku 1845 trafiła się jeszcze czasem jakaś siostra-konwerska, ale z zakonnic pierwszego chóru nie przybyła ani jedna. Przed czterdziestu laty klasztor miał około stu zakonnic, przed piętnastu zostało ich zaledwie dwadzieścia osiem. Ile jest ich dziś? W roku 1847 przeorysza była młodą osobą — nie miała czterdziestu lat, znak, że krąg wyboru się zacieśnia. W miarę jak zmniejsza się liczba zakonnic, powiększa się trud; obowiązki każdej stają się coraz uciążliwsze. Już wówczas wyczuwało się, że zbliża się chwila, w której staną się one garstką zbołałych ramion, uginających się pod ciężarem reguły Św. Benedykta. Ciężar jest nieubłagany i zawsze pozostaje jednaki zarówno dla niewielu, jak i dla wielu. Dawniej ciążył, teraz miażdży. Toteż zakonnice wymierają. W czasie gdy autor tej książki mieszkał jeszcze w Paryżu, dwie z nich umarły. Jedna miała dwadzieścia pięć, druga — dwadzieścia trzy lata. Ta ostatnia mogłaby powiedzieć jak Julia Alpinula: *Hic jaceo, vixi annos viginti et tres*. Ze względu na to swoje powolne zamieranie klasztor zrezygnował z nauczania dziewcząt.

Nie mogliśmy przejść obok tego niezwykłego, nieznanego, tajemniczego domu, nie wszedłszy doń i nie wprowadziwszy tych, którzy nam towarzyszą i którzy słuchają — nie bez pewnej może korzyści dla siebie — smutnych dziejów Jana Valjean. Zajrzeliśmy do tego zgromadzenia pełnego dawnych praktyk, które dziś wydają się tak nowe. To zamknięty ogród. *Hortus conclusus*.

Opowiadaliśmy o tym osobliwym miejscu ze szczegółami, ale z szacunkiem, o tyle przynajmniej, o ile szacunek i szczegóły dadzą się ze sobą pogodzić. Nie wszystko rozumiemy, ale nie znieważamy niczego. Jesteśmy równie dalecy od peanów Józefa de Maistre, który dochodzi do uświęcenia kata, jak od szyderstwa Woltera, który posuwa się do kpin z krzyża.

Niekonsekwencja Woltera — nawiasem mówiąc — gdyż broniłby Jezusa tak samo, jak bronił Calasa; i dla tych nawet, którzy przeczą nadprzyrodzonym wcieleniom, cóż oznacza krzyż? Zabójstwo mędrca.

W dziewiętnastym stuleciu myśl religijna przechodzi kryzys. Zapomina się pewnych rzeczy, i słusznie, byleby zapominając jednych, człowiek uczył się drugich. W sercu ludzkim nie może być pustki. Pewne rzeczy ulegają zburzeniu; i trzeba je burzyć, wszakże pod warunkiem, iż na ich miejsce zbuduje się nowe.

Na razie rozpatrzmy te rzeczy, których już nie ma. Poznanie ich jest niezbędne, choćby dlatego, by ich unikać. Falsyfikaty przeszłości przybierają zwodnicze nazwy i chętnie zwa się przyszłością. Ten upiór — przeszłość — skłonny jest do fałszowania swego paszportu. Zdajmy sobie sprawę z zasadzki. Strzeżmy się. Przeszłość ma oblicze — zabobon i maskę — hipokryzję. Rozpoznamy twarz i zerwijmy maskę. Jeśli chodzi o klasztory problem jest złożony Problem cywilizacji, która je potępia, i problem wolności, która ich broni.

# **KSIĘGA SIÓDMA**

## **NAWIAS**

### **ROZDZIAŁ I**

#### **KLASZTOR JAKO POJĘCIE**

Ta księga to dramat, którego pierwszą osobą jest nieskończoność.

Człowiek jest drugą.

Skoro tak jest, to gdy klasztor znalazł się na naszej drodze, musieliśmy wejść do środka. Dlaczego? Gdyż klasztor, który stanowi właściwość zarówno wschodu, jak i zachodu, zarówno starożytności, jak i czasów nowożytnych, zarówno pogaństwa, buddyzmu, mahometanizmu, jak i chrystianizmu, jest jednym z aparatów optycznych, skierowanych przez człowieka na nieskończoność.

Nie tu jest miejsce na nadmierne rozwijanie pewnych myśli; wszakże mimo wszystkich naszych zarzutów, zastrzeżeń, a nawet oburzenia, musimy wyznać, że ilekroć znajdziemy w człowieku nieskończoność — źle czy dobrze pojętą — zawsze to budzi w nas szacunek. Synagoga, meczet, pagoda, czy świątynia - wigwam mają swoje ohydne strony, których nienawidzimy, i strony wzniosłe, które wielbimy.

Jakaż kontemplacja ducha, jakież marzenie nieskończone! Odblask Boga na murze, wzniesionym ręką człowieka.

## ROZDZIAŁ II

### KLASZTOR JAKO FAKT HISTORYCZNY

Z punktu widzenia historii, rozumu i prawdy — instytucja klasztoru została potępiona.

Klasztory, mnożąc się w jakimś kraju, wstrzymują rozwój, stanowią przeszkody, ośrodki próżniactwa tam, gdzie trzeba ośrodków pracy. Dla wielkiej wspólnoty społecznej wspólnoty zakonne są tym, czym jemiola jest dla dębu, a brodawka — dla ciała ludzkiego. Ich mnogość i zasobność powodują zubożenie kraju. Ustrój zakonny, dobry w początkach cywilizacji i użyteczny, bo łagodzący brutalność przez uduchowanie, jest szkodliwy dla narodów dojrzałych. Ponadto gdy upada i wchodzi w okres rozprzężenia — pozostając wzorem do naśladowania — staje się zgubnym dla tych wszystkich powodów, które go czyniły zbawiennym w okresie jego czystości.

Klauzura klasztorna — to przeżytek. Zakony, użyteczne dla początkowego nauczania cywilizacji nowożytnej, krępowały jej wzrost i szkodzą jej rozwojowi. Klasztory, jako instytucja i sposób kształtowania człowieka, dobre w dziesiątym wieku, wątpliwe w piętnastym, są w dziewiętnastym okropne. Trąd mniszy stoczył prawie do kości dwa wspaniałe kraje — Włochy i Hiszpanię, z których pierwszy był blaskiem, a drugi świetnością Europy przez całe wieki; i w naszych czasach te wspaniałe kraje zaczynają odzyskiwać siły tylko dzięki zdrowej i gwałtownej higienie roku 1789.

Klasztor, a zwłaszcza dawny klasztor żeński, taki, jaki istniał jeszcze na początku naszego wieku we Włoszech, Austrii, Hiszpanii, to jedna z najmroczniejszych pozostałości średniowiecza. Klasztor, taki klasztor jest punktem przecięcia wszelkich przerażeń. Klasztor katolicki jest cały przesiąknięty ciemnym promieniowaniem śmierci.

Szczególnie ponury jest klasztor hiszpański. Tam, w ciemnościach, wznoszą się w górę pod mrocznymi sklepieniami, pod kopułami majaczącymi w cieniu ciężkie, olbrzymie ołtarze, wysokie jak katedry; tam, w ciemnościach, zwisają na łańcuchach olbrzymie, białe krucyfiksy; tam, na hebanie, rozciągają się nagie, wielkie postacie Chrystusa z kości słoniowej, nie tylko zakrwawione, lecz krwawiące, których łokcie ukazują kości, stawy ukazują wiązania, rany ukazują żywe ciało; postacie uwieńczone koroną ze srebrnych cierni, przybite gwoździami ze złota, z kroplami krwi z rubinów na czole i łzami z diamentów w oczach, Diamenty i rubiny wydają się zroszone i pobudzają do płaczu znajdujące się w mroku na dole zawołowane istoty, o ciałach pokaleczonych

włosiennicą i dyscypliną o żelaznych końcach, o piersiach zgniecionych wiklinowym gorsetem, kolanach pozdzieranych od modłów; kobiety, które uważają się za oblubienice; widma, które mniemają, iż są serafinami. Czy te kobiety myślą? Nie. Czy pragną? Nie. Czy kochają? Nie. Czy żyją? Nie. Ich nerwy skostniały. Ich kości skamieniały. Ich welon utkany jest z nocnego mroku. Ich oddech pod welonem wydaje się jakimś tragicznym oddechem śmierci. Przeorysza, widmo, ukazuje im świętość i grozę. Niepokalane jawi się tam w całej surowości. Takie są stare klasztory Hiszpanii. Kryjówki przerażającej pobożności, jaskinie dziewic, miejsca okrucieństw.

Katolicka Hiszpania była bardziej rzymska niż sam Rzym. Klasztor hiszpański to w całym tego słowa znaczeniu klasztor katolicki. Czuło się w nim wschód. Arcybiskup, kishar-aga niebios, trzymał pod kluczem i śledził ten seraj dusz zachowany dla Boga. Mniszka była odaliską, kapłan był eunuchem. W ekstazie stawały się wybrankami i jednoczyły się z Chrystusem. W nocy piękny, nagi młodzieniec zstępował z krzyża i stawał się uniesieniem celi. Wysokie mury strzegły od wszelkich odgłosów życia mistyczną sułtanekę, której sułtanem był ukrzyżowany. Niewiernością było każde spojrzenie na zewnątrz. Wór skórzany zastępowało *in-pace*. Na wschodzie rzucano w morze, na zachodzie — rzucano w ziemię. I tu, i tam kobiety załamywały dłonie; jedno czekała głębina, drugie — loch. Tam je topiono, tu grzebano. Zbieżność potworna.

Dziś obrońcy przeszłości, nie mogąc zaprzeczyć tym faktom, postanowili nie traktować ich poważnie. Modnym stał się wygodny i dziwny sposób pomijania odkryć historii, lekceważenia komentarzy filozofii i odrzucania wszystkich niewygodnych faktów i niejasnych zagadnień. „Temat do deklamacji” — powiadają zręczni. „Deklamacje” — powtarzają głupcy. Jan Jakub — deklamator; Diderot — deklamator; Wolter wypowiadający się na temat Calasa, La Barre'a i Sirvena — deklamator. Ostatnio ktoś wynalazł, że Tacyt to deklamator, że Neron to ofiara i że z całą pewnością należy litować się „nad tym biednym Holoferne-sem”.

Jednakże fakty są uparte i trudno je zbić. Autor tej książki widział na własne oczy, w odległości ośmiu mil od Brukseli, w opactwie Villers (średniowiecze, które każdy ma pod ręką) otwory lochów na środku łąki, która była niegdyś podwórcem klasztoru, a na brzegu rzeki Dyle cztery ciemnice z kamieni, znajdujące się częściowo pod ziemią, częściowo pod wodą. Były to *in-pace*. W każdym z owych lochów zachowały się jeszcze resztki żelaznych drzwi, latryna i zakratowane okienko, które na zewnątrz znajduje się na wysokości dwóch stóp nad powierzchnią rzeki, wewnątrz zaś na sześć stóp pod powierzchnią ziemi. Wzdłuż tych murów, na wysokości czterech stóp, płynie rzeka. Ziemia jest tam stale wilgotna. Mieszkaniec *in-pace* miał za posłanie tą mokrą ziemię. W jednej z owych ciemnic jest kawał pręgierza wmurowanego w ścianę; w innej widać „rodzaj kwadratowej skrzyni, zrobionej z czterech płyt granitowych, zbyt

krótkiej, by w niej leżeć, zbyt niskiej, by w niej stać. Tam to wtrącano człowieka i przykrywano wiekiem z kamienia. To istnieje. To można zobaczyć. Tego można dotknąć. *In-pace*, lochy, żelazne dyby, pręgierze, to okienko na poziomie rzeki, kamienna skrzynia zamknięta granitową płytą jak grób, z tą jedynie różnicą, że tutaj umarłym był żywy człowiek; ta błotnista podłoga, te dziury po latrynach, te mury ociekające wilgocią — cóż za deklamatorzy!

## ROZDZIAŁ III

### POD JAKIM WARUNKIEM MOŻNA SZANOWAĆ PRZESZŁOŚĆ

Instytucja klasztoru, w tej farmie, w jakiej istniała w Hiszpanii i w jakiej istnieje w Tybecie, to swego rodzaju suchoty cywilizacji. Zatrzymuje życie. Po prostu wyludnia. Klostracja-kastracja. Była plagą Europy. Dodajcie do tego częste gwałty zadawane sumieniu, wymuszone powołania, feudalizm wspierający się na klasztorze, rodziny, które dla interesów swych pierwородnych synów zamykały w klasztorach nadmiar potomstwa, okrucieństwa, o których wspominaliśmy przed chwilą, *in-pace*, zakneblowane usta, zamurowane mózgi, tyle nieszczęsnych umysłów zamkniętych w ciemnicy ślubów wieczystych, obłóczyny, grzebanie dusz żywcem. Dodajcie męczarnie indywidualne do upodzeń społecznych — a kimkolwiek jesteście, zadrżycie na widok habitu i welonu, tych dwóch całunów wymyślonych przez człowieka.

A przecież, na przekór filozofii, na przekór postępowi, w pełnym rozkwicie XIX wieku w pewnych środowiskach i w związku z pewnymi sprawami duch zakonny trwa i dziwne wzmożenie się ascetyzmu zdumiewa w tej chwili świat cywilizowany. Upór trwania instytucji przestarzałych podobny jest do uporu zwietrzałych perfum, które by chciały, by nimi skropić włosy, do pretensji zepsutej ryby, która by chciała być zjedzona, do natręctwa dziecinnego ubranka, które by chciało przyrodzić dorosłego człowieka, do czułości trupów, które by powracały pieścić żywych.

„Niewdzięczni! — mówi ubranie. — Osłaniałem was w niepogodę. Czemu już mnie nie chcecie?” — „Przybywam z pełnego morza” — mówi ryba. „Byłam różą” — mówią perfumy. „Kochałem was” — mówi trup. „Cywilizowałem was” — mówi klasztor. Na to jest jedna odpowiedź: „Niegdyś.” Marzyć o przedłużaniu w nieskończoność rzeczy dawno umarłych i o rządzeniu ludźmi przez balsamowanie, odnawiać naruszone dogmaty, poźłacać na nowo trumny, dźwigać z ruin klasztory, poświęcać ponownie relikwiarze, odświeżać zabobony, ożywiać fanatyzmy, dawać nowe rękojeści kropidłom i pałaszom, przywracać zakony i militaryzm, wierzyć, iż zbawia się społeczność mnożąc pasożyty, i narzucać przeszłość terażniejszości — to wydaje się dziwne. A jednak teorie te mają swoich teoretyków. Ci teoretycy — ludzie zresztą pomysłowi — używają bardzo prostej metody: pociągają przeszłość nowym pokostem, który nazywają ładem społecznym, prawem boskim, moralnością, rodziną, czcią praojców, odwieczną władzą, świętą tradycją, praworządnością, religią, i idą krzycząc: „Proszę, bierzcie to, dobrzy ludzie!” Tę logikę znali starożytni. Stosowali ją ich kapłani; smarowali kredą czarną jałówkę i mówili: „Jest biała.” *Bos cretatus*.

Jeśli chodzi o nas, oszczędzamy zawsze przeszłość, a niekiedy szanujemy ją pod warunkiem, że godzi się być martwą. Jeśli chce żyć — atakujemy ją i staramy się zabić.

Zabobony, bigoiterie, obłądy, przesady — to larwy; lecz choć to są larwy, trzymają się życia i mimo że nieuchwytnie, mają kły i pazury. Trzeba z nimi walczyć wręcz, trzeba wypowiedzieć im wojnę i prowadzić ją bez przerwy, gdyż taka jest dola ludzkości, że skazana została na wieczny bój z widmami. Ciebie trudno chwycić za gardło i powalić.

Klasztor we Francji w południe XIX wieku to zgromadzenie sów w świetle dnia.

Klasztor, siedlisko ascetyzmu, wśród społeczeństwa z roku 1789, 1830 i 1848; Rzym panoszący się w Paryżu — to anachronizmy. W zwykłych czasach, by obalić i w niwecz obrócić anachronizm, wystarczy kazać przesylabizować mu datę roku. Ale nie żyjemy w zwykłych czasach.

Walczmy.

Walczmy, ale nie walczmy na ślepo. Prawda ma tę właściwość, iż jest wolna od przesady. Bo na cóż jej przesada? Są rzeczy, które trzeba zniszczyć i są rzeczy, które trzeba po prostu oświetlić i obejrzeć. Zbadanie życzliwe i poważne — to potęga! Nie wnośmy płomienia tam, gdzie wystarczy światło.

Skoro więc żyjemy w wieku dziewiętnastym, jesteśmy w zasadzie przeciwni zamkniętemu życiu klasztornemu u wszystkich narodów, zarówno w Azji, jak i w Europie, zarówno w Indiach, jak i w Turcji. Kto mówi „klasztor” — mówi „bagno”. Jego zgnilizna jest oczywista, stagnacja — niezdrowa, jego ferment rozgorączkowuje i osłabia ludy; jego rozmnażanie się staje się plagą egipską. Nie możemy bez lęku myśleć o tych narodach, wśród których jak od robactwa roi się od fakirów, bonzów, santonów, marabutów — i derwiszów.

To, co powiedzieliśmy, nie uchyla problemu religii. Problem ten ma swoje strony tajemne, niemal groźne; niech nam wolno będzie przyjrzeć mu się dobrze.



# ROZDZIAŁ IV

## KLASZTOR Z PUNKTU WIDZENIA ZASAD

Ludzie zbierają się i mieszkają wspólnie. Na mocy jakiego prawa?

Na mocy prawa do zrzeszania się.

Zamykają się u siebie. Na mocy jakiego prawa? Na mocy prawa, jakie ma każdy człowiek, by otworzyć lub zamknąć swe drzwi.

Nie wychodzę z domu. Na mocy jakiego prawa? Na mocy prawa swobodnego poruszania się, które zawiera w sobie prawo pozostawania u siebie w domu.

Tam, u siebie, cóż oni robią?

Mówią szeptem, chodzą ze spuszczonej oczyma, pracują. Wyrzekają się świata, gwaru miasta, rozkoszy zmysłowych, rozrywek, próżności, pychy, interesów. Odziewają się w szorstką wełnę lub szorstkie płótno. Żaden z nich nie posiada nic na własność. Wchodząc tu, ten, kto był bogaczem, staje się biedakiem. To, co posiada, staje się własnością wszystkich. Ten, kto był — jak się to mówi — dobrze urodzony, kto był szlachcicem i jaśnie panem, jest równy temu, kto był chłopem. Wszyscy mają jednakowe cele. Każdemu wystrzygają taką samą tonsurę, każdy nosi taki sam habit, je ten sam czarny chleb, śpi na tej samej słomie, umiera w tym samym prochu. Taki sam worek ma na grzbiecie, taki sam sznur wokół bioder. Jeśli postanowiono chodzić boso — wszyscy chodzą boso. Choćby tam był książę, ten książę będzie takim samym cieniem jak inni. Nie ma tytułów. Znikły nawet nazwiska. Są tylko imiona; nierówności są zniesione; wyzwolili się z więzów krwi i w swym zgromadzeniu utworzyli rodzinę duchową. Wszyscy ludzie są ich braćmi, innej rodziny nie znają. Wspomagają biednych, pielęgnują chorych, wybierają sami tych, którym są posłuszni. Jeden mówi drugiemu: bracie.

Tu zatrzymujesz mnie, czytelniku, i wołasz: „Ależ taki klasztor nie istnieje!”

Wystarczy, że taki klasztor jest możliwy, abym miał obowiązek wziąć go pod uwagę.

Dlatego właśnie w poprzedniej księdze mówiłem o klasztorze tonem pełnym szacunku. Wykluczysz średniowiecze, usunąwszy Azję, zastrzegłszy sobie swój sąd na problem historyczny i polityczny, z punktu widzenia filozofii jedynie, poza zasięgiem walczącej polemiki, pod warunkiem, że wstąpienie do klasztoru jest absolutnie dobrowolne i towarzyszy mu zgoda na wszystko, co się

tam znajdzie, będę zawsze patrzył na zgromadzenia zakonne z pewną uważną powagą, a w niektórych wypadkach z powagą pełną szacunku. Gdzie jest zgromadzenie — tam jest gmina; gdzie jest gmina — tam jest prawo. Klasztor — to wynik formuły: Równość, Braterstwo. O! Jakże wielka jest Wolność! I jakaż przemiana wspaniała: Wolność wystarczy, aby przemienić klasztor w republikę. Idźmy dalej.

Więc ci mężczyźni czy te kobiety wśród tych murów ubierają się w szorstką wełnę, żyją w równości, nazywają się braćmi. Dobrze. Ale czy robią jeszcze coś? Tak. Co?

Wpatrują się w ciemność, klękają i składają ręce. Co to znaczy?

# ROZDZIAŁ V

## MODLITWA

Modlą się.

Do kogo?

Do Boga.

Modlić się do Boga? Co znaczą te słowa?

Czy poza nami istnieje nieskończoność? Czy nieskończoność ta jest jedna, immanentna, trwała, czy jest substancjalna, ponieważ jest nieskończonością, a gdyby brakło jej materialnego bytu, byłaby przez to ograniczona? Czy jest rozumna, ponieważ jest nieskończonością, a gdyby brakło jej rozumu, byłaby przez to skończoną? Czy nieskończoność ta budzi w nas pojęcie istoty, podczas gdy sobie samym możemy przyznać tylko pojęcie istnienia? Innymi słowy, czy nie jest absolutem, dla którego my jesteśmy względnością?

Jednocześnie z nieskończonością istniejącą poza nami, czy i w nas samych nie ma nieskończoności? Czy obie te nieskończoności (cóż za przerażająca liczba mnoga) nie nakładają się jedna na drugą? Czy druga nieskończoność nie jest, że tak określimy, położona pod pierwszą? Czy nie jest jej zwierciadłem, odbiciem, echem, otchłanią koncentryczną dla tamtej otchłani? Czy ta górna nieskończoność jest również rozumna? Czy myśli? Czy kocha? Czy pragnie? Jeśli obie nieskończoności są rozumne, każda z nich ma wolę; nieskończoność na górze ma swoje „Ja”, podobnie, jak nieskończoność na dole ma swoje „Ja”. To „Ja” na dole — to dusza, to „Ja” na górze — to Bóg.

Łączyć ziemską nieskończoność z nieskończonością niebieską — to modlić się.

Nie ograniczajmy umysłu ludzkiego: tłumienie jest złem. Trzeba zmieniać i przemieniać. Pewne władze człowieka skierowane są ku nieznanemu: myśl, marzenie, modlitwa. Nieznane — to ocean. Czym jest sumienie? Busolą Nieznanego. Myśl, marzenie, modlitwa — to wielkie, tajemnicze promieniowania. Szanujmy je. Dokąd dążą te wspaniałe promienie duszy? Do cienia, to znaczy — do światła.

Wielkość demokracji polega na tym, że nie przeczy ona niczemu i nie zapiera się niczego, co ludzkie. Obok praw Człowieka — co najmniej w równym rzędzie — istnieją prawa Duszy.

Zdusić fanatyzmy, a czcić nieskończoność — oto zasada. Nie ograniczajmy się do padania na twarz przed drzewem Stworzenia i do podziwiania jego potężnych, pełnych gwiazd konarów. Pracować nad duszą ludzką, bronić tajemnicy przed cudem, uwielbiać to, co niezrozumiałe, a odrzucać to, co niedorzeczne, z tego, co niewytłumaczalne, przyjmować to, co konieczne, uzdrawiać wierzenia, z religii zdzierać zabobony, oczyścić z gąsienic Boga — oto nasze zadanie.

## ROZDZIAŁ VI

### ABSOLUTNA WARTOŚĆ MODLITWY

Każdy sposób modlenia się jest dobry, o ile jest szczery. Zamknij książkę do nabożeństwa i pograź się w nieskończoności.

Wiadomo, że jest filozofia, która przeczy istnieniu nieskończoności. Jest również filozofia, znana w patologii, która przeczy istnieniu słońca; ta filozofia zwie się ślepotą.

Brać za źródło prawdy zmysł, którego nam brakuje, to pewność siebie ślepca.

Ciekawą rzeczą są górne tony, pełne wyższości i politowania, które przybiera owa błądząca po omacku filozofia wobec filozofii widzącej Boga. Zupełnie, jakbyśmy słyszeli kreta wykrzykującego: „Litość we mnie budzą z tym swoim słońcem!”

Wiemy, że istnieją wielcy i sławni ateusze. Ale, przywiedzeni do prawdy własną wielkością, nie mają oni całkowitej pewności, że są ateuszami, z nimi to tylko sprawa definicji, i w każdym wypadku, jeśli nie wierzą w Boga, to jako wielkie umysły dowodzą sobą istnienia Boga.

Chylimy przed nimi czoło jako przed filozofami, ale bezlitośnie oceniamy ich filozofię.

Idźmy dalej.

Podziwu godna jest również łatwość zadowalania się słowami. Pewna metafizyczna szkoła północna, przesiąknięta nieco mgłami, sądziła, iż dokona przewrotu w pojęciach ludzkich, zastępując słowo „siła” słowem „wola”.

Powiedzieć: „roślina chce”, zamiast: „roślina rośnie”, byłoby to istotnie brzemienne w skutki, gdyby dodać: „wszechświat chce.” Dlaczego? Dlatego, że wynikałoby stąd: roślina chce, a więc ma swoje „ja”; wszechświat chce — a więc jest Bóg.

Jeśli chodzi o nas, którzy, w przeciwieństwie do owej szkoły, niczego nie odrzucamy *a priori*, to wola rośliny, którą szkoła ta dopuszcza, wydaje nam się trudniejsza do przyjęcia niż wola wszechświata, której szkoła ta przeczy.

Przeczyć istnieniu woli nieskończoności — czyli Boga, można jedynie, przecząc tym samym istnieniu nieskończoności. Wykazaliśmy to.

Zaprzeczanie istnienia nieskończoności prowadzi do nihilizmu. Wszystko staje się „koncepcją rozumu”.

Z nihilizmem nie ma dyskusji. Albowiem logiczny nihilista wątpi w istnienie swego rozmówcy i nie jest całkowicie pewny, czy sam istnieje.

Z jego punktu widzenia jest całkiem możliwe, że sam dla siebie stanowi tylko „koncepcję swego rozumu”.

Nie zdaje sobie tylko sprawy, że wszystko, czemu przeczył — przyjmuje w całości, wypowiadając samo słowo „Rozum”.

W ostatecznym rozrachunku filozofia, która wszystko sprowadza do jednego małego słówka „nie”, zamyka wszelką drogę dla myśli.

Na „nie” jest tylko jedna odpowiedź: „tak”.

Nihilizm nie otwiera żadnych perspektyw.

Nie ma nicości. Zero nie istnieje. Wszystko jest czymś. Nic jest niczym.

Człowiek żyje afirmacją więcej jeszcze niż chlebem.

Nie dość jest jednak widzieć i wskazywać. Filozofia musi być energią; jej wysiłkiem i jej celem powinno być udoskonalanie człowieka. Sokrates musi wstąpić w Adama i wydać Manka Aureliusza, innymi słowy, trzeba z człowieka szczęścia wydobyć człowieka mądrości, Eden przemienić w Liceum \*. Niech wiedza będzie nektarem. Używać życia — jakież to marny cel i jaka nędzna ambicja! Bydlę używa życia. Myśleć — oto prawdziwy triumf duszy. Zadaniem rzeczywistej filozofii jest napoić myślą spragnionych ludzi, dać im jako eliksir pojęcie Boga, połączyć w nich wiedzę i sumienie i dzięki temu tajemniczemu zbrataniu uczynić ich sprawiedliwymi. Moralność to rozkwit prawd. Kontemplacja prowadzi do czynu. Absolut powinien wchodzić w życie. Umysł ludzki powinien oddychać, pić się i żywić ideałem. Ideał ma prawo powiedzieć: „Bierzcie i pożywajcie: to jest krew moja, to jest ciało moje.” Mądrość — to komunia święta. Pod tym warunkiem przestaje być jałową miłością wiedzy, aby stać się jedynym i najwyższym sposobem zjednoczenia ludzkości i z filozofii urasta do godności religii.

Filozofia nie może być zwyczajnym obudowaniem tajemnicy, wzniesionym tylko po to, aby się w nią wpatrywać do woli, bez innego skutku jak dogodzenie własnej ciekawości.

Odkładając rozwinięcie naszej myśli do innej sposobności, ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że nie pojmujemy ani człowieka jako punktu wyjścia, ani

postępu jako celu bez tych dwóch sił, tych dwóch motorów działania: wiary i miłości.

Postęp jest celem, ideał jest wzorem.

Co to jest ideał? — To Bóg.

Ideał, absolut, doskonałość, nieskończoność — jednoznaczne słowa.

## ROZDZIAŁ VII

### OSTROŻNIE Z POTĘPIANIEM

Historia i filozofia mają odwieczne, a zarazem proste zadania: zwalczać Kaifa — kapłana, Drakona — sędziego, Trymalcjona — prawodawcę i Tyberiusza — władcę; to jest oczywiste, proste, przejrzyste i nie ma cienia niejasności. Ale prawo do życia na uboczu, razem ze swoimi ujemnymi stronami i nadużyciami, chce być uznane i uszanowane. Cenobityzm — to problem ludzkości.

Gdy mowa o klasztorach, tych miejscach błędu, ale i niewinności, zabłąkania, ale i dobrej woli, ciemnoty, ale i poświęcenia, męczarni, ale i męczeństwa — zawsze prawie trzeba powiedzieć „tak” i „nie”.

Klasztor to sprzeczność.' Celem jego jest zbawienie, środkiem do celu — ofiara. Klasztor to największy egoizm, z którego wynika największe wyrzeczenie.

„Abdykować, aby królować” — zdaje się być dewizą zakonów.

W klasztorze cierpią, aby się radować; wystawiają weksel na śmierć; dyskontują noc ziemską na światłość niebiańską. W klasztorze przyjmują piekło jako zadatek dziedzictwa raj. Obłóczyny — to samobójstwo, za które zapłatą jest wieczność.

Nie wydaje nam się, aby w tym przedmiocie stosowne były kpiny; wszystko tu ma swą powagę, zarówno dobro, jak i zło.

Człowiek sprawiedliwy może marszczyć brwi, ale nigdy nie uśmiecha się złośliwym uśmiechem. Rozumiemy gniew, nie rozumiemy złośliwości.



# ROZDZIAŁ VIII

## ZE CZCIĄ I WIARĄ

Jeszcze kilka słów.

Potępiamy Kościół, gdy wdaje się w intrygi, gardzimy duchowieństwem chciwym władzy świeckiej, lecz szanujemy wszędzie myślącego człowieka.

Chylimy czoło przed klęczącym.

Wiara — to konieczność człowieka. Biada temu, kto w nic nie wierzy!

Nie jest bezczynnym ten, kto się pogrąża w myślach. Istnieje trud widoczny i trud niewidoczny.

Kontemplacja — to trud. Myślenie — to czyn. Skrzyżowane ramiona pracują, złożone dłonie działają. Spojrzenie w niebo jest dziełem.

Tales przez cztery lata trwał w bezruchu i stworzył filozofię.

Dla nas mnisi nie są nierobami, pustelnicy nie są próżniakami.

Myśleć o Ciemności to rzecz poważna.

Nie odwołując nic z tego, co powiedzieliśmy przed chwilą, sądzymy, że nieustanna myśl o grobie przystoi żywym. W tym punkcie filozof i kapłan pozostają w zgodzie. „Trzeba umrzeć” — Horacemu odpowiada trapista.

Włączyć niejako w swe życie obecność grobu — to prawo, które obowiązuje mędrca, to prawo, które obowiązuje ascetę. W tym względzie i asceta, i mędrzec są ze sobą zgodni.

Istnieje wzrastanie materialne — chcemy go; istnieje również wielkość duchowa — pragniemy jej.

Umysły powierzchowne i zbyt pochopne w sądach pytają: „Po co te nieruchome postacie, zwrócone ku tajemnicy? Do czego służą? Co robią?”

Niestety! Wobec ciemności, która nas otacza, i wobec ciemności, która nas czeka, i nie wiedząc, co uczyni z nami olbrzymie rozproszenie, odpowiadamy: „Nie ma, być może, dzieła wznioślejszego nad to, którego dokonują owe dusze.” — I dodajemy: — „Nie ma może użyteczniejszej pracy.”

Dla tych, którzy nie modlą się nigdy, muszą istnieć ci, którzy modlą się wciąż.

Dla nas całe zagadnienie polega na ilości myśli włączonej do modlitwy.

Leibnitz modlący się to wzniosłe. Wolter uwielbiający Boga to pięknie: *Deo erexit Voltaire*.

Opowiadamy się za religią przeciw religiom.

Należymy do tych, którzy nie wierzą w formuły modlitw, ale wierzą w wielkość modlitwy.

Poza tym, w obecnej chwili, która na szczęście nie wycisnie pięt na wieku dziewiętnastym, w tej godzinie, kiedy tylu ludzi ma czoła wytarte i przyziemne dusze, kiedy tylu współczesnych przyjęło za dewizę moralną używać życia i zajmuje się nietrwałymi i szpetnymi sprawami ciała, każdy, kto dobrowolnie odsuwa się od życia, wydaje nam się godny szacunku. Klasztor jest wyrzeczeniem. Ofiara, choćby nawet bezzasadna, pozostanie zawsze ofiarą. Wziąć za obowiązek zadanie błędne, lecz ciężkie — w tym jest wielkość.

Klasztor sam w sobie, jako pojęcie, by w dociekaniu prawdy wyczerpać bezstronnie każdą jej stronę (zwłaszcza klasztor żeński, bowiem w naszej społeczności kobieta cierpi najciężej, a w zamknięciu się za furtą klasztorną jest protest), bezspornie ma w sobie pewien majestat.

Żywot zakonny, tak surowy i ponury, który naszkicowaliśmy przed chwilą, nie jest życiem, bo nie jest wolnością; nie jest śmiercią, bo nie jest pełnią; jest to miejsce niezwykle, z którego jak ze szczytu wyniosłej góry widać z jednej strony przepaść, w której się znajdujemy, a z drugiej — przepaść, w której się znajdziemy; to wąska, mglista granica, dzieląca dwa światy, rozjaśniana i zaciemniana przez oba te światy na raz, na której słaby promień życia miesza się z bladym promieniem śmierci; to półmrok grobu.

Co do nas, którzy nie wierzymy w to, w co wierzą owe kobiety, ale podobnie jak one żyjemy wiarą, nie mogliśmy nigdy bez jakiegoś mistycznego i tkliwego lęku, bez pewnego współczucia, pełnego zazdrości, patrzeć na te istoty oddane, trwożne i ufne, na te dusze pokorne i dostojne, dość odważne, by żyć w oczekiwaniu na samym progu tajemnicy, między światem, który się zamknął, a niebem, które się jeszcze nie otwarło, zwrócone ku światłości, której nie widać, cieszące się tylko myślą, że wiedzą, gdzie się ona znajduje, tęskniące do otchłani i tego, co nieznanne, ze wzrokiem utkwionym w nieruchomą ciemność, na klęczkach, nieprzytomne, przerażone, drżące, w pewnych godzinach na pół unoszone przez głębokie tchnienia wieczności.

# KSIĘGA ÓSMA

## CMENTARZE BIORŃ TO, CO SIĘ IM DAJE

### ROZDZIAŁ I

#### KTÓRY MÓWI O SPOSOBIE DOSTANIA SIĘ DO KLASZTORU

Do tego to domostwa Jan Valjean „spadł z nieba”, jak mówił Fauchelevant.

Przebył mur ogrodu tworzący występ przy ulicy Polonceau; owe pienia anielskie, które słyssał wśród nocy, były śpiewem zakonnic podczas jutrzni; owa sala, którą oglądał w półmroku — była kaplicą, owa zjawa leżąca na ziemi — mniszką odprawiającą zadośćuczynienie; dźwięk zaś dzwonka, który go tak zdziwił, był dzwonkiem ogrodnika przywiązany do nogi ojca Fauchelevant.

Ułożywszy Kozetę do snu, Jan Valjean i Fauchelevant posilili się przy sutym ogniu — jak już to widzieliśmy — szklanką wina i kawałkiem sera; a później, ponieważ jedyne łóżko zajmowała Kozeta, każdy z nich położył się na wiązce słomy. Przed zaśnięciem Jan Valjean rzekł:

— Muszę tu pozostać!

Te słowa przez całą noc chodziły po głowie staremu Fauchelevant.

Prawdę mówiąc, żaden z nich nie spał.

Jan Valjean, wiedząc, że został rozpoznany i że Ja-vert jest na jego tropie, zdawał sobie sprawę z tego, iż powrót do Paryża byłby zgubą dla niego i dla Kozety. Skoro nowe burze zagnały go do tego klasztoru,

miał jedyną myśl: zostać tu. Dla nieszczęśnika w jego sytuacji klasztor ten był najniebezpieczniejszym, a zarazem najpewniejszym schronieniem; najniebezpieczniejszym, bo żadnemu mężczyźnie nie wolno było przestąpić jego progów i gdyby go tu odkryto, zostałby przyłapany na jawnym przestępstwie i znalazłby się natychmiast w więzieniu; najpewniejszym, bo gdyby udało mu się pozostać tu na stałe, któż by go szukał w takim miejscu? Mieszkać w miejscu zgoła nieprawdopodobnym — to był ratunek.

Ze swej strony Fauchelevant łamał sobie głowę. Przede wszystkim musiał się przyznać, że nic nie rozumie. Murów klasztornych nie można przesadzić jednym skokiem. W jaki sposób, mimo tych murów, pan Madeleine znalazł się tutaj?

Jakim sposobem znalazł się tutaj z dzieckiem? Nikt nie wdrapuje się na wysoki mur z dzieckiem na rękę. Co to za dziecko? Skąd przybywali oboje? Od czasu zamieszkania w klasztorze Fauchelevant nie słyszał o Montreuil-sur-mer i nie wiedział o tym, co się tam stało. Mina ojca Madeleine nie zachęcała do pytań, a zresztą Fauchelevant mówił sobie: „Nikt nie wypytuje świętego.” Pan Madeleine zachował dla niego cały swój autorytet. Jedynie z paru słów, które mu się wymknęły, Fauchelevant mógł — jak sądził — wnioskować, że pan Madeleine z powodu ciężkich czasów pewno zbankrutował i jest ścigany przez wierzycieli; albo też został skompromitowany w jakiejś sprawie politycznej i ukrywa się; to podobałoby się ogrodnikowi, który — jak wielu naszych wieśniaków z północy — był w głębi duszy starym bonapartystą. Szukając kryjówki, pan Madeleine schronił się do klasztoru i chciał — to jasne — tu pozostać. Lecz nie do pojęcia było to, do czego Fauchelevant stale powracał i nad czym łamał sobie głowę, jak pan Madeleine się tu znalazł i do tego z dzieckiem. Fauchelevant patrzył na nich, dotykał ich, mówił z nimi i nie mógł temu uwierzyć. Zagadka weszła do chaty Fauchelevanta. Błąkając się pośród różnych domysłów, dobrze rozumiał tylko to jedno, że pan Madeleine uratował mu życie. Ta jedna pewność wystarczyła mu, by powziąć decyzję. Powiedział sobie: „Teraz na mnie kolej — i dodał w duszy: — Pan Madeleine nie namyślał się tyle, zanim wlaź pod wóz, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.” Postanowił, że uratuje pana Madeleine.

Stawiał sobie różne pytania i dawał różne odpowiedzi: „Gdyby to był złodziej, czy po tym, co dla mnie zrobił, ratowałbym go? Tak, nawet wtedy! — Gdyby to był morderca, czy ratowałbym go? Tak, nawet wtedy. — A skoro to jest święty, czy będę go ratował? Tak, nawet i w tym wypadku.”

Ale umożliwić mu pozostanie w klasztorze, co za problem! Przed tym przedsięwzięciem, prawie zupełnie nierealnym, Fauchelevant się nie cofnął; ten ubogi wieśniak pikardyjski, uzbrojony jedynie w swoje przywiązanie, dobrą wolę i odrobinę tej odwiecznej chłopskiej przebiegłości, tym razem oddanej na usługi szlachetnej intencji, postanowił pokonać przeszkody nie do przebycia, jakie nastęrczał klasztor, i zwyciężyć trudność reguły Św. Benedykta. Ojciec Fauchelevant, starzec, który przez całe życie był samolubem, pod koniec swoich dni, kulawy, niedołączny, niczym już nie związany ze światem, poczuł, jak słodką rzeczą jest wdzięczność, i ujrawszy sposobność dokonania szlachetnego czynu, rzucił się na nią niby człowiek, który w chwili śmierci znajdzie pod ręką szklanekę wyborowego wina, jakiego nigdy nie pił, i wychyli ją chciwie. Trzeba dodać, że atmosfera, którą oddychał od kilku już lat w klasztorze, przeobraziła całkowicie jego osobowość, tak że w końcu spełnienie jakiegoś dobrego uczynku stało się dlań koniecznością.

Powziął tedy postanowienie: poświęcić się dla pana Madeleine.

Określiliśmy go przed chwilą jako „ubogiego, pikardyjskiego wieśniaka”.

Określenie słuszne, ale niezupełnie. Doszliśmy w naszej opowieści do miejsca, w którym warto nakreślić sylwetkę ojca Fauchelevant. Był wieśniakiem, ale był niegdyś pisarzem sądowym, co jego wrodzoną przebiegłość zaprawiło kręactwem i naiwność — przenikliwością. Gdy mu się z różnych przyczyn nie powiodło w interesach, z pisarza został woźnicą i wyrobnikiem. Ale choć klął na konie i okładał je batem, zdawał się pozostawać w głębi duszy pisarzem. Miał pewną wrodzoną inteligencję; nie mówił: „jażem był” czy: „bylimy”; gawędził chętnie, rzecz na wsi rzadko spotykana, toteż inni wieśniacy mawiali o nim: „Rozprawia niczym miastowy pan.” Fauchelevant należał istotnie do gatunku ludzi, których zuchwałe i niefrasobliwe słownictwo ubiegłego wieku określało jako: „Półpana, półchama”, i których metafory, spadłe z pałaców pod strzechę, umieszczały w rejestrze stanu nieszlacheckiego jako ni to chłopów, ni to mieszczan — „ni pies, ni wydra”. Fauchelevant, choć mocno przez los doświadczony i sterany życiem, biedna, stara istota wytarta do osnowy niby stare ubranie, był jednak człowiekiem impulsywnym i spontanicznym; cenna właściwość, która sprawia, że taki człowiek nigdy nie jest zły. Jego wady i przywary — bo miał je przecie — były powierzchowne; w sumie: fizjonomia wzbudzająca sympatię u obserwującego. Na tej starej twarzy nie było przykrych zmarszczek u góry czoła, znamionujących złość lub głupotę.

O świcie, kiedy Fauchelevant otworzył oczy po długich rozmyślaniach, zobaczył pana Madeleine, który siedział na swojej wiązce słomy i wpatrywał się w śpiącą Kozetę. Usiadł na swoim pościeliu i powiedział:

— Teraz, gdy już tu jesteście, co zrobicie, żeby się tu dostać?

To zdanie, streszczające sytuację, wyrwało Jana Val-jean z zadumy.

Obaj starcy zaczęli się naradzać.

— Przede wszystkim — mówił Fauchelevant — trzeba zacząć od tego, że żadne z was nie może wychodzić z izby; jeden krok do ogrodu i wszystko weźmie w łeb.

— Słusznie.

— Zjawiliście się w bardzo dobrej, to znaczy, chciałem powiedzieć, w bardzo smutnej chwili — ciągnął Fauchelevant. — Jedna z zakonnicy jest bardzo chora. Dlatego nikt nie spojrzysz nawet w naszą stronę! Podobno jest umierająca. Odprawiają czterdziestogodzinne nabożeństwo. Całe zgromadzenie jest w ruchu. Mają moc zajęcia. Ta, co to właśnie umiera, to święta. Po prawdzie wszyscy my tu jesteśmy święci. Cała różnicamiędzy zakonnicy a mną, że one mówią: „nasza cela”, a ja mówię: „moja chałupa”. Będą modły za konających, a potem modły za umarłych. Dzisiaj jesteśmy tu bezpieczni, ale nie ręczę za jutro.

— Przecież ten domek jest w załomie muru — zauważył Jan Valjean. — Zastaniają go ruiny, drzewa, nie widać go z klasztoru.

— Dodam jesacze, że zakonnice nigdy się do niego nie zbliżają.

— A więc? — rzekł Jan Valjean.

Pytanie, brzmiące w tym „a więc”, znaczyło: wydaje mi się, że można się tu schować. Na to ukryte pytanie odpowiedział Fauchelevant:

— Są jeszcze małe.

— Jakie małe? — zapytał Jan Valjean. Fauchelevant otworzył usta, by wyjaśnić wypowiedziane przed chwilą słowa, gdy rozległo się pojedyncze uderzenie dzwonu.

— Umarła — rzekł. — To dzwon żałobny. I dał znak Janowi Valjean, by słuchał. Dzwon uderzył po raz drugi.

— Tak, to dzwonią na znak żałoby, panie Madeleine. Będą tak dzwonić co minutę, przez całe dwadzieścia cztery godziny aż do wyprowadzenia zwłok z kościoła. Widzicie, toto się bawi. Wystarczy, że w czasie rekreacji piłka im się potoczy, a już, mimo zakazów, uciekają, by tu szperać i myszkować. Te aniołki to prawdziwe diabły.

— Kto? — zapytał Jan Valjean.

— Małe. Prędko by was wypatrzyły, oho! Wołałyby: „Patrzcie, mężczyzna!” Ale dziś nie ma obawy. Rekreacji nie będzie. Cały dzień będą się modliły. Słyszycie dzwon? Tak, jak mówiłem, jedno uderzenie na minutę. To dzwon żałobny.

— Rozumiem, ojcie Fauchelevant. Tu są pensjonarki. I Jan Valjean pomyślał w duchu: „Załatwiona sprawa szkoły dla Kozety.”

Fauchelevant zawołał:

— O rety! Czy są tu dziewczynki, a jakże! A piszczałoby to! A uciekało! Tutaj mężczyzna — to zaraza morowa! Widzicie przecie, że uwiesiły mi dzwonek do nogi jak dzikiej bestii.

Jan Valjean pogrążył się w coraz głębsze rozmyślenia.

— Ten klasztor to nasz ratunek — szepnął. Po czym rzekł głośno: — Tak, trudność polega na tym, by tu zostać.

— Nie — odparł Fauchelevant. — Trudność polega na tym, aby stąd wyjść.

Jan Valjean poczuł, że krew odpływa mu od serca.

— Wyjść?

— Tak, panie Madeleine, aby tu wejść, musicie wpierw wyjść.

I, przeczekawszy uderzenie dzwonu, ciągnął:

— Nie możecie się tu znaleźć ni stąd, ni zowąd. Skąd się tu wzięliście? Dla mnie — ponieważ was znam — mogliście spaść z nieba, ale dla zakonnic musicie wejść drzwiami.

Nagle rozległo się dość skomplikowane dzwonienie innego dzwonu.

— Acha, to dzwonią na matki głosujące — rzekł Fauchelevant. — Zwołują kapitułę. Zawsze, jak kto umrze, zbiera się kapituła. Umarła o świcie. Zwykle ludzie umierają o świcie. A czy nie moglibyście wyjść tak, jak weszliście? Ja wcale nie chcę wypytywać, ale którądyście weszli?

Jan Valjean zbladł. Sama myśl o wyjściu na tę straszną ulicę przejmowała go drżeniem. Wydostań się z puszczy pełnej tygrysów, a wydostawszy się, usłysz radę przyjaciela, który cię zachęca, abyś tam powrócił. Jan Valjean wyobrażał sobie mrowie policji, szpicli, agentów na czatach, ohydne łapy wyciągające się, by go chwycić za kołnierz, Javerta stojącego może za rogiem zaułku.

— To niemożliwe! — rzekł. — Ojczy Fauchelevant, wyobraźcie sobie, że spadłem z nieba.

— Ależ wierzę w to, wierzę! — odparł Fauchelevant. — Nie potrzebujecie mi tego mówić. Bóg wziął was do ręki, aby się przyjrzeć z bliska, a potem wypuścił z powrotem. Tylko tyle, że chciał wrzucić was do męskiego klasztoru. Pomylił się. Oho, jeszcze jedno dzwonienie. To na stróża, żeby poszedł zawiadomić zarząd miejski, żeby zarząd miejski zawiadomił lekarza, żeby lekarz przyszedł zobaczyć, że jest umarła. To wszystko to ceremonia umierania! Nasze czcigodne panie bardzo nie lubią tej wizyty. Taki doktor to w nic nie wierzy. Podnosi welon. Czasem podnosi jeszcze coś innego. Jak im tym razem spieszo z zawiadomieniem lekarza! Co to się dzieje? A pańska mała śpi ciągle. Jak jej na imię?

— Kozeta.

— To córka? Chciałem rzec — jesteście jej dziadkiem?

— Tak.

— Dla niej łatwo będzie wy dostać się stąd. Mam swoją służbową furtkę, która wychodzi na podwórze. Stukam. Stróż mi otwiera. Niosę na grzbiecie kosz, mała siedzi w środku. Wychodzę. Ojciec Fauchelevant wychodzi ze swoim koszem, najzwyczajniejsza rzecz. Powiecie małej, żeby siedziała cicho. Przykryję ją płachtą. Zostawię ją na tyle czasu, co będzie trzeba, u dobrej starej znajomej, handlarki owocami, która mieszka przy ulicy Chemin-Vert, jest głucha i ma u siebie małe łóżeczko. Krzyknę jej prosto w ucho, że to moja siostrzenica i żeby się nią zaopiekowała do jutra. Potem mała z wami wróci. Bo ja to zrobię, że tu wrócić! Musicie tu wrócić. Tylko jak wy stąd wyjdziecie?

Jan Valjean pokiwał głową.

— Cała w tym rzecz, żeby mnie nikt nie zobaczył, ojcie Fauchelevant. Znajdźcie jakiś sposób, żeby mnie stąd wyprowadzić jak Kozetę pod płachtą w koszu.

Stary ogrodnik drapał się w ucho środkowym palcem lewej ręki — oznaka poważnego zafrasowania. Trzecie dzwonięcie przerwało rozmowę.

— Teraz odchodzi lekarz od umarłych — rzekł Fau-chelevant. — Popatrzył, powiedział: „nie żyje” — w porządku. Jak lekarz wystawi już paszport do nieba, zakład pogrzebowy przysyła trumnę. Jeżeli umrze matka, to matki wkładają ją do trumny, jeżeli siostra — to siostry. A potem ja zabijam trumnę. To też należy do mojego ogrodnictwa; ogrodnik jest trochę grabarzem. Ustawiają ją w sali przy kościele, która wychodzi na ulicę; żaden mężczyzna nie ma prawa tam wejść, tylko lekarz od umarłych. Nie liczę za mężczyzn siebie i karawaniarzy. W tej sali zamykam trumnę. Karawaniarze ją zabierają, a potem — wio! i tak się jedzie do nieba. Przynoszą pustą skrzynię, zabierają pełną. I to jest właśnie pogrzeb. *De profundis*.

Poziomy promień słońca muskał twarz śpiącej Kozety, która rozchyliła lekko wargi i wyglądała jak anioł pijący światło. Jan Valjean wpatrywał się w nią i nie słuchał już starego. Nie być słuchanym nie jest powodem, by przestać mówić. Zaczyna, stary ogrodnik spokojnie bąkał dalej:

— Kopia dół na cmentarzu Vaugirard. Podobno mają ten cmentarz skasować. To bardzo stary cmentarz, nie trzyma się przepisów, nie nosi urzędowego munduru i będzie musiał pójść na emeryturę. Szkoda, bo jest wygodny. Mam tam przyjaciela, grabarza, ojca Mestienne. Nasze zakonnice uzyskały przywilej, że mogą być grzebane na tym cmentarzu wieczorem. Prefektura dała im specjalne pozwolenie. Ileż to się nowego zdarzyło od wczoraj. Matka od Ukrzyżowania umarła, a ojciec Madeleine...

— Został pogrzebany — uśmiechnął się smutnie Jan Valjean.



Fauchelevant podchwycił słowo:

— Gdyby pan tu został na dobre, byłby pan naprawdę pogrzebany!

Rozległo się nagle czwarte dzwonienie. Fauchelevant pospiesznie chwycił z haka rzemień z dzwonkiem i opasał nim kolano:

— Tym razem to na mnie. Matka przełożona mnie wzywa. Masz tobie, ukłułem się sprzączką. Panie Madeleine, nie ruszajcie się stąd i czekajcie na mnie. Coś nowego zaszło. Jeśli jesteście głodni, tam jest wino, chleb i ser. Wyszedł z chałupki, powtarzając:

— Idę, już idą!

Jan Valjean widział, jak szedł przez ogród prędko, o ile mu na to pozwalała krzywa noga, spoglądając raz po raz w stronę grządek melonów.

Nie upłynęło dziesięć minut, a ojciec Fauchelevant, płosząc po drodze swym dzwonkiem zakonnicę, zastukał lekko do jednych drzwi, zza których łagodny głos odpowiedział: „Na wieki wieków”, co oznaczało: „Proszę wejść.”

Były to drzwi rozmównicy, w której przyjmowano ogrodnika w sprawach służbowych. Sąsiadowała ona z salą kapituły. Siedząc na jedynym krześle, znajdującym się w rozmównicy, przełożona czekała na Fau-cheleventa.

## ROZDZIAŁ II

### FAUCHELEVENT WOBEC TRUDNOŚCI

Wyraz wzburzenia i powagi zarazem, w sytuacjach wyjątkowych, właściwy jest ludziom o pewnym usposobieniu i pewnych zawodów — szczególnie zaś księżom i zakonnikom. Gdy Fauchelevant wszedł do rozmównicy, te dwa uczucia malowały się na obliczu przełożonej, czarującej i uczonej panny de Blemeur, matki Innocenty, zazwyczaj tak wesołej.

Ogrodnik skłonił się nieśmiało i zatrzymał na progu celi. Przełożona, przesuwająca paciorki różańca, podniosła oczy i odezwała się:

— A to wy, ojczy Fauvent!

Tak bowiem w klasztorze skrócono jego nazwisko. Fauchelevant znów się ukłonił.

— Wezwałam was, ojczy Fauvent.

— Jestem, wielbna matko.

— Chcą z wami pomówić.

— I ja, ze swej strony, także chciałbym coś powiedzieć przewielebnej matce — rzekł Fauchelevant ze śmiałością, która go w duchu przerażała.

Przełożona popatrzyła na niego.

— A macie do mnie jakąś sprawą?

— Mam prośbę.

— Mówcie, proszą.

Zacny Fauchelevant, ex-pisarz, należał do tej kategorii wieśniaków, którym nie brak pewności siebie. Pewna sprytna ignorancja to siła; człowiek nic nie podejrzewa i daje się okręcić wokół palca. Mieszkając w klasztorze od dwóch przeszło lat. Fauchelevant był ceniony przez zgromadzenie. Zawsze samotny, przy swoich zajęciach ogrodniczych nie miał nic innego do roboty jak zaspokajać swoją ciekawość. Odległość dzieląca go od tych przesuwających się tam i z powrotem zawoalowanych postaci niewieścich sprawiała, że widział tylko poruszające się cienie. Dzięki swej uwadze i przenikliwości doszedł do

tęgo, że widma przyoblekły w ciało i te żywcem pogrzebane kobiety stały się dla niego żywymi istotami. Przypominał głuchego, któremu wzrok się zaostrza, ślepcę, któremu słuch się wzmacnia. Starał się dociec, co znaczy każde dzwonięcie, i doszedł do tego, że zagadkowy i milczący klasztor nie miał dla niego żadnych tajemnic; ten sfinks szeptał mu do ucha wszystkie swe sekrety. Fauchelevant, wiedząc wszystko, z niczym się nie zdradzał. Posiadał tę sztukę. Całe zgromadzenie miało go za głupca: wielka to zaleta w klasztorze! Matki bardzo ceniły Fauchelevantę. Był to ciekawy okaz milczka. Wzbudzał zaufanie. Poza tym zachowywał się należycie, wychodził tylko w koniecznych i bezspornych sprawach sadu czy warzywnika. Ceniono tu jego powściągliwość. Fauchelevant pociągnął jednak za język dwóch ludzi: w klasztorze — stróża, i poznał osobliwości rozmównicy; na cmentarzu — grabarza, i poznał osobliwości pogrzebu. W ten sposób miał o zakonnicach informacje dwóch rodzajów: jedne rzucały światło na ich życie, inne na śmierć. Nie nadużywał tego nigdy. Zgromadzeniu zależało na nim. Stary, kulawy, trochę ślepy, prawdopodobnie przygłuchy — ileż to zalet! Drugiego takiego trudno byłoby znaleźć.

Pocziwina, z pewnością siebie człowieka, który czuje, że jest ceniony, wygłosił do wielebnej matki chłopską przemowę, dość rozwlekłą i bardzo głęboką. Mówił długo o swoim wieku, o swoich niedomaganiach, o brzemieniu lat, które teraz podwójnie na nim ciąży, o wzrastających wciąż potrzebach pracy, o rozległości ogrodu, o czuwaniu po nocach — jak na przykład dzisiejszej nocy, kiedy to musiał przykrywać meloniarnię słomianymi matami z powodu księżyca — aby w końcu dojść do tego, że ma brata (przełożona poruszyła się), brata już niemłodego (przełożona znowu się poruszyła, ale wyrażało to już uspokojenie), że gdyby się zgodzono, ten brat mógłby zamieszkać u niego i pomagać mu, jako że jest doskonałym ogrodnikiem, że zgromadzenie miałoby z niego wielką korzyść, większą niż z niego; że gdyby nie przyjęto jego brata, on, który jest starszy, sterany i nie może podołać pracy, z wielkim żalem będzie musiał odejść; i że jego brat ma córeczkę, którą przyprowadziłby ze sobą, aby po bożemu wychowała się w klasztorze, i — kto wie — może kiedyś zostałaby zakonnicą.

Gdy skończył mówić, przełożona przestała przesuwając w palcach różaniec i powiedziała mu:

— Czy do wieczora moglibyście wynaleźć mocny drąg żelazny?

— Do czego ma służyć?

— Ma służyć za lewar.

— Dobrze, wielebna matko — odparł Fauchelevant. Nie dodawszy ani słowa, przełożona wstała i weszła do sąsiedniego pokoju, służącego za salę kapituły, w

którym zapewne zebrane były matki głosujące. Fau-chelevent pozostał sam.

## ROZDZIAŁ III

### MATKA INNOCENTA

Tak upłynął mniej więcej kwadrans. Przełożona wróciła i znów zasiadła na krześle.

I przełożona, i Fauchelevant byli czymś zaabsorbowani. Notujemy tu najlepiej, jak umiemy, dialog, który się nawiązał:

— Ojczy Fauvent?

— Słucham, wielbna matko.

— Znacie naszą kaplicę?

— Mam w niej malutką klitkę, w której słucham mszy i nabożeństw.

— Byliście też w prezbiterium dla wykonania jakiejś roboty.

— Dwa albo trzy razy.

— Trzeba będzie podnieść kamień.

— Ciężki?

— Płytę kamienną obok ołtarza.

— Płytę, która zamyka wejście do krypty?

— Tak.

— Do takiej roboty przydałoby się dwóch mężczyzn.

— Pomoże wam matka od Wniebowstąpienia, która jest silna jak mężczyzna.

— Zawsze kobieta to nie to co mężczyzna.

— Możemy wam dać do pomocy tylko kobietę. Każdy robi, co może. Dlatego, że dom Mabillon daje nam czterysta siedemnaście listów Św. Bernarda, a Merlonus

Horstius tylko trzysta sześćdziesiąt siedem, nie lekceważę bynajmniej Merlonusa Horstiusa.

- Ani ja.
- Zasługą jest pracować według swych sił. Klasztor to nie drwalnia.
- A kobieta to nie mężczyzna. Mój brat, ten to dopiero jest silny!
- Poza tym będziecie mieli lewar.
- Tylko taki klucz pasuje do takich drzwi.
- W płycie jest pierścień.
- Wsunę w niego mój lewar.
- Płyta jest tak osadzona, że się obraca wokół swojej osi.
- Dobrze, wielebna matko. Otworzę wejście do krypty.
- Cztery matki kantorki będą wam przy tym asystować.
- A kiedy krypta zostanie otwarta?
- Trzeba będzie ją zamknąć.
- To wszystko?
- Nie.
- Czekam na rozkazy wielebnej matki.
- Fauvent, mamy do was zaufanie.
- Jestem tu, by robić wszystko.
- I nie mówić o niczym.
- Tak, wielebna matko.
- Gdy krypta zostanie otwarta...
- Zamknę ją.
- Ale przedtem...
- Co, wielebna matko?
- Trzeba będzie coś tam wstawić.

Zapadło milczenie. Przełożona, której usta ułożyły się na chwilę jak gdyby w grymas wahania, przerwała je wreszcie:

- Ojczy Fauvent?
- Słucham, wielbna matko.
- Wiecie, że dziś rano zmarła jedna z naszych matek?
- Nie wiedziałem.
- Nie słyszeliście dzwonu?
- W głębi ogrodu nic nie słyhać.
- Doprawdy?
- Swój dzwonek ledwo słyszę.
- Umarła o świcie.
- A zresztą dziś rano wiatr wiał z przeciwnej strony.
- Umarła matka od Ukrzyżowania. Błogosławiona.

Tu przełożona umilkła; przez chwilę poruszała ustami, jakby odmawiając szeptem modlitwę, po czym podjęła na nowo:

- Trzy lata temu sam widok modlącej się matki od Ukrzyżowania nawrócił panią de Bethune, jansenistkę.
- A tak, teraz słyszę dzwon żałobny, wielbna matko.
- Matki zaniósł jej zwłoki do sali zmarłych, która przylega do kościoła.
- Tak jest.
- Żaden mężczyzna, poza wami, nie może i nie powinien wejść do tej sali. Pamiętajcie o tym. Pięknie by to było, gdyby jakiś mężczyzna wszedł do sali zmarłych.
- Nigdy!
- Co?
- Nigdy!

— Co mówicie?

— Mówię: nigdy.

— Ale co: nigdy?

— Wielebna matko, ja nie mówię: co nigdy, ja mówię: nigdy.

— Nie rozumiem. Dlaczego mówicie: nigdy?

— Żeby mówić tak jak wielebna matka.

— Ależ ja nie powiedziałam: nigdy.

— Nie powiedziała matka, ale ja powiedziałem, żeby mówić tak jak wielebna matka.

W tej chwili wybiła godzina dziewiąta.

— O dziewiątej godzinie i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza — rzekła przełożona.

— Amen — odpowiedział Fauchelevant.

Zegar wydzwonił w porę, przerywając dyskusję nad nieszczęsnym „nigdy”. Gdyby nie to, ani przełożona, ni Fauchelevant nie wybrnęliby prawdopodobnie z tej plątaniny.

Fauchelevant otarł czoło.

Przełożona znów zaczęła coś szeptać, najprawdopodobniej modlitwę, po czym rzekła głośno:

— Za życia matka od Ukrzyżowania nawracała ludzi; po śmierci będzie czynić cuda.

— O, będzie — powtórzył zgodnie Fauchelevant, który się teraz pilnował, by znów nie palnąć głupstwa.

— Ojczy Fauvent. zgromadzenie nasze zostało pobłogosławione w osobie matki od Ukrzyżowania. Zapewne nie każdemu jest dane umrzeć przy odprawianiu mszy świętej jak kardynałowi Berulle i oddać swą duszę Bogu wymawiając słowa: *Hanc igitur oblationem*. Ale choć me dostąpiła takiego szczęścia, matka od Ukrzyżowania miała śmierć bardzo piękną. Zachowała przytomność do ostatniej chwili. Rozmawiała z nami, potem rozmawiała z aniołami. Zostawiła nam swe ostatnie nakazy. Gdybyście byli mocniejszej wiary i gdyby wam wolno



było wejść do jej celi, dotknięciem uzdrowiłaby waszą nogę. Uśmiechała się; wyczuwało się, że zmartwychwstaje w Panu. Niebiosa były w jej śmierci.

Fauchelevant myślał, że to było kazanie, które dobiegało końca.

— Amen — odpowiedział.

— Ojcze Fauvent, trzeba spełniać wolę zmarłych.

Przesunęła kilka paciorków różańca. Fauchelevant milczał. Przełożona ciągnęła dalej:

— Radziłam się w tej kwestii wielu duchownych pracujących w Jezusie Chrystusie, którzy zajmują się praktyką życia duchownego, a których praca wydaje wspaniałe owoce.

— O wiele lepiej słyhać dzwon żałobny tutaj niż w ogrodzie, wielebna matko.

— Zresztą, to nie jest zwykła zmarła, to święta.

— Tak jak wielebna matka.

— Od dwudziestu lat sypiała w swej trumnie, na mocy specjalnego zezwolenia naszego ojca świętego, Piusa VII.

— Tego, co koronował cesa... Buonaparta.

U tak zręcznego człowieka jak Fauchelevant to przypomnienie było niefortunne. Na szczęście, przełożona, pochłonięta swoją myślą, nie usłyszała tego i mówiła dalej:

— Ojcze Fauvent?

— Słucham, wielebna matko.

— Św. Diodor, arcybiskup Kapadocji, chciał, by na jego grobie napisano to jedno słowo: *Acarus*, co znaczy robak ziemi. Stało się, jak żądał. Czyż nie tak?

— Tak jest, wielebna matko.

— Błogosławiony Mezzocane, biskup Aągili, chciał być pogrzebany pod szubienicą. Stało się, jak żądał.

— To prawda.

— Święty Terencjusz, biskup Portu u ujścia Tybru, chciał, by na jego kamieniu

grobowym wyryto znak

Umieszczany na mogiłach ojcobójców, w tej nadziei, że przechodnie plwać będą na jego grób. Stało się, jak żądał. Trzeba szanować wolę zmarłych.

— Amen.

— Zwłoki Bernarda Gwidonisa, urodzonego we Francji, koło Roche-Abeille, zostały — zgodnie z jego wolą, a wbrew woli króla Kastylii — złożone w kościele Dominikanów w Limoges, chociaż Bernard Gwidonis był biskupem Tuy w Hiszpanii. Czy można temu zaprzeczyć?

— Co to, to nie, wielebna matko.

— Fakt ten został potwierdzony przez Plantavita de la Fosse.

Jeszcze kilka paciorków różańca przesunęło się w milczeniu. Przełożona podjęła znowu:

— Ojczy Fauvent, matka od Ukrzyżowania zostanie pochowana w trumnie, w której sypiała od dwudziestu lat.

— Słusznie.

— To dalszy ciąg snu.

— Mam więc zamknąć ją w tej trumnie?

— Tak.

— I nie skorzystamy z trumny zakładu pogrzebowego?

— Właśnie.

— Jestem na rozkazy przewielebnego zgromadzenia.

— Cztery matki-kantorki pomogą wam.

— Zamknąć trumnę! Nie potrzebuję ich pomocy.

— Nie. Spuścić trumnę.

— Gdzie?

— Do krypty.

- Do jakiej krypty?
- Pod ołtarzem. Fauchelevant podskoczył.
- Do krypty pod ołtarzem!
- Pod ołtarzem.
- Ależ...
- Będziecie mieli żelazny drąg.
- Tak, ale...
- Wsuniecie drąg w pierścień przy płycie i podniesiecie ją.
- Ależ...
- Trzeba szanować wolą zmarłych. Być pochowaną pod ołtarzem w podziemiu kaplicy, nie iść do świeckiej ziemi, pozostać po śmierci tam, gdzie się modliła za życia, takie było ostatnie życzenie matki od Ukrzyżowania. Taka była jej prośba, która jest dla nas rozkazem.
- Ale to jest zakazane.
- Zakazane przez ludzi, nakazane przez Boga.
- A gdyby się o tym dowiedziano?
- Mamy do was zaufanie, ojciec Fauvent.
- Oo! ja tam milczę jak głaz!
- Kapituła się zebrała. Matki głosujące, których przed chwilą radziłam się jeszcze i które obradują, postanowiły, iż zgodnie ze swoim życzeniem, matka od Ukrzyżowania będzie pochowana w swojej trumnie pod naszym ołtarzem. Pomyślcie, ojciec Fauvent — jeśli zaczną się u nas dziać cuda, jaka to w Bogu chwala dla naszego zgromadzenia! Cuda dzieją się u grobów.
- Ale, wielbna matko, gdyby urzędnik z komisji zdrowia...
- W sprawie grzebania zmarłych, Św. Benedykt II oparł się Konstantynowi Pogonat.
- Jednakże komisarz policji...

— Chonodemeryk, jeden z siedmiu królów germańskich, którzy za cesarza Konstantyna wtargnęli do Galii, wyraźnie uznał prawo, że zakonnicy mogą być grzebani w klasztorze, to znaczy pod ołtarzem.

— Ale inspektor prefektury...

— Wobec krzyża świat jest niczym. Marcin, jedenasty generał kartuzów, taką dewizę dał swemu zakonowi: *Stat crux dum volvitur orbis*.

— Amen — odparł Fauchelevant z nie zmańczonym spokojem, radząc sobie w ten sposób, ilekroć słyszał łacinę.

Temu, kto milczał zbyt długo, wystarczyłby jakiś słuchacz. Rektor Gymnastoras, wyszedłszy z więzienia, gdy go rozsadzały niewypowiedziane sylogizmy i dylematy, zatrzymał się przed pierwszym napotkanym drzewem i wygłosił doń przemowę, nie szczędząc wysiłków, by udowodnić prawdziwość swego zdania. Przełożona, której wymowę powstrzymywała zazwyczaj zapora milczenia, mając zbyt dużo do powiedzenia, podniosła się z krzesła, a słowa jej popłynęły wartko jak woda z przerwanej śluzy.

— Po swej prawicy mam Benedykta, a po lewicy — Bernarda. Kim jest Bernard? To pierwszy opat z Clairvaux Błogosławiona jest miejscowość Fontannes w Burgundii bo oglądała jego narodziny. Ojciec jego zwał się Tecelin, matka — Aleta. Zaczął od Citeaux, aby skończyć na Clairvaux; został wyświęcony na księdza przez biskupa Chalon-sur-Saône, Wilhelma de Champeaux. Miał siedmuset nowicjuszy i założył sto sześćdziesiąt klasztorów. Na soborze w Sens, w roku 1140, rozgromił Abelarda i Piotra de Bruysa wraz z uczniem Henry i jeszcze innych zbłąkanych, których zwano Apostolikami; pognębił Arnolda z Brescji, poraził mordercę Żydów, mnicha Raula, przewodził w roku 1148 soborowi w Reims, spowodował potępienie Gilberta de la Poree, biskupa Poitiers, spowodował potępienie Eona de l'Etoile, położył kres sporom między książętami, był mistrzem króla Ludwika Młodego i doradcą papieża Eugeniusza III, uregulował zakon Templariuszy, głosił krucjaty, uczynił za życia dwieście pięćdziesiąt cudów — aż trzydzieści dziewięć w ciągu jednego dnia Kim jest święty Benedykt? To patriarcha z Monte Cassino, drugi założyciel świętej wspólnoty zakonnej, to Bazyli zachodu. Zakon jego wydał czterdziestu papieży, dwustu kardynałów, pięćdziesięciu patriarchów, tysiąc sześciuset arcybiskupów, cztery tysiące sześciuset biskupów, czterech cesarzy, dwanaście cesarzowych, czterdziestu sześciu królów, czterdzieści jeden królowych, trzy tysiące sześćset kanonizowanych świętych i istnieje od czternastu wieków. Z jednej strony święty Bernard, z drugiej — urzędnik komisji zdrowia! Z jednej strony święty Benedykt — z drugiej inspektor administracji miejskiej! Państwo, administracja miejska, zakłady pogrzebowe, ustawy, zarządy — czy to nas dotyczy? Każdy byłby oburzony widząc, jak nas traktują. Nie mamy nawet

prawa oddać Jezusowi Chrystusowi naszych prochów. Wasza komisja zdrowia — to wymysł rewolucji, to Bóg podporządkowany komisarzowi policji. Taki jest świat. Nic nie mówcie, Fauvent!

Pod tym zalewem słów Fauchelevant czuł się nieswojo. Przełożona ciągnęła:

— Prawo zakonów do grzebania swych zmarłych nie ulega żadnej wątpliwości. Tylko fanatycy i odszczepieńcy mogą mu przeczyć. Żyjemy w czasach okropnego pomieszania pojęć. Nikt nie wie tego, co trzeba wiedzieć, każdy wie to, czego nie trzeba wiedzieć. Wszędzie ciemnota i bezbożność. Są w naszych czasach ludzie, którzy nie rozróżniają wielkiego świętego Bernarda od Bernarda, zwanego „od biednych”, pewnego zacnego kapłana, który żył w XIII wieku. Inni znów bluźnierczo przyrównują szafot Ludwika XVI do krzyża Jezusa Chrystusa! Ludwik XVI był tylko królem.

Bójmy się Boga! Dziś nie ma już tego, co słuszne, i tego, co niesłuszne. Każdy wie, kim był Wolter, a nikt nie wie, kim był Cezary de Bus. A przecież Cezary de Bus jest błogosławiony, a Wolter potępiony. Ostatni arcybiskup, kardynał Perigordu, nie wiedział nawet, że po Berulle'u nastąpił Karol de Gondren, po Gondrenie Franciszek Bourgoïn, po Franciszku Bourgoïn — Jan Franciszek Senault, po Janie Franciszku Senault, ojciec de Sainte-Marthe. Nazwisko ojca Coton znane jest nie dlatego, że był jednym z trzech ludzi, którzy przyczynili się do założenia oratorianów, lecz dlatego, że służył za przekleństwo hugonockiemu królowi Henrykowi IV. Święty Franciszek Salezy miły jest ludziom światowym dlatego, że szachrował w kartach. A potem napada się na religię! Dlaczego? Dlatego że zdarzali się źli księża? Dlatego że Sagittaire, biskup Gapu, był bratem Salona, biskupa Embrun, i że obaj poszli śladem Mommola? Cóż to szkodzi? Czy przeszkadzało to Marcinowi z Tours być świętym i oddać żebrakowi połowę swego płaszcza? Prześladuje się świętych Zamyka się oczy na prawdę. Przyzwyczajono się do ciemności. Najsroźsze bestie — to bestie ślepe. Nikt poważnie nie myśli o piekle. O niegodziwi ludzie! „W imieniu Króla” znaczy dziś „w imieniu Rewolucji”. Nikt już nie wie, co się należy żywym ani umarłym. Nie wolno dziś nawet umierać po bożemu. Pogrzeb stał się sprawą świecką. To zgroza. Święty Leon II napisał dwa umyślne listy, jeden do Piotra Notaire, drugi do króla Wizygotów, w których zbija i odrzuca — w sprawach dotyczących zmarłych — władzę egzarchy i supremację cesarza. W tejże samej kwestii Gautier, biskup Chalons, stawiał czoło Ottonowi, księciu Burgundii. Dawne sądownictwo zgadzało się z tym. Niegdyś mieliśmy głos nawet w sprawach świeckich. Każdy opat Citeaux, generał zakonu, był z racji samego przywileju związanego z tą godnością radcą parlamentu Burgundii. Postępowaliśmy z naszymi zmarłymi według naszej woli. Czyż ciało samego świętego Benedykta nie spoczywa we Francji, w opactwie Fleury, zwanym opactwem Świętego Benedykta nad Loarą, choć zmarł w Italii w Monte Cassino, w sobotę 21 marca 543 roku? Temu nie da się zaprzeczyć. Nie znoszę

organistów, nienawidzę przeorów, nie cierpię heretyków, ale zniechęciłabym więcej stokroć tego kto ośmieliłby się mi przeczytać Dość jest przeczytać Arnolda Wioną, Gabriela Bucelin, Tritemiusza, Maurolicusa i dom Łukasza d'Achery.

Przełożona odetchnęła, po czym zwróciła się do Fauchelevanta:

— A więc sprawa załatwiona ojcze Fauvent?

— Załatwiona, wielebno matko.

— Można liczyć na was?

— Będę posłuszny rozkazom.

— Doskonale.

— Całym sercem jestem oddany klasztorowi.

— A więc dobrze Zamkniecie trumnę; siostry zanoszą ją do kaplicy, odprawimy nabożeństwo żałobne potem wrócimy do klasztoru Miedzy jedenastą a dwunastą w nocy przyjdziecie z żelaznym drągiem Wszystko odbędzie się w najgłębszej tajemnicy. W kaplicy będą tylko cztery matki-kantorki, siostra od Wniebowstąpienia i wy.

— I siostra u słupa.

— Ona się nie odwróci.

— Ale będzie słyszała.

— Nie będzie słuchała. Zresztą świat się nie dowie o tym, co wie klasztor.

Po nowej przerwie przełożona ciągnęła:

— Zdejmiecie swój dzwonek Siostra u słupa nie musi wiedzieć, że jesteście w kaplicy.

— Proszę wielebnej matki?

— Co takiego, ojcze Fauvent?

— Czy był już lekarz od zmarłych?

— Ma przyjść dziś o czwartej po południu. Dzwoniono już, by go sprowadzić. Nie słyszycie więc u siebie żadnego dzwonienia?

— Uważam tylko, jak dzwonią na mnie.

— To dobrze, ojciec Fauvent.

— Muszę mieć drąg co najmniej na sześć stóp, wielbna matko.

— A skąd go weźmiecie?

— Gdzie jest pełno krat, tam pełno żelaznych drągów. Mam w kącie ogrodu kupę żelastwa.

— Kwadrans po jedenastej — nie zapomnijcie.

— Proszę wielbnej matki?

— Słucham.

— Gdyby matka miała jeszcze kiedy taką robotę, to mój brat by się nadał. Mocny jak tur!

— Sprawcie się szybko, ojciec Fauvent!

— Szybki to nie jestem, bom kaleka. I dlatego zdałaby mi się pomoc. Kuleję przecie.

— Kuleć nie jest grzechem a może być błogosławieństwem. Cesarz Henryk II, który pognębił antypapieża Grzegorza i wprowadził na stolicę apostolską Benedykta VIII — miał dwa nazwania: święty i kulawy.

— Dwa ubrania dobra rzecz — mruknął Fauchele-vent, który istotnie był nieco przygłuchy.

— Ojciec Fauvent, namyśliłam się, weźmy całą godzinę. To nie będzie za wiele. Bądźcie ze swą sztabą przed głównym ołtarzem o jedenastej Nabożeństwo rozpoczyna się o północy. Trzeba wszystko skończyć na dobry kwadrans przedtem.

— Zrobię wszystko, by dowieść, jak gorliwie służę zgromadzeniu. Jak powiedziane, zabiję trumnę; punktualnie o jedenastej stawią się w kaplicy. Będą tam matki-kantorki, będzie siostra od Wniebowstąpienia. Lepiej, żeby było dwóch mężczyzn, ale trudno! Będą miał lewar Otworzymy podziemie, spuścimy trumnę, zamkniemy podziemie. Nie zostanie ani śladu. Rząd się na niczym nie pozna. Czy to wszystko, wielbna matko?

— Nie.

— A co jeszcze?

— Zostaje pusta trumna.

Te słowa spowodowały chwilę milczenia. Fauchelevent zamyślił się.

Zamyśliła się przełożona.

— Ojczy Fauvent, co zrobimy z trumną?

— Zawioz ją na cmentarz.

— Pustą?

Nowe milczenie. Fauchelevent zrobił lewą ręką gest, jakby odpędzał niepokojące pytanie.

— Wielebna matko, to ja zamykam trumnę w sali koło kościoła, tylko ja wchodzę do tej sali, przykryję trumnę całunem.

— Tak, ale grabarze, kładąc trumnę na karawan i spuszczać ją do grobu, spostrzegą się łatwo, że jest pusta.

— A do dia.....! — wykrzyknął Fauchelevent.

Przełożona podniosła rękę, by uczynić znak krzyża, patrząc uważnie na ogrodnika. „Bła” — uwięzło mu w gardle. Czym prędzej wymyślił sposób, aby zatrzeć wrażenie przekleństwa.

— Nasypię ziemi do trumny, wielebna matko. Będzie się wydawało, że ktoś w niej leży.

— Macie słuszność. Ziemia, człowiek — to jest to samo. Załatwicie więc sprawę z pustą trumną?

— Tak jest. Biorę to na siebie.

Twarz przeoryszy, do tej pory zasępiona i niespokojna rozjaśniła się. Skinieniem, jakim przełożony odprawia podwładnego, dała mu znak, że może odejść. Fauchelevent skierował się ku drzwiom. Gdy już miał wychodzić przełożona rzekła nieco głośniej:

— Jestem z was zadowolona, ojczy Fauvent. Jutro po pogrzebie przyprowadźcie mi brata i powiedzcie mu, żeby wziął ze sobą córkę.



## ROZDZIAŁ IV

### Z KTÓREGO MOINA BY WNOSIĆ, ŻE JAN VALJEAN CZYTAŁ AUSTLNA CASTILLEJO

Kroki kuternogi podobne są do spojrzeń jednookiego: nieprędko dochodzą do celu. Poza tym Fauchelevent był wzburzony. Zużył blisko kwadrans na drogę do swojej chałupki w ogrodzie. Kozeta już się zbudziła. Jan Valjean posadził ją przy ogniu. Gdy Fauchelevent wchodził, pokazywał i jej właśnie wiszący na ścianie kosz ogrodnika, mówiąc

— Słuchaj mnie uważnie, malutka. Musimy wyjść z tego domu, ale wrócimy tutaj i będzie nam bardzo dobrze. Ten miły staruszek wyniesie cię w tym koszu. Poczekasz na mnie u jednej pani. Przyjdę po ciebie. Jeśli nie chcesz, żeby cię Thenardierowa zabrała, musisz być posłuszna i nic nie mówić!

Kozeta z poważną miną skinęła głową. Na odgłos drzwi otwieranych przez Faucheleventa Jan Valjean odwrócił się.

— I cóż?

— Załatwiłem wszystko i nie załatwiłem nic — rzekł ogrodnik. — Otrzymałem pozwolenie na wprowadzenie was tutaj, ale nim wejdziecie, musicie wyjść. W tym sęk. Co do małej, sprawa jest łatwa.

— Wyniesiecie ją?

— A będzie cicho?

— Ręczę za nią.

— Ale wy, ojczyce Madeleine?

I po chwili milczenia, pełnego niepokoju, Fauchelevent zawołał:

— Wyjdźcie tą samą drogą, którąście weszli.

Jan Valjean, jak za pierwszym razem, odpowiedział tylko:

— Niemożliwe!

Fauchelevent, mówiąc raczej do siebie niż do Valjeana, mruknął pod nosem:

— Inna jeszcze sprawa mnie niepokoi. Powiedziałem, że nasypię ziemi. Ale

myślę, że ziemia tam, zamiast ciała, to nie będzie to samo, to nie będzie dobrze, będzie się przesuwając, będzie się ruszać. Ludzie spostrzegą. Uważacie, ojcze Madeleine, rząd się spostrzeże.

Jan Valjean patrzył na niego badawczo, sądząc, że stary bredzi. Fauchelevent ciągnął.

— Jak, do dia...ska, stąd wyjdziecie? Wszystko to musi być jutro zrobione! Jutro mam was przyprowadzić. Matka przełożona będzie na was czekała.

Tu wytłumaczył Janowi Valjean, że jest to nagroda za usługę, którą on Fauchelevent. oddaje zgromadzeniu. Że do jego obowiązków należy branie udziału w pogrzebie, że zamyka trumnę i towarzyszy grabarzowi na cmentarz, że zmarła dziś rano zakonnica prosiła, by ją pochować w trumnie, która jej służyła za łóżko, i pogrzebać w krypcie pod ołtarzem kaplicy, że przepisy policyjne zabraniają tego, ale zmarła była jedną z tych osób, którym się nic nie odmawia. Że przeorysza i matki-kantorki zamierzają spełnić życzenie nieboszczki. Że dobrze tak rządowi. Że on, Fauchelevent, zamknie w celi trumnę, podniesie płytę kamienną w kaplicy i spuści nieboszczkę do krypty. Że przez wdzięczność za tę przysługę przełożona godzi się przyjąć do klasztoru jego brata jako ogrodnika i siostrzenicę jako pensjonarkę, że owym bratem jest pan Madeleine, a siostrzenicą — Kozeta; że przełożona kazała mu przyprowadzić brata jutro wieczorem, po tym na niby pogrzebie na cmentarzu; ale że nie może przyprowadzić tu pana Madeleine, nie wyprowadziwszy go stąd przedtem. Że to był jeden kłopot. Ale że jest jeszcze drugi kłopot: pusta trumna.

— Pusta trumna? Co to znaczy? — zapytał Jan Valjean.

— Trumna rządowa — odrzekł Fauchelevent.

— Trumna rządowa?

— Zakonnica umiera. Przychodzi lekarz miejski i mówi: „Umarła zakonnica.” Rząd przysłała trumnę. Nazajutrz przysłała karawan i karawaniarzy, którzy biorą trumnę i wiozą ją na cmentarz. Karawaniarze przyjdą, podniosą trumnę, wewnątrz nie będzie nic. Trzeba w nią coś włożyć.

— Trzeba tam coś włożyć.

— Nieboszczyka? Nie mam nieboszczyka.

— Nie.

— To co?

— Żywego człowieka.

— Jakiego żywego człowieka?

— Mnie — rzekł Jan Valjean.

Fauchelevant, który siedział, zerwał się, jakby mu pod krzesłem wybuchła petarda.

— Was?

— Czemu nie?

Jan Valjean uśmiechnął się jednym z tych uśmiechów równie rzadkich jak promień słońca na zimowym niebie.

— Pamiętajcie, ojcie Fauchelevant, jak powiedzieliście: „Matka od Ukrzyżowania umarła”, a ja dodałem: „A ojciec Madeleine został pogrzebany.” Tak właśnie będzie.

— Ach, żartujecie. Nie mówicie tego poważnie.

— Jak najpoważniej. Trzeba stąd wyjść.

— Oczywiście.

— Mówiłem wam, byście dla mnie także wynaleźli kosz i płachtę.

— No i cóż?

— Kosz będzie sosnowy, a płachta z czarnego sukna.

— Co to, to nie: z białego. Zakonnice chowają na biało.

— Niech będzie białe.

— Nie jesteście jak inni ludzie, ojcie Madeleine.

Zetknięcie się z tak fantastycznymi pomysłami, które nie są niczym innym, jak niebywałymi, zuchwałymi pomysłami galernika, porzucenie spokoju otaczających go rzeczy, by wmieszać się do tego, co sam nazywał codziennym życiem klasztoru, wprawiało Fauchelevant w takie samo zdumienie, jak przechodnia widok białej mewy żerującej w rynsztoku ulicy Saint-Denis.

Jan Valjean ciągnął:

— Muszę stąd wyjść niepostrzeżenie. Mamy sposób. Ale wytłumaczcie mi przedtem, jak się to wszystko odbywa. Gdzie stoi trumna?

— Pusta?

— Tak.

— Na dole, w tak zwanej sali zmarłych. Stoi na dwóch kozłach i przykryta jest całunem.

— Ile ma długości?

— Sześć stóp.

— A co to jest ta sala zmarłych?

— To izba na parterze, ma jedno okno od ogrodu, zakratowane i zamykane z zewnątrz okiennicą, i dwoje drzwi: jedne do klasztoru, drugie do kościoła.

— Do jakiego kościoła?

— Kościoła od ulicy. Kościoła dla wszystkich.

— Czy macie klucze od tych drzwi?

— Tylko od jednych, od tych, które prowadzą do klasztoru. Klucz do drzwi kościoła ma stróż.

— Kiedy stróż otwiera tamte drzwi?

— Tylko wtedy, gdy wpuszcza, karawaniarzy po trumnę; gdy trumnę wyniosą — drzwi zamyka.

— Kto zabija trumnę?

— Ja.

— Kto nakrywa ją całunem?

— Ja.

— Czy jesteście sami?

— Żadnemu mężczyźnie poza doktorem z policji nie wolno wejść do sali zmarłych. Nawet jest taki napis na ścianie.

— Czy moglibyście ukryć mnie w tej sali dziś w nocy, gdy wszyscy w klasztorze będą spać?

— Nie, ale mogę was schować w ciemnej komórce przy tej sali; przechowuję w niej moje narzędzia potrzebne mi do pogrzebu; tylko ja mam do niej dostęp i klucze.

— O której przyjedzie jutro karawan po trumnę?

— Koło trzeciej po południu. Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Vaugirard przed zapadnięciem nocy. To dosyć daleko stąd.

— Schowam się w waszej komórce na narzędzia i przesiedzę tam całą noc i cały ranek. A co z jedzeniem? Będę głodny.

— Przyniosę coś do przegryzienia.

— Moglibyście przyjść koło drugiej zamknąć mnie w trumnie.

Fauchelevant cofnął się i zaczął wyłamywać sobie palce.

— Nie! To niemożliwe!

— Co?!' Wziąć młotek i wbić kilka gwoździ w deskę?

To, co staremu ogrodnikowi wydawało się niesłychane, dla Jana Valjean, powtarzamy to, było proste. W gorszych już bywał opałach. Ktokolwiek był więźniem, zna sztukę zmniejszania się, zależnie od średnicy otworu, przez który ucieka. Więzień musi przejść przez ucieczkę tak jak chory przez przesilenie choroby będące dla niego ratunkiem lub zgubą. Ucieczka to wyzdrowienie. Godzimy się na wszystko, byle wyzdrowieć. Dać się zamknąć w skrzyni, być niesionym jak pakunek, żyć długi czas w pudle, znaleźć powietrze tam, gdzie go nie ma, całymi godzinami oszczędzać oddech, tak się dusić, by nie umrzeć — to była jedna z posępnych umiejętności Jana Valjean.

Zresztą trumna z żywym człowiekiem to nie tylko sposób galerników, ale i królów. Jeśli można wierzyć mnichowi Austinowi Castillejo, do tego to sposobu uciekł się Karol V, chcąc po abdykacji raz jeszcze zobaczyć swoją Plombes, która w ten sposób dostała się do klasztoru świętego Justa i w ten sam sposób się z niego wydostała.

Ochłonawszy nieco, Fauchelevant zawołał:

— A jak będziecie oddychać?

— Będę oddychał.

— W tym pudle? Jak o tym pomyślę, to już mi się duszno robi.

— Macie przecie świder, wywierciecie koło ust kilka dziurek i niezbyt mocno przybijecie wieko.

— A jeśli zaczniecie kasłać albo kichać?

— Ten, kto ucieka, nie kaszle i nie kicha. — I Jan Valjean dodał: — Ojcie Fauchelevant, trzeba wybrać jedno z dwojga: albo zostanę tu i będę przyłapany, albo wywiozą mnie stąd na karawanie.

Rzecz to znana, że koty lubią zatrzymywać się i kręcić w miejscu między na wpół uchylonymi drzwiami. Któż z nas nie mówił do kota: „Wejdźże nareszcie!”

Niektórzy ludzie wobec jakiegoś wydarzenia mają również skłonność do niezdecydowanego dreptania w miejscu między dwoma postanowieniami, narażając się na zmiżdżenie przez los zatraskujący nagle drzwi przygody. Ludzie nadmiernie ostrożni, choć przypominają koty i dlatego właśnie, że przypominają koty, ryzykują więcej niż ludzie odważni. Fauchelevant należał do tych niezdecydowanych natur, jednakże zimna krew Jana Valjean udzielała mu się mimo woli.

— Rzeczywiście, nie widzę innego sposobu — mruknął.

Jan Valjean ciągnął:

— Jedno mnie tylko niepokoi: co to będzie na cmentarzu?

— Właśnie o to najmniej się kłopotę — zawołał Fauchelevant. — Jeśli jesteście pewni, że wyjdziecie z trumny, jestem pewny, że wyciągnę was z grobu. Grabarzem jest mój przyjaciel, pijanica, ojciec Mestienne. Stary moczymorda Grabarz daje sobie radę ze zmarłymi, a ja daję sobie radę z grabarzem. Zaraz powiem, jak to będzie: przyjedziemy tuż przed zmierzchem, na trzy kwadransy przed zamknięciem bram cmentarza. Karawan zajedzie przed sam grób; będę za nim szedł, to mój obowiązek. Młotek, obcęgi i dłuto będę miał w kieszeni. Karawan staje, karawaniarze opasują trumnę sznurem i spuszcza ją do grobu. Ksiądz mówi pacierze, robi znak krzyża, kropi wodą święconą — i zmyka. Zostaję sam z ojcem Mestienne. To mój znajomy, mówię wam. I jedno z dwojga: albo jest pijany, albo nie jest pijany. Jeśli nie jest pijany, mówię mu: „Chodź na szklaneczkę, póki jeszcze szynk «Pod Słodką Pigwą jest otwarty.” Zabieram go, upijam, to nie sztuka upoić ojca Mestienne, zawsze ma już w czubie — układam go pod stołem, zabieram jego kartę, żeby wrócić na cmentarz, i wracam bez niego. Macie już tylko ze mną do czynienia. A jeśli jest pijany, mówię mu: „Idź

sobie, zrobię to za ciebie"; grabarz odchodzi, a ja wydobywam was z dołu.

Jan Valjean wyciągnął do niego rękę, którą stary chwycił ze wzruszającą chłopską wylewnością.

— Postanowione, ojcie Fauchelevant. Wszystko będzie dobrze.

„Byle tylko nic się nie popsuło — pomyślał Fauche-levent. — To byłoby straszne!”

## ROZDZIAŁ V

### WIE DOŚĆ JEST BYĆ PIJAKIEM, ABY BYĆ NIEŚMIERTELNYM

Nazajutrz, gdy słońce już się zniżało, nieliczni przechodnie na bulwarze Maine uchylali kapeluszy przed mijającym ich staroświeckim karawanem, zdobnym w trupie czaszki, skrzyżowane piszczele i srebrne wisiorki. Na karawanie stała trumna okryta białym całunem z wielkim, czarnym krzyżem, podobnym do zmarłej kobiety z szeroko rozrzuconymi ramionami. Za karawanem jechała obita czarnym sukniem kareta, a w niej widać było księdza w białej komży i ministranta w czerwonej piusce. Dwaj karawaniarze w szarych mundurach, z czarnymi przybraniami, kroczyli po obu stronach karawanu. Z tyłu szedł kulejąc stary człowiek, ubrany jak robotnik. Kondukt ten zdążył w kierunku cmentarza Vaugirard.

Z kieszeni starego robotnika wystawał trzonek młotka, ostrze dłuta i oba uchwyty obcęgow.

Spośród cmentarzy Paryża, cmentarz Vaugirard stanowił wyjątek. Miał swoje osobliwe zwyczaje, podobnie jak miał własne wrota i furtkę, zwane w tej dzielnicy przez starych ludzi, przywiązanych do starych nazw, bramą dla jezdnych i bramą dla pieszych. Wspominaliśmy już, że z uwagi na to, iż ten teren niegdyś należał do ich zgromadzenia, bernardynki-benedyktynki z Petit-Picpus uzyskały pozwolenie grzebania swoich zmarłych wieczorem, w osobnym zakątku cmentarza. Z tego też powodu grabarze, pracujący latem do zmroku, a zimą do nocy, podlegali specjalnym przepisom. Bramy cmentarzy paryskich zamykały się w owym czasie o zachodzie słońca; wydane w tej sprawie zarządzenie władz miejskich obejmowało również cmentarz Vaugirard. Bramę dla jezdnych i pieszych stanowiły dwie sąsiadujące ze sobą kraty, przylegające do budynku wzniesionego przez architekta Perronnet, gdzie mieszkał stróż cmentarny. Bramy owe zamykały się nieubłaganie w chwili, gdy słońce zniknęło za kopułą Inwalidów. Jeśli któryś z grabarzy był jeszcze na cmentarzu, mógł wyjść w jeden tylko sposób: okazując kartę wystawioną na jego imię przez zarząd zakładów pogrzebowych. W okiennicy przy oknie stróżówki był rodzaj skrzynki do listów, do której grabarz wrzucał kartę. Słyszając wpadającą do skrzynki kartę, stróż pociągał za sznur i brama dla pieszych otwierała się. Jeśli grabarz nie miał przy sobie karty, wymieniał swoje nazwisko, stróż, który nieraz już wtedy spał, wstawał z łóżka, wychodził rozpoznać grabarza i otwierał kluczem bramę; grabarz wychodził, ale płacił piętnaście franków grzywny.

Cmentarz Vaugirard wraz ze swymi osobliwymi zwyczajami, nie objętymi przepisem, zakłócał schemat administracyjny. Wkrótce po roku 1830 został



zniesiony. Miejsce jego zajął cmentarz Montparnasse, zwany cmentarzem wschodnim, który odziedziczył po nim ów sławny, przylegający do cmentarza Vaugirard, szynk, ozdobiony deską z wymalowaną pigwą i zwrócony jedną stroną do szynkwasu, a drugą do grobów, szynk z wywieszką „Pod Słodką Pigwą”.

Cmentarz Vaugirard można by nazwać cmentarzem więdnącym. Wychodził z użycia. Zanikały na nim kwiaty, porastała go pleśń. Mieszczanie niechętnie dawali się grzebać na Vaugirard: to trąciło nędzą Cmentarz Pere-Lachaise, proszę bardzo! Grób na Pere-Lachaise, podobnie jak garnitur mahoniowych mebli, to oznaka elegancji. Cmentarz Vaugirard był szacownym zakątkiem, rozplanowanym na modłę starych ogrodów francuskich: proste aleje, bukszpany, tuje, ostrokrzewy, pod starymi cisami stare mogiły, wysokie trawy. Wieczór na cmentarzu miał w sobie coś tragicznego. Zarysy jego były przeraźliwie ponure. Słońce jeszcze nie zaszło, gdy karawan z czarnym krzyżem na białym całunie wjechał w aleję cmentarza Vaugirard. Idący za nim kulawy człowiek — był ojcem Fauchelevant.

Pochowanie matki od Ukrzyżowania w podziemiach pod ołtarzem, wyniesienie Kozety i wprowadzenie Jana Valjean do sali zmarłych — odbyło się bez żadnych przeszkód, bez najmniejszego potknięcia. Powiedzmy mimochodem, że pogrzebanie matki od Ukrzyżowania pod ołtarzem klasztornej kościoła wydaje nam się rzeczą zupełnie wybaczalną. To jedno z tych wykroczeń, które przypominają obowiązek. Zakonnice spełniły go nie tylko bez wahania, lecz z głębokim zadowoleniem wewnętrznym. W klasztorze to, co się nazywa „rządem”, jest tylko mieszaniem się do prawowitej władzy, i to mieszaniem się zawsze podlegającym dyskusji. Na pierwszym miejscu jest reguła zakonna, a kodeks — to zależy. Ustanawiajcie sobie, ludzie, tyle praw, ile wam się żywnie podoba, ale zachowujcie je dla siebie. To, co cesarskie, jest tylko resztką tego, co boskie. Władca jest niczym wobec samej władzy.

Fauchelevant kuśtykał za karawanem bardzo zadowolony: obie jego tajemnice, oba spiski, i ten z zakonnicami, i ten z panem Madeleine, jeden dla klasztoru, a drugi przeciw klasztorowi, powiodły się — oba za jednym zamachem. Jan Valjean miał w sobie przemożny spokój, który udziela się otoczeniu. Fauchelevant nie wątpił już w pomyślny wynik przedsięwzięcia. To, co pozostawało do zrobienia, było po prostu fraszką. W ciągu dwóch lat dziesięć razy spoił grabarza, zacnego ojca Mestienne — pyzatego pocziwinę. Zabawiał się jego kosztem. Robił z nim, co chciał, i wodził go na pasku wedle swej fantazji, a ojciec Mestienne tańczył tak, jak mu grał Fauchelevant. Toteż ogrodnik był najzupełniej pewien powodzenia.

Gdy kondukt skręcił w aleję wiodącą do cmentarza, Fauchelevant, uradowany, popatrzył na karawan i zatarł wielkie ręce, mrużąc półgłosem:

— A to ci heca!

Nagle karawan zatrzymał się: stanęli przed bramą cmentarza. Teraz trzeba było okazać zezwolenie na pogrzeb. Pracownik zakładu pogrzebowego rozmówił się ze stróżem cmentarnym. Podczas tej rozmowy, która zawsze powoduje parominutową zwłokę, jakiś nieznajomy człowiek stanął za karawanem obok Fauche-leventa. Wyglądał na wyrobnika, ubrany był w kurtę z wielkimi kieszeniami, pod pachą dźwigał łopatę. Fauchelevent spojrzał na niego.

— A wy co za jedni? — zapytał. Nieznajomy odparł:

— Grabarz,

Gdyby ktoś, ugodzony pociskiem armatnim w samo serce, żył jeszcze, miałby taką minę jak Fauchelevent.

— Grabarz?

— Tak.

— Wy?

— Ja.

— Grabarzem jest ojciec Mestienne.

— Był.

— Jak to — był?

— Umarł.

Fauchelevent spodziewał się wszystkiego, ale nie tego by grabarz mógł umrzeć. A przecie tak jest; nawet grabarze umierają. Kopiąc groby dla innych, przygotowują grób dla siebie.

Ostłupiały Fauchelevent ledwo miał siłą wyjąkać:

— Ależ to nie może być!

— A jednak tak jest.

— Przecież grabarzem jest ojciec Mestienne — ciągnął niepewnie.

— Po Napoleonie — Ludwik XVIII. Po Mestienne'ie — Gribier. Nazywam się Gribier, wieśniaku.

Poblady Fauchelevant spojrzął na owego Gribiera.

Był to mężczyzna długi, chudy siny z miną iście pogrzebową; wyglądał na niedosłego medyka, który został grabarzem.

Fauchelevant parsknął śmiechem:

— Pociężne rzeczy się dzieją! A to dopiero! Ojciec Mestienne umarł! Tatulo Mestienne umarł, ale niech żyje tatulo Lenoir! A czy wiecie, co to jest tatulo Lenoir? To dzban czerwonego winka za szóstaka przy ladzie. Dzbanek winka z Suresne, do kroćset! Prawdziwego paryskiego winka! Ach! Ojciec Mestienne umarł! Szkoda go! To był zacny hulaka! Ale wy też nie wylewacie za kołnier, co, kolego? Pójdziemy zaraz obaj na szklaneczkę.

Gribier odpowiedział:

— Byłem w szkołach. Skończyłem cztery klasy. Nie pijam.

Karawan ruszył z miejsca i wjechał na szeroką aleję cmentarza. Fauchelevant zwolnił kroku. Kulał teraz mocniej, bardziej ze strachu niż z kalectwa. Grabarz szedł przed nim.

Fauchelevant jeszcze raz przyjrzał się uważnie temu Gribierowi, który się tu wziął nie wiedzieć skąd.

Był to jeden z tych ludzi, którzy, choć młodzi, wyglądają na starców i są bardzo mocni, choć chudzi.

— Kolego — zawołał Fauchelevant. Gribier obejrzał się.

— Jestem grabarzem z klasztoru.

— Jesteśmy kolegami — odparł tamten.

Bystry, choć nieuczony Fauchelevant pojął w lot, że ma do czynienia z istotą najgroźniejszego gatunku: zamiłowanym mówcą. Mruknął:

— A więc ojciec Mestienne umarł...

— Na dobre — przytaknął Gribier. — Pan Bóg zajrzał do swego terminarza, okazało się, że przyszła kolej na ojca Mestienne — i ojciec Mestienne umarł.

— Pan Bóg... — powtórzył machinalnie Fauchelevant.

— Pan Bóg — rzekł z powagą grabarz - Dla filozofów — Ojciec Przedwieczny, dla jakobinów — Najwyższa Istota.

— Więc się nie poznajomimy? — wyjąkał Fauche-levent.

— Jużeśmy to zrobili. Wy jesteście wieśniak, a ja — paryżanin.

— Nie ma znajomości, póki się jej razem nie pokropi. Kto ma wino w żołądku, ten ma serce na dłoni. Pójdźcie się napić ze mną, tego się nie odmawia.

— Najpierw robota!

— Zginałem — pomyślał Fauchelevent.

Już tylko kilka obrotów kół dzieliło ich od alejki prowadzącej do kąta, w którym grzebano zakonnice. Grabarz odezwał się znowu:

— Mam siedmioro bębnow, wieśniaku, bębnow, które trzeba nakarmić. A skoro one muszą jeść, ja nie mogę pić.

I dodał z zadowoleniem osoby pełnej powagi, która znalazła piękny frazes:

— Ich głód jest wrogiem mego pragnienia. Karawan skręcił koło kępy cyprysów z szerokiej alei w wąską alejkę, wjechał na teren grobów i zagłębił się w gąszcz krzaków. To wskazywało, że mogiła jest blisko. Fauchelevent szedł coraz wolniej, ale nie mógł wstrzymać karawanu. Na szczęście miękka ziemia, nasiąknięta zimowymi deszczami, tak oblepiała koła, że kondukt posuwał się wolno.

Fauchelevent przysunął się do grabarza:

— Jest takie wyborne winko z Argenteuil — szepnął.

— Wieśniaku — odrzekł tamten —. nie miałem być grabarzem. Ojciec mój służył za portiera w Prytaneum. Przeznaczał mnie na literata. Ale spadły na niego różne nieszczęścia: stracił na giełdzie, musiałem zrezygnować z kariery pisarskiej. Wszakże jestem pisarzem ulicznym.

— Ach! Więc nie jesteście grabarzem? — wykrzyknął Fauchelevent czepiając się tej kruchej deski ratunku.

— Jedno nie wyklucza drugiego. Kumulacja. Fauchelevent nie zrozumiał ostatniego słowa.

— Chodźmy się napić — rzekł.

Tutaj niezbędna jest pewna uwaga. Fauchelevent, choć był w niemałym strachu, zapraszał na winko, ale nie mówił wcale, kto będzie płacił. Zazwyczaj Fauchlevent zapraszał, a ojciec Mestienne płacił. Z nowej sytuacji, wytworzonej

przez zjawienie się nowego grabarza, wynikała jasno konieczność takiej propozycji i stary ogrodnik gotów był to zrobić, ale umyślnie nie poruszał sprawy przysłowiowego „kwadransa Rabelais'go. Bowiem mimo całego swojego wzburzenia Fauchelevant nie miał najmniejszej ochoty płacić.

Grabarz mówił dalej z uśmiechem pełnym wyższości:

— Trzeba jeść. Po śmierci ojca Mestienne zgodziłem się objąć po nim ten urząd. Gdy człowiek prawie ukończył szkoły — staje się filozofem. Do pracy pióra dołączyłem pracę rąk. Mój stragan pisarski stoi na rynku przy ulicy Sevres. Wiecie gdzie? Na targu „Pod Parasolami”. Wszystkie kucharki z placyku Czerwonego Krzyża zwracają się do mnie, a ja im wypisuję czułe wyznania do żołnierzyków. Rano pisuję listy miłosne, wieczorem kopiuję groby. Takie jest życie, wieśniaku. Karawan posuwał się naprzód. Zaniepokojony w najwyższym stopniu Fauchelevant rozglądał się na wszystkie strony. Grube krople potu spływały mu po czole.

— Jednakowoż — ciągnął grabarz — nie podobna służyć dwom panom. Będę musiał wybrać: pióro albo łopatę. Łopata psuje mi pismo.

Kondukt stanął.

Z karety wysiadł ministrant, a za nim ksiądz. Przednie koło wjechało na kupę ziemi, za którą widać było otwartą mogiłę.

— A to ci heca! — powtórzył z przerażeniem Fau-chelevant.

# ROZDZIAŁ VI

## WCERÓD CZTERECH DESEK

Kto znajdował się w trumnie? Wiemy. Jan Valjean.

Ulokował się tak, by się nie udusić i móc trochę oddychać.

Dziwna rzecz, jak spokój sumienia wpływa na spokój ogólny. Od wczorajszego dnia cały plan działania, obmyślony przez Jana Valjean, rozwijał się, i to pomyślnie. Podobnie jak Fauchelevant, Jan Valjean liczył na ojca Mestienne. Nie wątpił w szczęśliwe zakończenie sprawy. Trudno o niebezpieczniejszą sytuację, trudno o większy spokój.

Z czterech desek trumny emanuje groźna cisza. Jakby coś ze spoczynku zmarłych przenikało do spokoju Jana Valjean.

Z wnętrza trumny mógł śledzić — i śledził kolejne fazy swej niebezpiecznej gry ze śmiercią.

Fauchelevant przybił wieko trumny i niebawem Jan Valjean poczuł, że go wynoszą, a potem, że jedzie. Gdy trzęsienie się zmniejszyło, poznał, że z bruku zjechali na drogę bitą, czyli że przejechali ulicę, a skręcili w bulwary. Po głuchym turkocie odgadł, że przejeżdżają przez most Austerlitzki. Przy pierwszym postoju pojął, iż dojechali do cmentarza, przy drugim zaś powiedział: „Jesteśmy nad grobem.”

Naraz poczuł, że ręce chwytają trumnę, i usłyszał szorstkie chrobotanie o deski, zdawał sobie sprawę, że to obwiązują trumnę sznurami, by spuścić ją do dołu.

Potem doznał jakby zamroczenia.

Prawdopodobnie grabarz i karawaniarze nie zdołali opuścić trumny równo i przechylili ją głową na dół. Odzyskał zmysły, gdy poczuł, że leży poziomo i spokojnie. Teraz był już na dnie grobu. Przejął go chłód.

Nad nim rozlegał się głos zimny i uroczysty. Słyszał słowa łacińskie, wymawiane tak wolno, że mógł rozróżnić każde z nich z osobna, choć ich nie rozumiał:

*Qui dormiunt in terrae pulvere, evigilabunt; alii in vitam aeternam, et alii in opprobrium, ut videant semper.*

Dziecinny głos rzekł:

— *De profundis*

Głos poważny odezwał się na nowo:

— *Requiem aeternam dona ei, Domine.* Głos dziecinny odpowiedział:

— *Et lux perpetua luceat ei.*

Wtedy usłyszał, że coś, jakby krople deszczu, stuka delikatnie po powierzchni zakrywających go desek — zapewne woda święcona.

„To się już niedługo skończy — pomyślał. — Jeszcze trochę cierpliwości. Ksiądz zaraz odejdzie. Fauchele-vent zabierze ojca Mestienne na wino. Zostawią mnie. Potem wróci Fauchelevent sam i wyciągnie mnie stąd. Ale to potrwa z godzinę.”

Znów rozległ się niski głos:

— *Requiescat in pace.* A głos dziecinny odrzekł:

— Amen.

Nadstawiając uszu, Jan Valjean usłyszał jakby odgłos oddalających się kroków.

„Odchodzą — pomyślał. — Jestem sam.” Nagle nad głową jego rozległ się huk jak uderzenie gromu.

— To pierwsza łopata ziemi spadła na trumnę. Spadła druga łopata ziemi. I wtedy zasypana została jedna z wywierconych dziurek, przez które oddychał. Spadła trzecia łopata ziemi.

Potem czwarta.

Są rzeczy silniejsze od najsilniejszego człowieka. Jan Valjean zemdlął.

## ROZDZIAŁ VII

### KTÓRY TŁUMACZY, SKĄD POWSTAŁO WYRAŻENIE: „POSTAWIĆ WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTĘ”

Oto, co działo się nad trumną Jana Valjean. Gdy karawan oddalił się, gdy ksiądz z ministrantem wsiedli do karety i odjechali. Fauchelevent, który nie

spuszczał oczu z grabarza, zobaczył, że ten pochyła się i chwyta za łopatę, wetkniętą w kupę ziemi.

Wtedy powziął ostateczną decyzję. Stał między grobem a grabarzem, skrzyżował ręce i zawołał:

— Ja płacę!

Grabarz spojrział nań ze zdziwieniem i zapytał:

— Co takiego, wieśniaku?

Fauchelevent powtórzył:

— Ja płacę!

— Za co?

— Za wino.

— Jakie wino?

— Argenteuil!

— Co za Argenteuil?

— „Pod Słodką Pigwą”!

— Idźże do diabła! — rzekł grabarz.

I rzucił pełną łopatę ziemi na trumnę.

Trumna zadudniła. Fauchelevent poczuł, że się chwieje i omal sam nie spadł do dołu. Krzyknął głosem zdławionym, jakby go coś dusiło za gardło:

— No, kolego! Nim zamkną „Słodką Pigwę”! Grabarz znów nabrał ziemi na



łopatę. Fauchelevant powtórzył:

— Ja płacę! — i chwycił grabarza za ramię. — Słuchajcie kolego! Jestem grabarz z klasztoru. Przyszedłem tu, by wam pomóc. Tę robotę można odrobić i w nocy. A przedtem chodźmy się napić.

Lecz mówiąc to, czepiając się rozpaczliwie tego nalegania, zadawał sobie ponure pytanie: „A jeśli nawet wypije, to czy się upije?”

— Prowincjusz — odrzekł grabarz — jeśli już tak chcecie, koniecznie, to zgoda. Napijemy się. Po robocie, pierwej nigdy.

I zamachnął się łopatą. Fauchelevant go wstrzymał:

— To dobre wino! Za szóstaka!

— Ejże, prawdziwa z was kołatka: dzyń, dzyń, dzyń, dzyń — tylko tyle umiecie gadać. Odczepcie się ode mnie.

I rzucił drugą łopatą ziemi.

Fauchelevant był w takim stanie, że sam nie wiedział, co mówi.

— Dalej, chodźcie się napić! — zawołał. — Przecież ja płacę!

— Wpierw ułożymy do snu dziecko — odrzekł grabarz. I rzucił trzecią łopatę. Po czym wbił łopatę w ziemię i dodał: — Noc dziś będzie zimna, uważacie; nieboszczka wołałaby za nami, gdybyśmy ją tak zostawili nie przykrywszy kołderką.

W tym momencie, nabierając ziemi na łopatę, grabarz zgiął się i rozchyliła mu się kieszeń od kurtki.

Błądny wzrok Fauchelevanta spoczął bezmyślnie na tej kieszeni i już się od niej nie oderwał.

Słońce nie znikło jeszcze za widnokrzem; było dostatecznie jasno, by dostrzec coś, co białało w głębi owej rozchylonej kieszeni.

W źrenicy Fauchelevanty zapaliły się wszystkie błyski, jakimi może błysnąć oko pikardyjskiego wieśniaka: wpadł na pomysł!

Tak, by schylony nad łopatą grabarz nic nie spostrzegł, wsunął od tyłu rękę do jego kieszeni i wyciągnął ów bielejący w niej przedmiot.

Grabarz cisnął do grobu czwartą łopatę ziemi.

Gdy odwracał się, by nabrać piętą, Fauchelevent spojrział na niego z największym spokojem i rzekł:

— Ale, nowicjusz, czy macie swoją kartę? Grabarz przerwał robotę.

— Jaką kartę?

— Słońce za chwilę zajdzie.

— Niech sobie idzie spać.

— Zaraz zamkną bramy cmentarza.

— To co z tego?

— Macie swoją kartę?

— Ach, moją kartę! — rzekł grabarz i zaczął szukać w kieszeni.

Przetrzęsął jedną kieszeń, przetrzęsął drugą, przeszukał jedną kieszeń od kamizelki, wyrócił drugą.

— Nie! — powiedział. — Nie mam karty. Musiałem jej zapomnieć.

— Piętnaście franków grzywny! — rzekł Fauchelevent.

Grabarz zzieleniał! Zieleń jest bladością ludzi bladych.

— A, Jezu Chryste, panie miły i wszyscy święci razem wzięci! — zawołał. — Piętnaście franków grzywny!

— Trzy kawałki po pięć franków — dodał Fauchelevent.

Grabarzowi wysunęła się z rąk łopata. Przyszła kolej na Faucheleventa.

— No, no — rzekł — nie rozpaczajcie, rekrucie! Przecież się nie zabijecie i nie ułożycie w tym nowiutkim grobie. Piętnaście franków to piętnaście franków, zresztą możecie ich nie płacić. Ja jestem stary wyga, a wy nowicjusz. Znam sposoby i sposobiki, sztuczki i kruczki i dam wam przyjacielską radę. Jedna rzecz jest pewna: słońce zachodzi i dotyka już kopuły Inwalidów i za pięć minut zamkną cmentarz.

— To prawda — rzekł grabarz.

— Przez pięć minut nie zasypiecie grobu, bo jest diablo głęboki, i nie zdążycie wyjść przed zamknięciem bramy.

— Racja.

— W takim razie — piętnaście franków grzywny.

— Piętnaście franków.

— Ale macie jeszcze czasy, żeby... Gdzie mieszkanie?

— Dwa kroki za rogatką, o kwadrans drogi stąd, na ulicy Vaugirard numer 87.

— A więc macie czas wyjść stąd, jeśli weźmiecie nogi za pas!

— To prawda.

— Jak już będziecie za bramą, pocwałujecie do domu, weźmiecie kartę, wróćcie, stróż cmentarny wam otworzy. Mając kartę, nic nie płacicie. Wtedy zasypiecie swego nieboszczyka, a ja wam go przez ten czas przypilnuję, żeby nie uciekł.

— Życie mi ratujecie, wieśniaku.

— Wynoście się już — odrzekł Fauchelevant. Nieprzytomny z wdzięczności, grabarz potrząsnął go za rękę i puścił się pędem do wyjścia.

Gdy znikł już wśród drzew, Fauchelevant poczekał, aż umilkną kroki, a potem, nachyliwszy się nad grobem, zawołał półgłosem:

— Ojcze Madeleine! Żadnej odpowiedzi.

Fauchelevant zadrżał. Nie zszedł, a zsunął się raczej do grobu i rzucił się na trumnę, wołając:

— Słyszycie mnie?

W trumnie panowała cisza.

Fauchelevant dygotał tak, że ledwo mógł oddychać; chwycił dłuto i młotek i odwalił wieko trumny. W półmroku zamajaczyła twarz Jana Valjean, blada z zamkniętymi oczami.

Włosy stanęły Fauchelevantowi na głowie; zerwał się na równe nogi, potem obsunął się bezwładnie na ścianę mogiły, bliski zemdlenia nad trumną.

Spojrzał na Jana Valjean.

Jan Valjean leżał trupio blady, nieruchomy.

Fauchelevant szepnął głosem cichym jak tchnienie:

— Nie żyje!

Wyprostował się i skrzyżowawszy ręce tak, że obie zaciśnięte pięści uderzyły w ramiona, zawołał:

— To tak go uratowałem!

I biedny poczciwina wybuchnął płaczem, gadając do siebie, bo błędem jest mniemać, że monolog obcy jest naturze człowieka. Silne wzburzenia często mówią głośno.

— To wina ojca Mestienne. Po co ten dureń umarł? Czy musiał zdychać akurat w takiej chwili, kiedy się nikt tego nie spodziewał? Przez niego umarł pan Madeleine. Ojciec Madeleine! Leży w trumnie. Nie ma go już. Koniec. Bo też czy takie historie mają jakiś sens? O mój Boże! Nie żyje! A jego mała? Co ja z nią zrobię? A co powie owocarka? Jak, u Boga, to możliwe, żeby taki człowiek tak umarł! Gdy sobie pomyślę, jak to on wlaź pod mój wóz! Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Udusił się, do kroćset, miałem rację. Nie chciał mi wierzyć. A tośmy śliczną psotę wyrządzili! Umarł ten zacny człowiek, ten najlepszy z ludzi, jakiego kiedykolwiek Pan Bóg stworzył! A jego mała! Ach, ja tam za nic nie wrócę. Zostanę tutaj. Jak można było robić takie głupstwo! Warto było być parą starców, aby być parą starych wariatów. I jak też on się dostał do klasztoru? Od tego się wszystko zaczęło. Nie można robić takich rzeczy. Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Pani Madeleine! Pani merze! Nie słyszy mnie. A teraz rób tu, co chcesz!

I rwał sobie włosy z głowy.

Z oddali, spośród drzew doleciał ostry zgrzyt. To zamykano bramę cmentarza.

Fauchelevant pochylił się nad Janem Valjean, nagle odskoczył w tył i cofnął się tak, jak mu na to pozwalały ściany grobu. Jan Valjean miał oczy otwarte i patrzył na niego.

Przerazający jest widok śmierci, widok zmartwychwstania jest prawie równie przerażający. Fauchelevant, blady, wylękły, nieprzytomny z nadmiaru wrażeń, skamieniał i nie wiedząc, czy ma do czynienia z żywym, czy z umarłym, wpatrywał się w Jana Valjean, który również patrzył na niego.

— Zasypiałem... — rzekł Jan Valjean i usiadł w trumnie.

Fauchelevant padł na kolana.

— Najświętsza Panno! A toście mnie nastraszyli! — Potem podniósł się i zawołał: — Dzięki wam, ojczy Madeleine!

Jan Valjean był tylko zemdłony. Świeże powietrze go ocuciło.

Radość — to odpływ strachu. Fauchelevant niemal z taką samą trudnością wracał do równowagi co Jan Valjean.

— Więc nie umarliście! O, jaki z was mądry człowiek! Tak was wołałem, żeście odzyskali przytomność. Jak zobaczyłem, że macie zamknięte oczy, powiedziałem sobie: „Dobre sobie! Udusił się!” Zwariowałbym na pewno. Założyli by mi kaftan bezpieczeństwa. Wsadziliby mnie do Bicetre. Bo co bym miał robić, gdybyście zmarli? A wasza mała? Moja handlarka nic by z tego nie rozumiała: zwalają jej na głowę dzieciaka, a dziadek umiera. Co za heca, święci pańscy! Co za heca! Ale żyjecie, wszystko w porządku!

— Zimno mi — powiedział Jan Valjean.

Te słowa przywołały ojca Fauchelevant do rzeczywistości, która nagliła do działania. Mimo że obaj już oprzytomnieli, odczuwali, nie zdając sobie z tego sprawy, dziwne oszołomienie grozą grobu.

— Chodźmy stąd jak najprędzej — zawołał Fauche-levant.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej manierkę, w którą się zaopatrzył na wszelki wypadek.

— Ale najpierw łyknijmy sobie! — rzekł. Manierka dokonała dzieła, które rozpoczął przyływ świeżego powietrza. Wypiwszy łyk wódki, Jan Valjean zupełnie przyszedł do siebie.

Wydobył się z trumny i pomógł Fauchelevantowi ponownie przybić wieko.

Po trzech minutach byli już na górze.

Zresztą Fauchelevant był spokojny; nie spieszył się.

Cmentarz był zamknięty, nadejścia grabarza nie należało się obawiać: „rekrut” szukał w domu swej karty, którą trudno mu było znaleźć w mieszkaniu, skoro znajdowała się w kieszeni Fauchelevant. Bez karty nie mógł wrócić na cmentarz.

Fauchelevant chwycił za łopatę, Jan Valjean za motykę i talk we dwóch pogrzebali pustą trumnę.

Gdy już grób został zasypany, Fauchelevant powiedział do Jana Valjean:

— Chodźmy stąd! Ja biorę łopatę, a wy motykę. Zapadała noc.

Jan Valjean ledwo szedł. Każdy ruch sprawiał mu trudność. Skostniał w owej trumnie i stał się jakby trochę trupem. Drętwota śmierci chwyciła go między czterema deskami, musiał niejako odtajać od chłodu mogiły.

— Skostnieliście z zimna — rzekł Fauchelevant. — Szkoda, żeś kulawy, bo byśmy sobie potupali dla rozgrzewki.

— Et, parę kroków, a nogi mi się rozejdą — odrzekł Jan Valjean.

Wracali tymi samymi alejami, którymi przejeżdżał karawan. Gdy stanęli przed zamkniętą bramą, obok domku stróża, Fauchelevant wrzucił do skrzynki kartę grabarza, którą trzymał w ręce. Stróż pociągnął za sznur, brama się otworzyła i wyszli.

— Wszystko idzie jak z płatka — rzekł Fauchelevant. — Doskonały mieliście pomysł, ojczu Madeleine!

Rogatką Vaugirard przeszli bez najmniejszych trudności. W pobliżu cmentarza łopata i motyka starczą za legitymację.

Ulica Vaugirard była pusta.

— Macie lepsze oczy od moich, ojczu Madeleine — odezwał się Fauchelevant idąc i rozglądając się po domach. — Pokażcie mi numer 87.

— Tutaj — rzekł Jan Valjean.

— Na ulicy nie ma nikogo — ciągnął Fauchelevant. — Dajcie mi motykę i proszę poczekać tu na mnie dwie minutki.

Wszedł do domu pod numerem 87 i wiedziony instynktem, który prowadzi zawsze biedaka pod strych, wdrapał się na samą górę i po ciemku zapukał do drzwi na poddaszu. Jakiś głos odpowiedział mu:

— Proszę.

Był to głos Gribiera.

Fauchelevant pchnął drzwi. Mieszkanie grabarza, podobnie jak wszystkie takie nędzne pomieszczenia, było norą nieumeblowaną i zagraconą. Jakaś skrzynia — może trumna — zastępowała komodę, maślnica służyła za dzban, siennik za łóżko, deski podłogi za krzesła i stół. W kącie, na jakimś łachmanie będącym

resztką starego dywanu, siedziała chuda kobieta, koło której tłoczyła się spora gromadka dzieciaków. Całe wnętrze wyglądało jak po katastrofie, rzekłbyś, że przeszło tędy trzęsienie ziemi. Zdjęte z garnków pokrywki, porozrzucone szmaty, stłuczony dzbanek, zapłakana matka, dzieci według wszelkiego prawdopodobieństwa obite — oto ślady upartych i gniewnych poszukiwań. Widocznie grabarz zapamiętałe szukał swej karty i odpowiedzialnością za tę stratę obarczył wszystko, co się znajdowało w izbie, od żony poczynając, a na dzbanku kończąc. Miał minę zrozpaczoną.

Fauchelevantowi zbyt śpieszyło się skończyć całą przygodę, by zauważyć ten żałosny skutek swojego sukcesu.

Wszedł i powiedział:

— Odnoszę wam motykę i łopatę. Gribier spojrział na niego ze zdumieniem:

— To wy, wieśniaku?

— A jutro rano znajdziecie u stróża swoją kartę. I położył łopatę i motykę na podłodze.

— Co to znaczy? — zapytał Gribier.

— To znaczy, że karta wypadła wam z kieszeni, że znalazłem ją na ziemi już po waszym odejściu, że pochowałem nieboszczkę, że zasypałem grób, że odrobiłem za was robotę, że stróż odda wam jutro waszą kartę i że nie będziecie musieli płacić piętnastu franków. Tak, rekrucie.

— Dzięki, wieśniaku — zawołał rozpromieniony Gribier. — Następnym razem ja płacę.

## ROZDZIAŁ VIII

### POMYŚLNY WYNIK PRZESŁUCHANIA

W godzinę później, już ciemną nocą, dwaj mężczyźni z dzieckiem stanęli przed bramą numer 62 przy uliczce Petit-Picpus. Starszy z nich uniósł kołatkę i zastukał.

Byli to Fauchelevant, Jan Valjean i Kozeta.

Obaj starcy poszli po Kozetę do owocarki z ulicy Chemin-Vert, u której poprzedniego dnia zostawił ją Fauchelevant. Mała spędziła te dwadzieścia cztery godziny nic nie rozumiejąc i drżąc w milczeniu. Drżała tak, że nie płakała. Nie jadła też ani nie spała. Poczciwa stara zarzuciła ją gradem pytań za całą odpowiedź otrzymując tylko zawsze jednako ponure spojrzenie.

Kozeta nie pisnęła ani słowa o tym, co widziała i słyszała w ciągu ostatnich dwóch dni. Rozumiała, że przeżywają krytyczne chwile, i czuła dobrze, że musi „być grzeczna”. Któż z nas nie doświadczył przemożnej władzy tych trzech słów: „Nie mów nic!”, szepniętych ze specjalną intonacją do ucha takiego małego, przerażonego stworzonka? Strach jest niemy. Zresztą nikt nie umie tak dochować tajemnicy jak dziecko.

Kiedy jednak po tych ponurych dwudziestu czterech godzinach ujrzała znów Jana Valjean, wydała okrzyk takiej radości, że gdyby go usłyszał człowiek myślący, odgadłby w tym krzyku wyrwanie się z przepaści.

Fauchelevant, jako człowiek z klasztoru, znał wszystkie hasła, toteż każde drzwi otwierały się przed nim.

Tak został rozwiązany podwójny i niebezpieczny problem wyjścia i wejścia.

Stróż, który otrzymał odpowiednie polecenia, otworzył furtkę służbową, łączącą podwórze z ogrodem; przed dwudziestu laty widać ją było z ulicy, naprzeciw bramy, w głębi podwórza. Przeprowadził wszystkich troje przez tę furtkę, a stamtąd udali się do wewnętrznej rozmównicy, w której poprzedniego dnia przełożona dawała Fauchelevantowi polecenia.

Przełożona czekała na nich z różańcem w ręku. Za nią, z opuszczonym na twarz welonem, stała jedna z matek głosujących. Dyskretny płomień świecy oświetlał, można by prawie powiedzieć, udawał, że oświetla rozmównicę.

Przełożona zlustrowała Jana Valjean, a nic nie bada lepiej niż spojrzenie spod



opuszczonych powiek.

Po czym zapytała:

— To wy jesteście bratem ogrodnika?

— Tak jest, wielbna matko — odrzekł Fauchelevent.

— Jak się nazywacie? Fauchelevent odpowiedział:

— Ultym Fauchelevent.

Istotnie, miał brata, imieniem Ultym, obecnie już nieżyjącego.

— Z jakich jesteście stron? Fauchelevent odpowiedział: — Z Picquigny koło Amiens.

— Ile macie lat? Fauchelevent odpowiedział:

— Pięćdziesiąt.

— Czym jesteście z zawodu? Fauchelevent odpowiedział:

— Ogrodnikiem.

— Jesteście dobrym katolikiem? Fauchelevent odpowiedział:

— Wszyscyśmy w rodzinie dobrzy katolicy.

— To wasza mała? Fauchelevent odpowiedział:

— Tak jest, wielbna matko.

— Jesteście jej ojcem? Fauchelevent odpowiedział:

— Dziadkiem, wielbna matko.

— Dobrze odpowiada — półgłosem odezwała się matka głosująca do przełożonej.

Jan Valjean przez cały czas nie wyrzekł ani słowa. Przełożona przyjrzała się Kozecie i powiedziała półgłosem do matki:

— Będzie brzydka.

Obie zakonnice chwilę szeptały w kącie rozmównicy, po czym przełożona odwróciła się i rzekła:

— Ojczy Fauvent, dostaniecie inny rzemień z dzwonkiem; teraz będą potrzebne dwa.

Istotnie, nazajutrz rozlegał się w ogrodzie dźwięk dwóch dzwonek i zakonnice nie mogły się powstrzymać, by nie uchylić rąbka swych welonów. W głębi ogrodu, pod drzewami, widać było dwóch mężczyzn, którzy kopali ziemię, Fauventa i tego drugiego. Wydarzenie niezmierniej wagi! Naruszono nawet obowiązek milczenia, by szeptać między sobą: „To pomocnik ogrodnika.”

Matki głoszące dodawały: „To brat naszego ojca Fauvent.”

Jan Valjean został zainstalowany zgodnie z wszystkimi przepisami, dostał rzemień z dzwonkiem i odtąd już przebywał tu oficjalnie. Nazywał się Ultym Fau-chelevent.

Główną przyczyną, która zdecydowała o ich przyjęciu, była uwaga przełożonej, że Kozeta „będzie brzydka”.

Zrobiwszy to przypuszczenie, przełożona natychmiast polubiła Kozetę i umieściła ją w pensjonacie jako bezpłatną uczennicę.

Jest to całkiem logiczne. Cóż z tego, że w klasztorze nie ma zwierciadeł? Kobieta i tak ma świadomość tego, jak wygląda; dziewczyna, która wie, że jest ładna, niełatwo zostaje zakonnica, a że powołanie pozostaje zazwyczaj w odwrotnym stosunku do urody, więcej nadziei można pokładać w dziewczętach szpetnych niż pięknych. Stąd sympatia do brzydkich.

Ta przygoda podniosła znaczenie starego, zacnego Fauchelevanta; odniósł on sukces potrójny: w stosunku do Jana Valjean, któremu uratował życie i dał schronienie, w stosunku do Gribiera, który mówił sobie: „Oszczędził mi płacenia grzywny”, w stosunku do klasztoru, który, dzięki niemu zachowując trumnę matki od Ukrzyżowania w krypcie kościoła, obszedł wolę Cezara i zadośćuczynił woli Boga. Trumna ze zwłokami spoczęła w klasztorze, trumna bez zwłok spoczęła na cmentarzu Vaugirard. Porządek publiczny, bez wątpienia, został poważnie zachwiany, ale tego nie zauważył. Jeśli zaś chodzi o zakonnice, to wielka była ich wdzięczność dla Fauchelevanta. Stał się najlepszym ze sług i najcenniejszym z ogrodników. Przy pierwszej wizycie arcybiskupa przełożona opowiedziała jego wysokości całą sprawę, trochę spowiadając się z niej, a trochę się chwając. Po wyjściu z klasztoru arcybiskup opowiedział z kolei o niej z wielkim uznaniem i w tajemnicy spowiednikowi brata jego królewskiej mości, księdzu de Latil, późniejszemu arcybiskupowi Reims i kardynałowi. Podziw i admiracja dla Fauchelevanta zatoczyły szerokie kręgi, bo dotarły aż do Rzymu. Widzieliśmy bilecik, napisany przez ówczesnego papieża Leona XII do jednego ze swych krewnych, monsignora w nuncjaturze paryskiej, noszącego podobnie

jak papież nazwisko Delia Genga; czytamy w nim te słowa: „Podobno w jakimś klasztorze w Paryżu jest znakomity ogrodnik, człowiek prawdziwie święty, nazwiskiem Fauvan.” Ale nic z owej chwały nie dotarło do chałupki Fauchelevanta; nadal szczepił drzewka, peł i okrywał melony, nic nie wiedząc o swej doskonałości i świętości. Nie domyślał się nawet swej sławy, podobnie jak nie domyśla się jej wół z Durham czy Surrey, którego podobizna widnieje w „Illustrated London News” z napisem: „Wół, który otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie bydła rogatego.”

# ROZDZIAŁ IX

## W KLASZTORZE

W klasztorze Kozeta nadal milczała.

Uważała się po prostu za córkę Jana Valjean. Poza tym, ponieważ nie wiedziała o niczym, nic nie mogła powiedzieć, a zresztą w żadnym wypadku i tak nic nie powiedziałyby. Mówiliśmy przed chwilą, że nieszczęście najskuteczniej wdraża dziecko do milczenia. Kozeta wycierpiała tyle, że bała się wszystkiego, bała się mówić, bała się oddychać. Ileż razy za jedno słowo spadała na nią cała lawina! Odkąd przebywała z Janem Valjean, zaczęła nabierać trochę pewności. Dość szybko przyzwyczała się do klasztoru. Żałowała wprawdzie Katarzyny, ale nie śmiała o tym wspominać. Raz powiedziała jednak do swego opiekuna: „Gdybym wiedziała, ojczy, zabrałabym ją ze sobą.”

Zostawszy uczennicą w klasztorze, Kozeta musiała przywdziać strój pensjonarek. Jan Valjean uzyskał pozwolenie zabrania ubioru, który z siebie zdjęła. Była to ta sama żałobna sukienka, w którą ją przyodział, gdy opuszczała z nim karczmę Thenardierów. Nie była jeszcze zniszczona. W małym kuferku, który udało mu się zdobyć, Jan Valjean zamknął te szmatki wraz z wełnianymi pończochami i trzewikami, przesypawszy je kamforą i różnymi wonnymi ziołami, których nie brak w klasztorach. Kuferek ustawił na krzeselku koło swego łóżka i klucz od niej zawsze nosił przy sobie.

— Ojczy, co jest w tej skrzyneczce, że tak ładnie pachnie? — zapytała go pewnego razu Kozeta.

Poza sławą, o której wspominaliśmy przed chwilą, a o której on sam nie miał pojęcia, ojciec Fauchelevent został wynagrodzony za swój dobry uczynek: przede wszystkim był z tego powodu szczęśliwy, poza tym, ponieważ dzielił się pracą z Janem Valjean, miał znacznie mniej roboty. Wreszcie, lubiąc bardzo tabakę, miał jeszcze i ten zysk z obecności pana Madeleine, że zażywał jej teraz trzy razy więcej niż dawniej, i to z nierównie większą rozkoszą, gdyż pan Madeleine za nią płacił.

Wśród zakonnic imię Ultyma nie przyjęło się, o Janie Valjean mówiły „drugi Fauvent”.

Gdyby świątobliwe panienki umiały choć w części tak patrzeć jak Javert, zauważyłyby w końcu, że gdy trzeba było wyjść na miasto w sprawach ogrodu, szedł zawsze starszy Fauchelevent, ten stary, ten kaleka, ten kulawy, a nigdy

tamtym drugim. Czy to dlatego jednak, że oczy utkwione w Bogu nie umieją szpiegować, czy też, że zakonnice wolały śledzić się wzajemnie, nie zwróciły na to uwagi.

Jan Valjean dobrze robił, że siedział cicho, i nie ruszał się ani krokiem. Przez dobry miesiąc Javert miał tę dzielnicę na oku.

Klasztor stał się dla Jana Valjean wyspą wśród przepaści. Te cztery mury były mu teraz całym światem. Oglądał tu dosyć nieba, aby być pogodnym, i dosyć często widywał Kozetę, alby być szczęśliwym.

Znów zaczęło się dla niego spokojne życie.

Mieszkał razem ze starym Fauchelevant w domku, w głębi ogrodu. Ta chałupka, zlepiąca z gruzu, a istniejąca jeszcze w roku 1845, składała się, jak wiadomo, z trzech izb, w których były tylko nagie ściany. Najlepszą Fauchelevant oddał panu Madeleine przemocą, mimo daremnych protestów Jana Valjean. Poza dwoma hakami, służącymi do zawieszania rzemienia z dzwonkiem i kosza, ścianę tego pokoju ozdobił jeszcze papierowy bon pieniężny rojalistów z 93 roku, zawieszony nad kominkiem, z takim oto napisem: „Królewska Armia Katolicka. W imieniu króla. Bon pieniężny wartości dziesięciu funtów za przedmioty dostarczone dla armii. Płatny po wojnie. Seria 3. Nr 10390. (Podpis) Stofflet.”

Tę wandejską asygnatę przybił na ścianie poprzedni ogrodnik, dawny szuan, który umarł tu w klasztorze, a po którym objął miejsce Fauchelevant.

Jan Valjean pracował całymi dniami w ogrodzie i bardzo się tu przydał. Niegdyś trudnił się przycinaniem drzew i chętnie powrócił do ogrodnictwa. Czytelnik pamięta, że znał wiele przepisów i tajemnic z dziedziny hodowli roślin — teraz mógł je wykorzystać. W sadzie rosły same prawie dziczki, zaszczepił je i odtąd rodziły wyborne owoce.

Kozeta otrzymała pozwolenie, by co dzień przychodzić do dziadka i spędzać z nim godzinę. A że siostry były smutne, on zaś był dobry, więc dziewczynka porównywała go z nimi i uwielbiała. O oznaczonej porze przybiegała do domku ogrodnika, a gdy wchodziła do tej rudery, przemieniała ją w raj. Jan Valjean rozpromieniał się i czuł, jak jego szczęście powiększa szczęście, które daje Kozecie. W radości, którą sprawiamy innym, zachwycające jest to, że nie blednie ona jak każde odbicie, lecz przeciwnie, wraca do nas jeszcze promienniejsza. Podczas rekreacji Jan Valjean patrzył z daleka, jak Kozeta bawiła się i biegała, i poznawał jej śmiech pośród śmiechu innych dzieci.

Bo teraz Kozeta się śmiała.

Nawet twarzyczka jej zmieniała się w pewnej mierze. Znikło z niej zaszczepienie,

Śmiech jak słońce spędza zimę z twarzy ludzkiej.

Nadal nie będąc ładna, Kozeta stawała się urocza. Słodkim, dzieciennym głosem wygłaszała różne rozsądne zdania.

Gdy po pauzie wracała do klasztoru, Jan Valjean wpatrywał się w okna jej klasy, a w nocy wstawał, by wpatrywać się w okna jej sypialni.

Bóg prowadzi ludzi swoimi drogami; klasztor, podobnie jak Kozeta, przyczynił się do tego, by utrwalić i rozwinąć w duszy Jana Valjean dzieło rozpoczęte przez biskupa. Nie ulega wątpliwości, że jedna ze stron cnoty graniczy w jakiś sposób z pychą: istnieje między nimi most zbudowany przez szatana. Możliwe, że Jan Valjean był już nieświadomie blisko tej granicy i tego mostu, gdy Opatrzność zawiodła go do klasztoru Petit-

Piepus. Dopóki porównywał siebie do biskupa, uważał się za niegodnego i był pokorny, ale od pewnego czasu zaczął się porównywać z innymi ludźmi i zbudziła się w nim pycha. Kto wie, może niepostrzeżenie doszedłby w końcu znów do nienawiści.

Klasztor zatrzymał go na tej pochyłości.

Było to drugie miejsce niewoli, które oglądał. W młodości, u zarania życia, i później, niedawno jeszcze, widział inne takie miejsce, miejsce ohydne, miejsce straszliwe, którego srogość wydawała mu się zawsze niegodziwością sprawiedliwości i zbrodnią prawa. Dziś z galer dostał się do klasztoru i rozmyślając nad tym, że niegdyś był galernikiem, a dziś jest, rzecz można, widzem w klasztorze, z rozterką porównywał w myśli oba te miejsca.

Niekiedy opierał się na łopacie i zstępował powoli po kręgach bezdennej głębi marzenia.

Przypominał sobie swych dawnych towarzyszy: jakże byli nieszczęśni! Zrywali się o świcie, pracowali do nocy; zaledwie zostawiano im czas na sen, sypiali na pryczach, na których wolno im było położyć siennik grubości dwóch cali, w salach ogrzewanych jedynie w najzimniejszych miesiącach roku; odziani byli we wstrętne, czerwone kaftany; z łaski pozwalano, by w czasie wielkich upałów nosili płócienne spodnie, a w czasie wielkich mrozów wełnianą bluzę na grzbiecie; wino czy mięso dostawali tylko wtedy, gdy szli do ciężkiej pracy. Żyli bez nazwisk, oznaczeni jedynie numerami, i stali się w pewnej mierze tylko cyframi. Żyli ze spuszczonego wzrokiem, mówili zniżonym głosem, głowę mieli ogoloną. Żyli pod batem, pohańbieni.

Potem przenosił się myślą ku istotom, które miał przed oczyma.

Istoty te również miały obcięte włosy, spuszczone oczy, mówiły również zniżonym głosem, żyły — nie w pohańbieniu, lecz wśród szyderstw świata, bat nie ranił im pleców, lecz dyscyplina rozdzierała ramiona. Ich nazwiska również zatarły się w pamięci ludzi. Nosiły tylko nazwania, pełne surowej powagi. Nigdy nie jadały mięsa, nigdy nie pijały wina, często do wieczora obywały się bez jedzenia; okrywał je nie czerwony kaftan, lecz czarny, wełniany całun, zbyt ciężki w lecie, zbyt przewiewny w zimie, do którego nie mogły nic dodać ani nic ująć; nie miały nawet tej ulgi, by, zależnie od pory roku, przywdziać płócienną odzież czy wełniane okrycie, i przez sześć miesięcy w roku nosiły koszule wełniane, od których dostawały gorączki. Mieszkały nie w salach, ogrzewanych jedynie w czasie największych mrozów, lecz w celach, w których nigdy nie rozpalano ognia; sypiały nie na siennikach grubości dwóch cali, lecz na słomie. Wreszcie, nie zezwalano im nawet na sen; co noc, po dniu pełnym mokołu, ledwo usnąwszy, ledwo rozgrzawszy się nieco, musiały budzić się z pierwszego, ciężkiego snu, wstawać, iść na modlitwy do lodowatej, ciemnej kaplicy i klęczeć na kamieniu.

W pewne dni jedna z nich, gdy na nią przypadła kolej, przez całe dwanaście godzin klęczała na kamiennej posadzce lub leżała krzyżem.

Tam byli mężczyźni, tu były kobiety.

Co robili ci mężczyźni? Kradli, gwałcili, rabowali, zabijali, mordowali. To byli bandyci, fałszerze, truciciele, mordercy, ojcobójcy. Co zrobiły te kobiety? Nic.

Z jednej strony rozbój, oszustwo, podstęp, gwałt, wszeteczeństwo, zabójstwo, wszelkie rodzaje świętokradztwa, wszelkie odmiany zbrodni. Z drugiej strony jedno tylko: niewinność.

Niewinność doskonała, niezemska prawie w swym tajemniczym wniebowzięciu, cnotą związana jeszcze z ziemią, świętością już sięgająca nieba.

Z jednej strony — szeptem czynione zwierzenia o zbrodniach; z drugiej głośne wyznanie grzechów.

I jakich zbrodni! i jakich grzechów!

Z jednej strony — ohydne wyziewy; z drugiej — niewysłowione wonie. Z jednej strony — zgnilizna moralna, strzeżona pilnie, obstawiona armatami i wolno zżerająca zarażonych. Z drugiej — czyste rozplomnienie wszystkich dusz w jednym ognisku. Tam — ciemność, tu — cień, lecz cień pełen światłości, a światłość pełna promieni.

Dwa miejsca niewoli, lecz w pierwszym istnieje możliwość uwolnienia,

dostrzegalny jest kres kary, przewidziany prawem; a wreszcie jest jeszcze ucieczka. W drugim niewola do końca życia, a za całą nadzieję, u kresu dalekiej przyszłości, jutrzienka wolności, którą ludzie zowią śmiercią.

Do pierwszego miejsca niewoli przykuwały tylko łańcuchy; do drugiego przykuwała wiara.

Czym rozbrzmiewało pierwsze? Potężnym przekleństwem, zgrzytaniem zębów, nienawiścią, złością pełną rozpacz, krzykiem wściekłości grożącym społeczeństwu ludzkiemu, szyderstwem z nieba.

Co unosiło się z drugiego? Błogosławieństwo i miłość.

W obu tych miejscach, tak podobnych, a tak różnych, dwa rodzaje istot ludzkich tak odmienne od siebie spełniały to samo dzieło: pokutę.

Jan Valjean rozumiał pokutę pierwszych; pokutę osobistą, pokutę za własne winy, ale nie rozumiał drugiej pokuty, pokuty istot bez grzechu i zmayı, i z drzeniem stawiał sobie pytanie: pokuta za co? jaka pokuta?

W duszy słyszał odpowiedź: to najwznieślijsza szlachetność ludzka — pokuta za cudze winy.

Zastrzegamy sobie osobiste poglądy w tej kwestii — jesteśmy tylko narratorem i patrząc jedynie z punktu widzenia Jana Valjean, opowiadamy tu jego wrażenia.

Miał przed oczyma najwyższy szczyt wyrzeczenia, najwznieślijsze wyżyny osiągalnej cnoty, niewinność, która wybacza ludziom ich grzechy i przyjmuje za nich pokutę, widział dobrowolną niewolę, przyjęte na siebie katusze, męczarnie pożądane przez dusze bezgrzeszne, aby wybawić od nich dusze, które upadły; widział miłość ludzkości, która zatracą się w miłości Boga, lecz mimo to pozostaje odrębna i błagalna, widział łagodne, słabe istoty znoszące cierpienia tych, którzy są karani, i uśmiechające się uśmiechem- tych, którzy są nagrodzeni.

I przypomniał sobie, że śmiał użalać się nad sobą!

Często wśród nocy zrywał się, by słuchać dziękczynnego śpiewu tych niewinnych istot udręczonych srogim życiem, i czuł, iż krew mu się ścina w żyłach na myśl o tych, co ukarani słusznie, wznosili głos ku niebu tylko po to, by bluźnić, i że on sam, jakże nędzny, podnosił pięść ku niebu.

Nad jeszcze jedną uderzającą rzeczą rozmyślał głęboko, niby nad cichym ostrzeżeniem, samej Opatrzności: przejście przez mur, wydobyć się z



zniknięcia, narażanie się na śmierć, wszystkie wysiłki, których dokonał, aby wydostać się z pierwszego miejsca pokuty — dokonał tego wszystkiego znowu, aby dostać się do drugiego miejsca pokuty. Czy był w tym symbol jego doli?

Ten dom również był więzieniem i w ponury sposób przypominał tamten, z którego uciekł, a jednak nigdy nie wyobrażał sobie istnienia takiego miejsca.

Znów widział kraty, zamki, żelazne sztaby, strzegące kogo? Aniołów.

Wysokie mury, które widział wokół tygrysów, dziś widział znów wokół owieczek.

Było to miejsce pokuty, ale nie kaźni; a jednak było ono jeszcze surowsze, jeszcze posępniejsze, jeszcze bardziej bezlitosne niż tamto. Te dziewice uginały się pod jarzmem cięższym niż jarzmo galerników. Zimny i ostry wiatr, wiatr, który zwarzył jego młodość, przenikał do okratowanego, zaryglowanego gniazda jastrzębi; lecz wichur jeszcze sroższy i boleśniej przenikliwy wpadł do klatki gołębic.

Dlaczego?

Gdy myślał o tym, całą swą istotą korzył się przed tajemnicą tej wzniosłości.

W tych rozmyślaniach zniknęła pycha. Zastanawiał się ciągle nad sobą, czuł się nędzny i płakał często. Wszystko, co w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wkroczyło w jego życie, wiodło go ku świętym nakazom biskupa: Kozeta przez miłość, klasztor przez pokutę.

Nieraz o zmroku, gdy ogród opustoszał, widziano, jak klęczał pośrodku alei pod oknem kaplicy, przez które zaglądał owej nocy, gdy tu przybył, obrócony twarzą ku miejscu, gdzie jak wiedział, siostra odprawiająca zadośćuczynienie leżała krzyżem pogrążona w modlitwie. Modlił się, klęcząc tak przed ową siostrą.

Zdawało się, że nie śmie uklęknąć wprost przed Bogiem.

Wszystko, co go otaczało — ten spokojny ogród, te wonne kwiaty, te dzieci wydające radosne okrzyki, te kobiety poważne i proste, ten cichy klasztor — przenikało go zwolna, i stopniowo dusza jego stała się cicha jak ten klasztor, wonna jak te kwiaty, spokojna jak ten ogród, prosta jak te kobiety, radosna jak te dzieci. I dumał nad tym, że to dwa domy boże przyjęły go kolejno w dwóch krytycznych chwilach jego życia: pierwszy, gdy wszystkie drzwi zamknęły się przed nim, a społeczność ludzka odtrąciła go od siebie, drugi, gdy społeczność owa ścigała go znowu i znowu kaźń otwierała się przed nim; gdyby nie pierwszy, wróciłby do zbrodni, gdyby nie drugi, wróciłby do męki.

Serce jego topniało z wdzięczności i kochał coraz mocniej.

Tak upłynęło kilka lat. Kozeta rosła.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## KSIĘGA PIERWSZA

### PARYŻ BADANY W SWOIM ATOMIE

#### ROZDZIAŁ I

##### PARVULUS

Paryż ma swoje dziecko, a las ma swojego ptaka; ptak nazywa się wróblem; dziecko nazywa się ulicznikiem.

Połączcie te dwa pojęcia, z których jedno mieści w sobie całe zarzewie, a drugie całą jutrzeńkę; zetknijcie te iskry: Paryż i dzieciństwo, a powstanie z nich mała istotka, *Homuncio* — powiedziałyby Plaut. Ta mała istotka jest wesoła. Nie co dzień jada, ale co wieczór — jeśli ma ochotę — chodzi do teatru. Nie ma koszuli na grzbiecie, nie ma butów na nogach, nie ma dachu nad głową; jest jak muszki, które obywają się bez tego wszystkiego. Liczy sobie siedem do trzynastu lat, żyje gromadnie, zbija bruki, mieszka pod gołym niebem, nosi stare spodnie po swoim ojcu, które mu opadają poniżej pięt, stary kapelusz po jakimś innym ojcu, który mu opada poniżej uszu, i jedną szelkę z żółtej krajki; biega, czatuje, węszy, zbija bąki, pociąga z fajeczki, klnie jak potępieniec, i włóczy się po szynkach, zna się ze złodziejami, jest na ty z ulicznymi dziewczynami, mówi żargonem, śpiewa sprośne piosenki i nie ma w sercu ani odrobiny zła. Nosi bowiem w duszy perłę — niewinność, a perły nie rozpuszczają się w błocie. Dopóki człowiek jest dzieckiem, Bóg chce, żeby był niewinny.

Gdyby zapytać olbrzymie miasto: „Co to takiego?” — odpowiedziałyby: — „To mój mały.”

## ROZDZIAŁ II

### KILKA ZNAKÓW SZCZEGÓLNYCH

Ulicznik paryski — to karzełek, syn olbrzymki.

Nie przesadzajmy: ten cherubin rynsztoków ma czasami koszulę, ale tylko jedną; ma czasami buty, ale bez podeszew; ma czasami dach nad głową i kocha go, bo tam jest matka, ale woli ulicę, bo tam jest swoboda. Ma własne zabawy, własne żarty, których podłożem jest nienawiść do mieszczuchów, własne przenośnie: „Umrzeć” — to w jego języku: „Gryźć sałatę od korzonka.” Ma też swoje fuchy: a więc sprowadza dorożki, opuszcza stopnie pojazdu, po ulewie ustanawia „mostowe” z jednej strony ulicy na drugą, co nazywa „stawianiem grobli”, obwieszcza mowy, wygłaszane przez czynniki oficjalne w obronie ludu francuskiego, szlifuje bruk; ma własną monetę składającą się ze wszelkiego rodzaju kawałków miedzi, które można znaleźć na publicznych drogach. Ciekawa ta moneta, nosząca nazwę „ciupa”, ma swój stały, dokładnie określony kurs wśród tej małej dziecięcej cyganerii. Ulicznik paryski ma wreszcie swoją faunę, którą pilnie bada po różnych zakamarkach: a więc bożą krówkę, mszycę „trupią główkę”, pająka-kosarza i „diabła”, czarnego owada, który wiję się, grożąc zbrojnym we dwa kolce ogonem. Ma także legendarnego potwora z łuską pod brzuchem, choć nie jest jaszczurką, i brodawkami na grzbiecie, choć nie jest ropuchą, który mieszka w starych dołach po wapnie lub w wyschniętych ściekach. Ten czarny, włochaty, lepki potwór to pełza wolno, to znów bardzo szybko, nie wydaje głosu, tylko patrzy i jest tak przerażający, że nikt go nigdy nie widział: potwora tego nazywa „głuchym gadem”. Szukanie „głuchego gada” między kamieniami jest przyjemnością wzbudzającą dreszcz grozy. Inna przyjemność to unieść z nagła kostkę bruku i przyglądać się stonogom. Każda dzielnica Paryża słynie z różnych ciekawych odkryć, których można tam dokonać: w tartakach przy ulicy Urszulanek są szczypawki, w Panteonie — stonogi, a w rowach na Polu Marsowym — kijanki.

To dziecko miewa powiedzonka godne Talleyranda. Nie jest mniej cyniczne, ale jest uczciwsze. Ma dar jakiejś nieoczekiwanej wesołości; wybuchami szalonego śmiechu wprawia w osłupienie kramarzy. Skala tego śmiechu rozciąga się bez żenady od subtelnej komedii do farsy.

Przechodzi kondukt pogrzebowy. Wśród odprowadzających zmarłego idzie lekarz. „Ejże! — woła ulicznik. — A odkąd to lekarze odnoszą na miejsce swoją robotę?”

Inny ulicznik znajduje się w środku ciżby. Jakiś poważny jegomość, ustrojony w

okulary i breloki, obraca się z oburzeniem: „Nicponiu! Skradłeś mojej żonie całusa!” — „Ja? Niech mnie pan zrewiduje!”

## ROZDZIAŁ III

### JEST MIŁY

Wieczorem za parę groszy, które zawsze potrafi w jakiś sposób zdobyć, *homuncio* idzie do teatru. Gdy przekracza ten czarodziejski próg, odmienia się: był łobuziakiem, staje się urwisem. Teatry przypominają okręt odwrócony dnem do góry. Urwis tłoczy się na tym właśnie dnie okrętu. Urwis ma się tak do łobuziaka jak motyl do poczwarki; to ta sama istota lotna i unosząca się w powietrzu. Wystarczy, żeby tam się znalazł promieniejący szczęściem, z całą mocą swego entuzjazmu i radości, klaszczący w dłonie niby ptak, który trzepocze skrzydłami, aby to dno okrętu ciasne, smrodliwe, ciemne, nędzne, cuchnące, ohydne i szpetne otrzymało nazwę paradyzu.

Obdarzcie jakąś istotę wszystkim tym, co zbędne, a odbierzcie jej to, co konieczne — a będziecie mieć ulicznika.

Ulicznik ma pewne odczucie literatury. Jego upodobania, mówimy o tym z należytą dozą ubolewania, bynajmniej nie są klasyczne. Z samej natury jest mało akademicki. Tak więc — dla przykładu — popularność panny Mars w tym burzliwym świątku dziecięcym była zaprawiona szczyptą ironii. Ulicznik zwał ją „kławą pannicą”.

To stworzenie wrzeszczy, drwi, wyśmiewa się, użera, ma gałganki jak dziecko, a łachmany jak filozof, łowi w ściekach, poluje w kloakach, z nieczystości wydobywa wesołość, smaga swą werwą ulicę, szydzi i kęsa, gwizdże i śpiewa, oklaskuje i beszta, łagodzi Alleluja przez Tralalala, wyśpiewuje na wszystkie tony zaczynając od *De profundis*, a kończąc na karnawałowych śpiewkach; znajduje to, czego nie szukał, wie to, o czym nie ma pojęcia; spartańskość jego graniczy z oszustwem, szaleństwo z mądrością, liryzm z plugastwem; przykucnąłby na Olimpie, tarza się w gnojówce i wychodzi z niej obsypany gwiazdami.

Ulicznik paryski — to mały Rabelais.

Nie jest zadowolony ze swoich portek, jeżeli w nich nie ma kieszonki na zegarek.

Niewiele rzeczy go dziwi, a jeszcze mniej przeraża. Szydzi z przesądów, ośmiesza wszelką przesadę, kpi z tajemnic, pokazuje język upiorom, odpoetyzowuje koturny, a do epicznych hiperboli wprowadza karykaturą. Nie dlatego, że jest prozaiczny, nic podobnego — po prostu zastępuje uroczyste

wizje krótkowilną fantasmagorią. Gdyby Adamastor zjawił się przed nim, ulicznik zawołałby: „Patrzajcie! Strach na wróble!”

## ROZDZIAŁ IV

### MOŻE BYŁ UŻYTECZNY

Paryż zaczyna się na gapiu, a kończy na uliczniku, dwóch istotach, jakich nie wydało żadne inne miasto; bierna aprobata, która zadawała się patrzeniem, i niewyczerpana przedsiębiorczość: Prudhomme i Fouillou. Tylko Paryż ma wśród swojej fauny takie okazy. Cała monarchia mieści się w gapiu. Cała anarchia mieści się w uliczniku.

To blade dziecko przedmieścia Paryża żyje i rozwija się, kształtuje się i zniekształca w cierpieniu, w obliczu rzeczywistości społecznej i spraw ludzkich, jako myślący świadek. Wydaje mu się, że jest beztroskie, ale\* to nieprawda. Patrzy — gotowe w każdej chwili parsknąć śmiechem; gotowe także i do innych rzeczy. Kimkolwiek jesteście wy, którym na imię Przesąd, Nadużycie, Hańba, Ucisk, Nierówność, Despotyzm, niesprawiedliwość, Fanatyzm, Tyrania — strzeżcie się tego rozbudzonego urwisa.

Ten malec urośnie.

Z jakiej gliny jest ulepiony? Z najzwyklejszej grudki błota. Garstka mułu, tchnienie — i oto Adam! Wystarczy, by przeszedł bóg, w łobuziaku jest zawsze coś z boga. Fortuna urabia to małe stworzenie. Przez słowo fortuna rozumiemy po trosze przygodę. Czy ten pigmej ulepiony ze zwykłej gliny, ciemny, niepiśmienny, zagubiony, pospolity, gminny — stanie się Jończykiem, czy może synem Beocji? Poczekajcie, *currit rota*, duch Paryża, ten demon, który stwarza dzieci przypadku i mężów przeznaczenia — inaczej niż garncarz latyński — potrafi dzban przemienić w amforę.



# ROZDZIAŁ V

## JEGO GRANICE

Łobuziak lubi miasto, lubi także samotność, ponieważ ma w sobie coś z mędrca. *Urbis amator*, jak Fuscus; *ruris amator*, jak Flaccus.

Błąkać się w zamyśleniu, czyli wałęsać się bez celu — to dobre zajęcie dla filozofa; zwłaszcza wałęsać się po tej niby to wiejskiej okolicy, dość szpetnej, ale dziwacznej i o dwojakim charakterze, ciągnącej się wokół niektórych wielkich miast, a szczególnie wokół Paryża. Obserwować przedmieście to obserwować amfibię. Kończą się tu drzewa, zaczynają dachy, kończy się trawa, zaczyna bruk, kończą się niwy, zaczynają sklepy, kończą się utarte nawyki, zaczynają namiętności, kończy się szept boski, zaczyna zgiełk ludzki. Stąd ich niezwykła, atrakcyjna siła.

Stąd te pozornie bezcelowe włóczęgi marzyciela po miejscach mało pociągających i raz na zawsze określonych przez przechodnia mianem „smutnych”.

Ten, kto kreśli te słowa, długie lata błądził po przedmieściach Paryża i to jest dla niego niewyczerpanym źródłem wspomnień. Pociągały go tam te niskie murawy, te kamieniste ścieżki, kredy, margle, wapień, cierpka jednostajność ugorów i odłogów, z nagłą ukazujące się w oddali grzędy warzywnych ogrodów, połączenie dzikości i życia miejskiego, rozległe, pustynne zakątki, gdzie garnizonowi dobosze ćwiczą donośnie, imitując zgiełk bitwy, miejsca opustoszałe za dnia, które są spelunką zbójczą w nocy, na pół rozwalony wiatrak kręcący się na wietrze, maszyny do wydobywania kamienia, karczmy przy cmentarzach, tajemny czar wysokich, ciemnych murów, wrzynających się prostopadle w rozległe, nieogarnięte okiem przestrzenie zalane słońcem i pełne motyli.

Niewielu chyba mieszkańców ziemi zna te miejsca osobliwe, jak Glaciere, Cunette, ohydny, pocętkowany kulami mur Grenelle, jak Mont-Parnasse, Fosseaux-Loups, Aubiers na wysokim brzegu Marny, Montsouris, Tombe-Issoire lub Pierre-Plate de Chatillon, gdzie w starym, opuszczonym kamieniołomie rosną już tylko grzyby, a pokrywa go równo z ziemią kładka z przegniłych desek. Wieś rzymska ma swoistą treść; podmiejska okolica Paryża mieści w sobie treść inną. Widzieć w tym, co ukazuje nam widnokrąg, jedynie pola, domy czy drzewa to zatrzymać się tylko na powierzchni; wszelka postać rzeczy jest myślą Boga. Miejsce, w którym równina łączy się z miastem, jest zawsze przepojone jakimś dojmującym smutkiem. Przemawia tam do ciebie jednocześnie natura i

człowiek. Ukazują się tam wszystkie osobliwości okolicy.

Ten, kto podobnie jak my wałęsał się po tych pustkowiach przylegających do naszych przedmieści, które można by nazwać limbami Paryża, zauważył tam — w miejscu najbardziej opuszczonym i w zupełnie nieoczekiwanej chwili, za nędznym żywopłotem czy w załamaniu jakiegoś ponurego muru, rozkrzyczaną gromadkę dzieci, bladych, ©błoconych, zakurzonych, obdartych i rozczochranych, które w wiankach z bławatków na głowie grają w „młynka"! To są mali zbiegowie z rodzin biedoty. Na bulwarach okalających Paryż zaczynają swobodnie oddychać, podmiejska okolica jest ich własnością. Tam mają wieczne wagary. Tam naiwnie wyśpiewują swój repertuar plugawych śpiewek. Tam przebywają — a raczej tam żyją, z dala od oczu ludzkich, w łagodnym świetle majowym czy czerwcowym, klęcząc wokół jamki w ziemi, grając w jakąś „piłkę do dołka", wyklócając się o groszaki; stworzenia nieodpowiedzialne, pierzchliwe, wolne, szczęśliwe; a gdy tylko dostrzegą przechodnia, przypominają sobie, że mają swój „fach", że muszą zarabiać na życie, i proponują kupno starej, wełnianej pończochy, . napełnionej chrabąszczami, lub pęku bżów. Spotkania z tymi dziwnymi dziećmi stanowią jeden z urzekających i zarazem bolesnych uroków okolic Paryża.

Czasami wśród tych gromadek chłopców są też i dziewczynki, ich siostry może, niemal już dorastające, chude, rozgorączkowane, o rękach spalonych słońcem i twarzach usianych piegami, w wiankach z kłosów i maków na głowie, wesołe, płochliwe, bose. Widzi się, jak zajadają w zbożu wiśnie, a wieczorem słychać ich śmiechy. Te gromadki, oświetlone ciepłym blaskiem południowego słońca czy też dostrzeżone o zmierzchu, długo zaprzatają myśl, a widok ich wplata się w marzenia.

Paryż — centrum, przedmieścia — obwód koła: oto cały glob ziemski tych dzieci. Nigdy nie zapuszczają się dalej. Nie mogą żyć bez atmosfery Paryża tak, jak ryba nie może żyć bez wody. Dla nich o dwie mile za rogatką nie ma już nic. Świat kończy się na Ivry, Gentilly, Arcueil, Belleville, Aubervilliers, Menilmontant, Choisy-le-Roi, Billancourt, Meudon, Issy, Vanves, Sevres, Puteaux, Neuilly, Gennevilliers, Colombes, Romainville, Chatou, Asnieres, Bougival, Nanterre, Enghien, Noisy-le-Sec, Nogent, Gournay, Drancy i Gonesse.

# ROZDZIAŁ VI

## NIECO HISTORII

W epoce prawie nam współczesnej, w której rozgrywa się akcja tej książki, policjant nie stał — jak dzisiaj — na każdym rogu ulicy (dobrodziejstwo, które nie czas teraz roztrząsać) i w Paryżu pełno było bezdomnych dzieci. Statystyki podają średnią liczbę dwustu sześćdziesięciorga dzieci bez dachu nad głową, które znajdowały corocznie patrole policyjne na nieogrodzonych terenach, w obrębie budujących się domów czy też pod mostami. Jedno z tych „legowisk”, głośnie do dnia dzisiejszego, wydało tak zwane „jaskółki spod mostu Arcole”. Jest to zresztą najzgubniejszy objaw społeczny. Wszelka zbrodnia dojrzałego człowieka bierze początek we włóczęgostwie dziecka.

Zróbmy tu wszakże wyjątek dla Paryża. W pewnej mierze, mimo wspomnianego przed chwilą przypadku, wyjątek ten jest słuszny. Jeśli bowiem w każdym innym wielkim mieście dziecko-włóczęga jest człowiekiem straconym, jeśli wszędzie indziej prawie dziecko pozostawione samemu sobie jest jak gdyby wydane i rzucone na łup groźnego zalewu występków ogółu, który niweczy jego uczciwość i sumienie, to ulicznik paryski, podkreślamy to z naciskiem, choć na powierzchni tak prostacki i zepsuty, jest prawie nietknięty wewnątrz. Trzeba tu stwierdzić tę niezwykłą rzecz, której jaskrawym przykładem jest wspaniała uczciwość naszych ludowych rewolucji: pewna niezmienna prawość jest wynikiem idei tkwiących w atmosferze Paryża jak sól w wodach oceanu. Kto oddycha Paryżem — ten chroni swoją duszę.

To, co tu mówimy, w niczym nie umniejsza bolesnego uczucia, jakie ściska serce za każdym razem, gdy napotykamy jedno z tych dzieci, za którym — zda się — wloką się porwane więzy rodzinne. W dzisiejszej cywilizacji, tak jeszcze niedoskonałej, te rozbite rodziny, które pochłania mrok, nie wiedzące nic o losach swoich dzieci i porzucające swoje trzewia na publicznych drogach, są rzeczą dość powszechną. Stąd nieszczęsne dole. Nazywa się to — ta smutna rzecz bowiem zrodziła porzekadło — „być rzuconym na paryski bruk”.

Wtrąćmy tu mimochodem, że dawna monarchia nie tępiła bynajmniej porzucania dzieci. Coś z obyczajów Egipcjan i Cyganów wśród dołów społecznych dogadzało wyższym sferom i leżało w interesie możliwych. Wstręt do nauczania- dzieci ludu stanowił niewzruszony dogmat. Na cóż „połowiczna wiedza”? Takie było hasło. A wiadomo, że dziecko-włóczęga to niejako następstwo dziecka ciemnego.

Zresztą monarchia potrzebowała niekiedy dzieci do swoich celów, a wówczas

szumowała ulice.

Za Ludwika XIV, aby nie sięgać do dawniejszych czasów, król, nie bez racji, chciał stworzyć flotę. Pomysł był dobry. Ale przyjrzyjmy się, jakich chwycono się środków. Flota nie istnieje, jeśli obok okrętu żaglowego, igraszki wiatrów, nie ma okrętu, który by go holował w razie potrzeby, okrętu, płynącego tam, gdzie chce płynąć, poruszanego czy to za pomocą wiosł, czy też za pomocą pary; galery były wówczas w marynarce tym, czym dzisiaj są parowce. Trzeba więc było galer; lecz galera poruszana jest rękoma galerników, trzeba więc było galerników. Colbert polecił przeto zarządcom prowincji i trybunałom dostarczać jak najwięcej przestępców. Sądownictwo wykonywało to polecenie z wielką gorliwością. Ktoś nie zdjął kapelusza przed procesją — zachował się jak hugonot: wysyłano go na galery. Napotkano na ulicy dziecko: jeśli miało piętnaście lat i było bez dachu nad głową — wysyłano je na galery. Wielki monarcha, wielki wiek.

Za Ludwika XV w Paryżu ginęły dzieci: policja porywała je w niewiadomym, tajemniczym celu. Szeptano sobie ze zgrozą potworne domysły o purpurowych kąpielach króla. Barbier z całą naiwnością mówi o tych rzeczach. Zdarzało się niekiedy, że urzędnicy policji, z braku dzieci opuszczonych, chwyтали dzieci, które miały ojców. Zrozpaczeni ojcowie rzucali się na urzędników policji. Wówczas wkraczał parlament i skazywał na powieszenie. Kogo? Urzędników policji? Nie. Ojców.

## ROZDZIAŁ VII

### ULICZNIK ZNALAZŁBY SWE MIEJSCE W HIERARCHII KAST INDYJSKICH

Ulicznicy paryscy tworzą niemal kastę. Można by powiedzieć, że nie każdy, kto chce, należy do niej.

Słowo *gamin* (ulicznik) zostało wydrukowane po raz pierwszy i przeszło z języka gminnego do języka literackiego w roku 1834. Ukazało się ono w dziełku pod tytułem *Klaudiusz Nędzarz*. Zgorszenie było wielkie. Słowo się przyjęło.

Poważanie, jakim cieszą się ulicznicy między sobą, zależy od najróżniejszych czynników. Jeden, którego znaleźmy dobrze i widywali często, był otoczony powszechnym szacunkiem i uwielbieniem dlatego, że widział jakiegoś człowieka spadającego z wieży katedry Marii Panny; inny dlatego, że udało mu się dostać na tylny dziedziniec, gdzie złożono na jakiś czas posągi zdobiące kopułę Inwalidów, i „zwędzić” z nich kawałek ołowiu; trzeci znów dlatego, że widział wywracający się dyliżans; inny wreszcie, bo „znał się” z żołnierzem, który o mało co nie wybił oka jakiemuś mieszczuchowi.

Tym tłumaczy się okrzyk pewnego paryskiego ulicznika, pełen głębokiej treści, z którego zwykły śmiertelnik śmieje się nie rozumiejąc go: „Mój ty Boże! Jakiego też ja mam pecha! Pomyśleć, że nie widział jeszcze, jak ktoś leci z piątego piętra.”

Zapewne, świetna jest odpowiedź chłopa, którą przytaczamy: „Wasza żona umarła po długiej chorobie, dlaczegoście nie wezwali lekarza?” — „A bo to, proszę łaski pana — my, prości ludzie, umieramy sami.” Lecz jeśli w tym powiedzeniu wyraża się całe bierne kpiarstwo chłopa, to całą wolnomyślną anarchię łobuziaka z przedmieścia wyraża doskonale inne powiedzenie. Skazaniec, jadąc na wózku na miejsce stracenia, słucha, co mówi do niego spowiednik. Urwis paryski woła: „Patrzcie! Gada ze swoim klechą! A to tchórz!”

Pewne zuchwalstwo w sprawach religijnych zwiększa mir ulicznika. Być niedowiarkiem to rzecz wielkiej wagi.

Asystowanie przy egzekucjach jest obowiązkiem. Ulicznicy pokazują sobie gilotynę i śmieją się. Dają jej różne nazwy: „Ostatni kęsek”, „Burczymucha”, „Niebieska Mama”, itd., itd. Aby nie stracić nic z tego widoku, włączają na mury, wspinają się na balkony, wdrapują się na drzewa, wieszają się krat, czepiają się kominów. Ulicznik rodzi się dekarzem, tak jak rodzi się marynarzem. Dach podobnie jak i maszt nie przeraża go. Żadna uroczystość niewarta jest placu

Greve. Sanson i ksiądz Montes to prawdziwie popularne nazwiska. Wygwizdują skazańca, aby mu dodać odwagi. Podziwiają go niekiedy. Ulicznik Lacemaire, widząc, jak mężnie umiera okropny Dautun, wyrzekł słowa, które były wróżebne: „Zazdrościłem mu.” Ulicznicy nie znają Woltera, ale znają Papavoine'a ; w ich opowieściach występują „polityczni” na równi z mordercami. Lubią sobie opowiadać, jaki był ostatni strój skazańców. Wiedzą, że Tolleron miał czapkę palacza, Avril czapę z wydry, Louvel okrągły kapelusz, że stary Delaporte był łysy i z gołą głową, że Castaing miał rumieńce i był bardzo przystojny, że Bories miał romantyczną bródkę, że Jean-Martin był w szelkach, a Lecouffe spierał się o coś ze swą matką. „A nie kłóćcie się o koszykowe!” — krzyknął do nich jakiś ulicznik. Inny znów, który był mały i ginął w tłumie chcąc zobaczyć przejeżdżającego Debackera, wypatrzył uliczną latarnię i wdrapał się na nią. Żandarm stojący tam na posterunku zmarszczył groźnie brew. „Niech mi pan pozwoli wdrapać się tam, panie żandarmie!” — powiedział ulicznik i aby rozczulić przedstawiciela władzy dodał: — Na pewno nie spadnę!” — „A dużo mnie to obchodzi, czy spadniesz, czy nie” — odparł żandarm.

Każdy niezwykły wypadek ma wśród uliczników wielkie znaczenie. Szczyt poważania osiąga ten, kto skaleczy się głęboko, „aż do kości”.

Pięść to nienajśłabszy argument dla wzbudzenia szacunku.

Ulicznik bardzo lubi mówić: „Ale mam krzepę, co?” Mańkut wzbudza wielką zazdrość. Zezwoty cieszy się ogromnym szacunkiem.

## ROZDZIAŁ VIII

### W KTÓRYM CZYTELNIK ZAPOZNA SIĘ Z UROCZYM ŻARTEM OSTATNIEGO KRÓLA

W lecie ulicznik przemienia się w żabę i wieczorem, nim noc zapadnie, w pobliżu mostu Auisterlitzkiego czy mostu Jeny, z barek węglowych lub z tratw, na których piorą praczki, skacze do Sekwany, naruszając na wszelkie możliwe sposoby przepisy obyczajności i zarządzenia policji. Ale stróże porządku czuwają — i wynika stąd nieraz ogromnie dramatyczna sytuacja, która spowodowała kiedyś pamiętny, braterski okrzyk; okrzyk ten, sławny koło 1830 roku, jest strategicznym ostrzeżeniem ulicznika przez ulicznika; skanduje się on jak wiersz Homera, w kadencji nieuchwytnej jak kadencja eleuzyjskiej melopei podczas Panatenejskich uroczystości i brzmią w nim echa antycznego *Evoe!* A oto on: „Hej, hej! Andrus! Hej! Idą ziandary! Łachy w garść! Wiej przez kanał! Wiecej!”

Czasami ten komar — tak sam siebie nazywa — umie czytać; czasem umie pisać, a zawsze umie gryzmolić. Ulicznicy przekazują sobie, mocą jakiegoś tajemniczego wzajemnego nauczania, wszystkie talenty, które mogą być przydatne w publicznej sprawie: między rokiem 1815 a 1830 naśladowują głos indyka, od roku 1830 do 1848 rysują na murach gruszki. Pewnego letniego wieczora Ludwik Filip, wracając pieszo z przechadzki, zobaczył jakiegoś malca ledwo odrosłego od ziemi, który, wspinając się na palce, mozolnie rysował węglem olbrzymią gruszkę na jednym ze słupów łączących kraty Neuilly. Król z właściwą sobie, odziedziczoną po Henryku IV, jowialnością dopomógł chłopcu skończyć gruszkę i dał mu ludwika ze słowami: „Spójrz i na nim też jest gruszka.” Ulicznik lubi harmider. Podoba mu się stan specyficznego podniecenia. Nie cierpi „proboszczów”. Pewnego dnia jakiś mały hultaj grał na nosie przed bramą numer 69 przy ulicy Uniwersyteckiej. „Dlaczego się tak wykrzywiasz przed tą bramą?” — zapytał go przechodzień. — „A bo tam mieszka proboszcz!” Istotnie mieszkał tam nuncjusz papieski. Niemniej jednak, bez względu na swój wolterianizm, jeśli nadarzy mu się sposobność zostania ministrantem, ulicznik nieraz z niej korzysta i w tym wypadku służy do mszy bardzo poprawnie. Dwie są rzeczy, których — jak Tantal — wiecznie pożąda i nigdy osiągnąć nie może: obalenia rządu i załatania swoich portek.

Ulicznik doskonały zna wszystkich policjantów w Paryżu i gdy którego z nich spotka, potrafi zawsze skojarzyć nazwisko z osobą. Umie wyliczyć ich na palcach. Studiuje ich obyczaje, o każdym z nich wie coś szczególnego. Czyta w duszach policji jak w otwartej księdze. Bez zająknięcia powie ci od razu, „ten jest fałszywy”, „a ten jest bardzo zły”, „tamten jest wielki”, „a tamten znów —

zabawny" (w ustach ulicznika wszystkie te słowa: fałszywy, zły, wielki, zabawny — mają swoje znaczenie). „Ten wyobraża sobie, że Most Nowy należy do niego, i zabrania «ludziom» spacerować po zewnętrznym gzymsie parapetu"; „a tamten ma manię ciągnięcia «człowieka» za uszy", itd., itd.



## ROZDZIAŁ IX

### STARY DUCH GALIJSKI

Coś z tego dziecka miał w sobie Poquelin, syn Hal paryskich; coś z niego miał i Beaumarchais. Urwisostwo to jeden z odcieni galijskiego ducha: w połączeniu ze zdrowym rozsądkiem przysparza mu czasem mocy, jak alkohol dolany do wina. Czasami mu szkodzi. Homer głądzi — zgoda! Można by rzec, że Wolter się łobuzuje. Kamil Desmoulins pochodził z przedmieścia Paryża, Championnet, który tak grubiańsko poczynął sobie z cudami \*, wyrósł na paryskim bruku; jako mały chłopak „podlewał portyki" Św. Jana z Beauvais i Św. Szczepana i dostatecznie spoufalił się z relikwiarzem Św. Genowefy, aby później wydawać irozkazy ampułce z krwią Św. Januarego.

Paryski ulicznik jest pełen szacunku, kpiarstwa i bezczelności. Ma brzydkie zęby, bo źle się odżywia i cierpi na żołądek, i piękne oczy, bo jest inteligentny. W obecności samego Jehowy skakałby na jednej nodze po stopniach wiodących do raju. Celuje w walce na kopniaki. Wszystkie formy wzrostu są mu dostępne; bawi się w rynsztoku i wprost od zabawy idzie na barykady; jego zuchwalstwo ostoi się nawet wobec gradu kartaczy; był łobuziakiem, jest bohaterem. Jak mały Tebańczyk potrząsa skórą lwa; dobosz Bara był ulicznikiem paryskim; woła: „Naprzód!", jak rumak z Pisma świętego wołał: „Wah!" — i w jednej chwili ze smarkacza wyrasta na olbrzymia.

To dziecko rynsztoku jest również dzieckiem ideału. Zmierzcie rozpiętość sięgającą od Moliera do Bara.

Krótko mówiąc, aby wszystko zamknąć w jednym zdaniu — ulicznik to stworzenie, które się bawi, ponieważ jest nieszczęśliwe.

# ROZDZIAŁ X

## ECCE PARIS, ECCE HOMO

Aby raz jeszcze streścić wszystko, powiedzmy, że dzisiaj ulicznicy Paryża — podobnie jak niegdyś *graeculus* w Rzymie — to ludek dziecięcy, mający na czole zmarszczkę starego świata.

Ulicznik to wdzięk narodu, ale zarazem jego choroba. Choroba, którą trzeba uleczyć. Czym? Światłem.

Światło uzdrawia.

Światło zapala.

Wszelkie szlachetne promieniowania społeczne wywodzą się z wiedzy, nauki, sztuki, nauczania. Twórcie ludzi, twórcie ludzi. Oświećcie ich, a oni was ogrzeją. Prędzej czy później, wspaniałe zagadnienie nauczania powszechnego narzuci się z nieodpartą mocą prawdy absolutnej; wówczas ci, którzy będą rządzić pod przewodem myśli francuskiej, staną przed dylematem: dzieci Francji czy ulicznicy Paryża? Płomienie wśród światła czy błędne ogniki wśród mroków?

Ulicznik jest wyrazem Paryża, a Paryż jest wyrazem świata. Albowiem Paryż — to summa, Paryż — to strop rodzaju ludzkiego. Całe to cudowne miasto jest skrótem zwyczajów umarłych i zwyczajów żywych. Kto ogląda Paryż, ma wrażenie, iż ogląda od wnętrza bieg całej historii, a w przerwach — niebo i konstelacje. Paryż ma swój Kapitol — Ratusz, swój Partenon — katedrę Marii Panny, swój Awentyn — przedmieście Św. Antoniego, swoje Asinarium — Sorbonę, swój Panteon — Panteon, swoją Via Sacra — bulwar des Italiens, i swoją Wieżę Wiatrów — opinię; Gemonie zastąpił śmiesznością. Jego *majo* zwie się strojnisiem, mieszkaniec Zatybrza — mieszkańcem przedmieścia, *hammal* tragarzem z Hal, *lazzarone* — łotrzykiem, a *cockney* — fircykiem. Wszystko, co jest gdzie indziej, jest w Paryżu. Handlarka ryb Dumarsaisa odpowiada eurypidesowej zieleniarce, dyskobol Vejanus odradza się w linoskoczku Forioso, żołnierz Terapontygonus spacerowałby pod rękę z grenadierem Vadeboncoeur, Damasippus, kolekcjoner starożytności, czułby się szczęśliwy w naszych antykwariatach. Wrota Vincennes \* zamknęłyby się za Sokratesem zupełnie tak samo, jak portyki Agory uwięziłyby Diderota; Grimod de la Reyniere wynalazł *roastbeef* na łaju, tak jak Kurtiłlus wymyślił pieczonego jeża; w balonie pod łukiem na placu Gwiazdy odnajdujemy trapez znany z Plauta; połykacz mieczy z Portyku Malowanego \* w Atenach, spotykany przez Apuleusza, to

połykacz mieczy z Mostu Nowego; kuzynek Rameau i nierób Kurkulio stanowią dobraną parę; Ergazylus postarałby się, alby go d'Aigrefeuille wprowadził do Cambaceresa; czterej eleganci rzymscy — Alkezymarchus, Fedromus, Diabolus i Argyrippus wyjeżdżaliby z Courtille karetką pocztową Labatut, Aulus Geliusz równie mało poświęcił uwagi roli Kongria jak Karol Nodier — Poliszynelowi. Marton nie jest tygrysią, ale i Pardaliska też nie była smokiem; w kawiarni angielskiej frant Pantolabus nabiera hulakę Nomentanusa; Hermogenes jest tenorem na Polach Elizejskich, a obok niego wyciąga rękę po pieniądze żebrak Trasius, ubrany jak Bobech natręt, który cię łapie w Tuileriach i nie puszcza, trzymając za guzik od surduta, przywodzi na myśl — po dwóch tysiącach lat — apostrofę Thespriona: „*Quis properantem me prehendit pallio?*”; wino z Suresnes nieudolnie naśladuje wino z Alby, a pełna szklanica Desaugiersa równać się może z wielkim pucharem Balatrona; cmentarz Pere-Lachaise poprzez nocny deszcz mży tym samym mdłym blaskiem co Esąquillum, a grób biedaka, zakupiony na pięć lat, niczym się nie różni od wypożyczonej trumny niewolnika.

Poszukajcie czegoś, czego nie miałyby Paryż. W kadzi Mesmera jest to wszystko, co w pieczarze Trofoniusza; Ergafilas odżywa w Cagliostrze; bramin Vasafanta wciela się w hrabiego de Saint-Germain ; na cmentarzu Św. Medarda dzieją się takie same cuda jak w meczecie Umiumie w Damaszku.

Paryż ma swego Ezopa w osobie Mayeux, a Kanidię w osobie panny Lenormand . Przeraża go — podobnie jak przerażał Delfy — oślepiający realizm wizji; Paryż każe wirować stolikoim, jak Dodona trójnogom. Osadza na tronie gryzetskę, jak Rzym sadzał kurtyzanę; i — ostatecznie — jeśli Ludwik XV jest gorszy od Klaudiusza, to pani du Barry lepsza jest od Messaliny. Paryż zespala — tworząc niezwykłego osobnika, który żył i o którego ocieraliśmy się co dzień — nagość grecką, hebrajskie wrzody i żart gaskoński. Łączy Diogenesa, Hioba i Pajaca, ubiera widmo w stare numery „*Constitutionnela*” i wydaje Chodruca Duclos.

Chociaż Plutarch mówi, że „tyran nigdy się nie starzeje” — Rzym zarówno za Sulli, jak i za Domicjana dawał nieraz za wygraną i chętnie dolewał sobie wody do wina. Jeśli dać wiarę nieco doktrynerskiej pochwalie Varusa Vibiscusa — Tybr był Letą: *Contra Gracchos Tiberim habemus. Bibere Tiberim, id est seditionem oblivisci*. Paryż wypija milion litrów wody dziennie, ale nie przeszkadza to, aby w potrzebie bił w werble i dzwonił na alarm.

Lecz poza tym Paryż — to poczciwa dusza. Po królewsku godzi się na wszystko; nie jest wybredny w sprawach miłosnych; jego Wenus to Hotentotka; Paryż rozgrzesza wszystko, co daje mu okazję do śmiechu; brzydota go śmieszy, ułomność rozwesela, występki zaciekawia; bądź zabawny, a możesz być fajdakiem; nie oburza go nawet obłuda, ten szczyt cynizmu; tak jest literacki, że nie zatykasobie nosa przed Bazylem i tyle samo gorszy go modlitwa

Tartuffa, co Horacego oburza „czkawka” Priapa. Żaden rys oblicza świata nie jest obcy fizjonomii Paryża. Bale Mabile’a nie przypominają płasów ku czci Polihymnii na Janiculum, ale i tam mydlarka nie spuszcza wzroku z loretki, podobnie jak rajfurka Stafila dybała na dziewicę Planezjum. Rogatka Combat to nie Koloseum, ale objawia się tam takie okrucieństwo, jak gdyby patrzył na to Cezar. Karczmarka syryjska ma więcej wdzięku niż matka Saguet, ale podobnie jak Wergiliusz włączył się po szynkach Rzymu, tak samo Dawid d’Angers, Balzac i Charlet wysiadali w knajpach paryskich. Paryż króluje. Spalają się tam geniusze, prosperują błazny. Adomai przejeżdża tam na swoim rydwaniu o dwunastu kołach z piorunów i błyskawic; Sylen wjeżdża do niego na swojej oślicy. Sylen — czytajcie Raponneau.

Paryż — to synonim Kosmosu. Paryż — to Ateny, Rzym, Sylbaris, Jeruzalem, Pantin. Wszystkie cywilizacje znajdują się tam w skrócie, całe barbarzyństwo również. Paryż byłby bardzo niezadowolony, gdyby nie miał gilotyny.

Użyteczna to rzecz — mała domieszka placu Greve. Czym byłoby, bez takiej przyprawy, to nieustanne święto? Mądrze zapobiegły temu brakowi nasze prawa i dzięki nim z noża gilotyny krople krwi ściekają na te wieczne zapusty.

# ROZDZIAŁ XI

## DRWIĆ — TO PANOWAĆ

Paryż nie ma granic. Żadne inne miasto nie doszło do takiej potęgi, co kpi sobie nieraz z tych, których ujarzmia. „Podobać się wam, o Ateńczycy!” — wołał Aleksander. Paryż tworzy więcej niż prawo. Tworzy modę. Paryż tworzy więcej niż modę, tworzy przyzwyczajenia. Paryż, jeśli ma taką fantazję, może być głupi; czasem pozwala sobie na ten zbytek; wówczas cały świat głupieje razem z nim; potem Paryż się budzi, przeciera oczy, mówi: „Jakiż jestem niemądry!”, i parska śmiechem prosto w nos rodzajowi ludzkiemu. Cóż to za cud takie miasto! Dziwna rzecz, jak wielkość i śmieszność godzą się tu ze sobą, jak parodia nie po-mniejsza w niczym majestatu, jak te same usta dziś mogą dąć w trąby sądu ostatecznego, a jutro dmuchać w fujarkę. Paryż ma monarszą jowialność. Jego wesołość to grom, jego krotochwila dzierży berło. Jego huragan rodzi się nieraz z pociesznej miny. Jego wybuchy, jego dzień powszedni, jego arcydzieła, cuda, epopeje docierają na kraniec świata; jego brednie również; śmiech jego to krater wulkanu, który obryzguje całą ziemię. Jego błazeństwa — to iskry. Narzuca innym narodom zarówno swoje karykatury, jak i ideał, najślawniejsze pomniki cywilizacji ludzkiej przyjmują zgodnie jego złośliwości i jego żartom użyczają własnej wiecznotrwałości. Paryż jest wspaniały! Ma cudowny -dzień 14 lipca, który wyzwala świat; wszystkim narodom narzuca przysięgę z sali „Gry w piłkę” ; jego noc 4 sierpnia w trzy godziny przekreśla tysiąc lat feudalizmu; ze swojej logiki czyni sprężynę powszechnej woli; uwielokrotnia się pod każdą postacią wzniosłości; napełnia swoim blaskiem Waszyngtona, Kościuszkę, Boliwara, Botzarisa, Riega, Bema, Manina, Lopeza, Johna Browna, Garibaldię; jest wszędzie tam, gdzie rozpłomienia się przyszłość: w 1779 roku w Bostonie, w 1820 roku na wyspie Leon, w 1848 roku w Peszcie, w 1860 roku w Palermo.

Szeptuje przemożne hasło: „Wolność”, do ucha abolicjonistom amerykańskim zebranych przy promie w Harper's Ferry i patriotom z Ankony zgromadzonym nocą w Archi, na brzegu morza przed oberżą Gozzięgo; stwarza Canarisa , stwarza Quirogę , stwarza Pisacana ; promieniuje wielkością na glob ziemski; jego duchem natchniony Byron umiera w Missolonghi, a Mazet w Barcelonie; jest trybuną pod stopami Mirabeau , a kraterem pod stopami Robespierre'a; jego księgi, jego teatr, jego sztuka, nauka, literatura i filozofia są podręcznikami szkolnymi rodzaju ludzkiego; ma Pascala, Regniera , Cormeille'a, Kartezjusza, Jana Jakuba, Woltera na każdą chwilę, a Moliera po wszystkie wieki; cały świat mówi jego językiem i ten język staje się Słowem; we wszystkich umysłach kształtuje ideę postępu; dogmaty niosące wolność, jakie wykuwa, stają się

hasłem, w imię którego walczą całe pokolenia; z ducha jego poetów i myślicieli wywodzą się od 1789 roku wszyscy bohaterowie wszystkich narodów; to nie przeszkadza mu łobuzować się. I ten potężny geniusz, zwany Paryżem, który przekształca cały świat swoim blaskiem, rysuje również węglem na ścianie świątyni Tezeusza nos Bouginiera, a na piramidach pisze: „Credeville jest złodziejem!”

Paryż zawsze pokazuje zęby; jeśli nie w gniewie, to w uśmiechu.

Taki już jest ten Paryż! Dymy nad jego dachami to idee świata. Stos kamieni i błota! Być może. Ale przede wszystkim — duch. Jest więcej niż wielki — jest olbrzymi! Dlaczego? Dlatego że ma odwagę.

Mieć odwagę — oto cena postępu.

Wszelkie wzniosłe zwycięstwa są, w mniejszym czy większym stopniu, zapłatą za śmiałość. Aby wybuchła rewolucja, nie wystarczy, żeby Monteskiusz ją przeczuł, Diderot głosił, Beaumarchais obwieszczał, Condorcet obliczał, Arouet przygotowywał, Rousseau przemyślał — trzeba, aby Danton się na nią odważył!

Okrzyk „Odwagi!” to *Fiat Lux!* Rodzaj ludzki, aby iść naprzód, musi mieć nieustannie na szczytach dumne przykłady męstwa. Zuchwalstwa olśniewają historię i są jednym z wielkich światła człowieka. Jutrzenka wschodząca na niebie to akt odwagi. Próbować, stawiać czoło, trwać, wytrwać, być wiernym samemu sobie, brać się z losem za bary, zadziwić klęskę, że tak niewiele strachu w nas budzi, raz przeciwstawiać się niesprawiedliwej władzy, raz lżyć upojone zwycięstwo, nie ugiąć się, nie ustąpić z pola — oto przykład niezbędny dla narodów, oto światło, które je elektryzuje.

Ta sama potężna błyskawica przechodzi od pochodni Prometeusza do fajeczki Cambronne'a.

## ROZDZIAŁ XII

### PRZYSZŁOŚĆ UTAJONA W LUDZIE

Jeśli zaś chodzi o lud paryski, to zawsze — nawet osiągnąwszy wiek męski — pozostaje on ulicznikiem; odmalowując dziecko — malujemy miasto; dlatego właśnie badaliśmy tego orła w tym wolnym wróbelku.

Rasa paryska, podkreślamy to z naciskiem, występuje głównie na przedmieściach: tam ma czystą krew, tam ukazuje prawdziwą twarz; tam lud pracuje i cierpi, a praca i cierpienie — to dwa oblicza człowieka. Tam znajduje się nieprzeliczona mnogość istot nieznanych, wśród której roją się najosobliwsze typy, od tragarza z la Rapee aż po oprawcę z Montfaucon . *Fex urbis* — woła Cycero; *mob* — dodaje oburzony Burke . Motłoch, ciżba, pospólstwo. Łatwo powiedzieć te słowa Niech tam. Jakież to ma znaczenie? Cóż mnie to obchodzi, że ludzie ci chodzą boso? Nie umieją czytać; trudno. Czy dlatego pozostawicie ich własnemu losowi? Czy niedolę ich uczynicie przekleństwem? Czy światło nie może przeniknąć tych mas? Powróćmy do okrzyku: „Światła!”, i powtarzajmy go uparcie! Światła! Światła! Kto wie, czy te nieprzeniknione mroki nie staną się przejrzyste? Czyż rewolucje nie są przemianami? Nuże, filozofowie! Nauczajcie, oświecajcie, zapalajcie, myślcie głośno, mówcie głośno, biegnijcie radośni ku jasnemu słońcu, zbratajcie się z ulicą, głoście dobre nowiny, rozdawajcie elementarze, ogłaszajcie prawa, śpiewajcie Marsylianki, siejcie entuzjazm, zrywajcie zielone gałęzie dębu. Z myśli uczynicie zawieruchę! Ten tłum może być wzniosły. Nauczmy się posługiwać tym ogromnym płomieniskiem zasad i cnót, które niekiedy tryska iskrami, bucha płomieniem i dygoce. Te bose nogi, te nagie ramiona, te łachmany, ta ciemnota, to upodlenie, te mroki mogą być użyte w walce o ideał. Spójrzcie w lud, a ujrzyte prawdę. Rzućcie w piec ten nędzny piach, który deptacie stopami, niech się tam przetopi i wzburzy, a stanie się przepięknym kryształem — dzięki niemu Galileusz i Newton odkryją gwiazdy.

## ROZDZIAŁ XIII

### MAŁY GAVROCHE

W osiem czy dziewięć lat po zdarzeniach opisanych w drugiej części tej opowieści na bulwarze Tempie i w okolicy Chateau-d'Eau można było zauważyć małego chłopca, liczącego około dwunastu lat, który dość wiernie odpowiadałby nakreślonemu powyżej typowi łobuziaka, gdyby mimo dziecięcego uśmiechu na ustach, serce jego nie było zupełnie mroczne i puste. Ten chłopak był cudacznie ubrany w spodnie dorosłego mężczyzny, ale nie otrzymał ich od ojca, i w kaftanik kobiecy, ale nie otrzymał go do matki. Jacyś obcy ludzie z litości przyodziali go w łachmany. Miał jednak ojca i matkę. Ale ojciec nie troszczył się o niego, a matka nie kochała wcale. Było to jedno z tych dzieci, godnych szczególnego współczucia, co mają ojca i matkę i są sierotami.

Chłopiec ten nigdzie nie czuł się tak dobrze jak na ulicy. Bruk nie był dla niego tak twardy jak serce matki.

Rodzice kopniakiem wypchnęli go w świat.

Po prostu rozpoczął samodzielne życie.

Był to chłopak hałaśliwy, blady, żwawy, rozgarnięty, kpiarz, z wyglądu bystry i chorowity. Biegał to tu, to tam, śpiewał, grał w guziki, grzebał w rynsztokach, kradł trochę, ale tak jak wróble i koty, na wesoło, śmiał się, gdy nazywano go wisusem, gniewał się, gdy nazywano go hultajem. Nie miał dachu nad głową, nie miał chleba, nie miał ogniska domowego, nie miał miłości; a jednak był wesoły — bo był wolny.

Gdy te nieszczęsne istoty dorosną, prawie zawsze chwyta je w tryby machina społeczna i miażdży, ale dopóki są dziećmi, wymykają się jej. Są małe, najmniejsza szparka jest dla nich ratunkiem.

Chociaż chłopak ten był tak opuszczony, zdarzało się jednak raz na parę miesięcy, że mówił: „No, idę do mamy”. Wtedy opuszczał bulwar, Cyrk, Bramę Św. Marcina, zbiegał na nadbrzeżne bulwary, przechodził mosty, dochodził do przedmieść, mijał Salpetriere i zatrzymywał się — gdzie? Właśnie przed owym podwójnym numerem 50—52, który czytelnik już zna — przed ruderał Gorbeau.

W owym czasie ruderał tę, zazwyczaj pustą i ozdobioną wiecznemi tabliczką z napisem: „Pokoje do wynajęcia”, zamieszkiwało — rzecz rzadka — kilka osób, których zresztą, jak to zwykle bywa w Paryżu, nie łączyły żadne więzy ani żadne



stosunki. Wszyscy należeli do tej ubogiej warstwy, która zaczyna się od najbiedniejszego mieszczanina, borykającego się z trudnościami materialnymi i sięgając od nędzy do nędzy aż do samego dna społeczności, kończy się na owych dwóch istotach, na których wyczerpuje się wszelka materialna strona cywilizacji: na zamiataczu ulic zgarniającym błoto i gałganiarzu zbierającym szmaty.

„Główna lokatorka” z czasów Jana Valjean umarła, miejsce jej zajęła inna, zupełnie do niej podobna. Nie wiem, jaki to filozof powiedział: „Nie brakuje nigdy starych bab.”

Ta nowa starucha nazywała się pani Burgon i — poza dynastią trzech papug, królujących kolejno w jej sercu — życie jej nie przedstawiało nic godnego uwagi.

Spośród mieszkańców rudery najnędzniejszą była rodzina składająca się z czterech osób: ojca, matki i dwóch dorastających córek, zamieszkująca jedną norę, jedną z tych klitek, o których już mówiliśmy. Rodzina ta, poza wyjątkowym ubóstwem, nie odznaczała się na pierwszy rzut oka niczym szczególnym. Wynajmując pokój, ojciec powiedział, że nazywa się Jondrette. W jakiś czas po przeprowadzce, która — posłużymy się tu pamiętnym określeniem głównej lokatorki — dziwnie była podobna do wprowadzenia się „wielkiego nic”, Jondrette rzekł do owej kobiety, która — jak jej poprzedniczka — była również odźwierną i zamiatała schody: „Matko, jeżeli przypadkiem kto zapyta o Polaka, Włocha lub może Hiszpana — ja nim jestem!”

Ta rodzina była rodziną naszego małego, wesołego obdartusa. Przychodził tu i odnajdywał biedę, nędzę i — co najsmutniejsze — ani jednego uśmiechu. Zimne palenisko i zimne serca. Kiedy wchodził, pytano go: „Skąd przychodzisz?” — Odpowiadał: „Z ulicy!” Kiedy odchodził, pytano go: „Dokąd idziesz?” — Odpowiadał: „Na ulicę!” Matka mówiła mu: „Po coś tu przyszedł?”

Dziecko to żyło pozbawione jakiegokolwiek uczucia, jak te blade rośliny, które wyrastają w piwnicy. Nie bolało nad tym i nie miało żalu do nikogo. Właściwie nie wiedziało, jacy powinni być ojciec i matka.

Zresztą matka kochała jego siostry.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że na bulwarze Tempie zwano tego chłopca małym Gavroche. Dlaczego nazywał się Gavroche? Prawdopodobnie dlatego, że jego ojciec nazywał się Jondrette.

Wydaje się, że pewne biedne rodziny instynktownie zrywają wszelkie nici.

Izba, którą zamieszkiwała rodzina Jondrette w ruderze Gorbeau, mieściła się na

samym końcu korytarza. Sąsiedni pokój zajmował bardzo ubogi młodzieniec, zwany panem Mariuszem.

Powiedzmy, kim był pan Mariusz.

# KSIĘGA DRUGA

## PATRYCJUSZ

### ROZDZIAŁ I

#### DZIEWIĘDZIESIĄT LAT I TRZYDZIEŚCI DWA ZĘBY

Wśród osób zamieszkujących od dawna ulicę Boucherat, ulicę Normandzką i ulicę Saintonge są jeszcze do dziś tacy, co pamiętają jegomościa nazwiskiem Gillenormand i chętnie o nim mówią. Jegomość ten był już stary, kiedy oni byli młodzi. Dla tych, co z melancholią wpatrują się w to mgliste kłębowisko cieni, które się zwie przeszłością, postać jego nie znikła jeszcze całkowicie z labiryntu uliczek sąsiadujących z Tempie, obdarzonych za Ludwika XIV nazwami wszystkich prowincji francuskich, zupełnie tak samo, jak za naszych czasów ulicom nowej dzielnicy Tivoli nadano nazwy wszystkich stolic europejskich; wtrąćmy mimochodem, że w tym postępowaniu widać postęp.

Pan Gillanormand, który w roku 1831 cieszył się najlepszym zdrowiem, należał do ludzi budzących ciekawość dla tej jednej przyczyny, że żyją tak długo; którzy tym się wyróżniają, że niegdyś byli podobni do wszystkich, a dziś nie są już podobni do nikogo. Był to starzec niezwykły, w całym tego słowa znaczeniu człowiek innego stulecia, prawdziwy, w każdym calu, typ nieco wyniosłego *bourgeois* z XVIII wieku, który swą starodawną godność patrycjusza miejskiego obnosił tak, jak hrabia tytuł hrabiowski. Pan Gillenormand przekroczył już dziewięćdziesiątkę, trzymał się prosto, mówił donośnie, świetnie widział, tego pił, jadł, spał i chorował. Miał trzydzieści dwa zęby. Okulary nakładał jedynie do czytania. Z usposobienia kochliwy, mówił jednak, że od dziesięciu lat wyrzekł się nieodwołalnie kobiet. „Nie podobam się już — powiadał, lecz nie dodawał: — bo jestem za stary — lecz — bo jestem za biedny. Gdybym nie był zrujnowany, to... ho! ho!” — mówił. Istotnie, zostało mu zaledwie około piętnastu tysięcy liwrów dochodu. Marzył o tym, aby otrzymać spadek i mieć sto tysięcy franków renty i kochanki. Nie należał, jak widzimy, do tych cherlawych osiemdziesięciolatków, którzy, jak pan de Voltaire, kwękają przez całe życie; nie była to długowieczność nadtłuczonego garnka; ten chwacki starzec nigdy nie chorował. Powierzchowny, impetyk, łatwo unosił się gniewem. Grzmiał i piorunował o byle co, najczęściej wbrew oczywistej słuszności. Gdy mu kto przeczył, podnosił laskę; bił służbę jak w czasach wielkiego wieku. Miał córkę, przeszło pięćdziesięcioletnią starą pannę, którą mocno poszturchiwał, kiedy wpadał w złość, i chętnie byłby oćwiczył. Zdawało mu się, że ma osiem lat. Policzkował służbę, wołając: „A ścierwo jedne!” Ulubionym jego przekleństwem

było: „Do kroćset tysięcy par butów!” Objawiał niekiedy zadziwiający spokój; kazał się co dzień golić golibrodzie, który miał ataki szału i nie cierpiał pana Gillenormand, bo był zazdrosny o swoją żonę, urodziwą, zalotną kobietkę. Pan Gillenormand wysoko cenił swój sąd w każdej sprawie i miał się za bardzo przenikliwego; oto jedno z jego powiedzeń: „Nie barak mi bystrości, doprawdy! Kiedy mnie ugryzie pchła, potrafię powiedzieć, z jakiej kobiety na mnie przeskoczyła!” Najczęściej wypowiadał słowa: „człowiek czuły” i „natura”. Tego ostatniego słowa nie używał zresztą w tym szerokim znaczeniu, jakie mu nadała nasza epoka. Ale wtrącał je — na swój sposób — do sarkastycznych historyjek, opowiadanych przy kominku: „Aby cywilizacja miała wszystkiego po trosze — mówił — natura obdarzyła ją uciesznymi okazami barbarzyństwa. Europa ma — w zmniejszonym formacie — okazy tego, co jest w Afryce i w Azji. Kot to salonowy tygrys, jaszczurka — to krokodyl w kieszonkowym wydaniu. Baletniczki z Opery — to różowolice dzikuski. Nie zjadają ludzi, ale łupią z nich skórę. Albo też, czarodziejki, zamieniają ich w ostrygi i połykają! Ludożercy zostawiają tylko kości, one zostawiają pustą skorupkę. Takie są nasze obyczaje! My nie pożeramy, ale obgryzamy; nie mordujemy, ale drapiemy.”

## ROZDZIAŁ II

### JAKI PAN — TAKI KRAM

Pan Gillenormand mieszkał w dzielnicy Bagno, przy ulicy Panien Kalwaryjskich pod numerem 6. Dom należał do niego. Dom ten został zburzony i odbudowany na nowo, a i numer jego zapewne uległ zmianie wśród rewolucji w numeracji domów, jakie przeżywają ulice Paryża. Pan Gillenormand zajmował obszerne, staroświeckie mieszkanie na pierwszym piętrze, między ulicą a ogrodami, obite aż po sufit wielkimi tkaninami z Gobelins i Beauvais, przedstawiającymi sceny pasterskie; postacie z sufitów i ścian powtarzały się w pomniejszeniu na obiciu foteli. Łóżko osłaniał szerokim, dziewięcioskrzydłowym parawanem z koromandelskiej laki. Obfite, długie zasłony wisały w oknach, układając się w bardzo okazałe, głębokie fałdy. Ogród, leżący tuż pod oknami, łączyły z oszklonymi, narożnymi drzwiami schody o kilkunastu stopniach, po których nasz jegomość wbiegał i zbiegał bardzo szybko. Poza biblioteką, przyległą do sypialni, miał buduar, który szczególnie lubił, dość frywolny zakątek obity wspaniałą tkaniną koloru słomki, tkaną w lilie i inne kwiaty, wykonaną za panowania Ludwika XIV na galerach. Obicie to pan de Vivonne zamówił u swoich galerników dla swojej kochanki. Pan Gillenormand odziedziczył je po jakiejś straszliwej ciotecznej babce po kądzieli, zmarłej w wieku lat stu. Żonaty był dwa razy. Jego sposób bycia był czymś pośrednim między manierami dworaka, którym nigdy nie był, i sadownika, którym mógł być zostać. Kiedy chciał, był wesoły i ujmujący. Za młodu należał do tych mężczyzn, których zawsze zdradza żona, a nigdy kochanka, są bowiem najbardziej nieznośnymi mężami, a najmiłszymi z kochanków. Znał się na malarstwie. Miał w swoim pokoju cudowny portret Jordaensa przedstawiający nie wiadomo kogo, malowany szerokimi pociągnięciami pędzla, z tysiącem szczegółików nagromadzonych bezładnie i jakby od niechcenia. Pan Gillenormand nie nosił stroju z czasów Ludwika XV ani nawet Ludwika XVI; ubierał się tak jak eleganci za Dyrektoriatu. Do tego okresu bowiem uważał się za zupełnie młodego i stosował do mody. Nosił frak z cienkiego sukna o szerokich klapach, długich połach i dużych, metalowych guzikach, krótkie spodnie i trzewiki ze sprzączkami. Ręce zawsze wsadzał w kieszonki od kamizelki. Zwykł być mawiać z powagą: „Rewolucja Francuska to zgraja nicponi.”

## ROZDZIAŁ III

### LUC-ESPRIT

Gdy miał szesnaście lat, dostąpił pewnego wieczoru w Operze nie lada zaszczytu, bo Camargo i Salle, dwie dojrzałe i sławne piękności, opiewane przez Woltera, lornetowały go równocześnie. Wzięty w dwa ognie, wykonał bohaterski odwrót do małej baletniczki, zwanej Nahenry, która miała tak jak on szesnaście lat, była nieznana jak mysz, a w której był zakochany. Wspomnień miał mnóstwo. „Ależ śliczna była ta szelmutka Guimard, kiedym ją ostatni raz widział w Longchamps, z fryzurką ułożoną w trwałe uczucia, z wyzywającym naszymi z turkusów przy sukni koloru parweniuszy i mufeczką z podniecenia.” Jako młody chłopak miał kurtkę od Nain-Londrin, o której mówił chętnie i z wylewnością: „Ubrany byłem niczym prawdziwy Turek z lewentyńskiego Lewantu!” Pani de Boufflers, zobaczywszy go przypadkiem, kiedy miał dwadzieścia lat, nazwała go „czarującym lekkoduchem”. Gorszyły go wszystkie nazwiska, które napotykał w polityce i na wysokich urzędach, bo znajdował, że są gminne i mieszczańskie. Czytał dzienniki, „te nowe świstki, te gazety” — jak mówił, tłumiąc wybuchy śmiechu. „A cóż to za ludzie?! — wołał. — Corbiere ! Hurmann ! Kazimierz Perier ! I to jest ministrem. Wyobrażam sobie taką rzecz w dzienniku: «Pan Gillenormand, minister.» Toż dopiero byłaby komedia! Ale to tacy durnie — że i to by uszło!” Beztrosko nazywał każdą rzecz imieniem właściwym — lub zgoła niewłaściwym — nie krępując się obecnością kobiet. Najgorsze grubiaństwa, plugastwa i bezeceństwa wypowiadał bez wzruszenia, tonem wykluczającym zdziwienie, który uchodził za elegancki. Była to bezceremonialność właściwa jego epoce. Należy zaznaczyć, że okres subtelnych omówień w poezji był okresem soczystych powiedzeń w prozie. Jego ojciec chrzestny przepowiedział, że będzie on genialnym człowiekiem i dał mu te dwa wiele mówiące imiona: Loic-Esprit.

## ROZDZIAŁ IV

### KANDYDAT NA MATUZALEMA

W dzieciństwie pan Gillenormand dostawał nagrody w kolegium w Mouiins, swoim rodzinnym mieście, i otrzymał nawet wieniec z rąk księcia Nivernais, którego nazywał księciem de Nevers. Ani Konwent, ani śmierć Ludwika XVI, ani Napoleon, ani powrót Burbonów, nic nie zdołało zatrzeć tego wspomnienia. Księżę de Nevers był dla niego najwybitniejszą postacią stulecia. „Cóż to za uroczy wielki pan — mówił — i jak dostojnie wyglądał z wielką orderową wstęgą!” Katarzyna II okupiła, w oczach pana Gillenormand, zbrodnię rozbioru Polski, płacąc Bestużewowi trzy tysiące rubli za tajemnicę eliksiru złota. Mówiąc o tym, ożywiał się. „Eliksir złota! — wołał. — Żółta tynktura Bestużewa, krople generała Lamotte! To było w osiemnastym wieku, flakon półuncyjowy za jednego ludwika, najlepsze lekarstwo na zawody miłosne, lek uniwersalny na rany Amora. Król Ludwik XV dwieście takich flakonów posłał papieżowi.” Rozzłościłby się strasznie i wyszedł z równowagi, gdyby mu ktoś powiedział, że ów eliksir złota był po prostu nadchlorkiem żelaza. Pan Gillenormand uwielbiał Burbonów, a nienawidził 1789 roku; opowiadał niezliczone razy, jak uratował się podczas terroru i że tylko jego dobry humor i spryt pozwoliły mu ocalić głowę. Jeśli jakiś młody człowiek ośmielił się w jego obecności pochwalić republikę, pan Gillenormand siniał i złościł się tak, że niemal tracił przytomność. Niekiedy robił aluzję do swoich dziewięćdziesięciu lat i mówił: „Mam nadzieję, że nie będę dwa razy oglądał dziewięćdziesiątego trzeciego roku.” Kiedy indziej dawał do zrozumienia, że zamierza żyć lat sto.

# ROZDZIAŁ V

## BASK I NIKOLETA

Miał swoje teorie. Oto jedna z nich: „Kiedy mężczyzna namiętnie kocha kobiety, a ma żonę, o którą wcale nie dba, szpetną, przykrą, prawowitą, pełną uroszczeń, obkutą w kodeksie i w razie czego zazdrosną, to w jeden tylko sposób może się od niej wykręcić i mieć święty spokój: zostawić jej zarząd kasą. To ustępstwo daje wolność. Żona ma wtedy zajęcie, zapala się do obracania pieniędzmi, zieleni sobie o miedziaki palce, bierze się do pouczania dzierżawców i musztrowania gospodarzy, zwołuje adwokatów, czuwa nad notariuszami, narzuca swoje zdanie rejentom, odwiedza żony sędziów, biega na procesy, układa umowy, dyktuje kontrakty, czuje się wszechwładną panią, sprzedaje, kupuje, reguluje, rządzi się jak szara gęś, obiecuje i nie dotrzymuje, zaciąga zobowiązania i zrywa kontrakty, zawiera układy, przeszkadza układom, udziela cesji, odbiera, znów udziela, ciuła pieniądze, trwoni pieniądze, robi głupstwa — najwyższe szczęście osobiste — a to pociesza. Mąż nią wzgardził, ona ma satysfakcję, że go rujnuje.” Pan Gillenormand zastosował tę teorię do siebie i stała się ona jego własną historią. Żona, druga z kolei, tak gospodarowała jego majątkiem, że kiedy pan Gillenormand owdowiał pewnego pięknego dnia, zostawało akurat tyle pieniędzy, aby żyć; umieścił prawie całą tę sumę na dożywociu, otrzymując piętnaście tysięcy franków renty, z których trzy czwarte wygasało wraz z jego śmiercią. Nie zastanawiał się ani chwili, nie dbając o to, aby zostawić po sobie dziedzictwo. Widział zresztą, że ojcowizny przechodziły różne koleje i na przykład przemieniały się w „dobra narodowe”; napatrzył się na metamorfozy pożyczki skonsolidowanej i niewiele miał zaufania do Głównej Księgi

Długów Państwowych. „Zawracanie głowy te wasze banki!” — mówił. Dom na ulicy Panien Kalwaryjskich, mówiliśmy już o tym, był jego własnością. Pan Gillenormand miał dwoje służby, rodzaju męskiego i żeńskiego. Przyjmując nowego służącego, musiał go zawsze przechrzcić. Mężczyznom nadawał imiona od prowincji, z której byli rodem: Pikardyjczyk, Bretończyk, Burgundczyk itd. Ostatnim jego służącym był pięćdziesięcioletni grubas, dychawiczny i ledwo powłóczący nogami, który nie ubiegłby i dwudziestu kroków, ponieważ jednak pochodził z Bayonny, więc pan Gillenormand nazwał go szybkonogim Baskiem. Każda zaś służąca zwała się u niego Nikoletą (nawet owa Magnon, o której później będzie mowa). Pewnego razu zgłosiła się do niego kucharka, osoba godna, mistrzyni w swoim zawodzie, wywodząca się z dumnego rodu odźwiernych. „Ile chcecie dostawać miesięcznie?” — zapytał ją pan Gillenormand. — „Trzydzieści franków.” — „Jak wam na imię?” — „Olimpia.” —



„Dostaniesz pięćdziesiąt franków i będziesz się nazywać Nikoletą.”

## ROZDZIAŁ VI

### TO KTÓRYM SPOTYKAMY PO RAZ PIERWSZY MAGNON I JEJ PRZYCHÓWEK

Ból pana Gillenormand wyrażał się gniewem: wściekał się, że jest smutny. Hołdował wszelkim przesądom i pozwalał sobie na wszelkie 'wybryki. Podkreślał swoim wyglądem zewnętrznym i cieszył się tym w duchu, co zaznaczyliśmy już powyżej, że pozostał nadal kobieciarzem", i zdecydowanie chciał za takiego uchodzić. Nazywał to „królewską reputacją". Ta królewska reputacja ściągała na niego czasami osobliwe niespodzianki. Pewnego dnia przyniesiono mu w koszyku, niczym w koszu na ostrygi, noworodka, tęgiego chłopaka drącego się wniebogłosy i starannie owiniętego w powijaki. Wypędzona przed pół rokiem służąca pomawiała pana Gillenormand o ojcostwo. Pan Gillenormand miał wówczas swoje osiemdziesiąt cztery lata. Otoczenie zawrzało głośnym oburzeniem. Kogóż ta bezczelna hultajka chce wziąć "na kawał? Co za zuchwalstwo! Co za niegodziwa potwarz! Pan Gillenormand zaś nie gniewał się bynajmniej. Popatrzył na niemowlę z dobrodusznym uśmiechem człowieka, któremu oszczerstwo mile pochlebiało, i rzekł tak głośno, aby go wszyscy słyszeli: „Więc cóż? O co chodzi? Co się stało? Dziwicie się, prawdę mówiąc, jak jacyś nieokrzeszańcy. Jaśnie oświecony książę d'Angouleme, bastard jego królewskiej mości Karola IX, mając lat osiemdziesiąt pięć, poślubił piętnastoletnią gąskę; pan Virginal, markiz d'Alluye, brat kardynała de Sourdis arcybiskupa Bondeaux, miał w wieku lat osiemdziesięciu trzech syna z pokojową, pani prezydentowej Jacquin, prawdziwe dziecko miłości, syn ten został portem kawalerem maltańskim i radcą stanu; jeden z wielkich ludzi naszego stulecia, ksiądz Tarabaud, jest synem osiemdziesięciosiedmioletniego człowieka. To najzwyczajsze w świecie rzeczy! A Biblia! Co powiedziawszy, oświadczam, że ten młodzieniec nie jest moim synem. Proszę o niego dbać. To nie jego wina!" Było to bardzo dobrotliwe załatwienie sprawy. Dziewczyna ta, imieniem Magnon, przysłała mu jeszcze jeden upominek w rok potem. Był to znowu chłopak. Tym razem pan Gillenormand skapitulował. Oddał matce obu malców, zobowiązując się wpłacać na ich utrzymanie osiemdziesiąt franków miesięcznie, pod warunkiem, że wyżej wymieniona matka na tym poprzestanie. Dodał przy tym: „Życzę sobie, żeby matka traktowała ich dobrze. Od czasu do czasu będę ich odwiedzał." Co też i robił. Pan Gillenormand miał brata, księdza, który był przez trzydzieści trzy lata rektorem akademii w Poitiers i umarł mając siedemdziesiąt dziewięć lat. „Odumarł mnie młodo" — mówił pan Gillenormand. Brat 6w, po którym zostało niewiele wspomnień, był spokojnym skąpcem, który uważał, że jako ksiądz powinien wspomagać jałmużną

napotykanym biedaków, ale dawał im zawsze groszaki wytarte albo wyszłe z obiegu, wynajdując sposób, aby drogą wiodącą do raju dojść do piekła. Pan Gillenormand starszy nie skąpił jałmużny: dawał ją chętnie i po pańsku. Z natury życzliwy ludziom, szorstki i miłosierny, gdyby był bogaty, miałby skłonność do wystawnego życia. Chciał, aby wszystko, co go tyczyło, było robione z rozmachem, nawet szacherki. Gdy w jakiejś sprawie spadkowej pełnomocnik okradł go w sposób oczywisty i ordynarny, zawołał z godnością: „A fe! Jak to po partacku zrobione! Doprawdy, wstyd mi takich matactw! Wszystko schodzi na psy w naszych czasach, nawet szelmy. Do kroćset! Nie w ten sposób należy okradać takiego człowieka jak ja. Obrabowano mnie, jak w ciemnym lesie, ale obrabowano niezręcznie. «*Silvae sint consule dignae!*». Mówiliśmy już, że był dwukrotnie żonaty. Z pierwszą żoną miał córkę, która nie wyszła za męża, z drugą również córkę, zmarłą około trzydziestego roku życia. Córka ta z miłości, z przypadku czy też z innej przyczyny poślubiła żołnierza, który walczył w armiach republiki i cesarstwa, dostał krzyż pod Austerlitz, a pod Waterloo został mianowany pułkownikiem. „Zakała rodziny” — mówił o nim stary *bourgeois*. Zażywał dużo tabaki i z nieporównanym wdziękiem strzepywał dłońią swój koronkowy żabot. Nie bardzo wierzył w Boga.

## ROZDZIAŁ VII

### ZASADA: WIZYTY MOŻNA PRZYJMOWAĆ TYLKO WIECZOREM

Takim był pan Luc-Esprit Gillenormand, który nie stracił żadnego włosa z czupryny, raczej szpakowatej niż siwej i zawsze zaczesanej na uszy według mody Dyrektoriatu. Ogólnie biorąc, postać — mimo wszystko — czcigodna. Miał w sobie coś z osiemnastego wieku: był płochy i wielki. W pierwszych latach Restauracji pan Gillenormand, podówczas jeszcze młody — w roku 1814 miał zaledwie siedemdziesiąt cztery lata — mieszkał na przedmieściu Saint-Germain, niedaleko kościoła Św. Sulpicjusza, przy ulicy Servandoni. Dopiero wówczas, kiedy już dobrze przekroczył osiemdziesiątkę, wycofał się z życia światowego i przeniósł na Bagno.

Wycofawszy się z życia, zasklepił się w swoich przyzwyczajeniach. Trzymał za dnia drzwi w domu zamknięte, a wizyty, bez względu na to, kto go odwiedzał i w jakiej sprawie, przyjmował jedynie wieczorem — to była jego główna i niezmienna zasada. O godzinie piątej jadł obiad, po czym dom jego otwierał się dla gości. Taka była moda jego epoki i za żadną cenę nie chciał od niej odstąpić. „Dzień to hołota — mawiał — i zasługuje tylko na zamknięte okiennice. Przyzwoci ludzie błyszczą dowcipem, gdy u zenitu rozbłyskują gwiazdy.” I zamykał się na cztery spusty, przed wszystkimi, nawet przed królem. Staroświecka elegancja jego czasów.

## ROZDZIAŁ VIII

### DWOJE LUDZI NIE ZAWSZE STANOWI PARĘ

Przed chwilą wspomnieliśmy o córkach pana Gillenormand. Dzielili je różnica dziesięciu lat. W młodości mało były do siebie podobne, zarówno z charakteru, jak i twarzy nie wyglądały wcale na siostry. Młodsza była to urocza istota, rwąca się do wszystkiego, co świetlane, zajęta kwiatami, poezją i muzyką, ulatująca w promienne przestworza, eteryczna, pełna entuzjazmu, od dzieciennych lat zaręczona w marzeniu z jakąś mglistą postacią bohatera. Starsza też miała swoje rojenia: oto z błękitów wyłaniał się ku niej jakiś kupiec, jakiś poczciwy, gruby i bardzo bogaty dostawca wojskowy, mąż idealnie głupi, milion w postaci mężczyzny; albo znów prefekt: przyjęcia w prefekturze, w przedpokoju woźny z łańcuchem na szyi, oficjalne bale, przemówienia na merostwie, tytuł „pani prefektowej” — wszystko to wirowało w jej wyobraźni. I tak za swych dziewczęcych lat obydwie siostry zatapiały się, każda w swoim marzeniu. Obie miały skrzydła: jedna anioła, druga — gęsi.

Żadne pragnienie nie ziszcza się całkowicie, na tym padole przynajmniej. W epoce, w jakiej żyjemy, żaden raj nie zstępuje na ziemię. Młodsza poślubiła mężczyznę ze swoich snów, ale umarła. Starsza nie wyszła za mąż.

W chwili gdy pojawiła się ona w historii, którą opowiadamy, jest to podstarzała cnota, skromnista nieczuła na żadne pokusy; najostrzejszy nos i najtępszy umysł, jaki można napotkać. Szczegół charakterystyczny: nikt poza najbliższą rodziną nie znał jej imienia. Nazywano ją: „starsza panna Gillenormand”.

Pod względem, pruderii starsza panna Gillenormand nie ustępowała angielskiej *miss*. Była to skromność posunięta do ostatecznych granic. Panna Gillenormand miała jedno, straszliwe wspomnienie: jakiś mężczyzna widział kiedyś jej podwiązkę.

Wiek pogłębił jeszcze tę bezlitosną wstydlivość. Uważała, że jej stanik zawsze jest zbyt przezroczysty i nigdy nie dochodzi dość wysoko pod szyję. Przypinała mnóstwo agrafek i szpilek tam, gdzie nikomu nie śniło się patrzeć. Taka już jest właściwość pruderii — tym pilniej strzec, im twierdza jest mniej zagrożona.

A jednak niech ten, kto potrafi, wytłumaczy odwieczne tajemnice dusz niewinnych: panna Gillenormand bez przykrości pozwalała się całować pewnemu oficerowi lansjerów, który był jej ciotecznym wnukiem i nazywał się Teodul.

Pomimo tego ulubieńca lansjera, etykieta, pod którą ją zaklasyfikowaliśmy — skromnisa — odpowiadała jej najzupełniej. Panna Gillenormand była jakąś zmierzchającą duszą. Pruderia jest pół-cnotą i półwystępkiem.

Z pruderią łączyła bigoterię, podszewkę istotnie dobraną. Należała do sodalicii mariańskiej, nosiła biały welon w niektóre święta, mamrotała specjalne modlitwy, czciła „Najświętsze Serce”, wielbiła „Najświętsze Rany.”, w kaplicy, zamkniętej dla zwykłych wiernych, godzinami trwała w kontemplacji przed rokokowojezuickim ołtarzem, a dusza jej wlatywała między obłoczki z marmuru i wielkie promienie z połączanego drzewa.

Miała przyjaciółkę z kościoła, starą pannę jak i ona, zwaną panną Vaubois, kompletnie zidiociała, w towarzystwie której panna Gillenormand miała tę satysfakcję, że czuła się orłem. Poza *Agnus Dei* i *Ave Maria* panna Vaubois umiała tylko na różne sposoby smażyć konfitury. Panna Vaubois, doskonałość w swoim rodzaju, była wcieleniem głupoty, niepokalanej jak biel gronostaja, nieskażonej żadną plamką inteligencji.

Powiedzmy to: starzejąc się, panna Gillenormand raczej zyskała, niż straciła. Tak się dzieje z biernymi naturami. Nigdy nie była zła, co jest względną dobrocią; a poza tym lata ścierają kanty — z wiekiem złagodniała. Była smutna jakimś tajemniczym smutkiem, którego przyczyny nie znała sama. Z całej jej postaci biło zdziwienie skończonego życia, które się nigdy nie zaczęło.

Zarządzała domem ojca. Pan Gillenormand miał przy sobie córkę, tak jak ekscelencja Benvenuto miał przy sobie siostrę. Takie współżycie starca i starej panny nie należy do rzadkości i stanowi zawsze wzruszający widok dwóch słabości, które wzajemnie się wspierają.

Między starcem a starą panną było jeszcze w tym domu dziecko, mały chłopak, zawsze zalękniony i milczący w obecności pana Gillenormand. Pan Gillenormand zwracał się do dziecka zawsze srogim głosem, a często z podniesioną laską: „Do mnie, paniczu! Chodź tu, ty gałganie! Odpowiadaj, błaźnie! Pokaż no się, nicponiu!” itd., itd. Ubóstwiał go.

Był to jego wnuk. Spotkamy się jeszcze z tym dzieckiem.

# KSIĘGA TRZECIA

## DZIADEK I WNUK

### ROZDZIAŁ I

#### DAWNY SALON

Kiedy pan Gillenormand mieszkał jeszcze na ulicy Servandoni, często bywał w paru salonach bardzo dystyngowanych i bardzo arystokratycznych. Przyjmowano go tam, minio że był mieszczaninem. Ponieważ zaś miał dowcip podwójny, ten, który w istocie posiadał, i ten, który mu przypisywano, był nawet poszukiwany w towarzystwie i honorowany. Bywał tylko tam, gdzie górował nad otoczeniem. Są ludzie, którzy za wszelką cenę pragną mieć znaczenie i zwracać na siebie uwagę; tam gdzie nie mogą być wyrocznią, stają się błaznami. Pan Gillenormand nie był człowiekiem tego pokroju; królował w salonach rojalistycznych, do których uczęszczał, nie narażając na szwank godności własnej. Był wyrocznią wszędzie. Zdarzało mu się sprzeciwiać panu de Bonal , a nawet panu Bengy-Puy-Vallee .

Koło roku 1817 spędzał niezmiennie dwa popołudnia w tygodniu w bliskim sąsiedztwie, na ulicy Ferou, u pani baronowej de T., godnej i szanowanej osoby, której mąż za Ludwika XVI był ambasadorem Francji w Berlinie. Baron de T., który za życia interesował się namiętnie ekstazami i zjawiskami magnetyzmu, zmarł zrujnowany na emigracji, pozostawiając za cały majątek dziesięć tomów rękopisu bardzo ciekawych wspomnień o Mesmerze i jego kadzi, oprawnych w czerwony safian, ze złoceniami na grzbiecie. Wiedziona poczuciem godności, pani de T. nie ogłosiła drukiem tych wspomnień i utrzymywała się z małej renty, która w jakiś sposób ocalała. Pani de T. żyła z dala od dworu — bardzo mieszanego towarzystwa, jak powiadała — w odosobnieniu szlachebnym, dumnym i biednym. Paru przyjaciół zbierało się dwa razy w tygodniu przy jej wdowim kominku i w ten sposób tworzył się salon czysto rojalistyczny. Pito tam herbatę i zależnie od elegijnego lub dytyrambicznego nastroju ubolewano albo oburzano się na te czasy, na kartę konstytucyjną bonapartystów, na bezczeszczenie orderu Św. Ducha, rozdawanego mieszczanom, na jakobinizm Ludwika XVIII i mówiono po cichu o nadziejach, jakie budził Monsieur, późniejszy Karol X. Wybuchy radości wywoływały tam gminne śpiewki, w których Napoleon nazywany był Mikołajkiem. Hrabiny, najsubtelniejsze i najwytworniejsze damy, rozpływały się z zachwytu nad takimi oto wierszykami, skierowanymi do „konfederatów”:

Wsadźcie se dobrze w portki koszule, Żeby wam białą nie błyskało, Bo wraz powiedzą, że patrioci Wywieszają chorągiew białą.

Zabawiano się także 'układaniem kalamburów, sądząc, że są straszliwe, i niewinną grą słów, mniemając, że jest jadowita. Układano też czterowersze, a nawet dystychy; na przykład na umiarkowany gabinet Dessollesa, w którego skład wchodził Decazes i Deserre:

Tron pada, a trzy d... w fotelu się rozpiera, Wrzeszcząc jeszcze: „Dej soli, dej kaszy, dej sera!” albo układano listą Izby Parów — „izby obrzydliwie jakobińskiej” — i łączono ze sobą nazwiska tak, aby tworzyły różne pocieszne zdania. Wszystko to na wesoło.

W świecie tym parodiowało się rewolucję. Z jakimś dziwnym upodobaniem zaostrzało się ten sam gniew w odwrotnym kierunku. Śpiewało się swoje niegroźne „*Ca ira*”:

*Ah! Ca ira, ca ira, ca ira!*

Buonapartystów na latarnię!

Piosenki są jak gilotyna: z jednaką obojętnością ścinają dziś tę głowę, jutro tamtą. To tylko sprawa wariantu.

W sprawie Fualdesa , która przypada na te czasy, na rok 1816, opowiadano się po stronie Bastide'a i Jausiona, ponieważ Fualdesa był „buonapartystą”. Liberałów określano mianem „braci i przyjaciół” — była to najgorsza obelga.

Jak niektóre dzwonnice przy kościołach, salon baronowej T. miał dwa koguty. Jednym był pan de Gillenormand, drugim hrabia de Lamothe-Valois , o którym szeptało się na ucho z pewnym szacunkiem: „Czy pan wie? To ten Lamothe od naszyjnika.” Koterie stosują takie osobliwe amnestie.

Dodajmy jedno: w środowisku mieszczańskim zaszczytne stanowiska pomniejszają się, nawiązując zbyt łatwe stosunki; trzeba uważać, kogo się u siebie przyjmuje; tak samo, jak traci się kalorie w sąsiedztwie ludzi, którym jest zimno, tak traci się poważanie w zbliżeniu z ludźmi powszechnie wzgardzonymi. Dawny wielki świat był ponad to prawo, jak i ponad wszelkie inne. Marigny , brat pani la Pompadour, bywa u księcia de Soubise . Mimo że? Nie. Dlatego, że Du Barry , opiekun pani Vaubernier, jest dobrze widziany u marszałka de Richelieu. Ten świat to Olimp; Merkury i księżę de Guemenee czują się tam u siebie; dopuszcza się tam złodzieja, jeśli jest bogiem.



Hrabia de Lamothe, który w roku 1815 miał siedemdziesiąt pięć lat, nie odznaczał się niczym szczególnym poza powściągliwym i uroczystym sposobem bycia, chłodną, kościstą twarzą, nienagannie grzecznymi manierami, surdudem zapiętym aż po halsztuk i długimi, założonymi jedna na drugą naganni w luźnych pantalonach koloru sienneńskiej terrakoty. Twarz miał koloru pantalonów.

Z panem de Lamothe „liczono się” w tym salonie z powodu jego „sławy” i — rzecz dziwna, lecz prawdziwa — z powodu nazwiska Valois.

Poważanie, jakim się cieszył pan Gillenormand, było w prawdziwie dobrym gatunku: był autorytetem dlatego, że był autorytetem. Mimo swojej lekkomyślności, godnym, szlachetnym i patrycjuszowsko wyniosłym zachowaniem nakazywał szacunek, co w niczym zresztą nie umniejszało jego wesołości; sędziwy wiek dodawał mu jeszcze powagi. Nie dźwiga się bezkarnie stulecia. Z biegiem czasu lata tworzą naokół głowy nimb czcigodności.

Miał też powiedzenia, przez które przebłyskiwała stara, dobra rasa. Tak na przykład, gdy król pruski, wprowadziwszy na tron Ludwika XVIII, złożył mu wizytę pod nazwiskiem hrabiego de Ruppin, potomek Ludwika XIV przyjął go trochę jak margrabiego brandenburskiego, z pewną subtelną impertynencją. Pan Gillenormand przyklasnął temu. „K a ż d y król, poza królem Francji, to prowincjonalny króli k” — powiedział. Kiedyś toczyła się przy nim taka rozmowa: „Na co skazano redaktora «kuriera Francuskiego?»” — „Na zawieszenie.” — „Właściwsze byłoby zamienić «za» na «.po»” — zauważył pan Gillenormand. Takie słowa stwarzają pozycję.

Podczas *Te Deum* w rocznicę powrotu Burbonów, widząc przechodzącego Talleyranda, rzekł: „Oto jego eksceleńcja Bies!”

Pan Gillenormand przychodził zwykle w odwiedziny w towarzystwie córki, wysokiej pannicy, która przekroczyła wówczas czterdziestkę, a wyglądała na lat pięćdziesiąt, i ślicznego siedmioletniego chłopczyka, białego, różowego, świeżego, z pełnym szczęściem i ufnym spojrzeniem. Wejściu chłopca do salonu towarzyszył zawsze szept: „Och, jaki śliczny! Co za szkoda! Biedne dziecko!” Był to ten sam chłopczyk, o którym wspominaliśmy przed chwilą. Nazywano go „biednym dzieckiem”, bo ojcem jego był „zbój znad Loary” .

Ten zbój znad Loary to wymieniony już tutaj zięć pana Gillenormand, zwany przez niego zakałą rodziny.

## ROZDZIAŁ II

### JEDNO Z CZERWONYCH WIDM TEGO CZASU

Kto odwiedził w owej epoce miasteczko Vernon i zatrzymał się na pięknym, monumentalnym moście, na którego miejscu, jak należy się spodziewać, już wkrótce stanie jakiś szpetny żelazny most, ten, spoglądając w dół, poza balustradę, mógł zobaczyć mężczyznę lat około pięćdziesięciu w skórzanym kaszkiecie, sabotach, spodniach i kurtce z grubego, szarego sukna, na której naszyte było coś żółtego, co niegdyś było czerwoną wstążeczką; człowiek ten, spalony słońcem, miał twarz prawie czarną, a włosy prawie białe i głęboką, sięgającą aż po policzek, bliznę na czole. Pochylony, zgarbiony, przedwcześnie postarzały, przechadzał się niemal całymi dniami z motyką lub nożem ogrodniczym w rękę po jednym z tych otoczonych murami skrawków gruntu, które sąsiadują z mostem i okalają niby łańcuchem tarasów lewy brzeg Sekwany; gdyby te urocze zakątki były znacznie większe, można by o nich powiedzieć: „to ogrody”; gdyby były trochę mniejsze: „to bukiety”. Każdy z tych zakątków graniczy z jednej strony — z rzeką, z drugiej — z domem. Mężczyzna w kurtce i sabotach, o którym mówiliśmy przed chwilą, mieszkał około 1817 roku w najmniejszym z tych ogródków i w najuboższym z domków. Żył tam samotny, w ciszy i niedostatku; usługiwała mu kobieta ani młoda, ani stara, ani urodziwa, ani brzydka, ni to chłopka, ni mieszcza. Kawalek ziemi, który nazywał swoim ogrodem, słynął w mieście z pięknych kwiatów, które tam hodował. Kwiaty były jego jedynym zajęciem.

Dzięki pilnej pracy, wytrwałości i niezliczonym wiadrom wody udało mu się posunąć dalej dzieło Stwórcy — i wynaleźć pewne odmiany tulipanów i dali, o których przyroda jak gdyby zapomniała. Był niezwykle pomysłowy; przed Soulange Bodinem wpadł na pomysł, aby dla hodowli rzadkich i cennych krzewów z Chin i Ameryki sypać *małe* kopczyki ziemi z wrzosowiska. Latem skoro świt był już w ogródku, pikował, przycinał, pełł, podlewał, chodził wśród kwiatów z wyrazem dobroci, smutku i łagodności, a czasem zadumany stał w miejscu długie godziny, słuchając śpiewu ptaka na drzewie czy szczebiotu dziecka w jakimś domu, albo wpatrywał się w źdźbło trawy, na którym kropla rosy lśniła w słońcu jak diament. Jadał bardzo skromnie i pijał raczej mleko niż wino. Dziecku ustępował z drogi, słudze pozwalał się łąjać. Był nieśmiały tak bardzo, że wydawał się dziki, wychodził z domu rzadko i widywał tylko żebraków, którzy stukali do jego okna, i proboszcza, księdza Mabeuf, poczciwego staruszka. Wszelako, gdy jakiś mieszkaniec miasteczka czy też ktoś przejezdny, ciekaw jego róż i tulipanów, dzwonił do jego domku, przyjmował go z uśmiechem. Był to „zbój znad Loary”.

Kto w owym czasie czytywał pamiętniki wojenne, biografie, „Monitora” i biuletyny Wielkiej Armii, mógł zwrócić uwagę na powtarzające się tam dość często nazwisko Jerzego Pontmercy. Jako młody chłopak, ów Jerzy Pontmercy był żołnierzem w pułku w Saintonge. Wybuchła rewolucja. Pułk z Saintonge wszedł w skład armii reńskiej; dawne pułki królewskie bowiem, nawet po upadku monarchii, zachowały swoje nazwy, pochodzące od nazw prowincji, i dopiero w 1794 roku połączyły się w brygady. Pontmercy bił się pod Spirą, pod Wormacją, pod Neustadt, pod Turkheim, pod Alzey i Moguncją, gdzie należał do dwustu ludzi, tworzących straż tylną Houcharda. Był jednym z dwunastu żołnierzy, którzy za starym szanćem Andernach wstrzymali napór całego korpusu księcia Heskiego i dopiero wtedy wycofali się i połączyli ze swoją armią, kiedy nieprzyjacielski pocisk rozdarł szaniec od góry do dołu. Pod dowództwem Klebera walczył w Marchiennes i wziął udział w bitwie pod Mont-Palissel, gdzie kula z garłacza strzaskała mu ramię. Potem przeszedł na granicę Włoch i był jednym z trzydziestu grenadierów, którzy bronili przełęczy Tende wraz z Joubertem. Joubert został za to mianowany generałem-adiutantem, Pontmercy — podporucznikiem. Pontmercy był u boku Berthiera w ogniu kartaczów pod Lodi owego pamiętnego dnia, o którym Napoleon powiedział: „Berthier był tam kanonierem, kawalerzystą i grenadierem!” Widział, jak pod Novi padł jego dawny generał Joubert, w chwili gdy z podniesioną szpadą wolał: „Naprzód!” Załadowany, wraz ze swoją kompanią, dla potrzeb wojennych na szalupę jadącą z Genui do jakiegoś małego przybrzeżnego portu, wpadł — jak w gniazdo os — między siedem czy osiem żaglowców angielskich. Komendant, Genuńczyk, chciał zepchnąć działa do morza, ukryć żołnierzy pod pokładem i prześliznąć się w ciemnościach jako statek handlowy. Pontmercy kazał wciągnąć na maszt trójkolorową banderę i dumnie przepłynął przed działami angielskich fregat. Ujechawszy jeszcze dwadzieścia mil, nabrał takiego zuchwalstwa, że zaatakował na swojej szalupie spory transportowiec angielski, wiozący wojsko na Sycylię i aż po wiązania pomostu wyładowany ludźmi i końmi. W roku 1805 należał do dywizji Malhera, która odebrała Gunzburg arcyksięciu Ferdynandowi. Pod Wettingen wśród gradu kul padł mu w ramiona pułkownik Maupetit, raniony śmiertelnie na czele 9 pułku dragonów. Odznaczył się pod Austerlitz, biorąc udział we wspaniałym marszu zwartymi kolumnami pod ogniem nieprzyjacielskim. Kiedy jazda rosyjskiej gwardii cesarskiej rozniosła jeden z batalionów 4 liniowego, Pontmercy należał do tych, którzy wzięli odwet i rozbili gwardię. Cesarz udekorował go krzyżem. Pontmercy widział, jak kolejno szli do niewoli: Wurmser w Mantui, Melas w Aleksandrii, a Mack w Ulm, Należał do 8 korpusu Wielkiej Armii, który pod dowództwem Mortiera zdobył Hamburg. Potem przeszedł do 55 liniowego, który był dawnym pułkiem flandryjskim. Pod Eylau znajdował się na cmentarzu, gdzie bohaterски kapitan Ludwik Hugo, stryj autora tej książki, wytrzymał przez dwie godziny sam, wraz ze swoją kompanią liczącą osiemdziesięciu trzech ludzi, natarcie całej nieprzyjacielskiej armii. Pontmercy był jednym z trzech ludzi, którzy z

życiem uszli z tego cmentarza. Był pod Frydland. Potem widział Moskwę, potem Berezynę, potem Lutzen, Bautzen, Drezno, Wachau, Lipsk i wąwozy Gellenhausen; potem Montmirail, Chateau-Thierry, Craon, brzegi Marny, brzegi Aisne'y i niebezpieczną pozycję w Laon. Pod Arnay-le-Duc, jako kapitan, zarabiał szablą dziesięciu kozaków i ocalił nie swojego generała, ale swojego kaprala. Został posiekany przy tej okazji tak, że z samego tylko lewego ramienia wydobyto mu potem dwadzieścia siedem odłamków kości. Na tydzień przed kapitulacją Paryża pomieniał się ze swoim kolegą i przeniósł się do jazdy. Miał bowiem, jak to nazywano w dawnych czasach, talent w palcach, to znaczy, że jako żołnierz z jednakową zdolnością władał pałaszem co karabinem, a jako oficer — szwadronem co batalionem. Z tej to zdolności, pogłębionej wiedzą wojskową, powstały pewne specjalne formacje broni, jak np. dragoni, którzy są zarazem jazdą i piechotą. Towarzyszył Napoleonowi na Elbę. Pod Waterloo dowodził szwadronem kirasjerów w brygadzie Dubois. Zdobył też sztandar batalionu luneburskiego. Złożył go u stóp cesarza. Zlany był krwią. Podczas walki o sztandar dostał cięcie szablą przez twarz. Cesarz, zadowolony, zawołał do niego: „Jesteś pułkownikiem, baronem i oficerem legii honorowej!” Pontmercy odpowiedział: „Najjaśniejszy panie, dziękuję w imieniu wdowy po mnie!” W godzinę później padł w wąwozie Ohain. A teraz kimże był ów Jerzy Pontmercy? Właśnie „zbójem znad Loary”.

Znamy już pewne fakty z jego życia. Po bitwie pod Waterloo Pontmercy wyciągnięty — jak sobie przypominamy — z wąwozu Ohain, zdołał dogonić armię i przerzucany z ambulansu do ambulansu dotarł do obozu nad Loarą.

Restauracja wyznaczyła mu połowę żołdu, a następnie zesała go na pobyt, to jest pod dozór do miasteczka Vernon. Król Ludwik XVIII uważając za niebyłe wszystko, co zaszło w okresie Stu Dni, nie uznał ani jego godności oficera legii honorowej, ani stopnia pułkownika, ani tytułu barona. On zaś przy każdej sposobności podpisywał się: „Pułkownik, baron Pontmercy.” Miał jeden jedyny, stary, niebieski frak, lecz ile razy wychodził, nie zapomniał nigdy przypiąć rozetki legii honorowej. Prokurator królewski kazał go uprzedzić, iż będzie ścigany sędownie za „bezprawne noszenie tego odznaczenia”. Gdy ostrzeżono go o tym nieoficjalnie, Pontmercy odparł z gorzkim uśmiechem: „Nie wiem doprawdy, czy to ja nie rozumiem już po francusku, czy też pan mówi jakimś innym językiem, dość, że nic nie pojmuję.” Po czym przez tydzień wychodził dzień w dzień na miasto ze swoją rozetką legii. Nie ośmielono się go niepokoić. Minister wojny i generał, komendant departamentu, pisali do niego parę razy, adresując: „Do pana kapitana Pontmercy.” Odesłał listy nierozpieczętowane. W tym samym czasie Napoleon na Św. Helenie w ten sam sposób postępował z pismami sir Hudson Lowe'a adresowanymi do generała Bonaparte. Pontmercy doszedł w końcu do tego, że — niech nam czytelnik wybaczy to określenie — miał w ustach tę samą ślinę co jego cesarz.

W Rzymie byli także żołnierze kartagińscy wzięci do niewoli, którzy nie chcieli oddawać honorów Flaminuszowi i mieli coś z duszy Hannibala,

Pewnego ranka Pontmercy spotkał na jakiejś ulicy Vernon prokuratora królewskiego, podszedł do niego i zapytał: „Panie prokuratorze, czy wolno mi nosić na twarzy moją bliznę?”

Nie miał nic prócz bardzo mizernego pólzołdu dowódcy szwadronu. Wynajął w Vernon najmniejszy domek, jaki mógł znaleźć. Żył tam samotny, widzieliśmy, w jaki sposób. Za cesarstwa, między jedną kampanią a drugą, znalazł czas, żeby poślubić pannę Gillenormand. Stary *bourgeois*, oburzony do głębi, zgodził się wzdychając i mówiąc: „Najlepsze rodziny bywają do tego zmuszone.” W 1815 roku pani Pontmercy, kobieta zresztą pod każdym względem urocza, wykształcona, nieprzeciętna i godna swego męża, umarła, zostawiając dziecko. Dziecko to byłoby wielką radością dla pułkownika w jego osamotnieniu; ale dziadek kategorycznie zażądał wydania mu wnuka, oświadczając, że w przeciwnym razie go wydziedziczy. Dla dobra malca ojciec ustąpił i — nie mogąc mieć dziecka przy sobie — pokochał kwiaty.

Wyrzekł się zresztą wszystkiego, nie ruszał się z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania ani nie konspirował. Dzielił swoje myśli między sprawy niewinne, które wypełniały mu terażniejszość, i sprawy wielkie, których dokonał w przeszłości. Spędzał czas, czekając na rozkwitnięcie goździka lub wspominając Austerlitz.

Pan Gillenormand nie utrzymywał żadnych stosunków ze swoim zięciem. Pułkownik był dla niego „bandytą”, a on był dla pułkownika „zakutym łbem”. Pan Gillenormand nigdy nie mówił o pułkowniku, czasem tylko robił szydercze aluzje do jego „baronostwa”. Dziadek zastrzegł sobie wyraźnie, że Pontmercy nie będzie nigdy usiłował widywać syna, ani z nim rozmawiać, pod groźbą wydziedziczenia i odesłania mu chłopca. Dla Gillenormandów pułkownik był trędowaty. Chcieli wychować dziecko po swojemu. Pułkownik może źle zrobić, przystając na takie warunki, ale przestrzegał ich, przekonany, że postępuje słusznie i poświęca tylko samego siebie. Spadek po starym Gillenormand był niewielki, ale spadek po panie Gillenormand starszej był znaczny. Ciotka ta, która nie wyszła za mąż, odziedziczyła po matce duży majątek, a syn siostry był jej naturalnym spadkobiercą.

Chłopiec, który miał na imię Mariusz, wiedział, że ma ojca, ale nic ponadto. Nikt nawet słowem nie wspominał mu o tym ojcu. Jednakże szept, półsłówka i znaczące spojrzenia osób z towarzystwa, do którego wprowadzał go dziadek, powoli przeniknęły do świadomości dziecka, które zaczęło wreszcie rozumieć coś niecoś; ponieważ zaś, naturalnym biegiem rzeczy, nasiąkało powoli przekonaniem i pojęciami, którymi — rzecz by można — oddychało, więc w

końcu każda myśl o ojcu przejmowała go wstydem i boleścią.

Kiedy Mariusz rósł tak, pułkownik wymykał się z domu, przyjeżdżał co parę miesięcy ukradkiem do Paryża jak przestępca, który wykradł się spod nadzoru policji, i szedł do kościoła Św. Sulpicjusza w porze, w której ciotka Gillenormand przyprowadzała Mariusza na mszę. Tam, ukryty za filarem, drżąc, żeby ciotka nie obejrzała się przypadkiem, stał nieruchomo, wstrzymując oddech — i wpatrywał się w swoje dziecko. Ten człowiek z blizną bał się tej starej panny.

To dało początek jego zażyłości z proboszczem w Vernon, księdzem Mabeuf.

Brat zacnego księdza, skarbnik u Św. Sulpicjusza, widywał często w kościele mężczyznę, który wpatrywał się w dziecko, zauważył też i bliznę na jego twarzy i wielkie łzy w oczach. Ten mężczyzna, o tak marsowym wyglądzie, płaczący jak kobieta, zwrócił jego uwagę. Ta twarz utkwiła mu w pamięci. Pewnego dnia, przybywszy do Vennon w odwiedziny do swego brata, spotkał na moście pułkownika Pontmercy i poznał w nim. nieznanego z kościoła Św. Sulpicjusza. Skarbnik opowiedział o tym proboszczowi i obaj — pod jakimś pretekstem — złożyli wizytę pułkownikowi. Po pierwszej wizycie przyszły następne. Pułkownik, zrazu bardzo powściągliwy, w końcu rozgadał się szczerze; proboszcz i skarbnik poznali całą historię i dowiedzieli się, że Pontmercy poświęca swoje szczęście dla przyszłości syna. Zdobył sobie tym szacunek i sympatię proboszcza, pułkownik zaś serdecznie polubił księdza Mabeuf. Zresztą nikt lepiej nie zrozumie się i nie żyje łatwiej niż stary kapłan i stary żołnierz, jeśli przypadkiem dbaj są dobrzy i prawi. W gruncie rzeczy to ten sam człowiek. Jeden walczy o ojczyznę na tym padole, drugi o ojczyznę tam w górze: to jedyna różnica.

Dwa razy do roku, pierwszego stycznia i w dzień Św. Jerzego, Mariusz z obowiązku pisał do ojca listy, dyktowane przez ciotkę, jakby przepisane z jakiegoś poradnika epistolarnego; było to jedyne ustępstwo pana Gillenormand; ojciec odpowiadał najczulszymi listami, które dziadek, nie czytając, wsadzał do kieszeni.

## ROZDZIAŁ III

### REQUIESCANT

Salon pani de T. stanowił jedyne źródło poznania świata dla Mariusza Pontmercy. Przez to tylko okno mógł patrzeć na życie. Było mroczne — istne okienko piwniczne, przez które sączy się więcej chłodu niż ciepła, więcej ciemności niż światła. Dziecko, które wchodząc do tego dziwnego towarzystwa, było uosobieniem radości i blasku, w krótkim czasie stało się smutne i — co jeszcze bardziej nie zgadzało się z jego wiekiem — poważne. Otoczone imponującymi i niezwykłymi postaciami spoglądało wokół siebie ze skupionym zdziwieniem. Wszystko przyczyniało się do tego, żeby powiększyć jego zdumienie. W salonie pani de T. bywały stare, arystokratyczne i bardzo czcigodne damy o imionach: Mathan, Noe, Lewis, które wymawiało się Lewi, i Cambis, które się wymawiało Kambiz. Te antyczne oblicza i biblijne imiona mieszały się chłopcu w głowie ze Starym Testamentem, którego się uczył na pamięć, i gdy wszystkie matrony o surowych profilach, białych lub przyprószonych siwizną włosach, w długich sukniach z innej epoki, z których rozróżniało się tylko posępne barwy, zasiadały kręgiem wokół dogasającego kominka, w świetle lampy przyćmionej zieloną zasłoną, z rzadka tylko wypowiadając słowa majestatyczne i surowe, mały Mariusz patrzył na nie wylęknionymi oczyma, sądząc, iż widzi nie kobiety, lecz patriarchów i magów, nie rzeczywiste istoty, lecz widma.

Oprócz tych widm snuło się tu kilku księży, stałych bywalców tego staroświeckiego salonu, i paru szlachciców: markiz de Sassenay, sekretarz księżnej de Berry, wicehrabia de Valory, publikujący pod pseudonimem Karol Antoni swoje ody zbudowane na jednym rymie; księżę de Beaufremont, człowiek dość jeszcze młody, który miał siwiejące skronie i ładną, dowcipną żonę, siejącą przerażenie wśród tych mroków swoimi głęboko wydekoltowanymi i obszytymi złotym sutaszem tualetami z purpurowego aksamitu; markiz de Coriolis d' Espinouse, który najlepiej we Francji umiał „dozować uprzejmość”; hrabia d'Amendre, pocziwiec z dobrodusznym podbródkiem, i kawaler de Port-deGuy, filar biblioteki Luwru, zwanej gabinetem królewskim. Pan de Port-de-Guy, łysy i nie tyle stary, ile raczej postarzały, opowiadał, że w roku 1793, gdy miał szesnaście lat, został jako buntownik zesłany na galery i skuty razem z osiemdziesięcioletnim biskupem de Mirepoix, również buntownikiem, tylko że księdzem uchylającym się od zaprzysiężenia, podczas gdy on uchylał się od służby wojskowej. Działo się to w Tulonie. Co noc musieli zbierać na rusztowaniu głowy i ciała ludzi zgilotynowanych za dnia; dźwigali na grzbietach ociekające krwią kadłuby i ich czerwone kaftany

galerników pokryte były poniżej karku skorupą z krwi, zaschniętą rano, a mokrą w nocy. Wiele takich tragicznych historii opowiadano w salonie pani de T.; tak bardzo przeklinano tam Marata, że aż przyklaskiwano Trestaillonowi. Paru deputowanych ultrareakcyjnych grywało tu w wista: pan Thibord du Chalard, pan Lemarchant de Gomicourt i sławny kpiarz z prawicy, pan Cornet-Dincourt. Sędzia de Ferette, w krótkich spodenkach na chudych nogach, zachodził tutaj czasem, udając się do pana de Talleyrand. Niegdyś był towarzyszem uciech księcia d'Artois i — w przeciwieństwie do Arystotelesa, czołgającego się przed Kampaspą — zmusił pannę Guimard do chodzenia na czworakach i w ten sposób pokazał potomności, jak sędzia pomścił filozofa.

Księża zaś byli to: ksiądz Halma, ten sam, który mawiał do swego współpracownika w gazecie „Piorun”, pana Larose'a: „Ha! któż nie przekroczył pięćdziesiątki? Chyba paru jakichś żółtodziobów!”, ksiądz Letourneur, kaznodzieja królewski, ksiądz Frayssinous, wówczas jeszcze ani hrabia, ani biskup, ani minister, ani par, ubrany w starą sutannę, przy której brakowało guzików, oraz ksiądz Keravenant, proboszcz kościoła Saint-Germain-desPres; poza tym ówczesny nuncjusz papieski, monsignor Macchi, arcybiskup Nisibis, późniejszy kardynał, odznaczający się długim, zafrasowanym nosem, i inny jeszcze monsignor, którego tytułowano *abate* Palmieri, prałat domowy, jeden z siedmiu protonotariuszy przy konsystorzu stolicy apostolskiej, kanonik tytularny bazyliki liberyjskiej, adwokat świętych *postulatore di sancti* w procesach kanonizacyjnych, co znaczy mniej więcej tyleż co referendarz stanu w departamencie raju; wreszcie dwaj kardynałowie, ksiądz de la Luzerne i ksiądz de Clermont-Tonnerre. Kardynał de la Luzerne był pisarzem i w kilka lat później miał dostąpić wielkiego zaszczytu: zamieszczał swoje artykuły w piśmie „Konserwatysta” obok artykułów Chateaubrianda. Ksiądz de Clermont-Tonnerre był arcybiskupem Tuluzy i często przyjeżdżał na odpoczynek do Paryża, do swego bratanka markiza de Tonnerre, ministra marynarki i wojny. Kardynał de Clermont-Tonnerre, wesoły, niski staruszek, błyskał czerwonymi pończochami spod podkasanej sutanny. Odznaczał się tym, że nienawidził Encyklopedii i namiętnie grał w bilard; przechodnie, którzy w owym czasie znaleźli się w letni wieczór na ulicy Madame, gdzie mieścił się wtedy pałac Clermont-Tonnerre, stawali słuchając stuku kul bilardowych i piskliwego głosu kardynała, który wykrzykiwał do swego konklawisty, ekscelencji Cottret, biskupa *in partibus* Karystii: „Zapisz no, księżę! robię karambol!” Kardynała wprowadził do salonu pani de T. jego najserdeczniejszy przyjaciel, ksiądz de Roquelaure, dawny biskup Senlis, jeden z „czterdziestu”. Ksiądz de Roquelaure odznaczał się wysokim wzrostem i gorliwością w uczęszczaniu na posiedzenia Akademii; co czwartek poprzez oszklone drzwi sali, sąsiadującej z biblioteką, gdzie w owym czasie odbywały się obrady Akademii Francuskiej, ciekawi mogli podziwiać dawnego biskupa Senlis, który świeżo upudrowany, w fioletowych pończochach stał zwykle tyłem do drzwi, widocznie dlatego, żeby lepiej było widać jego



pelerynkę. Wszyscy ci duchowni, mimo że w większości wypadków zarówno dworacy, jak kapłani, przydawali powagi salonowi pani de T., którego wielkopański charakter podkreślało pięciu parów Francji: markiz de Vibray, markiz de Talaru, markiz d'Herbouville, wicehrabia Dambray i książę de Valentinois. Ów książę de Valentinois, choć był księciem Monaco, a więc cudzoziemskim księciem panującym, miał tak wysokie pojęcie o Francji i o godności para, że na wszystko patrzył pod tym kątem widzenia. On to właśnie mówił: „Kardynałowie to parowie francuscy w Rzymie; lordowie to parowie francuscy w Anglii!” Wreszcie, ponieważ w naszym stuleciu rewolucja musi być wszędzie, w tym feudalnym salonie, jak już wspominaliśmy, rej wodził mieszczanin. Królował w nim pan Gillenormand.

Salon pani de T. był kwintesencją paryskiego białego towarzystwa. Trzymano z dala od siebie wszelkie sławy, nawet rojalistyczne. Sława zawiera w sobie coś z anarchii. Gdyby tam pojawił się Chateaubriand, raziłby tak samo jak ojciec Duchene. Wszakże, dzięki tolerancji, kilku republikanów dostało się do tego ortodoksyjnego świata. Hrabia Beugnot odbywał tu pokutę.

Dziś arystokratyczne salony nie przypominają już tamtych salonów. Dzisiejsze przedmieście Saint-Germain jest pretensjonalne. Dzisiejsi rojaliści to demagodzy, powiedzmy to na ich chwałę.

Ponieważ u pani de T. zbierało się najznakomitsze towarzystwo, panował tam ton wytworny i wyniosły, z wyrafinowaną uprzejmością na zewnątrz. Zwyczaje miały wszelkie odcienie mimowolnego wykwintu, co było treścią *ancien regime'u*, pogrzebanego, ale żywego. Niektóre z tych zwyczajów, zwłaszcza wyrażenia, wydawały się dziwaczne. Powierzchnowy znawca mógłby wziąć za parafiańszczyznę to, co było staroświeckie.

Jedną z pań tytułowano: „Panią generałową”. Używano nawet zwrotu „Pani pułkownikowa”. Czarująca pani de Leon — zapewne przez pamięć księżnej de Longueville i księżnej de Chevreuse — wołała to miano od swojego księżęcego tytułu. Markiza de Crequy także nazywała się „panią pułkownikową”.

To właśnie ten mały wielki świat wpadł na wyszukany pomysł, żeby w ścisłym gronie w Tuileriach mówić do króla po prostu „k r ó l” w trzeciej osobie, a nie „najjaśniejszy panie”, gdyż zwrot „najjaśniejszy pani e”, został „skalany przez uzurpatora”.

Wydawano tam sąd o ludziach i wydarzeniach, szydzono ze swojej epoki, co pozwalało nie rozumieć jej. Pomagano sobie nawzajem w zdumieniu. Dzielono się ze sobą zasobem wiedzy. Matuzalem pouczał Epimenidesa. Ślepiec udzielał informacji głuchemu. Uważano, że od Koblencji lata przestały płynąć. I podobnie jak Ludwik XVIII był — z łaski Boga — w dwudziestym piątym roku

swego panowania, tak i emigranci trwali w dwudziestej piątej wiosnie życia.

Panowała tu wszędzie harmonia; nie żyło się, a wegetowało; słowo było zaledwie tchnieniem; gazeta, w zgodzie z nastrojem salonu, wydawała się papirusem. Była tam młodzież, ale jakby trochę obumarła. W przedpokoju wytarte, stare liberie. Tym ludziom, którzy tak całkowicie należeli do przeszłości, usługiwała służba tego samego pokroju. Wszystko to wyglądało jak coś, co się dawno przeżyło i uparcie nie chce dać się pogrzebać. Konserwatysta, konserwatywny, konserwatywnie: oto mniej więcej cały ich słownik. Być *in odore* dobrego tonu było to najważniejsze zagadnienie. Istotnie, opinie tych czcigodnych osób woniały paczulą, pojęcia zaś naftaliną. Był to świat zmumifikowany. Panowie zabalsamowani, lokaje wypchani.

Pewna zacna, stara markiza, zrujnowana emigrantka, choć miała tylko jedną służącą, nadal mówiła: „Moja służba...”

Co robili w salonie pani de T. stali jego bywalcy? Byli „ultra”.

Być „ultra”, choć może dziś nie znikło to, co słowo to wyraża, zatraciło ono już swój sens. Wytłumaczmy je.

Być „ultra” znaczy przekraczać granice. Atakować berło w imię tronu, infułę w imię ołtarza; poniewierać rzecz, którą się niesie na własnym grzbiecie; to wierzczać w zaprzęgu; to mieć za złe stosowi, że za słabo podpieka heretyków; to wyrzucać bóstwu, że ma za mało boskości; znieważać z nadmiaru szacunku; twierdzić, że papież ma za mało papizmu, król za mało królewskości, noc za dużo światła; w imię bieli nie zadowalać się alabastrem, śniegiem, łabędziem, lilią; być stronnikiem pewnych spraw tak dalece, że stawać się ich przeciwnikiem; być tak bardzo za, że aż być przeciw.

Duch „ultra” charakterystyczny jest dla pierwszego okresu Restauracji.

Nic w historii nie przypomina owego kwadransa, który zaczyna się w roku 1814, a kończy koło 1820 z dojściem do władzy pana Villele, doświadczonego człowieka prawicy. Tych sześć lat to niezwykła chwila: hałaśliwa i smutna, roześmiana i ponura, rozjaśniona jakby blaskiem jutrzeńki, a równocześnie cała spowita mrokiem potężnych katastrof, który zasnuwał jeszcze horyzont i powoli zapadał w przeszłość. W tym świetle i w tym mroku istniał cały światek nowy i dawny, błazeński i smutny, młodzieńczy i starczy, który przecierał sobie oczy; nic nie przypomina tak przebudzenia jak powrót; grupa ludzi, która na Francję spoglądała z kpiną i na którą Francja spoglądała z ironią; hrabiowie — poczciwe, stare puchacze — zalegający tłumnie ulice; powracające widma przeszłości, *ci-de-vant*, ludzie w oszołomieniu patrzący na wszystko, zacni, dzielni szlachcice uśmiechnięci przez łzy, że znaleźli się znów we Francji;

zachwyceni, że oglądają swoją ojczyznę, i rozpaczeni, że nie odnaleźli monarchii; szlachta z wypraw krzyżowych, plwająca na szlachtę cesarstwa, to znaczy na szlachtę miecza; historyczne rody, które zatraciły poczucie historii, synowie towarzyszy Karola Wielkiego gardzący towarzyszami Napoleona. Miecze — wspomnieliśmy już o tym — znieważały się wzajemnie: miecz spod Fontenoy był śmiechu godnym, zardzewiałym żelastwem; miecz spod Marengo — tylko wstrętnym, budzącym obrzydzenie pałaszem. „Niegdyś” nie uznawało „Dnia Wczorajszego”. Zatracono poczucie tego, co wielkie, i tego, co śmieszne. Znalazł się ktoś, kto nazwał Napoleona — Skapenem . Tego świata już nie ma. Nic — podkreślmy to — nic z niego dziś się nie ostało. Kiedy przypadkowo wydobywamy zeń jakąś postać i staramy się wskrzesić go w myśli — wydaje się dziwaczny jak świat przed potopem. Bo też i w istocie pochłonął go potop. Zniosły go dwie rewolucje. Myśli — jakież to potężne fale! Jakże szybko zalewają to, co mają zniszczyć i pogrzebać, jak łatwo żłobią straszliwe głębiny!

Takie było oblicze salonów w owych czasach odległych i naiwnych, kiedy to pan Martainville więcej miał dowcipu niż Walter.

Salony te miały własną literaturę i własną politykę. Wierzyły we Fievee'go ; Agiera uważały za wyrocznię. Komentowały pana Colnet , dziennikarza-bukinistę z bulwaru Malaquais. Napoleon był tam w całym tego słowa znaczeniu potworem z Korsyki. Późniejsze wprowadzenie do historii pana markiza de Buonaparte, generała-porucznika wojsk królewskich, to ustępstwo na rzecz ducha epoki.

Salony owe niedługo były czyste. Począwszy od roku 1818, zjawiało się tam kilku doktrynerów — niepokojący odcień. Zachowywali się tak, jak gdyby się tłumaczyli, że są rojalistami. Tam, gdzie ultrarojaliści byli bardzo dumni, doktrynerzy byli nieco zażenowani. Mieli rozum, potrafili milczeć; ich dogmaty polityczne były, jak należy, usztywnione pychą: musiało im się udać. Nadużywali, z pożytkiem zresztą, białych krawatów i surdutów zapinanych pod szyję. Błędem czy też nieszczęściem partii doktrynerów było stworzenie starej młodzieży. Przybierali pozę mędrców. Marzyli o tym, żeby na zasadzie nieograniczonego absolutyzmu zaszczepić umiarkowaną władzę. Przeciwwstawiali — czasem z niezwykłą inteligencją — liberalizm zachowawczy liberalizmowi niszczycielskiemu. „Łaski dla rojalizmu! — mawiali. — Oddał niejedną przysługę. Przywrócił tradycję, obrzędy religijne, szacunek; jest wierny, dzielny, rycerski, pełen miłości i poświęcenia. Chociaż niezbyt chętnie — połączył nowe wielkości narodu z odwieczną wielkością monarchii. Błądzi, nie mając zrozumienia dla rewolucji, cesarstwa, sławy, wolności, nowych idei, nowych pokoleń, nowych czasów. Ale czyż my nie popełniamy czasem wobec niego tych samych błędów, jakie on popełnia wobec nas? Rewolucja, której jesteśmy spadkobiercami, powinna wszystko zrozumieć. Napadanie na rojalizm jest zaprzeczeniem liberalizmu. Jakaż to pomyłka! Jakież to zaślepienie!

Rewolucyjna Francja odmawia szacunku Francji historycznej, to znaczy swojej rodzicielce, to znaczy — sobie samej. Po 5 września traktuje się szlachtę monarchii tak, jak po 8 lipca traktowano szlachtę cesarstwa . Tamci byli niesprawiedliwi dla orła, my jesteśmy niesprawiedliwi dla lilii. Czyż zawsze musimy coś prześladować? Na co zda się obdzierać z blasku koronę Ludwika XIV, zdrapywać tarczę herbową Henryka IV? Kpimy z pana de Vaublanc, który zmazywał litery N z mostu Jeny. A cóż on robił? To, co my robimy. Bouvines tak samo należą do nas jak Marengo . Lilie są tak samo naszą własnością jak litery N. To nasze dziedzictwo. Po cóż je pomniejszać? Nie wolno zapierać się ojczyzny ani dawnej, ani dzisiejszej. Dlaczego nie przyjąć całej historii? Dlaczego nie kochać całej Francji?"

W taki to sposób doktrynerzy krytykowali i bronili rojalizmu, niezadowolonego, że go krytykują, i wściekłego, że go bronią.

Przekonania „ultra” są typowe dla pierwszego okresu rojalizmu; kongregacja charakteryzuje drugi. Miejsce zapału zajęła zręczność. Na tym zakończymy ten szkic.

W toku tego opowiadania autor napotkał po drodze tę ciekawą chwilę dziejów współczesnych; musiał rzucić na nią przelotne spojrzenie i nakreślić parę osobliwych rysów tej społeczności, zupełnie dziś już nie znanej. Lecz uczynił to pobieżnie i bez cienia cierpkiej czy szyderczej myśli. Wiązą go z tą przeszłością wspomnienia tkliwe i pełne czci, dotyczą bowiem jego matki. Zresztą ten mały świat miał swoją wielkość. Może wywoływać uśmiech, ale nie podobna nim pogardzać ani go nienawidzić. Była to Francja przeszłości.

Jak wszystkie dzieci, Mariusz Pontmercy otrzymał jakieś wykształcenie. Kiedy wyszedł z rąk ciotki Gillenormand, dziadek powierzył go poważnemu pedagogowi, który był okazem nieskomplikowanej inteligencji klasyków. Młoda, budząca się dusza przeszła z rąk świętoszki w ręce pedanta. Mariusz chodził przez kilka lat do kolegium, później wstąpił na wydział prawny. Był rojalistą fanatycznym i surowym. Dziadka, który raził go swym cynizmem i humorem, niezbyt kochał, na temat ojca milczał posępnie.

Był to zresztą chłopiec zapalczywy i chłodny, szlachetny, wspaniałomyślny, dumny, religijny, egzaltowany; szlachetny aż do nieugiętości, czysty aż do dzikości.

## ROZDZIAŁ IV

### KONIEC ZBÓJA

Kiedy Mariusz ukończył szkoły, pan Gillenormand wycofał się z życia towarzyskiego. Starzec pożegnał przedmieście Saint-Germain i salon pani de T. i osiadł w swoim domu przy ulicy Panien Kalwaryjskich w dzielnicy Bagno. Oprócz dozorky usługiwała mu pokojówka Nikoleta, następczyni Magnon, i ów Bask zasapany i astmatyczny, o którym już wspominaliśmy uprzednio.

W roku 1827 Mariusz skończył właśnie lat siedemnaście. Kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu, zobaczył dziadka stojącego z jakimś listem w ręku.

— Mariuszu — rzekł pan Gillenormand — jutro pojedziesz do Vernon.

— Po co? — zapytał Mariusz.

— Żeby zobaczyć się z ojcem.

Mariusza dreszcz przeszedł. Przypuszczał wszystko, z wyjątkiem tego, że mógłby kiedyś zobaczyć się z ojcem. Nic nie mogło być dla niego bardziej niespodziewane, bardziej zadziwiające — powiedzmy od razu — bardziej nieprzyjemne. Była to rozłąka, która wykluczała wszelkie zbliżenie. Już nawet nie przykrość — ale po prostu pańszczyzna.

Mariusz miał nie tylko polityczne powody niechęci, ale był także przekonany, że ojciec jego, ów rębajło — jak go nazywał pan Gillenormand w chwilach dobrego humoru — nie kochał go wcale. To było oczywiste, skoro go porzucił i zostawił na łasce innych. Nie czując się kochanym, Mariusz też nie kochał. „To przecież całkiem proste” — mówił sobie.

Był tak zdumiony, że nawet o nic nie zapytał pana Gillenormand. Dziadek odezwał się znowu.

— Podobno jest chory. Wzywa cię. I po chwili milczenia dodał:

— Jedź jutro z rana. Zdaje mi się, że z placu Fontarnes wyjeżdża jakaś poczta o szóstej rano i jest na miejscu wieczorem. Pojedź nią. Píše, że sprawa jest pilna.

Po czym zmiął list i wsunął go do kieszeni. Mariusz mógł wyjechać tego samego wieczora i być następnego dnia rano u ojca. W owym czasie dyliżans z ulicy Bouloi wyjeżdżał wieczorem do Rouen i przejeżdżał przez Vernon. Ale ani panu Gillenormand, ani Mariuszowi nie przyszło do głowy zasięgnąć wiadomości w

tym względzie.

Mariusz przybył do Vernon nazajutrz o zmroku. Zaczynano już zapalać świece. Pierwszego napotkanego przechodnia zapytał o dom pana Pontmercy. Był bowiem tego samego zdania co Restauracja i również nie przyznawał ojcu ani tytułu barona, ani stopnia pułkownika.

Wskazano mu domek. Zadzwonił; otworzyła mu jakaś kobieta z małą lampką w ręce.

— Czy zastałem pana Pontmercy? — zapytał Mariusz.

Kobieta nie poruszyła się.

— Czy to tutaj? — powtórzył Mariusz. Kobieta skinęła potakująco głową.

— Czy mogę z nim mówić? Kobieta zrobiła przeczący znak.

— Ależ ja jestem jego synem - powiedział Mariusz. — Czeka na mnie.

— Już nie czeka — rzekła kobieta.

Wówczas spostrzegł, że kobieta płacze.

Wskazała palcem na drzwi do pokoju. Wszedł.

W pokoju tym, oświetlonym łojową świecą, postawioną na kominku, było trzech ludzi: jeden z nich stał, jeden klęczał, a jeden, w koszuli, leżał rozciągnięty na podłodze. Ten, który leżał na podłodze, był to pułkownik.

Dwaj inni byli to lekarz i ksiądz, który się modlił.

Przed trzema dniami pułkownik dostał zapalenia mózgu. W początkach choroby, mając złe przecucie, napisał do pana Gillenormand, prosząc o przyjazd syna. Stan się pogorszył. Tego wieczoru, kiedy Mariusz przybył do Vernon, pułkownik miał atak maligny; wstał z łóżka mimo oporu służącej, wołając: „Mój syn nie przyjeżdża! Idę mu na spotkanie!” Wyszedł z pokoju i w przedsionku upadł na kamienną podłogę. Skonał.

Wezwano lekarza i księdza. Lekarz przybył za późno, ksiądz przybył za późno. Syn również przybył za późno.

Przy wątlym blasku świecy na bladym policzku leżącego pułkownika widać było wielką łzę, która spłynęła z martwego oka. Oko zagasto, lecz łza nie obeschła. Ta łza to było spóźnienie syna.

Mariusz patrzył na tego człowieka, którego widział po raz pierwszy i po raz ostatni, na tę godną i męską twarz, na te otwarte oczy, które nie widziały, na siwe włosy, na krzepkie ciało, na którym tu i ówdzie widniały brunatne pręgi — ślady po cięciach szabli, i niby gwiazdy czerwone — dziury od kul. Patrzył na olbrzymią bliznę, nadającą bohaterski wyraz tej twarzy, naznaczonej przez Boga dobrocią. Pomyślał, że ten człowiek był jego ojcem, że ten człowiek umarł, i nic się w nim nie poruszyło.

Smutek, którego doznawał, był smutkiem, jaki odczułby wobec każdego zmarłego.

Żałoba, bolesna żałoba panowała w tym pokoju. W kącie lamentowała służąca, ksiądz modlił się i słychać było, że szłocha, lekarz ocierał oczy; nawet trup płakał.

Ten lekarz, ten ksiądz i ta kobieta patrzyli poprzez swój żal bez słowa na Mariusza: był tu obcy. Mariusz, bardzo mało wzruszony, poczuł wstyd i zażenowanie, że tak się zachowuje; trzymał w ręku kapelusz; upuścił go na ziemię, by pomyślano, iż ból odjął mu siły.

Jednocześnie doznawał jakby wyrzutów sumienia i z pogardą pomyślał o swoim postępku. Czy to jednak była jego wina? Nie kochał ojca, to trudno!

Pułkownik nic po sobie nie zostawił. Sprzedaż ruchomości pokryła zaledwie koszty pogrzebu. Służąca znalazła skrawek papieru, który oddała Mariuszowi. Na nim było napisane ręką pułkownika:

Dla mojego syna:

Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tytułu, który zapłaciłem własną krwią, syn mój przejmie ten tytuł i będzie go używał. Wierzę, że okaże się tego godny.

Z drugiej strony pułkownik dopisał:

W tej samej bitwie pod Waterloo pewien sierżant uratował mi życie. Człowiek ten nazywa się Thenardier. W ostatnich czasach miał, zdaje się, oberżę w jakimś miasteczku niedaleko Paryża — w Chelles czy Montfermeil. Jeżeli mój syn spotka go kiedykolwiek, niech zrobi dla niego wszystko, co będzie w jego mocy.

Mariusz wziął kartkę i schował ją nie przez pietyzm dla ojca, ale powodowany nieokreślonym poszanowaniem, jakie śmierć nakazuje zawsze sercu człowieka.

Po pułkowniku nie zostało nic. Pan Gillenormand kazał sprzedać tandeciarzowi

jego szpadę i mundur. Sąsiedzi zniszczyli ogród i rozkradli cenne kwiaty. Inne rośliny zdziczały lub zmarniały.

Mariusz pozostał tylko dwie doby w Vernon. Po pogrzebie wrócił do Paryża i zajął się swoimi studiami, nie myśląc więcej o ojcu, jakby ten nigdy nie istniał. W dwa dni pułkownik został pochowany, w trzy dni — zapomniany.

Mariusz nosił krepę na kapeluszu. To wszystko.



## ROZDZIAŁ V

### O TYM, JAK DZIĘKI CHODZENIU DO KOŚCIOŁA MOŻNA ZOSTAĆ REWOLUCJONISTĄ

Mariusz zachował pobożne nawyki z lat dzieciennych. Pewnej niedzieli poszedł na mszę do Św. Sulpicjusza, do tej samej kaplicy Matki Boskiej, gdzie prowadziła go ciotka, gdy był małym chłopcem. Tego dnia, bardziej zamyślony i roztargniony niż zazwyczaj, stanął za filarem i nie zwracając na to uwagi, ukląkł na klęczniku, obitym utrechtckim aksamitem, którego oparcie zdobił napis: „P. Mabeuf, skarbnik parafii.” Msza ledwo się rozpoczęła, gdy zjawił się jakiś staruszek i rzekł do Mariusza:

— To moje miejsce, proszę pana!

Mariusz usunął się skwapliwie i staruszek zajął swój klęcznik. Po skończonej mszy Mariusz stał nadal w zamyśleniu o kilka kroków dalej; staruszek znów podszedł do niego i powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, że niepokoiłem pana przed chwilą i że jeszcze go niepokoję; uznał pan pewno moje postępowanie za niegrzeczne, muszę się wytłumaczyć.

— To zbyteczne, proszę pana — odparł Mariusz.

— A jednak — podjął staruszek — nie chcę, żeby pan miał o mnie złe mniemanie. Widzi pan, szczególnie lubię to miejsce. Wydaje mi się, że msza tutaj wysłuchana jest więcej warta. Zaraz panu powiem, dlaczego. Przez całe lata regularnie co dwa albo trzy miesiące spotykałem tu pewnego nieszczęśliwego, zacnego ojca, który nie miał innej okazji ani innego sposobu, żeby zobaczyć swoje dziecko. Uniemożliwiały mu to stosunki rodzinne. Przychodził tu w tej porze, kiedy — jak wiedział — przyprawiano synka na mszę. Malec nawet się nie domyślał, że jego ojciec był tuż. Może, biedaczek, nie wiedział wcale, że ma ojca! Ojciec stał ukryty za tym filarem, żeby go nie dostrzeżono. Patrzył na swoje dziecko i płakał. Ten biedny człowiek uwielbiał swego syna! Widziałem to. To miejsce stało się dla mnie jakby uświęcone i przyzwyczałem się tutaj słuchać mszy. Wolę je od kolatorskiej ławki, w której mam prawo zasiadać, jako skarbnik parafii. Znałem nawet trochę tego nieszczęśliwego człowieka. Miał teścia, bogatą ciotkę, jakichś krewnych — nie wiem dokładnie — którzy grozili, że wydziedziczą malca, jeśli on, ojciec, będzie go widywał. Poświęcił siebie, byle syn był kiedyś bogaty i szczęśliwy. Rozłączono go z dzieckiem z powodu poglądów politycznych. Uznaję,

oczywiście, poglądy polityczne, ale niektórzy ludzie posuwają się za daleko. Mój Boże, dlatego że ktoś się bił pod Waterloo, niekoniecznie musi być potworem; to nie powód, żeby rozłączać ojca z synem! To był pułkownik wojsk napoleońskich. Zdaje się, że już nie żyje. Mieszkał w Vernon, gdzie mój brat jest proboszczem, i nazywał się jakoś Pontmarie czy Montpercy... Piękną nosił bliznę, dalibóg!

— Pontmercy? — zapytał Mariusz, blednąc.

— O, właśnie! Pontmercy! Czy pan go znał może?

— To był mój ojciec, proszę pana. Stary skarbnik złożył ręce i zawołał:

— Ach! To pan jest owym dzieckiem! No tak, to się zgadza, teraz to już mężczyzna. O mój biedny chłopcze, możesz sobie powiedzieć, że miałeś ojca, który cię bardzo kochał!

Mariusz ujął staruszka pod ramię i odprowadził go aż do jego domu. Nazajutrz powiedział do pana Gillenormand:

— Urządzamy z przyjaciółmi polowanie. Czy mogę wyjechać na trzy dni?

— Nawet na cztery! — odparł dziadek — Jedź! Baw się!

I mrużąc oko, szepnął do córki:

— Jakaś miłostka!

## ROZDZIAŁ VI

### DO CZEGO MOŻE DOPROWADZIĆ SPOTKANIE ZE SKARBNIKIEM PARAFII

Dowiemy się nieco później, dokąd pojechał Mariusz.

Trzy dni Mariusz był nieobecny, po czym wrócił do Paryża, udał się wprost do biblioteki Wydziału Prawa i poprosił o komplet „Monitora”.

Przeczytał „Monitora”, przeczytał wszystkie historie republiki i cesarstwa, „Wspomnienia z wyspy Św. Heleny”, wszystkie pamiętniki, dzienniki, biuletyny i proklamacje; pochłoniął wszystko. Kiedy w biuletynach Wielkiej Armii po raz pierwszy napotkał imię ojca, przez cały tydzień chodził w gorączce. Odwiedził generałów, pod którymi służył Jerzy Pontmercy, między innymi hrabiego H. Skarbnik Mabeuf, do którego zachodził, opowiedział mu o życiu pułkownika w Vernon, o jego odsunięciu się od świata, jego kwiatach i osamotnieniu. Mariusz poznał dokładnie tego niezwykłego, wzniosłego, łagodnego człowieka, który był lwem i jagnięciem w jednej osobie — swego ojca.

Zajęty tymi studiami, które pochłaniały cały jego czas i wszystkie myśli, prawie nie widywał Gillenormandów. Zjawiał się w godzinach posiłków; kiedy go potem szukano, nie było go. Ciotka zrzędziła. Dziadek Gillenormand uśmiechał się: „Hm, hm, to pora na dziewczynki!” Niekiedy starzec dodawał: „Do diabła! Myślałem, że to romansik, ale zdaje się, że to namiętność!”

Była to istotnie namiętność.

Mariusz zaczął uwielbiać ojca.

Równocześnie niezwykła przemiana dokonywała się w jego poglądach. Przemiana ta miała wiele następujących po sobie kolejno faz. Ponieważ jest to historia wielu umysłów w naszych czasach, nie od rzeczy będzie śledzić te fazy krok za krokiem i zaznaczyć je tutaj wszystkie.

Ta historia, na którą dopiero teraz spojrzął, przeraziła go.

Najpierw przyszło olśnienie.

Republika, cesarstwo — dotychczas były to dlań słowa potworne. Republika — gilotyna w półmroku; cesarstwo — szabla wśród nocy. Teraz przyjrzał się im i z niesłychanym zdumieniem, połączonym z lękiem i radością, spostrzegł, że tam, gdzie spodziewał się zobaczyć jedynie chaos ciemności, lśnią gwiazdy: Mirabeau, Vergniaud, Saint-Just, Kamil Desmoulins, Robespierre, Danton, i

wschodzi słońce: Napoleon. Nie wiedział, co ma myśleć. Cofał się, oślepiiony blaskiem. Powoli, kiedy oszołomienie minęło, przywykł do tego promieniowania, rozważył czyny bez zawrotu głowy, zbadał postacie bez uczucia zgrozy; rewolucja i cesarstwo stanęły w promiennej perspektywie przed jego pełną wizji źrenicą; te dwie grupy wydarzeń i ludzi streściły się dla niego w dwóch potężnych faktach: republika — w suwerenności prawa obywatelskiego, przywróconego masom, cesarstwo — w suwerenności myśli francuskiej, narzuconej Europie; ujrzał, jak z rewolucji wyłania się wielka postać ludu, a z cesarstwa wielka postać Francji. Orzekł w swoim sumieniu, że wszystko to było słuszne.

Nie uważamy za konieczne mówić o tym, co w olśnieniu pomijał, wydając pierwszy zbyt syntetyczny sąd. Konstatujemy tu jedynie drogę rozwojową pewnego umysłu. Postęp nie zawsze odbywa się w jednym etapie. Oświadczywszy to zarówno w odniesieniu do tego, cośmy już powiedzieli, jak i do tego, co później powiemy — idziemy dalej.

Wtedy to Mariusz spostrzegł, że do tej chwili tak samo nie rozumiał swojego ojca, jak nie rozumiał swojego kraju. Nie znał ani jednego, ani drugiego i dobrowolnie nosił jakby noc na oczach. Teraz już przejrzał, podziwiał pierwszego, a zachwycał się drugim.

Pełen żalu i wyrzutów sumienia, myślał z rozpaczą, że wszystko, co odczuwa, może teraz wyznać jedynie mogile. Ach, gdyby jego ojciec nie umarł, gdyby go miał jeszcze, gdyby Bóg w swoim miłosierdziu i dobroci dozwolił, żeby ten ojciec był jeszcze między żyjącymi, jakżeby pobiegł, jakżeby rzucił się ku niemu i zawołał: „Ojczy, oto jestem! to ja! Jedno w nas serce bije!” Obsypałby pocałunkami jego siwą głowę, łzami zrosiłby jego włosy, wpatrywałby się w jego bliznę, w swoich dłoniach tulił jego ręce, czcił jego mundur, całował jego nogi! Ach, czemuż ten ojciec umarł tak wcześnie, nie doczekawszy się starości, naprawienia krzywdy, miłości syna? Mariusz czuł w sercu ciągły szloch, który nieustannie powtarzał mu: „Niestety!” Równocześnie stawał się bardziej dojrzały, bardziej poważny, umacniał się w swojej wierze i poglądach. Co chwila światła prawdy uzupełniały braki jego umysłu. Dokonywał się w nim jakby wzrost wewnętrzny. Czuł jakieś naturalne wzniesienie się, które zawdzięczał dwóm rzeczom, dotychczas nie znanym mu: ojcu i ojczyźnie.

Jak za pomocą klucza, wszystko się otwierało; tłumaczył sobie to, co niegdyś nienawidził, rozumiał to, co budziło w nim dawniej wstręt; jasno spostrzegał teraz opatrnościowy, boski i ludzki sens wielkich spraw, którymi nauczono go gardzić, i wielkich ludzi, których nauczono go przeklinać. Kiedy myślał o poglądach, które wyznawał zaledwie wczoraj, a które przecie wydawały mu się już tak odległe, oburzał się i uśmiechał.

Od rehabilitacji ojca naturalnym biegiem rzeczy przeszedł do rehabilitacji Napoleona.

Wyznajmy jednak, że nie odbyło się to bez trudności.

Od dzieciństwa wpajano weń w stosunku do Bonapartego poglądy stronnictwa z roku 1814. Wszystkie zaś przesady Restauracji, wszystkie jej interesy, wszystkie jej instynkty zmierzały do zniekształcenia postaci Napoleona. Restauracja nienawidziła go silniej jeszcze niż Robespierre'a. Dość zręcznie wykorzystwała wyczerpanie narodu i nienawiść matek. Bonaparte stał się jakimś niemal mitycznym potworem i aby odmalować go w wyobraźni ludu, która — jak wspominaliśmy przed chwilą — podobna jest do wyobraźni dziecka, stronnictwo z 1814 roku nakładało mu kolejno wszelkie przerażające maski, poczynając od tego, co straszne, lecz mimo to potężne, a kończąc na tym, co straszne i błazeńskie, od Tyberiusza — aż do stracha na wróble.

Tak więc, mówiąc o Bonapartem, można było szlochać czy parskać śmiechem, byle tylko dominujący ton stanowiła nienawiść. Mariusz nigdy inaczej nie myślał o „tym człowieku”, jak nazywano Napoleona. Przekonania te połączyły się z uporem, właściwym jego naturze. Tkwił w nim zawzięty człowieczek, który nienawidził Napoleona.

W miarę jak rozczytywał się w historii i badał ją w dokumentach i materiałach źródłowych, zaczęła się z wolna rozsuwać zasłona, kryjąca postać Napoleona przed jego wzrokiem. Wyczuł coś olbrzymiego i zaczął podejrzewać, że miał dotychczas błędny sąd o Bonapartem, podobnie jak o wszystkich innych sprawach; co dzień widział wyraźniej; i powoli, krok za krokiem, z początku niechętnie, potem w upojeniu, jakby przyciągany jakimś neodpartym urokiem, przemierzał stopnie entuzjazmu, zrazu ciemne, później oświetlone niepewnym blaskiem, wreszcie rozjaśnione wspaniale.

Pewnej nocy siedział sam w swoim pokoiku na poddaszu. Świeca płonęła; z łokciami wspartymi na stole, Mariusz czytał przy otwartym oknie. Przeróżne rojenia napływały doń z przestworzy i przenikały do myśli. Noc! Jakież to widok potężny! Słysząc jakieś głuchoe odgłosy, dochodzące z nieznannej dali, widać płonącego jak żagiew Jowisza, który jest tysiąc dwieście razy większy od naszej Ziemi; błękit jest czarny, lśnią gwiazdy, cóż za ogrom!

Czytał biuletyny Wielkiej Armii, te homeryckie strofy, spisane na polach bitwy; czasem napotykał w nich imię ojca, a zawsze imię cesarza; jawiła mu się wielkość cesarstwa; czuł, że jakiś przyptyw podnosi się w nim, wzbiera; chwilami zdawało mu się, że ojciec przesuwając się koło niego jak tchnienie i szepcze mu coś do ucha; działy się z nim rzeczy niepojęte: słyszał — zda się — warkot bębnow, huk armat, granie trąbek, miarowy krok batalionów, głuchy,

daleki galop konnicy; od czasu do czasu wznosił wzrok ku niebu i patrzył na lśniące w przepastnych głębinach potężne konstelacje gwiazdne, potem kierował oczy na książkę i tam, jak przez mgłę, majaczyły mu inne potęgi. W sercu czuł ucisk. Drżał z uniesienia, dyszał. Nagle, sam nie wiedząc, co się w nim dzieje i czemu jest posłuszny, zerwał się, wyciągnął za okno oba ramiona, wpatrzył się w ciemność, w ciszę, w mroczną nieskończoność, wieczysty bezmiar i zawołał: „Niech żyje cesarz!”

Od tej chwili wszystko zostało powiedziane. Rozwiązał się gdzieś potwór z Korsyki, uzurpator, tyran, zwyrodnialec, który był kochankiem własnych sióstr, histrion biorący lekcje u Talmy, truciciel z Jaffy, tygrys, Buonaparte, a miejsce jego w umyśle Mariusza zajął nieokreślony, wspaniały blask, w którym na niedosiężnych wyżynach jaśniała blada zjawa z marmuru — Cezar. Dla jego ojca cesarz był tylko podziwianym, umiłowanym wodzem, dla którego gotów był oddać życie; dla Mariusza stał się czymś więcej. Stał się wyznaczonym przez los budowniczym z plemienia Francuzów, które po plemieniu Rzymian zapanowało nad światem; stał się cudownym architektem ruin, kontynuatorem Karola Wielkiego, Ludwika XI, Henryka IV, Richelieu'go Ludwika XIV i Komitetu Ocalenia Publicznego, nie wolnym — jako człowiek — od przywar i błędów, a nawet i zbrodni, lecz wspaniałym w swoich błędach, świetnym w przywarach, potężnym w zbrodni. Stał się człowiekiem wyznaczonym przez los, który zmusił wszystkie inne narody do powiedzenia: „Oto wielki naród!” Więcej jeszcze: stał się wcieleniem samej Francji podbijającym Europę szablą, którą trzymał w dłoni, a cały świat jasnością, która zeń promieniowała. Mariusz widział w Bonapartem olśniewające widmo, które będzie zawsze stało na granicy

I strzegło przyszłości. Despotę, ale i dyktatora, despotą wywodzącego się z republiki i streszczającego w sobie całą rewolucję. Napoleon stał się dlań człowiekiem-ludem, podobnie jak Chrystus jest człowiekiem-Bogiem.

Widzimy, że tak jak wszystkich, którzy przyjęli nową religię, upajało go to nawrócenie, na ślepo przyjmował wszystko i posuwał się za daleko. Taką miał naturę; gdy raz znalazł się na pochyłości, nie mógł się już zatrzymać. Porwał go fanatyczny zachwyty dla szabli, który łączył się w jego umyśle z zapalem dla idei. Nie dostrzegał, że wraz z geniuszem, w chaotycznym pomieszaniu, uwielbiał przemoc, to znaczy, że umieszczał w dwóch przedziałach swojego kultu, z jednej strony to, co jest boskie, z drugiej to, co jest brutalne. Pod wieloma względami zaczął znowu mylić się. Godził się na wszystko. Dążąc do prawdy, można zejść na manowce. Ożywiała go jakaś gwałtowna, dobra wiara, która przyjmowała wszystko w całości. Na nowej drodze, na którą wkroczył, pomijał okoliczności łagodzące, czy to osądzając błędy dawnego ustroju, czy to oceniając chwałę Napoleona.

Niemniej jednak był to wielki krok naprzód. Tam gdzie dawniej widział upadek

monarchii, obecnie widział wyniesienie Francji. Zmienił orientację: to, co było zachodem, stało się wschodem. Odwrócił się w inną stronę.

Rodzina nie domyślała się wcale, że w Mariuszu dokonywały się te gwałtowne przemiany.

Kiedy w tajemnym trudzie zrzucił już zupełnie z siebie dawną burbońską i ultramontańską skórę, kiedy zdarł z siebie arystokratę, jakobitę i rojalistę, kiedy został wyznawcą rewolucji, głębokim demokratą, nieledwie republikaninem — poszedł wówczas do rytownika na quai des Orfevres i zamówił setkę biletów wizytowych z napisem: „Baron Mariusz Pontmercy.”

Było to tylko logiczne następstwo przemiany, która się w nim dokonała, przemiany, w której wszystko skupiało się dokoła osoby ojca. A że nie miał znajomych i u żadnego odźwiernego nie mógł zostawić swojego biletu, schował je więc do kieszeni.

Inne naturalne następstwo: oddalał się od dziadka, w miarę jak zbliżał się do ojca, do jego pamięci i do rzeczy, o które pułkownik walczył przez dwadzieścia pięć lat. Powiedzieliśmy już, że usposobienie pana Gillenormand nigdy nie odpowiadało Mariuszowi. Istniały już między nimi liczne rozdziewki, jakie tworzą się między poważnym młodzieńcem a płochym starcem. Wesołość Geronta razi i drażni melancholię Wertera. Dopóki dziadka i wnuka łączyły te same przekonania polityczne i te same idee, Mariusz i pan Gillenormand spotykali się tam jak na moście. Kiedy most ten runął, otworzyła się przepaść. Nade wszystko zaś Mariusz czuł w sobie niewypowiedziane odruchy buntu na myśl o tym, że to właśnie pan Gillenormand dla jakichś niedorzecznych powodów bezlitośnie wydarł go pułkownikowi, ojca pozbawiając dziecka, a dziecko pozbawiając ojca.

I z miłości do ojca Mariusz zaczął czuć nieledwie odrazę do dziadka.

Niczym jednak — mówiliśmy już o tym — nie zdradzał się na zewnątrz. Zachowywał się tylko coraz chłodniej; małomówny przy posiłkach, stał się w domu rzadkim gościem. Kiedy ciotka go za to łajała, odpowiadał jej uprzejmie, wymawiając się studiami: wykładami, egzaminami, odczytami itp. Dziadek niewzruszenie trwał przy swojej diagnozie: „Zakochany! Już ja się na tym znam!”

Co pewien czas Mariusz wyjeżdżał z domu..

— I dokąd on tak jeździ? — pytała ciotka. Podczas jednej z tych wypraw — zawsze bardzo krótkich — pojechał do Montfermeil, aby wypełnić zalecenie zostawione przez ojca, i poszukiwał byłego sierżanta spod Waterloo, oberżysty

Thenardiera. Thenardier zbankrutował, oberżę zamknięto i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Z powodu tych poszukiwań Mariusz spędził cztery dni poza domem.

— Nie ma dwóch zdań — powiedział dziadek. — Źle się prowadzi.

Dziadek i ciotka mieli wrażenie, że Mariusz nosi na piersi pod koszulą jakiś przedmiot, zawieszony na czarnej wstążce.



## ROZDZIAŁ VII

### JAKAŚ SPÓDNICZKA

Mówiliśmy już o oficerze lansjerów.

Był to stryjeczny wnuk pana Gillenormand, wiodący życie garnizonowe z dala od rodziny i domowego ogniska. Pan porucznik Teodul Gillenormand spełniał wszystkie wymagane warunki, aby uchodzić za tak zwanego przystojnego oficera. Miał „talię jak panna”, podkreśnony w górę wąsik i zwycięski sposób pobrzękiwania szablą. Do Paryża przyjeżdżał bardzo rzadko, tak rzadko, że Mariusz nigdy go nie widział. Obaj kuzyni znali się tylko ze słyszenia. Teodul — zdaje się, żeśmy już o tym wspominali — był ulubieńcem ciotki Gillenormand, która go wołała od Mariusza, ponieważ go nie widywała. Gdy się kogoś nie widuje, można mu przypisywać wszelkie cnoty.

Pewnego ranka starsza panna Gillenormand wróciła do siebie tak wzburzona, jak tylko pozwalało jej na to wrodzone opanowanie. Mariusz znowu poprosił dziadka

O pozwolenie na krótką wycieczkę, dodając, że ma zamiar wyjechać tego samego wieczora.

„Jedź!” — odrzekł dziadek i podnosząc brwi do góry, dodał na stronie: „Znowu nocna eskapada!”

Panna Gillenormand udała się do swego pokoju bardzo zaintrygowana i na schodach wyrwał jej się z ust wykrzyknik: „A, tego już za wiele!”, i znak zapytania: „Ale dokądże on jedzie?” Przeczynuwała jakąś przygodę miłosną, mniej lub więcej zakazaną, jakąś kobietę w półmroku, jakąś schadzkę, jakąś tajemnicę i nie byłaby od tego, żeby wetknąć tam swoje okulary. Tajemnica ma podobny posmak jak odkrycie jakiegoś nowego skandalu; nabożne dusze gustują w takich rzeczach. W zakamarkach bigoterii kryje się ciekawość dla gorszących spraw.

Ogarnęła ją nieokreślona chęć, żeby dowiedzieć się o jakiejś historii miłosnej.

Aby zagłuszyć tę ciekawość, która ją nurtowała ponad zwykłą miarę, poszukała ucieczki w swoich talentach: zaczęła więc włóczką wyszywać wzór, charakterystyczny dla Cesarstwa i Restauracji, z powtarzającym się często motywem koła od kabrioletu. Smutny haft, kwaśna hafciarka. Od kilku godzin tkwiła na krześle, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Panna Gillenormand ! uniosła

nos: porucznik Teodul stał przed nią, salutując po wojskowemu. Wydała okrzyk radości. Cóż z tego, że była stara i nabożna, cóż z tego, że była skromnisią ciotką — zawsze to przyjemnie, kiedy do pokoju wejdzie porucznik lansjerów.

— Ty tutaj, Teodulu! — zawołała.

— Przejazdem, ciociu!

— Ucałujże mnie!

— Już to robię — odrzekł Teodul. I ucałował ją. Ciotka Gillenormand podeszła do sekretarzyka i otworzyła go.

— Zostaniesz u nas chociaż z tydzień?

— Dziś wieczorem wyjeżdżam, proszę cioci.

— Niemożliwe!

— Jak dwa a dwa cztery!

— Mój Teodululku, zostań, proszę!

— Serce się zgadza, służba nie pozwala. Prosta sprawa. Zmieniają nam garnizon; staliśmy w Melun, przenosimy się do Gaillon. Z dawnego garnizonu do nowego przejeżdża się przez Paryż. Powiedziałem sobie zatem: odwiedzę ciotkę.

— Weź to za fatygę.

Wsunęła mu do ręki dziesięć luidorów.

— Kochana ciocia chciała powiedzieć: za przyjemność!

Teodul pocałował ją drugi raz, a ona doznała rozkosznego uczucia, kiedy szamerunek munduru drasnął jej nieco szyję.

— Jedziesz konno razem z pułkiem? — zapytała.

— Nie, ciociu. Zależało mi na tym, żeby ciotkę zobaczyć. Mam specjalne pozwolenie. Ordynans prowadzi mojego konia, a ja jadę dyliżansem. A propos! Muszę ciotkę o coś spytać.

— O co?

— Czy mój kuzyn Mariusz Pontmercy też udaje się w podróż?

— A skądże ty wiesz o tym? — zapytała ciotka, nagle zaciekawiona do żywego.

— Po przyjeździe poszedłem zamówić miejsce w dylizansie.

— No i?

— Jakiś podróżny przede mną zamówił już sobie miejsce na górze. Widziałem na liście nazwisko.

— Jakie nazwisko?

— Mariusz Pontmercy.

— O ten ladaco! — zawołała ciotka. — Twój kuzyn nie jest takim statecznym chłopcem jak ty. Pomyśleć tylko, że całą noc spędzi w dylizansie!

— Tak samo jak ja.

— Tak! Ale ty z obowiązku, a on — dla rozpusty!

— O, do licha! — zawołał Teodul.

W tym momencie starszej panie Gillenormand przytrafiło się coś niezwykłego: wpadła na pomysł! Gdyby była mężczyzną, uderzyłaby się ręką w czoło. Zapytała Teodula:

— Czy wiesz, że twój kuzyn cię nie zna?

— Tak. Ja go widziałem, ale on nigdy nie raczył mnie zauważyć.

— Będziecie więc jechać razem?

— On na górze, a ja w środku.

— Dokąd jedzie ten dylizans?

— Do Andelys.

— To Mariusz jedzie do Andelys?

— Chyba że tak jak ja zatrzyma się gdzieś po drodze. Ja wysiadam w Vernon, żeby złapać połączenie z Gaillon, Nie mam pojęcia, dokąd jedzie Mariusz.

— Mariusz! Paskudne imię! Co to był za pomysł, żeby go nazwać Mariuszem! Ty przynajmniej masz ładne imię Teodul.

— Wolałbym mieć na imię Alfred — rzekł oficer.

— Słuchaj, Teodulku.

— Słucham, ciociu.

— Uważaj na to, co ci powiem.

— Uważam, ciociu.

— Słuchasz mnie?

— Tak jest!

— A więc Mariusz stale znika z domu.

— Ho, ho!

— Podróżuje.

— Ach, ach!

— Nie wraca na noc!

— O, o!

— Chcielibyśmy wiedzieć, co się pod tym kryje. Teodul odparł z posągowym spokojem:

— Jakaś spódniczka.

I z tłumionym uśmieszkiem, zdradzającym niezachwianą pewność, dodał:

— Dziewczynka!

— To oczywiste! — zawołała ciotka, której zdawało się, że słyszy pana Gillenormand. Słowo: „dziewczynka”, wymówione z taką samą intonacją przez dziadka i przez wnuka, umocniło jej przekonanie. Ciągnęła:

— Zrób nam przyjemność. Miej na oku Mariusza. On cię nie zna, więc przyjdzie ci to z łatwością. Skoro tu w grę wchodzi jakaś dziewczyna, postaraj się tę dziewczynę zobaczyć. Opisziesz nam potem całą awanturkę. Dziadek bardzo się ubawi.

Teodulowi nie w smak było tego rodzaju śledzenie, ale dziesięć luidorów mocno go ujęło i spodziewał się, że będą miały dalszy ciąg. Przyobiecał, że wypełni

polecenie, i rzekł:

— Jak sobie ciocia życzy, proszę cioci.

A do siebie szepnął: „No, tom został teraz damą do towarzystwa!”

Panna Gillenormand ucałowała go. — Ty, Teodulku, nigdy nie dopuściłbyś się takich wybryków! Jesteś posłuszny dyscyplinie, jesteś niewolnikiem służby, jesteś człowiekiem skrupulatnym i obowiązkowym i nigdy byś nie porzucił rodziny, żeby gonić za jakąś tam kreaturą.

Lansjer zrobił zadowoloną minę, niczym Cartouche pochwalony za uczciwość.

Tego samego wieczora Mariusz wsiadł do dylizansu nie domyślając się wcale, że ma opiekuna. Opiekun zaś, jak tylko ulokował się w dylizansie, zasnął snem sprawiedliwego. Argus chrapał przez calutką noc.

O świcie konduktor dylizansu zawołał:

— Vernon! Postój w Vernon! Podróżni do Vernon — wysiadać!

I porucznik Teodul obudził się.

— Aha — mruknął, na wpół śpiąc jeszcze — to tutaj wysiadam.

W miarę jak po obudzeniu wracała mu pamięć, przypomniał sobie ciotkę, dziesięć luidorów i sprawozdanie, które zobowiązał się złożyć z uczynków i postępów Mariusza. To go rozśmieszyło.

„A może już go nie ma — pomyślał zapinając kurtkę polowego munduru. — Mógł jechać do Poissy, mógł jechać do Triel; jeśli nie wysiadł w Meulan, to mógł być wysiąść w Mantes, o ile tego nie zrobił w Rolleboise; mógł też dojechać aż do Pacy i tam przesiąść się — albo w lewo na Evreux, albo w prawo na Laroche-Guyon. I gońże go, moja ciociu! I co ja teraz napiszę, do diabła, tej pocziwej starowinie?” W tej chwili w szybie dylizansu mignęły nogi w czarnych spodniach, nogi podróżnego schodzącego z góry.

„A może to Mariusz?” — rzekł porucznik.

To był Mariusz.

Obok pojazdu dziewczyna wiejska, wmieszana w ciżbę koni i poczyliów, zachwalała podróżnym swoja kwiaty krzycząc:

— Kupujcie kwiaty dla swoich dam, panowie! Mariusz podszedł do niej i kupił najpiękniejszą wiązanekę z koszyka.

„Oho, teraz to zaczyna mnie interesować! — powiedział Teodul, wyskakując z dyliżansu. — Komu, do licha, ofiaruje te kwiaty? Taki piękny bukiet to chyba dla jakiejś diablo ślicznej kobiety. Muszę ją zobaczyć!”

I teraz już nie z cudzego polecenia, lecz z własnej ciekawości, jak psy, co polują na własny rachunek, ruszył krok w krok za Mariuszem.

Mariusz nie zwracał na Teodula najmniejszej uwagi. Z dyliżansu wysiadły wytworne kobiety — nawet okiem nie rzucił na nie. Zdawało się, że nic nie widzi dokoła.

„Ten jest zakochany!” — pomyślał Teodul.

Mariusz skierował się w stronę kościoła.

„Cudownie! — orzekł w duchu Teodul. — Kościół! To rozumiem! Najmilsze są schadzki z lekka okraszone nabożeństwem. Nic tak nie smakuje jak czułe spojrzenie pod okiem Pana Boga,”

Doszedłszy do kościoła, Mariusz nie wszedł do środka, ale okrążył absydę i zniknął za węglem jednej z przypór.

— Schadzka na dworze! — rzekł Teodul. — Zobaczmyż tę dziewczynkę.

I na palcach zaczął się skradać w kierunku węgła, za którym zniknął Mariusz.

Przybywszy tam, stanął zdumiony.

Mariusz, z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczał na murawie nad grobem, na który rozsypał swój bukiet. U szczytu grobu, tam, gdzie w głowach wznosiło się wygórowanie, stał krzyż z czarnego drzewa, na krzyżu widniało nazwisko wypisane białymi literami: „Pułkownik baron Pontmercy.” Słysząc było łkanie Mariusza.

Dziewczynką była mogiła.

## ROZDZIAŁ VIII

### MARMUR PRZECIW GRANITOWI

Tu właśnie przyjechał Mariusz, kiedy po raz pierwszy opuścił Paryż. Tu wracał za każdym razem, kiedy pan Gillenormand mówił: „Nocna eskapada!”

Nieoczekiwane zetknięcie z mogiłą zupełnie zbiło z tropu porucznika Teodula; miał przykre i osobliwe uczucie, którego nie potrafił zanalizować, na które składało się poszanowanie dla grobu i szacunek dla rangi „pułkownika. Wycofał się, zostawiając Mariusza samego na cmentarzu, a to wycofanie się wynikało z dyscypliny wojskowej. Śmierć jawiła mu się w ozdobie sutych epoletów i omał nie stanął przed nią na baczność. Nie wiedząc, co napisać do ciotki, postanowił nie pisać wcale. I pewno nic by nie wynikło z tego, że Teodul odkrył przedmiot miłości Mariusza, gdyby tajemniczym trafem, tak częstym w zrzędzeniach losu, scena z Vernon nie znalazła natychmiastowego prawie oddźwięku w Paryżu.

Mariusz wrócił z Vernon trzeciego dnia o świcie, zajechał do domu dziadka i zmęczony dwiema nocami spędzonymi w dyliżansie, poczuł potrzebę odświeżenia się godzinką pływania; wbiegł więc śpiesznie do swojego pokoju, zrzucił tylko podróżny surdut i czarny sznureczek, który nosił na szyi, i pośpieszył do kąpieli.

Pan Gillenormand wstawszy wcześniej, jak wszyscy starcy, którym dopisuje zdrowie, usłyszał, że Mariusz wrócił, i chcąc go ' uściskać, wypytać przy tym o to i owo i dowiedzieć się, skąd przybywa, zaczął wchodzić po schodach na poddasze tak szybko, jak mu na to pozwalały stare nogi.

Ale młodzieniec mniej potrzebował czasu na zbiegnięcie niż osiemdziesięcioletni starzec na wejście, toteż gdy dziadek Gillenormand wszedł do mansardy, Mariusza już nie zastał.

Łóżko było zastane, a na nim ufnie spoczywał surdut i czarny sznureczek.

— Jeszcze lepiej! — rzekł pan Gillenormand.

I w chwilę później wkroczył do salonu, gdzie siedziała starsza panna Gillenormand, haftując swoje koła od kabrioletu.

Wejście było triumfalne.

Pan Gillenormand trzymał w jednej ręce surdut, w drugiej czarną wstążkę i krzyczał:— Zwycięstwo! Teraz zbadamy tajemnicę! Dotrzemy do najgłębszych

tajników! Obejrzymy sobie rozpustne miłostki naszego mruka! Mamy cały romansik. Znalazłem portret!

Istotnie na sznureczku wisiało puzderko z czarnego szagrynu, przypominające medalion.

Starzec wziął je do ręki i chwilę przyglądał mu się, nie otwierając, z miną pełną pożądania, zachwytu i złości, jak wygłodniały biedak, który widzi tuż koło nosa wyśmienity obiad nie dla niego przeznaczony.

— Bo tam jest portret, oczywiście! Już ja się na tym znam. Nosi się to czule na sercu. Jacy oni głupi! Na pewno jakaś wstrętna dziewczucha wiejska, na którą nie można patrzeć bez dreszczu obrzydzenia. Dzisiejsza młodzież ma taki zły gust!

— Zobaczmy, ojczy! — odezwała się stara panna. Puzderko otwierało się za naciśnięciem sprężynki.

W środku znaleźli tylko jakiś starannie złożony kawałek papieru.

— Od tej samej do tegoż — zawołał pan Gillenormand wybuchając śmiechem.

— Wiem, co to takiego! Liścik miłosny!

— Ach, przeczytajmy go! — powiedziała ciotka.

I włożyła okulary. Rozwinęli papier i przeczytali, co następuje:

Dla mojego syna:

Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tytułu, który zapłaciłem własną krwią, syn mój przejmie ten tytuł i będzie go używał. Wierzę, że okaże się go godny.

Nie da się wypowiedzieć uczucia, jakie ogarnęło ojca i córkę. Poczuli się zmrożeni, jakby owionęło ich tchnienie trupiej głowy. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Tylko pan Gillenormand szepnął cicho, jakby sam do siebie:

— To pismo rębajły.

Ciotka obejrzała kartkę, obróciła ją na wszystkie strony i włożyła z powrotem do puzderka.

W tej chwili z kieszeni surduta wypadł niewielki, podłużny pakiecik, owinięty w niebieski papier. Panna Gillenormand podniosła go i rozwinęła. Była to setka biletów wizytowych Mariusza. Podała jeden panu Gillenormand, który przeczytał „Baron Mariusz Pontmercy.”



Starzec pociągnął za dzwonek. Weszła Nikoleta. Pan Gillenormand, wziął sznurek, puzderko, surdut, cisnął to wszystko na podłogę, na środek salonu, i rzekł:

— Odnieś te rupiecie!

Dobra godzina upłynęła w najgłębszej ciszy. Starzec i stara panna siedzieli tyłem do siebie i każde z nich myślało zapewne o tym samym. Po upływie godziny ciotka Gillenormand odezwała się:

— Ładna historia!

W parę chwil później zjawił się Mariusz. Wrócił do domu. Zanim przekroczył próg salonu, zobaczył, że dziadek trzyma w ręce jego bilet wizytowy. Na widok wnuka starzec zawołał z miną wyniosłą i drwiącą, która miała w sobie coś miażdżącego.

— Patrzcie państwo! Patrzcie państwo! Ho! Ho! Jesteś teraz baronem. Winszuję! Co to wszystko znaczy?

Mariusz zaczerwienił się lekko i rzekł:

— To znaczy, że jestem synem swojego ojca. Pan Gillenormand przestał się śmiać i rzekł ostro:

— Twoim ojcem jestem ja!

— Mój ojciec — mówił dalej Mariusz ze spuszczonej oczyma i surowym wyrazem twarzy — był człowiekiem skromnym i bohaterskim, który chlubnie służył republice i Francji, który był wielki w tym największym epizodzie historii, na jaki zdobyła się ludzkość; ćwierć wieku przeżył z bronią w ręku we dnie pod gradem kul i kartaczy, nocą — w śniegu, błocie i deszczu, zdobył dwa sztandary, otrzymał dwadzieścia ran i umarł w zapomnieniu i opuszczeniu, a tym jedynie zawinił, że nazbyt kochał dwóch niewdzięczników: swój kraj i mnie.

Tego już było panu Gillenormand za wiele! Na dźwięk słowa: „republika”, wstał, a raczej zerwał się na równe nogi. Za każdym wyrazem, wypowiedzianym przez Mariusza, stary rojalista mienił się na twarzy, jak rozżarzona głośnia, na którą dmucha miech kowalski. Z zaszępienia zrobił się czerwony, z czerwonego purpurowy, z purpurowego szkarłatny.

— Mariuszu! — krzyknął. — Niegodziwy chłopcze! Nie wiem, kim był twój ojciec! Nie chcę tego wiedzieć! Nic nie wiem! O niczym nie wiem! Wiem tylko, że wszyscy ci ludzie byli nędznikami! To byli hołusze, mordercy, czerwone czapki, złodzieje! Powiadam, wszyscy! Powiadam, wszyscy. Nie znam nikogo!

Powiadam, wszyscy! Słyszysz, Mariuszu?! Uważasz, jesteś takim samym baronem jak mój pantofel! To byli wszystko bandyci, którzy służyli Robespierre'owi! Rabusie, którzy służyli Bu-o-napartemu, zbóje, zdrajcy, którzy zdradzili! Zdradzili! Zdradzili prawowitego króla! Tchórze, którzy uciekli przed Prusakami i Anglikami pod Waterloo! Oto, co wiem! Czy twój ojciec był między nimi, nie wiem! Bardzo mi przykro! Tym gorzej! Sługa uniżony!

Teraz Mariusz był głównią, a pan Gillenormand miechem kowalskim. Młodzieniec drżał na całym ciele, nie wiedział, co począć; głowa mu pałała. Był jak ksiądz, który widzi, że hostie rozrzucono na wiatr, jak fakir, który widzi, że przechodzień piwa na jego bóstwo. Nie mógł pozwolić, aby bezkarnie mówiono przy nim takie rzeczy! Ale co robić? Oto jego ojciec został zelżony i podeptany w jego obecności, ale przez kogo? Przez jego dziadka. Jakże pomścić jednego, nie znieważając drugiego? Niepodobieństwem było obrazić dziadka i niepodobieństwem było również nie pomścić ojca. Z jednej strony święty grób, z drugiej — siwe włosy. Chwilę stał, chwiejąc się odurzony; w głowie mu się mąciło; potem podniósł oczy, utkwiał je w dziadku i zawołał grzmiącym głosem:

— Precz z Burbonami! Precz z tym opasłym wieprzem, Ludwikiem XVIII!

Ludwik XVIII nie żył od czterech lat, ale to było Mariuszowi obojętne.

Starzec z purpurowego stał się nagle bielszy od swoich włosów. Obrócił się w stronę popiersia księcia de Berry, stojącego na kominku, i skłonił mu się głęboko, z jakimś niezwykłym dostojeństwem. Po czym wolno i w milczeniu dwa razy przemierzył pokój od kominka do okna i od okna do kominka. Posadzka trzeszczała, jakby to szedł kamienny posąg. Przechodząc po raz drugi, nachylił się ku córce, która patrzyła na to starcie z ogłupiałą miną starej owcy, i rzekł ze spokojnym prawie uśmiechem:

— Pan baron, taki jak ten pan, i zwykły mieszczanin, taki jak ja, nie mogą żyć pod jednym dachem.

I nagle wyprostował się, poblady, drżący, groźny, a czoło jakby rozsadzała mu straszliwa burza gniewu, wyciągnął ramię w kierunku Mariusza i krzyknął:

— Precz!

Mariusz opuścił dom.

Nazajutrz pan Gillenormand rzekł do córki:

— Co pół roku waćpanna będzie wysyłać sześćdziesiąt pistoli temu krwiożercy i nie wspomni mi o nim nigdy.

Mając w sobie niewyładowany olbrzymi zasób wściekłości i nie wiedząc, co z nim robić, przez przeszło trzy miesiące zwracał się w ten sposób do córki.

Mariusz zaś wyszedł również oburzony. Pewna okoliczność, o której należy wspomnieć, pogłębiła jeszcze jego rozjątrzenie. Zawsze zbieg małych, fatalnych wypadków komplikuje tragedie rodzinne i podsyca rozżalenie, choć w istocie wina pozostaje ta sama. Nikoleta, odnosząc pospiesznie na rozkaz dziadka „rupiecie” Mariusza do pokoju, przez nieuwagę zgubiła gdzieś po drodze, zapewne na ciemnych schodach poddasza, medalion z czarnego szagrynu wraz z kartką, skreśloną przez pułkownika. Ani medalionu, ani kartki nie dało się odnaleźć. Mariusz był przekonany, że to „pan Gillenormand” — od owego dnia inaczej nie nazywał dziadka — wrzucił do ognia ojcowski testament. Znał na pamięć parę słów skreślonych przez pułkownika, wobec czego nic nie zostało stracone. Ale kartka, pismo, ta najświętsza relikwia — w tym było całe jego serce. Co z tym uczyniono?

Mariusz odszedł, nie mówiąc, dokąd idzie, i sam nie wiedząc, dokąd idzie; miał w kieszeni trzydzieści franków, zegarek i trochę rzeczy w torbie podróżnej. Wsiadł do dorożki, umówił się od godziny i na chybił trafił kazał wieźć się do Dzielnicy Łacińskiej.

Jakie będą dalsze losy Mariusza?

# KSIĘGA CZWARTA

## PRZYJACIELE ABECADŁA

### ROZDZIAŁ I

#### PEWNA GRUPA, KTÓRA OMAL NIE PRZESZŁA DO HISTORII

Przez tę epokę, na pozór bezduszną, przebiegało jakieś nieuchwytnie, rewolucyjne drżenie. W powietrzu czuć było powiewy powracające z głębin 1789 i 1792 roku. Młodzież zaczynała się opierać, jeśli wolno nam użyć tego określenia. W ludziach dokonywała się przemiana, prawie nieświadoma, którą powodował po prostu bieg czasu. Wskazówka, która posuwa się na tarczy zegara, posuwa się również w duszach ludzkich. Każdy robił krok naprzód, który należało zrobić: rojaliści sta wali się liberałami, liberałowie stawali się demokratami.

Był to jakby wzbierający przypyływ, który musiał opierać się tysiącnym falom odpływu; odpływy mają to do siebie, że stwarzają zamęt. Stąd — osobliwe połączenie pojęć: uwielbiano jednocześnie Napoleona i wolność. Piszemy tu historię; takie były miraży owych czasów. Przekonania przechodzą różne fazy. Royalizm wolteriański, dziwaczna odmiana, miał niemniej osobliwy odpowiednik — bonapartystyczny liberalizm.

Inne ugrupowania umysłów były poważniejsze; tak zgłębiano zasadę; tam dociekano prawa. Pasjonowano się absolutem i przewidywano nieskończoność realizacji; absolut przez swoją niewzruszoność kieruje umysł w błękity i każe mu bujać w bezkresie. Nic zaś tak nie rodzi marzenia, jak dogmat. Nic tak nie zapładnia przyszłości, jak marzenie. Dzisiaj utopia, jutro ciało i krew rzeczywistości.

Przekonania postępowe miały podwójne dno. Coś, co rozpoczynało się potajemnie, zagrażało „ustalonemu porządkowi”, który był podejrzany i skryty. Znak to w najwyższym stopniu rewolucyjny. Zamysły władzy natykają się w podziemiu na zamysły ludu. Na ukartowane zamachy stanu odpowiedzią jest dojrzewanie insurekcji.

Nie istniały jeszcze wówczas we Francji rozgałęzione organizacje podziemne, jak *Tugenbund* niemiecki czy włoski karbonaryzm; ale tu i ówdzie zarysowywały się jakieś tajemne drażnienia. Kugurda powstała w Aix; w Paryżu, oprócz innych stowarzyszeń tego rodzaju, istniało Towarzystwo Przyjaciół Abecadła.

Kim byli Przyjaciele Abecadła? Stowarzyszeniem mającym pozornie na celu nauczanie dzieci, w istocie zaś podźwignięcie człowieka.

Członkowie stowarzyszenia podawali się za przyjaciół ABC. *Abaisse* — znaczy uciśniony. Uciśnionym był lud. Chciano go podźwignąć. Błędem byłoby śmiać się z tego kalamburu. Kalambury odgrywają czasem ważną rolę w polityce; dowód — kalambur: *Castratus ad castra*, który uczynił Narsesa głównodowodzącym armii; czy *Barbari et Barberini*, czy *Fueros y Fuegos*, czy wreszcie: „*Tu es Petrus et super hanc petram...*” itd.

Przyjaciele Abecadła tworzyli nieliczną grupę: było to tajne stowarzyszenie w załączku, powiedzielibyśmy prawie koteria, gdyby koterie wydawały bohaterów. Mieli w Paryżu dwa miejsca spotkań: jedno niedaleko Hal, w szynku rwanym „Koryntem”, o którym będzie później mowa, drugie w pobliżu Panteonu, w kawiarence na placu Św. Michała. Kawiarnia ta, dziś już zburzona, zwała się „Musain”. Pierwsze z tych miejsc dogodniejsze było dla robotników, drugie — dla studiującej młodzieży.

Zazwyczaj tajne narady Przyjaciół Abecadła odbywały się w tylnej salce kawiarni „Musain”. Salka ta, odsunięta od kawiarni, z którą łączył ją bardzo długi korytarz, miała dwa okna i wyjście poprzez ukryte schodki na uliczkę Gres. Pito w niej, palono, bawiono się, śmiano i rozprawiano głośno o wszystkim, a po cichu o innych sprawach. Na ścianie wisiała stara mapa Francji z czasów republiki; wystarczająca wskazówka, żeby wzbudzić podejrzenie agenta policji.

Większość Przyjaciół Abecadła stanowili studenci oraz paru zaprzyjaźnionych z nimi robotników. Oto najważniejsze nazwiska. Należą one w pewnej mierze do historii: Enjolras, Combeferre, Jan Prouvaire, Feuilly, Courfeyrac, Bahorel, Lesgle albo Laigle, Joly i Grantaire.

Przyjaźń łącząca tych młodzieńców tworzyła z nich niejako jedną rodzinę. Wszyscy z wyjątkiem Laigle'a pochodzili z południa Francji.

Była to nieprzeciętna gromadka. Pochłonęła ją niewidzialna otchłań, która jest poza nami. W tym punkcie dramatu, do którego doszliśmy, nie od rzeczy będzie rzucić snop światła na te młode głowy, nim znikną one z oczu czytelnika w mroku tragicznych wydarzeń.

Enjolras, którego wymieniliśmy na pierwszym miejscu — czytelnik dowie się niebawem, dlaczego — był bogatym jedynakiem.

Był to czarujący młodzieniec, który potrafił stawać się straszny. Był anielsko piękny, niby dziki i srogi Antinous. Widząc zadumany blask jego spojrzenia,

można by powiedzieć, że w jakimś poprzednim wcieleniu przeżył apokalipsę rewolucji. Miał jej tradycją w sobie, jakby był jej świadkiem. Znał wszystkie drobne szczegóły tej wielkiej sprawy. Natura arcykapłana i wojownika, niezwykła u młodego chłopca. Wierzył i walczył; doraźnie — żołnierz demokracji; z punktu widzenia ponadczasowego — kapłan ideału. Miał głęboko osadzone źrenice, nieco zaczerwienione powieki, dolną wargę wydatną i łatwo układającą się w grymas pogardy; wysokie czoło. Wysokie czoło w twarzy jest jak rozległe niebo na widnokręgu. Podobnie jak niektórzy młodzieńcy z początku naszego stulecia i z końca zeszłego, co wcześniej stali się sławni, i Enjolras (choć bladł czasami) miał w sobie jakiś nadmiar młodości, świeżej jak u dziewczyny. Już mężczyzna, wyglądał jeszcze jak chłopiec; miał dwadzieścia dwa lata, a można mu było dać siedemnaście. Poważny, zdawał się nie wiedzieć, że istnieje na ziemi twór, zwany kobietą. Miał jedną namiętność — prawo, jedną myśl — obalenie przeszkody. Na Awentyńskim Wzgórzu byłby Grakchem ; w Konwencie Saint-Justem. Zaledwie dostrzegał róże, nie widział wiosny, nie słyszał śpiewu ptaków. Podobnie jak Arystogitona nie poruszyłaby go obnażona pierś Ewadny . Podobnie jak Harmodiusz uważał, że kwiaty istnieją tylko po to, żeby w nich ukryć miecz. Był surowy w uciechach. Przed wszystkim, co nie było republiką, skromnie spuszczał oczy. Był to nieugięty kochanek Wolności. Jego gorzkie, natchnione słowa wibrowały jak hymn. Nieoczekiwanie rozpościerał skrzydła. Biada miłostce, która odważyła się zerknąć w jego stronę! Gdyby jakaś gryzетка z placu Cambrai czy z ulicy Saint-Jean-de-Beauvais, widząc tę twarz uczniaka, tę postać pazia, te długie, złote rzęsy, błękitne oczy, rozwichrzone włosy, różowe policzki, świeże wargi i cudowne zęby, skusiła się na te uroki jutrzeńki i chciała wypróbować swoich wdzięków na Enjolrasie, dziwne, a groźne spojrzenie ukazałoby jej z nagłą przepaść i ostrzegło, że nie należy mylić zalotnego Cherubina Beaumarchais'go z potężnym cherubem Ezechiela.

Enjolras reprezentował logikę rewolucji. Combeferre reprezentował jej filozofię. Między logiką rewolucji a jej filozofią istnieje ta różnica, że logika dopuszcza możliwość wojny, filozofia zaś może prowadzić tylko do pokoju. Combeferre uzupełniał i prostował Enjolrasa. Nie sięgał tak wysoko, ale miał rozleglejsze spojrzenie. Chciał, żeby wpajano w umysły szerokie zasady powszechnych idei. Mówił: rewolucja, ale i: cywilizacja. I wokół strzelistego szczytu odślaniał szeroki widnokrąg nieba. Dlatego właśnie wszystkie poglądy Combeferre'a były dostępne i możliwe do wprowadzenia w życie. Łatwiej oddychało się atmosferą rewolucji u boku Combeferre'a niż Enjolrasa. Enjolras wyrażał jej prawo boskie. Combeferre — prawo naturalne. Pierwszy z nich wywodził się z Robespierre'a, drugi był bliższy Condorceta. Combeferre bardziej niż Enjolras żył życiem przeciętnego człowieka. Gdyby obu tym młodzieńcom dane było wejść do historii, pierwszy zwałby się sprawiedliwym, drugi mądrym. Enjolras był bardziej męski, Combeferre bardziej ludzki. *Homo* i *Vir*. Tak, na tym właśnie

polegała różnica między nimi. Combeferre był łagodny, tak jak Enjolras był surowy, przez wrodzoną czystość. Lubił słowo „obywatel”, lecz wolał słowo „człowiek”. Chętnie mówiłby: „*Hombre*”, jak Hiszpanie. Czytał wszystko, chodził do teatru, uczęszczał na odczyty, studiował u Arago polaryzację światła, pasjonował się wykładami Geoffroy Saint-Hilaire, poświęconymi podwójnemu działaniu zewnętrznej i wewnętrznej tętnicy, z których jedna zasila twarz, druga zaś mózg; wiedział o wszystkich nowościach, szedł krok w krok z postępem wiedzy, porównywał Saint-Simona z Fourierem, odczytywał hieroglify, rozbijał znalezione kamyki i rozprawiał o geologii, rysował z pamięci motyla jedwabnika, wytykał błędy językowe w Słowniku Akademii, studiował Puysegura i Deleuze'a, nie wydawał sądu twierdzącego o niczym — nawet o istnieniu cudów; niczemu nie przeczył — nawet istnieniu duchów; przeglądał komplety „*Monitora*”; rozmyślał. Twierdził, że przyszłość jest w ręku nauczyciela ludowego; pochłaniały go problemy wychowania. Pragnął, żeby społeczeństwo pracowało bez wytchnienia nad podniesieniem poziomu umysłowego i moralnego, nad rozpowszechnieniem wiedzy, nad rozprzestrzenianiem myśli i rozwojem umysłu młodzieży. Bał się, żeby nędzne metody nauczania, ubóstwo w poglądach literackich, ograniczających się do znajomości paru wieków, tzw. „klasycznych”, tyrański dogmatyzm urzędowych pedantów, przesady scholastyczne i rutyna nie uczyniły z naszych szkół sztucznych wylęgarni. Był erudytą, purystą, ścisłym, wszechstronnym umysłem, szperaczem i zarazem marzycielem aż do bujania w obłokach, jak mawiali koledzy. Wierzył we wszystkie te mrzonki, w kolej żelazną, w usunięcie bólu przy operacjach chirurgicznych, w utrwalenie obrazu w *camera obscura*, w telegraf elektryczny, w sterowanie balonem. I nie lękał się zbytnio cytadel, którymi ze wszystkich stron obudowały rodzaj ludzki zabobony, despotyzm i przesady. Należał do tych osób, które mniemają, że dzięki nauce układ sił się zmieni. Enjolras był wodzem, Combeferre był przewodnikiem. Z pierwszym chciałbyś walczyć, z drugim — iść naprzód. Nie znaczy to, że Combeferre był niezdolny do walki, nie uchylał się od zmierzenia się oko w oko z przeszłością i potrafił zaatakować ją gwałtownie, ale wolał kierować powoli rodzaj ludzki na drogę zgodną z jego przeznaczeniem przez wpajanie pewników i głoszenie praw pozytywnych; wybierając między dwiema jasnościami, skłaniał się raczej ku rozświetleniu niż ku poźodze. Zapewne, pożar również może rozniecić zorzę, czemuż jednak nie poczekać na wschód słońca? Wulkan rzuca światło, lecz jeszcze większe światło rzuca jutrzeńka. Combeferre przekładał może olśniewającą biel piękna nad płomienny blask wzniosłości. Jasność, przysłonięta dymem, postęp, okupiony . gwałtem, połowicznie tylko zadowalały ten tkliwy i poważny umysł. Wtrącenie całego narodu w prawdę, a więc w to, czyrn był rok 1793, przerażało go, wstrętniejszy był mu jednak zastój, czuł w nim zgniliznę i śmierć; słowem, wolał kipiel od wyziewów stojącej wody, strumień od kloaki i wodospad Niagary od jeziora Montfaucon. Ogólnie biorąc, nie chciał ani zastoju, ani pośpiechu. Podczas gdy jego burzliwi przyjaciele, po rycersku rozmiłowani

w absolicie, uwielbiali i przyzywali wspaniałe wypadki rewolucyjne, Combeferre skłonny był raczej przystać, aby działał sam postęp, poczciwy postęp, może chłodny, lecz czysty; metodyczny, lecz nienaganny; powolny, lecz niezawodny. Combeferre gotów byłby paść na kolana i złożyć ręce, żeby przyszłość nadeszła w całej swej czystości, żeby nic nie zakłóciło wielkiej ewolucji moralnej ludów. „Dobro musi być niewinne” — powtarzał nieustannie. Istotnie, jeśli wielkość rewolucji polega na tym, aby bez zmrużenia oczu patrzeć w oślepiający blask ideału i lecieć doń, mimo gromów, niosąc w szponach krew i pożogę, to piękno postępu musi być bez zmazy; i między Waszyngtonem, który uosabia postęp, a Dantonem, w którym wciela się rewolucja, jest taka różnica jak między aniołem o skrzydłach łabędzia i aniołem o skrzydłach orła.

Jan Prouvaire był człowiekiem nieco jeszcze łagodniejszym od Combeferre'a. Chwilowa fantazja, wypływająca z potężnego i głębokiego nurtu, z którego zrodziły się tak potrzebne badania średniowiecza, sprawiła, że przezwał się Jehanem. Jan Prouvaire był kochliwy, pielęgnował kwiatek w doniczce, grał na flecie, układał wiersze, kochał lud, litował się nad kobietą, wylewał łzy nad dzieckiem, jednaką ufność pokładał w przyszłości i w Bogu i potępiał rewolucję za to, że ścięła głowę królewską — głowę Andrzeja Chenier. Jego słaby zazwyczaj głos nabierał czasem męskiej siły. Wykształcenie jego graniczyło z erudycją: był prawie skończonym, orientalistą. Nade wszystko jednak — był dobry; i rzecz całkiem prosta dla tego, kto wie, jak dobroć blisko graniczy z wielkością: w poezji przekładał potęgę. Znał włoski, łacinę, grecki i hebrajski; korzystał z tego, żeby czytać tylko czterech poetów: Danta, Juwenala, Aischylosa i Izajasza. W literaturze francuskiej wolał Corneille'a od Racine'a, a Agryppę d'Aubigne od Corneille'a. Chętnie wałęsał się po polach zarośniętych dzikim owsem i bławatkami, a zdarzeniom życia poświęcał niewiele więcej uwagi niż obłokom. Umysł jego zajmował dwie postawy: jedną wobec ludzi, drugą wobec Boga: badał lub kontemplował. Przez cały dzień zgłębiał zagadnienia społeczne: płace, kapitał, kredyt, małżeństwo, religię, wolność myśli, wolność uczucia, wychowanie, system kar, nędzę, stowarzyszenia, własność, wytwarzanie i rozdział dóbr, ziemską zagadkę, która cieniem kładzie się na mrowisko ludzkie; wieczorem wpatrywał się w te olbrzymie istnienia — gwiazdy. Podobnie jak Enjolras był zamożnym jedynakiem. Mówił cicho, pochylał głowę, spuszczał oczy, uśmiechał się z zakłopotaniem, był źle ubrany, niezręczny, ogromnie nieśmiały i czerwienił się z byle powodu. A przy tym wszystkim — nieustraszony.

Feuilly nie miał ojca ani matki, był rzemieślnikiem, wyrabiał wachlarze; pracując ciężko, zarabiał trzy franki dziennie i pochłaniała go jedyna myśl: wyzwolić świat. Zajmowała go jeszcze jedna sprawa: kształcenie się, co nazywał również wyzwoleniem siebie. Sam nauczył się czytać i pisać; wszystko, co wiedział, zdobył własną pracą. Feuilly miał szlachetne serce. Obejmował



uściskiem bezmiar. Ten sierota usynowił narody. Ponieważ brakło mu matki, rozmyślał o ojczyźnie. Nie chciał, żeby na ziemi był choć jeden człowiek pozbawiony ojczyzny. Z głęboką intuicją prostego człowieka hodował w sobie to, co dziś nazywamy „ideą narodowości”. Nauczył się historii umyślnie po to, żeby nie oburzać się bezpodstawnie. W tym młodym kółku utopistów, zajętych głównie losem Francji, Feudlly reprezentował zagranicę. Specjalnością jego była Grecja, Polska, Węgry, Rumunia i Włochy. Bez ustanku powtarzał te nazwy przy każdej okazji i bez okazji, z uporem paragrafu prawnego. Turcja na Krecie i w Tesalii, Rosja w Warszawie, Austria w Wenecji; te gwałty budziły w nim gniew. Nade wszystko zaś oburzał go straszny akt przemocy z 1772 roku. Nic nie pobudza tak wymowy jak słuszne oburzenia. Feuilly był wymowny tą wymową. Ciągłe mówił o tej haniebnej dacie, o 1772 roku, o szlachetnym, walecznym narodzie, powalonym zdradziecko, o tej potrójnej zbrodni, o tym potwornym podstępie, co stał się prototypem i wzorem wszystkich przerażających rozbiorów, które od tego czasu dotknęły wiele szlachetnych narodów, wymazując, by tak rzec, metryki ich urodzenia.

Wszystkie społeczne zamachy stanu naszych czasów wywodzą się z rozbioru Polski. Rozbiór Polski — to teoremat, z którego wszystkie współczesne zbrodnie polityczne wynikają jak wnioski. Od wieku już prawie każdy despota, każdy zdrajca powołuje się, zatwierdza, kontrasygnuje i parafuje „*ne varietur*” rozbiór Polski. Kiedy się przegląda dokumenty dzisiejszych zdrad, ta zdrada wysuwa się na pierwsze miejsce. Kongres wiedeński przyjrzał się tej zbrodni, nim dokonał swojej. Rok 1772 to ujadanie sfory, rok 1815 — to podział łupów. Taki był zazwyczaj temat rozmów Feuilly. Ten ubogi robotnik ustanowił się opiekunem sprawiedliwości, która uczyniła go w zamian wielkim. W prawie bowiem zawarta jest wieczność. Warszawa nie może być tatarska, podobnie jak Wenecja nie może być germańska. Królowie daremnie tracą na to swój czas i honor. Prędzej czy później, zatopiona ojczyzna wypływa na powierzchnię i wyłania się z głębiny. Grecja znowu jest Grecją; Włochy znowu są Włochami. Protest prawa przeciw przemocy trwa wiecznie. Kradzież narodu nie ulega przedawnieniu. Te oszustwa na wielką skalę nie mają widoków powodzenia. Naród — to nie chusteczka do nosa; nie można na nim dowolnie zmieniać monogramów.

Courfeyrac miał ojca, który nazywał się panem de Courfeyrac. Mieszczactwo z okresu Restauracji miało między innymi to błędne pojęcie o szlachcie i arystokracji, że wierzyło w dwie literki „de”, umieszczane przed nazwiskiem. Słowo to, jak wiadomo, nie ma najmniejszego znaczenia. Ale mieszczanie z okresu „Minerwy” mieli tak wysokie mniemanie o owym słówku „de”, że każdy czuł się w obowiązku zrezygnować z niego. Pan de Chauvelin kazał się zwać panem Chauvelin, pan de Caumartin — panem Caumartin, pan de Constant de Rebecque — Beniaminem Constant, a pan de Lafayette — panem Lafayette.

Courfeyrac nie chciał pozostać w tyle i nazwał się po prostu Courfeyrac.

- Tu moglibyśmy poprzestać na tym, cośmy powiedzieli, a resztę zamknąć w słowach: „Courfeyrac — patrz: Tholomyes”.

Istotnie, Courfeyrac miał w sobie tę werwę młodości, którą można by nazwać wiośnianą świeżością umysłu. Później znika ona, jak znika figlarność małego kotka, i z całego wdzięku pozostaje u dwunogów mieszczuch, a u czworonogów — kocur.

Całe pokolenia przechodzące przez szkołę, kolejny „pobór” młodzieży, przekazują sobie ten rodzaj umysłowości prawie bez zmian i podają go z ręki do ręki — *quasi cursores*, dlatego też, jak już zaznaczyliśmy, ten, kto usłyszałby w roku 1828 Courfeyraca, mógłby sądzić, że słucha w roku 1817 Tholomyesa. Tylko że Courfeyrac był porządnym chłopcem. Mimo pozornego podobieństwa zewnętrznych cech umysłowości różnica między nim, a Tholomyesem był wielka. Inny człowiek krył się w pierwszym z nich, inny w drugim: w Tholomyesie mieszkał prokurator, w Courfeyracu — błędny rycerz.

Enjolras był wodzem, Combeferre — przewodnikiem, Courfeyrac punktem centralnym. Inni dawali więcej światła, on dawał więcej ciepła; faktem jest, że miał wszelkie cechy centralnego punktu: krągłość i promieniowanie.

Bahorel uczestniczył w krwawych zamieszkach, które wybuchły z okazji pogrzebu studenta nazwiskiem Lallemand w czerwcu 1822 roku.

Bahorel lubił dobrą zabawę i złe towarzystwo; był odważny, lekkomyślny, rozrzutny aż do wspaniałomyślności, gadatliwy aż do granic krasomówstwa, śmiały aż do bezczelności. Z tym wszystkim najzacniejsza w świecie dusza. Nosił jaskrawe kamizelki i czerwone przekonania; zabijaka na wielką skalę, to znaczy, że nade wszystko lubił zwadę, nad zwadę przenosił rozruchy, a nad rozruchy — rewolucję. Zawsze gotów wybić szybę, zerwać bruk, a potem obalić rząd, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie; jedenaście lat był studentem. Wąchał prawo, ale go nie studiował. „Być adwokatem! Przenigdy!” — oto, co przyjął za dewizę, a za herb — stolik nocny, spod którego wystawał biret sędziowski. Ilekroć przechodził obok wydziału prawnego — co mu się rzadko zdarzało — zapinał szczelnie surdut — paltotów jeszcze nie było — i przedsiębrał wszelkie środki ostrożności. O głównym wejściu do swojej uczelni mawiał: „Co za piękny starzec”, a o swoim dziekanie, panu Delvincourt: „Co to za gmach!!” W wykładach widział temat do piosenek, w profesorach modele do karykatury. Nic nie robiąc, przepuszczał dość pokaźną pensję, coś około trzech tysięcy franków. Miał rodziców na wsi i potrafił im wpoić szacunek dla syna.

Mówił o nich: „To nie mieszczuchy, to chłopci, i dlatego mają rozum.”

Bahorel, człowiek kapryśny, chodził do różnych kawiarni: inni mieli przyzwyczajenia, on ich nie miał. Wałęsał się. Błądzić — to rzecz ludzka; wałęsać się — to rzecz paryska. W gruncie rzeczy był to umysł dociekliwy i bardziej głęboki, niżby się zdawało.

Był łącznikiem między Przyjaciółmi Abecadła a innymi, jeszcze nie uformowanymi grupami, które później miały się wyraźniej zarysować.

To zgromadzenie młodych miało jednego łysego w swoim gronie.

Markiz d'Avaray, którego Ludwik XVIII obdarzył tytułem książęcym za to, że mu dopomógł wsiąść do wynajętego kabrioletu w dniu ucieczki za granicę — opowiadał, że w roku 1814, gdy król, powracając do Francji, wylądował w Calais, jakiś człowiek przedłożył mu petycję. „O co chodzi?” — zapytał król. — „Chciałbym zostać naczelnikiem poczty, najjaśniejszy panie!” — „Nazwisko pana?” — „L'Aigle”.

Król zmarszczył brwi, rzucił okiem na podpis i zobaczył nazwisko, napisane „Lesgle”. Ta ortografia, nie zdradzająca bonapartyzmu, ujęła króla tak, że się rozpogodził. „Najjaśniejszy panie — mówił dalej człowiek z petycją — mojego przodka, który był chłopakiem od pilnowania sfory, przezwano Lesgueules. Z tego przezwiska powstało moje nazwisko. Nazywam się Lesgueules, co skrócono na Lesgle, a przekręcano ma l'Aigle.” Na to król uśmiechnął się na dobre, później — umyślnie czy też nieumyślnie — mianował go naczelnikiem poczty w Meaux.

Ten jedyny łysy był synem owego Lesgle'a, czy Legle'a i podpisywał się Legle (z Meaux). Koledzy, skracając, zwali go Bossuetem.

Bossuet był wesołym chłopcem, którego prześladował pech. Odznaczał się tym, że nic mu się nie wiodło. Za to śmiał się ze wszystkiego. Mając dwadzieścia pięć lat był łysy. Ojciec jego dorobił się domku i kawałka roli, ale syn nie znalazł nic pilniejszego do roboty, jak stracić w jakiejś chybionej spekulacji i domek, i rolę. Nie zostało mu ani grosza. Posiadał spory zasób wiedzy i inteligencji, ale zawsze chybiał celu. Nic mu się nie udawało, wszystko go zawodziło; to, co wznosił, waliło mu się na głowę. Jeśli rąbał drzewo, kaleczył się w palec. Jeśli miał kochankę, bardzo prędko spostrzegał, że ma również przyjaciela. Co rusz, wpadał w jakąś biedę, stąd jego wesołość. Mawiał: „Mieszkam pod dachem z dachówek lecących na łeb.” Nie dziwiąc się niczemu, bo każde niemiłe zdarzenie przewidywał z góry, pogodnie znosił przeciwności, a złośliwe figle losu przyjmował z uśmiechem, jak ktoś, kto zna się na żartach. Był biedny, ale kapitał humoru miał niewyczerpany. Często nie miał ani grosza, ale uśmiech — zawsze. Gdy spotykało goniepowodzenie, witał wylewnie tego starego znajomego; katastrofy życiowe klepał po brzuchu, ze Złym Losem był w tak

zażytych stosunkach, że nazywał go po imieniu: „Jak się masz, Stary Pechu!” — mówił.

Prześladowania losu wyrobiły w nim pomysłowość. Na wszystko znał sposób. Nie miał ani grosza, a jednak — kiedy mu przyszła ochota — potrafił „rzucić pieniądze garściami”. Pewnej nocy przejadł aż „sto franków” z jakąś lafiryndą, co dało mu okazję podczas orgii do takiego pamiętnego powiedzenia: „Stufrankowa dziewczyno!, ściągnij no mi buty!”

Bossuet zmierzał wolniutko ku karierze adwokackiej: studiował prawo na wzór Bahorela. Bossuet rzadko kiedy miał mieszkanie; czasem nie miał wcale. Mieszkał to u jednego kolegi, to u drugiego, najczęściej u Joly. Joly studiował medycynę. Był o dwa lata młodszy od Bossueta.

Joly był to młody chory z urojenia. Z medycyny skorzystał tyle, że był raczej pacjentem niż lekarzem. Mając dwadzieścia trzy lata, uważał się za chorowitego i całymi dniami oglądał sobie język w lusterku. Twierdził, że człowiek magnetyzuje się podobnie jak igła, i ustawiał w swoim pokoju łóżko głową na południe a nogami na północ, alby w nocy wielki prąd magnetyczny obiegający ziemię nie zakłócał mu krążenia krwi. W czasie burzy badał sobie puls. Zresztą był najweselszy z całego grona. Wszystkie te sprzeczności: młodość, maniactwa, chorowitość, wesołość, godziły się jakoś ze sobą, tworząc w sumie miłego i ekscentrycznego chłopca, którego koledzy, hojnie szafujący dźwięcznymi spółgłoskami, nazywali Jollilly. „Możesz latać na swoich czterech 1 jak na skrzydłach” — mówił mu Jan Prouvaire.

Joly miał zwyczaj dotykać gałką laski czubka nosa, co jest oznaką przenikliwego umysłu.

Wszyscy ci młodzieńcy, tak różni usposobieniem, o których właściwie należy mówić tylko poważnie, wyznawali wspólną religię: postęp.

Wszyscy byli rodzonymi synami Rewolucji Francuskiej. Każdy, nawet najbardziej płochy, poważniał, wymawiając: rok 1789. Ich ojcowie w sensie fizycznym byli jeszcze lub byli niegdyś konstytucjonalistami, rojalistami, doktrynerami; to nie miało znaczenia; młodych nie obchodził zgoła ten mętlik, który poprzedzał ich urodzenie, w żyłach ich płynęła czysta krew zasad i bez odcieni pośrednich wyznawali nieprzedajność prawa i bezwzględność obowiązku.

Stowarzyszeni i wtajemniczeni usiłowali w podziemnej pracy wykuć ideał.

Wśród tych gorących serc i wierzących umysłów był jeden sceptyk. Jakże się tam znalazł? Prawem kontrastu. Sceptyk ten nazywa! się Grantaire i

podpisywał się zazwyczaj tajemniczo: „R”. Grantaire był człowiekiem, który nade wszystko wystrzegał się wiary w cokolwiek. Należał zresztą do studentów, którzy najwięcej skorzystali ze swych studiów w Paryżu; wiedział, że najlepsza kawa jest w kawiarni „Lemblin”, a najlepszy bilard w kawiarni „Voltaire”; wiedział, że w „Ermitażu” na bulwarze Maine są smaczne ciastka i urodziwe dziewczęta, że kurczęta z rusztu dostanie się u matki Saguet, potrawę z ryby w winnym sosie koło roгатki Cunette, a koło roгатki Combat pewne doskonałe białe wino. Wiedział, gdzie czego szukać; poza tym znał kilka tańców, „salonowca” i bardzo sprawnie fechtował się na kije. Przede wszystkim lubił wypić. Był nieopisanie szpetny. Irma Boissy, najładniejsza w owych czasach cholewkarka, wstrząśnięta jego brzydotą, zawyrokowała: „Grantaire jest niemożliwy!”, ale to nie zachwiało jego dobrego mniemania o sobie; w każdą kobietę wlepił powłóczyście i tkliwe spojrzenie, z miną, która mówiła: „Ba! gdybym tylko zechciał!”, i starał się wmówić kolegom, że dziewczęta się za nim uganiają.

Słowa takie, jak prawo ludu, prawo człowieka, umowa społeczna, Rewolucja Francuska, republika, demokracja, ludzkość, cywilizacja, religia, postęp — dla Grantaire'a nie miały właściwie żadnego znaczenia. Uśmiechał się, słysząc je. Sceptycyzm, ta śniedź inteligencji, nie zostawił mu jednej zdrowej myśli w głowie. Żył ironią. Miał ulubiony aksjomat: „Jedna jest tylko rzecz pewna na świecie: pełna szklanka.” Wykpiwał każde poświęcenie w każdym stronnictwie, tak sarno szydził z brata jak z ojca, tak samo z Robespierre'a młodszego jak z Loizerolles'a. „Dużo im z tego przyszło, że nie żyją!” — wołał. O krzyżu mówił: „No, ta szubieniczka zdobyła powodzenie!” Hulaka, gracz, rozpustnik, często pijany, drażnił tych młodych marzycieli, nieustannie nucąc: „Gustuję w dziewczętach i gustuję w winie!”, na melodię *Niech żyje Henryk IV*.

Ale i ten sceptyk miał swój przedmiot uwielbienia. Przedmiotem tym nie była ani idea, ani dogmat, ani sztuka, ani nauka, lecz człowiek — Enjolras. Grantaire podziwiał, kochał i czcił Enjolrasa. Z kim spośród grona wierzących umysłów związał się ten anarchistaniedowiarek? Z wierzącym najbezwzględniej. Czym Enjolras go podbił? Swoimi przekonaniem? Nie! Swoim charakterem. Zjawisko często spotykane. Niedowiarek, który Ignie do wierzącego, to objaw równie prosty jak dopełnianie się barw. Pociąga nas to, czego nam brak. Nikt tak nie kocha światła jak ślepiec. Karlica uwielbia rosnącego dobosza. Ropucha zawsze wlepią oczy w niebo: po co? Żeby oglądać szybujące ptaki. Grantaire, w którym pełzało zwątpienie, lubił patrzeć na wzloty wiary u Enjolrasa. Enjolras był mu potrzebny. Nie zdając sobie jasno z tego sprawy i nie próbując tego sobie wytłumaczyć, był pod urokiem tej natury czystej, zdrowej, mocnej, prawej, nieugiętej i niepokalanej. Instynktownie podziwiał swoje przeciwieństwo. Jego myśli, miękkie, chwiejne, rozpierzchłe, chore i bezkształtne, czepiały się Enjolrasa jak pionu. Jego kręgosłup moralny wspierał się na tej nieugiętości. U

boku Enjolrasa Grantaire znów stawał się człowiekiem. Sam zresztą składał się z dwóch elementów pozornie nie do pogodzenia. Był ironiczny i serdeczny. Jego obojętność była życzliwa. Jego umysł mógł się obyć bez wiary, ale serce nie mogło się obyć bez przyjaźni. Głęboka sprzeczność: uczucie bowiem to przekonanie. Taką miał naturę. Istnieją ludzie, którzy wydają się od urodzenia przeznaczeni, żeby być „podszewką”, stroną lewą, dopełnieniem. Są to: Polluks, Patrokles, Nisus, Eudamidasi, Efestion i Pechmeja . Żyją tylko oparci o kogoś; imię ich zawsze jest na drugim miejscu i zawsze poprzedza je spójnik „i”; nie mają własnego istnienia; są odbiciem cudzego losu. Do takich ludzi należał Grantaire: był uzupełnieniem Enjolrasa.

Można by zaryzykować twierdzenie, że podobne powiązania zachodzą już między literami alfabetu. W kolejności liter O i P są nierozłącznie ze sobą związane. Można mówić dowolnie: O i P lub Orestes i Pylades.

Tak więc Grantaire, prawdziwy satelita Enjolrasa, zadomowił się w tym kółku młodzieńców, żył wśród nich i tylko tam czuł się szczęśliwy; nie odstępował ich na krok. Z radością patrzył poprzez opary wina na poruszające się ich sylwetki. Tolerowano go dla jego wesołego usposobienia.

Żarliwy i wstrzemięźliwy Enjolras gardził tym wiecznie pijanym sceptykiem. Obdarzał go szczyptą wyniosłego politowania. Grantaire był Pyladem, lecz Pyladem nieuznanym. Zawsze ofukiwany przez Enjolrasa, szorstko odpychany i odtrącany — powracał wciąż, mówiąc o nim: „Jakiż to piękny posąg z marmuru!”

## ROZDZIAŁ II

### MOWA POGRZEBOWA WYGŁOSZONA PRZEZ BOSSUETA KU CZCI BLONDEAU

Pewnego popołudnia, które, jak się okaże, miało związek z opowiedzianymi poprzednio wypadkami, Laigle z Meaux stał wygodnie oparty o drzwi kawiarni „Musadn”. Wyglądał jak kariatyda na wakacjach: dźwigał tylko własne marzenia. Patrzył na plac Św. Michała. Stać, opierając się o coś plecami, to jakby leżeć stojąc; pozycja miła marzycielom. Laigle z Meaux myślał bez przykrości o drobnej przygodzie, która zdarzyła mu się onegdaj na uniwersytecie i pokrzyżowała plany na przyszłość, dość zresztą mgliste.

Zaduma nie przeszkadza dorożce przejeżdżać ulicą ani zadumanemu spostrzec tę dorożkę. Laigle z Meaux, którego wzrok błąkał się w jakiejś wędrowce bez celu, poprzez ten lunatyczny półsen dostrzegł dwukołowy pojazd, który wolno jechał przez plac, jakby nie wiedząc dokąd. Co tu robiła ta dorożka i czemu jechała stąpa? Laigle zaczął się jej przyglądać. W dorożce, obok woźnicy, siedział jakiś młodzieniec, a przed młodzieńcem leżała dość duża torba podróżna. Na torbie widniała kartka przyszyta do materiału, z wypisanym wielkimi, czarnymi literami nazwiskiem: „Mariusz Pontmercy”. Na widok tego nazwiska Laigle zmienił pozycję. Wyprostował się i zawołał na młodzieńca z kabrioletu.

— Panie Pontmercy!

Na to wezwanie dorożka zatrzymała się. Młodzieniec, który również zdawał się być głęboko zamyślony, podniósł wzrok.

— O co chodzi? — zapytał.

— Czy pan jest Mariuszem Pontmercy?

— Ponad wszelką wątpliwość.

— Właśnie pana szukałem — rzekł Laigle z Meaux.

— Jak to być może? — zapytał Mariusz, gdyż on to był właśnie; przed chwilą opuścił dom swego dziadka, a oto teraz zaczepiał go jakiś człowiek, którego widział po raz pierwszy w życiu. — Nie znam pana.

— Ja również nie znam pana — odrzekł Laigle. Mariuszowi przyszło na myśl, że ma do czynienia z jakimś figlarzem, z próbą mistyfikacji ulicznej, a w tej chwili

nie był bynajmniej usposobiony do żartów. Zmarszczył brwi. Laigle z Meaux z niewzruszonym spokojem ciągnął dalej:

— Pan nie był onegdaj na wykładzie?

— To możliwe.

— To nawet pewne.

— Pan jest studentem? — zapytał Mariusz.

— Tak, proszę pana. Jak i pan. Przedwczoraj przypadkiem trafiłem na wykład. Wie pan, czasem strzeli coś człowiekowi do głowy! Profesor właśnie sprawdzał listę. Wiadomo panu zapewne, jacy oni są wtedy pocieszni! Trzy nieobecności — skreślenie z listy. Sześćdziesiąt franków wpisowego wyrzuconych w błoto.

Obudziło to ciekawość Mariusza. Laigle ciągnął dalej:

— Listę odczytywał Blondeau. Zna go pan przecież: ma cienki, złośliwy nos i z lubością wywachuje nieobecnych. Zaczął podstępnie od listy P. Słuchałem jednym uchem, bo nic mi nie groziło od tej litery. Szło wcale nieźle: ani jednego skreślenia. Cały świat stawił się na wykład. Blondeau był smutny. A ja mówiłem sobie: „Blondeau, kochanie, dziś nie uda ci się upolować ani jednego!” Aż tu nagle Blondeau wywołuje: „Mariusz Pontmercy”. Nikt nie odpowiada. Pełen nadziei, Blondeau powtarza głośnie: „Mariusz Pontmercy!” I już chwyta za pióro. Ale ja mam dobre serce; mój panie. Więc szybko powiedziałem sobie w duchu tak: „Oho! Uwaga! Gotów wykreślić porządnego chłopaka. A ten chłopak to człowiek żywy — bo nieakuratny. To nie kujon, ani studiujący student, ani nudny żółtodziób obkuty w naukach ścisłych, literaturze, teologii, pełen wszelkiej sciencji, ani tępy pedant zapięty na wszystkie cztery guziki, a każdy guzik to jeden fakultet. To jakiś szlachetny leń, co się wałęsa, spędza czas na łonie natury, lubi gryzетки, ugania się za dziewczętami i może teraz jest u mojej kochanki. Ratuje go! Śmierć staremu Blondeau!” W tej chwili Blondeau umaczał w atramencie swoje czarne od skreślań pióro, powiódł po sali wyblakłym okiem i po raz trzeci powtórzył: „Mariusz Pontmercy!” Odpowiedziałem: „Obecny!” I dla tej przyczyny pan nie został skreślony.

— Ach, proszę pana!... — przerwał Mariusz.

— A za to ja zostałem skreślony — zakończył Laigle z Meaux.

— Nie rozumiem — rzekł Mariusz. Laigle ciągnął dalej:

— Bardzo proste. Usadawiłem się blisko katedry, aby odpowiedzieć, i blisko drzwi, aby móc się wymknąć. Profesor przyglądał mi się ze szczególną uwagą.



Nagle Blondeau, który widać obdarzony jest tym szelmowskim nosem, o którym mówi Boileau, przeskakuje na literę L. L to moja litera. Pochodzę z Meaux i nazywam się Lesgle.

— L'aigle — orzeł — to (piękne nazwisko — przerwał Mariusz.

— A więc nasz Blondeau dochodzi do tego pięknego nazwiska, proszę pana, i woła: „Laigle!” Odpowiadam: „Obecny”. A wtedy Blondeau popatrzył na mnie z tygrysią słodyczą, uśmiechnął się i powiedział: „Jeśli pan jesteś Pontmercy, tedy nie jesteś pan orłem.” Zdanie ubliżające nieco pańskiej osobie, ale tylko dla mnie fatalne w skutkach. To powiedziawszy wykreśla mnie.

Mariusz wykrzyknął:

— Ach, proszę pana, jestem w rozpaczce...

— Przede wszystkim — przerwał Laigle — chciałbym zabalsamować imię pana Blondeau w paru czułych, pochwalnych słowach. Przypuśćmy, że umarł. Nie trzeba by prawie nic zmieniać, taki jest chudy, blady, sztywny, oziębły i zalatuje trupem. Mówię tedy: *Erudimini, qui judicatis terram*. Tutaj spoczywa Blondeau, Blondeau Nochal, Blondeau *Nasica*, wół roboczy, bas *disciplinae*, pies służbistości, archanioł apelów, który był prostolinijny, kanciasty, skrupulatny, sztywny, uczciwy i wstrętny. Bóg go skreślił, tak jak on mnie skreślił

— Jest mi niezmiernie przykro... — zaczął znowu Mariusz.

— Niech ci to posłuży za nauzkę, młodzieńcze — powiedział Laigle z Meaux. — Na przyszłość bądź akuraty.

— Doprawdy, stokrotnie pana przepraszam.

— I nie narażaj bliźniego twego na skreślenie z listy!

— Jestem ogromnie zmartwiony... Laigle parsknął śmiechem:

— A ja — zachwycony! Niewiele brakowało, a zostałbym adwokatem. To skreślenie ocaliło mnie. Wyrzekam się sukcesów w palestrze. Nie będę bronił wdów ani oskarżał sierot. Żegnaj, tego! Żegnaj, aplikanturo! Otóż i jestem wreszcie skreślony! Panu to zawdzięczam, panie Pontmercy! Chciałbym złożyć panu uroczystą wizytę dziękczynną. Gdzie pan mieszka?

— W tym kabriolecie — odparł Mariusz.

— Znak zamożności — odparł z flegmą Laigle. — Winszuję, winszuję! Płaci pan dziewięć tysięcy franków komornego rocznie.

W tej chwili z kawiarni wyszedł Courfeyrac.

Mariusz uśmiechnął się smutnie:

— Płacę takie komorne od dwóch godzin i marzę, żeby z tym skończyć; ale po prostu nie mam gdzie się podziać.

— Niech pan zamieszka u minie — rzekł Courfeyrac.

— Mnie przysługiwałoby prawo pierwszeństwa — zauważył Laigle. — Ale brak mi mieszkania.

— Cicho bądź, Bossuet — odparł Courfeyrac.

— Bossuet? — zapytał Mariusz. — Wydawało mi się, że pan nazywa się Laigle.

— Z Meaux — odrzekł Laigle. — W przenośni: Bossuet.

Courfeyrac wskoczył do kabrioletu.

— Do hotelu Ponte-Saint-Jacques — rzucił woźnicy. I tego samego wieczoru Mariusz zamieszkał w hotelu

Porte-Saint-Jacques, tuż obok Courfeyraca.

## ROZDZIAŁ III

### MARIUSZ SIĘ DZIWI

Po kilku dniach Mariusz zaprzyjaźnił się z Courfeyrakiem. Młodość to pora łatwych związków i szybkiego zblizniania się ran. Mariusz oddychał swobodnie w towarzystwie Courfeyraca, rzecz dla niego dość nowa. Courfeyrac nie zadawał mu żadnych pytań. Nawet mu to przez myśl nie przeszło. W tym wieku twarze mówią od razu wszystko. Słowa są zbędne. O niejednym młodzieńcu rzecz by można, że ma gadatliwą twarz. Jedno spojrzenie — i znajomość zawarta.

Jednakże pewnego ranka Courfeyrac zapytał z nagła Mariusza:

— Ale, ale, czy ty masz jakieś przekonania polityczne?

— No, wiesz! — odrzekł Mariusz, prawie obrażony takim pytaniem.

— Jakie?

— Jestem demokratą-bonapartystą.

— Ochronna barwa szarej myszy! — rzekł Courfeyrac.

Następnego dnia zabrał Mariusza do kawiarni „Musain”. Po czym szepnął mu do ucha z uśmiechem: „Muszę cię wprowadzić w rewolucję.” I zaprowadził go do sali Przyjaciół Abecadła. Przedstawił go kolegom, mówiąc półgłosem to zwykłe słowo, którego Mariusz nie zrozumiał: „Uczeń.”

Mariusz wpadł w gniazdo inteligentnych os. Zresztą, choć poważny i milczący, nie był najmniej lotny ani też najgorzej uzbrojony.

Samotny do tej pory, zarówno z upodobania, jak i z przyzwyczajenia, skłonny raczej do rozmowy ze sobą, czuł się nieco oszołomiony wśród tego roju młodzieży. Różnorodność wrażeń pociągała go i męczyła zarazem. W zgiełkowej ruchliwości swobodnie kształtujących się umysłów jemu także wirowały myśli. Nieraz w tym zamęcie odbiegały od niego w takie dale, że z trudem je odnajdywał. Słuchał, jak rozprawiano wokoło o filozofii, literaturze, sztuce, historii czy religii w sposób dlań zupełnie nieoczekiwany; dostrzegał odmienny aspekt wielu rzeczy, a nie umiając spojrzeć z odpowiedniej perspektywy, nie był pewien, czy nie widzi chaosu. Porzucając poglądy dziadka dla poglądów ojca, sądził, że ustabilizował się duchowo na zawsze; teraz z niepokojem, nie śmiać się nawet przyznać przed sobą, podejrzewał, że tak nie jest. Patrzył na wszystko znów pod innym kątem. Jakieś drganie zakołysało

horyzontami jego umysłu. Dziwny zamęt wewnętrzny. Przyprawiło go to niemal o ból.

Wydawać by się mogło, że dla tych młodzieńców „nie było nic świętego”. Mariusz słyszał, jak o każdej rzeczy mówiono w dziwny sposób, co niemiłe raziło jego nieśmiały jeszcze umysł.

Ot, zobaczyli afisz teatralny, ozdobiony tytułem tragedii z dawnego, tak zwanego klasycznego repertuaru:

— Precz z tragedią, bożyszczem mieszcuchów! — wołał Bahorel. Na co Mariusz słyszał taką odpowiedź Combeferre'a:

— Nie masz racji, mój drogi! Mieszcuch ceni tragedię i na tym punkcie trzeba mieszcucha zostawić w spokoju. Tragedia pseudoklasyczna ma rację bytu i nie podzielani zdania tych, co w imię Aischylosa odmawiają jej tego prawa. Natura też ma swoje nieudane twory; w dziełach Stwórcy też znajdziesz gotowe parodie; dziób — nie dziób, skrzydła — nie skrzydła, łapy — nie łapy, płetwy — nie płetwy, głos boleściwy, a śmieszny — i masz kaczkę! A skoro drób istnieje obok ptaków, nie widzę powodu, dlaczego by tragedia klasyczna nie mogła istnieć obok tragedii antycznej.

Lub też innym razem traf chciał, że Mariusz przechodził z Enjolrasem i Courfeyraciem ulicą Jana Jakuba Rousseau.

Courfeyrac chwycił go za ramię:

— Oto ulica Platriere, uważasz, dziś nazwana ulicą Jana Jakuba Rousseau, bo sześćdziesiąt lat temu mieszkało na niej pewne osobliwe stadło: Jan Jakub i Teresa. CM czasu do czasu rodziły się tu małe istotki. Teresa wydawała je na świat, a Jan Jakub oddawał do przytułku.

Tu Enjolras skarcił ostro Courfeyraca:

— Wara od Jana Jakuba! Podziwiam tego człowieka. Wyparł się własnych dzieci — to prawda, ale usynowił lud!

Nikt z 'grona tej młodzieży nie wymawiał słowa „Cesarz”. Tylko Jan Prouvaire mówił czasami „Napoleon”; inni zaś mówili „Bonaparte”. Enjolras wymawiał nawet: „Buonaparte”.

Mariusz czuł niejasne zdumienie. *Initium sapientiae.*

## ROZDZIAŁ IV

### W BOCZNEJ SALCE KAWIARNI „MUSAIN”

Jedna z takich dyskusji w gronie młodzieży, przy których Mariusz był obecny i w których czasem brał udział, stała się dla niego prawdziwym wstrząsem.

Działo się to w bocznej salce kawiarni „Musain”. Wszyscy prawie Przyjaciele Abecadła zebrali się tam tego wieczoru. Paliła się uroczyście lampa.

Gadano o tym i owym, bez pasji, ale głośno. Z wyjątkiem Enjolrasa i Mariusza, którzy milczeli, każdy perorował trochę na wiatr. Koleżeńskie pogawędki często są takim właśnie spokojnym gwarem. Była to raczej chaotyczna igraszka słowna niż rozmowa. Rzucano sobie słowa, chwytało je w locie. Rozprawiano po wszystkich kątach.

Żadna kobieta nie miała tu wstępu, z wyjątkiem pomywaczki Ludwisi, która od czasu do czasu przebiegała przez salkę, idąc z pomywalni do „laboratorium.”

Grantaire, zupełnie pijany, rozsiadł się w jednym kącie i zagłuszał wszystkich wokół. Perorował i bredził na całe gardło.

— Mam pragnienie — krzyczał. — Posłuchajcie, śmiertelnicy. Marzę o tym, aby beczka heidelberska dostała ataku apopleksji i żebym był jedną z dwunastu pijawek, które jej zaaplikują. Chętnie bym się napił. Chcę zapomnieć o życiu. Życie to ohydny wynalazek, który wyległ się w nie wiedzieć czyjej głowie. Trwa chwilę i jest licha warte. Człowiek zabija się, żeby żyć. Życie to dekoracja bez drzwi. A szczęście to stara rama pomalowana z jednej tylko strony. Eklezjasta powiada: „Wszystko próżność.” Zgadza się z tym jegomościem, który może nigdy nie istniał. Zero, nie chcąc świecić nagością, przybrało się w próżność. O próżności, która stroisz wszystko w wielkie słowa! Kuchnia zwie się laboratorium, metr tańca — profesorem, linoskoczek — gimnastykiem, wygrażający kułakiem — pięściarzem, pigularz — chemikiem, cyrulik — artystą, byle mularz — architektem, dżokej — sportsmenem, a stonoga — owadem skrzydłonogim. Próżność ma prawą i lewą stronę: prawa jest głupia — to Murzyn ze swoimi świecidełkami, lewa jest niedorzeczna — to filozof ze swymi łachmanami. Płaczę nad jednym, śmieję się z drugiego. Talk zwane honory i godności, a nawet honor i godność to najczęściej blichtr. Władcy igrają sobie z dumą człowieka: Kaligula mianował konsulem konia, Karol II pasował na rycerza kawałek krzyżówki wołowej. Drapujże się teraz w godność między konsulem Incitatusem a baronem Roastbeefem. Duchowa zaś wartość ludzi też niewiele więcej jest godna szacunku. Posłuchajcie tylko panegiryku, jaki

wygłasza sąsiad o sąsiedzie. Biel jest nielitościwa dla bieli. Gdyby lilia mogła mówić, ładnie by obsmarowała gołąbkę. To, co bigotka plecie o dewotce, jest zjadliwsze od żmii czy grzechotnika. Szkoda, że jestem nieuk, przytoczyłbym wam masę innych przykładów, ale nic nie wiem. W każdym razie dowcipu nigdy mi nie brakło. Kiedy jeszcze byłem uczniem Grosa, zamiast tracić czas na smarowanie obrazków, podkradałem jabłka; od pacykarza prosta droga do grandziarza. Tyle o mnie; a wy nie jesteście więcej warci. Gwiżdżę na waszą doskonałość, na wasze cnoty i zalety. Każda zaleta staje się wadą: oszczędność trąci skąpstwem, hojność sąsiaduje z marnotrawstwem, a bitność ociera się o butę. Człowiek bardzo pobożny jest zawsze trochę świętoszkiem. Tyle jest grzechów w cnocie, co dziur w płaszczu Diogenesa. Kogo podziwiacie — zabójcę czy zabitego? Brutusa czy Cezara? Zwykle każdy opowiada się po stronie zabójcy. Niech żyje Brutus! Bo zabił. Taka bowiem jest cnota. Cnota? Niech i tak będzie — ale także szaleństwo! Dziwaczne skazy mają ci wielcy ludzie. Ten sam Brutus, który zabił Cezara, kochał się w posążku małego chłopca. Posąg był dziełem rzeźbiarza greckiego Strongyliona. Jego dłuta jest również posązek amazonki, zwanej Buknemos, czyli Pięknonoga, który Neron woził wszędzie ze sobą. Ten Strongylion pozostawił po sobie tylko te dwa dzieła, które pogodziły ze sobą Brutusa i Nerona. Brutus kochał się w jednym, a Neron w drugim. Historia się powtarza. Jeden wiek jest plagiatem drugiego. Bitwa pod Marengo wzoruje się na bitwie pod Pydną, a Tolbiac Klodwiga i Austerlitz Napoleona podobne są do siebie jak dwie krople krwi. Lekce sobie ważę zwycięstwo.

Pokonać kogoś — to głupstwo! Przekonać kogoś — to dopiero prawdziwa chwala. Spróbujcie wreszcie czegoś dowieść. Zadowalacie się powodzeniem — co za mierność! I zdobywaniem — co za nędza! Niestety, wszędzie marność i nikczemność! Wszystko goni za powodzeniem, nawet gramatyka: *Si volet usus* — powiada Horacy. I dlatego gardzę rodzajem ludzkim. Przejdziemy może teraz od ogółu do szczegółu? Chcecie, żebym zaczął podziwiać narody? Ale jaki naród, proszę? Czy Grecję? Ateńczycy, ci paryżanie starożytności, zabili Fokiona, jak my Coligny'ego, a tyranom schlebiali do tego stopnia, że na przykład Anakeforas mówił o Pizystracie, iż „jego uryna przywabia pszczoły”. Przez pół wieku najwybitniejszym mężem Grecji był gramatyk Filetas, człowiek tak mały i tak wątłej budowy, że musiał obciążać sobie buty ołowiem, żeby go wiatr nie uniósł. Na głównym placu w Koryncie stał posąg dłuta Silaniona, opisany przez Pliniusza; posąg ten przedstawiał Epistatesa. Co zdziałał Epistates? Wynalazł sztukę podstawiania nogi. W tym jest cała Grecja i cała sława. Przejdźmy do innych ludów. Czy mam podziwiać Anglię? Czy mam podziwiać Francję? Francję? Dlaczego? Że ma Paryż? Powiedziałem wam już moje zdanie o Atenach. Więc Anglię? Dlaczego? Że ma Londyn? Nienawidzę Kartaginy. A poza tym Londyn, metropolia zbytku, jest stolicą nędzy. W jednej tylko parafii Charing-Cross stu ludzi umiera rocznie z głodu. Oto Albion. Dodam jeszcze, że

— na domiar złego — widziałem jakąś Angielkę tańczącą w wianku z róż i w niebieskich okularach. W nosie mam Anglię! Jeśli nie podziwiam Johna Bulla, może mam podziwiać brata Jonathana? Niezbyt mi przypada do gustu ten brat niewolników. Odrzućcie: *Time is money* — co pozostanie z Anglii? Odrzućcie: *Cotton is king* — co pozostanie z Ameryki? Niemcy — to limfa; Włochy — to żółć. Czy mam się entuzjasmować Rosją? Wolter się nią zachwycił, to prawda; ale Wolter zachwycił się również Chinami. Przyznaję, że Rosja ma swoje piękne strony, między innymi twardy despotyzm; ale współczuję despotom. Są słabego zdrowia. Aleksy święty, Piotr zasztyletowany, Paweł uduszony, inny Paweł zmiażdżony obcasami, paru Iwanów zarżniętych, kilku Mikołajów i Wasylów otrutych, wszystko to dowodzi, że pałac cesarzy rosyjskich jest miejscem wyjątkowo niezdrowym. Wszystkie narody cywilizowane każą myślicielowi podziwiać jeden szczegół: wojnę. A wojna, wojna cywilizowana, wyczerpuje i jednoczy wszelkie postacie bandytyzmu od rozbojów w wąwozach góry Jaxa począwszy, na napadach Komanczów, plądrujących Texas, skończywszy. Ba, powiecie mi, jednak Europa to nie to co Azja. Przyznaję, że Azja to istna farsa, ale nie widzę powodu, dlaczego wyśmiewacie się z dalajlamy, wy, ludy zachodu, kiedyście sami wprowadzili do waszych obyczajów i do waszej mody wszystkie plugastwa, związane z dostojnymi osobami władców, poczynając od brudnej koszuli królowej Izabeli, a skończywszy na stolcu delfina. Pocałujcie mnie w nos, moi wy przedstawiciele ludzkości. W Brukseli wypija się najwięcej piwa, w Sztokholmie najwięcej wódki, w Madrycie najwięcej czekolady, w Amsterdamie najwięcej jałowcówki, w Londynie najwięcej wina, w Konstantynopolu najwięcej kawy, a w Paryżu najwięcej absyntu; oto wszystkie użyteczne wiadomości. Jednym słowem, górą Paryż! W Paryżu nawet gałganiarze są sybarytami. Diogenesowi byłoby wszystko jedno, być gałganiarzem na placu Maubert czy filozofem w Pireusie. Dowiedzcie się jeszcze tego: szynki gałganiarzy nazywają się „gulgul”. Najstynniejsze z nich są: „Pod Rondlem” i „Rzeźnia”. A więc biorę was na świadków, o karczmy, zajazdy, szynki, knajpy, austerie, oberże, traktiernie, tancbudy, spelunki, „gul-gul” gałganiarzy i karawanseraje kalifów: cenię rozkosze życia. Jadam u Richarda za czterdzieści su na twarz i trzeba mi perskich kobierców, żeby się na nich tarzać z nagą Kleopatram. Gdzie jest Kleopatra? A, to ty Ludwisiu. Dzień dobry.

Tak siedząc w kącie salki kawiarni „Musain”, pijany w sztok Grantaire sypał słowami i zaczepiał przechodzącą pomywaczkę.

Bossuet wyciągnął ku niemu rękę, usiłując zatamować ten potok wymowy, ale Grantaire ciągnął w najlepsze dalej:

— Łapy przy sobie, Orle z Meaux. Twój gest Hippokratesa, odrzucającego Artakserksesowy kramik ze starzyzną, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Zwalniam cię z trudu uspokajania mnie. A zresztą jestem smutny. Cóż wam powiedzieć? Człowiek jest zły, człowiek jest ułomny; motyl to stwór udany, a

człowiek — twór chybiony. Nie udało się Panu Bogu to bydłę. Tłum jest kolekcją szpetoty; pierwszy lepszy człowiek jest nikczemnikiem. A kobieta, do czarta, też niewiele warta. Tak, cierpię na *spleen*, połączony z melancholią, zaprawiony nostalgią i hipochondrią i złoścuję się, wściekam, ziewam, nudzę się i konam z nudów! Do diabła z Bogiem!

— Spokój już, Grantaire! — powtórzył Bossuet, który roztrząsał jakąś kwestię prawną z niewidzialnym interlokutorem i niemal po uszy utkwivszy w jakimś zdaniu wygłaszającym w prawniczym żargonie, tak go mniej więcej zakończył:

— ...ja zaś, choć jestem nietęgim prawnikiem i co najwyżej prokuratorem z natchnienia, obstaję przy tym, że zgodnie z normandzkim prawem zwyczajowym, rokrocznie na Św. Michał winna była być złożona na rzecz pana opłata wyrównawcza, o ile prawo nie stanowiło inaczej, do której to płatności zobowiązani byli wszyscy — zbiorowo i indywidualnie — tak spadkobiercy, którzy objęli spadek, jak i ci, którzy zostali wykluczeni ze spadkobrania, i to dotyczy wszystkich dzierżaw emfiteutycznych i kontraktowych, gruntów alodialnych, umów dominialnych, hipotecznych i hipotetycznych...

— Patetyczny szloch nimf płaczących — zanucił Grantaire.

Przy stoliku obok Grantaire'a było prawie zupełnie cicho; kartka papieru, kałamarz i pióro w sąsiedztwie dwóch szklaneczek wskazywały na to, iż powstawał tu jakiś wodewil. Szeptem radzono nad tą sprawą wielkiej wagi i obie mozolące się głowy stykały się prawie ze sobą.

— Zaczniemy od nazwisk. Jak się ma nazwiska, to i temat się znajdzie.

— Słusznie. Dyktuj. Ja będę pisał.

— Pan Dorimon?

— Rentier?

— Oczywiście.

— Jego córka — Celestyna.

— ...tyna. Co dalej?

— Pułkownik Sainval.

— Sainval — to oklepane. Proponuję Valsain.

Obok początkujących wodewilistów inna grupka, korzystając również z ogólnej



wrzawy, aby mówić szeptem, omawiała pojedynek. „Stary”, lat trzydziestu, udzielał rad „młodemu”, lat osiemnastu, i wyjaśniał mu, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia:

— Do diabła, strzeż się go. To tęga szabla, walczy czysto, ostry w ataku, ma niezawodne finty, giętki przegub, szybki refleks, błyskawiczne odbicie, celne parowanie i precyzyjną ripostę, a w dodatku, do licha, jest mańkutom,

W przeciwległym kącie Joly i Bahorel grali w domino i rozmawiali o miłości.

— Szczęściarz z ciebie — mówił Joly. — Twoja kochanka zawsze się śmieje.

— Źle robi — odpowiadał Bahorel. — Kochanka nie powinna się śmiać. Zachęca do zdrady. Jak widzisz, że jest wesoła, nie masz wyrzutów sumienia, natomiast widząc ją smutną, masz skrupuły.

— Niewdzięcznik! Roześmiana kobieta to taki miły widok. I nigdy nie kłóćcie się ze sobą.

— To wynika z układu, któryśmy zawarli. Zawijając nasze małe „święte przymierze”, wyznaczyliśmy sobie granice, których nigdy nie przekraczamy. Stąd — spokój między nami.

— Spokój to syte szczęście.

— A co słyhać z twoją kłótnią z panną... wiesz, kogo mam na myśli.

— Dąsa się na mnie z okrutną wytrwałością.

— Jesteś przecież naprawdę wzruszająco chudym kochankiem.

— Niestety.

— Na twoim miejscu puściłbym ją kantem.

— Łatwo to mówić.

— I łatwo zrobić. Na imię jej Musichetta, prawda?

— Tak. Mój drogi, to wspaniała dziewczyna, bardzo odcytana, małe rączki, małe nóżki, szykowna, biała, pulchniutka, a oczy ma jak kabalarka. Szaleję za nią,

— A więc, mój drogi, musisz się jej spodobać: bądź elegancki, nadskakujący. Sprawie sobie u Stauba piękne spodnie z przedniego sukna. Zyskasz na tym.

— Ile? — wrzasnął Grantaire.

W trzecim kącie rozpętała się dyskusja o poezji. Mitologia pogańska walczyła w najlepsze z mitologią chrześcijańską. Chodziło o Olimp, w którego obronie stawał Jan Prouvaire, dla samego choćby romantyzmu. Jan Prouvaire był nieśmiały tylko wtedy, gdy był spokojny. Gdy go coś podnieciło, wybuchał; entuzjazm jego zabarwiał się specyficznym humorem, Prouvaire stawał się wówczas wesoły i liryczny.

— Nie lżyjmy bogów — mówił. — Może bogowie jeszcze nie odeszli. Jowisz wcale nie wygląda na umarłego. Powiadacie, że bogowie to złudzenie. No, a przecież nawet w przyrodzie — takiej, jaka jest dzisiaj — po zniknięciu tych złudzeń odnajdujemy wszystkie dawne, wielkie mity pogańskie. Góra o profilu warownej twierdzy — jak na przykład Vignemale — będzie dla mnie zawsze koroną Cybeli. Któż mi udowodni, że bożek Pan nie wygrywa nocą na pustych wierzbach, przebierając palcami po dziuplach jak po dziurkach fletu. Nie mogę się również oprzeć wrażeniu, że istnieje jakiś związek między Io a kaskadą „Szczejącej krowy”.

W czwartym kącie rozprawiano o polityce. Napadano ostro na przyznaną konstytucję. Combeferre bronił jej miękko, Courfeyrac energicznie na nią nacierał. Na stole leżał nieszczęsny egzemplarz sławetnej karty konstytucyjnej Touqueta. Courfeyrac pochwycił go i wymachiwał nim, wtórując swoim wywodom szelestem papieru:

— Po pierwsze: nie chcę królów. Nie chcę ich, choćby dla samych względów ekonomicznych; król — to pasożyt. Nie można mieć króla *gratis*. Posłuchajcie tylko, ile kosztują królowie. Po śmierci Franciszka I dług państwowy Francji wynosił trzydzieści tysięcy liwrów; po śmierci Ludwika XIV dług ten urósł do dwóch miliardów sześciuset milionów — w stosunku dwudziestu ośmiu liwrów za markę — co w roku 1760 równało się, zdaniem Desmaretza, czterem i pół miliarda, a' dziś równałoby się dwunastu miliardom. Po drugie — niech mi daruje Combeferre — nadawanie karty konstytucyjnej to kiepski fortel cywilizacji, ratować przejściowość, torować drogę, łagodzić wstrząsy, prowadzić niepostrzeżenie narody od monarchii do demokracji, stosując fikcje konstytucyjne — to bardzo paskudne racje. Nie! Nie! Nie oświecajmy nigdy ludu pozornym światłem! Zasady bledną i wiedznią w waszym konstytucyjnym lochu. Precz z upodleniem! Precz z kompromisem! Precz z prawami narzuconymi ludowi przez króla! We wszystkich tych nadaniach jest artykuł 14 . Obok ręki, która daje, są pazury, które odbierają. Odrzucam kategorycznie waszą kartę. Karta konstytucji to maska: kryje się pod nią kłamstwo. Naród, który się godzi na konstytucję, abdykuje. Jedynie nie uszczuplone niczym prawo jest prawem. Nie! Precz z konstytucją!

Działo się to zimą; dwa polana trzaskały na kominku. Pokusa była wielka i Courfeyrac jej się nie oparł. Zmiął w rękę niefortunną kartę i cisnął ją w ogień.

Papier zajął się płomieniem. Combeferre, patrząc filozoficznie, jak ogień trawił arcydzieło Ludwika XVIII, zadowolił się słowami:

— Karta przemieniła się w płomień.

Sarkazmy, koncepty, kiepskie żarty, cecha francuska zwana werwą, cecha angielska zwana humorem, w guście dobrym i złym, argumenty dobre i złe, wszystkie szalone fajerwerki dialogu wznosząc się i krzyżując ze wszystkich stron sali tworzyły ponad głowami jakby grad wesołych pocisków.

# ROZDZIAŁ V

## ROZSZERZENIE HORYZONTÓW

Podziwu godne są starcia młodych umysłów: nie można nigdy przewidzieć iskry ani odgadnąć błyskawicy. Co tryśnie za chwilę? Nigdy nie wiadomo. Ze wzruszenia rodzi się wybuch śmiechu. W momencie błazeństwa wkracza nagle powaga. Pierwsze lepsze słówko staje się impulsem. Wszystkimi rządzi fantazja. Byle żart otwiera drogę do rzeczy nieoczekiwanych. Te pogawędki obfitują w niespodziewane zwroty, które zmieniają nagle perspektywę. Przypadek kieruje takimi rozmowami.

Surowa myśl, dziwaczny sposobem zrodzona z czczego dźwięku słów, wybiła się nagle ponad chaotyczną gadaninę, w której bezładnie szermowali językami Grantaire, Bahorel, Prouvaire, Bossuet, Combeferre i Courfeyrac.

Jak takie zdanie pojawia się w rozmowie? Dlaczego ściąga na siebie od razu uwagę tych, którzy je słyszą? Mówiliśmy już, tego nikt nie wie. Wśród ogólnego gwaru Bossuet zakończył nagle jakieś przemówienie do Combeferre'a tą datą: „18 czerwca 1815 roku: Wa-terloo.”

Na dźwięk słowa: „Waterloo”, Mariusz siedzący z łokciami na stole, nad szklanką wody, oderwał rękę od brody i powiódł uważnym spojrzeniem po otoczeniu.

— Do diaska! — zawołał Courfeyrac. („Do diabła” wychodziło podówczas z użycia.) — Ta cyfra 18 jest dziwna i zastanawia mnie. To fatalna liczba Bonapartego. Postawcie przed nią Ludwika, a za nią Brumaire'a, a będziecie mieli całe przeznaczenie tego człowieka, z tą pełną wymowy osobliwością, że koniec następuje na pięty początkowi.

Enjolras, który nie odzywał się do tej pory, przerwał milczenie i zwrócił się do Courfeyraca w te słowa:

— Chcesz powiedzieć, że ekspiacja następuje na pięty zbrodni.

Słowo zbrodni przebrało miarę tego, co mógł znieść Mariusz, bardzo już poruszony nagłym przypomnieniem Waterloo.

Wstał, podszedł wolnym krokiem do wiszącej na ścianie mapy Francji, gdzie na dole, w osobnej sekcji widniał rysunek wyspy; wskazał ją palcem i rzekł:

— Korsyka. Mała wyspa, która uczyniła Francję bardzo wielką.

Powiał lodowaty podmuch. Rozmowy ucichły. Każdy czuł, że teraz coś się stanie.

Bahorel, odcinając się Bossuetowi, miał właśnie przybrać posągową pozę, którą bardzo lubił. Zrezygnował z niej, aby słuchać.

Enjolras, którego niebieskie oczy nie spoczywały na nikim, jakby utkwione w próżnię, odpowiedział nie patrząc na Mariusza:

— Francja nie potrzebuje żadnej Korsyki, żeby być wielką. Francja jest wielka, bo jest Francją. *Quia nominor leo.*

Mariusz nie miał najmniejszej chęci się wycofać; zwrócił się do Enjolrasa i głos jego wybuchnął, nabrzmiały wzruszeniem, dobywającym się z najgłębszych pokładów jego istoty:

— Niech mnie Bóg broni, żebym pomniejszał Francję! Ale nie pomniejszamy jej bynajmniej, włączając w nią Napoleona. O tak! Porozmawiajmy! Niedawno wszedłem do waszego grona, ale muszę przyznać, że mnie zadziwiacie. Gdzie jesteście? Kim jesteście? Kim wy jesteście? Kim ja jestem? Wyjaśnijmy nasze poglądy na cesarza. Słyszę, że mówicie Buonaparte, akcentując „u” tak jak rojaliści. Uprzedzam was, że mój dziadek mówi jeszcze lepiej, bo Buonaparte. Sądziłem, że jesteście młodzi. Dokąd kierujecie wasz entuzjazm? Co z nim robicie? Kogo uwielbiacie, Skoro nie uwielbiacie cesarza? I czego wam jeszcze więcej trzeba? Jakich chcielibyście wielkich ludzi, jeśli odrzucacie tego wielkiego człowieka? On miał w sobie wszystko. Był pełnią człowieczeństwa. Miał w mózgu wszelkie ludzkie zdolności, podniesione do trzeciej potęgi. Układał kodeksy jak Justynian, dyktował jak Cezar, w rozmowie stąpił błyskawice Pascala z piorunami Tacyta, tworzył historię i pisał ją, jego biuletyny to *Iliady*, cyfry Newtona łączył z metaforą Mahometa, pozostawił za sobą na wschodzie słowa potężne jak piramidy; w Tylży uczył cesarzy dostojności, w Akademii Nauk dyskutował z Laplace'em, w Radzie Państwa stawił czoło Merlinowi, wlewał duszę w geometrię jednych, a w kruczki prawne drugich; z prokuratorami był legistą, z astronomami czytał w gwiazdach; jak Cromwell, który gasił co drugą świecę, sam chodził do Tempie i targował się o frędzle do firanki; wszystko widział, wszystko wiedział; nie przeszkadzało mu to śmiać się dobrodusznie nad kolebką swojego dziecka; i nagle, przerażona Europa słuchała, armie ruszały, baterie artylerii ciągnęły, pontony pokrywały rzeki, chmara kawalerii galopowała w huraganowym pędzie, krzyki, granie trąbek, drżenie tronów, granice królestw chwieją się na mapach, słychać szczęk nadludzkiego miecza, dobywanego z pochwy — i oto on — ten archanioł wojny — wyrasta nad horyzontem z płomieniem w dłoni i blaskiem w źrenicy, rozwijając z hukiem gromu swoje dwa skrzydła: Wielką Armię i Starą Gwardię.

Wszyscy milczeli, a Enjolras spuścił głowę. Milczenie zawsze trochę wygląda na zgodę lub też na przypieranie do muru. Mariusz, nie odetchnawszy prawie, mówił dalej z wzrastającym uniesieniem:

— Bądźmy sprawiedliwi, przyjaciele! Być cesarstwem takiego cesarza co to za wspaniały los dla narodu, kiedy tym narodem jest Francja i dodaje swój geniusz do geniuszu tego człowieka. Pojawić się i zapanować, iść naprzód i triumfować, mieć za miejsce postojów wszystkie stolice, brać swych grenadierów i osadzać ich na trony, wyrokować o upadku dynastii, przeobrażać Europę w tempie marsza idącej do ataku kolumny, dać odczuć wszystkim, że grożąc — kładzie się dłoń na głowicy miecza, który jest mieczem Boga, iść za wodzem, który jest w jednej osobie Hannibalem, Cezarem i Karolem Wielkim, być narodem męża, który każdego świtu oznajmia wam o zwycięskiej bitwie, budzić się przy huku dział stojących u Inwalidów, ciskać w świetlistą otchłań cudowne słowa, które po wsze czasy będą gorzeć płomieniem: Marengo, Arcole, Austerlitz, Jena, Wagram! Co chwila rozpalać na zenicie wieków nowe konstelacje zwycięstw! Cesarstwo francuskie uczynić odpowiednikiem cesarstwa rzymskiego, być wielkim narodem i wydać z siebie Wielką Armię, na cały świat rozesać swoje legie, jak góra rozsyła na wsze strony swoje orły, zwyciężać, panować, rozgromiać, być w Europie narodem niejako ozłoconym sławą, rozbrzmiewać poprzez historię świata fanfarami tytanów! Podwójnie zdobyć świat, mieczem i olśnieniem — to jest wspaniałe. Cóż może być większego?

— Być wolnym! — rzekł Combeferre.

Teraz Mariusz spuścił głowę. Te proste, chłodne słowa jak stalowa klinga przeszły jego epicki wylew. Poczuł, jak wylew ten w nim zamiera. Kiedy podniósł wzrok, Combeferre'a już nie było. Zadowolony prawdopodobnie, że taką znalazł odpowiedź na apoteozą, wyszedł i wszyscy, z wyjątkiem Enjolrasa, poszli za nim. Sala opustoszała. Enjolras, zostawszy sam na sam z Mariuszem, przyglądał mu się z powagą. Lecz Mariusz, zebrawszy nieco myśli, nie uważał się wcale za pokonanego; wrzały w nim jeszcze resztki wzburzenia, które niewątpliwie znalazłyby ujście w sylogizmach, skierowanych przeciw Enjolrasowi, gdy nagle rozległ się śpiew; ktoś, schodząc po schodach, śpiewał. Był to Combeferre i oto, co śpiewał:

Gdyby mi Cezar dawał sam

Sławę i berło, ł trony,

Lecz rzeki mi, że się wyrzec mam

Miłości matki rodzonej,

Tak rzekłbym do Cezara:

„Nic mi po twoich darach,

Ja wolę matkę mą, o, hej!

Ja wolę matkę mą!"

Wzruszenie i żarliwość, które brzmiały w śpiewie Combeferre'a, nadawały piosence jakąś przedziwną wielkość. Mariusz, zamyślony, z wzrokiem utkwionym w suficie, powtórzył bezwiednie: „moją matkę?..." W tej chwili poczuł na ramieniu dłoń Enjolrasa: — Obywatelu — rzekł Enjolras — moja matka to republika.

## ROZDZIAŁ VI

### RES ANGUSTA

Ten wieczór głęboko wstrząsnął Mariuszem i smutkiem omroczył mu duszę. Doznawał uczucia, jakiego może doznaje ziemia, kiedy ją krają żelazem, aby złożyć w niej ziarno zboża; na razie odczuwa tylko ból rany; dreszcz poczęcia i radość owocowania przychodzą później.

Mariusz był posepny. Tak niedawno zdobył wiarę; miałżeby ją już odrzucić? Wmawiał w siebie, że tego nie uczyni. Oświadczył sobie, że nie ulegnie zwątpieniu, a przecież mimo woli zaczynał wątpić.

Być między dwoma religiami, z których jednej jeszcze się nie wyrzekł, a drugiej jeszcze nie przyjął — to stan nie do zniesienia; taki mrok miły jest tylko duszom-nietoperzom; Mariusz miał źrenicę otwartą i trzeba mu było prawdziwego światła. Półmrok zwątpienia sprawiał mu ból. I choć gorąco pragnął utrzymać się i pozostać przy swoich przekonaniach, jakaś niezwalczona siła zmuszała go, aby posuwał się dalej, badał, myślał i szedł naprzód. Dokąd go to zaprowadzi? Bał się, że zrobiwszy tyle drogi, która go zbliżyła do ojca, teraz wszedł na drogę, która go od niego oddali. Takie nachodziły go refleksje, powiększając jeszcze jego niepokój. Wokół niego wyrastało urwisko. Nie zgadzał się ani z dziadkiem, ani z przyjaciółmi: dla jednego był zbyt zuchwały, dla drugich — zbyt zacofany; uznał siebie za odsuniętego podwójnie, zarówno przez starość, jak i przez młodość. Przestał chodzić do kawiarni „Musain”.

W tej wewnętrznej rozterce nie myślał wcale o pewnych poważnych stronach życia. Rzeczywistość nie pozwala zapomnieć o sobie. Niespodziewanie odczuł jej kuksańca.

Pewnego ranka właściciel hotelu wszedł do pokoju Mariusza i powiedział:

— Pan Courfeyrac poręczył za pana.

— Tak.

— Ale ja chciałbym pieniędzy.

— Proszę poprosić pana Courfeyraca, żeby przy-szedł pomówić ze mną — odparł Mariusz.

Gdy Courfeyrac przyszedł, gospodarz zostawił ich samych. Mariusz opowiedział koledze — dotychczas nie przyszło mu na myśl, aby mówić o tym — że jest



właściwie sam na świecie i nie ma rodziny.

— Więc co z tobą będzie? — zapytał Courfeyrac.

— Nie wiem — odrzekł Mariusz.

— Co teraz zrobisz?

— Nie wiem.

— Masz pieniądze?

— Piętnaście franków.

— Chcesz, żebym ci pożyczył?

— Za nic w świecie!

— Masz jakieś ubrania?

— To tutaj.

— Jakieś klejnoty?

— Zegarek.

— Srebrny?

— Złoty. Oto on.

— Znam handlarza, który kupi od ciebie surdut i spodnie.

— Dobrze.

— Ale zostanie ci tylko jedna para spodni, jedna kamizelka, jeden kapelusz, jeden frak i żakiet.

— No i buty.

— Jak to! Nie będziesz chodzić boso? co za zbytki!

— To mi wystarczy.

— Znam zegarmistrza, który kupi od ciebie zegarek.

— Dobrze.

— Nie, nie dobrze. Co będziesz robił później?

— Wszystko, co trzeba. W granicach uczciwości, oczywiście.

— Znasz angielski?

— Nie.

— A niemiecki?

— Nie.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jeden z moich przyjaciół, księgarz, układa coś w rodzaju encyklopedii; mógłbyś do niej tłumaczyć artykuły angielskie lub niemieckie. Kiepsko płatne, ale wyżyć z tego można.

— Nauczę się po angielsku i po niemiecku.

— A tymczasem?

— A tymczasem będę zjadać ubranie i zegarek. Sprowadzili handlarza starzyzną. Kupił używaną odzież za dwadzieścia franków. Poszli do zegarmistrza. Kupił zegarek za czterdzieści pięć franków.

— Nienajgorzej! — rzekł Mariusz do Courfeyraca, wracając do hotelu. — Razem z piętnastoma frankami mam w sumie osiemdziesiąt franków.

— A rachunek hotelowy? — zauważył Courfeyrac.

— Masz tobie! Zupełnie zapomniałem! — powiedział Mariusz.

— Do diabła! — rzekł Courfeyrac. — Przejesz pięć franków ucząc się angielskiego i drugie pięć franków, ucząc się niemieckiego. Będziesz więc musiał albo bardzo szybko połykać język, albo bardzo wolno połykać pięciofrankówkę.

Tymczasem ciotka Gillenormand, w gruncie rzeczy niezła osoba w ciężkich sytuacjach, zdołała wreszcie odszukać mieszkanie Mariusza. Pewnego poranku, wróciwszy z uniwersytetu, Mariusz znalazł na stole list od ciotki i w zalakowanym pudełeczku „sześćdziesiąt pistoli”, to znaczy sześćset franków w złocie.

Mariusz odesłał ciotce te trzydzieści ludwików, wraz z pełnym szacunku listem, w którym oświadczał, że ma środka do życia i że mu na wszystko wystarcza. Miał wówczas jeszcze trzy franki.

Ciotka nie wspomniała dziadkowi o odmowie, bojąc się rozjątrzyć go do reszty. Zresztą, czyż nie powiedział sam: „Niech mi się nikt nie waży wspominać o tym krwiożercy!”

Mariusz wyprowadził się z hotelu Porte-SaintJacques, nie chcąc się w nim zadłużyć.

# KSIEGA PIĄTA

## DOBRA STRONA NIESZCZĘŚCIA

### ROZDZIAŁ I

#### MARIUSZ W BIEDZIE

Życie stało się surowe dla Mariusza. Przejeść ubranie i zegarek to jeszcze nie było nic. Zakosztował również smaku tej nie dającej się wypowiedzieć rzeczy, zwanej biedą. Rzecz to straszna, na którą się składają dni bez chleba, noce bez snu, wieczory bez świecy, kominek bez ognia, tygodnie bez pracy, przyszłość bez nadziei, ubranie przetarte na łokciu, stary kapelusz, z którego śmieją się dziewczęta, drzwi, które się zastaje wieczorem zamknięte, bo nie opłaciło się komornego, arogancja dozorczy i restauratora, drwiny sąsiadów, upokorzenia, zdławione poczucie godności, przyjmowanie byle jakiej pracy, niesmak, gorycz, przygnębienie. Mariusz nauczył się, jak się połyka to wszystko i jak często nie ma nic poza tym do przełknięcia. W tym okresie życia, kiedy człowiekowi trzeba dumy, bo trzeba mu miłości, czuł się przedmiotem drwin, bo był źle ubrany, czuł się śmieszny, bo był biedny. W wieku, kiedy młodość rozpiera serce królewską dumą, nieraz spuszczał oczy na swoje dziurawe buty i poznał krzywdzące piętno nędzy i jej bolesny rumieniec. Cudowna i straszliwa próba, która słabych upadła, a mocnych uszlachetnia. Tygiel, w który los wtrąca człowieka, ilekroć chce stworzyć łotra lub półboga.

Albowiem wśród tych drobnych utarczek dokonuje się niemało bohaterskich czynów: istnieje uparte, nie znane nikomu męstwo, które brani, niewidzialne, każdej piędzi przed fatalnym zalewem konieczności życiowych i podłości; szlachetne i tajemne triumfy, których nie ogląda żaden człowiek, nie opłaca żadna sława, nie wita żadna zwycięska fanfara. Życie, nieszczęście, samotność, opuszczenie, bieda — to pola bitew, które mają swoich bohaterów; bohaterów nieznanymi, większymi nieraz od bohaterów głośniejszych na cały świat.

W ten sposób wyrastają niezwykle i silne charaktery; nędza — niemal zawsze zła macocha — bywa czasami matką; z ubóstwa rodzi się moc ducha i umysłu; nędza jest karmicielką dumy; nieszczęście jest dobrym mlekiem dla wielkich dusz.

W życiu Mariusza był okres, kiedy sam zamiatał schody, za jednego su kupował u sklepikarki kawałek sera z Brie, czekał na zmierzch, żeby wejść do piekarza i kupić bochenek chleba, który zanosił chyłkiem na swoje poddasze, jak gdyby go ukradł. Czasem można było widzieć, jak do pobliskiego sklepu rzeźnika,

poprzez gromadę potracających i wyśmiewających go kucharek, wślizgiwał się niezgrabnie młody człowiek z książkami pod pachą, nieśmiały i zarazem wrzący gniewem; wchodząc zdejmował kapelusz z czoła, zroszonego kroplistym potem, kłaniał się nisko zdumionej rzeźniczce, kłaniał się czeladnikowi, prosił o kotlet barani, płacił sześć lub siedem su, zawijał go w papier, kładł między książki i wychodził. Był to Mariusz. Tym kotлетem, który sam sobie smażył, żył przez trzy dni. Pierwszego dnia zjadał mięso, drugiego dnia zjadał tłuszcz, trzeciego dnia ogryzał kość.

Ciotka Gillenormand kilkakrotnie ponawiała próby i przysyłała mu sześćdziesiąt pistoli. Mariusz niezmiennie odsyłał je, oświadczając, że nic mu nie potrzeba.

Nosił jeszcze żałobę po ojcu, kiedy przeżył opowiedziany przez nas wstrząs, i dochowywał nadal wierności czarnemu ubraniu. Cóż, kiedy ubranie nie chciało mu dochować wierności. Nadszedł dzień, w którym okazało się, że nie ma się w co ubrać. Tylko spodnie były jeszcze możliwe do noszenia. Co robić? W zamian za parę przysług wyświadczonych przez Mariusza, Courfeyrac ofiarował mu stary tużurek. Jakiś stróż przenieśli go za trzydzieści su i Mariusz miał już nowe ubranie. Ale tużurek był, niestety, zielony. Odtąd Mariusz wychodził z domu jedynie o zmierzchu. W ten sposób znów miał czarne ubranie; chcąc mieć żałobny strój, okrywał się nocą.

Przez ten czas zdołał uzyskać dyplom adwokata. Jako swój adres podawał pokój Courfeyraca, który był dość przyzwoity i gdzie pewna ilość książek prawniczych, pomnożona i uzupełniona zniszczonymi tomikami romansów, mogła udawać bibliotekę, wymaganą przez przepisy. Tam też kazał kierować korespondencję.

Zostawszy adwokatem, zawiadomił o tym dziadka listem chłodnym, ale pełnym uległości i szacunku. Pan Gillenormand z drzeniem otworzył ten list, przeczytał go, rozdarł na czworo i wrzucił do kosza. W parę dni później panna Gillenormand usłyszała, że ojciec coś głośno mówi do siebie w pustym pokoju. Zdarzało mu się to zawsze w chwilach wielkiego podniecenia. Nastawiła ucha; starzec mówił: „Gdybyś nie był skończonym durniem, wiedziałbyś, że nie można być jednocześnie baronem i adwokatem.”

## ROZDZIAŁ II

### MARIUSZ W NIEDOSTATKU

Z nędzą jest tak jak ze wszystkim. W końcu staje się znośna. Przybiera pewną postać i jakoś się układa. Człowiek wegetuje, to znaczy rozwija się w sposób słaby, niepełny, wystarczający jednak, aby żyć. Oto, w jaki sposób ułożyła się egzystencja Mariusza Pontmercy.

Wyszedł już z najcięższych opresji; perspektywy zaczęły się przed nim trochę otwierać. Dzięki pracowitości, dzielności, wytrwałości i sile woli doszedł do tego, że mógł z pracy wyciągnąć koło siedmuset franków rocznie. Nauczył się niemieckiego i angielskiego. Przez Courfeyraca, który zaznajomił go ze swoim przyjacielem księgarzem, Mariusz pełnił w literaturze księgarskiej funkcje skromne, lecz użyteczne. Układał prospekty, tłumaczył artykuły z dzienników, robił przypisy do wydawnictw, kompilował biografie itd. Czysty dochód roczny, przeciętnie biorąc, siedemset franków. Z tego żył. Nianajgorzej. Jak? Zaraz opowiemy.

Wynajmował w ruderze Gorbeau, za trzydzieści franków rocznie, izdebkę bez kominka, zwaną gabinetem, w której stały tylko najniezbędniejsze sprzęty. Meble te należały do niego. Płacił trzy franki miesięcznie starej „główniej lokatorce”, która zamiatała jego izbę i co rano przynosiła trochę gorącej wody, jedno świeże jajko i chleba za jednego su. Chleb i jajko stanowiły jego śniadanie. Koszt takiego śniadania wahał się od czterech do sześciu su; zależnie od tego czy jajka były tanie, czy drogie. O szóstej wieczorem szedł na ulicę Św. Jakuba, na obiad do Rousseau, naprzeciw Basseta, który miał sklep ze sztychami na rogu ulicy Mathurins. Zupy nie jadł. Brał porcję mięsa za sześć su, pół porcji jarzyny za trzy su i deser za trzy su. Za trzy su miał chleb bez ograniczeń. Zamiast wina — pił wodę. Płacąc w kasie, za którą tronowała pani Rousseau, wówczas już gruba, ale jeszcze świeża, dawał chłopakowi usługującemu jednego su, a pani Rousseau obdarzała go uśmiechem. Po czym odchodził, i tak za szesnaście su miał uśmiech i obiad.

Restauracja Rousseau, gdzie opróżniano tak mało butelek wina, a tyle karafek wody, była raczej miejscem uspakajającym niż pokrzepiającym. Dziś już nie istnieje. Właściciel miał piękne przezwisko: nazywano go „Rousseau-Wodnik”.

Tak więc: śniadanie — za cztery su, obiad — za szesnaście su, jedzenie kosztowało go dziennie dwadzieścia su, co wynosiło rocznie trzysta sześćdziesiąt pięć franków. Dodajcie do tego trzydzieści franków komornego, trzydzieści sześć franków płaconych starej i jeszcze coś niecoś na drobne

wydatki; za czterysta pięćdziesiąt franków Mariusz miał jedzenie, mieszkanie i usługę. Na ubranie wydawał sto franków, na bieliznę pięćdziesiąt, na pranie pięćdziesiąt. Wszystko razem nie przekraczało sześciuset pięćdziesięciu franków. Pozostawało mu pięćdziesiąt franków. Był bogaty. W potrzebie mógł pożyczyć przyjacielowi dziesięć franków; raz Courfeyrac pożyczył od niego aż sześćdziesiąt franków. Kwesnię opał zaś Mariusz, nie mając kominka, „uprościł”.

Mariusz miał zawsze dwa garnitury: jeden stary „na codzień” i drugi nowy od święta. Oba były czarne. Miał tylko trzy koszule — jedną na sobie, drugą w komodzie, trzecią u praczki. Dokupywał je w miarę, jak się zużywały. Zwykle były podarte, co zmuszało go do zapinania surduta po samą szyję.

Upłynęły lata, nim Mariusz doszedł do tego kwitnącego dobrobytu. Ciężkie lata; lata, które przebywał z trudem, inne, przez które piął się mozolnie. Nie załamał się ani razu; wszystkiego doświadczył, jeśli chodzi o niedostatek; robił wszystko, z wyjątkiem długów. Oddawał sobie tę sprawiedliwość, że nigdy nie był nikomu winien ani grosza. Dług — jego zdaniem — to początek niewoli. Twierdził nawet, że wierzyciel gorszy jest od zwierzchnika; zwierzchnik bowiem rozporządza tylko naszą osobą, a wierzyciel ma w swoim ręku naszą godność i może ją spoliczkować. Raczej nie jadł, niż pożyczał. Głodował przez wiele dni. Czując, że wszelkie krańcowości stykają się i że jeśli człowiek się nie pilnuje, poniżenie majątkowe może doprowadzić do poniżenia duchowego, zazdrośnie strzegł swojej dumy. Niejeden zwrot czy postępek, które w innych okolicznościach uznałby za uprzejmy, brał za podłość i stawał okoniem. Niczego nie ryzykował, nie chcąc się wycofywać. Miał na twarzy jakiś surowy rumieniec. Był nieśmiały aż do szorstkości.

W tych ciężkich próbach czuł, że ukryta w nim tajemna siła krzepi go, a nieraz nawet prowadzi. Dusza pomaga ciału, a czasem je unosi wzwyż. Jedyne to ptak, który podtrzymuje swoją klatkę.

W sercu Mariusza, obok imienia ojca, było wyryte jeszcze inne imię, imię Thenardiera. Mariusz, z natury poważny i skłonny do entuzjazmu, otoczył jakby aureolą tego człowieka — któremu, jak sądził, zawdzięczał życie ojca — tego nieustraszonego sierżanta, który pod gradem kul i kartaczy ocalił pułkownika pod Waterloo. Wspomnienie tego człowieka łączył zawsze ze wspomnieniem ojca i otaczał je wspólną czcią. Był to rodzaj dwustopniowego kultu: główny ołtarz dla pułkownika, boczny dla Thenardiera. Wiadomość o nędzy, w którą Thenardier popadł i która go pochłonęła, podwajała jeszcze w Mariuszu tkliwe uczucia wdzięczności. Dowiedział się w Montfermeil o ruinie i bankructwie nieszczęsnego oberżysty. Czynił niesłychane wysiłki, aby odszukać jego ślady i dotrzeć do niego w tej ciemnej otchłani nędzy, w której zniknął Thenardier. Przemierzył całą okolicę; był w Chelles, w Bondy, w Gournay, w Nogent, w

Lagny. Nie ustawał w swej zawziętości przez trzy lata, wydając na poszukiwania te trochę pieniędzy, które zaoszczędził. Nikt nie mógł mu udzielić żadnych informacji o Thenardierze; przypuszczano, że wyjechał z kraju. Wierzyście szukali go także, z mniejszą miłością niż Mariusz, ale z równą zawziętością, lecz nie udało im się go pochwycić. Mariusz wyrzucał sobie i niemal potępiał siebie za bezowocność tych poszukiwań. Był to jedyny dług, który mu zostawił pułkownik, i spłacenie go Mariusz uważał za punkt honoru. „Jakże to! — myślał. — Więc Thenardier umiał wśród dymu i kartaczy odszukać mego ojca dogorywającego na poboju i wynieść go na własnych rękach, choć mu przecie nic nie zawdzięczał, a ja — który mu zawdzięczam tyle — miałbym nie odnaleźć go w ciemnościach, w których teraz kona?! Miałbym go, teraz ja z kolei, nie wyrwać śmierci i nie przywrócić życia?! Och, ja go odnajdę!" I naprawdę, żeby znaleźć Thenardiera, Mariusz chętnie dałby sobie uciąć rękę, a żeby wydobyć go z nędzy, oddałby ostatnią kroplę krwi. Zobaczyć Thenardiera, oddać jakąś przysługę Thenardierowi, powiedzieć mu: „Pan mnie nie zna, ale ja pana znam! Oto jestem. Proszę mną rozporządzać!" — takie było najśodsze i najpiękniejsze marzenie Mariusza.



## ROZDZIAŁ III

### MARIUSZ DOJRZEWA

W owym czasie Mariusz miał dwadzieścia lat. Od rozstania z dziadkiem upłynęło trzy lata. Stosunki między nimi nie uległy zmianie; nie szukali pojednania ani nie usiłowali się spotykać. Po cóż zresztą mieliby się spotykać? Żeby znów doszło do starcia? Który z nich byłby górą? Bo jeśli Mariusz był naczyniem ze spiżu, to stary Gillenormand był garnkiem z żelaza.

Wyznajmy, że Mariusz źle znał serce swego dziadka. Wyobraził sobie, że pan Gillenormand nigdy go nie kochał, że ten prędko, twardo i wesoły jegomość, który kłął, krzyczał, piorunował i wygrażał laską, obdarzał go w najlepszym razie płytkim, a zarazem surowym uczuciem komediowego Geronta. Mariusz się mylił. Zdarzają się ojcowie, którzy nie kochają swoich dzieci; ale nie ma dziadka, który by nie uwielbiał swojego wnuka. W gruncie rzeczy, mówiliśmy już o tym, pan Gillenormand ubóstwiał Mariusza. Ubóstwiał go na swój sposób, przy akompaniamencie połajanek, a nawet i szturchańców; ale gdy chłopiec odszedł, poczuł czarną pustkę w sercu. Zakazał, nawet słowem, o nim wspominać i bolał w duszy, że tak dokładnie wypełniano jego polecenie. Z początku miał nadzieję, że ten bonapartysta, ten jakobin, ten terrorysta, ten „septembrzysta” powróci. Ale mijały tygodnie, mijały miesiące, mijały lata; ku rozpaczycy pana Gillenormand „krwiożerca” nie wracał. „Nie mogłem przecież postąpić inaczej. Musiałem go wypędzić z domu” — mówił w duchu, a potem zapytywał się: „Gdybym po raz drugi znalazł się w takiej sytuacji, czy tak samo bym postąpił?” Duma natychmiast odpowiadała: „Tak”, ale stara głowa, którą kiwał w milczeniu, smutno odpowiadała: „Nie.”

Miewał chwile przygnębienia. Brak mu było Mariusza. Starcom potrzeba miłości tak jak słońca. Miłość jest ciepłem. Chociaż miał tak twardą naturę, nieobecność Mariusza coś w nim odmieniła. Za nic na świecie nie wyciągnąłby pierwszy ręki do tego małego nicponia, ale cierpiał. Nie pytał nigdy o niego, ale wciąż o nim myślał. Mieszkał coraz bardziej osamotniony w dzielnicy Bagno. Był jeszcze wesoły i porywczy, jak za dawnych czasów, ale wesołość jego miała w sobie coś konwulsyjnego, coś napiętego, jakby krył się pod nią ból i gniew; po wybuchach gniewu starzec zapadał w łagodne i posępne przygnębienie. Czasem mówił: „Ale bym mu wyciął siarczysty policzek, gdyby wrócił.”

Co do ciotki, to za mało myślała, żeby być zdolną do głębokich uczuć. Mariusz stał się dla niej jakąś ciemną, zamazaną postacią, w końcu poświęcała mu znacznie mniej uwagi niż kotu czy papudze, które prawdopodobnie posiadała.

Skrytą boleść pana Gillenormand powiększał fakt, że tłumił ją w sobie, nic nie okazując na zewnątrz. Jego zmartwienie podobne było do nowowynalezionych - wielkich pieców, które spalają swój dym. Zdarzało się czasem, że jakiś niezręczny natręt mówił o Mariuszu i pytał: „Co porabia pański wnuk? Co się z nim dzieje?” Stary *bourgeois* wzdychał, jeśli był zbyt smutny, lub strzepywał nonszalancko pyłek z rękawa, jeśli chciał udać wesołość, i odpowiadał: „Pan baron Pontmercy jest adwokacina w jakiejś dziurze.”

A gdy starzec ubolewał nad tym, co się stało, Mariusz był z siebie zadowolony. Podobnie jak każdy człowiek dobrego serca, w nieszczęściu wyzbył się goryczy. O panu Gillenormand myślał teraz życzliwie i spokojnie, lecz nadal trwał w postanowieniu, żeby nigdy nie przyjmować nic od tego człowieka, który był niedobry dla jego ojca. Taką złagodzoną postać przybrały obecnie jego dawne, gniewne uniesienia. Poza tym cieszyło go, że cierpiał i jeszcze cierpi. To. za ojca. Ciężkie życie dogadzało mu i odpowiadało. Z jakąś radością mówił sobie, że „t o przecie n i c!"; że to pokuta; że bez tego za swą niegodziwą obojętność względem ojca, i to takiego ojca, zostałby niechybnie ukarany później w inny sposób; że nie godziłoby się, żeby ojcu przypadły w udziale wszystkie cierpienia, a jemu nic; czymże były zresztą jego trudy i niedostatek w porównaniu z bohaterskim żywotem pułkownika? I że wreszcie, nie załamać się w obliczu nędzy, tak jak pułkownik nie ugiął się w obliczu nieprzyjaciela, to był jedyny sposób, który mógł go zbliżyć i upodobnić do ojca; i to z pewnością znaczyły słowa pułkownika: „Mój syn okaże się tego godny.” Słowa, które Mariusz nadal nosił, nie na piersi wprawdzie, bo pismo pułkownika zaginęło, lecz w sercu.

Kiedy dziadek go wypędził, był jeszcze dzieckiem; teraz był mężczyzną. Czuł to. Podkreślmy jeszcze raz z naciskiem, że bieda wpłynęła nań dodatnio. Bieda, jeśli nie wypaczy młodości, działa na nią wspaniale, bo kieruje całą siłą woli ku wysiłkowi; a całą duszę ku szczytnym pragnieniom. Bieda szybko obnaża materialną stronę życia i wykazuje jej ohydę; stąd niewystłowione wzloty ku życiu idealnemu. Młodzieniec bogaty ma sto różnych rozrywek świetnych i trywialnych zarazem: wyścigi, polowania, psy, tytoń, karty, smaczne jedzenie i resztę, które rozwijają niskie strony duszy kosztem subtelnych uczuć wyższego rzędu. Młodzieniec ubogi z trudem zdobywa kawałek chleba; jeść musi; ale — poza jedzeniem — zostają mu już tylko marzenia. Chodzi na widowiska, które Bóg daje *gratis*: ogląda niebo, przestrzeń, gwiazdy, kwiaty, dzieci; ogląda ludzkość, wśród której cierpi, i świat, w którym świeci jasnym promieniem. Tak się wpatruje w ludzkość, że dostrzega duszę; tak się wpatruje w świat, że dostrzega Boga. Marzy i czuje, że jest wielki; marzy dalej i czuje, że budzi się w nim tkliwość. Od egoizmu człowieka, który cierpi, przechodzi do współczucia człowieka, który myśli. Rozkwita w nim cudowne uczucie: zapomnienie o sobie, a litość dla wszystkich. I wreszcie, myśląc o niezliczonych radościach, którymi

natura szczerze obdziela otwarte dusze, a których odmawia duszom zamkniętym, żałuje bogaczy pieniądza, on — bogacz rozumu. W miarę jak jasność przenika mu do umysłu, wszelka nienawiść ulatuje mu z serca. Czyż zresztą jest naprawdę nieszczęśliwy? Nie. Nędza młodzieńca nigdy nie jest nędzna. Stary cesarz będzie zawsze zazdrościł, choćby najbiedniejszemu, młodemu chłopcu jego zdrowia, siły, sprężystego kroku, błyszczących oczu, świeżej krwi, co ciepłym strumieniem krąży w żyłach, czarnych włosów, jędrnych policzków, białych zębów i czerwonych warg. Ubogi młodzieniec co dzień od rana zabiera się do pracy na kawałek chleba, a gdy ręce zdobywają chleb, krzyż tężeje nieugiętą dumą, a umysł myślami. Po pracy wraca do niewysłowionych uniesień, rozmyślań i radości. Tylko stopami dotyka strapień, przeszkód, kamieni, cierni, czasem i błota, a głową tonie w światłości. Jest mocny, pogodny, łagodny, skupiony i poważny; umie poprzestać na małym, życzliwy jest dla wszystkiego i błogosławi Boga, że mu dał dwa bogactwa, których brak wielu bogaczom: pracę, dzięki której jest wolny, i myśl, dzięki której jest szlachetny.

Takie przemiany zaszły w duszy Mariusza. Prawdę mówiąc, może nadmiernie skłaniał się ku kontemplacji. Od chwili gdy zaczął zarabiać mniej więcej systematycznie na życie, poprzestał na tym, uważając, że dobrze jest być ubogim. Ograniczył pracę na rzecz myśli. To znaczy spędzał nieraz całe dni na rozmyślaniach, pogrążony i zatopiony, jak wizjoner, w niemych rozkoszach ekstazy i promieniowania wewnętrznego. Zadanie życia tak sobie przedstawił: jak najmniej poświęcać się pracy fizycznej, aby móc możliwie jak najwięcej poświęcić się pracy ducha; innymi słowy, przeznaczyć kilka godzin na potrzeby życia realnego, a resztę rzucać w nieskończoność. Nie spostrzegał, sądząc, iż nic mu nie brakuje, że tak pojęta kontemplacja staje się pewną odmianą lenistwa; że zadowolił się zaspokojeniem pierwszych potrzeb i że odpoczywa zbyt wcześnie.

Oczywista, że dla tej natury energicznej i szlachetnej był to tylko stan przejściowy, że przy pierwszym zetknięciu się z nieuniknionymi komplikacjami życia Mariusz by się ocknął.

Na razie, choć został adwokatem, wbrew przypuszczeniom dziadka, nie prowadził żadnych spraw, ani dużych, ani nawet drobnych. Dumania odciągały go od adwokatury. Obcować z rzecznikami stron, biegać do sądu, uganiać się za sprawami — co za nuda! I po co to? Nie widział powodu, żeby zmieniać zajęcie. Ta nędzna, skromna księgarnia dawała mu zarobek pewny, pracę mało uciążliwą, która — jak wyjaśniliśmy przed chwilą — wystarczała mu w zupełności.

Jeden z księgarzy, dla których pracował, pan Magimel, o ile się nie mylę, zaproponował, że zaangażuje go do siebie, da mu przyzwoite mieszkanie, stałą

pracę i tysiąc pięćset franków rocznie. Przyzwoite mieszkanie. Tysiąc pięćset franków rocznie. No tak. Ale zrezygnować ze swobody! Stać się najemnikiem! Jakimś subiektem-literatem! Zdaniem Mariusza, gdyby przyjął te warunki, polepszyłby, lecz i pogorszyłby swoje położenie: zyskałby na dobrobycie, a stracił na godności; nieszczęście pełne i piękne zamieniłby na brzydkie i głupie kłopoty; jak ślepiec, który by przejrzał, ale tylko na jedno oko. Odmówił.

Mariusz żył samotnie. Ostatecznie nie wszedł do grona, któremu przewodził Enjolras, częściowo dlatego że lubił zawsze być na zewnątrz wszystkiego, częściowo z nadmiernej nieśmiałości. Utrzymały się między nimi miłe, koleżeńskie stosunki; w potrzebie wspomagali się wzajemnie we wszelki możliwy sposób — ale nic ponadto. Miał dwóch przyjaciół: młodego — Counfeyraca i starego — pana Mabeuf. Wolał raczej starego. Jemu przede wszystkim zawdzięczał swój przewrót duchowy; dzięki niemu poznał i pokochał ojca: „Zdjął mi bielmo z oczu” — mówił.

Istotnie, skarbnik odegrał w jego życiu decydującą rolę.

Niemniej jednak pan Mabeuf był w tym wypadku tylko biernym narzędziem Opatrzności. Oświecił Mariusza bezwiednie i przypadkowo, podobnie jak oświeca wniesiona przez kogoś świeczka; był świeczką, a nie tym, który ją wnosił.

Jeżeli zaś chodzi o wewnętrzny przełom w przekonaniach politycznych Mariusza, pan Mabeuf nie był wcale zdolny zrozumieć go, pragnąć, ani nim pokierować.

Ponieważ spotkamy się jeszcze z panem Mabeuf, nie od rzeczy będzie powiedzieć o nim parę słów.

## ROZDZIAŁ IV

### PAN MABEUF

Tego dnia, kiedy pan Mabeuf powiedział Mariuszowi: „Uznaję, oczywiście, poglądy polityczne”, wyraził w tym zdaniu całą swoją mentalność. Wszystkie poglądy polityczne były mu jednakowo obojętne i uznawał wszystkie, bez różnicy, byle go tylko pozostawiły w spokoju. Postępował podobnie jak Grecy, którzy mówili o Furiach, „piękne, dobre i wdzięczne”, czyli Eumenidy. Przekonania polityczne zastępowała panu Mabeuf namiętna miłość do roślin, nade wszystko zaś do książek. Miał, podobnie jak wszyscy, swoją końcówkę na „ista”, bez której w owym czasie nikt nie mógł się obyć, ale nie był ani rojalistą, ani bonapartystą, ani konstytucjonalistą, ani orleanistą, ani anarchistą, lecz bukinistą.

Nie rozumiał, że ludzie wypełniają sobie życie nienawiścią z powodu takich błahostek, jak konstytucja, demokracja, legitymizm, monarchia, republika itd., kiedy jest na tym świecie tyle rodzajów mchów, ziół i krzewów, i takie stosy książek *in folio*, a nawet im. 32, które mogą oglądać. Wystrzegał się bardzo, aby nie być bezużytecznym; posiadanie książek nie przeszkadzało mu czytać; znajomość botaniki nie przeszkadzała mu być ogrodnikiem. Gdy poznał Pontmercy'ego, pomiędzy pułkownikiem a nim nawiązała się sympatia, gdyż to, co pułkownik robił dla kwiatów, on robił dla owoców. Pan Mabeuf zdołał wyhodować z własnego szczepu gruszki, równie wyborne w smaku jak gruszki Saint-Germain; podobno jedna z jego krzyżówek wydała słynną dzisiaj mirabelę październikową, nie mniej wonną od mirabeli letniej. Chodził na mszę raczej z łagodności charakteru niż z pobożności, a także i dlatego, że lubiąc twarze ludzi, a nienawidząc zgiełku, jaki czynią, tylko w kościele znajdował milczący tłum. Rozumiejąc, że trzeba być czymś w społeczeństwie, wybrał zajęcie skarbnika parafii. Wreszcie, nie zdołał nigdy pokochać żadnej kobiety tak, jak kochał cebulkę tulipana, ani żadnego mężczyzny tak, jak kochał elzewiry. Ktoś zagadnął go raz, gdy już dobrze przekroczył sześćdziesiątkę: „Czemu pan się nie ożenił?” — „Zapomniałem!” — odpowiedział. Jeżeli zdarzało mu się niekiedy — komu to się nie zdarza — powiedzieć: „Ach, gdybym był bogaty...” — mówił to podziwiając jakąś starą księgę, a nie, jak dziadek Gillenormand, zerkając na urodziwe dziewczę. Mieszkał sam wraz ze starą gospodynią. Cierpiał na chiragrę i kiedy spał, jego starcze, zeszywniałe od reumatyzmu palce wpierały się w fałdy prześcieradła. Napisał i ogłosił drukiem pracę *Flora okolic Cauteretz*, ilustrowaną kolorowymi tablicami. To dość cenione dzieło, którego płyty miedziorytowe znajdowały się u niego, rozsprzedawał sam. Parę razy dziennie nabywcy przychodzący po Florę z *okolic Cauteretz* dzwonili do jego mieszkania

przy ulicy Mezieres. Miał z tego przeszło dwa tysiące franków rocznie i to stanowiło całą jego fortunę. Chociaż niezamożny, dzięki cierpliwości i oszczędności potrafił z czasem zebrać cenną kolekcję rzadkich egzemplarzy wszelkiego rodzaju. Wychodził zawsze z książką pod pachą, a często wracał z dwiema. Jedyną ozdobą czterech pokoiów na parterze; które wraz z małym ogródkiem stanowiły jego mieszkanie, były zielniki oprawione w ramki i grawiury starych mistrzów. Widok szabli czy strzelby mroził go. Nigdy w życiu nie zbliżył się do działa, nawet u Inwalidów. Miał niezgorszy żołądek, brata księdza, siwiuteńkie włosy, usta bez zębów i duszę bez żółci; trząsał się cały, mówił pikardyjskim akcentem, śmiał się jak dziecko, łatwo się przestraszał i przy- pominął starego barana. Z tym wszystkim — poza starym księgarzem z Bramy Św. Jakuba, nazwiskiem Royol — nie łączyła go przyjaźń ani zażyłość z żadną żywą istotą. Marzył, żeby we Francji zaaklimatyzować indygo.

Służąca jego była również specyficznym okazem niewinności. Biedna, poczciwa starowina była dziewczycą. „Sułtan”, jej kot, który mógłby wymiauczyć *Miserere* Allegriego w Kaplicy Sykstyńskiej, wypełnił jej serce i zaspokajał całkowicie głód miłości. Żadne z jej marzeń nie sięgało aż do mężczyzny. Nigdy nie mogła wyjść uczuciem poza swojego kota. Podobnie jak on miała wąsy. Chlubą jej były czepki, zawsze białe. W niedzielę, po mszy, spędzała czas na liczeniu bielizny w kufierku i rozkładaniu na łóżku materiałów kupionych na suknie, których sobie nigdy nie szyła. Umiała czytać. Pan Mabeuf przezwał ją matką Plutarch.

Pan Mabeuf polubił Mariusza, gdyż Mariusz, młody i łagodny, rozgrzewał jego starość, nie płosząc jego ' nieśmiałości. Młodość połączona z łagodnością działała na starców tak jak słoneczny dzień bez wiatru. Kiedy Mariusz nasycił się chwałą wojenną, prochem armatnim, marszami oraz kontrmarszami i wszystkimi wspaniałymi bitwami, w których jego ojciec zadawał i otrzymywał tak potężne cięcia, szedł do pana Mabeuf i pan Mabeuf opowiadał mu o bohaterze z punktu widzenia kwiatów.

Około roku 1830 brat pana Mabeufa, proboszcz, umarł i prawie nagle — jak za nadejściem nocy — zamroczył się dlań cały widnokrąg. Bankructwo notariusza pozbawiło go sumy dziesięciu tysięcy franków, wszystkiego, co posiadał wraz z majątkiem po bracie. Rewolucja lipcowa wywołała kryzys w księgarstwie. Taka rzecz jak *Flora* odczuwa pierwsza skutki przesilenia gospodarczego, *Flora z okolic Cauteretz* nie szła. Upływały tygodnie, a nabywcy nie zjawiali się. Czasem pan Mabeuf wzdrygał się na odgłos dzwonka. „To człowiek z wodą, proszę pana” — mówiła ze smutkiem matka Plutarch. Krótco mówiąc, pewnego dnia pan Mabeuf opuścił ulicę Mezieres, zrzekł się funkcji skarbnika parafii, zrezygnował ze Św. Sulpicjusza, sprzedał część, nie książek, lecz sztychów, na których mu najmniej zależało, i przeprowadzał się do niewielkiego domku przy bulwarze Montparnasse, gdzie zresztą mieszkał tylko przez jeden kwartał, a to z dwóch powodów: po pierwsze parter i ogród kosztowały trzysta franków, a nie

mógł płacić za czynsz więcej niż dwieście franków; po wtóre, mieszkając w sąsiedztwie strzelnicy Fatou, przez całą noc słyszał pistoletowe strzały, co było dlań nie do zniesienia.

Wziął swoją *Florę*, płyty miedziorytowe, zielniki, teki, książki i zamieszkał koło Salpetriere, w wiosce Austerlitz, gdzie znalazł jakąś chatynkę; miał tam za pięćdziesiąt talarów rocznie trzy pokoje, ogród otoczony żywopłotem i studnię. Skorzystał z przeprowadzki, żeby sprzedać prawie wszystkie meble. Tego dnia, kiedy wprowadził się do nowego mieszkania, był bardzo wesoły, sam wbijał gwoździe do zawieszania grawiur i zielników, przez resztę dnia kopał w ogrodzie, a wieczorem, widząc, że matka Plutarch ma zasępioną minę i jest zamyślona, poklepał ją po ramieniu i powiedział z uśmiechem: „Przecież mamy jeszcze indygo”!

Tylko dwóch gości — księgarza z Bramy Św. Jakuba i Mariusza — przyjmował w swej chałupce w Austerlitz; prawdę mówiąc, ta huczna nazwa była mu raczej niemiła.

Zresztą, jak wspominaliśmy przed chwilą, do umysłów zatopionych w mądrości lub w szaleństwie, czy też, jak się to nieraz zdarza, w jednym i drugim jednocześnie — sprawy codziennego życia przenikają bardzo powoli. Własny los jest im obojętny. Z tego zamknięcia się w sobie wynika bierność, która — gdyby była wyrozumowaną — przypominałaby filozofię.

Człowiek gaśnie, upada, nawet ginie, nie zdając sobie z tego niemal sprawy. W końcu, co prawda, następuje zawsze przebudzenie — lecz zbyt późno. Narazie zaś człowiek wydaje się nieczuły na grę, która się toczy między jego dolą a niedolą; obojętnie patrzy na rozgrywkę, choć sam jest stawką

Tak więc, wśród mroków, które go zewsząd ogarnięty gdy wszystkie jego nadzieje rozwiewały się jedna po drugiej, pan Mabeuf zachował pogodę, może trochę dziecinną, ale niczym nie zmaconą. Jego przyzwyczajenia umysłowe miały w sobie coś z mechanizmu zegara; umysł jego, pobudzony jakimś złudzeniem, szedł długo w tym kierunku, nawet gdy złudzenie już przyszło, jak zegar nie zatrzymuje się od razu z chwilą zgubienia doń klucza.

Pan Mabeuf miał swoje niewinne rozrywki. Rozrywki te były niezbyt kosztowne i nieprzewidziane; dostarczał mu ich najbliższy przypadek. Pewnego dnia matka Plutarch czytała w kącie pokoju jakąś powieść. Czytała na głos, myśląc, że w ten sposób lepiej rozumie. Głośno czytać — to jakby potwierdzać sobie samemu to, co się czyta. Niektórzy ludzie czytają bardzo głośno z taką miną, jakby słowem honoru ręczyli za to, co czytają.

Z taką właśnie energią matka Plutarch czytała swoją powieść. Pan Mabeuf

słyszał ją, nie słuchając.

Była w tej powieści mowa o oficerze dragonów i jego lubej. Matka Plutarch doszła do zdania:

„...wskoczył do powozu i pod budą ją cmok...”

Tu przerwała, alby przetrzeć okulary.

„Budda i smok — powtórzył półgłosem pan Mabeuf. — Tak, to prawda; był taki smok, co ze swej jaskini ział ogniem z paszczy i palił niebo. Wiele *już* gwiazd spłonęło z powodu tego potwora, który miał, na dodatek, tygrysie pazury. Budda poszedł do jaskini i zdołał nawrócić potwora. Dobrą książkę czytasz, matko Plutarch. To najpiękniejsza legenda.”

Po czym pan Mabeuf zatonął w rozkosznych marzeniach.



## ROZDZIAŁ V

### UBÓSTWO, DOBRY SĄSIAD NADZY

Mariusz czuł sympatię do tego dobrodusznego starca, który widział, jak powoli wkrada się do niego niedostatek, i zaczynał się już temu trochę dziwić, choć jeszcze się nie smucił. Mariusz widywał się z Courfeyrakiem i starał się zobaczyć z panem Mabeuf; bardzo rzadko jednak, najwyżej raz lub dwa razy na miesiąc.

Rozrywką Mariusza były długie, samotne przechadzki po zewnętrznych bulwarach, po Polu Marsowym lub po najmniej uczęszczanych alejach Ogrodu Luksemburskiego. Czasami przez pół dnia przyglądał się jakiemuś ogródkowi warzywnemu, grędom sałaty, kurom na śmietniku czy koniowi obracającemu koło kieratu. Przechodnie patrzyli na niego ze zdziwieniem, niektórym ubiór jego wydawał się podejrzany, a wygląd złowrogi. A był to tylko ubogi młodzieniec, zatopiony w nieokreślonych marzeniach.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek odkrył ruderę Gonbeau i, skuszony jej położeniem na odludziu i niskim komornym, zamieszkał tam. W ruderze Gonbeau znano go tylko jako „pana Mariusza”.

Paru dawnych generałów i dawnych towarzyszy ojca, poznawszy Mariusza, zapraszało go do siebie. Mariusz nie odmawiał. Dawało mu to sposobność rozmowy o ojcu. Odwiedzał czasami hrabiego Pajol, generała Bellavesne i generała Fririon, który mieszkał u Inwalidów. Muzykowano tam i tańczono. W takie Wieczory Mariusz wkładał nowe ubranie. Ale chodził na te bale i wieczorki tylko wówczas, kiedy na dworze był trzaskający mróz, ponieważ nie miał pieniędzy na wynajęcie powozu, a uważał, że może się tam pokazać tylko w butach błyszczących jak lustro.

Mówił czasem bez goryczy: „Tacy już są ludzie. W salonie możesz być zabłocony cały, z wyjątkiem butów. Przyjmując cię tam, wymagają jednej rzeczy, która musi być bez zarzutu. Sumienie? Nie! Buty.”

Wszystkie namiętności — prócz namiętności serca — rozplywają się w marzeniu. Gorączka polityczna Mariusza także w nim wygasła. Dopomogła także do tego rewolucja 1830 roku, która go zadowoliła i uspokoiła. Pozostał taki, jakim był, wyjąwszy wybuchy gniewu. Miał ciągle te same przekonania, tyle tylko, że złagodzone. Właściwie mówiąc, nie miał już przekonań: miał sympatie. Do jakiego stronnictwa należał? Do stronnictwa ludzkości. W ludzkości — wybrał Francję; w narodzie wybrał lud; w ludzie — wybrał kobietą. Ją szczególnie ogarniał swoją litością. Przekładał teraz myśl nad czyn, poetę

nad bohatera i bardziej podziwiał taką księgę jak księga Hioba, niż takie wydarzenie jak bitwa pod Marengo. Kiedy po dniu spędzonym na rozmyślaniach wracał wieczorem bulwarami i poprzez gałęzie drzew widział przestwór bez dna, światła bez nazwy, otchłań, ciemność, tajemnicę — wszystko, co tylko ludzkie, wydawało mu się bardzo małe.

Sądził — i może tak było istotnie — że dotarł do prawdy życia i filozofii ludzkiej, i teraz spoglądał już tylko w niebo — jedyną rzecz, którą prawda może widzieć z głębin, w których jest ukryta. Nie przeszkadzało mu to snuć wielu planów, mniej czy więcej realnych projektów i zamierzeń na przyszłość. Gdyby ktoś mógł wejrzeć w duszę Mariusza w stanie tego rozmarzenia, byłby olśniony jej czystością. Istotnie, gdyby naszym cielesnym oczom dane było zajrzeć w sumienie człowieka, słuszniej można by go było ocenić na podstawie jego marzeń niż myśli. W myśli jest świadoma wola, nie ma jej w marzeniu. Marzenie, które jest spontaniczne, przybiera i zachowuje kształt naszego umysłu, nawet w tym, co gigantyczne i idealne; nic tak szczerze i tak bezpośrednio nie wypływa z samej głębi naszej duszy jak nieprzemyślane, zbyt wysoko sięgające pragnienia, zmierzające ku świetnościom losu. W tych pragnieniach znacznie lepiej można odnaleźć prawdziwy charakter każdego człowieka niż w usystematyzowanych, wyrozumowanych i uporządkowanych myślach. Nasze rojenia są naszym najwierniejszym obrazem. Każdy marzy, jak go na to stać, o tym, co nieznanne i nieziszczalne.

Mniej więcej w połowie 1831 roku starowina, usługująca Mariuszowi, opowiedziała mu, że wyrzucają z domu jego sąsiadów, biedną rodzinę Jondrette'ów. Mariusz, który całe dni spędzał poza domem, zaledwie wiedział, że ma sąsiadów..

— Dlaczego ich wyrzucają? — zapytał.

— Nie płacą komornego. Winni są już za pół roku.

— To znaczy ile?

— Dwadzieścia franków — odrzekła stara. Mariusz miał w szufladzie trzydzieści franków.

— Oto dwadzieścia pięć franków — rzekł do starej. — Zapłaćcie za tych biedaków, dajcie im pięć franków i nie mówcie, że to ode mnie.

# ROZDZIAŁ VI

## ZASTĘPCA

Przypadek zrządził, że pułk porucznika Teodula został przeniesiony do Paryża. Ta okoliczność sprawiła, że ciotka Gillenormand po raz drugi „wpadła na pomysł”. Pierwszy raz umyśliła, żeby Teodul pilnował Mariusza; teraz uknuła spisek, żeby na miejsce Mariusza wprowadzić Teodula.

Na wszelki wypadek, gdyby dziadek poczuł cichą tęsknotę za młodą twarzą w domu — ruiny lubią niekiedy blask jutrzeźki — należało wynaleźć innego Mariusza. „Tak — pomyślała — to będzie takie *erratum*, jakie widuję w książkach: «zamiast: Mariusz, czytaj: Teodul».”

Stryjeczny wnuk to niemal to samo co rodzony wnuk. Z braku adwokata bierze się porucznika.

Pewnego ranka, gdy pan Gillenormand coś tam czytał, może „La Quotidienne”, weszła córka i odezwała się najśłodszym głosem, gdyż chodziło o jej ulubieńca:

— Dziś rano Teodul przyjdzie złożyć ojcu swoje uszanowanie.

— Jaki znów Teodul?

— Stryjeczny wnuk ojca.

— Aha! — odrzekł dziadek.

Po czym zabrał się znów do czytania, nie myśląc zgoła o stryjecznym wnuku, który był tylko jakimś tam Teodulem, i w końcu wpadł w bardzo zły humor, co mu się prawie zawsze zdarzało, kiedy czytał gazetę. „Świstek”, który trzymał w ręku, rojalistyczny zresztą — co się samo przez się rozumie — zawiadamiał w tonie zupełnie obojętnym o mającym nastąpić nazajutrz drobnym wydarzeniu, należącym do powszednich wydarzeń w życiu ówczesnego Paryża. Studenci wydziałów prawa i medycyny mieli się zebrać w południe na placu przy Panteonie, aby obradować. Chodziło o aktualne zagadnienie, o artylerię gwardii narodowej oraz o zatarg pomiędzy ministrem wojny a „milicją obywatelską” w sprawie dział ustawionych na dziedzińcu Luwru. Studenci mieli „obradować” na ten temat. To wystarczyło, aby wyprowadzić pana Gillenormand z równowagi.

Pomyślał, że Mariusz, który jest studentem, przyjdzie pewno wraz z innymi „obradować” jutro w południe przy Panteonie.

Snuł właśnie te bolesne myśli, kiedy porucznik Teodul, ubrany po cywilnemu, co było zręcznym posunięciem, został dyskretnie wprowadzony do pokoju przez pannę Gillenormand. Lansjer tak sobie kombinował: stary piernik nie umieścił całego majątku w rencie dożywotniej. Od czasu do czasu warto przebrać się za cywila.

Panna Gillenormand rzekła głośno do ojca:

— Oto Teodul, stryjeczny wnuk ojca. Szeptem zaś do porucznika:

— Potakuj mu we wszystkim. Po czym wyszła z pokoju.

Porucznik, który czuł się trochę nieswojo w tak czcigodnym towarzystwie, bąknął nieśmiało:

— Dzień dobry, drogi dziaduniu — i złożył skomplikowany ukłon, który zaczął machinalnie jak ukłon wojskowy, aby skończyć na ukłonie cywilnym.

— A, to ty! Dobrze, siadaj — odrzekł dziadek. To rzekłszy najzupełniej zapomniał o lansjarze. Teodul usiadł, a pan Gillenormand wstał.

Wstał i z rękami w kieszeniach zaczął przemierzać pokój, mówiąc do siebie na głos i starczymi, drżącymi z irytacji palcami szarpiąc dwa zegarki, które miał w obu kieszonkach kamizelki.

— Banda smarkaczy! Zebrań im się zachciało przy Panteonie. O, na cnotki mojej pieśczołki! Smyki ledwo z pieluch wyrosłe. Mleko im pod wąsem jeszcze nie obeschło! I to ma jutro w południe obradować! Dokąd nas to zaprowadzi? Dokąd? — pytam. Do przepaści — to jasne! Ha, do czego nas doprowadzili panowie „*descamisados*”! Artyleria obywatelska! Obradować nad artylerią obywatelską! Gardłować na ulicy nad pukawkaimi Gwardii Narodowej! I w jakimże towarzystwie tam się znajdują? Patrzajcie, do czego prowadzi jakobinizm! Idę o zakład, idę o najgrubszy zakład, że będą tam same wyrzutki społeczeństwa i zbiry wypuszczone z więzienia. Republikanie i galernicy! Ha! Pasują do siebie jak koło do woza. Gamet mówi: „Dokąd mam iść, ty zdrajco!” A Fouchet mu na to: „A gdzie chcesz, durniu!” No, proszę! Macie swoich republikanów!

— Racja! — rzekł Teodul.

Pan Gillenormand odwrócił nieco głowę, spojrział na Teodula i ciągnął dalej:

— I pomyśleć, że ten gagatek miał czelność zostać jakimś *carbonaro*. Po coś opuścił mój dom? Żeby zostać republikaninem?! Phy! Przede wszystkim lud wcale nie, chce twojej republiki, nie chcą bo ma olej w głowie i wie, że królowie

zawsze byli i zawsze będą; wie, że lud — koniec końców — jest tylko ludem, toteż kpi sobie z twojej republiki, kpi — słyszysz, głupcze jeden?! Cóż za zwyrodniałe zachcianki! Po gębach prać tych młokosów, tacy są głupi; rozkochują się w ojcu Duchene, przewracają czułe oczy do gilotyny, śpiewają serenady i brzdąkają na gitarze pod balkonem 93 roku! Wszyscy tacy sami! Wszyscy bez wyjątku! Wystarczy odetchnąć powietrzem ulicy, żeby stracić rozum! Dziewiętnasty wiek to trucizna! Pierwszy lepszy młokos zapuszcza sobie bródkę w szpic, bierze na serio swoje błazeństwa i puszcza kantem rodzinę, jakby nigdy nic! Bo to po republikańsku! Bo to romantyczne! Romantyczność? A co to ma znaczyć? Powiedzcie mi łaskawe, co to ma znaczyć? Wielkie głupstwo, ot, co! Rok temu latali na *Hernaniego*. Na *Hernaniego!* Proszę! Proszę! A to przecie same antytezy, obrzydlistwo, na dobitkę napisane nie po francusku. A potem mamy działa na dziedzińcu Luwru. Łajdackie czasy!

— Święta racja, dziaduniu! — rzekł Teodul. Pan Gillenormand ciągnął dalej:

— Armaty na dziedzińcu muzeum? A to po co? Co one tam mają do roboty? Czy chcecie strzelać do Apollina Belwederskiego? Co mają wspólnego kartacze z Wenus Medycejską? Och, ta dzisiejsza młodzież! Banda nicponi! Ten ich Benjamin Constant — co za miernota! A jak nie łotry, to niedołęgi! Robią wszystko, co mogą, żeby się oszpecić; źle się ubierają, boją się kobiet, kręcą się koło spódniczki z miną, jakby zebrali o łaskę. Dziewczyny śmieją się im w nos! Na honor, powiedziałyby kto, że te ciamajdy wstydzą się miłości. Wyglądają szkaradnie, a do tego jeszcze są głupi: powtarzają kalambury Tiercelina i Potiera, noszą fraki jak wory, kamizelki fornali, koszule z ordynarnego płótna, spodnie z ordynarnego sukna, buty z ordynarnej skóry, a dalibóg „ich szczebiot wart jest ich upierzenia”. Ich żargonem można by podzelować buty. I te głupie dzieciuchy mają przekonania polityczne! Powinien wyjść bezwzględny zakaz posiadania przekonań politycznych! Fabrykują jakieś systemy, przerabiają społeczeństwo, obalają monarchię, depczą prawa, przewracają wszystko do góry nogami, rozgramiają całą Europę, budują nowy świat i są w siódmym niebie, jeśli uda im się zerknąć ukradkiem na łydkę praczki, wążającej do wózka. Ach, Mariuszu! Ach, gałganie! Zachciało ci się gardłować na rynku, dyskutować, rozprawiać, „przedsiębrać stosowne środki"! Bo oni to tak nazywają! Stosowne środki! O bogowie! Bałagan staje się coraz mniej niebezpieczny, ale za to coraz bardziej idiotyczny! Widziałem chaos, a teraz oglądam galimatias! Smarkateria obraduje nad Gwardią Narodową, to się nie zdarza nawet u czerwonoskórych! Nagie dzikusy z maczugą w łapie i z łbem ustrojonym jak wolant u rakiety są bardziej cywilizowane niż te uczniaki!, Bałwany! Pajace! Udaje to mądrych i rządzi się jak szara gęś! Obraduje! Rozumuje! Koniec świata! Najwyraźniej — to koniec tej nędznej skorupy ziemskiej. Brakowało jej tylko śmiertelnej czkawki — no i Francja ma czkawkę. Rozprawiajcie sobie, błazny! Póty się to nie skończy, póki będą czytywać gazety pod arkadami Odeonu. Płacą za to jednego

su, płacą za to swoim rozsądkiem, inteligencją, sercem, duszą i rozumem. Wychodzą stamtąd i puszczają kantem rodzinę. Te gazety to prawdziwa zaraza. Wszystkie! Nawet „Biały Sztandar"! W gruncie rzeczy Martainville też był jakobinem. Sprawiedliwe nieba! Och, będziesz mógł się pochwalić, żeś do rozpaczy doprowadził starego dziadka! — Oczywiście! — rzekł Teodul.

I korzystając, że pan Cillenormand przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, porucznik dodał sentencjonalnie:

— Powinna istnieć tylko jedna gazeta: „Monitor", i tylko jedna książka: „Rocznik Wojskowy". Nic więcej!

Pan Gillenormand mówił dalej:

— Zupełnie jak ten ich Sieyes . Królobójca, który dochrapał się w końcu senatorstwa: oni zawsze na tym kończą! Najpierw strzepią sobie język „obywatelami", żeby wreszcie tytułować się panem hrabią. Pan hrabia! Hrabia, co psy obrabia! Mordercy wrześniowi! Filozof Sieyes! Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że tyle rnnie obchodziły filozofie tych filozofów, co okulary komedianta z Tivoli. Widziałem raz na bulwarze Malaquais senatorów w aksamitnych fioletowych płaszczach haftowanych w złote pszczoły i w kapeluszach a la Henryk IV! Ohydny widok! Można by powiedzieć, małpy ze świty króla tygrysa. Obywatele, oświadczam wam, że wasz postęp — to szaleństwo, że wasza ludzkość — to mrzonka, że wasza rewolucja — to zbrodnia, że wasza republika — to potwór, że wasza młoda, dziewicza Francja — to dziewczka z lupanaru! I gotów jestem to powtórzyć każdemu z was, choćbyście byli publicystami, ekonomistami, legistami, choćbyście byli jeszcze lepszymi znawcami wolności, równości i braterstwa niż nóż gilotyny! To wam oświadczam, moi drodzy!

— A to dopiero święta prawda, dalibóg! — zawołał porucznik.

Pan Gillenormand przerwał w połowie zaczęty gest, odwrócił się, wbił ostry wzrok w porucznika Teodula i powiedział mu:

— Dureń jesteś, mój panie!

# KSIĘGA SZÓSTA

## SPOTKANIE DWÓCH GWIAZD

### ROZDZIAŁ I

#### O TYM, JAK Z PRZEZWISKA POWSTAJE NAZWISKO

W owej epoce Mariusz był pięknym młodzieńcem średniego wzrostu; miał bujne włosy, wysokie i rozumne czoło, namiętne, śmiało wycięte nozdrza, spojrzenie szczere i czyste, a w całej twarzy jakiś trudny do określenia wyraz dumy, zamyślenia i niewinności. Jego profil, łagodny, choć nie pozbawiony męskości, miał w sobie tę germańską miękkość, która — poprzez Alzację i Lotaryngię — przeniknęła do krwi francuskiej; ten brak ostrości rysów wyodrębniał niegdyś w sposób wyraźny Sykamibrów spośród Rzymian, a po dziś dzień odróżnia twarz o typie lwim od twarzy o typie orlim. Mariusz był w tym okresie życia, kiedy umysł myślącego człowieka jest równie głęboko dojrzały jak i dziecięco naiwny. Miał wszelkie dane po temu, aby w decydującej sytuacji zachować się jak młokos; przy jeszcze silniejszym bodźcu — mógł sięgnąć wyżyn wzniosłości. Maniery miał opanowane, chłodne, uprzejme i powściągliwe. Uśmiech łagodził zbytnią surowość jego twarzy, usta bowiem miał prześliczne, wargi karminowe i najbielsze w świecie zęby. Czystość czoła i zmysłowość uśmiechu kontrastowały czasem ze sobą w szczególny sposób. Oczy miał niewielkie, lecz spojrzenie mocne.

W okresie najgorszej nędzy nieraz widział, że dziewczęta oglądały się za nim; z rozpaczą w duszy uciekał wtedy albo omijał je z daleka. Wydawało mu się, że patrzą na jego zniszczone ubranie i śmieją się z niego; tymczasem dziewczęta patrzyły na jego wdzięczną postać i śniły o nim po nocach.

To nieporozumienie bez słów między nim a spotykanymi ślicznotkami stało się powodem jego dzikości. Nie miał żadnej wybranki dla tej prostej przyczyny, że unikał wszystkich dziewcząt. I tak żył bezbarwnie, „po głupiemu” — według Courfeyraca.

Courfeyrac mówił mu także: „Daj sobie spokój z czcigodnością, Mariuszu (mówili sobie po imieniu; młode przyjaźnie łatwo przechodzą na tę formę). Coś ci poradzę, mój drogi: nie tkwij ciągle w książkach, a zerkaj częściej na dziewczuszki. Ach, Mariuszu, te szelmutki maga swoje dobre strony. Poty będziesz ich unikał, póty będziesz piekł raki, aż zgłupiejesz z kretesem.

Innym razem, spotkawszy go, wołał: — Witam księdza dobrodzieja!

Po paru takich dowcipach Courfeyraca, Mariusz przez tydzień jeszcze staranniej unikał kobiet, zarówno młodych, jak i starych, a przede wszystkim unikał przyjaciela.

Istniały wszakże na wielkim, nieogarnionym świecie dwie kobiety, przed którymi Mariusz nie uciekał i na które nie zwracał najmniejszej uwagi. Prawdę mówiąc, zdziwiłby się bardzo, gdyby mu ktoś powiedział, że to też są kobiety. Jedną z nich była stara, brodata baba, która zamiatała mu pokój i o której Courfeyrac mówił: „Mariusz nie nosi brody, bo go w tym wyręcza jego służąca.” Drugą — pewna mała dziewczynka, którą często spotykał i na którą nigdy nie patrzył.

Już z górą przed rokiem Mariusz zauważył w jednej z mało uczęszczanych alei Ogrodu Luksemburskiego, biegnącej wzdłuż muru Pepiniery, jakiegoś mężczyznę i młodzieńką dziewczynę, prawie zawsze siedzących obok siebie na tej samej ławce, w najbardziej odludnym zakątku alei, w pobliżu ulicy Zachodniej. Za każdym razem, kiedy traf, lubiący się mieszać do przechadzek ludzi, których wzrok skierowany jest ku własnemu myślom, sprowadzał Mariusza do tej alei, a zdarzało się to prawie co dzień, spotykał on tam tych dwoje. Mężczyzna mógł mieć lat sześćdziesiąt, wydawał się smutny i poważny; cała jego powierzchowność tchnęła siłą i znużeniem, co cechuje wojskowych w stanie spoczynku. Gdyby nosił order, Mariusz powiedziałaby sobie: „To jakiś oficer na emeryturze.” Wyglądał na człowieka zacnego, ale nieprzystępnego i wzrok jego nigdy nie spotykał się z niczym spojrzeniem. Nosił granatowe spodnie, takiż surdut i kapelusz z szerokim rondem, wszystko to zawsze jakby świeżo sprawione, chustkę czarną i koszulę kwakerską — to znaczy śnieżnej białości, ale z grubego płótna. Jakaś gryzетка, przechodząc raz koło niego, powiedziała: „Jakiż to czyściutki wdowiec.” Włosy miał zupełnie siwe.

Kiedy towarzysząca mu dziewczynka przyszła z nim po raz pierwszy i usiadła na ławce, którą odtąd jakby objęli w posiadanie, była ona podlotkiem trzynasto- lub czternastoletnim, tak chudym, że aż brzydkim, niezręcznym i niepokaźnym; tylko oczy jej nieźle się zapowiadały: spoglądały jednak zawsze z jakąś nieprzyjemną pewnością siebie. Ubrana była za poważnie, a zarazem za dziecinnie, w sposób typowy dla wychowanek klasztoru: nosiła niezdarnie skrojoną sukienkę z grubego, czarnego merynosu. Wyglądali na ojca i córkę.

Mariusz obserwował przez parę dni tego starszego jegomościa, który nie był jeszcze starcem, i tego podlotka, który nie był jeszcze młodą dziewczyną, po czym przestał zwracać na nich uwagę. Oni zaś — jak się wydawało — nawet go nie zauważyli. Rozmawiali z sobą spokojnie i obojętnie. Dziewczynce nie zamykały się usta, szczebiotała wesoło; starszy pan mówił niewiele, lecz chwilami wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym niewysłowionej miłości ojcowskiej. .



Mariusz przyzwyczał się bezwiednie do przechadzek po tej właśnie alei. Nieodmiennie spotykał tam tych dwoje.

Oto w jaki sposób się to działo:

Mariusz nadchodził zwykle z przeciwległego końca alei. Przemierzał całą jej długość, mijał ich ławkę, wracał do miejsca, skąd przyszedł, i znowu zawracał. Przechadzał się tak tam i z powrotem kilka razy, a przechadzkę tę odbywał prawie codziennie, lecz nigdy się nie zdarzyło żeby wymienili ukłony. Ów jegomość z dziewczynką, chociaż zdawali się unikać wszelkich spojrzeń — a może właśnie dlatego, zwrócili na siebie uwagę kilku studentów, spacerujących niekiedy aleją Pepiniery. Zdarzało się to pracowitym studentom po wykładach, innym po partyjce bilardu. Courfeyrac, należący do tych ostatnich, przyglądał się nieznanym jakiś czas, lecz doszedłszy do przekonania, że dziewczyna jest brzydka, usunął się szybko i raz na zawsze. Uciekł jak Part, rzuciwszy im przewisko. Uderzony głównie kolorem sukni dziewczynki i włosów starego jegomością nazwał córkę: „panną Czarną”, a ojca „panem Białym”, ponieważ zaś nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywają, przyłgnęły do nich te przewiska. Studenci mówili: „O, pan Biały siedzi na swojej ławce!” I Mariusz wraz z innymi przywykł nazywać nieznanomego panem Białym.

Uczynimy to samo i będziemy go nazywać panem Białym dla ułatwienia sobie opowiadania.

Mariusz widywał ich więc niemal codziennie o tej samej porze przez cały pierwszy rok. Stary jegomość podobał mu się, ale dziewczynka nie budziła w nim sympatii.

## ROZDZIAŁ II

### „LUX FACTA EST”

Następnego roku, właśnie w tym miejscu naszej opowieści, do którego czytelnik teraz dotarł, Mariusz, sam nie wiedząc dlaczego, zerwał jakoś ze zwyczajem przechadzek po Ogrodzie Luksemburskim i przez blisko pół roku nie pokazał się w swojej alei. Wreszcie wrócił tam pewnego dnia. Był pogodny, letni poranek i Mariusz czuł się radosny, jak to bywa przy pięknej pogodzie. Zdawało mu się, że ma w sercu wszystkie śpiewy ptasząt, które go dolatywały, i wszystkie skrawki błękitnego nieba, które widział poprzez liście drzew.

Poszedł prosto do swojej alei, a kiedy stanął u jej końca, spostrzegł, zawsze na tej samej ławce, znajomą parę. I oto, kiedy się przybliżył, zobaczył wprawdzie tego samego mężczyznę, lecz wydało mu się, że nie jest to ta sama dziewczyna. Młoda osoba, którą w tej chwili miał przed oczami, była smukłą, piękną istotą, o kształtach uroczej kobiety, znajdującej się właśnie w owej chwili życia, kiedy kształty te łączą się jeszcze z najniewinniejszym wdziękiem dziecka; ulotna to i czysta chwila, którą mogą oddać tylko te dwa słowa: piętnaście lat. A więc cudowne, kasztanowate włosy, rozjaśnione złotymi smugami, czoło jak z marmuru, policzki jak płatek róży, pastelowy rumieniec, białość przepojona wzruszeniem, prześliczne usta, ożywione blaskiem uśmiechu i muzyką głosu, głowa, jaką Rafael dałby Madonnie, osadzona na szyi, jaką Jan Goujon dałby Wenerze. I — żeby nic nie brakowało tej czarującej twarzy — nos nie piękny, ale uroczy; ani prosty, ani orli, ani włoski, ani grecki — nosek paryski; to znaczy nosek dowcipny, figlarny, nieregularny, a czysty w rysunku, który do rozpaczki doprowadza malarzy i zachwyca poetów.

Przechodząc obok niej, Mariusz nie mógł zobaczyć jej oczu, były bowiem stale spuszczone. Ujrzał tylko długie, ciemne rzęsy, pełne cienia i wstydlivości.

Nie przeszkadzało to pięknemu dziewczęciu uśmiechać się do słów siwowłosego starca i trudno byłoby o piękniejszy widok niż ten świeży uśmiech przy spuszczonej powiekach.

W pierwszej chwili Mariusz pomyślał, że to inna córka tego samego jegomościa, zapewne siostra poprzedniej. Ale gdy niezmiennie przyzwyczajenie przechadzki przywiodło go po raz drugi w pobliże ich ławki i gdy przyjrzał się uważnie dziewczynie, poznał, że to ta sama. W przeciągu pół roku podłotek zmienił się w młodą pannę — to wszystko. Bardzo często spotykane zjawisko. Nadchodzi chwila, w której dziewczyna rozkwita w (mgnieniu oka i nagle staje się różą. Wczoraj zostawiłeś dziecko, dziś znajdujesz niepokojącą kobietę.

Dziewczyna ta nie tylko wyrosła, ale i wysubtelniała. Niektórym drzewom wystarczy trzech dni kwietniowych, żeby okryć się kwieciami; jej — wystarczyło pół roku, żeby przystroić się piękną. Nadszedł dla niej kwiecień.

Spotyka się czasem ludzi, którzy, choć biedni i niepozorni, nagle jakby budzą się do życia, z niedostatku przechodzą do przepychu, pozwalają sobie na wszelkie zbytki i stają się nagle świetni, rozrzutni i wspaniali.

Dorwali się do pieniędzy. Wczoraj właśnie była wypłata. Dziewczyna otrzymała swoją wypłatę.

Nie była to już pensjonarka o czerwonych rękach, w pluszowym kapelusiku, merynosowej sukience i grubych, szkolnych bucikach; wraz z rozkwitem piękności nabrała gustu; była teraz wytworną panną, ubraną z elegancją kosztowną, lecz prostą i nieprzesadną. Miała czarną, adamaszkową suknię, okrycie z tego samego materiału i biały, krepowy kapelusz. Biała rękawiczka ukazywała delikatność dłoni, która bawiła się rzeźbioną z kości słoniowej rączką parasolki; jedwabny pantofelek obcisnął małą nóżkę. Przechodząc koło niej, czułeś jakąś świeżą, mocną woń, która unosiła się z fałd jej sukni.

Stary pan nic się nie zmienił.

Kiedy Mariusz po raz drugi przeszedł koło niej, dziewczyna podniosła powieki. Miała w oczach cudowny, głęboki błękit, lecz w tym przyćmionym lazurze było jeszcze tylko spojrzenie dziecka. Popatrzyła na Mariusza obojętnie, jak patrzyłaby na malca biegającego pod sykomorami, czy na marmurową wazę, której cień padał na ławkę; Mariusz spacerował dalej, myśląc o czym innym.

Przeszedł jeszcze kilka razy koło ławki, na której siedziała dziewczyna, i nawet nie rzucił na nią okiem.

W następne dni przychodził jak zwykle do Ogrodu Luksemburskiego; jak zwykle spotykał „ojca i córkę”, ale nie zwracał już na nich uwagi. Nie więcej myślał o tej dziewczynie teraz, gdy stała się piękna, niż myślał wówczas, gdy była brzydka. Przechodził zawsze bardzo blisko ławki, na której siedziała, dlatego że miał taki zwyczaj.

## ROZDZIAŁ III

### OBRAZEK WIOSENNY

Pewnego dnia powietrze było ciepłe, Ogród Luksemburski tonął w słońcu i w cieniu drzew, niebo było czyste, jakby aniołowie obmyli je w porannej rosie, w gęstwinie kasztanów ćwierkały wróble. Mariusz całą duszą chłonał piękno natury, nie myślał o niczym; żył i oddychał; przeszedł koło znajomej z ławki, dziewczyna podniosła na niego wzrok i oczy ich się spotkały.

Co było tym razem w spojrzeniu dziewczyny? Mariusz nie umiałby na to odpowiedzieć. Nie było nic i było wszystko. Dziwna jakaś błyskawica.

Ona spuściła oczy, a on poszedł dalej.

To, co ujrzał przed chwilą, nie było już niewinnym i prostym spojrzeniem dziecka, była to tajemnicza głębia, która się na chwilę otworzyła, a potem nagle zamknęła.

Nadchodzi dzień takiego spojrzenia dla każdej młodej dziewczyny. Biada temu, kto znajduje się wówczas w pobliżu.

Pierwsze spojrzenie duszy, która sama siebie jeszcze nie zna, jest jak jutrzienka na niebie. To przebudzenie czegoś, co promienne i nieznanne. Nic nie zdoła oddać niebezpiecznego czaru tego nieoczekiwanego błysku, który bladym światłem rozjaśnia uroczę ciemności i w którym stapia się cała niewinność chwili obecnej z całą namiętnością przyszłości. To jakaś nieokreślona tkliwość, która się zdradza przypadkiem i czeka... To sidła, które niewinność bezwiednie zastawia i w które łowi serca, bez swojej wiedzy ani woli. Dziewiczość, która spogląda oczami kobiety.

Rzadko się zdarza, aby tam, gdzie padnie ten wzrok, nie zrodziło się głębokie marzenie. Cała czystość i cały żar skupiają się w tym promieniu niebiańskim i fatalnym zarazem, który znacznie pewniej od zalotnych spojrzeń świadomej kokietki sprawia swoją czarodziejską mocą, że w głębi serca rozkwita ciemny kwiat pełen woni i jadu, zwany miłością.

Wieczorem, wróciwszy do swej nędznej izdebki, Mariusz rzucił okiem na swój strój i po raz pierwszy spostrzegł, że jak ostatni oberwaniec i niewychowany głupiec spacerował po Ogródzie Luksemburskim w swym ubraniu „na codzień”, to jest w kapeluszu złamanym przy samej taśmie, w grubych, fornalskich butach, w czarnych spodniach wytartych na kolanach i w czarnym surducie

wyświetconym na łokciach.

## ROZDZIAŁ IV

### POCZĄTEK CIĘŻKIEJ CHOROBY

Nazajutrz, o zwykłej godzinie, Mariusz wyjął z szafy nowy surdut, nowe spodnie, nowy kapelusz i nowe buty; przystroił się w ten rynsztunek, włożył rękawiczki, niebawem zbytek, i poszedł do Ogrodu Luksemburskiego.

Po drodze spotkał Courfeyraca i udał, że go nie widzi. Courfeyrac, wróciwszy do domu, oznajmił przyjaciołom: „Spotkałem przed chwilą nowy kapelusz i nowe ubranie Mariusza i Mariusza w środku. Na pewno szedł na egzamin. Miał bardzo głupią minę.”

Przybywszy do Ogrodu, Mariusz obszedł dokoła sadzawkę, popatrzył na łabędzie, a potem przez długą chwilę stał w kontemplacji przed posągiem, który miał głowę poczerniałą od pleśni i któremu brakowało jednego biodra. Koło sadzawki stał jakiś mieszczuch, czterdziestoletni i brzuchaty, który trzymając za rękę pięcioletniego chłopczyka, mówił do niego: „Unikaj krańców! Pamiętaj, synu, żebyś się zawsze trzymał równie daleko od despotyzmu jak od anarchii.” Mariusz wysłuchał słów mieszczucha. Po czym jeszcze raz obszedł sadzawkę dokoła. Wreszcie skierował się ku „swojej” alei wolno i jakby niechętnie. Rzekłbyś, że coś go tam ciągnęło i zarazem zatrzymywało na miejscu. Nie zdawał sobie z tego sprawy wcale i sądził, że zachowuje się tak jak co dzień.

Wchodząc w aleję, spostrzegł na przeciwległym krańcu, na „ich ławce”, pana Białego i dziewczynę. Zapiął surdut po sarną szyję, obciągnął go starannie, aby wygładzić wszystkie fałdki, z pewnym upodobaniem spojrzął na połyskujące sukno swoich spodni i ruszył na ławkę. Szedł jak do ataku, krok jego zdradzał niewątpliwą chęć podboju. Toteż mówił: „ruszył na ławkę”, tak jakbym powiedział: „Hannibal ruszył na Rzym.”

Zresztą wszystkie jego ruchy były machinalne i nie oderwał ani na chwilę myśli od codziennych zajęć i pracy umysłowej. Myślał właśnie nad tym, że *Podręcznik Maturalny* był idiotyczną książką i że musieli go układać skończeni głupcy, skoro wśród arcydzieł ducha ludzkiego analizują tam aż trzy tragedie Racine'a, a tylko jedną komedię Moliera. W uchu mu dzwoniło przeraźliwie. Zbliżając się do ławki, obciągał ubranie i utkwiał oczy w dziewczynie. Zdawało mu się, że cały zakątek alei promieniuje bijącym od niej błękitnym, delikatnym blaskiem.

Im bardziej się zbliżał, tym bardziej zwalniał kroku. Daleko było jeszcze do końca alei, kiedy w pewnej odległości od ławki zatrzymał się — i sam nie

wiedząc, jak się to stało — zawrócić. Wcale nawet nie powiedział sobie, że nie dojdzie do końca alei. Toteż dziewczyna ledwo go mogła dostrzec z daleka i zobaczyć, jak ładnie wygląda w nowym ubraniu. Jednakże trzymał się bardzo prosto, żeby się dobrze prezentować, gdyby ktoś przypadkiem przyglądał mu się z tyłu.

Doszedł do przeciwległego końca alei, zawrócił i tym razem podszedł już nieco bliżej ławki. Nawet aż tak blisko, że dzieliły go od niej tylko trzy drzewa. Ale tam uczył, że niepodobieństwem jest pójść dalej, i zawahał się. Zdawało mu się, że twarz dziewczyny skłoniła się w jego stronę. Zdobył się jednak na gwałtowny, męski wysiłek, pokonał wahanie i poszedł dalej. W parę sekund później mijał ławkę, prosto i odważnie, czerwony aż po uszy, z ręką w zanadrzu niby mąż stanu, nie śmiąc rzucić okiem w prawo ani w lewo. Kiedy tak przechodził jak pod obstrzałem, czuł, że rnu serce wali jak oszalałe. Ona była ubrana tak samo jak wczoraj w adamaszkową suknię i krepowy kapelusz. Usłyszał jakiś pełen niewysłowionego czaru głos, który musiał być „jej głosem”. Rozmawiała spokojnie. Była bardzo ładna. Czuł to, choć nie próbował spojrzeć na nią. „Chybanie odmówiłaby mi swego szacunku i poważania — myślał — gdyby wiedziała, że to ja jestem prawdziwym autorem rozprawy o Marcosie Obregonie de la Ronda, którą pan Franciszek de Neufchateau podał jako własną we wstępie do swojego wydania *Idziego Blasa*.”

Minął ławkę, doszedł do bliskiego już końca alei, zawrócił i znów przeszedł koło pięknej dziewczyny. Tym razem był bardzo blady. Zresztą doznawał bardzo nieprzyjemnego uczucia. Oddalił się od ławki i od dziewczyny, a gdy wyobraził sobie, że patrzy na niego z tyłu, nogi zaczęły mu się plątać.

Nie próbował więc zbliżyć się do ławki, zatrzymał się mniej więcej w połowie alei i tam, co mu się przedtem nigdy nie zdarzyło, usiadł na ławce, zerkając z ukosa — i w najgłębszych zakamarkach umysłu zaczął snuć przypuszczenia, że to chyba niemożliwe, aby osoba, której biały kapelusz i czarną sukienkę tak szczerze podziwiał, okazała się zupełnie obojętna na połyskujące sukno jego spodni i nowy surdut.

Po kwadransie wstał, jakby zamierzał znowu pójść w kierunku ławki, otoczonej aureolą. Jednak stał bez ruchu. Po raz pierwszy od piętnastu miesięcy przyszła mu do głowy myśl, że ten pan, który tu codziennie siadywał z córką, bez wątplenia zwrócił na niego uwagę i że jego uparte spacerowanie po tej alei mogły mu się wydawać nieco dziwne.

Po raz pierwszy także uczył jakiś brak szacunku w nadawaniu nieznanemu — nawet w skrytości ducha — przezwiska pana Białego.

Stał tak przez kilka chwil z opuszczoną głową, rysując coś na piasku laseczką,

którą trzymał w ręku.

Po czym odwrócił się nagle od pana Białego i jego córki i wrócił do domu.

Tego dnia zapomniał o obiedzie. Spostrzegł to o ósmej wieczorem, a że było już za późno, aby pójść na ulicę Św. Jakuba, więc powiedział tylko: „Hm”, i zjadł kawałek chleba.

Nim poszedł spać, wyczyścił szczotką ubranie i złożył je starannie.



## ROZDZIAŁ V

### JEJMOŚĆ BURCZYMUCHA PRZEŻYWA WSTRZĄSAJĄCE WYDARZENIA

Nazajutrz jejmość Burczymucha — tym mianem Courfeyrac ochrzcił starą stróżkę, główną lokatorkęgospodynię rudery Goribeau, która, jak wiemy, nazywała się naprawdę pani Burgon, lecz ten postrzeleniec Courfeyrac niczego i nikogo w świecie nie umiał uszanować, a więc jejmość Burczymucha osłupiała widząc, że pan Mariusz znów wychodzi w nowym ubraniu.

Poszedł do Ogrodu Luksemburskiego, ale nie posunął się poza swoją ławkę w połowie alei. Usiadł na niej jak wczoraj i choć patrzył z daleka, widział wyraźnie czarną sukienkę i biały kapelusz, a zwłaszcza błękitny blask. Nie ruszył się z ławki i wrócił do domu dopiero wtedy, gdy już zamykano bramy. Nie dostrzegł, kiedy pan Biały z córką opuścili Ogród. Wywnioskował z tego, że musieli wyjść bramą od ulicy Zachodniej. Później, po paru tygodniach, kiedy się nad tym zastanawiał, nie mógł sobie żadną miarą przypomnieć, gdzie tego dnia jadł obiad.

Nazajutrz, to znaczy trzeciego dnia, w jejmość Burczymuchę jakby znowu piorun strzelił: Mariusz wyszedł w nowym ubraniu. „Trzy dni z rzędu” — wykrzyknęła w duchu.

Próbowała go śledzić, ale Mariusz szedł szybko wielkimi krokami: był to pościg hipopotama za kozicą. Straciła go z oczu po dwóch minutach i wróciła zasapana, ledwo dysząc w ataku astmatycznej duszności i wściekła. „I co to za sens — mruzczała ze złością — wkładać codziennie świąteczne ubranie i zmuszać człowieka, żeby biegał jak głupi!”

Mariusz poszedł do Ogrodu Luksemburskiego. Dziewczyna z panem Białym już tam byli. Mariusz, udając, że czyta książkę, zbliżył się do nich najbardziej, jak mógł, ale i tak dzieliła ich jeszcze dość duża odległość, potem zawrócił, usiadł na swojej ławce i przesiedział cztery godziny, patrząc na skaczące po ścieżce wróble, które — jak mu się wydawało — naigrawały się z niego.

Tak upłynęły dwa tygodnie. Mariusz chodził do Ogrodu już nie dla przechadzki, ale aby wysiadywać stale na tym samym miejscu, sam nie wiedząc dlaczego. Doszedłszy do swego miejsca, tkwił tam bez ruchu. Co rano wkładał nowe ubranie po to, żeby się w nim nie pokazać dziewczynie, i nazajutrz znów postępował tak samo.

Ona była istotnie cudownie piękna. Jeżeli można by zrobić jakąś uwagę, która

miałaby w sobie cień krytyki, to chyba tę, że kontrast smutnego spojrzenia i radosnego uśmiechu nadawał jej wyraz jakiegoś spłoszenia i wtedy ta słodka twarzyczka stawała się dziwna, nie przestając być urocza.

## ROZDZIAŁ VI

### WZIĘTY DO NIEWOLI

Pod koniec drugiego tygodnia Mariusz siedział jak zwykle na swojej ławce i trzymał w ręku otwartą książkę, nie przewróciwszy od dwóch godzin ani jednej kartki. Nagle drgnął. Na końcu alei coś się działo. Pan Biały z córką właśnie wstali z ławki, córka ujęła ojca pod ramię i wolnym krokiem zaczęli iść w kierunku tego miejsca alei, gdzie siedział Mariusz. Mariusz zamknął książkę, potem otworzył ją, potem usiłował czytać. Drżał cały. Aureola zbliżała się do niego. „O Boże! — myślał. — Nie zdążę nawet przybrać stosownej postawy.”

Tymczasem siwy pan i młoda dziewczyna zbliżali się coraz bardziej. Mariusz miał wrażenie, że trwa to całe wieki, a równocześnie jedną, krótką chwilę. „Po co oni tu idą — zapytywał się w duchu. — Jak to, więc ona tędy przejdzie? Dotknie swoją stopą piasku tej alei, o dwa kroki ode mnie!”

Był wstrząśnięty, chciałby wyglądać pięknie, chciałby mieć order. Coraz bliżej słyszał rytmiczny, spokojny odgłos ich kroków. Wyobraził sobie, że pan Biały obrzuca go gniewnym spojrzeniem. „Czy ten pan przemówi do mnie?” — myślał. Opuścił głowę; gdy ją uniósł, byli już koło niego. Dziewczyna minęła Mariusza, a mijając spojrzała na niego. Spojrzała na niego uważnie, z jakimś słodkim zamyśleniem i Mariusza przeszedł dreszcz. Wydawało mu się, że w jej oczach czyta wyrzut, iż tak dawno nie przychodził do niej, i że mówiono: „To ja przychodzę do ciebie.”

Olśniły go te przepastne, świetliste źrenice. Czuł płomień pod czaszką. Ona do niego przyszła! Cóż za radość! I jak spojrzała na niego! Wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Piękna pięknnością kobiecą, a zarazem anielską, piękna pełnią piękności, którą opiewałby Petrarca, a Dante wielbił na kolanach. Zdawało mu się, że tonie w błękicie nieba. A równocześnie nękało go okrutne strapienie, gdyż miał zakurzone buty.

Był święcie przekonany, że ona spojrzała też i na jego buty!

Ścigał ją wzrokiem, aż znikła w alei. Potem zaczął biegać po ogrodzie jak szalony. Prawdopodobnie chwilami śmiał się i mówił coś do siebie. Miał tak rozmarzoną minę, że każda z nianiek w ogrodzie była pewna, iż jest w niej zakochany.

Wyszedł z Ogrodu z nadzieją, że odszuka ją na ulicy. Pod arkadami Odeonu spotkał Courfeyraca i powiedział: „Chodź ze mną na obiad!” Poszli do

restauracji Rousseau, gdzie wydali sześć franków. Mariusz jadł jak wilk. Dał kelnerowi sześć su napiwku. Przy deserze powiedział do Courfeyraca: „Czytałaś dzienniki? Audry de Puyraveau wygłosił wspaniałą mowę.”

Był nieprzytomnie zakochany.

Po obiedzie rzekł do Courfeyraca: „Funduję ci teatr.” Poszli do Porte-Saint-Martin, obejrzeć Fryderyka w *Auberge des Adrets*. Mariusz bawił się wyśmienicie.

Jednocześnie wzmogła się jego wstydlivość. Wychodząc z teatru, nie chciał nawet spojrzeć na podwiązkę jakiejś modniarki przeskakującej przez rynsztok, a kiedy Courfeyrac powiedział: „Chętnie bym umieścił tę kobietkę w swojej kolekcji” — poczuł niemal wstręt.

Nazajutrz Courfeyrac zaprosił go na śniadanie do „Cafe Voltaire”. Mariusz poszedł i jadł jeszcze więcej niż wczoraj. Był bardzo zamyślony i ogromnie wesoły. Można by powiedzieć, że korzystał z każdej okazji, aby śmiać się z całego serca. Czule uściskał jakiegoś prowincjusza, którego mu przedstawiono. Koło ich stolika zebrało się grono studentów; rozprawiano o bzdurach, opłacanych przez rząd, które wygłasza się teraz z katedr na Sorbonie, po czym rozmowa przeszła na usterki i braki w słownikach i prozodiach Quicherata . Mariusz przerwał debatę wołając:

— A jednak to miło mieć krzyż legii!

— A to śmieszna historia! — szepnął Courfeyrac do Jana Prouvaire.

— Nie — odparł tamten. — To poważna historia!

Istotnie, była to poważna historia. Mariusz przeżywał właśnie tę wstrząsającą i czarowną chwilę, która jest początkiem wielkiej miłości.

Wszystko to sprawiło jedno spojrzenie.

Kiedy założony jest dynamit i płomień jest tuż — prosta to sprawa. Spojrzenie to iskra.

Stało się. Mariusz kochał kobietę. Los jego wkraczał w nieznanne.

Spojrzenie kobiety przypomina pewne mechanizmy niegroźne na pozór, a w istocie straszliwe. Co dzień przechodzisz mimo beztrosko i bezkarnie, nie wiedząc, co cię czeka. Niekiedy nawet zapominasz o ich istnieniu. Przechodzisz, wracasz, marzysz, rozmawiasz, śmiejesz się. Nagle czujesz, że wpadłeś w potrzask. Już po wszystkim. Mechanizm chwycił cię w swoje tryby,

spojrzenie cię złowiło. Złowiło cię nie wiedzieć jak ani kiedy, uczepiło się jakiejś twojej zabłąkanej myśli, skorzystało z chwili twego roztargnienia. Jesteś zgubiony. Przepadłeś z kretesem. Splot tajemniczych sił bierze cię w posiadanie. Na próżno się szamoczesz. Żadna siła ludzka ci nie pomoże. Będą cię chwyciły kolejne tryby, będziesz wpadał z udreki w udrekę, z męczarni w męczarnię, ty sam, twój umysł, twój los, twoja przyszłość, twoja dusza; i zależnie od tego, czy znajdziesz się we władzy istoty złej czy szlachetnego serca, wydobędziesz się z tego przerażającego mechanizmu albo skalany hańbą, albo przeobrażony wielkim uczuciem.

## ROZDZIAŁ VII

### PRZYGODY LITERY U, WYSTAWIONEJ NA DOMYSŁY

Osamotnienie, oderwanie od wszystkiego, duma, niezależność, miłość przyrody, brak codziennych, konkretnych zajęć, życie zamknięte w sobie, tajemne walki wstydlivosti, przychylność i zachwyty wobec całego stworzenia, wszystko to razem przygotowało Mariusza do tego opętania, które nazywa się namiętnością. Kult ojca z wolna stał się dla niego religią i jak każda religia usunął się w głąb duszy. Trzeba mu było czegoś na pierwszym planie. Nadeszła miłość.

Przez cały długi miesiąc Mariusz co dzień chodził do Ogrodu Luksemburskiego. Kiedy zbliżała się zwykła godzina, nic nie było w stanie go zatrzymać „Ma teraz służbę” — mówił Courfeyrac. Mariusz żył w zachwyceniu. Miał pewność, że dziewczyna spoglądała na niego.

Rozzuchwalił się wreszcie i podchodził bliżej do „ich” ławki. Jednakże nie przechodził koło niej, ulegając właściwemu zakochanym uczuciu nieśmiałości i przezorności zarazem. Uważał, że lepiej nie zwracać na siebie „uwagi ojca”. Z przebiegłością, godną Makławela, stawał za drzewami lub cokołami posągów, tak, żeby dziewczyna widziała go możliwie najdokładniej, a starszy pan możliwie najmniej. Niekiedy długie godziny trwał nieruchomo, w cieniu jakiegoś *Leonidasa* czy *Spartakusa*, trzymając w ręku książkę, z nad której wzrok jego nieśmiało wzniesiony wędrował ku pięknej dziewczynie, ona zaś z lekkim półuśmiechem zwracała ku niemu swój wdzięczny profil. Rozmawiając najspokojniej i najnaturalniej w świecie z siwowłosym panem, kierowała ku Mariuszowi wzrok pełen dziewczyczych, a namiętnych snów. Starodawny i odwieczny wybieg, który Ewa znała już w pierwszym dniu stworzenia i który każda kobieta zna od pierwszej chwili życia! Usta rozmawiają z jednym, oczy rozmawiają z drugim.

Należy jednak sądzić, że pan Biały zaczął się wreszcie czegoś domyślać, często bowiem, kiedy nadszedł Mariusz, wstawał i zaczynał się przechadzać. Porzucił swoje dotychczasowe miejsce i przeniósł się na ławkę w przeciwnym końcu alei, koło *Gladiatora*, jak gdyby chciał się przekonać, czy Mariusz pójdzie tam za nimi. Mariusz nie zrozumiał go i popełnił ten błąd. „Ojciec” zaczął przychodzić do ogrodu mniej punktualnie i nie co dzień przyprawdzał „córkę”. Czasem przychodził sam, a wtedy Mariusz natychmiast zniknął z ogrodu. Drugi błąd.

Mariusz nie zwrócił najmniejszej uwagi na te objawy. Ze stanu lęklivosti naturalnym i nieuniknionym biegiem rzeczy przeszedł w zaślepienie. Jego miłość rosła. Śnił o niej po całych nocach. Zdarzyło mu się też szczęście

niespodziewane — oliwa dolana do ognia, podwojenie bielma na oczach. Pewnego wieczora, o zmroku, na ławce, którą „pan Biały z córką” przed chwilą opuścił, znalazł chustkę. Była to zwykła chustka bez haftu, ale biała, cienka i przesycona — jak mu się zdawało — niebiańskimi zapachami. Pochwycił ją z uniesieniem. Chustka ta była naznaczana literami: U. F. Mariusz nic nie wiedział o pięknej dziewczynie, nie znał jej nazwiska, nie wiedział, gdzie mieszka. Te dwie litery były pierwszą rzeczą, pochodzącą od niej, którą dostał w ręce, najmiłsze litery, które posłużyły mu natychmiast do budowania gmachu domysłów.

„U” było niewątpliwie pierwszą literą imienia. „Urszula — pomyślał — co za prześliczne imię!” Ucałował chusteczkę, wdychał jej woń, w dzień nosił ją na sercu, a wieczorem, kładąc się do snu, przytulał ją do ust.

„Czuję w niej całą jej duszę” — mówił sobie.

Chustka była własnością starego pana i po prostu wypadła mu z kieszeni.

W ciągu następnych dni Mariusz, chodząc po ogrodzie, bez przerwy całował chustkę lub tulił ją do serca. Piękna dziewczyna nic z tego nie rozumiała i dawała mu to do poznania ledwo dostrzegalnymi znakami.

„O niewinności!” — myślał Mariusz.

## ROZDZIAŁ VIII

### NAWET INWALIDZI MOGŁ BYĆ SZCZĘŚLIWI

Ponieważ wymówiliśmy słowo „niewinność” i nie pomijamy nic w naszym opowiadaniu, musimy wspomnieć, że raz — mimo uniesienia i zachwytu — „jego Urszula” sprawiła Mariuszowi wielką przykrość. Było to owego dnia, kiedy namówiła pana Białego, aby wstali z ławki i przechadzali się po alei. Świeży, wiosenny wiatr poruszał wierzchołkami platanów. Ojciec z córką, idąc pod rękę, minęli właśnie ławkę Mariusza, Mariusz zerwał się z ławki i ścigał ich wzrokiem, jak przystało w takim stanie duchowego upojenia.

Nagle mocniejszy powiew wiatru, bardziej figlarny niż inne i niewątpliwie wysłannik wiosny, zerwał się z gęstwiny krzewów, wypadł w aleję, owionął dziewczynę dokoła uroczym, tanecznym wirem, godnym nimf Wergiliusza i faunów Teokryta, i uniósł jej suknię — świętszą niż szata Izydy — prawie do wysokości podwiązki. Ukazała się prześlicznie zarysowana noga. Mariusz zobaczył ją. Był zrozpaczony i wściekły.

Dziewczyna gwałtownie obciągnęła suknię niebiańsko gniewnym ruchem, jego jednak przejęło oburzenie. Nikogo, poza nim, nie było w alei. — to prawda. Ale ktoś mógł być! A gdyby był tam ktoś! To się w głowie nie mieści. Zrobiła tak straszną rzecz! Niestety! Biedne dziewczę nic nie zrobiło, jedynym winowajcą był wiatr. Ale Mariusz, w którym podświadomie burzył się Bartolo kryjący się w Cherubinie, postanowił mieć do niej urazę i zazdrosny był o własny cień. Tak to właśnie budzi się w sercu ludzkim i bierze je w swe władanie — choćby i bezprawnie — gorzka i dziwaczna zazdrość cielesna. Zresztą — nawet pomijając zazdrość — widok tej ślicznej nogi wcale nie był mu miły; biała pończoszka pierwszej lepszej kobiety sprawiłaby mu większą przyjemność.

Kiedy „jego Urszula”, doszedłszy do końca alei, zawróciła i po raz wtóry przeszła z panem Białym obok ławki Mariusza, ten rzucił jej spojrzenie okrutne i zagniewane. Dziewczyna zachnęła się nieco i uniosła lekko powieki, co oznaczało pytanie: „Cóż to się stało?”

To była ich pierwsza sprzeczka.

Zaledwie Mariusz skończył jej robić tę scenę, wyrażoną tylko spojrzeniem, a ktoś zjawił się w alei. Był to inwalida, zgarbiony, pomarszczony i siwy, w mundurze z czasów Ludwika XV. Na piersi miał owalną naszywkę z czarnego sukna, z rysunkiem skrzyżowanych szpad — krzyż żołnierski Św. Ludwika, a z innych odznak rękaw bez ręki, srebrną szczękę i drewnianą nogę. Mariuszowi



wydało się, że jegomość ten jest szczególnie z czegoś zadowolony. Wydało mu się nawet, że stary cynik, kuśtykając obok niego, mrugnął w jego stronę jakoś bardzo poufale i wesoło, jak gdyby dziwnym wypadkiem istniało między nimi jakieś porozumienie i jak gdyby im obu naraz przytrafiła się jakaś dobra gratka. Z czego tak się cieszył ten poszczerbiony syn Marsa? Czy istniał jakiś związek między tą drewnianą nogą a tamtą nóżką? Mariuszem owładnął szal zazdrości. „A może on tu był?! — mówił sobie. — A może on widział?” I chętnie zamordowałby starego inwalidę .

Czas tępi każde ostrze. Gniew Mariusza na „Urszulę”, choć tak słuszny i uzasadniony, przeminął także. Wreszcie przebaczył, ale z wielkim trudem — i dąsał się całe trzy dni.

Tymczasem mimo wszystko, a może właśnie z powodu tego wszystkiego, namiętność jego rosła wciąż i stawała się szaleństwem.

## ROZDZIAŁ IX *Zaćmienie*

Czytelnik widział, jak Mariusz odkrył, a raczej zdawało mu się, że odkrył, iż Ona ma na imię Urszula.

W miłości apetyt wzrasta wraz z uczuciem. Wiedzieć, że na imię jej Urszula, to już bardzo dużo, ale i bardzo mało. W ciągu kilku tygodni Mariusz przetrwał to szczęście. Teraz pragnął drugiego. Pragnął dowiedzieć się, gdzie mieszka.

Popełnił pierwszy błąd, dając się wciągnąć w zasadzkę ławki koło Gladiatora. Drugi, wychodząc z ogrodu, ilekroć pan Biały zjawiał się sam. Teraz popełnił błąd trzeci. Ogromny. Zaczął śledzić „Urszulę”.

Mieszkała w najmniej ruchliwej części ulicy Zachodniej, w trzypiętrowym, nowym domu, o skromnym wyglądzie.

Od tej chwili do szczęścia oglądania jej w ogrodzie Mariusz dołączył jeszcze drugie szczęście — szedł za nią aż do jej domu.

Głód jego wzrastał. Wiedział już, jak się nazywa, a w każdym razie znał jej imię, imię prześliczne, prawdziwie kobiece, wiedział też, gdzie mieszka: zapragnął dowiedzieć się, kim jest.

Pewnego wieczoru, odprowadziwszy ich aż do domu i widząc, że zniknęli w bramie, poszedł ich śladem i odważnie zagadnął odźwiernego:

— Czy ten pan, co tu wszedł przed chwilą, mieszka na pierwszym piętrze?

— Nie — odrzekł odźwierny. — Na trzecim.

Był to nowy krok naprzód. Powodzenie ośmieliło Mariusza.

— Od frontu? — zapytał.

— A jakże! — rzekł odźwierny. — Dom ma mieszkania tylko od ulicy.

— A czym się trudni ten pan? — rzekł znowu Mariusz.

— To rentier. Bardzo zacny pan; wiele dobrego robi dla biednych, choć sam nie jest bogaty.

— A jak się nazywa? — zapytał Mariusz. Odźwierny spojrział na niego i rzekł:

— Ej, a czy pan czasem nie jest szpiclem? Mariusz odszedł jak niepyszny, ale był zachwycony.

Posuwał się coraz dalej.

„Doskonale! — mówił sobie. — Wiem, że na imię jej Urszula, że jest córką rentiera, że mieszka przy ulicy Zachodniej na trzecim piętrze.”

Nazajutrz pan Biały zjadał się z córką w ogrodzie na bardzo krótko; wyszli stamtąd jeszcze za dnia. Mariusz — zgodnie z powziętym już zwyczajem — podążył za nimi na ulicę Zachodnią. Doszedłszy do bramy, pan Biały przepuścił córkę przodem, a sam zatrzymał się i nim przestąpił próg, uważnie spojrzał na Mariusza.

Następnego dnia nie przyszli do ogrodu. Mariusz czekał na próżno cały dzień.

Z nadejściem zmroku poszedł na ulicę Zachodnią i zobaczył światło w oknach trzeciego piętra. Spacerował pod tymi oknami, póki światło nie zgaśło.

Nazajutrz znowu nikogo w ogrodzie. Mariusz czekał przez cały dzień, a potem znów poszedł pełnić nocną wartę pod oknami. Trwało to do dziesiątej wieczór. Na obiad jadł byle co. Gorączka żywi chorego, miłość — zakochanego.

W ten sposób upłynął tydzień. Pan Biały i córka nie pokazywali się już w ogrodzie. Mariusz snuł smutne przypuszczenia; w dzień nie śmiał pilnować bramy. Poprzestał więc na chodzeniu tam wieczorem i wpatrywaniu się w czerwone światło okien. Czasami widywał przesuwające się w nich cienie i wtedy serce tłukło mu się w piersi.

Ósmego dnia, kiedy przyszedł pod okna, nie było w nich światła. „O! — powiedział sobie. — Jeszcze nie zapalili lampy? A przecież to już wieczór. Czyżby gdzieś wyszli?” Czekał. Czekał do dziesiątej; czekał do północy; czekał do pierwszej nad ranem. Nic. Ani światła nie zapalono w żadnym z okien na trzecim piętrze, ani też nikt nie wrócił do domu. Odszedł bardzo zasepiony.

Nazajutrz — gdyż teraz żył tylko jutrem i można by powiedzieć, że dzień dzisiejszy nie istniał dla niego wcale — nazajutrz znów nie spotkał nikogo w ogrodzie; spodziewał się tego. O zmroku poszedł pod jej dom. W oknach żadnego światła; żaluzje zapuszczone — całe trzecie piętro było ciemne.

Mariusz zastukał do bramy, wszedł i zapytał odźwiernego:

— Czy pan z trzeciego piętra jest w domu?

— Wyprowadził się — odrzekł odźwierny. Mariusz zachwiał się na nogach i zapytał słabym głosem:

— Kiedy?

— Wczoraj.

— A gdzie teraz mieszka?

— Nie wiem.

— Więc nie zostawił nowego adresu?

— Nie!

Tu odźwierny popatrzył na Mariusza i poznał go.

— A, to znowu pan! — rzekł — Aha, więc pan naprawdę chce tu coś wywąchać?

# KSIEGA SIÓDMA

## ŚLEPY KUR

### ROZDZIAŁ I

#### PODZIEMNE CHODNIKI

Pod każdą społecznością ludzką kryje się coś, co w teatrze nazywa się „najniższym pokładem”. Grunt społeczny drążą wszędzie i dobro, i zło. Te prace podziemne nawarstwiają się wzajemnie. Znajdziesz tam galerie niższe i wyższe. W mrocznym podziemiu, które czasem zawala się pod ciężarem cywilizacji i po którym depczemy obojętnie i beztrosko, są doły i wyżyny. W ostatnim stuleciu Encyklopedia była taką podziemną galerią, znajdującą się prawie na powierzchni. Mrok, ta posępna kolebka pierwotnego chrystianizmu, potrzebował tylko pierwszej sposobności, żeby wybuchnąć pod stopami Cezarów i zalać rodzaj ludzki potokami światła. W tym świętym mroku bowiem tai się światło. Wulkany pełne są cienia, który może lada chwila rozbłysnąć płomieniem. Każda lawa z początku jest nocą. Katakumby, gdzie odprawiana była pierwsza msza, to nie tylko piwnice Rzymu, to podziemie świata.

Pod budowlą społeczną — tym połączeniem cudów architektury ze starą rudera — istnieją wszelkiego rodzaju wydrążenia. Jest tam podkop religijny, podkop filozoficzny, podkop polityczny, podkop ekonomiczny i podkop rewolucyjny. Ten wali oskardem idei, tamten — cyfry, ów — gniewu.

Z jednej katakumby do drugiej słycać wzajemne nawoływania. Utopie krążą pod ziemią tymi kanałami.

Rozgałęziają się we wszystkich kierunkach. Czasem spotykają się i bratają ze sobą. Jan Jakub użycza swego kilofa Diogenesowi, który użycza mu swojej latarni. Niekiedy zaś utopie walczą ze sobą: Kalwin bierze się za łeb z Socynem. Ale nic nie może powstrzymać parcia tych sił do celu ani przerwać rozległej, równoczesnej działalności, która w ciemnościach krąży, wznosi się, opada i znów wznosi. I tak, powoli — dół odmienia górę, wewnątrz odmienia warstwę zewnętrzną — olbrzymie, niezbadane mrowisko. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z tych drążeń, które nie naruszają jego powierzchni, a ryją w jego wnętrznościach. Ile podziemnych pięter, tyle odmiennych prac, tyle różnych wykopalin. A co wyłania się dzięki tym głębokim żłobieniom? Przyszłość.

Im głębiej w dół, tym większa tajemniczość otacza pracowników. Do pewnego poziomu, który filozof społeczny umie rozpoznać, praca jest użyteczna, poniżej

tęgo poziomu bywa wrażliwa i mieszanej natury, jeszcze niżej staje się straszliwa. Na pewnej określonej głębokości do podkopów tych nie dociera duch cywilizacji, człowiek nie może już oddychać w tej atmosferze; tu mogą się zrodzić potwory.

Dziwna jest ta wiodąca w dół drabina: każdemu jej szczeblowi odpowiada piętro, gdzie może ugruntować się filozofia i gdzie napotkać można jednego z jej pracowników, czasem boskich, a czasami potwornych. Pod Janem Husem jest Luter; pod Lutrem — Kartezjusz; pod Kartezjuszem — Wolter; pod Wolterem — Condorcet; pod Condorcetem — Robespierre; pod Robespierre'em — Marat; pod Maratem — Babeuf. I tak dalej, i tak dalej. Jeszcze niżej, na granicy dzielącej nierozpoznawalne i niewidoczne, widzisz innych, mrocznych ludzi, którzy może jeszcze nie istnieją. Ludzie wczorajsi — to widma, ludzie jutra — to larwy. Oko ducha zaledwie może ich rozróżnić. Ta praca przyszłości w zarodku — oto jedna z wizji filozofów.

Świat w stanie załama w ostatnim kręgu otchłani to obraz zaiste niezwykły!

W bocznych podkopach znajdujesz również SaintSimona, Owena i Fouriera.

I choć niewidoczny boski łańcuch łączy wszystkich podziemnych pionierów, którzy — nic o tym nie wiedząc — niesłusznie uważają się za osamotnionych, prace ich są bardzo różnorodne i światłość jednych kontrastuje z płomienną łuną bijącą od innych. Jedni są rajscy, drudzy tragiczni. Wszelako, bez względu na przeciwieństwa, wszystkich tych pracowników — od najwznioślejszego do najbardziej mrocznego, od najmądrszego do największego szaleńca — łączy jedno podobieństwo: bezinteresowność. Marat, podobnie jak Jezus, zapomina o sobie. Wszyscy oni pomijają swoją osobę, usuwają się w cień, wcale o sobie nie myślą. Nie widzą siebie: widzą coś innego. Patrzą w jednym kierunku i spojrzeniem tym szukają absolutu. Pierwszy z nich ma w oczach całe niebiosa; ostatni — choćby był ciemną zagadką — nosi przecież jeszcze pod powieką blady odblask nieskończoności. Czciście każdego — cokolwiek by czynił — jeśli ma ten znak: źrenicę-gwiazdę.

Źrenica-cień jest innym znakiem.

Od niej rozpoczyna się zło. Gdy spotkasz człowieka, który nie ma spojrzenia, zastanów się i zadrzyj. Ład społeczny ma też swoich czarnych górników.

Istnieje kres, gdzie pogłębienie staje się pogrzebaniem, kres, gdzie światło gaśnie.

Pod wszystkimi tymi podkopami, o których wspominaliśmy przed chwilą, pod wszystkimi tymi korytarzami, pod całym olbrzymim systemem podziemnych

rozgałęzień postępu i utopii, głębiej w ziemi, poniżej Marata, poniżej Babeufa, niżej, niepomiarowo niżej, bez żadnego połączenia z wyższymi piętrami — jest podkop ostatni. Miejsce straszliwe. To miejsce właśnie mieliśmy na myśli, mówiąc o „najniższym pokładzie”. To pieczara ciemności. To jaskinia ślepców. *Inferi*. Miejsce to styka się z otchłanią.

## ROZDZIAŁ II

### DNO

Tu znika bezinteresowność. Tu kształtuje się szatan; każdy dla siebie. Ślepe „ja” wyje, szuka po omacku, ryje. Ugolino społeczny mieszka w tej jaskini.

Złowrogie postacie, które snują się po tej norze, ni to zwierzęta, ni to upiory, nie interesują się powszechnym postępowaniem, nie znają ani tego pojęcia, ani słowa, dbają tylko o jedno: nasycić się. Są niemal pozbawione świadomości i jest w nich jakiś przerażający brak rozeznania. Mają dwie matki, raczej dwie macochy: ciemnotę i nędzę; mają jedną przewodniczkę — potrzebę; jedyną formę zadowolenia — pragnienie. Są zwierzęco żarłoczne, to znaczy okrutne; nie okrucieństwem tyrańcy, lecz tygrysa. Od cierpienia te larwy przechodzą do zbrodni: nieuchronne połączenie, wynik nieunikniony, a szaleńczy, logika ciemności. To, co pełza na najniższym poziomie społecznym, to już nie stłumione wołanie o absolut, to tylko protest materii. Człowiek przemienia się tam w potwora. Głód, pragnienie są jego punktem wyjścia; stać się szatanem — to jego cel. Z tej czeluści wywodzi się Lacenaire.

Rozpatrywaliśmy przed chwilą w księdze czwartej — na wyższym poziomie owej kopalni — potężny podkop polityczny, rewolucyjny i filozoficzny. Stwierdziliśmy, że wszystko tam jest szlachetne, czyste, godne i uczciwe. I tu, oczywiście, możliwe są pomyłki, i pomyłki takie zdarzają się, ale błąd jest tam godny szacunku, tyle w nim się kryje heroizmu. Całość prac dokonywanych w tym podkopie ma jedno imię: Postęp.

Nadeszła chwila, aby rzucić okiem w inne głębiny, głębiny ohydy.

Pod społeczeństwem istnieje i istnieć będzie — podkreślmy to z naciskiem — aż po dzień rozproszenia ciemnoty, olbrzymia jaskinia zła.

Jama ta mieści się pod wszystkimi innymi podkopami i jest ich nieprzejednanym wrogiem. Nienawidzi wszystkiego bez wyjątku. Ta jaskinia nie zna filozofów; sztylet jej nigdy nie zastrzył pióra. Jej czarność nie ma nic wspólnego ze szczytną czernią atramentu. Nigdy palce tej nocy, które kurczą się pod tym trującym duchotą sklepieniem, nie dotknęły kart książki, nie rozłożyły dziennika. Dla Cartouche'a Babeuf jest wyzyskiwaczem; dla Schinderhannesa Marat jest arystokratą. Ta jaskinia chciałaby zniszczyć wszystko.

Wszystko. Również i wyższe podkopy, których śmiertelnie nienawidzi. To



potworne mrowisko podkopyje nie tylko obecny porządek społeczny, podkopyje także filozofię i naukę, podkopyje prawo, podkopyje myśl ludzką, podkopyje cywilizację, podkopyje rewolucję, podkopyje postęp. A nazywa się po prostu: złodziejstwem, nierządem, morderstwem i rozbojem. Jest mrokiem i pragnie chaosu. Sklepienie tej jaskini zbudowane jest z ciemnoty.

Wszystkie inne, znajdujące się na wyższych poziomach, mają jeden cel: zniszczyć ją. Do tego zmierza filozofia i postęp wszystkimi sposobami równocześnie, tak drogą polepszenia rzeczywistego bytu, jak i drogą poszukiwania absolutnej prawdy. Zniszczcie jaskinię Ciemnoty, a pozbędziecie się kreta — Zbrodni.

Streśćmy w kilku słowach część tego, co powiedzieliśmy. Jedyna groźba społeczna to Mrok.

Cała ludzkość jest jednaka. Wszyscy ludzie są ulepiani z tej samej gliny. Nie ma żadnej różnicy w przeznaczeniu — przynajmniej na tym świecie: taki sam mrok na początku, takie samo ciało za życia, taki sam proch po śmierci. Ale ciemnota domieszana do tej gliny, z której ulepiony jest człowiek, zabarwia ją czarnością. I ta nieuleczalna czerń, przenikając do duszy ludzkiej, staje się w niej Złem.

# ROZDZIAŁ III

## ZBRODNICZA CZWÓRKA

Kwartet bandytów: Claquesous, Gueulemer, Babet i Montparnasse rządził w latach 1830 do 1835 podziemiem Paryża.

Gueulenier był zdeklasowanym Herkulesem. Za norę obrał sobie kanał ściekowy ulicy Arche-Marion. Miał sześć stóp wzrostu, pierś z marmuru, muskuły ze spiżu, oddech jak miech kowalski, tors olbrzyma, a czaszkę ptaka. Rzekłbyś, Herkules Farnezyjski, ubrany w bawełniane spodnie i welwetową kurtkę. Gueulemer, zbudowany tak posągowo, mógłby poskramiać dzikie bestie, lecz uznał, że prościej jest stać się jedną z nich. Niskie czoło, szerokie skronie, zmarszczki przy oczach mimo nie przekroczonej jeszcze czterdziestki, włosy szorstkie i krótkie, szpecina zarostu na policzkach i brodzie — już widać, co to za człowiek. Jego mięśnie domagały się pracy, jego głupota jej nie chciała. Była to olbrzymia, gnuśna siła. Z lenistwa stał się mordercą. Mówiono, że był kreolem. Nie wykluczone, że będąc w 1815 roku tragarzem w Awinionie maczał palce w sprawie marszałka Brune. Po odbyciu tej pierwszej praktyki został bandytą.

Przejrzystość Babeta kontrastowała z zwalistym cielskiem Gueulemera. Babet był chudy i uczony. Był przezroczysty, ale nieprzenikniony. Światło przeświecało przez jego kości, lecz nic nie przeglądało przez jego źrenice. Podawał się za chemika. Był kłownem u Bobeche'a, a pajacem u Bobino. Występował nawet w wodewilu w salce Saint-Mihiel. Był to człowiek wyrachowany, mówca zawołany, który umiejętnie podkreślał swoje gesty i uśmiechy. Proceder jego polegał na sprzedawaniu na ulicach gipsowych popiersi i podobizn „głowy państwa”. Ponadto wyrывał zęby. Niegdyś pokazywał na jarmarkach dziwy natury i miał budę z trąbą i takim afiszem: „Babet, artysta-dentysta, członek wielu akademii, robi doświadczenia fizyczne na metalach i metaloidach, wyrывa zęby, podejmuje się nawet usuwania pieńków, którym nie dali rady jego koledzy. Cena: jeden ząb — półtora franka, dwa zęby — dwa franki, trzy zęby — dwa i pół franka. Korzystajcie z okazji!” (To „korzystajcie z okazji” znaczyło: dajcie sobie wyrwać jak najwięcej zębów!) Był też niegdyś żonaty i miał dzieci. Nie wiedział, co się z nimi stało; zgubił je gdzieś po drodze, tak jak się gubi chustkę do nosa. Babet czytywał gazety, co było nader rzadkim wyjątkiem w tym świecie ciemności. Pewnego dnia, kiedy jeszcze żył z rodziną w wędrownym wozie, wyczytał w „Messenger”, że jakaś kobieta powiła żywe dziecko z głową cielęcia, i zawołał: „To prawdziwy majątek! No, moja baba nigdy nie miałaby dość rozumu, żeby urodzić mi takiego dzieciaka!”

Nieco później porzucił wszystko, żeby „wziąć w obroty Paryż”. To jego własne

określenie.

Kim był Claquesous? Nocą. Żeby się pokazać, czekał, aż niebo pomaże się czernią. Wieczorem wyłaził z jakiejś nory, do której wracał przed świtem. Gdzie była ta nora? Tego nikt nie wiedział. Nawet wśród zupełnych ciemności, nawet do własnych kolegów nie mówił inaczej jak obrócony tyłem. Czy nazywał się Clequesous? Nie. Mówił o sobie: „Nazywam się Nic-a-nic.” Jeśli wnoszono świecę, wkładał maskę. Był brzuchomówcą, Babet mówił o nim: „Claquesous to nokturn na dwa głosy.” Claquesous był niepojęty, błędny, straszny. Nie było pewne, czy ma nazwisko, bo Claquesous było tylko przezwiskiem; nie było pewne, czy ma jakiś głos, bo częściej mówił brzuchem niż ustami; nie było pewne, czy ma jakąś twarz, bo widziano tylko jego maskę. Znikał, jakby się rozwiewał; zjawiał się, jakby wyrastał spod ziemi.

Ponurą postacią był Montparnasse. Jeszcze dziecko -lat niespełna dwadzieścia, ładna twarz, usta jak wiśnie, piękne, czarne włosy, blask wiosny w oczach; miał wszelkie złe skłonności i pociąg do wszelkich zbrodni. Zakosztowane zło zbudziło w nim pragnienie rzeczy jeszcze gorszych. Był to ulicznik, który stał się włóczęgą, włóczęga, który stał się zbirzem. Był miły, zniewieściał, pełen wdzięku, silny, miękki, okrutny. Zawijał z lewej strony rondo kapelusza, by wysunąć na czoło pukiel włosów, zgodnie z modą panującą w 1829 roku. Żył z rozboju. Nosił marynarki zniszczone, ale doskonale skrojone. Montparnasse — to był rysunek z żurnala mód, cierpiący nędzę i popełniający morderstwa. Przyczyną wszystkich zbrodni tego młodzieniaszka była żądza elegancji. Pierwsza gryzетка, która mu powiedziała: „Jesteś śliczny!” — rzuciła mu plamę ciemności do serca i tego Abła przemieniła w Kaina. Uważając się za pięknego, zapragnął być wytwornym; otóż najpierwsza wytworność — to beczynność; beczynność biedaka — to zbrodnia. Niewielu włóczęgów wzbudzało taki postrach jak Montparnasse. W osiemnastym roku życia niejednego już trupa miał za sobą.

W cieniu tego nędznika leżał niejeden przechodzień z wyciągniętymi rękami i z twarzą w kałuży krwi. Utrufiony, wypomadowany, ściśnięty w pasie, z biodrami kobiety i piersią pruskiego oficera, otoczony szmerem zachwyty bulwarowych dziewcząt, z misternie zawiązaną chustką, kastetem w kieszeni i kwiatkiem w butonierce — taki był ten upiorny elegancik.

## ROZDZIAŁ IV

### SKŁAD BANDY

Tych czterech bandytów tworzyło coś w rodzaju Proteusza, który prześlizgiwał się przez kordony policji i usiłował wymknąć się niedyskretnym spojrzaniom Vidocq'a „pod rozmaitymi postaciami drzewa, płomyka i źródła”, używając sobie wzajemnie swoich imion i forteli, ukrywając się we własnym cieniu, służąc sobie za kryjówki i schronienie, zrzucając swoje cechy osobiste tak, jak się zrzuca fałszywy nos na maskaradzie, czasem sprowadzając się tylko do jednego człowieka, to znów tak się pomnażając, że sam Coco-Lacour brał ich za całą gromadę.

Ci czterej ludzie nie byli bynajmniej czterema ludźmi: to był rodzaj tajemniczego złodzieja o czterech głowach, pracującego na wielką skalę w Paryżu; był to potworny polip zła, zamieszkujący podziemie społeczeństwa.

Dzięki rozgałęzionym stosunkom i sieci swych znajomości Babet, Gueulemer, Claquesouts i Montparnasse prowadzili główne przedsiębiorstwo zasadzek w departamencie Sekwany. Dokonywali na przechodniach zamachów stanu nizin. Wynalazcy pomysłów tego rodzaju, ludzie o nocnej wyobraźni, zwracali się do nich w sprawie wykonania. Dostarczano kanwy czterem łajdakom, a oni podejmowali się inscenizacji. Opracowywali scenariusz. Mogli zawsze dostarczyć odpowiednio liczny i stosowny personel do wszelkich napadów wymagających siły pięści, a dostatecznie zyskownych. Skoro zbrodnia jakaś poszukiwała pomocy wynajmowali jej współników. Dysponowali trupą aktorów ciemności do odgrywania tych jaskiniowych tragedii.

Spotykali się zwykle o zmierzchu, który bywał porą ich przebudzenia, w rozległych pustkowiach koło Salpetriere. Tam się naradzali. Układali plan działania na dwanaście czarnych godzin, które mieli przed sobą.

„Ślepy kur” — tak nazywano w podziemnym świecie stowarzyszenie tych czterech ludzi. W starym, dziwnym języku ludu, który z każdym dniem zanika, „ślepy kur” oznacza świt, podobnie jak „krzyk puchacza” oznacza zmrok. Nazwa ta pochodziła zapewne od pory, w której kończyli swą pracę, o świcie bowiem pierzchają widziadła i rozchodzą się bandyci. Ci czterej ludzie znani byli pod tą rubryką. Kiedyś przewodniczący sądu przysięgłych wypytywał w więzieniu Lacenaire'a o jakieś przestępstwo, którego zbrodniarz się wypierał. „Któż więc je popełnił?” — zapytał przewodniczący. Na to Lacenaire dał odpowiedź zagadkową dla sędziego, lecz jasną dla policji: „Może «ślepy kur».”

Nieraz można zorientować się w sztuce zsamego spisu występujących w niej osób; podobnie można ocenić charakter bandy z listy bandytów. A oto zachowane jeszcze w pamięci pewnych osób nazwiska, jakich używali główni członkowie „ślepego kura”: Panchaud, zwany Wiosennym lub Urwipołciem. Brujon (istniała cała dynastia Brujonów; powiemy o niej jeszcze parę słów). Boulatruelle, znany już nam dróżnik. Wdowa.

Finistere.

Homer Hogu, Murzyn.

Wtorek-Wieczorek.

Depesza.

Fauntleroy, zwany Kwiaciarką.

Słoneczko, dawny galernik.

Zawalidroga, zwany panem Dupont!

Lesplanade-du-Sud.

Poussagrive.

Karmaniola.

Kruideniers, zwany Bizarro.

Koronkarz.

Kręciołek.

Półszeląg, zwany też Dwa Miliardy.

Ita., itd.

Pomijamy wielu innych, i to nienajgorszych. Te imiona mają oblicze: określają nie tylko ludzi, lecz także gatunek człowieka. Każde z nich odpowiada jakiejś odmianie tych pokraccznych grzybów, co rosną na samym dnie cywilizacji.

Tych ludzi, niechętnie ukazujących swoje twarze, nie spotyka się wśród przechodniów na ulicy. W dzień, zmęczeni straszną, nocną robotą, spali bądź to w piecach wapiennych, bądź to w opuszczonych kamieniołomach na Montmartre czy Montrouge, a czasem w kanałach ściekowych. Kryli się w swoich norach.

Co się stało z tymi ludźmi? Istnieją zawsze. Zawsze istnieli. O nich to mówi Horacy: *Ambubaiarum collegia, pharmacopola, mendici, mimae*, i póki ustrój społeczny będzie taki, jaki jest, oni także będą tacy, jacy są. Pod mrocznym sklepieniem swej jaskini odradzają się wciąż z mętów społecznych. Powracają — jak upiory — zawsze tacy sami, tyle tylko, że noszą inne imiona i inne ciało.

Choć zniszczy się jednostki, klan pozostaje. Posiadają zawsze te sanie zdolności. Czystość rasy utrzymuje się od średniowiecznego żebraka aż po dzisiejszego włóczęgę. Odgadują sakiewki w kieszeniach, wywąchują zegarki w kamizelkach. Złoto i srebro mają dla nich zapach. Zdarzają się prostoduszni poczciwcy, którzy — rzecz by można — wyglądem swoim zapraszają do kradzieży. Ci ludzie cierpliwie chodzą krok w krok za tymi poczciwcami. Na widok cudzoziemca czy przybysza z prowincji przebiega ich dreszcz, jak pająka, który ujrzy swoją ofiarę.

Ludzie ci, jeśli zdarzy się ich napotkać lufo spostrzec z daleka koło północy na pustym bulwarze, budzą przerażenie. Zda się, że to nie ludzie, lecz postacie z żywej mgły; rzekłbyś, że zwykle zrośnięci z ciemnością, niczym się od niej nie różnią, nie mają innej duszy jak mrok i że tylko na chwilę oderwali się od nocy, aby przeżyć parę minut jakimś życiem potworów.

Czegóż trzeba, żeby rozwiały się te straszidła? Światła. Potoków światła. Żaden nietoperz nie ostoi się wobec brzasku dnia. Oświecajcie społeczeństwo od dołu.

# KSIĘGA ÓSMA

## NIEGODZIWY BIEDAK

### ROZDZIAŁ I

#### SZUKAJĄC DZIEWCZINY W KAPELUSZU, MARIUSZ SPOTYKA CZŁOWIEKA W CZAPCE

Minęło lato, potem jesień, nadeszła zima. Ani pan Biały, ani dziewczyna nie pojawili się w Ogrodzie Luksemburskim. Mariusz myślał tylko o jednym: zobaczyć znów tę uroczą, słodką twarzyczkę. Szukał jej wciąż, szukał jej wszędzie i nie znajdował. Nie był to już dawny Mariusz, pełen zapału marzyciel, człowiek zdecydowany, żarliwy i stanowczy, śmiałek wyzywający los, wyobraźnia wznosząca coraz nowe gmachy przyszłości, młody umysł pełen planów, zamierzeń, dumy, pomysłów i woli — był to bezpański pies. Wpadł w czarną melancholię. Wszystko się skończyło. Praca budziła w nim wstręt, przechadzki go nużyły, samotność nudziła; niezmiernie przyroda, kiedyś tak pełna kształtów, światła, głosów, rad, perspektyw, horyzontów i nauk, teraz była dlań pustką. Zdawało mu się, że wszystko znikło.

Myślał nadal, bo nie mógł nie myśleć, lecz nie lubował się już swoimi myślami. Na wszystkie ich ciche, a nieustanne podszepty odpowiadał w otaczającym go mroku: „Po co?”

Robił sobie tysiącne wymówki: „Czemu chodziłem za nią? Sam jej widok dość mnie uszczęśliwiał! Spoglądała na mnie, czyż to już nie było bardzo, bardzo wiele? Zdawała się mnie lubić. Czyż to już nie było wszystko? Czegóż jeszcze chciałem? Trudno żądać więcej. Jakże byłem głupi! To moja wina!” itd., itd. Courfeyrac, któremu z niczym się nie zwierzył, bo taka już była jego natura, lecz który domyślał się po trosze wszystkiego, bo taka znów była jego natura, z początku wieszował mu, że się zakochał, zresztą dziwiąc się temu niezmiernie, następnie, widząc, jaka melancholia ogarnęła Mariusza, powiedział mu wreszcie: „Widzę, żeś po prostu dureń. Wiesz co, chodź na zabawę «Pod Strzechę».”

Pewnego razu, ufając pięknemu, wrześnieowemu słońcu, Mariusz pozwolił się Courfeyracowi zaprowadzić na zabawę do Sceaux, spodziewając się — co za marzenie ściętej głowy — że może ją tam odnajdzie. Bossuet i Grantaire poszli z nimi. Oczywiście Mariusz nie znalazł tam tej, której szukał. „A jednak to tutaj znajduje się wszystkie «zgubione»kobiety” — mruknął na stronie Grantaire. Mariusz zostawił przyjaciół na zabawie i wrócił do domu piechotą, sam,

zmęczony, rozgorączkowany, z zamglonym, smutnym wzrokiem, utkwionym w ciemności nocy, oszołomiony kurzem i turkotem wesoło przejeżdżających pojazdów, pełnych rozśpiewanych ludzi, które mijały go, wracając z zabawy; zniechęcony wdychał dla ochłody pałającej głowy cierpki zapach drzew orzechowych, rosnących przy drodze.

Znowu zaczął żyć jak przedtem, coraz bardziej samotny, zagubiony, przygnębiony, pochłonięty duchową udręką, miotając się w swym cierpieniu jak wilk w potrzasku, wypatrując wszędzie nieobecnej, ogłupiały z miłości.

Innym razem zdarzyło mu się spotkanie, które wywarło na nim osobliwe wrażenie. W jednej z ciasnych uliczek, przylegających do bulwaru Inwalidów, minął jakiegoś człowieka w ubraniu rzemieślnika i w czapce z dużym daszkiem, spod którego wymykały się pasma zupełnie białych włosów. Mariusza uderzyło piękno tych białych włosów, przyjrzał się temu człowiekowi, który szedł wolnym, krokiem, jakby pogrążony w bolesnych rozmyślaniach. Dziwna rzecz, wydało mu się, że poznaje pana Białego: te same włosy, ten sam profil — o ile można go było dojrzeć pod czapką — ta sama postawa, tylko bardziej przygnębiona. Ale czemu to odzienie rzemieślnika? Co to miało znaczyć? Czemu przypisać to przebranie? Mariusz był bardzo zdziwiony. Kiedy się opamiętał, natychmiast chciał iść w ślad za tym człowiekiem: a nuż natrafi wreszcie na trop, którego szuka? W każdym razie należało obejrzeć go z bliska i wyjaśnić zagadkę. Ale wpadł na ten pomysł za późno, nieznajomy zniknął. Skręcił w którąś z bocznych uliczek i Mariusz nie mógł go odnaleźć. Spotkanie to dręczyło go przez kilka dni, potem o nim zapomniał. Zresztą powiedział sobie: „Było to chyba tylko podobieństwo.”



## ROZDZIAŁ II

### ZGUBA ZNALEZIONA

Mariusz mieszkał nadal w ruderze Gorbeau. Nie zwracał uwagi na swoich sąsiadów.

Co prawda w tym czasie nie było tam innych mieszkańców prócz niego i owych Jondrette'ów, za których kiedyś zapłacił komorne. Nigdy zresztą nie zamienił słowa ani z ojcem, ani z matką, ani z córkami. Inni lokatorzy wyprowadzili się albo poumierali, albo zostali eksmitowani, bo nie płacili komornego.

Pewnego dnia owej zimy wyrzało po południu słońce, ale był to drugi luty, prastare święto Matki Boskiej Gromnicznej, którego zdradliwe słońce, zapowiadające sześć tygodni mrozu, natchnęło Mateusza Laensberga tymi dwoma wierszami, słusznie uznanymi za klasyczne:

Czy to świeci, czy połyska, Niedźwiedź śpi wśród legowiska.

Mariusz właśnie wyszedł ze swojego legowiska. Zapadał wieczór. Nadeszła pora obiadu. Trzeba było bowiem powrócić do zwyczaju jadań obiadów, niestety! O, jakże niedoskonałe są idealne namiętności!

Wyszedł za próg swojego pokoju, który w tej chwili właśnie zamykała jejmość Burczymucha, wygłaszając ten godny zapamiętania monolog:

— Co teraz jest tanie? Wszystko jest drogie! Tylko praca ludzika tania! Oj tak, tak! Praca ludzka nic nie kosztuje.

Mariusz wolnym krokiem szedł bulwarem ku rogatce, kierując się w stronę ulicy Św. Jakuba. Szedł zamyślony, ze spuszczoną głową.

Nagle poczuł, że ktoś go potrącił wśród mgły; odwróciwszy się, zobaczył dwie dziewczyny w łachmanach; jedna była wysoka i szczupła, a druga nieco niższa, obie szybko szły wystraszone i zadyszane, jakby przed kimś uciekały. Idąc naprzeciw niego, nie dostrzegły go i mijając, potrąciły. Mariusz mógł rozróżnić w zmroku ich wybladłe twarze, rozczochrane włosy, ohydne brudne czepki, spódnice w strzępach i bose nogi. Biegnąc, rozmawiały ze sobą. Większa mówiła bardzo cicho:

— Salcesony przyszły, o mało mnie nie capnęli! Druga odpowiedziała:

— Ja widziałam ich. Ale też wiałam ile siły w nogach!

Poprzez niejasność tego złowrogiego szwargotu Mariusz domyślił się, że policja albo żandarmi omal nie ujęli tych dwóch dziewczyn, które zdołały się wymknąć.

Dziewczęta weszły pomiędzy drzewa bulwaru za Mariuszem, przez kilka chwil majaczyły wśród nich niewyraźną, białą plamą, wreszcie znikły.

Mariusz przystanął na chwilę.

Już chciał ruszyć dalej, kiedy spostrzegł pod nogami na ziemi jakąś szarawą, małą paczką. Schylił się podniósł ją. Było to coś w rodzaju koperty, która zdawała się zawierać jakieś papiery.

— Tak, to zapewne te nieszczęsne stworzenia ją upuściły — powiedział sobie.

Zawrócił, wołał, ale już ich nie było; pomyślał, że odeszły już daleko, wsunął paczkę do kieszeni i poszedł na obiad.

Po drodze zobaczył na ulicy Mouffetard dziecinną trumienkę, ustawioną na trzech stołkach i okrytą czarnym, całunem: jedna jedyna świeczka paliła się przy niej. Widok ten przywiódł mu na myśl dziewczyny, napotkane w ciemnościach.

„Nieszczęsne matki — pomyślał — bolesna to rzecz patrzeć na śmierć swojego dziecka; lecz boleśniej jeszcze jest patrzeć, że dziecko prowadzi złe życie.”

Niebawem jednak pierzchły te cienie, które odciągnęły jego myśl od stałej zgryzoty, i Mariusz pograżył się w swoim zwykłym smutku. Zaczął znowu rozmyślać o sześciu miesiącach miłości i szczęścia, przeżytych pod gołym niebem i w promiennym słońcu, wśród pięknych drzew Ogrodu Luksemburskiego.

— Jakże smutne stało się moje życie — mówił do siebie. — Wciąż widzę młode dziewczęta. Tylko dawniej to były anioły, a dzisiaj to są upiory.

## ROZDZIAŁ III

### CZŁOWIEK O CZTERECH TWARZACH

Rozbierając się wieczorem, natrafił w kieszeni na paczkę, którą znalazł na bulwarze. Zapomniał o niej. Pomyślał, że może dobrze byłoby ją otworzyć, że zapewne znajdzie tam adres dziewcząt — jeśli rzeczywiście do nich należała — a w każdym razie wskazówki, które pozwolą mu zwrócić ją temu, kto ją zgubił.

Otworzył kopertę.

Nie była zapieczętowana i zawierała cztery listy, również niezapieczętowane.

Na każdym z listów był wypisany adres.

Wszystkie cztery cuchnęły podłym tytoniem.

Pierwszy list nosił adres: „Do Jaśnie Wielmożny Pani" Margrabiny de Grucheray, na placu wprost Izby Deputowanych, nr...”

Mariusz pomyślał sobie, że znajdzie tam pewno wskazówki, których szukał, i że skoro list nie jest zamknięty, można go przeczytać nie popełniając niedyskrecji.

List był następującej treści:

Jaśnie Wielmożna Pani Margrabino,

Cnota miłosierdzia i pobożności jest tą, która najmocniej wiąże razem społeczeństwo. Porusz, Pani, swe krześcijańskie uczucia i spójsz litościwym okiem na mnie, nieszczęśliwego Hiszpana, ofiarę uczciwości i przywiązania do świętej sprawy prawowitego Króla, którą opłacił swoją krwią i dla której poświęcił całą fortunę, tak że dziś znalazł się w najstraszniejszej nędzy. Nie wątpię, że Jaśnie Wielmożna Pani, jako szlachetna osoba, udzieli mi pomocy dla zachowania ciężkiego życia wojakowi, pełnemu ran, z wielką edukacją i chonorem, i z gury liczę na ludzkie uczucia, którymi Jaśnie Wielmożna Pani jest orzywiona, jako też na współczucie, które masz dla tak nieszczęśliwego narodu. Ich prośba nie będzie nadaremna, a ich wdzięczność zachowa w miłej pamięci Jej urocze wspomnienie.

Łonczę uczucia pełne głębokiego uszanowania i mam chonor kryślić się unizonym słogą.

*Don Alvarez,*

hiszpański kapitan kabalerii, rojalista zbiegły do Francji, który znajduje się w podróży do swojej ojczyzny i ma brak pieniędzy na dalszą drogę.

Przy podpisie nie było żadnego adresu. Mariusz spodziewał się go znaleźć w drugim liście, noszącym adres: „Do Jaśnie Wielmożny Pani Chrabiny de Montvernet, przy ulicy Casette nr 9.”

Oto, Co wyczytał w tym liście:

Wielmożna Pani Chrabino,

Pisze do Ciebie nieszczęśliwa matka, co ma sześć dzieci, najmniejsze osiem miesięcy. Ja jestem chora po ostatnim porożeniu, mąż żucił mnie, już bendzie temu pienc miesięcy bez żadnych funduszów na świecie w najokropniejszy nendzy.

W nadziei co do Pani Chrabiny, kreślę się z poważaniem

*Balizardowa*

Mariusz przeszedł do trzeciego listu, który, podobnie jak poprzednie, był prośbą; brzmiał tak:

Wielmożny Pan Pabourgeot, wyborca, właściciel składu czapek, ulica Św. Dionizego, róg Żelaznej.

Ośmielam się przesłać Wielmożnemu Panu ten list z prośbą o udzielenie mi drogocennej łaski swych względów i zainteresowanie się literatem, który dopiero co wysłał swój dramat do Komedii Francuskiej. Żecz jest historyczna i toczy się w Owernii za cysarstwa. Styl, jak mniemam, jest naturalny, lakoniczny i wogule chyba dobry. W czterech miejscach są piosenki.

Chumor, powaga i niespodzianki mieszają się z różnaitością charakterów, a nastrój romantyczny rozpościera się letko po całej intrydze, która rozwija się tajemniczo, napotyka na wiele zdumiewających katastrof i rozwionzuje się w kilku efektownych scenach.

Głównym moim celem jest zadowolenie postempowej potrzeby człowieka naszych czasów, czyli mody, tej kapryśnej i dziwnej horągiewki, która zmienia kierunek za każdym prawie powiewem wiatru.

Boję się jednak, że mimo wymienionych zalet, zazdrość ludzka — ten, można powiedzieć, egoizm uprzywilejowanych autorów — uzyska moje wygryzienie z teatru, znam bowiem gorycze, którymi tam poją nieznanych autorów.

Szanowny Panie Pabourgeot, zasłużona pańska reputacja uświadomionego protektora literatów ośmiela mnie: posyłam panu moją curkę, która wyłószczy Panu naszą ucionżliwą sytuację, której braknie chleba i ognia w tej srogiej porze zimowej. Jeżeli powiem, że upraszani Wielmożnego Pana, byś raczył przyjąć chołd, który pałam żądzą złożyć panu w moim dramacie i we wszystkich, które w przyszłości ułożę, to jest tylko dowód, jak dalece pragnę schronienia się pod pański puklesz i ozdobienia moich pism pańskim nazwiskiem. Jeśli raczysz mnie Pan zaszczycić najdrobniejszą choćby ochwiarą, zaraz wezmę się do pisania poematu wierszem, żeby Panu spłacić mój characz wdzięczności. Ten poemat, który postaram się ułożyć najzgrabniej, jak można, zostanie Wielmożnemu Panu przesłany przed wydrukowaniem na czele dramatu i przed wydeklamowaniem na scenicznych deskach.

Wielmożnemu Panu i Szanowny Małżonce najuniżeńsze chołdy składa

*Genflot* — literat

P. S. Wystarczy i czterdzieści su.

Proszę mi wybaczyć, że przysyłam curkę, a nie stawiam się we własnej osobie, ale smutne przyczyny, związane z garderobą, nie pozwalają mi, niestety, opuszczać domu.

Mariusz otworzył wreszcie czwarty list. Był na nim następujący adres: „Do dobroczyńcy ubogich z kościoła Św. Jakuba z Alto Passo.”

Zawierał tych parę słów.

Dobroczyńco ubogich!

Jeśli raczysz Pan towarzyszyć mojej curce w nasze niskie progi, ujżysz nędzną klęskę i pokażę ci moje świadectwa.

Na widok tego pisania litościwa Twoja dusza przeszyta zostanie uczóciem życzliwej tkliwości, gdysz prawdziwi filozofowie zawsze głęboko czóją.

Przyznaj, litościwo osobo, że trzeba cierpieć najokrutniejszy niedostatek i że to bardzo bolesne dla otrzymania jakiejbądź ulgi poświadczyć go przez władzę, jakby nie wolno było człowiekowi cierpieć w skrytości i konać z głodu, czekając, nim go kto wspomorze.

Los jest bardzo okrutny dla jednych, a dla innych Zbyt rozżótny i łaskawy.

Oczekóję Pańskiej wizyty albo też ochwiary, jeśli ją raczysz uronić, i proszę, przyjm Pan pełne szacónku uczócia, z którymi mam zaszczyt pozostawać

O, wspaniałomyślny człowieku, Twym najpoikorniejszym stóga

P. *Fdbantou*, artysta dramatyczny.

Po przeczytaniu tych czterech listów Mariusz niewiele więcej wiedział niż przedtem.

Po pierwsze, żadna z podpisanych osób nie podawała swojego adresu. Po wtóre, choć listy zdawały się pochodzić od czterech rozmaitych indywiduów, don Alvareza, Balizardowej, poety Genflot i artysty dramatycznego Faibantou, miały tę szczególną właściwość, że wszystkie cztery napisane były tym samym pismem.

Stąd nasuwał się wniosek, że pochodziły od tej samej osoby.

Poza tym — co jeszcze bardziej utwierdzało w tym przypuszczeniu — wszystkie cztery pisane były na jednakowym papierze, ordynarnym i pożótkłym; wszystkie jednakowo pachniały tytoniem, i choć usiłowano widocznie urozmaicić — o ile możliwości — styl, przecież błędy ortograficzne powtarzały się w nich z niezmaconym spokojem i literat Genflot popełniał ich nie mniej od hiszpańskiego kapitana.

Niewarto było wysilać się na odgadywanie tej nieważnej tajemnicy. Gdyby listy nie zostały znalezione przypadkiem, cała sprawa wyglądałaby na jakąś mistyfikację. Mariusz był zbyt smutny, żeby dobrze przyjąć jakiegokolwiek igraszki trafu i dać się wciągnąć w figiel, którym chciał go zabawić bruk Uliczny. Zdawało mu się, że gra w „ślepa babkę" z czterema listami, które kpią sobie z niego.

Nic też nie wskazywało na to, że listy stanowiły własność dziewcząt napotkanych na bulwarze. Ostatecznie były to szpargały bez żadnego znaczenia.

Mariusz włożył je z powrotem do koperty, cisnął w kąt i położył się spać.

Koło siódmej rano, kiedy wstał, zjadł śniadanie i zabierał się właśnie do roboty, ktoś zapukał lekko do drzwi.

Ponieważ nic nie posiadał, nigdy nie wyjmował klucza z zamku, najwyżej wówczas chyba — i to bardzo rzadko — gdy miał jakąś pilną robotę. Poza tym

nawet wychodząc na miasto, zostawiał klucz w drzwiach.

„Okradną pana!” — mawiała jejmość Burczymucha.

„Cóż mogą mi ukraść?” — odpowiadał Mariusz. A jednak pewnego pięknego dnia skradziono mu parę starych butów, ku wielkiemu triumfowi jejmość Burczymuchy.

Zapukano po raz wtóry, równie lekko jak za pierwszym razem.

— Proszę — powiedział Mariusz. Drzwi się otworzyły.

— Czego pani sobie życzy, pani Burgon? — zapytał Mariusz, nie odrywając oczu od książek i rękopisów, rozłożonych na stole.

Głos, który nie był głosem pani Burgon, odpowiedział:

— Przepraszam pana...

Był to głos głuchy, zużyty, zduszony, zdarty, przepity, głos starego pijaka, ochrypły od wódki i araku.

Mariusz odwrócił się żywo i zobaczył młodą dziewczynę.

## ROZDZIAŁ IV

### RÓŻA W NĘDZY

W uchylonych drzwiach stała młodziutka dziewczyna.

Okienko, przez które wpadało światło do izdebki, znajdowało się na wprost drzwi i rzucało blady odblask na tę postać. Było to stworzenie mizerne, wątłe, wychudzone; tylko koszula i spódnica osłaniały jej drżącą i zziębniętą nagość. Zamiast paska, kawałek sznurka, włosy również sznurkiem związane. Spod koszuli wystawały kościste ramiona. Cerę miała bladą i limfatyczną, ziemiste obojczyki, czerwone ręce, usta w pół otwarte i zapadnięte, bez kilku zębów, oczy przygaste, bezczelne i o nikczemnym wyrazie, kształty niedorozwiniętej dziewczyny, spojrzenie starej rozpustnicy, lat pięćdziesiąt i piętnaście zarazem; była to jedna z tych istot, co łączą słabość z ohydą i wywołują dreszcz grozy albo łyzy współczucia .

Mariusz wstał i z pewnym zdumieniem przypatrywał się temu stworzeniu, podobnemu do cieni, które przesuwają się w snach.

Najbardziej żałosne było to, że dziewczyna ta nie wydawała się stworzona na brzydulę. Jako dziecko musiała nawet być ładna. Wdzięk młodości walczył u niej jeszcze z ohydą, przedwczesną starością, zrodzoną z rozpusty i nędzy. Resztki piękności dogorywały na tej szesnastoletniej twarzy jak blade słońce gasnące w zimowy poranek za zwałami ciężkich chmur. Twarz dziewczyny nie była obca Mariuszowi. Miał wrażenie, że gdzieś ją już widział.

— Czego sobie panienka życzy? — zapytał.

Młoda dziewczyna odrzekła głosem pijanego galernika:

— Mam list dla pana, panie Mariuszu.

Nazywała Mariusza po imieniu; nie ulegało więc wątpliwości, że do niego miała interes; ale kim była? I skąd znała jego imię?

Nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju. Weszła śmiało i z jakąś ściskającą za serce bezczelnością, rozejrzała się po całej izbie i nie zastałym jeszcze łóżku. Była bosa. Przez wielkie dziury w spódnicy przeświecały długie nogi i chude kolana. Dygotała z zimna.

Rzeczywiście trzymała w ręku list, który podała Mariuszowi.



Otwierając go, Mariusz zauważył, że olbrzymi opłatek, którym go zapieczętowano, był jeszcze wilgotny. Pismo nie mogło pochodzić z bardzo daleka. Przeczytał:

Miły młodzieńcze i sąsiedzie

Dowiedziałem się o pańskiej uprzejmości, żeś Pan zapłacił za mnie komorne, bendzie temu pół roku. Bóg ci zapłać, młody człowieku! Moja starsza curka powie panu, żeśmy są już od dwóch dni bez kawałka chleba, wszyscy czworo, a do tego moja małżonka ciengiem jest chora. Jeśli pszczócia moje mnie nie zawiodą, to myślę, że słusznie pokładam nadzieję w pańskim szlachetnym sercu, które wzruszy się tym pismem i nakaże Panu pragnienie okazania mnie swej łaskowości przez udzielenie choćby letkiego wspomorzenia.

Pozostaje z głębokim poważaniem, które się słusznie należy dobroczyńcom ludzkości

*Jondrette*

P. S. Moja curka zaczeka na pańskie rozkazy, drogi Panie Mariuszu.

Pośród niejasnej przygody, która od wczorajszego wieczora zaprzętała myśli Mariusza, list ten był świeczką wniesioną do piwnicy: wszystko się nagle rozjaśniło.

List pochodził z tego samego źródła co i tamte cztery. To samo pismo, ten sam styl, ta sama ortografia, ten sam papier, ten sam zapach tytoniu.

Było więc pięć listów, pięć opowieści, pięć różnych nazwisk, pięć podpisów, ale tylko jeden nadawca. Hiszpański kapitan don Alvarez, nieszczęsna matka Balizard, poeta dramatyczny Genflot, stary aktor Fabantou, wszyscy czworo nazywali się Jondrette, o ile Jondrette rzeczywiście nazywał się Jondrette.

Choć Mariusz od dawna już mieszkał w tej ruderze, lecz — jak już mówiliśmy — nie miał prawie sposobności nie tylko widywać, ale spostrzegać swych nielicznych sąsiadów. Myślą błędził gdzie indziej, a gdzie jest myśl, tam jest spojrzenie. Nieraz zapewne spotykał Jondrette'ów w korytarzu czy na schodach, ale byli dlań tylko sylwetkami bez twarzy; tak małą na nich zwracał uwagę, że potrafiwszy wczoraj wieczorem na bulwarze córki Jondrette'a — gdyż to były niewątpliwie one — nie poznał ich wcale i dopiero teraz widok dziewczyny, która weszła do jego pokoju, z trudnością zdołał obudzić w nim, poprzez litość i wstręt, mgliste wspomnienie, iż kiedyś już ją widział.

Teraz wszystko stało się jasne: zrozumiał, że jego sąsiad Jondrette, w swej niedoli, zawodowo trudnił się wyzyskiwaniem litości dobroczynnych osób,

zdobywał adresy i pisywał pod zmyślnymi nazwiskami listy do ludzi, których uważał za bogatych i miłosiernych; i listy te roznosiły jego córki na własne ryzyko, ten ojciec bowiem doszedł do tego, że narażał na niebezpieczeństwo swoje córki. Rozgrywał partię z losem i stawiał na kartę własne dzieci. Wnosząc z ich wczorajszej ucieczki, zadyszania, strachu i kilku słów, wypowiedzianych w gwarze złodziejskiej, Mariusz domyślił się, że biedaczki uprawiają inne jeszcze podejrzaną procedury i że wszystko to w samym sercu dzisiejszej społeczności ludzkiej zrodziło dwie nieszczęsne istoty: ani dzieci, ani dziewczęta, ani kobiety, lecz stwory plugawe i niewinne zarazem, spłodzone przez nędzę.

Smutne stworzenia bez imienia, bez wieku, bez płci, niezdolne już ani do złego, ani do dobrego, które wychodząc z dzieciństwa nie mają już nic na tym świecie ani wolności, ani cnoty, ani poczucia odpowiedzialności. Dusze, które wczoraj się rozwinęły, a dziś zwiędły, podobne do kwiatów rzuconych na bruk uliczny, które powoli więdną w błocie, zanim i ich jakieś koło nie zmiażdży.

Podczas gdy Mariusz przyglądał się jej zdumionym i żalonym wzrokiem, dziewczyna kręciła się po mansardzie z zuchwałością widma. Miotła się, nie przejmując się wcale swą nagością, chwilami rozchełstana i podarta koszula obsuwała się jej prawie do pasa. Przesuwała krzesła, rozrzucała przybory toaletowe, leżące na komodzie, obmacywała ubranie Mariusza i myszkowała po wszystkich kątach.

— O, słowo daję — mówiła — pan ma lusterko!

I nuciała sobie, jakby była sama, jakieś urywki z wodewilów, figlarne zwrotki, którym jej głos ochrypli i gardłowy nadawał ponurego brzmienia. Ale przez tę arogancję przebijała jakaś nienaturalność, niepokój i upokorzenie. Bezcelność wypływa z uczucia wstydu.

Trudno o smutniejszy widok niż to jej miotanie się i jakby fruwanie po pokoju, te ruchy ptaka, który został oślepiiony światłem lub ma złamane skrzydła. Odnosiło się wrażenie, że w innych warunkach, przy innym wychowaniu i innej doli, wesołe i swobodne zachowanie tej dziewczyny mogłoby mieć najśłodszy urok. Wśród zwierząt nigdy istota stworzona na gołąbkę nie przemienia się w krogulca; to się zdarza tylko wśród ludzi.

Mariusz zamyślił się i pozwalał jej robić, co chciała. Zbliżyła się do stołu.

— Ho, ho! — rzekła. — Książki!

Coś błysnęło w jej szklistym oku. Ciągnęła dalej, a głos jej zdradzał radość, że może się czymś pochwalić — uczucie nieobce żadnej ludzkiej istocie.

— Ja też umiem czytać!

Porwała szybko książkę, która leżała otwarta na stole, i przeczytała dość płynnie:

„...Generał Baudouin otrzymał rozkaz, by na czele pięciu batalionów swej brygady zdobyć zamek Hougomont, który leży pośrodku równiny Waterloo...”

Przerwała:

— Aha, Waterloo... Wiem. Tam była kiedyś bitwa. Mój ojciec tam był, bo mój tata służył przy wojsku.

Myśmy wszyscy tacy bonapartyści, że aż strach! Tam się nasi bili z Anglikami. Położyła książkę, chwyciła pióro i zawołała:

— Umiem też pisać!

Umoczyła pióro w kałamarzu i zwróciła się do Mariusza:

— Chce pan zobaczyć? Proszę, napiszę coś!

I zanim zdążył odpowiedzieć, napisała na kartce czystego papieru, leżącej na stole: „Salcesony idą.” Po czym rzuciła pióro i rzekła:

— Nie robię błędów, niech pan zobaczy! Uczyłyśmy się kiedyś, moja siostra i ja. Nie zawsze byliśmy tym, co dzisiaj. Nie byliśmy stworzone na to, żeby...

Tu przerwała, utkwiała przygastę spojrzenie w Mariuszu, parsknęła śmiechem i rzekła tonem, w którym brzmiał bezmiar smutku, zdławiony bezmiarem cynizmu:

— Et!

I zanuciła na wesołą nutkę takie oto słowa:

Daj mi jeść, tatulu,

Bo głodno;

Okryj mnie, matulu,

Bo chłodno.

A marznij sobie,

Córeczko. A płaczże sobie,

Syneczku.

Ledwo skończyła tę zwrotkę, zawołała:

— Czy chodzi pan kiedy do teatru, panie Mariuszu? Bo ja chodzę. Mam młodszego brata, który przyjaźni się z aktorami i daje mi bilety. Ale bardzo nie lubię chodzić na galerię. Ciasno tam, nieprzyjemnie. Napcha się czasem prostaków, a niektórzy to śmierdzą!

Spojrzała na Mariusza i twarz jej dziwnie się zmieniła:

— Czy pan wie, panie Mariuszu, że śliczny chłopak z pana? — rzekła.

Jednocześnie przyszła im obojgu do głowy ta sama myśl, która u niej wywołała uśmiech, a u niego rumieniec.

Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Pan na mnie nie zwraca uwagi, ale ja pana znam, panie Mariuszu. Spotykam pana na schodach i widzę też nieraz, jak pan chodzi do takiego jednego pana, co się nazywa Mabeuf i mieszka koło wioski Austerlitz. Czasem spaceruję sobie w tamtych stronach. Bardzo panu ładnie z tymi rozczochranymi włosami.

Głos jej starał się być bardzo miły, lecz stał się tylko bardzo cichy. Niektóre słowa gubiły się gdzieś po drodze między gardłem a ustami, jak na klawiaturze, gdzie nie wszystkie klawisze odpowiadają.

Mariusz cofnął się nieznacznie.

— Mam tu jakąś paczkę, która, zdaje się, należy do panienki — rzekł z właściwą sobie chłodną powagą. — Proszę, oto ona.

I podał jej kopertę z czterema listami. Dziewczyna klasnęła w dłonie i zawołała:

— Aleśmy się jej naszukały!

Pochwyciła szybko paczkę i rozdarła kopertę, mówiąc:

— O, jak Bożię kocham! Aleśmy się z siostrą naszukały! I pan to znalazł? Na bulwarze, prawda? To musiało być na bulwarze! Widać upadła wtedy, kiedyśmy biegły. To sprawa tej głupiej smarkuli! Wracamy do domu, a tu nie ma paczki! A że nie chcieliśmy dostać lania, bo to nam wcale, ale to wcale do szczęścia niepotrzebne, tośmy zmyśliły, że listy oddałyśmy i że wszędzie nam pokazali figę. A tu raptem masz z powrotem te nieszczęsne listy! Ale skąd pan wie, że to

moje. Aha, poznał pan po piśmie! To na pana wpadłyśmy wczoraj wieczorem? Powiadam do siostry: „Czy to jakiś pan?” A ona mi powiada: „Chyba jakiś pan!”

Mówiąc to, rozwinęła prośbę, zaadresowaną do „dobroczyńcy ubogich z kościoła Świętego Jakuba z Alto Passo”.

— Aha! — rzekła. — To prośba do tego starego, co łązi na mszę. Właśnie w sam raz pora. Zniosę mu. Może nam da co na śniadanie!

Po czym zaczęła się znów śmiać i dodała:

— A wie pan, co to będzie, jeśli dziś zjemy śniadanie? To będzie nasze onegdajsze śniadanie, onegdajszy obiad, wczorajsze śniadanie i wczorajszy obiad, wszystko razem w kupie dziś rano. Tak, do diabła, a jak to się komu nie podoba, to niech zdycha jak pies!

Słowa te przypomniały Mariuszowi, po co ta biedaczka przyszła do niego.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, lecz nic w niej nie znalazł.

Dziewczyna mówiła dalej, tak jakby zapomniała o obecności Mariusza:

— Czasem wychodzę wieczorem, czasem nie wracam do domu. Poprzedniej zimy, nim wprowadziliśmy się tutaj, mieszkaliśmy pod mostem. Zbijaliśmy się w kupę, żeby nie zamarznąć. Moja młodsza siostra płakała. Jaka woda jest smutna! Kiedy chciałam się utopić, to mówiłam sobie: „Nie! Za zimna woda!” Chodzę, gdzie mi się podoba, nocuję czasem w rowach. Wie pan, że w nocy, kiedy idę bulwarem, to mi się zdaje, że drzewa są jak widły, widzę domy całkiem czarne i wysokie jak wieże katedry, wyobrażam sobie, że białe płoty to rzeka, i mówię: „O, tam jest woda!” Gwiazdy błyszczą jak lampiony, wydaje się, że kopcą i że wiatr je gasi; a mnie chwyta taki strach, jakbym czuła oddech koński na szyi, i chociaż to noc, słyszę, jak gra katarynka i jak huczą warsztaty w przędzalni i bo ja wiem co jeszcze! Wydaje mi się, że mnie obrzucają kamieniami, nie wiem, dokąd uciekać, a wszystko się tak kręci, tak kręci. Jak człowiek jest głodny, to bardzo jest śmieszne.

I spojrzała na Mariusza błędnym wzrokiem.

Przetrząsnąwszy i przeszukawszy wszystkie kieszenie, Mariusz zdołał zebrać pięć franków i szesnaście su. Był to w tej chwili cały jego majątek. „Na dzisiejszy obiad wystarczy — pomyślał. — A jutro, zobaczymy!” Odłożył szesnaście su, a pięć franków dał dziewczynie.

Chwyciła pieniądze.

— Dobra! — zawołała. — Słońce świeci!

I jakby to słońce miało zdolność roztopienia w jej mózgu lawiny złodziejskiej gwary, wołała dalej:

— Fajna piątka! Jak złoto! Królik! I to w tej dziurze! A to klawo! Byczy chłop z pana! Moje najniższe! A to będzie wyżerka pierwszej klasy! Ćpać i chlać, aż będzie uszami wyłaziło! Napchać kałdun na fest! A co, może sobie żałować?

Naciągnęła koszulę na ramiona, skłoniła się nisko Mariuszowi, przyjaźnie skinęła mu dłonią i skierowała się ku drzwiom, mówiąc:

— Do widzenia panu! A swoją drogą pójde jeszcze do tego starego!

Przechodząc koło komody, spostrzegła skórkę od chleba, która pleśniała w kurzu, rzuciła się na nią i zaczęła gryźć, mrużąc:

— Dobre, choć twarde! Można sobie zęby połamać! I wyszła.

# ROZDZIAŁ V

## JUDASZ OPATRZNOŚCI

Pięć lat już przeżył Mariusz w ubóstwie, w niedostatku, a nawet w biedzie, lecz dopiero teraz spostrzegł, że nie zaznał prawdziwej nędzy. Prawdziwą nędzę ujrzał przed chwilą; był to ten upiór, który mu się przesunął przed oczami. Kto widział tylko nędzę mężczyzny, ten nic nie widział. Trzeba zobaczyć nędzę kobiety; kto widział tylko nędzę kobiety, ten nic nie widział — trzeba zobaczyć nędzę dziecka.

Gdy mężczyzna doprowadzony jest do ostateczności, traci od razu grunt pod nogami. Biada bezbronnyom stworzeniom z jego otoczenia! Wszystko wymyka mu się z rąk od razu: praca, zarobki, chleb, opał, odwaga, dobra wola. Ma się wrażenie, że gaśnie światło dnia, a równocześnie gaśnie jasność moralna w jego duszy; w tych ciemnościach napotyka bezbronność kobiety i dziecka i brutalnie wpycha ich w hańbę.

Wówczas wszelka ohyda staje się możliwa. Za kruchym murem, którym otoczona jest rozpacz, czai się występki lub zbrodnia.

Zdrowie, młodość, cześć, święta, a płochliwa wstydlivość nietkniętego ciała, serce, dziewictwo, skromność, ten naskórek duszy — urabiane są złowieszczo przez wysiłki, które na ślepo szukają środków do życia, a znajdują hańbę i godzą się z nią. Ojcowie, matki i dzieci, bracia i siostry, mężczyźni, kobiety, dziewczęta łączą się ze sobą i scalają, niby formacje geologiczne, bez względu na płeć, pokrewieństwo, wiek, upodlenie i niewinność. Przytuleni ciasno jeden do drugiego, gnieźdzą się razem — jak w norze — we wspólnej niedoli. Spoglądają po sobie z rozpaczą. O nieszczęśni! Jakże są bladzi! Jak zziębnięci! Jakby mieszkali na jakiejś planecie znacznie bardziej oddalonej od słońca niż nasza ziemia.

Młoda dziewczyna była dla Mariusza jakby wysłanniczką ciemności. Objawiła mu całą ohydę nocy.

Mariusz nieledwie wyrzucił sobie, iż tak go pochłoneły marzenia i miłość, że do tej chwili nawet okiem nie rzucił na swych sąsiadów. Zapłacił za nich komorne, lecz był to tylko odruch. Każdy postąpiłby tak samo; a przecież on, Mariusz, powinien był zrobić coś więcej. Wszak tylko ściana dzieliła go od tych opuszczonych istot, które żyły po omacku wśród nocy, wyrzucone poza nawias żyjących, wszak przechodził koło nich, był niejako ostatnim ogniwem rodzaju ludzkiego, którego dotykali; słyszał obok siebie ich oddech, a raczej rżenie, i

nie zwracał na to uwagi! Co dzień, w każdej chwili, słyszał poprzez ścianę, jak ruszają się, chodzą, przychodzą, mówią — lecz nie słuchał. W ich słowach rozlegały się jęki, i tych nawet nie dosłyszał! Myślą błędził gdzie indziej, pogrążony w snach, w nieziszczalnym szczęściu, w nieuchwytniej miłości, w szaleństwach; tymczasem zaś te ludzkie istoty, jego bracia w Chrystusie, jego bracia w ludzie, konali tu obok niego, i to konali niepotrzebnie. Stanowił nawet cząstkę ich nieszczęścia i jeszcze je powiększał. Gdyby bowiem sąsiadem ich był inny człowiek, mniej kapryśny, a bardziej spostrzegawczy, przeciętny i litościwy, bez wątpienia zauważyłby ich nędzę, dosłyszał ich wołania o pomoc i od dawna już może wziąłby ich pod opiekę i poratował w biedzie. Wyglądali co prawda na zdeprawowanych, zepsutych, upodlonych, a nawet odrażających, rzadko się jednak zdarza, by ktoś, upadłszy nisko, nie spodlił się, a przy tym istnieje pewien kres, gdzie już nie można odróżnić ludzi nieszczęśliwych i ludzi niegodziwych, nieunikniony wspólny kres obejmujący ich jednym słowem: nędznicy. Czyja to wina? Czyż zresztą miłosierdzie nie powinno być tym większe, im głębszy jest upadek?

Czyniąc sobie te wymówki — gdyż Mariusz jak wszystkie prawdziwie zacne serca stawał się w takich wypadkach swoim nauczycielem i karmił się może ostrzej, niż na to zasługiwał — wpatrywał się w ścianę, która go dzieliła od Jondrette'ów, jakby mógł przebić tę zaporę pełnym litości wzrokiem i ogrzać tych nieszczęśliwych ludzi. Ścianę stanowiła cienka warstwa tynku, położona na łąaty i belki, co pozwalało — jak już wspominaliśmy — dokładnie rozróżniać głosy, a nawet i słowa. Trzeba było być takim marzycielem jak Mariusz, żeby do tej pory jeszcze tego nie spostrzec. Ściana nie była wyklejona tapetą ani od strony pokoiku Mariusza, ani od strony Jondrette'ów; jej niechlujna konstrukcja widoczna była jak na dłoni. Mariusz wpatrywał się w ścianę, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę; czasem zaduma również rozważa, bada i obserwuje tak jak trzeźwa myśl. Nagle wstał. Na górze, prawie pod sufitem, spostrzegł trójkątny otwór między trzema belkami. Wapno, które wypełniało tę dziurę, wypadło i można było, stojąc na komodzie, zajrzeć przez nią do izby Jondrette'ów. Współczucie łączy się, i powinno się łączyć, ze swoistą ciekawością. Ten otwór stanowił coś w rodzaju okienka, zwanego judaszem. Wolno z ukrycia podpatrywać nieszczęście po to, aby mu ulżyć. „Zobaczmy, co to za ludzie — pomyślał Mariusz — i co się u nich dzieje.”

Wdrapał się na komodę, przyłożył oko do szpary i spojrział.



## ROZDZIAŁ VI

### ZWIERZĘ LUDZKIE W SWOIM LEGOWISKU

Miasta, podobnie jak lasy, mają swoje ostępy, w których kryje się to, co najzłośliwsze i najniebezpieczniejsze. Tylko że to, co się tak ukrywa w miastach, jest okrutne, plugawe i małe — czyli szpetne; to zaś, co ukrywa się w kniejach, jest okrutne, dzikie i wielkie — czyli piękne. Jeśli wybierać między norami, lepsze są nory zwierząt niż ludzi. Jaskinie więcej są warte niż meliny.

To, co Mariusz miał przed oczyma, było norą ludzką.

Mariusz był biedny i mieszkał ubogo, ale podobnie jak szlachetne było jego ubóstwo, tak i jego poddasze było schludne. Izba, do której zajrzał w tej chwili, była ohydna, brudna, smrodliwa, cuchnąca, ciemna, plugawa. Umeblowanie: wyplatane krzesło, kulawy stół, kilka starych skorup, a w dwóch kątach — dwa barłogi, niemożliwe do opisanego; światło: mansardowe okienko o czterech szybkach, zasnutę pajęczyną. Przez okienko to wpadało tyle tylko światła, by z ludzkiej twarzy zrobić twarz widma. Ściany wyglądały jak pokryte trądem — obdrapane, pokiereszowane, niczym twarz zniekształcona przez jakąś straszną chorobę. Ociekały lepka wilgocią. Widać na nich było bezwstydnymi rysunki, nieudolnie nagryzmolone węglem.

Izdebka Mariusza miała przynajmniej zniszczoną, kamienną posadzkę; ta nora nie miała ani posadzki, ani podłogi z desek; chodziło się po prostu po glinianej polepie, czarnej od naniesionego błota. Na tym nierównym gruncie, niejako inkrustowanym brudem, nie tkniętym *przez miotłę*, zgromadziły się tu i ówdzie konstelacje starych pończoch, chodaków i najobrzydliwszych łachmanów; poza tym izba ta miała kominek, toteż wynajmowano ją za czterdzieści franków rocznie. Czego nie było w tym kominku! Fajerka, garnek, połamane deski, rozwieszane na gwoździach szmaty, klatka, kupa popiołu i nawet trochę ognia: tliły się w nim smętnie dwa polana.

Izba ta wydawała się jeszcze ohydniejsza z powodu swojej obszerności. Pełno tam było występów, wnęk, załamania, ciemnych otworów, podstryszków, przygórków, które tworzyły swego rodzaju zatoki i przyładki. Stąd mnóstwo ohydnych, niezbadanych zakamarków, które wydawały się stworzone na siedlisko pajaków wielkich jak pięść, stonóg szerokich jak stopa, a może nawet i jakichś potwornych, ludzkich stworów.

Jeden barłóg mieścił się koło drzwi, drugi koło okna. Oba jednym końcem przytykały do komina i znajdowały się na wprost Mariusza.

W jednym z kątów, obok otworu, przez który zaglądał Mariusz, w ramie z czarnego drzewa wisiała kolorowa rycina z wielkim napisem pod spadem: „Sen.” Wyobrażała ona uśpioną kobietę, dziecko śpiące na jej kolanach i orła unoszącego się wśród chmur z koroną w dziobie; kobieta odsuwała ręką koronę znad głowy dziecka, nie budząc się zresztą wcale; w głębi widniała w aureoli postać Napoleona wspartego na jaskrawo niebieskiej kolumnie z żółtym kapitelem, ozdobionej takim napisem:

Mairingo

Austeriitz

Jena

Wagramme

Elot

Pod obrazem, ukośnie wsparty o ścianę, stał jakiś drewniany, prostokątny blat. Wyglądało to na obraz odwrócony tyłem, na jakieś płótno oprawione w ramy i zasmarowane prawdopodobnie po drugiej stronie, czy na lustro zdjęte ze ściany i czekające w zapomnieniu, aż je znów powieszą.

Przy stole, na którym Mariusz dostrzegł pióro, kałamarz i papier, siedział sześćdziesięcioletni może mężczyzna: był mały, chudy, blady, miał dziki wzrok i przebiegły, okrutny i niespokojny wyraz twarzy: jakiś ohydny szubrawiec.

Gdyby Lavaterowi danym było zobaczyć tę twarz, określiliby ją jako połączenie sępa i prokuratora; drapieżnik i krętacz zohydzali się nawzajem i uzupełniali na tym obliczu: krętacz czynił drapieżnika plugawym, a drapieżnik czynił krętacza — straszonym.

Człowiek ten miał długą, szpakowatą brodę. Ubrany był w kobiecą koszulę, która odsłaniała jego włochatą pierś i nagie ramiona najeżone siwawym włosiem. Spod koszuli wyzierały zabłocone spodnie i buty, z których wyłaziły palce.

Palił fajkę. W tej norze nie było już chleba, ale na tytoń jeszcze starczało.

Pisał — zapewne jakiś list w rodzaju tych, które Mariusz niedawno czytał.

Na rogu stołu leżała jakaś stara, podarta książka w czerwonej oprawie; format jej, będący dawnym in-12 wydawnictw dla czytelnicy, wskazywał, że to romans. Na okładce widniał wydrukowany wielkimi literami tytuł: *Bóg — król — honor i damy serca* przez Ducray-Duminil, 1814 r.

Nie przerywając pisania, mężczyzna gadał głośno; Mariusz słyszał jego słowa:

— Nie ma równości nawet po śmierci! No, na przykład taki cmentarz jak Pere Lachaise! Jaśnie państwo, bogacze, leżą na górze przy wybrukowanej, akacjami obsadzonej alei. Mogą zajechać tam końmi. A biedaków, chudopachołków, nędzarzy chowają na dole, gdzie jest błoto po kolana, w wilgotnych rowach, żeby prędzej zgnili. Nie można odwiedzać ich grobów, bo człowiek zapada się w błocku!

Tu przerwał, walnął pięścią w stół i dodał zgrzytając zębami:

— Och, ja bym im pokazał!

Tęga kobieta, która równie dobrze mogła mieć czterdzieści jak i sto lat, przykucnęła na gołych piętach przy kominie.

Ona również odziana była tylko w koszulę i trykotową halkę połatana kawałkami starego sukna. Fartuch z grubego płótna zakrywał halkę do połowy. Choć przykucnęła i skuliła się, widać było, że jest bardzo wysoka. Przy mężu wyglądała na olbrzymkę. Miała okropne, siwiejące jasnorude włosy, które od czasu do czasu czochrała wielkimi, zatłuszczonymi rękami o spłaszczonych paznokciach.

Obok niej leżała na ziemi otwarta książka tego samego formatu co książka na stole: zapewne inny tom tej samej powieści.

Na jednym z barłogów Mariusz zobaczył chudą, bladą i prawie nagą dziewczynkę; siedziała ze zwieszonymi nogami i wydawało się, że nie słyszy, nie widzi, nie żyje.

Była to zapewne młodsza siostra tej, która go niedawno odwiedziła. Wyglądała na jedenaście lub dwanaście lat, lecz przypatrzwszy się jej z uwagą, można było poznać, że ma co najmniej piętnaście. To ona wczoraj wieczorem mówiła na bulwarze: „Ale też wiałam, ile siły w nogach!”

Należała do tych chorowitych dzieci, które długi czas są opóźnione w rozwoju, a potem nagle śmigają w górę. To nędza płodzi takie smutne rośliny ludzkie. Stworzenia bez dzieciństwa, bez młodości, które mając piętnaście lat, wyglądają na dwanaście, a mając szesnaście — wyglądają na dwadzieścia. Dziś są małymi dziewczynkami, jutro kobietami. Rzekłbyś, że przeskakują przez pewne okresy życia, żeby prędzej dotrzeć do końca.

W obecnej chwili stworzenie to wyglądało na dziecko.

Nic w tym mieszkaniu nie wskazywało, by ktokolwiek tu pracował: nie było ani

krosien, ani kołowrotka, ani żadnego innego narzędzia. Tylko w kącie — kupa żelastwa o podejrzanym wyglądzie. Panowała tu tępa gnuśność, która idzie w ślad za rozpaczą, a poprzedza agonię.

Mariusz przyglądał się czas jakiś temu grobowemu wnętrzu, straszliwszemu niż wewnątrz mogiły, gdyż czuć tu było szamotanie się ludzkiej duszy i drganie życia.

Nory, piwnice, lochy — samo dno gmachu społecznego — w którym pełzają nędzarze, nie jest jeszcze grobem, jest przedsionkiem grobu. Ale śmierć, czając się w pobliżu, jakby gromadziła w tym przedsionku swe najdotkliwsze udręki, na podobieństwo owych bogaczy, którzy największe wspaniałości roztaczają u wejścia do swych pałaców.

Mężczyzna zamilkł, kobieta nie odzywała się, dziewczynka zdawała się nawet nie oddychać. Słychać było skrzyp pióra po papierze.

Nie przestając pisać mężczyzna burknął:

— Łajdactwo! Łajdactwo! wszystko jest łajdactwem! Ta odmiana sentencji Salomona wyrwała westchnienie z piersi kobiety.

— Uspokój się, robaczku! — rzekła. — Jeszcze sobie, kochanie, zaszkodziś! I tak za wiele twojej łaski, że piszesz do tych gałganów, moje serce!

W nędzy, jak w zimnie, ciała tulą się do siebie, ale serca się oddalają. Prawdopodobnie ta kobieta kiedyś kochała męża całą siłą uczucia, na jakie ją było stać; lecz wśród codziennych, wzajemnych utarczek, wywołanych okrutną nędzą, ciężącą nad całą rodziną, miłość ta zapewne wygasła. Całe jej uczucie do męża spopieliło się. I tylko — jak to często bywa — przetrwały pieśczośliwe nazwy.

Mówiła doń: „kochanie, moje serce, robaczku”, ale mówiła tylko ustami; serce milczało.

Mężczyzna zabrał się znów do pisania.

## ROZDZIAŁ VII

### STRATEGIA I TAKTYKA

Mariusz, ze ściśniętym sercem, chciał zejść ze swojego punktu obserwacyjnego, gdy jakiś nowy hałas zwrócił jego uwagę i zatrzymał go jeszcze.

Drzwi izby otworzyły się gwałtownie.

Na progu stanęła starsza córka.

Obuta była w grube, męskie trzewiki, pochlapane błotem, które obryzgało jej czerwone nogi aż po kostki, i okryta starą, podartą mantylą, której Mariusz przedtem na niej nie widział, gdyż wchodząc do niego zrzuciła ją zapewne pod drzwiami, by wzbudzić większą litość, a po wyjściu znów narzuciła na siebie. Weszła, zatrzasnęła za sobą drzwi, zatrzymała się, by odetchnąć, bo była bardzo zadyszana, i zawołała z triumfem i radością:

— Idzie!

Ojciec spojrzał na nią, kobieta zwróciła ku niej głowę, tylko młodsza siostra nie poruszyła się.

— Kto? — zapytał ojciec.

— Pan!

— Filantrop?

— Tak!

— Z kościoła Św. Jakuba?

— Tak.

— Ten stary?

— Tak.

— I przyjdzie?

— Idzie za mną.

— Jesteś tego pewna?

— Jestem pewna.

— Naprawdę idzie?

— Jedzie dorożką.

— Dorożką! To Rotszyld! Ojciec wstał.

— Dlaczego jesteś taka pewna? Jeśli jedzie dorożką, to jakim cudem mogłaś zdążyć przed nim? A dałaś mu przynajmniej adres, jak się należy? Powiedziałaś, że to ostatnie drzwi w głębi korytarza na prawo? Byle się tylko nie pomylił! Więc znalazłaś go w kościele? Przeczytał mój list? Co ci powiedział?

— Ta, ta, ta! — odrzekła dziewczyna. — Nie śpiesz się tak, staruszk! Więc to było tak: weszłam do kościoła, stary siedział tam gdzie zwykle, ukłoniłam się i oddałam mu list. Przeczytał go i zapytał: „Gdzie mieszkacie, moje dziecko?” Powiadam mu: „Zaprowadzę pana.” A on mi na to: „Nie, proszę mi dać wasz adres; moja córka ma sprawunki do załatwienia. Wezmę dorożkę i będę u was równocześnie z panienką.” Dałam mu adres. Kiedy mu powiedziałam, w którym domu mieszkamy, jakby się trochę zdziwił i zawahał na chwilę, a potem powiedział: „Wszystko jedno, przyjdę do was.” Jak się msza skończyła, widziałam, że wychodził z córką z kościoła i że wsiedli do dorożki. Powiedziałam mu wyraźnie: „Ostatnie drzwi w głębi korytarza na prawo.”

— A skąd wiesz, że przyjdzie?

— Widziałam dorożkę, wjechała już w ulicę Małego Bankiera. Dlatego tak pędziłam!

— Skąd wiesz, że to ta sama dorożka?

— Oj, rety! Bo zapamiętałam numer!

— Jaki to numer?

— 440!

— No, dobra! Sprytna z ciebie dziewczucha! Dziewczyna zuchwale popatrzyła na ojca i pokazując mu swoje buty, powiedziała:

— Sprytna czy nie sprytna, jedno ci zapowiadam, że już dłużej tych butów nosić nie będę! Naprzód dla zdrowia, a potem dla czystości. Nic mnie tak nie złości jak te przeciekające podeszwy. Nic tylko „chlup — chlup — chlup” za każdym krokiem. Wolę chodzić boso!

— Masz rację — odpowiedział ojciec łagodnym tonem, który kontrastował z opryskliwością córki. — Ale inaczej nie wpuściliby cię do kościoła. Biedni muszą tam mieć buty na nogach. Nie można chodzić do Pana Boga na bosaka! — dodał z goryczą. Po czym powrócił do tematu, który go zaprzętał: — Jesteś pewna, że przyjdzie?

— Jest o dwa kroki za mną — odpowiedziała. Mężczyzna zerwał się. Twarz jego jakby się rozjaśniła.

— Słyszysz, żono? — zawołał. — Idzie filantrop! Zagaś ogień!

Zdumiona kobieta nie ruszyła się z miejsca.

Mąż ze zwinnością kuglarza porwał wyszczerbiony garnek, który stał na kominie, i chlusnął wodę na tłące się polana.

Po czym zwrócił się do starszej córki:

— A ty zrób dziurę w krześle! Córka nie zrozumiała.

Chwycił krzesło i jednym kopnięciem przedziurawił słomiane siedzenie. Noga przeszła na wylot. Wyciągając ją z dziury, spytał córkę:

— Zimno na dworze?

— Bardzo zimno. Śnieg pada.

Ojciec zwrócił się do młodszej córki, która siedziała na barłogu pod oknem, i krzyknął grzmiącym głosem:

— Jazda mi z łóżka, wałkoniu! Czy nigdy palcem o palec nie ruszysz? Stłucz szybę!

Mała zeskoczyła z barłogu, drżąc cała.

— Stłucz szybę! — powtórzył. Dziecko stało bez ruchu.

— Słyszysz? — powtórzył ojciec. — Powiadam ci, stłucz szybę!

Przerażona dziewczyna posłusznie wspięła się na palce i uderzyła pięścią w szybę. Szkło pękło i rozprysło się z brzękiem.

— Dobra! — rzekł ojciec.

Był skupiony i szorstki. Szybko przebiegał wzrokiem wszystkie zakamarki izby.

Wyglądał jak wódz robiący ostatnie przygotowania przed bitwą, która ma rozpocząć się za chwilę.

Matka, która nie odezwała się jeszcze ani słowem, podniosła się i zapytała głosem powolnym i głuchym, którego dźwięki wydawały się jakby ścięte mrozem:

— Co ty zamyślasz, kochanku?

— Kładź się do łóżka — odrzekł mąż.

Ton nie dopuszczał dyskusji. Żona usłuchała i ciężko zwała się na jeden z barłogów. Tymczasem w którymś z kątów rozległo się łkanie.

— A tam co znowu? — wrzasnął ojciec.

Młodsza córka, nie wychodząc z ciemnego kąta, w który się zasyła, pokazała zakrwawioną pięść. Skaleczyła się, wybijając szybę. Usiadła przy pościeli matki i płakała cichutko.

Teraz matka zerwała się i krzyknęła:

— Widzisz, coś narobił swoimi głupstwami? Wybiła szybę i skaleczyła się w rękę.

— Tym lepiej — odrzekł ojciec. — To było przewidziane.

— Jak to, tym lepiej? — zapytała matka, ale ojciec krzyknął:

— Spokój! Znoszę wolność prasy!

Po czym rozdarł kobiecą koszulę, którą miał na sobie, oderwał kawałek płótna i owinał nim co żywo zakrwawioną rękę dziewczyny.

Zrobiwszy to, z zadowoleniem popatrzył na rozdartą koszulę:

— I koszula także! — rzekł. — Wszystko bardzo dobrze wygląda!

Lodowaty wiatr gwizdał przez wybitą szybę i hulał po pokoju. Mgła przenikała z dworu i snuła się niby lekkie kłębki waty, skubane niewidocznymi palcami. Przez stłuczone okno widać było lecące płatki śniegu. Mróz, zapowiedziany poprzedniego dnia przez słońce na Gromniczną, nadszedł rzeczywiście.

Ojciec powiódł spojrzeniem dokoła, jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem o czymś nie zapomniał. Wziął starą szufłę i narzucił popiołu na polana tak, żeby ich nie było widać.



Po czym wyprostował się i oparł o kominek.

— No — rzekł — teraz jesteśmy gotowi na przyjęcie filantropa.

## ROZDZIAŁ VIII

### PROMIEŃ W NORZE

Starsza córka podeszła do ojca i położyła rękę na jego rękę.

— Zobacz, jak mi zimno — powiedziała.

— Ba! — odparł ojciec. — Mnie jeszcze zimniej. Matka krzyknęła gwałtownie:

— Ty zawsze masz wszystko lepsze od innych! Nawet dolegliwości!

— Cicho tam! — odrzekł mężczyzna.

I spojrzał na nią w taki sposób, że umilkła.

Przez chwilę w izbie panowała cisza. Starsza córka niedbale wykruszała błoto ze swego okrycia, młodsza nie przestawała szlochać. Matka ujęła jej głowę w obie dłonie i zasypała ją pocałunkami, szepcząc:

— Cicho, mój skarbie, to nic; to się zagoi; nie płacz już, bo ojciec się będzie gniewał.

— Nie! — zawołał ojciec — Przeciwnie, płacz, płacz, ile wlezie, to robi dobre wrażenie.

Po czym zwrócił się do starszej:

— No widzisz, nie przychodzi! Może wcale nie przyjdzie? Zagasiłem ogień, przedziurawiłem krzesło, podarłem koszulę, stłukłem szybę — i wszystko na nic?

— I skaleczyłeś dziecko — mruknęła matka.

— Wiecie co — ciągnął ojciec — zimno w tej diabelskiej norze jak w psiarni. A jeśli ten stary nie przyjdzie? To tak jest! Każe na siebie czekać, powiada: „A co tam! Niech sobie czekają! Oni są od tego! O, jak ja ich nienawidzę! Z jaką rozkoszą, radością, zapałem i satysfakcją wydusiłbym tych bogaczy! Wszystkich bogaczy! I tych niby to litościwych ludzi! Udają świętoszków, latają do kościoła, mają konszachty z klechami, gadu-gadu z każdym katabasem i myślą sobie, że są lepsi od nas! A potem przychodzą, żeby nas upokorzyć, i przynoszą nam — jak to oni mówią — „przyodziewek”. Stare łachy, niewarte trzech groszy! I chleb! A ja wcale tego nie chcę, łajdaki jedne! Ja chcę pieniędzy! Ale nie!

Pieniędzy to oni nie dają. „Przepijecie — powiadają — boście wszyscy pijaki i wałkonie!” A oni co? Może są lepsi? Co robią? Co robili? Kradli! Na pewno kradli, bo inaczej by się nie wzbogacili! O! Dobrze by było rąbnąć całym społeczeństwem o ziemię jak zastawionym stołem: potłukłoby się wszystko? Możliwe! Ale przynajmniej jedna korzyść, nikt by nic nie miał! I co ten twój litościwy bałwan sobie myśli? Nie przyjdzie, czy co? Może to bydlę zapomniało adresu? Założę się, że ten stary dureń...

W tej chwili rozległo się ciche pukanie, mężczyzna skwapliwie rzucił się do drzwi i otworzył je, wykrzykując wśród głębokich ukłonów i uśmiechów uwielbienia:

— Racz wejść, łaskawy panie, czcigodny mój dobroczyńco, i ty, urocza, młoda damo!

Na progu izby ukazał się człowiek w dojrzałym wieku i młoda dziewczyna.

Mariusz trwał na swym stanowisku. Żadne ludzkie słowo nie opisze tego, czego doświadczył w tej chwili, to była Ona.

Kto kochał, ten zna cały promienny sens zawarty w trzech literach słowa „Ona”.

Była to istotnie ona. Mariusz zaledwie ją widział poprzez świetlistą mgłę, która z nagłą przysłoniła mu oczy. Była to ta sama wdzięczna istota, tak długo niewidziana gwiazda, która mu przyświecała przez sześć miesięcy; to były te same oczy, to samo czoło, te same usta, ta sama piękna twarz, która znikła jak sen i odchodząc taką ciemność zastawiła po sobie. Zjawa znikła i oto objawiła się znowu. Objawiła się w tej nędznej izbie, w tej wstrętnej norze, wśród tych mroków, wśród tego plugastwa.

Mariusz drżał nieprzytomnie. Czy to ona? Bicie serca mąciło mu wzrok. Czuł, że zaraz zaleje się łzami. Jak to? Więc widzi ją znowu po tak długim szukaniu. Zdawało mu się, że zgubił własną duszę i że ją odnajduje w tej chwili. Była taka jak zwykle, tylko nieco bledsza; delikatna twarzyczka wyłaniała się spod fiołkowego, aksamitnego kapelusza, kibić okrywał czarny, ałtasowy płaszczyk podbity futrem. Spod długiej sukni wysuwała się drobna nóżka, obuta w jedwabny pantofelek.

Jak zawsze towarzyszył jej pan Biały.

Wszedłszy do izby, postąpiła parę kroków i położyła na stole sporą paczkę.

Starsza córka Jondrette'ów stanęła za drzwiami i mierzyła ponurym spojrzeniem aksamitny kapelusz, jedwabny płaszczyk i wdzięczną, tchnącą szczęściem twarzyczkę.



## ROZDZIAŁ IX

### JONDRETTE PRAWIE SZLOCHA

Izba Jondrette'ów była tak ciemna, że każdy, kto przychodził z dworu, miał wrażenie, iż znalazł się w piwnicy. Nowoprzybyli weszli niepewnie, ledwo rozróżniając przedmioty, sami tymczasem dokładnie oglądani i lustrowani przez mieszkańców, których wzrok był przyzwyczajony do tego półmroku.

Pan Biały zbliżył się i rzekł do Jondrette'a ze swym łagodnym a smutnym spojrzeniem:

— Znajdzie pan w tej paczce nowe ubranie, pończochy i wełniane koce.

— Nasz anielski dobroczyńca zasypuje nas darami! — odrzekł Jondrette, kłaniając się do ziemi.

I podczas gdy nowoprzybyli rozglądali się po żałosnym wnętrzu, nachylając się do ucha starszej córki powiedział szybko szeptem:

— A co, nie mówiłem? Łachy! A gotówki ani grosza! Wszyscy tacy sami! Ale, ale! Jak był podpisany list do tego starego bałwana?

— Fabantou — odrzekła córka.

— Artysta dramatyczny, już wiem!

W porę zapytał, gdyż w tej samej chwili pan Biały zwrócił się do niego z miną człowieka, który chce sobie przypomnieć nazwisko:

— Widzę, że znajduje się pan w nadzwyczaj przykrym położeniu, panie...

— Fabantou — żywo odpowiedział Jondrette.

— Panie Fabantou! Tak, przypominam sobie.

— Artysta dramatyczny, szanowny panie, artysta, który niegdyś miał powodzenie!

Tu Jondrette uznał widać, że nadeszła stosowna chwila, by oszołomić „filantropa”. Zawołał tedy głosem, przypominającym jednocześnie przechwałki jarmarcznego kuglarza i pokorę żebraka siedzącego przy gościńcu:

— Uczeń Talmy, łaskawy panie! Tak! Jestem uczniem Talmy! Fortuna niegdyś

uśmiechała się do mnie; teraz, niestety, nadeszły dni niedoli! Spójrz, mój czcigodny dobroczyńco, nie ma chleba, nie ma ognia! Moje biedne dziecińcy marzną! Moje jedyne krzesło dziurawe! Szyba stłuczona, i to w taką pogodę! Moja małżonka w łóżku, cierpiąca!

— Biedna kobieta! — rzekł pan Biały.

— Moje dziecię zranione! — dorzucił Jondrette.

Dziewczynka, pochłonięta wizytą obcych ludzi, wpatrywała się w „panienkę” i przestała szlochać.

— Płaczże! Rycz! — szepnął jej Jondrette i uszczypnął ją w skaleczoną rękę. Uczynił to wszystko ze zręcznością prawdziwego kuglarza.

Mała zaczęła głośno jęczeć.

Uroczą dziewczyną, którą Mariusz w sercu nazywał „swoją Urszulą”, podeszła do niej spieszenie:

— Moje biedactwo! — rzekła.

— Proszę spojrzeć, piękna panienko! — ciągnął Jondrette. — Cała ręka we krwi! To wypadek przy maszynie. Pracuje, by zarobić sześć su na dzień. Może trzeba jej będzie uciąć rękę!

— Czy być może? — zaniepokoił się pan Biały. Dziewczynka, biorąc na serio słowa ojca, rozszlochała się na dobre.

— Niestety, mój czcigodny dobroczyńco! Wszystko się może zdarzyć! — odrzekł ojciec.

Od pewnego czasu Jondrette przypatrywał się „filantropowi” w jakiś szczególny sposób. Mówiąc do niego, zdawał się obserwować go z uwagą, jakby zbierał rozproszone wspomnienia. Nagle, korzystając z tego, że nowoprzybyli z zainteresowaniem wypytywali małą o skaleczoną rękę, zbliżył się do żony, która ze zgnębioną i ogłupiałą miną leżała w łóżku, i szepnął jej szybko i bardzo cicho:

— Przyjrzyj no się temu staremu!

Po czym, zwróciwszy się do pana Białego, znowu ciągnął dalej swoje lamente:

— Proszę spojrzeć, łaskawy panie! Całe moje odzienie — to ta koszula żony, i to do tego podarta!” A przecież jest zima! Nie mogę wyjść na dwór, bo nie mam w

czym! Gdybym miał choć jakie takie ubranie, poszedłbym do panny Mars, która mnie zna i bardzo nawet lubi. Chyba wciąż jeszcze mieszka przy ulicy Tóur-des-Dames? Grywaliśmy kiedyś razem na scenach prowincjonalnych. Tak, proszę pana! Dzieliłem jej wawrzyny! O, Celimena niezawodnie przysłałaby mi z pomocą! Elmira z całego serca udzieliłaby wsparcia Belizariuszowi . Ale nic z tego! W domu ani grosza! Żona chora — a tu ani grosza! Moja małżonka cierpi na duszności. Wiek, łaskawy panie, i nerwy robią swoje, oczywiście. Trzeba by ją ratować, trzeba by ratować córkę! Ale lekarz? Apteka? Czym tu płacić, kiedy w domu nie ma złamanego grosza! Na kolana padłbym i przed szelągami! Oto jak nisko upadła teraz sztuka! Czy możecie to zrozumieć, zachwycająco młoda damo, i ty, czcigodny nasz opiekunie, czy możecie to zrozumieć wy, którzy życie dobrocią i blaskiem swych cnót rozjaśnacie tę świątynię, gdzie moja biedna córeczka, przychodząc się modlić, spotyka was codziennie... Bo ja po bożemu wychowuję moje córki, łaskawy panie! Nie pozwoliłem im wstąpić do teatru! No! Niechby tylko spróbowały, smarkate! Ze mną nie ma żartów! Ciągle im trąbię, że cnota, że honor, że moralność... Niech same powiedzą! Muszą się dobrze prowadzić. Mają ojca! To nie są zbłąkane dziewczyny, które z początku nie mają rodziny, a potem swatają się ze wszystkimi. Panna Niczyja staje się panią „Každy może mnie mieć”. Nie, do pioruna! To się nie może zdarzyć w rodzinie Fabantou! Chcę im dać cnotliwe wychowanie, żeby mi były poczciwe i układne, żeby mi w Boga wierzyły, do diabła! A więc, łaskawy panie, szanowny panie, czy pan wie, co nas czeka jutro? Jutro jest 4 lutego, to dzień fatalny, ostateczny termin zapłaty komornego, który mi wyznaczył gospodarz, jeśli dziś wieczorem nie zapłacę, jutro moja starsza córka i ja, i moja małżonka z gorączką, i moje dziecko z raną na rękę, wszyscy czworo będziemy stąd wypędzeni, wyrzuceni na bruk, na ulicę, bez dachu nad głową, na deszcz, na śnieg! Tak, łaskawy panie! Jestem winien za cztery kwartały, za calutki rok! To znaczy aż sześćdziesiąt franków!

Jandrette kłamał. Wszystkie cztery kwartalne raty wyniosłyby czterdzieści franków, a nie mógł być dłużny za cztery, skoro przed pół rokiem Mariusz zapłacił za niego dwie.

Pan Biały wyjął z kieszeni pięć franków i położył je na stole. Jondrette zdążył mruknąć starszej córce do ucha:

— Łajdak! Co mi po jego pięciu frankach? Nie wróci mi się nawet za krzesło ani za szybę! Rób tu sobie koszty, człowieku.

Tymczasem pan Biały zdjął obszerny, brązowy, płaszcz, który nosił na swym granatowym tużurku, i przewiesił przez poręcz krzesła.

— Panie Fabantou — rzekł — mam przy sobie tylko pięć franków, ale odprowadzę córkę do domu i wrócę tu wieczorem; wieczorem musi pan

zapłacić komorne, prawda?

Twarz Jondrette'a rozjaśniła się, przybierając dziwny wyraz; odpowiedział skwapliwie:

— Tak jest, czcigodny panie! O ósmej powinienem się stawić u gospodarza.

— Przyjdę o szóstej i przyniosę panu sześćdziesiąt franków.

— O mój dobroczyńco! — zawołał z uniesieniem Jondrette i dodał po cichu:

— Przypatrz mu się, żono, a dobrze!

Pan Biały ujął pod rękę piękną dziewczynę i kierując się do drzwi, rzekł:

— Zatem, do widzenia wieczorem, moi drodzy.

— O szóstej? — zapytał Jondrette.

— Tak, punktualnie o szóstej.

W tej chwili okrycie, zostawione na krześle, zwróciło uwagę starszej córki Jondrette'ów.

— Proszę pana — rzekła — pan zapomniał płaszcza! Jondrette cisnął na córkę piorunujące spojrzenie i groźnie wzruszył ramionami.

Pan Biały odwrócił się i rzekł z uśmiechem:

— Nie zapomniałem. Ja go zostawiam.

— O szlachetny opiekunie! O najczcigodniejszy nasz dobroczyńco! Doprawdy, łzy mi wycisnąłeś z oczu! Pozwól mi łaskawie, żebym cię odprowadził do dorożki.

— Jeśli pan chce wyjść, proszę włożyć płaszcz — odrzekł pan Biały. — Jest naprawdę bardzo zimno.

Jondrette'owi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy: skwapliwie nałożył na siebie ciemny płaszcz.

Wyszli wszyscy troje. Jondrette szedł przodem, prowadząc swych gości.



## ROZDZIAŁ X

### TAKSA DOROŻEK: DWA FRANKI ZA GODZINĄ

Mariusz nie stracił nic z całej tej sceny, ale w gruncie rzeczy nic z niej nie widział. Nie odrywał oczu od dziewczyny, a sercem niejako pochwycił i otulił ją całą, odkąd ukazała się na progu izby. Przez cały czas, dopóki tam była, żył owym życiem zachwycenia, które powstrzymuje wszelkie postrzeganie zmysłów, a wszystkie władze duszy ogniskuje w jedno miejsce. Wpatrywał się nie w dziewczynę, lecz w światłość w atłasowym płaszczyku i aksamitnym kapeluszu. Gdyby gwiazda, Syriuszem zwana, weszła do izby, nie byłby bardziej olśniony.

Kiedy dziewczyna rozwijała paczkę, rozkładała odzież i koce, wypytywała z dobrocią chorą matkę i litowała się nad skaleczonym dzieckiem, śledził każdy jej ruch i starał się usłyszeć każde jej słowo. Znał już jej oczy, czoło, urodę, kibić, ruchy, ale nie znał dźwięku jej głosu. Zdawało mu się, że kiedyś w Ogrodzie Luksemburskim usłyszał kilka słów, powiedzianych przez nią, ale nie był tego pewien. Oddałby dziesięć lat życia za to, żeby ją usłyszeć, żeby unieść w duszy odrobinę tej muzyki. Lecz wszystko gubiło się w jęśliwych deklamacjach i grzmiących wybuchach Jondrette'a. Zaprawiło to zachwyty Mariusza niekłamanym gniewem. Pochłaniał dziewczynę oczami. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, że ma naprawdę przed sobą tę niebiańską istotę, pośród tych wszystkich plugawych stworzeń, w tej obrzydliwej norze. Zdawało mu się, że widzi kolibra pomiędzy ropuchami.

Gdy wyszła, owładnęła nim jedna myśl: biec za nią, uczepić się jej śladu, nie puścić jej, póki się nie dowie, gdzie mieszka, nie stracić jej znowu, skoro odzyskał ją w tak cudowny sposób. Zeskoczył z komody i chwycił za kapelusz. Położył już rękę na klamce i miał wychodzić, kiedy zatrzymała go nagła refleksja. Korytarz był długi, schody strome, a Jondrette gadatliwy; pan Biały nie zdążył jeszcze zapewne wsiąść do dorożki; gdyby tak odwrócił się w korytarzu, na schodach czy w bramie i spostrzegł Mariusza, zaniepokoiłby się oczywiście i znalazłby sposób, żeby znów mu się wymknąć, i wszystko byłoby znów skończone. Co robić? Czekać? Ale przez ten czas dorożka może odjechać. Mariusz nie mógł się zdecydować. Wreszcie zaryzykował i wyszedł z pokoju.

W korytarzu nie było nikogo. Wybiegł na schody. Na schodach też nie było nikogo. Zbiegł co tchu i wypadłszy na bulwar spostrzegł, że dorożka mija właśnie narożnik ulicy Małego Bankiera i skręca w stronę miasta.

Mariusz puścił się biegiem w tym kierunku. Z rogu bulwaru znowu zobaczył

dorożkę, jadącą szybko ulicą Mouffetard. Była już bardzo daleko; niesposób ją dopędzić! Co robić? Biec za nią? Nie podobna. Zresztą, z dorożki dostrzeżono by niechybnie człowieka biegnącego ile sił w nogach za pojazdem i ojciec łatwo by go poznał. W tej chwili właśnie — co za niezwykły i cudowny przypadek — Mariusz dostrzegł pusty kabriolet, przejeżdżający bulwarem. Nic innego nie pozostało mu do zrobienia, jak wskoczyć do niego i gonić dorożkę. Był to sposób pewny, skuteczny i bezpieczny.

Mariusz zatrzymał woźnicę skinieniem ręki i zawołał:

— Biorę kabriolet na godzinę! Mariusz był bez krawata, miał na sobie codzienny, stary surdut, któremu brak było guzików, i koszulę podartą w jednym miejscu przy zakładce gorsu.

Woźnica zatrzymał się, przymrużył oko i wyciągnął do Mariusza lewą rękę, znacząco przebierając palcami.

— O co chodzi? — zapytał Mariusz.

— Pieniądze z góry! — odrzekł woźnica.

Mariusz przypomniał sobie, że ma przy sobie tylko szesnaście su.

— Ile? — zapytał.

— Czterdziestkę! —

— Zapłacę w domu.

Woźnica za całą odpowiedź zagwizdał melodię piosenki *La Palisse* i zaciął konia.

Mariusz patrzył błędnym wzrokiem na oddalający się kabriolet. Dla tych dwudziestu czterech su, których mu zabrakło, tracił swoją radość, swoje szczęście, swoją miłość! Znowu zapadał w ciemność. Przejrzał na chwilę i znów tracił wzrok. Pomyślał z goryczą i — powiedzmy szczerze — z wielkim żalem, o pięciu frankach, które dał dzisiejszego ranka tamtej nieszczęsnej dziewczynie. Gdyby je miał w tej chwili, byłby ocalony, wróciłby do życia, wydostałby się z ciemnej otchłani, z samotności, melancholii i opuszczenia, splótłby czarną nić swego przeznaczenia z tą cudną, złotą nicią, która mignęła mu przed oczyma i znów się zerwała. Wrócił do swej rudery zrozpaczony.

Mógł być pocieszyć się tym, że pan Biały przyjdzie tu ponownie wieczorem, i obiecać sobie, że tym razem lepiej się weźmie do rzeczy, żeby go nie stracić z oczu. Ale w swoim zachwyceniu zaledwie słyszał, o czym mówiono.

Kiedy już miał wejść na schody, zobaczył po drugiej stronie bulwaru, tuż przy opuszczonym gołym murze, ciągnącym się wzdłuż ulicy Bariery Gobelinów, Jondrette'a, otulonego w płaszcz „filantropa”. Rozmawiał z jakimś podejrzanym osobnikiem należącym do ludzi określanych mianem „podmiejskich rzezimieszków”, ludzi o zagadkowym obliczu, niepokojącej mowie, którzy wyglądają zawsze, jakby coś knuli, i sypiają zazwyczaj przez cały dzień, co każe przypuszczać, że pracują w nocy.

Ci dwaj mężczyźni, pochłonięci rozmową wśród gęstej śnieżycy, tworzyli parę, na którą zwróciłby od razu uwagę każdy policjant. Mariusz ledwo ich zauważył.

Jednakże, mimo swoich bolesnych rozmyślań, uprzytomnił sobie, że podmiejski włóczęga, z którym rozmawiał Jondrette, był podobny do niejakiego Panchauda, zwanego także Wiosennym albo Urwipołciem, uchodzącego w tej dzielnicy za dość niebezpiecznego nocnego rzezimieszka, którego kiedyś pokazał mu Courfeyrac. Z jego imieniem spotkaliśmy się już w poprzedniej księdze. Tenże Panchaud, zwany też Wiosennym albo Urwipołciem, zasłynął później w kilku procesach kryminalnych i stał się powszechnie znanym łajdakiem. Wtedy był tylko po prostu skończonym łajdakiem. Dziś w kołach bandytów i rzezimieszków — przeszedł do tradycji. Pod koniec ostatniej monarchii był wzorem dla różnych łotrów. Wieczorem, o zmroku, w porze, gdy więźniowie gromadzą się i szepczą sobie po cichu — o nim to gadano w więzieniu La Force, w „Lwiej jamie”. W tymże więzieniu, w miejscu, gdzie pod strażnicą przechodzi ściek kloaczny, który w roku 1843 w biały dzień posłużył trzydziestu więźniom za drogę do niewiarygodnej ucieczki, można było nad płytą latryn odczytać nazwisko „Panchaud”, zuchwale wryte jego własną ręką na murze strażnicy podczas jednej z prób ucieczki. W 1832 roku policja miała już wprawdzie Panchauda na oku, lecz jeszcze nie rozpoczął on na dobre swej kariery.

## ROZDZIAŁ XI

### NĘDZA CHCE POMÓC CIERPIENIU

Mariusz powoli wchodził po schodach rudery. Kiedy miał wejść do swej izdebki, zobaczył w korytarzu starszą córkę Jondrette'ów, która szła za nim. Widok dziewczyny był mu nienawistny; przecież to jej dał swoje i ostatnie pięć franków; za późno już było je odbierać: kabriolet odjechał, dorożka musiała już być daleko, a zresztą dziewczyna nie zechciałaby oddać pieniędzy. Nie miało sensu pytać ją o adres pana Białego, widać go nie znała, skoro list, podpisany nazwiskiem Fabantou, skierowany był do „dobroczyńcy ubogich z kościoła Świętego Jakuba z Alto Passo”.

Mariusz wszedł do pokoju i chciał zamknąć drzwi za sobą. Lecz drzwi się nie zamknęły. Odwrócił się i zobaczył, że jakaś ręka je przytrzymuje.

— O co chodzi? — zapytał. — Kto tam? Była to starsza córka Jondrette'ów.

— To znowu pani? — zapytał prawie szorstko. — Czego pani chce?

Dziewczyna wydawała się zamyślona i nie odpowiadała. Nie miała już tej śmiałości co rano. Nie weszła, tylko stała w mrocznym korytarzu, gdzie Mariusz widział ją przez uchylone drzwi.

— No cóż? Proszę odpowiedzieć, czego pani chce ode mnie? — zapytał ponownie.

Podniosła na niego przygasły wzrok, w którym zdawało się migotać jakieś światełko, i rzekła:

— Pan jest smutny, panie Mariuszu. Co panu jest?

— Mnie? — zapytał Mariusz.

— Tak, panu.

— Nic mi nie jest.

— A jednak tak.

— Nie.

— A ja panu mówię, że tak.

— Proszę mi dać spokój!

Mariusz znowu pchnął drzwi, ale dziewczyna nadal je przytrzymała.

— Niech pan posłucha — rzekła — panie Mariuszu! Choć pan nie jest bogaty, był pan dobry dziś rano. Niech pan będzie dobry i teraz. Dzięki panu miałam co jeść, proszę mi teraz powiedzieć, co panu dolega. Bo przecież to widać, że pan ma jakieś zmartwienie. Ja nie chcę, żeby pan miał zmartwienie. Co na to poradzić? Może mogłabym się panu na coś przydać. Proszę się mną posłużyć. Nie chcę znać pana sekretów, nie potrzebuje mi pan nic mówić, ale ja też mogę się przydać. Kiedy pomagam ojcu, to mogę i panu pomóc. Jak trzeba zanieść gdzie jaki list, chodzić po domach, przepytywać od drzwi do drzwi, znaleźć czyjś adres, śledzić kogoś — to ja jestem do tego jedyna! No, to może mi pan szczerze powiedzieć, co panu jest, a ja pogadam, z kim trzeba. Czasem wystarczy tylko pogadać, a rzecz się wyjaśni i wszystko się ułoży! Proszę pomyśleć — może się jednak panu na coś przydam.

Mariuszowi zaświtała pewna myśl. Tonący i brzytwy się chwyta. Zbliżył się do dziewczyny:

— Słuchaj... — zaczął.

Przerwała mu z błyskiem radości w oczach:

— O tak! Niech mi pan mówi po imieniu! Proszę!

— Dobrze — ciągnął — to ty przyprowadziłaś tu tego starszego pana z córką?

— Ja.

— Znasz ich adres?

— Nie.

— Znajdź mi go.

Ponure oczy dziewczyny rozbłysły radością i znowu zgasły.

— Aa, to o to panu chodzi? — zapytała.

— Tak.

— Czy zna ich pan?

— Nie.

— To znaczy — rzekła żywo — że jej pan nie zna, ale chce ją pan poznać?

Ta zmiana „ich” na „ją” miała jakąś gorzką wymowę.

— Więc cóż? Możesz to zrobić? — zapytał Mariusz.

— Zdobyć dla pana adres tej pięknej panny?

I znów w słowach „piękna panna” zabrzmiał jakiś ton, niemiły dla Mariusza. Rzekł tedy:

— Właśnie! Adres ojca i córki. Ich adres — rozumiesz?

Wbiła w niego oczy.

— A co za to dostanę?

— Wszystko, co zechcesz!

— Co zechcę?

— Tak.

— Będzie pan miał ten adres.

Spuściła głowę, a po tym nagłym ruchem szarpnęła drzwi, które się zatrzasnęły.

Mariusz pozostał sam.

Opadł na krzesło, wsparł głowę i łokcie o łóżko i zatonął w myślach, które na próżno usiłował uporządkować i które go przyprawiały o zawrót głowy.

Wszystkie zdarzenia od rana: pojawienie się anioła, jego zniknięcie, obietnica tego nędznego stworzenia, promyk nadziei w bezmiarze rozpacz, wszystko to bezładnie tłoczyło mu się w mózgu.

Wtem coś go gwałtownie wyrwało z zadumy.

Usłyszał głośny i ostry głos Jondrette'a, skandujący słowa, które zaciekały go w najbardziej nieoczekiwany sposób:

— A ja ci powiadam, że jestem pewien i że go poznałem!

O kim mówił Jondrette? Kogóż to poznał? Czy pana Białego, ojca „jego Urszuli”? Jak to? Czyżby go Jondrette mógł znać? Czyżby Mariusz miał w ten nagły i nieoczekiwany sposób otrzymać wszystkie wyjaśnienia, bez których własne życie było dlań ciemną nocą? Miał się nareszcie dowiedzieć, kogo kocha? Kim

jest ta dziewczyna? Kim jest jej ojciec? Czyżby gęsty mrok, który ich dotąd okrywał, miał się za chwilę rozjaśnić? Czyżby się miała rozerwać zasłona? O nieba!

Nie wszedł, lecz jednym susem wskoczył na komodę i znów zajął miejsce przy małym otworze w ścianie.

Oglądał znowu nędzną izbę Jondrette'ów.

## ROZDZIAŁ XII

### NA CO ZUŻYTO PIĘĆ FRANKÓW PANA BIAŁEGO

Nic się tam nie zmieniło, tyle tylko, że matka i córki sięgnęły już widać do otrzymanej paczki, bo miały na sobie pończochy i wełniane kaftany. Dwa nowe koce rozłożono na łóżkach. Jondrette widocznie wrócił przed chwilą, bo był jeszcze zasapany. Córki siedziały na ziemi przy kominie, starsza robiła opatrunek młodszej. Matka z wyrazem zdziwienia na twarzy leżała bezwładnie na barłogu, przytykającym do komina. Jondrette wielkimi krokami przemierzał izbę. Miał niesamowite oczy.

Kobieta, która wydawała się zatrwożona i onieśmielona wobec męża, odważyła się zapytać:

— Jak to? Naprawdę? Jesteś tego pewien?

— Ba, najpewniejszy! Osiem lat minęło! Ale ja go poznaję! O tak, poznaję! Od razu go poznałem! A tobie się to nie rzuciło w oczy?

— Nie!

— A przecież mówiłem ci: „uważaj!” Ten sam wzrost, ta sama twarz, nawet i niewiele postarzała, niektórzy ludzie wcale się nie starzeją! Nie wiem, jak to robią! Ten sam głos! Lepiej ubrany, i to wszystko! Ach, ty stary, tajemniczy diable! Mam cię! Poczekaj!

Zatrzymał się i powiedział do córek:

— Wynosić mi się stąd! Już! A to śmieszne, że tobie się to nie rzuciło w oczy!

Córki wstały posłusznie. Matka jęknęła:

— Jakże to? Z tą skaleczoną ręką?

— Świeże powietrze dobrze jej zrobi — odpowiedział Jondrette. — Jazda!

Widocznym było, że z tym człowiekiem nie ma dyskusji. Dziewczęta wyszły.

W chwili kiedy znalazły się na progu, ojciec chwycił starszą za ramię i powiedział do niej szczególnym tonem:

— Wróćcie tu punkt o piątej. Obie. Będziecie mi potrzebne.



Mariusz natężył uwagę.

Zostawszy sam z żoną, Jondrette zaczął znów chodzić po izbie. Przeszedł się parę razy w milczeniu. Potem przez kilka minut wpychał w spodnie i obciągał kobiecą koszulę, którą miał na sobie. Nagle odwrócił się do żony, skrzyżował ręce na piersiach i krzyknął:

— Chcesz, żebym ci jeszcze coś powiedział? Ta panna...

— Co ta panna... — podchwyciła kobieta. Mariusz nie mógł już wątpić: mówili o niej! Słuchał drżąc z niepokoju. Cały zamienił się w słuch.

Ale Jondrette nachylił się i szepnął coś żonie do ucha. Po czym wyprostował się i zakończył głośno:

— To ona!

— Ta...?! — zapytała żona.

— Ta — odparł pąż.

Żadne określenie nie odda tego, co brzmiało w słowie „Ta?!...”, wymówionym przez tę kobietę. Było to zdziwienie, wściekłość, nienawiść, złość, które połączyły się i zlały w jedną potworną intonację. Wystarczyło kilku słów, zapewne jakiegoś imienia, które mąż szepnął jej do ucha, by ta tęga, ospała baba obudziła się i z odrażającej stała się straszliwą.

— Niemożliwe! — wrzasnęła. — Jak sobie pomyślę, że moje córki chodzą boso i nie mają co włożyć na grzbiet! A ta paraduje w atłasowym płaszczu na futrze, w aksamitnym kapeluszu, w pantoflach! Wszystko ma! Ze dwieście franków to warte albo i więcej! Pomyślałby kto, że prawdziwa pani! Ale nie, chyba ci się coś przewidziało. Zresztą tamta była szkaradna, a ta jest wcale niczego. Naprawdę, wcale niczego! To nie może być ona.

— A ja ci powiadam, że to ona. Zobaczysz!

Na to stanowcze twierdzenie baba podniosła swoją rozlaną, czerwoną twarz i spojrzała w sufit z jakimś ohydny grymasem. W tej chwili wydała się Mariuszowi jeszcze groźniejsza od męża. Była to maciora o spojrzeniu tygrysicy.

— Co? — wrzasnęła. — Ta przeklęta pannica, ta lala, co z litością patrzyła na moje córki, miałyby być tamtą szmaciarą? O, własnymi obcasami flaki bym jej z brzucha wypruła!

Zeskoczyła z łóżka i stała przez chwilę, rozczochrana, z rozdętymi nozdrzami,

rozwartą gębą i odrzuconymi w tył, zaciśniętymi pięściami. Po czym znów zwała się na barłóg. Mężczyzna przemierzał tymczasem izbą tam i z powrotem, nie zwracając uwagi na swoją samicę.

Po paru chwilach milczenia podszedł do żony, stanął przed nią, skrzyżował ręce jak przed chwilą i rzekł:

— Chcesz, żebym ci jeszcze coś powiedział?

— Co takiego? — zapytała. Odpowiedział cicho i lakonicznie:

— Będę miał forszę!

Żona popatrzyła na niego wzrokiem, który zdawał się mówić: „Czy mu się w głowie pomieszało?” On zaś ciągnął:

— Co, u pioruna! Dość już mam tej parafii „zdychaj z głodu, jeśli masz co włożyć do komina” albo „zdychaj z zimna, jeśli masz co do gęby włożyć”. Dość mam nędzy. Dość już się nabiedowałem za siebie i za innych. Nie żartuję, to już nie jest śmieszne; dość tej zabawy! Dobry Boże! Dość żarcików, psiakrew! Chcę jeść, ile wlezie, chcę pić, ile wlezie! Żreć! Spać! Leżeć do góry brzuchem! Niech raz będzie moja kolej! Nim zdechnę, chcę się zabawić trochę w bogacza.

Przeszedł się znów po izbie i dodał:

— Jak inni!

— Co to wszystko znaczy? — zapytała żona. Potrząsnął głową, przymrużył oko i podniósł głos jak kuglarz jarmarczny, kiedy zaczyna występ:

— Co to wszystko znaczy? Posłuchaj!

— Pst! — nie tak głośno — mruknęła baba. — Bo to może sprawy, które nie każdy powinien słyszeć.

— Kto może usłyszeć? Sąsiad? Widziałem niedawno, jak wychodził z domu. Zresztą ten głupiec nic nie słyszy! Powiadam ci zresztą, żem widział, jak wychodził.

Jondrette instynktownie zniżył głos, za mało jednak, tak że słowa jego docierały do Mariusza. Inna sprzyjająca okoliczność — świeży śnieg, który głużył turkot wozów na bulwarze — pozwoliła mu wysłuchać dokładnie całej rozmowy. Oto, co Mariusz usłyszał:

— Posłuchaj! Mamy go, tego Krezusa. Już go prawie trzymamy w garści!

Gotowe! Wszystko ułożone! Gadałem z ludźmi. Przyjdzie tu, kanalia, o szóstej i przyniesie swoje sześćdziesiąt franków. Uważałaś, jak mu pięknie nabajtlowałem: i sześćdziesiąt franków, i gospodarz, i termin, i komorne? Mądrze — co? Przyjdzie więc o szóstej. W tej porze sąsiad idzie na obiad, a stara Burgon poszła na posługi do miasta. W całym domu nie ma nikogo. Sąsiad nie wraca nigdy przed jedenastą. Zresztą dziewczęta będą dawały oko. Ty nam pomożesz. Zobaczysz, jak mu ślicznie wyprzątniemy kieszenie!

— A jak nie da sobie sprzątnąć? Jondrette złowieszco machnął ręką i rzekł:

— To jego sprzątniemy! I wybuchnął śmiechem.

Mariusz po raz pierwszy zobaczył jego śmiech. Był to śmiech cichy i zimny, który przejmował dreszczem.

Jondrette otworzył szafę w ścianie koło kominka i wyciągnął starą czapkę, którą wyczyścił rękawem -i wsadził na głowę.

— Wychodzę — powiedział. — Muszę jeszcze pogadać z ludźmi, i to nie byle jakimi! Zobaczysz, że wszystko pójdzie jak z płatka. Wrócę, jak będę mógł najwcześniej. To nie lada gratka. Pilnuj domu.

Wsadziwszy obie pięści do kieszeni spodni, przystanął na chwilę w zamyśleniu, po czym zawołał:

— A swoją drogą, to całe szczęście, że on mnie nie poznał! Bo jakby mnie poznał, to by już tu nie przyszedł! Wymknąłby się nam z rąk. Broda mnie uratowała. Moja romantyczna bródka! Moja śliczna, romantyczna bródka!

I znów się roześmiał.

Podszedł do okna. Śnieg wciąż sypał wielkimi płatami, tworząc białe smugi na szarym niebie.

— A to psia pogoda! — rzekł i zapiąwszy płaszcz dodał:

— Ten płaszcz jest na mnie za duży, ale co tam! I tak stary łajdak diabelnie dobrze zrobił, że mi go zostawił. Inaczej nie mógłbym wyjść z domu i wszystko wzięłoby w łeb! Ha! Od czego to czasem zależą ważne sprawy!

Wcisnął czapkę na oczy i wyszedł.

Ledwo miał czas zrobić parę kroków, a drzwi się znów otworzyły i ukazał się w nich jego przebiegły i drapieżny profil.

— Zapomniałem — rzekł — Zapalisz w piecyku. I cisnął żonie pięciofrankową monetę, zostawioną przez „filantropa”.

— W piecyku? — zapytała żona.

— Tak.

— Ile kupić węgla?

— Ze dwie miary.

— To znaczy półtora franka. Za resztę kupię coś na obiad.

— Nie, do licha!

— Dlaczego?

— Ani mi się waź wydawać reszty!

— Dlaczego?

— Bo ja też muszę coś kupić!

— Ale co?

— Coś.

— Ile ci będzie trzeba?

— Jest tu gdzie blisko jaki sklep żelazny?

— Na ulicy Mouffetard.

— Aha, na rogu! Wiem!

— Ale powiedz mi, ile ci będzie potrzeba na to, co masz kupić?

— Jakie dwa i pół albo trzy franki.

— Niewiele zostanie na obiad!

— Dzisiaj nie chodzi o jedzenie! Chodzi o ważniejsze rzeczy!

— Dobrze już, dobrze, mój klejnocie.

Na te słowa żony Jondrette zamknął drzwi i tym razem Mariusz usłyszał, że przeszedł przez korytarz i szybko zbiegł po schodach.

Na wieży Św. Medarda wybiła pierwsza.

## ROZDZIAŁ XIII

### „SOLUS CUM SOLO, IN LOCO REMOTO, NON COGITABUNTUR ORARE PATER NOSTER”

Mimo marzycielskiego usposobienia Mariusz był jednak z natury — jak to już mówiliśmy — człowiekiem dzielnym i energicznym. Nawyk do samotnych rozmyślań, rozwijając życzliwość i współczucie, zmniejszył w nim może zdolność do wybuchów gniewu, lecz nie naruszył w niczym zdolności do słusznego oburzenia; Mariusz łączył pobłażliwość bramina z surowością sędziego; litował się nad ropuchą, lecz rozdeptywał żmiję. A oto teraz miał przed oczyma kłębowisko żmij; zajrzał do gniazda poczwara.

— Trzeba zdeptać tych nędzników — rzekł.

Nie wyjaśniła się żadna z zagadek, których rozwiązania pragnął gorąco; przeciwnie, wszystko się może jeszcze bardziej zaciemniło. O pięknym dziewczęciu z Ogrodu Luksemburskiego i o człowieku, którego nazywał panem Białym, dowiedział się tylko tyle, że

Jondrette ich znał. Z mglistych słów, które zostały wypowiedziane, wyłowił jasno tylko jedną rzecz: przygotowywano zasadzkę, zasadzkę niewiadomą, lecz straszną; obojgu groziło wielkie niebezpieczeństwo, jej — może, ojcu — na pewno; trzeba było ich ratować, trzeba było zapobiec nikczemnym knowaniom Jondrette'a i rozerwać sieci tych pajaków.

Przez chwilę obserwował Jondrette'ową. Wyciągnęła z kąta stary piecyk i grzebała między żelastwem.

Zszedł z komody, jak mógł najostrożniej, uważając, żeby się nie zdradzić najłżejszym szmerem.

Przerażony tym, co się tu przygotowywało, i przejęty wstrętem do Jondrette'ów czuł przecież pewną radość na myśl, że może danym mu będzie oddać wielką przysługę tej, którą kochał.

Ale co robić? Czy ostrzec zagrożone osoby? Gdzie ich szukać? Nie znał ich adresu. Na chwilę ukazały się jego oczom i znów utonęły w niezmiernych głębiach Paryża. Czekać na pana Białego przed domem wieczorem o szóstej i kiedy będzie szedł, ostrzec go o zasadzce? Ale Jondrette i jego wspólnicy mogą spostrzec, że Mariusz stoi na czatach; miejsce jest odludne, będą silniejsi od niego i znajdą sposób, żeby go schwytać lub pozbyć się, a wówczas ten, którego

pragnął ocalić, będzie zgubiony. Przed chwilą wybiła pierwsza; zasadzkę przygotowano na szóstą. Mariusz miał przed sobą pięć godzin. Jedno mógł tylko zrobić.

Włożył przyzwoite ubranie, zawiązał chustkę na szyi, wziął kapelusz i wyszedł, nie czyniąc więcej hałasu, niż gdyby stąpał boso po mchu.

Zresztą baba grzebała wciąż między żelastwem.

Wyszędłszy z domu, skręcił w ulicę Małego Bankiera.

Znajdował się mniej więcej w połowie ulicy, koło niskiego murku, przez który gdzieniegdzie łatwo można przeskoczyć a który otacza jakiś pusty plac. Szedł powoli, zatopiony w myślach, śnieg głużył jego kroki; nagle usłyszał głosy rozmawiające gdzieś bardzo blisko. Obejrzał się — ulica była bezludna, nikogo nie widać, działo się to w biały dzień, a jednak wyraźnie słyszał czyjeś głosy. Przyszło mu na myśl, by zajrzeć za murek, koło którego szedł. Zobaczył tam rzeczywiście dwóch ludzi. Siedzieli na śniegu, oparci o mur, i rozmawiali po cichu.

Nie znał ich. Jeden, brodaty, ubrany był w bluzę, drugi, długowłosy, w jakieś łachmany. Brodaty miał na głowie grecką czapeczkę, drugi był z gołą głową; włosy miał ośnieżone.

Wysunąwszy głowę ponad mur, Mariusz mógł słyszeć ich rozmowę.

Długowłosy, trącając łokciem towarzysza, powiedział:

— Z pomocą „ślepego kura" to się uda, ani chybi.

— Tak powiadasz? — odrzekł brodaty. Długowłosy odpowiedział:

— Każdy dostanie do rączki po pół tysiącza. A jakby na ten przypadek coś się wydarzyło — to pięć, sześć lat, najwyżej dziesięć.

Drugi odpowiedział z pewnym wahaniem, drapiąc się pod czapką w głowę:

— Ano, to jedno widzi mi się pewne. Na to rady nie ma.

— Powiadam ci, że to murowany interes — odparł długowłosy. — Drynda dziadka „Jag-go-tam" będzie w pogotowiu.

Po czym zaczęli mówić o jakimś melodramacie, który widzieli poprzedniego dnia w teatrze „Gaité".

Mariusz poszedł dalej.

Wydawało mu się, że niejasne słowa tych ludzi, w tak dziwny sposób ukrytych za murem i przykucniętych na śniegu, miały może jakiś związek z ohydnyymi zamiarami Jondrette'a. To o tym „interesie” mówiono zapewne.

Skierował się w stronę przedmieścia Saint-Marceau i w pierwszym sklepiku spytał, gdzie jest komisariat policji.

Wskazano ulicę Pontoise numer 14.

Udał się tam.

Przechodząc koło piekarza, kupił chleba za dwa su, przewidując, że nie będzie miał czasu na obiad.

Idąc oddawał w duchu sprawiedliwość rządzeniom Opatrzności. Myślał o tym, że gdyby nie dał dziś rano ostatnich pięciu franków córce Jondrette'ów, puściłby się w pogoń za dorożką pana Białego, niczego by się nie dowiedział, nic by nie stanęło wówczas na przeszkodzie zasadzce Jondrette'ów i pan Biały byłby zgubiony, a zapewne wraz z nim i jego córka.



## ROZDZIAŁ XIV

### FUNKCJONARIUSZ POLICJI DAJE DWA KUKSAŃCE ADWOKATOWI

Mariusz odszukał numer 14 przy ulicy Pontoise, wszedł na pierwsze piętro i zapytał o komisarza policji.

— Pana komisarza nie ma — odpowiedział mu jakiś woźny — ale jest pan inspektor, który go zastępuje. Chce się pan z nim widzieć? Czy to pilna sprawa?

— Tak — odrzekł Mariusz.

Woźny wprowadził go do gabinetu komisarza. Stał tam za kratą wysoki mężczyzna, oparty o żelazny piecyk, i obiema rękami unosił poły szerokiego surduta o trzech pelerynkach. Twarz miał kwadratową, wargi wąskie i zaciśnięte, bujne, szpakowate faworyty groźnie nastroszone i wzrok, który wywracał kieszenie. Można by powiedzieć, że wzrok ten nie tyle przeszywał, co rewidował.

Człowiek ten miał wygląd niewiele mniej srogi i groźny niż Jondrette. Spotkanie z brytanem bywa czasem równie niepokojące jak spotkanie z wilkiem.

— O co chodzi? — zapytał Mariusza, nie mówiąc mu nawet: „panie”.

— Czy pan komisarz policji?

— Komisarza nie ma. Zastępuję go.

— Idzie tu o rzecz bardzo poufną.

— Więc proszę mówić.

— I bardzo pilną.

— Więc proszę mówić prędko.

Człowiek ten, spokojny i szorstki, przerażał, a zarazem uspokajał. Budził i lęk, i zaufanie. Mariusz opowiedział mu całe zdarzenie: że pewna osoba, którą znał tylko z widzenia, ma tego wieczora zostać wciągnięta w pułapkę, że on, Mariusz Pontmercy, adwokat, mieszkając w sąsiedztwie gniazda opryszków, podsłuchał przez ścianę ich znowę: że łotr, który obmyślił zasadzkę, to niejaki Jondrette, że będzie miał współników, prawdopodobnie podmiejskich rzezimieszków, między innymi pewnego Panchauda, zwanego też Wiosennym albo

Urwipółciem, że córki Jondrette'ów mają stać na straży, że nie ma sposobu, by uprzedzić zagrożonego człowieka, zważywszy, że nie zna nawet jego nazwiska; i wreszcie, że wszystko to ma się odbyć o godzinie szóstej wieczorem, w najbardziej odludnym miejscu bulwaru Szpitalnego, w domu pod numerem 50—52.

Usłyszawszy ten numer, inspektor podniósł głowę i rzekł chłodno:

— W izbie położonej w głębi korytarza, czy tak?

— Tak, właśnie tam — odrzekł Mariusz i dodał: — To pan zna ten dom?

Inspektor milczał przez chwilę, po czym odrzekł, grzejąc sobie nogę u drzwiczek pieca.

— Zdaje się.

I ciągnął dalej przez zęby, mówiąc raczej w swój halsztuk niż do Mariusza:

— Z pewnością macza w tym palce „ślepy kur”, Słowa te uderzyły Mariusza.

— „Ślepy kur” — rzekł. — Istotnie, słyszałem tę nazwę.

I opowiedział inspektorowi rozmowę brodacza z długowłosym na śniegu za murem ulicy Małego Bankiera. Inspektor mruknął:

— Długowłose to pewnie Brujon, a brodacz to Pólszeląg, zwany też Dwa Miliardy.

Znowu opuścił powieki i zastanawiał się przez chwilę:

— Co do dziadka „Jak-go-tam”, też zaczynam się domyślać. Masz tobie! Spaliłem sobie surdut! Zawsze zanadto napalą w tych przeklętych piecach! Numer 50—52. Dawna posiadłość Gorbeau. — Tu spojrział na Mariusza.

— Pan widział tylko długowłosego i brodacza?

— I Panchauda.

— A nie kręcił się tam młody, diabelnie elegancki fircyk?

— Nie.

— Ani wielki, tęgi drab, podobny do słonia z Ogrodu Zoologicznego.

— Nie.

— Ani kuty frant, który wygląda na kuglarza?

— Nie.

— Co do czwartego, to nikt go nigdy nie widział, nawet jego zausznicy, współnicy i pomocnicy. Nic dziwnego, że i pan go nie widział.

— Nie. Ale kimże są te wszystkie typy? — zapytał Mariusz.

Inspektor odpowiedział:

— A zresztą, to nie ich pora.

Umilkł. Po chwili odezwał się Znowu,

— Numer 50—52. Znam tę chałupę. Niesposób schować się tam wewnątrz, bo się aktorzy spostrzegą i gotowi odłożyć swój wodewil na kiedy indziej. Są tacy skromni, wstydzą się publiczności! Nie! Nie! Trzeba to urządzić inaczej. Chcę posłuchać ich śpiewu i zagrać im do tańca!

Skończywszy ten monolog, zwrócił się do Mariusza i zapytał go, patrząc mu prosto w oczy:

— Czy nie będzie się pan bał?

— Czego? — zapytał Mariusz.

— Tych ludzi.

— Nie więcej niż pana — odrzekł opryskliwie Mariusz, który zaczynał zdawać sobie sprawę, że ten szpicel traktuje go z niezbyt wielkim szacunkiem.

Inspektor spojrzał na niego jeszcze uważniej i ciągnął dalej z pewną uroczystą powagą:

— Mówi pan jak człowiek odważny i jak człowiek uczciwy. Odwaga nie lęka się zbrodni, a uczciwość nie lęka się władzy.

— Dobrze, ale co pan ma zamiar zrobić? — przerwał mu Mariusz.

Inspektor ograniczył się do tych słów:

— Każdy lokator tego domu ma klucz od drzwi wejściowych, by móc się w nocy dostać do swego mieszkania. Pan też pewnie ma taki klucz?

— Mam — rzekł Mariusz.

— Przy sobie?

— Tak.

— Proszę mi go dać — rzekł inspektor.

Mariusz wyjął klucz z kieszeni kamizelki, wręczył go inspektorowi i powiedział:

— Radziłbym przyjść we wzmocnionym składzie.

Inspektor rzucił Mariuszowi spojrzenie, jakim Wolter obdarzyłby członka prowincjonalnej akademii, który by mu się chciał przysłużyć rymem; jednym ruchem wsadził swoje obie olbrzymie łapy do dwóch olbrzymich kieszeni surduta i wyciągnął z nich dwa małe, stalowe pistolety, zwane „kuksańcami”. Podał je Mariuszowi i rzekł krótko a zwięźle:

— Proszę to wziąć, wrócić do siebie i ukryć się w swoim pokoju. Niech myślą, że pan wyszedł. Pistolety są nabite. Każdy dwiema kulkami. Proszę obserwować wszystko przez dziurę w ścianie, o której pan wspominał. Ptaszki przyjdą, niech się nie krępują na razie. Kiedy pan osądzi, że już zaszli dość daleko i trzeba ich powstrzymać — strzelać. Nie za wcześnie! Reszta — to już moja sprawa. Strzelać w powietrze, w sufit, gdzie bądź. Byle nie za wcześnie! Niech pan czeka na początek zbrodni. Pan jest adwokatem, więc wie pan, co to znaczy.

Mariusz wziął pistolety i wsunął w boczną kieszeń surduta.

— Wypychają kieszeń, widać je! — rzekł inspektor. — Wsadź je pan do kieszeni spodni.

Mariusz schował pistolety do kieszeni spodni.

— A teraz — ciągnął inspektor — żaden z nas nie ma ani chwili do stracenia. Która godzina? Wpół do trzeciej. Umówili się na siódmą?

— Na szóstą — odparł Mariusz.

— Czasu jest dość — rzekł inspektor — ale nie za wiele. Proszę pamiętać, co panu mówiłem. Wszystko. Paf! Jeden strzał z pistoletu.

— Może pan być spokojny — odpowiedział Mariusz. Kiedy trzymał już dłoń na klamce, zabierając się do wyjścia, inspektor zawołał jeszcze:

— Jeszcze jedno! Gdyby pan mnie potrzebował wcześniej, to przyjdź pan tu lub przyślij kogo. Proszę pytać o inspektora Javerta.

## ROZDZIAŁ XV

### JONDRETTE ZAŁATWIA SWÓJ SPRAWUNEK

W parę minut potem, koło godziny trzeciej, Courfeyrac w towarzystwie Bossueta przechodził przypadkiem ulicą Mouffetard. Śnieżyca wzmogła się, sypało coraz gęściej. Bossuet mówił właśnie do Courfeyraca:

— Patrząc na te płatki śniegu, masz wrażenie, że w niebie jest pomór na białe motyle. — Nagle Bossuet spostrzegł Mariusza, który szedł ulicą w kierunku rogatki z jakimś szczególnym wyrazem twarzy.

— Patrzaj! — zawołał. — Mariusz!

— Zauważyłem go — odrzekł Courfeyrac — ale dajmy mu spokój.

— Dlaczego?

— Bo jest zajęty.

— Czym?

— Czyż nie widzisz, jaką ma minę?

— Jaką?

— Ma minę kogoś, kto za kimś idzie.

— To prawda — rzekł Bossuet.

— Popatrz tylko, co za spojrzenie! — powiedział znowu Courfeyrac.

— Ale za kim, u diabła, tak goni?

— Za jakąś spódniczką, za kapelusikiem z kwiatuskami. Jest zakochany!

— Ale — zauważył Bossuet — na całej ulicy nie widzę ani spódniczki, ani kapelusika z kwiatuskami, słowem, ani śladu kobiety!

Courfeyrac spojrział i zawołał:

— Idzie za mężczyzną!

Istotnie, jakiś mężczyzna w czapce, z siwą brodą, którą widać było, szedł na

jakieś dwadzieścia kroków przed Mariuszem. Ubrany był w nowiutki płaszcz, zbyt obszerny na niego i w nieprawdopodobnie wystrzępione spodnie, całe poczerniałe od błota.

Bossuet parsknął śmiechem: — A to co za figura?

— To? — odrzekł Courfeyrac. — To poeta. Poeci dość chętnie noszą spodnie handlarzy królikami, a płaszcze parów Francji.

— Zobaczymy, dokąd to idzie Mariusz i ten drugi — rzekł Bossuet. — Chodźmy za nimi, dobrze?

— Bossuecie! — zawołał Courfeyrac. — Orle z Meaux! Jesteś szkaradnym bydlęciem! Gonić mężczyznę, który goni mężczyznę?

Zawrócili w przeciwnym kierunku.

Mariusz rzeczywiście zauważył na ulicy Mouffetard Jondrette'a i zaczął go śledzić.

Jondrette szedł przed nim, nie domyślając się, że czyjś wzrok trzyma go na uwięzi. Skręcił z ulicy Mouffetard i Mariusz zobaczył, że wchodzi do jakiejś okropnej budy przy ulicy Miłej, gdzie zatrzymał się mniej więcej piętnaście minut, po czym znów wrócił na ulicę Mouffetard. Wszedł do sklepu z żelastwem, który znajdował się wówczas na rogu ulicy PierreLombard, i po chwili Mariusz zobaczył, że wychodzi ze sklepiku trzymając w ręku wielkie dęto z rękojeścią z jasnego drzewa, które schował w zanadrze. Doszedłszy do ulicy Petit-Gentilly, skręcił w lewo i szybko wbiegł na ulicę Małego Bankiera. Zmierzchało; śnieg, który ustał na chwilę, zaczął znów sypać. Mariusz zaczął się za rogiem ulicy Małego Bankiera, pustej jak zwykle, i nie poszedł dalej za Jondrette'em. Dobrze zrobił, gdyż doszedłszy do niskiego murku, gdzie Mariusz podsłuchiwał rozmowę brodacza z długowłosym, Jondrette obejrzał się, upewnił, że nikt go nie śledzi i nie widzi, po czym przeskoczył przez mur i znikł.

Pustkowie, które rozpościerało się za tym murem, stykało się z podwórzem należącym do człowieka bardzo podejrzanego, który niegdyś trudnił się wynajmowaniem powozów, i choć dawno już zbankrutował, miał jeszcze w szopie parą starych bryk..

Mariusz pomyślał sobie, że roztropnie będzie wrócić do domu, korzystając z nieobecności Jondrette'a. Zresztą robiło się już późno. Jejmość Burgon, wychodząc co wieczór do miasta na posługi po domach, miała zwyczaj zamykać na klucz drzwi wejściowe, które zawsze były zamknięte o zmroku; a że Mariusz oddał swój klucz inspektorowi, należało się spieszyć. Zapadł zmierzch; zbliżała się już noc. Na całym widnokręgu i w niezmiernych

przestworzach błyszczał jeden tylko punkt oświetlony słońcem: księżyc.

Wschodził czerwony za niską kopułą gmachu Salpetriere. Mariusz wielkimi susami dopadł domu pod numerem 50—52. Drzwi wejściowe były jeszcze otwarte. Na palcach wszedł po schodach i prześliznął się korytarzem wzdłuż ściany aż do swego pokoju. Jak pamiętamy, po obu stronach tego korytarza mieściły się nędzne izdebki, w tej chwili puste i do wynajęcia. Jejmość Burgon zostawiała zwykle drzwi do nich pootwierane. Mijając jedne z tych drzwi, Mariusz odniósł wrażenie, że w niezamieszkałej izbie widzi cztery nieruchome męskie głowy bielejące w resztkach dziennego światła, które wpadało przez okienko. Nie przyglądał im się dłużej, nie chcąc, żeby go zobaczono. Zdołał wejść do pokoju cicho i niepostrzeżenie. W sam czas! W chwilę potem usłyszał, że jejmość Burgon wychodzi, zamykając na klucz drzwi wejściowe.

## ROZDZIAŁ XVI

### 10 KTÓRYM USŁYSZYMY PIOSENKĘ NA ANGIELSKĄ NUTĘ, MODNĄ W 1832 ROKU

Mariusz usiadł na łóżku. Mogło być koło wpół do szóstej. Już tylko pół godziny dzieliło go od tego, co miało nastąpić. Słyszał bicie swego puls, jak słyszy się w ciemności cykanie zegara. Myślał o podwójnym pochodzie, który się odbywał w tej chwili w mroku. O nadciągającej z jednej strony zbrodni, z drugiej — sprawiedliwości. Nie bał się, ale nie mógł myśleć bez pewnego drżenia o tym, co miało niebawem nastąpić. Jak każdemu, na kogo spadnie znieścacka niezwykle wydarzenie, cały ten dzień wydawał mu się snem i aby się upewnić, że nie jest w mocy sennej zmory, musiał dotykać chłodnej stali pistoletów, które miał w kieszeniach.

Śnieżyca ustała: coraz jaśniejszy księżyc wyłaniał się z tumanów mgły; poświata miesięczna, zlewając się z białym odblaskiem świeżo spadłego śniegu, napełniała wnętrze izdebki łagodnym mrokiem.

W izbie Jondrette'ów świeciło się. Otwór w ścianie lśnił czerwonym blaskiem, który wydawał się Mariuszowi krwawy. Światło to oczywiście nie mogło pochodzić od świecy. W izbie Jondrette'ów nie słychać było zresztą żadnego szmeru: nikt się nie ruszał, nikt się nie odzywał, nikt nie oddychał; panowała tam cisza tak lodowata i głęboka, że gdyby nie to światło, można było myśleć, że się jest w pobliżu grobu.

Mariusz ostrożnie zdjął buty i wsunął je pod łóżko. Upłynęło kilka minut. Nagle usłyszał skrzyp drzwi wejściowych; ktoś ciężkim, spiesznym krokiem wszedł na schody i przebiegł korytarz; klamka od drzwi do izby odskoczyła z hałasem. To Jondrette wrócił do domu. Natychmiast rozległo się kilka głosów. Cała rodzina była zgromadzona w izbie, ale w nieobecności pana i władcy siedziała cicho jak wilczęta w nieobecności wilka.

— To ja — rzekł Jondrette.

— Dobry wieczór, tatku! — zaskrzeczały córki.

— No i co? — zapytała matka.

— Wszystko idzie jak z płotka — odpowiedział Jondrette. — Tylko mi cholernie nogi zmarzły! A, widzę, żeś się ubrała. To dobrze, powinnaś wzbudzać zaufanie.

— Jestem gotowa do wyjścia.



— A nie zapomnisz nic, com ci mówił? Zrobisz wszystko, jak należy?

— Bądź spokojny!

— Bo widzisz... — rzekł Jondrette i nie dokończył zdania.

Mariusz usłyszał, że kładzie coś ciężkiego na stole, zapewne dłuto, które kupił.

— No i co? — mówił dalej Jondrette — A czyście coś jadły?

— Aha! — odpowiedziała stara — miałam trzy duże kartofle i sól. Skorzystałam z ognia, żeby je upiec.

— Dobra! — odparł Jondrette. — Jutro zaprowadzę was na obiad. Będzie kaczką i różne dodatki. Podjecie sobie jak sam Karol X. Wszystko idzie jak po maśle!

I dodał zniżając głos:

— Pułapka zastawiana, koty czekają. Jeszcze bardziej zniżył głos i rzekł:

— Włóż to do ognia.

Mariusz usłyszał szuranie w węglu obcęgi czy też innym żelaznym narzędziem. Jondrette mówił dalej:

— Czy naoliwiłaś zawiasy u drzwi, żeby nie skrzypiały?

— A jakże — odpowiedziała żona.

— Która godzina?

— Niedługo będzie szósta. Dopiero co biło pół u Świętego Medarda.

— O, do diabła! — rzekł Jondrette — Trzeba już wyprawić dziewczęta na czaty. Chodźcie no tutaj i posłuchajcie!

Słychać było przez chwilę jakieś szepty.

Po czym znów Jondrette odezwał się głośno:

— Stara wyszła?

— Tak — odparła matka.

— A sąsiada na pewno nie ma w domu?

— Nie było go przez cały dzień, a wiesz przecież, że teraz to pora jego obiadu.

— Jesteś pewna?

— Pewna.

— Co tam! — rzekł Jondrette. — Nie zawadzi sprawdzić, czy go przypadkiem nie ma. Weź no, córko, świecę i zajrzyj do niego.

Mariusz zsunął się na podłogę i na czworakach, cichutko wczołgał się pod łóżko. Ledwo tam przycupnął, jak zobaczył przez szpary w drzwiach światło.

— Tata! — zawołał głośno. — Nie ma go! Poznał głos starszej córki Jondrette'ów.

— Byłaś w pokoju? — zapytał ojciec.

— Nie — odpowiedziała — ale klucz jest w zamku, to znaczy, że wyszedł.

Ojciec zawołał znowu:

— Wejdz no jednak i zobacz.

Drzwi otworzyły się i Mariusz zobaczył na progu starszą dziewczynę ze świecą w ręku. Wyglądała tak jak rano, była tylko jeszcze bardziej przerażająca w tym oświetleniu.

Skierowała się prosto do łóżka: Mariusz przeżył moment niewymownej trwogi, ale nad łóżkiem wisi na ścianie lustro i do niego to właśnie zmierzała dziewczyna. Wspięła się na palce i zaczęła się przeglądać. Z sąsiedniej izby dochodził szcęk poruszanego żelastwa. Dziewczyna przygładziła dłonią włosy i mizdrzyła się przed lustrem, nucąc swoim zdartym, ponurym głosem:

Ach, miłość nasza trwała tydzień cały,

Lecz szczęścia kres był niedaleki!

Cóż znaczy kilka dni dla serc, co się spotkały

I pokochały na wieki!

I pokochały na wieki!

Mariusz drżał. Zdawało mu się, że dziewczyna nie może nie słyszeć jego oddechu.

Ona zaś podeszła do okna i wyjrzała na dwór, mówiąc głośno tym właściwym sobie na wpół przytomnym tonem:

— Jaki ten Paryż jest brzydki w białej koszuli! Wróciła do lustra i zaczęła znów stroić miny, przyglądając się sobie to wprost, to z profilu.

— No co — krzyknął ojciec. — Co tam robisz tak długo?

— Szukam pod łóżkiem i pod meblami — odpowiedziała nie przestając poprawiać włosów. — Nie ma nikogo.

— Wracaj zaraz, idiotko jedna! — wrzasnął ojciec.— Nie ma czasu!

— Idę, już idę! — odrzekła dziewczyna. — Na nic nie ma czasu w tej ich przeklętej chałupie!

I zanuciła:

Idziesz na wojnę, opuszczasz mnie, Smutek mój pójdzie za tobą w ślad...

Jeszcze raz rzuciła okiem w lustro i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Po chwili Mariusz usłyszał w korytarzu tupot bosych nóg obu dziewczyn i głos Jondrette'a, który wołał za nimi:

— A uważajcie dobrze! Jedna od strony rogatki, druga od rogu ulicy Małego Bankiera. Nie spuszczaście mi z oka ani na chwilę drzwi domu, jak tylko coś zobaczycie, przylecieć tu zaraz na jednej nodze! Macie klucz od domu.

Starsza córka mruknęła:

— Stróżować na bosaka w śniegu, widział to kto!

— Jutro dostaniesz jedwabne pantofelki koloru skarabeusza — rzekł ojciec.

Zeszły ze schodów i w parę sekund później stuk zamykanych drzwi wyjściowych oznajmił, że wyszły.

W całym domu został już tylko Mariusz i Jondrette'owie; a zapewne również i owe tajemnicze istoty, które Mariusz zauważył w półmroku za drzwiami niezamieszkałej izdebki.

## ROZDZIAŁ XVII

### NA CO ZUŻYTO PIĘĆ FRANKÓW MARIUSZA

Mariusz uznał, że nadeszła chwila, by zająć znów swój punkt obserwacyjny. W mgnieniu oka znalazł się przy otworze w ścianie, ze zwinnością, właściwą swemu wiekowi.

Zajrzał.

Wnętrze izby Jondrette'ów przedstawiało osobliwy widok: Mariusz teraz dopiero mógł sobie wytłumaczyć dziwne światło, które poprzednio zauważył. W zaśniedziałym lichtarzu paliła się świeca, lecz właściwie nie ona oświetlała izbę. Całe poddasze było zalane czerwonym blaskiem, bijącym ze sporego, żelaznego piecyka ustawionego w kominku i pełnego rozżarzonych węgli. Był to piecyk, który Jondrette'owa przygotowała z rana. Węgiel płonął, piecyk rozpalony był do czerwoności; migały w nim niebieskie płomyki, ukazując kształt dłuta kupionego przez Jondrette'a na ulicy

Pierre-Lombard. Dłuto wetknięte w żar rozgrzało się również do czerwoności. W kącie, koło drzwi, przygotowane chyba na jakiś z góry przewidziany użytek, leżały dwa stosy, jeden jakby stos żelastwa, a drugi — sznurów.

Wszystko to dla człowieka, który by nie wiedział, co się tam szykuje, mogło się wydać zarówno złowieszcze, jak i całkiem zwykłe. Izba, oświetlona w ten sposób, przypominała raczej kuźnię niż bramę piekieł, lecz Jondrette w tym świetle podobny był raczej do czarta niż do kowala. Tak wielki żar bił z piecyka, że stojąca na stole świeca topniała od tej strony i spalała się krzywo. Na kominku stała stara, miedziana ślepa latarnia, godna Diogenesa przemienionego w Cartouche'a.

Dym z piecyka, ustawionego w palenisku obok dogasających polan, ulatywał przez rurę od komina tak, że nie czuć było swędu.

Księżyc, zaglądając przez cztery szybki, rzucał białą poświatę na izbę gorejącą czerwienią i dla poetycznej duszy Mariusza, który nawet w momentach działania nie przestawał być marzycielem, wyglądało to niby myśl niebios, wpleciona w szpetne, ziemskie majaki.

Powiew świeżego powietrza, wpadając przez stłuczoną szybę, rozpraszał zapach rozpalonego węgla, maskując w ten sposób istnienie piecyka.

Czytelnik, który pamięta poprzedni opis rudery Gorbeau, wie, iż nora

Jondrette'ów była miejscem znakomicie wybranym do popełniania aktu przemocy, idealną osłoną dla zbrodni. Była to najbardziej ukryta izba najbardziej odosobnionego domu, leżącego przy najbardziej odludnym bulwarze Paryża. Gdyby pojęcie zasadzki nie istniało na świecie, tu by je wynaleziono.

Izbę oddzielała od bulwaru grubość całego domu i mnóstwo niezamieszkałych klitek, a jedyne jej okno wychodziło na rozległe pustkowie otoczone murami i parkanami.

Jondrette zapalił fajkę, usiadł na przedziurawionym krześle i pykał. Żona coś do niego mówiła po cichu.

Gdyby Mariusz był Courfeyrakiem, to znaczy jednym z tych ludzi, którzy śmieją się w każdej okoliczności życia, wybuchnąłby śmiechem na widok tej baby. Miała na głowie czarny kapelusz z piórami, podobny trochę do kapeluszy heroldów z koronacji Karola X, poza tym wielki tartanowy szal narzucony na trykotową halkę i męskie buciory, którymi jej córka pogardziła rano. Ten to właśnie strój wywołał okrzyk Jondrette'a: „Widzę, żeś się ubrała. To dobrze, powinnaś wzbudzać zaufanie.”

Jondrette nie zdjął nowego i za obszernego okrycia, ofiarowanego mu przez pana Białego, ubiór jego nadal uderzał rażącym kontrastem między porządnym płaszczem i obszarpanymi spodniami, co, zdaniem Courfeyraca, stanowiło ideał poety.

Nagle Jondrette odezwał się głośno:

— Aha! Coś przyszło mi do głowy. W taką pogodę przyjedzie pewnie dorożką. Zapal latarnię i zejdź z nią na dół. Postoisz za drzwiami od ulicy. Jak usłyszysz, że dorożka zajechała, otworzyszmu zaraz, on wejdzie, poświecisz mu na schodach i w korytarzu, a kiedy wejdzie tutaj, zbiegniesz co tchu, zapłacisz dorożkarza i odprawisz go.

— A pieniądze? — zapytała żona.

Jondrette sięgnął do kieszeni i dał jej pięć franków.

— A to co takiego? — zawołała. Jondrette odpowiedział z godnością:

— To? Forsa, którą sąsiad dał dziś rano. I dodał:

— Wiesz, przydałyby się tu dwa krzesła.

— Po co?

— Żeby było na czym usiąść.

Mariuszowi dreszcz przebiegł po krzyżu, gdy usłyszał, że Jondrette'owa odpowiada spokojnie:

— No to przyniosą je od sąsiada.

Szybkim ruchem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Stało się to tak nagle, że Mariusz nie miał czasu zejść z komody i schować się pod łóżko.

— Weź świecę — zawołał Jondrette.

— Nie trzeba — odpowiedziała. — Mam nieść dwa krzesła, tylko by mi zawadzała; księżyc świeci.

Mariusz usłyszał, jak ciężka ręka matki Jondrette szuka po omacku klucza w zamku. Drzwi się otworzyły. Stał nieruchomo, przygwożdżony i zmartwiał z przerażenia.

Stara weszła.

Przez mansardowe okienko wpadało światło księżycy, jasną smugą przecinając na dwoje mrok izdebki. Jedna połać mroku zasłaniała całkowicie ścianę, o którą oparł się Mariusz, tak że był on niewidoczny. Jondrette'owa rozejrzała się, nie dostrzegła Mariusza, wzięła dwa krzesła, jedyne, jakie miał, i wyszła zatraskując głośno drzwi za sobą.

Wróciła do swojej izby.

— No, masz dwa krzesła.

— A ty bierz latarnię — rzekł mąż — i leć na dół.

Usłuchała śpiesznie, Jondrette został sam.

Ustawił krzesła po obu stronach stołu, poruszył dłuto tkwiące w piecyku, postawił przed kominkiem stary parawan, zasłaniając piecyk, po czym poszedł do kąta, gdzie leżał stos sznurów, i schylił się, żeby coś obejrzeć. Mariusz poznał wówczas, że to, co wziął za bezkształtny zwór postronków, było starannie splecioną sznurową drabiną z drewnianymi szczeblami i dwoma hakami do zaczepienia. Ani tej drabiny, ani też paru potężnych

narzędzi, wyglądających na prawdziwe maczugi żelazne, które leżały wśród stosu żelastwa za drzwiami, nie było rano w izbie Jondrette'ów; widać zostały

przyniesione dopiero po południu, podczas nieobecności Mariusza. „To narzędzia ślusarskie” — pomyślał Mariusz.

Gdyby Mariusz miał większe wykształcenie w tej dziedzinie, rozpoznałby w tym, co wziął za narzędzia ślusarskie, przyrządy do wyłamywania zamków i otwierania drzwi oraz do rozcinania lub piłowania, słowem, dwa gatunki złowrogich narzędzi, zwanych przez złodziei „generałami” i „rozpruwaczami”.

Kominek i stół z dwoma krzesłami znajdowały się na wprost Mariusza. Po zasłonięciu piecyka izbę oświetlała już tylko świeca; najmniejsza skorupa na stole czy na kominie rzucała długi cień. Wyszczerbiony dzban na wodę zaciemniał połowę ściany. W izbie panował jakiś niesamowity, złowieszczy spokój. Czuło się tu oczekiwanie na coś strasznego.

Jondrette usiadł znowu na swoim miejscu; był tak pochłonięty myślami, że nie zauważył nawet, jak zgasła mu fajka. Światło świecy uwydatniało okrutne i przebiegłe rysy jego twarzy. Niekiedy marszczył brwi, to znów czynił gwałtowny gest prawą ręką, jak gdyby odpowiadał na jakieś ostatnie rady, które mu podsuwał ponury monolog wewnętrzny. Podczas jednej z tych tajemniczych odpowiedzi, które dawał sam sobie, wysunął nagle szufladę stołu, wyjął z niej długi nóż kuchenny i wypróbował jego ostrze na paznokciu. Po czym włożył z powrotem nóż do szuflady i zasunął ją.

Jednocześnie Mariusz wyjął z prawej kieszeni pistolet i odwiódł kurek. Pistolet wydał przy tym lekki, suchy trzask. Jondrette drgnął i uniósł się z krzesła.

— Kto tam? — zawołał.

Mariusz wstrzymał oddech. Jondrette nadśłuchiwał przez chwilę, potem roześmiał się i rzekł:

— Dureń ze mnie! To przepierzenie trzeszczy. Mariusz ścisnął w dłoni pistolet.

## ROZDZIAŁ XVIII

### DWA KRZESŁA MARIUSZA STOJĄ NAPRZECIW SIEBIE

Nagle szyby zadrżały od dalekiego i melancholijnego dźwięku dzwonu. Zegar na wieży Świętego Medarda bił szóstą.

Jondrette kiwnięciem głowy liczył każde uderzenie zegara. Po wybiciu ostatniego palcami objaśnił świecę. Potem zaczął chodzić po izbie, nadśluchiwał w korytarzu, znów chodził i znów nadśluchiwał.

— Byleby tylko przyszedł! — burknął pod nosem. Po chwili usiadł na krześle.

Ledwie zdążył usiąść, gdy drzwi się otworzyły. Otworzyła je, nie wchodząc zresztą do izby, Jondrette'owa, ze szkaradnym grymasem ugrzecznienia na twarzy, oświetlonej od dołu przez latarnię.

— Proszę, niech pan wejdzie — rzekła.

— Proszę, szlachetny dobroczyńco, proszę! — powtórzył Jondrette, spieszenie zrywając się z krzesła.

Ukazał się pan Biały.

Miał pogodny wyraz twarzy, co czyniło go szczególnie czcigodnym. Położył na stole cztery luidory.

— Oto na komorne i pierwsze potrzeby, panie Fabantou — rzekł. — Później jeszcze zobaczymy.

— Niechaj panu pan Bóg zapłaci, szlachetny dobroczyńco! — odrzekł Jondrette, a zbliżywszy się szybko do żony dodał: — Odpraw dorożkę!

Wysunęła się z izby, podczas gdy mąż giął się w ukłonach i podsuwał krzesło panu Białemu. Po chwili wróciła i szepnęła mu do ucha:

— Zrobione!

Śnieg, który od rana padał bez ustanku, zasypał tak grubo ulicę, że nie było słyhać ani przyjazdu dorożki, ani jej odjazdu.

Tymczasem pan Biały usiadł.

Jondrette zajął drugie krzesło naprzeciw pana Białego.



A teraz, aby lepiej zrozumieć scenę, która rozegra się za chwilę, niech czytelnik wyobrazi sobie mroźną noc, pustkowie wokół Salpetriere zasypane śniegiem i bielejące w poświacie księżyca niby jakiś olbrzymi całun, mdłe światła latarni ulicznych, rozjaśniające gdzieś czerwonym blaskiem posępne bulwary i długie rzędy czarnych więzów, ani jednego przechodnia na jakie ćwierć mili dokoła, ruderę Gorbeau w najwyższym diapazone ciszy, grozy i nocy; a w tej ruderze, pośród tej pustki, pośród tych ciemności Obszerną izbę Jondrette'ów, oświetloną jedną jedyną świeczką, w tej izbie dwóch mężczyzn siedzących za stołem: spokojnego pana Białego i złowieszczo uśmiechniętego Jondrette'a, w kącie jego żonę, matkę-wilczycę, i za przepierzeniem Mariusza, który niewidoczny, w pogotowiu, nie tracąc ani jednego słowa, ani jednego ruchu, wytyżając wzrok, czeka z pistoletem w zaciśniętej dłoni.

Mariusz był jedynie podniecony grozą sytuacji, lecz nie czuł lęku. Ścisnął głównie pistoletu i to go uspokajało. „Powstrzymam tego nędznika, kiedy zechcę!” — myślał.

Czuł, że policjanci zaczaili się gdzieś niedaleko, że czekają tylko na umówiony znak, gotowi do działania.

Miał także nadzieję, że to gwałtowne spotkanie Jondrette'a z panem Białym rzuci jakieś światło na te wszystkie sprawy, o których tak bardzo pragnął się czegoś dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ XIX

### WYSTRZEGAĆ SIĘ CIEMNYCH KĄTÓW

Usiadłszy na krześle, pan Biały spojrzał od razu na barłogi, które były puste.

— Jakże się miewa ranna dziewczynka? — zapytał.

— Źle — odrzekł Jondrette ze smutnym i pełnym wdzięczności uśmiechem — bardzo źle, łaskawy panie. Starsza siostra zaprowadziła ją na opatrunek do szpitala Bourbe. Zobaczycie ją pan obie, zaraz wróca.

— Ale pani Fabantou wydaje się nieco zdrowsza — podjął znowu pan Biały rzuciwszy okiem na dziwny strój Jondrette'owej, która stała między nim a drzwiami, jakby zawczasu strzegąc wyjścia, i przyglądała mu się, przybrawszy groźną, niemal wojowniczą postawę.

— Jest umierająca! — odparł Jondrette. — Ale, uważa pan, to taka dzielna kobieta! Wół roboczy, nie kobieta!

Jondrette'owa, wzruszona tym komplementem, zawołała, mizdrząc się jak potwór, którego pogłaskano:

— Zawsześ łaskaw dla mnie, panie Jondrette!

— Jondrette? — zapytał pan Biały. — Zdawało mi się, że pan się nazywa Fabantou?

— Fabantou zwany Jondrette — odrzekł żywo małżonek. — Przewisko sceniczne!

I strofując żonę wzruszeniem ramion, którego pan Biały nie zauważył, mówił dalej tonem przesadnym i pieśczośliwym:

— Ach, ta biedaczka i ja tworzyliśmy zawsze wzorowe stadło! Cóż by nam zostało, gdybyśmy nie mieli choć tego? Jesteśmy tak nieszczęśliwi, szanowny panie! Człowiek ma ręce do pracy, ale nie ma pracy! Człowiek ma chęć do roboty, ale nie ma roboty! Nie wiem, jak rząd układa to wszystko, ale, na honor, łaskawy panie, nie jestem wcale jakobinem ani żadnym sankiulotem naszych czasów i nie życzę mu nic złego — gdybym ja był ministrami, to, do kroćset, wszystko by szło inaczej. Proszę, przykład: chciałem wyuczyć moje córki robienia pudełek. Pan mi powie: „Jak to? Rzemiosła?” A tak, rzemiosła, zwykłego rzemiosła! Byle żyć! Co za upadek, czcigodny dobroczyńco! Co za

poniżenie, kiedy się było tym, czym myśmy byli! Niestety! Nic nam nie pozostało z lepszych czasów! Nic — tylko jeden przedmiot, obraz, do którego jestem mocno przywiązany, ale którego gotów byłbym się pozbyć, bo trzeba żyć. *Item*, trzeba żyć.

Podczas tej na pozór bezładnej gadaniny, która zresztą bynajmniej nie odbierała twarzy Jondrette'a wyrazu skupienia i chytrości, Mariusz podniósł wzrok i ujrzał w głębi pokoju kogoś, kogo dotąd nie widział. Przed chwilą wszedł jakiś człowiek, tak cicho, że nawet nie było słychać skrzypnięcia drzwi. Miał na sobie kamizelkę z fioletowego trykotu, starą, zniszczoną, podartą, poplamioną i świecącą dziurami na wszystkich szwach, szerokie spodnie z bawełnianego welwetu i grube skarpetki na nogach, był bez koszuli, z gołą szyją, gołymi ramionami, pokrytymi tatuażem, i z twarzą pomazaną na czarno. Usiadł w milczeniu na najbliższym barłogu, skrzyżowawszy ręce, a ponieważ znajdował się za Jondrette'ową, ledwo go było widać. Ów rodzaj magnetycznego przeczucia, które ostrzega nasz wzrok, sprawił, że pan Biały odwrócił się prawie jednocześnie z Mariuszem. Nie mógł powstrzymać odruchu zdziwienia, który nie uszedł uwagi Jondrette'a.

— A widzę, że się pan przygląda swemu płaszczowi! — zawołał, zapinając się z zadowoloną miną. — Leży jak ulał, doprawdy, leży, jak ulał!

— Co to za człowiek? — zapytał pan Biały.

— Ten? — rzekł Jondrette. — To sąsiad! Niech pan na niego nie zważa.

Sąsiad miał dość osobliwą powierzchowność. Ale na przedmieściu Saint-Marceau jest wiele fabryk wyrobów chemicznych: robotnicy tych fabryk miewają uczernione twarze. Cała osoba pana Białego tchnęła szczerą i nieustraszoną ufnością. Podjął na nowo:

— Przepraszam, o czym mi pan mówił, panie Fabantou?

— Mówiłem, szanowny i kochany opiekunie — ciągnął Jondrette, oparłszy się łokciami na stole i wpatrując się w pana Białego wzrokiem uporczywym i czułym, dość podobnym do spojrzenia węża boa — mówiłem panu, że mam obraz na sprzedaż.

Lekki szmer dał się słyszeć u drzwi. Wszedł drugi człowiek i też usiadł na barłogu za Jondrette'ową. Miał, podobnie jak pierwszy, gołe ramiona i maskę z atramentu czy sadzy na twarzy. Chociaż dosłownie wśliznął się do pokoju, pan Biały zauważył go.

— Niech pan na nich nie zwraca uwagi — rzekł Jondrette. — To domowi. Mówiłem więc, że pozostał mi obraz, cenny obraz... O, niech pan spojrzy!

Wstał, podszedł do ściany, o którą opartabyła wspomniana już przez nas rama, odwrócił ją i postawił w tym samym miejscu pod ścianą. Było to istotnie coś w rodzaju obrazu; blask świecy pozwalał od biedy to rozeznąć. Mariusz nie mógł rozróżnić szczegółów, bo Jondrette zasłaniał malowidło, dostrzegł tylko płótno zasmarowane nieudolnie i jakąś niby to główną postać, wymalowaną z krzykliwą jaskrawością jarmarcznych bohomazów i scen zdobiących parawany.

— A co to takiego? — zapytał pan Biały. Jondrette wykrzyknął:

— To dzieło mistrzowskiego pędzla, kochany dobroczyńco, niezwykle cenne dzieło! Kocham je jak moje obie córki, przywodzi mi na myśl tyle wspomnień! Ale słowo się rzekło i nie cofam go, jestem tak nieszczęśliwy, że byłbym gotów sprzedać ten obraz.

Czy to przypadkiem, czy też pod wpływem niepokoju, który go zaczynał nurtować, pan Biały, niby to oglądając obraz, skierował znowu wzrok w głąb izby. Było tam już czterech ludzi, trzech siedziało na barłogu, jeden stał oparty o framugę drzwi, wszyscy znieruchomieli, mieli nagie ramiona i twarze umazane na czarno. Jeden z siedzących na łóżku oparł się o ścianę, zamknął oczy i zdawał się drzemać. Był stary, jego siwe włosy przy uczernionej twarzy sprawiały okropne wrażenie. Dwaj inni wydawali się młodzi. Jeden z nich miał brodę, drugi długie włosy. Żaden nie miał butów; ci, którzy nie mieli skarpetek, byli boso.

Jondrette spostrzegł, że wzrok pana Białego wracał wciąż ku tym postaciom.

— To przyjaciele, sąsiedzi — rzekł. — Umorusani, bo pracują przy węglu. Są zdunami. Nie zważaj na nich, łaskawy mój dobroczyńco, i kup mój obraz. Miej litość nad nędzą. Sprzedam tanio. Na ile go pan ocenia?

— Ależ — rzekł pan Biały, patrząc Jondrette'owi prosto w oczy, jak ktoś, kto zaczyna mieć się na baczności. — To jakiś sztyld znad karczmy, wart ze trzy franki.

Jondrette odpowiedział ze słodyczą:

— Czy pan ma przy sobie pugilares? Zadowolę się trzema tysiącami franków.

Pan Biały wstał, oparł się o ścianę i szybko przebiegł wzrokiem po izbie. Miał Jondrette'a po lewej stronie, od okna, Jondrette'ową i czterech mężczyzn po prawej, od drzwi. Czterej mężczyźni nie ruszali się, zdawało się, że go nie widzą nawet. Jondrette ciągnął głosem tak płaczącym, ze spojrzeniem tak błędnym, tonem tak żalnym, że pan Biały mógł przypuszczać, iż człowiek, którego ma przed sobą, po prostu oszalał z nędzy:

— Jeśli pan nie kupi ode mnie tego obrazu, kochany dobroczyńco — mówił Jondrette — to nie mam środków do życia i pozostaje mi tylko jedno: rzucić się do rzeki. Jak sobie pomyślę, że chciałem wyuczyć córki roboty ozdobnych pudełek, pudełek do świątecznych podarunków... Ale cóż, trzeba do tego stołu z deską z tyłu, żeby szkła nie pospadały na ziemię, trzeba specjalnego piecyka, trzeba garnka z trzema przegródkami, żeby w nim rozrobić klej rozmaitej gęstości, inny do drzewa, a inny do materiałów i papieru; trzeba nożyka do krajania tektury, formy do pasowania pudełek, młotka do przybijania metalowych ozdób, pędzli i diabli jeszcze wiedzą czego! A to wszystko po to, żeby zarobić cztery su dziennie, pracując przez czternaście godzin na dobę! Każde pudełko przechodzi trzynaście razy przez ręce robotnicy! A zwilżać papier, a nic nie poplamić, a uważać, żeby klej nie ostygł, niech to wszystko diabli! Za cztery su dziennie, powiadam! Jak z tego wyżyć?

Mówiąc to wszystko, Jondrette nie patrzył na pana Białego, który mu się uważnie przyglądał. Wzrok pana Białego wlepiony był w Jondrette'a, a wzrok Jondrette wlepiony był w drzwi.

Mariusz z gorączkową uwagą patrzył to na jednego, to na drugiego.

Pan Biały wyglądał, jakby zadawał sobie pytanie: czy to wariat?

Jondrette powtórzył parę razy, na różne tony, błagalnie — żebrzącym głosem:

— Pozostaje mi jedno — rzucić się do rzeki! Jużem kiedyś zszedł z trzech stopni przy moście Austerlitzkim.

Nagle, przygaste źrenice rozbłysły mu ohydny ogniem, mały człowieczek wyprostował się i stał się straszny; postąpił krok ku panu Białemu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Ale nie o to idzie! Poznajesz mnie pan?